

Elizabeth Adler

Spadkobierczyni poszukiwana

Rozdział 1

Dolina lśniła w porannym słońcu odcieniami złota i zieleni. Mike Preston wszedł do kuchni i włączył maszynkę do kawy. Szczerze mówiąc, widok gór Santa Ynez przejadł mu się do szczytu. Brak mu było szybkiego, agresywnego rytmu Nowego Jorku, który pobudzał jego energię, choć właśnie chęć zerwania z tym gorączkowym trybem życia skłoniła go do szukania samotności w Kalifornii.

Mike specjalizował się w tropieniu afer. Siedem lat temu jego dziennikarski talent objawił się w książce o korupcji wśród ludzi na wysokich stanowiskach. Książka ta przyniosła mu nagrodę Pulitzera. Jego ostre, drapieżne ataki na ludzi, biorących udział w transakcjach bronią i ciągnących grube zyski z zawieranych umów, doprowadziły do niesławnej dymisji pewnego generała, weterana wojny koreańskiej, oraz rezygnacji dwóch członków gabinetu.

Następna książka przyniosła mu sławę i majątek. Zarobił na niej więcej pieniędzy, niż zgodnie z jego własnym odczuciem jakikolwiek człowiek miał prawo posiadać. Proszono go o wygłaszanie wykładów w miejscach tak odległych od siebie, jak Genewa i Stanford w Kalifornii. Wbrew własnym chęciom stał się również gwiazdą telewizji i radykalnie zmienił tryb życia.

Mógł sobie obecnie pozwolić na luksusowy, wykładany dębową boazerią apartament w Sutton Place, z własną biblioteką i widokiem na East River. W Nowym Jorku wszystkie panie domu umieszczały go na samej górze listy zaproszonych gości, a szefowie sal w wytwornych restauracjach prześcigali się w wysiłkach, by posadzić go przy najlepszym stoliku. Co więcej, sława w niepojęty dlań sposób podniosła jego walory w oczach płci przeciwnej. Olśniewająco piękne kobiety, jakie widuje się na wielkich reklamach perfum lub prezentujące w „Vogue” sukienki Calvina, Oscara i Billa, dobijały się na proszonych obiadach o miejsce obok niego, by móc bombardować go kuszącymi spojrzeniami, a nawet szeptać mu na ucho propozycje, które przyprawiłyby o wstrząs ciotkę Martę z Madison w stanie Wisconsin.

Jeśli Mike nie mógł zrozumieć, co też kobiety w nim widzą, wspomniana ciotka

Marta miała na ten temat inne zdanie. Rysy jego twarzy były wprawdzie nieregularne, a skrzywiony nos nosił ślady źle wymierzonego uderzenia rakieta do tenisa w chłopięcych czasach, lecz całość emanowała ciepłem. Głęboko osadzone szare oczy przypominały morze zimą, a gęste, krótko obcięte czarne włosy były na ogół zmierzwiłone, ponieważ ich właściciel miał zwyczaj czochrać je obiema rękami, gdy się nad czymś zastanawiał. Mike był zdania, że wygląda jak bokser na emeryturze, lecz właśnie to niespotykane połączenie powierzchowności zwalistego szofera ciężarówki z inteligencją i wrażliwością kazało żeńskim sercom wywijać koziołki na jego widok. Międzynarodowa sława przyczyniła mu jeszcze splendoru. Nazwisko „Mike Preston” mogło otworzyć każde drzwi.

Zdobył sobie opinię człowieka umiającego przeniknąć wzrokiem przybieraną na użytek publiczny maskę wielkich osobistości i dotrzeć do uczuć, które wrzały w głębi i skłaniały do nieodpowiedzialnych czynów, pociągających za sobą upadek. Jego trzy bestsellery zawierały pewien element suspense – dociekanie winnego – co zwiększało ich poczytność bez względu na to, czy tematem była przedstawiona bez obsłonek kariera potentata przemysłu samochodowego, skandal w łonie wielkiej korporacji czy też wyjątkowo efektowne morderstwo. Jednakże od wydania ostatniej książki upłynęły dwa lata i Mike złożył sobie w duchu obietnicę, że właśnie tu, w Santa Barbara, wymyśli nareszcie temat kolejnej. Siedział tu już sześć tygodni, a maszyna do pisania wciąż czekała beczynn timer, kosz na papiery ział pustką, a na podłodze nie widać było zmiętych w kulki kartek papieru. Mike padł ofiarą kalifornijskiego słońca, błękitnego nieba – i opalonych na miodowy kolor blondynek.

Wczorajszy, nie przeczytany numer „Timesa” z Los Angeles wciąż leżał na kuchennym blacie. Mike zabrał go ze sobą na sekwojową werandę. Oparłszy stopy o poręcz rozpoczął lekturę codziennej porcji doniesień o impasie w polityce zagranicznej, światowym terroryzmie i ostatnich morderstwach, okraszonych ogłoszeniami o sprzedaży nieruchomości, reklamami samochodów, artykułami na temat mody i kuchni – świadectwo chaosu dzisiejszych czasów z całym ich

okrucieństwem i beznadziejnością oraz ciągotami konsumpcyjnymi, u wszystko to stłoczone na trzydziestu stronach.

Rzucił gazetę na ziemię krzywiąc się z niesmakiem. Przed przyjazdem tutaj postanowił, że przez dwa miesiące nie zerknie nawet na prasę, by udowodnić wyznawaną przez siebie teorię, że wiadomości prasowe są wciąż takie same i nic się nie traci nie czytając ich przez jakiś czas. A może jednak? Spojrzał na pogniecioną gazetę na podłodze i jego oczy przyciągnęło jak magnes duże ogłoszenie w czarnej ramce, w prawym dolnym rogu. Odbijało od reszty tekstu, jakby wybito je czerwonymi literami. Brzmiało następująco:

POSZUKUJE SIĘ SPADKOBIERCZYNI

W związku z postępowaniem spadkowym dotyczącym majątku Poppy Mallory, urodzonej 15 czerwca 1880 w Santa Barbara w Kalifornii, zmarłej 15 czerwca 1957 w Veneto we Włoszech, sąd do spraw spadkowych w Genewie poszukuje córki testatorki lub, jeśli ta już nie żyje, jej potomków.

Informacje proszę kierować pod adres Johannes Lieber, Rue Garonne 14, Genewa, Szwajcaria lub dzwonić pod numer 73 63 03 w Genewie

Mike'owi zupełnie wyleciała z głowy kawa pyrkocząca w kuchni, jak również błękitne niebo, blondynki i rozleniwiająca pokusa kalifornijskiego słońca. Umiał rozpoznać dobry temat, a ten był zbyt dobry, żeby go przegapić. Nazwisko Poppy Mallory tchnęło tajemnicą i intrygą. Mike'owi stanęły przed oczami dziesiątki, a może setki gnanych nadzieją ludzi, którzy odpowiedzą na to ogłoszenie.

Utkwił wzrok w lśniącym morzu i próbował dociec, dlaczego Poppy Mallory, urodzona właśnie tu, w Santa Barbara, umarła samotnie we Włoszech, tak daleko od domu. Dlaczego przez wszystkie te lata jej córka nie wystąpiła z roszczeniem do majątku? A jeśli już nie żyje, co było prawdopodobne, kto będzie spadkobiercą lub spadkobierczynią? Można się było tego dowiedzieć tylko z jednego źródła. Spojrzał na zegarek i obliczył, że w Europie jest teraz wpół do piątej po południu. Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer mecenasa Johanna Liebera w Genewie.

Pan Lieber był najwyraźniej wybitnym prawnikiem – dopiero po trzech

telefonach odebranych przez sekretarkę zdecydował się zaszczyścić Mike'a rozmową, i to tylko dlatego, że Mike przedstawiając się wymówił z naciskiem swoje nazwisko.

– Mike Preston? Autor książki „Robbelard – jak mu uszło na sucho”? Bardzo mi się podobała – powiedział na powitanie Lieber. – To jedna z najlepszych książek reportażowych, jakie kiedykolwiek czytałem. Wszyscy naturalnie patrzymy podejrzliwym okiem na przejmowanie małych firm przez wielkie korporacje, gdzie ludzie dorabiają się fortun spekulując na rynku poufnych informacji, lecz dopiero pan wyciągnął sprawę na jaw i wskazał winowajców. Gratuluję panu odwagi, jakiej wymagało porwanie się na establishment, no i wygranej.

Mike uśmiechnął się.

– Cóż, dziękuję bardzo, panie Lieber. Zawsze miło mi zetknąć się z życzliwym czytelnikiem. Dzwonię do pana w nadziei uzyskania paru poufnych informacji. Chodzi o Poppy Mallory.

– Czyżby był pan jej krewnym? A może ma pan jakieś informacje? – Lieber nagle przeszedł na ton urzędowy.

– Nie, proszę pana, jestem tylko pisarzem, który zwęszył dobry temat. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kim była Poppy Mallory i na ile szacuje się jej majątek?

Nastąpiła długa cisza. Wreszcie Lieber powiedział:

– Nie jestem przekonany, czy to będzie zgodne z moją etyką zawodową, panie Preston. Muszę mieć na względzie dobro klienta.

Mike niecierpliwie przeczesał ręką włosy.

– Przecież spadkobierca pozostaje nieznanym, więc nie ma pan żadnego klienta. Proszę pana – dodał polubowym tonem – przed chwilą przyznał pan, że w „Robbelardzie” odwalilem kawał dobrej roboty. Może mógłbym panu oddać taką samą przysługę w przypadku Poppy Mallory? W końcu można by tak sprawę ująć, że jestem pańskim człowiekiem w terenie. Przebywam właśnie w Santa Barbara, gdzie wszystko to się zaczęło. Moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Ja prześlę dla pana historię Poppy Mallory, a jeśli uda mi się znaleźć pańskiego zaginionego spadkobiercę – lub spadkobierczynię – zabiorę się do pisania książki. Jeżeli mi się

nie uda, bądź jeśli spadkobierca sam się objawi i tajemnica sama się rozwiąże, wtedy nici z książki. Co pan na to?

– Hm... – W głosie Liebera brzmiała ostrożność.

Mike zmarszczył brwi. Nagle zapragnął tego tematu bardziej niż czegokolwiek od dawna. Musiał poznać prawdę o Poppy Mallory, instynkt podpowiadał mu, że wiąże się z nią tajemnica wychodząca poza prawniczy banał.

– Mogę panu powiedzieć, że pani Mallory pozostawiła znaczny majątek – odezwał się Lieber – tak, dość znaczny... około pięciuset, sześciuset...

– Tysięcy?

– O nie, milionów, panie Preston, milionów. Ostateczna suma po oszacowaniu całości może nawet wynieść więcej.

Mike gwizdnął cicho.

– W takim razie będzie pan musiał odeprzeć istny najazd frantów, którzy dostrzegą sposobność szybkiego zrobienia fortuny.

Lieber westchnął ciężko.

– Jest to pewien problem, oczywiście, ale wciąż mamy nadzieję, że odnajdzie się córka madame Mallory. Tytuł „madame” jest czysto grzecznościowy, pan rozumie. Według naszych wiadomości Poppy Mallory nie była nigdy zamężna.

– No a jeśli jej córka nie żyje? Kto wtedy jest następny w kolejce do milionów?

– No właśnie, kto? – zaśmiał się Lieber. – O ile w ogóle ktoś taki istnieje.

Na krótko znowu zapadła cisza.

– Zaufam panu, panie Preston – podjął po chwili Lieber – bo sądzę, że pana pomoc może okazać się przydatna. Przyjmuję pańską ofertę współpracy, choć wykracza to poza zwykły tryb postępowania. W końcu mamy do czynienia z niezwykłym przypadkiem. Testament został ujawniony przy okazji rozstrzygnięcia kwestii tytułu własności do działki budowlanej w Beverly Hills. Madame Mallory zmarła w domu o nazwie Villa Castelletto pod Weroną, we Włoszech. Od wielu lat żyła w samotności. Wszystko wskazuje na to, że nikt jej nie odwiedzał. Nie miała żadnych przyjaciół. Nikt w okolicy nic nie wie na jej temat. W mojej kancelarii po

raz pierwszy usłyszano o Poppy Mallory, gdy nawiązali z nami kontakt kalifornijscy prawnicy, których klienci chcieli kupić należącą do niej posiadłość w Beverly Hills. Posiadłość od dawna stała pusta i niszczała. Testament pani Mallory został spisany przez sędziwego, prowincjonalnego prawnika, nie grzeszącego skrupulatnością. Staruszek dawno pożegnał się z tym światem, a jego firmę przejął ktoś inny, kto później przeniósł się do Mediolanu, zabierając ze sobą wszystkie akta. Tam kancelaria rozwijała się i nabierała znaczenia, a w 1968 roku połączyła się z naszą. Gdy powstała kwestia tytułu własności, poszukiwania w archiwach doprowadziły do odkrycia nieznanego testamentu – i tajemnicy. Wobec braku podpisów świadków i braku rejestracji w sądzie nie można uznać jego prawomocności, lecz traktować go tylko pomocniczo, jako wskazówkę, kim jest osoba – lub osoby – dziedziczące po Poppy Mallory. I tak oto znaleźliśmy się w kłopotliwym położeniu. Musimy na własną rękę odszukać właściwą osobę.

– To ogłoszenie ukazało się zapewne w wielu krajach – rzucił szybko Mike. – Czy może pan powiedzieć, jaki odzew otrzymaliście do tej pory?

Lieber roześmiał się głośno.

– Powiem tyle, że nie jest pan pierwszą osobą, która do nas zadzwoniła.

– Dziękuję, panie Lieber. – Mike już wertował książkę telefoniczną Santa Barbara w poszukiwaniu nazwiska Mallory, lecz nic tam nie znalazł. – Bardzo się cieszę z naszej współpracy. Jak pan myśli, czy mógłby pan przesłać mi faksem spis wszystkich osób, które zgłosiły się do tej pory? Przysięgam bronić go choćby własnym życiem – dodał żartobliwie.

Odkładając słuchawkę miał już ułożony w głowie cały plan działania.

Rozdział 2

Stara papuga nastroszyła pióra w wilgotnym, przenikliwym chłodzie, który napłynął wraz z mgłą znad Canale Grande. Mgła pełzła po poobijanych stiukach ścian koloru ochry i kruchych szybach weneckiego Palazzo Rinardi sięgając aż do wysokich, belkowanych sufitów i czepiając się spłowiałych jedwabnych zasłon,

które tak zetlały ze starości, że groziły rozpadnięciem się w pył. Ptak był jedyną barwną plamą w urządzonej niegdyś z przepychem sypialni, lecz nawet jego krzykliwa, tropikalna szata zdawała się blaknąć w szarości listopadowego ranka.

Papuga wysunęła spomiędzy piór jedną żylastą nogę, wyprężyła ją sztywno, a wtedy światło odbiło się w szmaragdach i diamentach, którymi dawno temu jubiler Bulgari przyozdobił jej złote obrączki. Od przeszło osiemdziesięciu lat pierzasty ulubieniec Poppy nosił na łapkach klejnoty warte majątek. Gruby drążek, wytarty i podrapany od ciągłych łamańców ptaka, był z litego złota i miał na obu końcach gałki wielkości piłki tenisowej, wysadzone drogimi kamieniami. Olbrzymia złota klatka w kształcie pałacu z opowieści Szeherezady, cała w skrętach i lukach, zniszczona już porządnie w ciągu długiego żywota ptaka, stała na stole w kącie pokoju. Teraz jednak papuga spędzała większość czasu na drążku pod oknem, obserwując świat i czekając na Arię, tak jak kiedyś czekała na Poppy.

W marmurowym korytarzu rozległ się cichy szelest stóp w miękkich pantoflach. Papuga przekrzywiła głowę słysząc grzechot obracanej złożonej klamki. Do pokoju weszła rażnym, choć kuśtykającym krokiem staruszka w białym fartuchu. Postawiła tacę ze śniadaniem na siedemnastowiecznym malowanym stoliku. Znużone oczy papugi obserwowały spod ciężkich powiek, jak stara kobieta odciąga białe lniane zasłony łoża z baldachimem, cmokając z niezadowoleniem na widok płatków farby, które przy tym ruchu sfrunęły z kolumnienek. Powstały kolejne puste plamy na subtelnym ornamentcie wolut, kwiatów i ozdobnych krat, który przetrwał przeszło dwa wieki.

– Aria! – zawołała staruszka szarpiąc dziewczynę za ramię. – Zbudź się!

W jej głosie brzmiało niecodzienne ożywienie. Papuga przestąpiła z nogi na nogę, stukając pazurami po złotym drążku i zaczęła prostować skrzydła.

– Daj mi spokój, Fiametta – odpowiedziała Aria stłumionym głosem – nie chcę wstawać.

– Przecież dzisiaj są twoje urodziny, kwiatuszku! – Głos staruszki drżał z podniecenia.

Aria poruszyła się niespokojnie.

– Właśnie dlatego chcę zostać w łóżku – wymamrotała w poduszkę. – Idź sobie i daj mi spać.

– No wiecie państwo, a co to znowu za fanaberie! – Fiametta zdecydowanym ruchem ściągnęła z dziewczyny kołdrę.

– Jaki ohydny ziąb! – jęknęła Aria naciągając prześcieradła na ramiona. – Och, zostaw mnie, Fiametto, proszę cię. Zostaw mnie samą z moją zgryzotą!

Staruszka spojrzała na nią z mieszaniną czułości i irytacji. Zawsze zdumiewała ją uroda Aarii, szczególnie że jako dziecko nikt nie nazwałby jej ładną. Nadmierna chudość i zbyt duże dla małej buzi ciemnoniebieskie oczy z ciężkimi rzęsami nadawały jej wygląd zabiedzonej sierotki. Fiametta niejedną raz czuła serce w gardle, gdy jej podopieczna wdrapywała się na drzewa ze zręcznością małpy lub pewną stopą przeskakiwała po kamieniach na drugą stronę rwącego strumienia, który płynął przez park otaczający Villa d'Oro. Delikatność Aarii była pozorna. „Ma w sobie siłę wołu – pomyślała z dumą Fiametta – a wdzięk i zwinność gazeli”. Niektórzy porównywali chłopięcą urodę Aarii do młodej Audrey Hepburn, inni znów do Grace Kelly, lecz według przekonania piastunki Aria była podobna jedynie do siebie.

Podparła wygodnie poduszkami plecy dziewczyny, kiedy ta niechętnie usiadła na łóżku.

– No proszę, tak już lepiej – powiedziała, gdy Aria zarzuciła jej szczupłe ramię na szyję i pocałowała w oba policzki.

– Ciao, Fiametta! – zawołała dziewczyna. – Po co ten cały szum? Ostatni raz jadłam śniadanie w łóżku, jak mieli mi wycinać migdałki! – Uśmiechała się, lecz w oczach miała smutek. Papuga przelazła na drugi koniec drażka, skrzecząc, by zwrócić na siebie uwagę. – Luchay, *caro*, chodź tu do mnie.

Papuga z trzepotem przefrunęła z drażka na stolik i ze stolika na toaletkę w serii krótkich podskoków.

– Biedny Luchay – westchnęła Aria ze smutkiem. – Dziś rano chyba wszyscy

czujemy wiek w kościach, co?

Luchay skoczył na jej wyciągniętą rękę i delikatnie przestawiając nogi wlaźł na ramię. Tam usadowił się przy policzku dziewczyny skubiąc delikatnie płatek jej ucha i wydając czułe, gardłowe odgłosy.

Na tacy nakrytej zniszczonym lnianym obrusem obrzeżonym misterną wenecką koronką, stała wyszczerbiona kryształowa szklanka z sokiem pomarańczowym, koszyk świeżych bułeczek, maselniczka i miseczka z jaskrawoczerwonymi konfiturami truskawkowymi, które Fiametta usmażyła z tegorocznego obfitego plonu, zebranego na wzgórzach niedaleko Villa d'Oro. Schludnie złożona gazeta leżała przy pięknym niebiesko-białym talerzu – pozostałości hawilandskiego serwisu, wykonanego na zamówienie baronowej Mariny Rinardi sto pięćdziesiąt lat temu.

Fiametta drżącą ręką podniosła gazetę.

– Przeczytaj, *cara!* Czytaj, szybko.

Aria spojrzała na staruszkę ze zdumieniem.

– Co niby mam przeczytać? To zwyczajne, te same co zawsze wiadomości... chyba że... ktoś umarł? – Zaczerwieniła się ze wstydu słysząc nutkę nadziei w swoim głosie.

Wiem, wiem, o kogo ci chodzi. Nie, nikt nie umarł... chociaż w pewnym sensie..., tak, – Fiametta trzęsącym się, powykręcany artretyzmem palcem wskazywała dół strony. Ogłoszenie o spadkobierczym Poppy Mallory, obwiedzione podwójną czarną ramką, od razu rzucało się w oczy.

– No i co? – spytała Aria, wciąż zdziwiona.

– Przecież to Poppy! – krzyknęła Fiametta. – Poppy Mallory!... Nic rozumiesz? Na pewno jesteś tą dziedziczką! To musisz być ty!

Aria jeszcze raz przeczytała ogłoszenie, które teraz wydało jej się promykiem nadziei. A jeśli to prawda? Jeśli naprawdę spadek należy do niej? To mogło odwrócić od niej straszliwy los, wiszący nad głową lak miecz Damoklesa.

Pół roku temu matka zakomunikowała jej, że zasoby rodu Rinardich się

wyczerpały, a one nie mają z czego żyć. Wobec tego oczekuje, że Aria spełni swój obowiązek wobec niej i wyjdzie bogato za mąż za człowieka, którego matka dla niej wybrała – za Antonia Carralda.

Ta wiadomość spadła na Arię niczym grom z jasnego nieba. Spojrzała na matkę z przerażeniem, czując, jak dreszcz przebiega jej po plecach. Znane jej były złowrogie pogłoski dotyczące Carralda, powtarzane przez wszystkich, choć nikt nigdy nie próbował dociekać ich słuszności. Nie było to bezpieczne. Matka stwierdziła krótko, że Aria nie powinna wierzyć w plotki, które biorą się z wymysłów zawistników, zazdrosnych o majątek i sukcesy.

– Pomyśl sama – dodała – czy twój ojciec przyjaźniłby się z nim, gdyby te pomówienia odpowiadały prawdzie?

Dla Arii była to wielka zagadka. Dlaczego właśnie Antonio Carraldo stał się najlepszym przyjacielem papy? Właśnie on, mroczna figura, zawsze obecny gdzieś na marginesie ich życia, choć z zachowaniem pewnego dystansu... Pamiętała nawet, że trzymała go za rękę na pogrzebie ojca.

– Nie martw się, obiecał, że się tobą troskliwie zaopiekuje – powiedziała matka. – Będziesz miała wszystko, czego kobieta może zapragnąć.

– Tak, kobieta taka jak ty! – odpaliła Aria z oczami piekącymi od łez.

W odpowiedzi matka zaśmiała się tylko wysokim, dźwięcznym, pozbawionym wesołości śmiechem.

– Od dawna miałam przecucie, że Carraldo czeka, aż dorośniesz.

Aria wybuchnęła płaczem i protestami. To nie średniowiecze, żeby matki układały małżeństwa córek. Zagroziła nawet, że ucieknie z domu. Matka położyła kres całej tej burzy jednym spokojnym zdaniem.

– Jeśli się nie zgodzisz – rzekła lodowato – znajdę się w sytuacji bez wyjścia.

Aria popatrzyła z przerażeniem w jej błękitne oczy, a Francesca po prostu zostawiła ją samą, żeby to sobie przemyślała.

Wtedy Aria pojęła, że nie ma wyboru. Wierzyła w zupełności w groźbę matki: wiedziała, że Francesca wolałaby śmierć niż życie w ubóstwie.

Dzisiaj, w dniu osiemnastych urodzin Arii, miała się odbyć ceremonia zaręczyn. Aria znów przywarła wzrokiem do ogłoszenia w czarnej ramce.

– Poppy... – szepnęła z nadzieją. – Czy przybywasz mi na ratunek? Nie wiem nawet, kim jesteś, znam tylko twoje imię. Poppy.

– Poppy – powtórzył Luchay. – Poppy, Poppy cara, Poppy *cherie*, Poppy kochana!

Obie z Fiamettą spojrzały ze zdumieniem na ptaka, który przefrunął na drążek, wciąż skrzecząc ochryple.

– Poppy! – Tym razem imię zabrzmiało wyraźniej, jakby Luchay już sobie przypomniał dawno nie wydawane dźwięki.

– Luchay! – wykrzyknęła z podnieceniem Aria. – Oczywiście! I y znałeś Poppy. Ty wszystko o niej wiesz! – Otworzyła szeroko oczy, gdy zdała sobie sprawę z własnych słów. – I ty wiesz – dodała cicho – kto jest jej spadkobiercą.

O piątej trzydzieści rano smukły czarny gulfstream III, z widocznym symbolem kruka w złotym pierścieniu, czekał na pasie mediolańskiego lotniska Malpensa, grzejąc już silniki przed startem do Londynu. Podjechał do niego cicho długi czarny mercedes z przyciemnionymi szybami, które ukrywały twarz pasażera. Czekający przy schodkach steward wyprężył się jak struna. Wiedział, że Carraldo wyskoczy z wozu, zanim szofer zaciągnie hamulec ręczny, nie mówiąc już o tym, by zdążył obieć samochód i otworzyć przed pracodawcą drzwiczki.

Carraldo wszedł szybko na schodki.

– Dzień dobry, Enrico – powiedział skinąwszy uprzejmie głową.

– Dzień dobry panu. Kapitan jest gotów do startu, gdy tylko da pan sygnał.

Carraldo kiwnął głową.

– Więc lećmy.

Nie oglądając się już na stewarda usiadł i zapiął pas, a potem wziął pierwszą gazetę z pliku międzynarodowej prasy, którą czytał co rano. Po paru minutach samolot oderwał się od ziemi. Enrico przyniósł dzbanek kawy na srebrnej tacy. Nalał

zręcznie kawę do filizanki, przyzwyczajony do milczenia szefa. Wiedział, że Carraldo korzysta z każdej wolnej chwili, aby pracować, i również w tej chwili najpewniej bada kursy giełdowe w różnych krajach i rynek dzieł sztuki. Enrico pomyślał, że Carraldo macza pewnie palce we wszystkich możliwych interesach.

Carraldo podziękował skinieniem głowy i zaczął małymi łyżkami pić kawę. Była to mieszanka robiona specjalnie dla niego w Paryżu, gęsta, ciemna i aromatyczna, która wspaniale orzeźwiała, czy to o pierwszej w nocy, czy o piątej rano. Dziś jednak śmiało mógł się bez niej obyć. Obwiedzione grubą czarną ramką ogłoszenie ze stronic „II Giorno” od razu uderzyło go w oczy. Wydawało mu się bombą z zapalnikiem czasowym.

Poppy Mallory. Patrzył jak zahipnotyzowany na nazwisko z przeszłości. Przenosiło go w dawne czasy i przypominało kobietę, której nigdy nawet nie widział. Pomimo to przeczuwał, że mogła zrujnować jego przyszłość.

Antonio Carraldo miał pięćdziesiąt jeden lat. Był średniego wzrostu, szczupły, lecz muskularny, a jego oliwkowa cera zachowywała przez cały rok lekką opaleniznę ludzi bardzo bogatych. Miał pociągłą twarz o wyraźnej strukturze kostnej, z wysokim czołem i wydatnym, aroganckim nosem, który czynił go podobnym do senatora ze starorzymskiego posągu. Carraldo wyglądałby całkiem na miejscu w todzie na stopniach senatu jako patrycjusz w czasach Cezara. W rzeczywistości zawsze nosił doskonale skrojone garnitury – latem z kremowego lnu, zimą granatowe w drobne prążki – a do nich nieodmiennie jasnoniebieskie koszule z najdelikatniejszej bawełny. Przy tak formalnym stroju jego buty – obszyte frędzlą mokasyny – wyglądały nieco ekscentrycznie. Nosił dyskretne krawaty z pięknego włoskiego jedwabiu, w paski lub kropki. Miał stanowcze usta, na których rzadko gościł uśmiech, a spokojny, zrównoważony sposób mówienia sprawiał wrażenie, jakby każde zdanie zostało wcześniej przez niego przemyślane i starannie ułożone. Dłonie miał szczupłe i dobrze utrzymane. Nie nosił pierścieni czy innej biżuterii, jedynie ręcznej roboty zegarek firmy Vacheron & Constantin z białego złota, który spełniał funkcję czysto użytkową.

Od pierwszego rzutu oka znać w nim było bogatego światowca o wyrafinowanych gustach. W ciągu trzydziestu pięciu lat zrobił majątek pośrednicząc w handlu dziełami sztuki. Lwią część tego majątku wyłożył na trzy umiłowane dziedziny: muzykę, operę i malarstwo, które wspierał jako hojny filantrop.

Podróżował po całym świecie, zawierając wielkie transakcje. Był właścicielem urządzonej z przepychem willi z końca dziewiętnastego wieku, położonej na wzgórzach nieopodal Portofino, wielkiej miejskiej rezydencji w Mediolanie, przy Via Michelangelo Buonarroti, oraz starego, wspaniale odnowionego pałacu w Wenecji. Miał również dom w Londynie przy placu Belgravia i na stałe wynajęty apartament w hotelu „Pierre” w Nowym Jorku. W każdej z rezydencji znajdowały się warte zawrotne sumy kolekcje obrazów i innych dzieł sztuki oraz zastępy służby utrzymującej wszystko we wzorowym porządku.

O jednym domu wszakże nikt nie wiedział – o dużej willi pod Neapolem, którą odwiedzał regularnie raz w miesiącu. Przebywał tam zawsze dokładnie dwa dni i dwie noce, po czym wracał do swojego normalnego życia w Mediolanie.

Carraldo nie udzielał się zbyt wiele na przyjęciach, lecz widywano go na ważnych międzynarodowych imprezach towarzyskich, szczególnie tych związanych ze światem sztuki lub muzyki. Brał czynny udział Festiwalu Spoleto i weneckich Biennale, a cztery czy pięć razy do roku wydawał w swoich rezydencjach wspaniałe przyjęcia – bal maskowy w Wenecji na rozpoczęcie karnawału, przyjęcie w Portofino, obiad w Mediolanie, skupiający wybitnych wielbicieli opery. Wyjąwszy u okazji, jego życie prywatne nie było znane ogółowi. Szeptano jednak o nim wiele w barach i kafejkach kilku wielkich miast.

Szepty głosiły, że z Carraldem wiąże się niejedna tajemnica i że ten wytworny światowiec pieniądze czerpie nie tylko z umiejętnego handlu dziełami sztuki. Miliony, napływające regularnie na jego konto w Szwajcarii, pochodziły ponoć z innych, raczej ciemnych interesów. Uchodził za człowieka o nienasyconym apetycie seksualnym. Powtarzano plotki o jego tężyznie, pozwalającej mu wytrwać do białego rana w miłosnych zapasach i doprowadzać partnerki do utraty przytomności

z wyczerpania, o jego sadystycznych skłonnościach, o organizowanych przez niego tygodniowych orgiach, na których dochodziło do najbardziej gorszących, wyuzdanych scen. Carraldo, zawsze opanowany, z cieniem uśmiechu na ustach, był niewrażliwy na plotki, a nikt nie odważył się nigdy odrzucić zaproszenia na jego przyjęcia.

Jedynym człowiekiem, któremu w ogóle się zwierzał, był jego wielki przyjaciel, Paolo Rinardi, lecz Paolo zmarł czternaście lat temu i od tamtej pory nikt nie wiedział, jak Antonio Carraldo zgromadził swój wielki majątek, a także jaki był w życiu prywatnym. Nikt nie znał prawdy.

Gdy smukły czarny samolot opadł na pas londyńskiego Heathrow, na podłodze leżał już stos zmiętych gazet. Carraldo zmarszczył brwi i przycisnął palce do czoła czując w piersi przeszywający ból jak uklucie cienkiego sztyletu. Wydobyl z kieszeni srebrne pudzeczko, wyjął z niego małą pigułkę i położywszy ją pod język, oparł głowę o oparcie fotela. Czekal, aż lekarstwo podziała, i rozmyślał o niezwykłym ogłoszeniu. Był całkowicie pewien, że jeśli Francesca Rinardi wmisza się w tę sprawę, ogłosi Arię dziedziczką fortuny Poppy Mallory bez względu na to, czy sama w to wierzy, czy nie. A wówczas on straci jedyny skarb, który cenil sobie ponad wszystko w świecie. Carraldo nie był człowiekiem, który łatwo godzi się ze stratą.

Wezwał Enrica i zażądał połączenia przez radiotelefon ze szwajcarskim Banco Credito e Maritimo w Zurychu. Następnie przeprowadził rozmowę z Giuseppe Alliere, prezesem banku, i polecił mu użyć wszelkich kontaktów, aby uzyskać z biura prawnego Johanna Liebera listę potencjalnych kandydatów do spadku po Poppy Mallory.

Dziś rano Klaudia Galli zdecydowanie nie znosiła Paryża. Wszystko budziło w niej odrazę: wysadzone drzewami zabytkowe aleje, piękne budynki, kryte dachówką dachy z facjatami i wyłożone kocimi łbami podwórka. Nienawidziła kafejek, restauracji i połyskliwych wystaw, gdzie wisiały najelegantsze i najpiękniejsze

ubrania na świecie. Źródło tej nienawiści tkwiło w braku pieniędzy, co według przekonania Klaudii było w Paryżu grzechem nie do wybaczenia.

Właśnie wyszła powolnym krokiem z eleganckiego domu tuż przy Avenue Foch, w którym mieszkała, gdy mały czarny kotek przemknął między jej nogami. Omal się nie przewróciła. Wymierzyła za nim kopniaka wąską stopą w wytwornym pantofelku z zamszu i skóry aligatora. „Łajdak!” – syknęła. Niezależnie od tego, czy była bez grosza, czy opływała w dostatki, Klaudia nienawidziła kotów.

Wychodząc na ulicę przystanąła, by rozejrzeć się po jesiennym niebie. Groźne chmury wisiały nisko nad miastem, a zimny wiatr zrywał ostatnie liście z czarnych gałęzi. Klaudia wysunęła brodę głębiej w kołnierz i podziękowała niebiosom, że przynajmniej ma dobre futro. Nie były to rzecz jasna sobole, które niegdyś nosiła, ale też nie banalne norki. Futro z kuny stanowiło najbardziej wyważony kompromis, jeśli idzie o określenie czyjejś pozycji społecznej. A skoro już o tym mowa, to na co jej teraz przyszło?

Mieszkała w małej kawalerce na tyłach eleganckiego domu, z bezpośrednim widokiem na kubły ze śmieciami. Zapewne mogłaby za tę cenę znaleźć coś większego w tańszej dzielnicy, lecz wolała zachować dobry adres. To najbardziej się liczyło. Poza tym nie zamierzała spędzać tutaj dużo czasu. Spodziewała się, że właśnie teraz przerzucać będzie plik zaproszeń, planując Boże Narodzenie w domu Malinkoffów w nowym wytwornym meksykańskim kurorcie Costa Careyes, potem z tydzień lub dwa w górskiej chatce Listerów w Gstaad, potem na Barbadosie... Lecz tego roku zaproszenia jakoś nie nadchodziły. Jej tak zwane przyjaciółki zorientowały się, że Klaudia poluje na nowego męża, i nie miały ochoty, aby kręciła się w pobliżu ich własnych. Klaudia słynęła z braku skrupułów w tej dziedzinie. W wieku trzydziestu sześciu lat wciąż uważano ją za piękną – no, powiedzmy, niezwykle atrakcyjną kobietę. Była wysoka, szczupła w biodrach, miała wysoko osadzone krągłe piersi, większe niż to było w modzie, które stanowiły jeden z jej największych atutów. Czasem jednak, tak jak w tej chwili, nadmiar urody działał na jej niekorzyść.

Przygryzając gniewnie dolną wargę rozglądała się za taksówką. Pierluigi powie jej oczywiście, że nie może już sobie pozwolić na rozbijanie się taksówkami, ale do diabła z nim! Sam nigdy nie jeździł metrem, więc dlaczego wymagał tego od niej?

– Na Rue de Rivoli, do „Angeliny” – rzuciła krótko kierowcy, mając nadzieję, że znajdzie tam kogoś, kto zapłaci za jej poranną kawę i *brioche*.

Szykowna kawiarnia była prawie pusta: przy dwóch czy trzech stolikach siedzieli turyści. „No tak, każdy, kto się liczy, jest teraz w Nowym Jorku na koncercie Pavarottiego i przyjęciu »Moda«, wydawanym przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej” – pomyślała Klaudia pośpiesznie. Wybierała się tam, lecz linie lotnicze powiadomiły ją chłodno, że jej karta kredytowa Amex nie jest już ważna i wobec tego rezerwacja została odwołana.

„Wszystko to wina ojca” – myślała ze złością, jak zawsze czyniąc go odpowiedzialnym za własne kłopoty. Aleksander Galli był odludkiem i ekscentrykiem, który odrzuciwszy własne nazwisko rodowe Rinardi, przyjął nazwisko żony. Odmówił zamieszkania w rodzinnej willi lub weneckim pałacu i scedował wszystkie prawa do majątku i tytułu barona Rinardi na kuzyna, Paola. Klaudia nigdy mu tego nie wybaczyła. Pomyśleć tylko, że mogłyby do niej należeć dwie rezydencje, pełne prawdziwych skarbów! A tak cała scheda, jaką zostawił im ojciec, ograniczyła się do Villa Velata, położonego na pustkowiu domu, którego nikt nie chciał!

Użalając się nad sobą, patrzyła smętnie w filiżankę kawy, do której wsypała dwie łyżeczki zakazanego cukru. Postanowiła, że jeszcze raz zadzwoni do Pierluigiego. Będzie musiał odpowiedzieć kiedyś na jej telefony, mimo że był na nią zły. Jako jej brat bliźniak czuł się z nią silnie związany i nigdy nie mógł długo się oprzeć jej prośbom. Był maklerem giełdowym i robił świetną karierę. Klaudia czytała wprawdzie w gazetach jakieś niepokojące pogłoski o zachwianiu rynku, była jednak pewna, że Pierluigi na tym nie ucierpi. Nigdy nie dopuszczał, aby coś stało mu na drodze do sukcesu.

W tejże chwili, przeglądając strony „Le Monde” w poszukiwaniu wiadomości o

stanie giełdy, zobaczyła ogłoszenie o spadku po Poppy Mallory. Otworzyła szeroko oczy. Przeczytała uważnie treść ogłoszenia, a potem usiadła wygodniej na krześle, umoczyła *brioche* w kawie i ugryzła wielki, smakowity kęs. Tego właśnie potrzebowała. Może wreszcie jej los się odmieni – jeśli tylko dobrze to rozegra. Lepiej jednak nie dzwonić do obmierzłego Pierluigiego. Jeszcze nie teraz. Dopiero gdy już nie będzie mogła się bez niego obejść.

Pierluigi Galli siedział przy elegancko nakrytym stoliku w hotelu „Regency” na Park Avenue, słuchając z niewzruszoną twarzą słów swojego towarzysza przy śniadaniu.

– Powinieneś wyskoczyć z tego interesu pół roku temu – zauważył Warren James gryząc najwyborniejszą bułeczkę z jagodami, jaką kiedykolwiek miał w ustach – ale nie jest jeszcze za późno, chociaż to ostatni moment!

Pierluigi obracał w palcach piękną czarkę z sałatką ze świeżych owoców. Był wstrzemięźliwy; dobre jedzenie i wino nie miały dla niego powabu, nigdy nie pił kawy ani herbaty. Teraz bez słowa sączył ze szklanki wodę mineralną.

– To była czysta fanfaronada dalej się w to bawić, gdy sytuacja na rynku metali stała się tak niepewna – oznajmił Warren skinąwszy na kelnera, by przyniósł drugi koszyk z bułeczkami – i moim zdaniem masz cholerne szczęście, że wykaraskałeś się z tego choćby z jedną koszulą na grzbiecie. Nieźle oberwałeś po kieszeni. Niech to diabli, człowieku, spodziewałem się, że jak wszyscy w porę odpadniesz z gry i nie dasz się wziąć na plewy!

– Wszystko to wiem, Warren – odparł gładko Pierluigi. – Skoro skończyłeś wykład, wróćmy do sprawy, którą mamy omówić. Potrzebuję twojego wsparcia finansowego w następnej transakcji. Muszę mieć pięć milionów, Warren, i to szybko!

Bankier rzucił mu spojrzenie spod krzaczastych siwych brwi.

– Przykro mi, Pierluigi, ale nie mogę teraz tyle wytrzasnąć. Słuchaj – dodał rozsądnie – od lat mamy dobre stosunki, szanuję twoją ocenę sytuacji gospodarczej.

Obrót surowcami to ryzykowny interes. Do tej pory zawsze jakoś potrafiłeś przewąchać, kiedy się włączyć, a kiedy wypaść z gry, ale tym razem zrobiłeś klapę. Ze względu na naszą starą znajomość mogę dać ci milion. Nie więcej!

– Dzięki, Warren. – Pierluigi wstał, wygładził faldkę na nienagannie wyprasowanych spodniach i zapiął marynarkę. – Jestem już spóźniony na następne spotkanie, więc muszę cię pożegnać. – W jego głosie zabrzmiała nuta chłodu.

Warren zerknął na niego z niepokojem. Pierluigi miał reputację człowieka nieprzejednanego zarówno w interesach, jak i w nienawiści.

– Daj spokój, Pierluigi! – zaprotestował. – Nie mogłeś się w żaden sposób spodziewać większej sumy... w tych okolicznościach!

– Naturalnie, masz całkowitą rację – odparł Pierluigi bez uśmiechu – a ja nie mam innego wyjścia, jak zaakceptować twoją propozycję. Dziękuję, Warren. Po drodze ureguluję rachunek. – Obróciwszy się na pięcie, zostawił bankiera z ustami pełnymi jagodzianki.

Na dworze niebo było szare, zimny wiatr dmuchał zza rogu. Pierluigi podniósł kołnierz granatowego płaszcza i ruszył energicznym krokiem po Park Avenue. Chciał się przejść kawalek, przemyśleć parę rzeczy przed udaniem się na Wall Street. Było wpół do ósmej, na ogół był w biurze już od piątej po południu. Dla Pierluigiego niewiele się liczyło poza pracą, która przynosiła mu najwięcej zadowolenia. Obrót na wielką skalę był hazardem w czystej postaci, emocjonującą grą. Do niedawna zawsze wychodził z niej zwycięsko, lecz teraz stracił większą część zgromadzonego majątku. Groziło mu, że znajdzie się w dużych tarapatach, jeśli nie pozyska nowych źródeł finansowych. Tak naprawdę suma, jakiej potrzebował, była bliższa dwudziestu milionom niż pięciu, o które prosił Warrena. Miał nadzieję, że uda mu się ją łączyć z kilku źródeł. Teraz wyglądało na to, że być może będzie zmuszony poprzestać na jednej trzeciej tego, co pierwotnie chciał zdobyć.

Na dany przez niego znak taksówka podjechała do krawężnika. Wsiadł i podał adres swojego biura na Wall Street. Nigdy nie sprawiało mu kłopotów zdobycie

taksówki czy stolika w dobrej restauracji. Szczupła, stanowcza twarz w połączeniu z wytworną sylwetką budziły respekt i natychmiastowy posłuch, mimo że nigdy nie dawał zbyt dużych napiwków i rzadko się uśmiechał. Po prostu oczekiwał sprawnej obsługi i zawsze ją dostawał. Na rogu Pięćdziesiątej Drugiej i Lexington był potężny korek. Pierluigi westchnął, otworzył trzepnięciem „The Wall Street Journal” i zaczął sprawdzać notowania giełdowe.

Dużo później, wieczorem, siedząc samotnie w swoim biurze, gdzie na pomalowanych wytwornie na ciemnozielono ścianach wisiały angielskie olejne pejzaże i włoskie Madonny, a w oszklonych szafkach orzechowego drzewa stały rzędy oprawnych w skórę książek, znów sięgnął po gazetę. Tym razem znalazł w niej ogłoszenie o Poppy Mallory. Dało mu wiele do myślenia.

Nalał sobie szklaneczkę dziesięcioletniej szkockiej słodowej whisky z Glenfiddich i wypił łyżek z uśmiechem. „Tak więc – pomyślał – szkielec z grzechotem wypadł z szafy i nareszcie wychynął na światło dzienne. I to w najbardziej odpowiedniej chwili”.

Gęste blond włosy Orlanda Messengera załśniły w kapryśnym londyńskim słońcu, gdy przechodził przez pasy na Sloane Square, zmierzając w stronę wielkiego sklepu Smitha. Te włosy i cała wysoka sylwetka składały się na wzór nordyckiej urody, który przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet w zasięgu wzroku. Naturalna złocista opalenizna podkreślała błękit oczu, kąciaki pełnych warg unosiły się jakby w łobuzerskim uśmiechu, nos był nieco długi i bardzo prosty.

Orlando przyjechał do Anglii na wystawę swoich najnowszych prac, która miała się odbyć w wytwornej galerii w Mayfair. Dzisiejszego ranka chciał sprawdzić, czy w ostatnim numerze „Timesa” zamieszczono wiadomość o tym wydarzeniu. Nie fatygując się staniem w kolejce chwycił gazetę z kontuaru, wetknął trzydzieści pensów dziewczynie przy kasie i opuścił sklep, nieświadom piorunujących spojrzeń ludzi czekających na swoją kolej. Przemykając się z powrotem między samochodami ruszył do „L’Express”.

Skinął głową kelnerkom i obrzucił niedbałym spojrzeniem stoliki, szukając znajomych twarzy, ale kawiarnia o tak wczesnej porze świeciła pustkami. Osunął się na połyskujący czernią i chromem stołek przy barze, zamówił dużą kawę espresso. Wertując strony dotarł do działu o sztuce. Tak, była tam wzmianka, nie tak duża, jak się spodziewał, lecz na całkiem poczesnym miejscu: „W dniach od piętnastego listopada do piątego grudnia w galerii Petera Maze’a w Mayfair przy Cork Street odbędzie się wystawa najnowszych obrazów olejnych, akwarel i gwaszy Orlanda Messengera”.

I tyle. Pozostała jeszcze drobnostka – ludzie powinni przyjść i kupić jego obrazy. Był pewien, że w dniu otwarcia tłoczno tam będzie od osób o głośnych nazwiskach, osób, które go gościły w swoich domach, które mu pozowały i z którymi łączyły go intymne związki. Lecz to nie byli klienci. Ci ludzie chcieli wszystko dostawać za darmo! Orlando potrzebował teraz prawdziwych nabywców.

Rodzina Messengerów nie miała już pieniędzy. Ojciec Orlanda utrzymywał aż do swojej śmierci, że poszły w całości na kosztowne wykształcenie syna i zaspokojenie skłonności świętej pamięci żony do dżinu, długich rejsów jachtem i trwonienia wielkich sum przy brydżu i w kasynach. Z całego majątku, który nigdy nie był przesadnie wielki, pozostał stary i niezbyt wspaniały dom w niemodnej okolicy, lecz po półwiecznym zaniedbaniu trzeba było wiele zainwestować w remont, by nadawał się do zamieszkania.

Orlando przebiegając szybko wzrokiem gazetę uniósł do ust filiżankę, składając w duchu dzięki Opatrzności, że w Anglii wreszcie nauczyli się parzyć przyzwoitą kawę espresso. Wielkie ogłoszenie w czarnej ramce rzuciło się w oczy. Nie sposób było go przeoczyć. Patrzył na nie w milczeniu przez jakiś czas. Potem posławszy kelnerce uśmiech, który, jak wiedział, ugotuje jej serce na miękko i przejmie dreszczem, zamówił następną kawę i francuski rogalik. W gruncie rzeczy powinien zawołać w tej chwili o szampana, bowiem właśnie znalazł rozwiązanie wszystkich swoich kłopotów.

Mimo że była to już jesień, z nagrzonej kalifornijskiej autostrady buchał upał. Po przedniej szybie wozu Lauren Hunter przepływały prążki załamane światła jak strużki wody w wolno płynącym strumieniu. Skierowała wiekowego forda mustanga na wyjazd do Encino i wjechała w Ventura Boulevard, sięgając machinalnie po chusteczkę higieniczną, by otrzeć pot z czoła. W tutejszym klimacie samochód bez klimatyzacji był nowoczesnym odpowiednikiem „Piekła” Dantego, a Lauren знаła się na tym jak mało kto. Nie tylko studiowała dzieło Dantego w szkole średniej, ale także sama przeszła przez swoje własne prywatne piekło i czasem myślała, że lepsza już byłaby tradycyjna wersja z siarką i ogniem. Przynęła sobie jednak nigdy już nie wracać do wypadków ubiegłych kilku lat i zepchnąć je w niepamięć. Psychiatra rzecz jasna doradził jej, żeby nie tłumiła tych myśli, lecz przeciwnie, wyrzuciła je z siebie. Nalegał, by opowiedziała swoją historię na zajęciach terapii grupowej, tak jak to robili inni, lecz Lauren po prostu nie mogła się przemóc. Lepiej niech nikt o niczym nie wie.

Zjechała z głównej ulicy i skręciła w lewo do podziemnego garażu. Wydobyła się z rozgrzanego, obitego kleistą dermą fotela i wygładziła krótką spódnice na szczupłych nogach. Odciągnęła od ciała bluzkę, świeżo wyprasowaną przed wyjściem z domu, która teraz lepiała się do spoconego ciała i pomyślała z niesmakiem, że wygląda jak po wyjściu sauny. Jeszcze nie rozpoczął się jej długi dzień pracy, a była tak wykończona, jakby miała go już za sobą. Trzasnęła drzwiczkami. Nie zawracała sobie głowy zamykaniem samochodu na kluczyk: kto by tam kradł takiego starego grata? Wątpiła, czy można by za niego dostać pięćdziesiąt dolarów. W kiepskim stanie ducha weszła na schody wiodące z parkingu na górę i skierowała się do restauracji „U Denny’ego”, gdzie pracowała jako kelnerka.

Cieszyła się, że dostała tę pracę, ale niekiedy, widząc młode dziewczyny pałaszujące lunch lub po prostu siedzące nad kawą w kolorowych dresach albo dżinsach i reebokach, zazdrościła im bez troski i braku odpowiedzialności, paplaniny o zajęciach na uczelni, ciuchach i sympatiach. Dostrzegała dystans między

rówieśnicami a sobą. Kiedyś i ona była tak wesoła i niefrasobliwa, lecz teraz żadna z nich nie wzięłyby jej za jedną z ich grona. Gdy zawadzały o nią wzrokiem, widziały tylko schludną, przemęczoną kobietę o znużonych niebieskich oczach i jasnych, nieco rudawych włosach, ściągniętych w ciasny węzeł. Każdy dałby jej dwadzieścia lat z okładem; w rzeczywistości miała zaledwie osiemnaście.

W damskiej toalecie umyła twarz i ręce, a potem doprowadziła włosy do porządku, prawie nie patrząc w lustro. Wiedziała, co w nim zobaczy i nie przepadała za tym widokiem. Zdarzały się chwile, kiedy myślała, że gdyby nie Maria, mogłaby równie dobrze z tym wszystkim skończyć. Lecz Maria, która pozornie zwichnęła jej życie, była jej jedyną radością.

Lauren uśmiechnęła się do swych myśli. Malutka miała czternaście miesięcy i wyrosła na śliczne dziecko o okrągłych policzkach, ujmujących błękitnych oczkach i gęstych czarnych lokach. Na początku wszyscy twierdzili, rzecz jasna, że będzie musiała oddać dziecko do adopcji, lecz gdy tylko ją zobaczyła i wzięła na ręce, nie było już o tym mowy. Musiała zrezygnować z dalszej nauki i podjąć pierwszą lepszą pracę, ale wiedziała, że Maria jest tego warta.

Zimny powiew klimatyzacji orzeźwił ją błyskawicznie. Minęło wpół do dwunastej, pora na lunch. Restauracja zapełniała się już ludźmi, głównie mężczyznami w biurowych garniturach, którzy zdjawszy marynarki i rozluźniwszy krawaty pili kawę i omawiali transakcje. Mimo że był to przecież Hollywood, dla Lauren wyglądali w większości na maklerów, prawników albo fircykowatych sprzedawców z salonów samochodowych.

Wykonywała swoje obowiązki zręcznie i z uśmiechem do drugiej trzydziści, gdy tłum zaczął wreszcie rzednąć. Odetchnęła z ulgą i zabrała się do sprzątania stolików, układając równo serwetki i papierowe podkładki i ustawiając kartę z daniami dokładnie pośrodku. Podniosła wydawanego w Los Angeles „Timesa”, porzuconego na czerwonym plastikowym krzeselku, i wsadziła go pod pachę. To jej zaoszczędzi wydatku dwudziestu pięciu centów. Przeczyta później.

Dzień wydawał się dłuższy niż zwykle. O czwartej, gdy wreszcie wyszła i mogła

odebrać Marię, była skonana. Czasu wystarczy jej zaledwie na to, by wziąć prysznic, dać dziecku kolację, wykapać małą i pobawić się z nią przez chwilę. Potem pora na wieczorną pracę kelnerki w nocnym cocktail barze w Valley.

Dopiero w długi czas później, po skończeniu zmiany w „Norze Teddy’ego dla nocnych Marków” i powrocie do domu o drugiej nad ranem, Lauren miała wreszcie trochę czasu dla siebie. Zapłaciła opiekunce do dziecka, przewinęła Marię, a następnie włożyła spraną nocną koszulę i nalala sobie dużą szklankę zimnego mleka. Z głębokim westchnieniem ulgi ulokowała nogi na krześle i rozłożyła gazetę.

Właśnie odgryzała ogromny kęs prawie zimnej pizzy, którą kupiła na kolację w drodze do domu, gdy jej uwagę przyciągnęło ogłoszenie w czarnej ramce. Poszukuje się spadkobiercy... „Co za czarodziejskie słowa – pomyślała Lauren z tęskną zawiścią – każdy chciałby być w skórze tej dziedziczki!” Prędko przebiegła wzrokiem resztę ogłoszenia Wyprostowała się i ściągnęła z zastanowieniem brwi. W jej dokumentach było to nazwisko. Przecież nazywała się Mallory – Lauren Mallory Hunter. Serce zabiło dziewczynie mocniej: przypomniała sobie, że matka twierdziła zawsze, że to nazwisko po przodkach. Co więcej, Lauren była przekonana, że kiedyś, w nieokreślonej przeszłości, słyszała o Poppy Mallory.

Rozdział 3

Mike wędrował wolno między wysokimi drewnianymi półkami powiatowego archiwum, na których stały potężnych rozmiarów księgi, oprawne w skórę, z numerami kolejnych lat na grzbietach. Księga z roku 1880 była bardzo cienka, a wcześniejsze jeszcze cieńsze – świadectwo tego, jak niedawno w okolicach Santa Barbara rozkwitło życie osiadłe. Zaczął przeglądać foliał i kurz z kruchych, pożółkłych stronic wzbił się w powietrze, zawibrował w smudze światła wpadającej przez wysokie okno. Wreszcie Mike znalazł właściwy zapis, którego pajęcze, po staroświecku nagryzmołone litery spłowiwały na brąz.

Akt urodzenia

Data: 15 czerwca 1880 roku

Płeć dziecka: żeńska

Imię i nazwisko: Poppy Mallory

Matka: Margaret Mallory (nazwisko panieńskie James), 33 lata Ojciec: Jeb Mallory, ranczer i dżentelmen tego powiatu, 54 lata Miejsce narodzin: posiadłość Mallorych, ranczo Santa Vittoria, powiat Lompoc

Mike westchnął z zadowoleniem. Przynajmniej znał miejsce, gdzie Poppy przyszła na świat i gdzie zmarła – oraz personalia jej rodziców. Przerzucił od niechcenia stronę księgi, trafiając na wcześniejszy zapis.

Akt urodzenia

Data: 1 czerwca 1880

Płeć dziecka: żeńska

Imię i nazwisko: Angel Irina Ampara Konstant

Matka: Rosalia Konstant (nazwisko panieńskie Abrego), 35 lat

Ojciec: Nik Konstant, ranczer i dżentelmen tego powiatu, 42 lata

Miejsce narodzin: posiadłość Konstantów, ranczo Santa Vittoria, powiat Lompoc

Przerzucił z powrotem stronę i sprawdził. Tak, nie było mowy u pomyłce. Na jednym i tym samym ranczu były dwie dziewczynki, urodzone w odstępach dwóch tygodni. W takim razie rodziny musiały być ze sobą blisko związane; dzieci na pewno bawiły się wspólnie, może razem poszły do szkoły, jako podlotki mogły dzielić się smutkami i radościami dorastania, zwierzać sekrety...

Mike z triumfem zatrzasnął księgę i odstawił ją na półkę. Przez czysty przypadek natrafił na cenną wskazówkę. Teraz nie miał wątpliwości, że tu, w Santa Barbara, jest ktoś, córka, a może wnuczka rodziny Konstantów, która coś będzie wiedziała o Poppy Mallory. W jego zawodzie proste metody były zazwyczaj najlepsze. Wystarczyło zajrzeć do książki telefonicznej i poszukać nazwiska Konstant!

Hilliard Konstant rozmawiał przez telefon chłodno i z niejaką irytacją.

Nie widuję wielu ludzi – powiedział Mike’owi – i nie widzę powodu, dlaczego miałbym spotkać się z panem, młody człowieku. – Dopiero gdy Mike napomknął, że

jest pisarzem szukającym materiałów do książki, jego zachowanie stało się nieco cieplejsze. – Książka, mówi pan? O rodzinie Konstantów?

– Konstantów i Mallorych – uzupełnił pośpiesznie Mike.

– Proszę być u mnie dziś po południu o piątej. Zna pan drogę do rancza?

– Chyba trudno ją przegapić – odparł Mike wyobrażając sobie wielkie zielone pastwiska, nie przecięte żadnym traktem. Jak się okazało, był w błędzie.

Szeroka Rancho Road, która biegła płytkim parowem i podczas silnych wiosennych deszczów służyła za kanał odpływowy, wiodła przez środek osiedla domów mieszkalnych na terenie dawnego rancza Santa Vittoria. Za murkami, stojącymi wzdłuż ulic o nazwach takich jak Vittoria Oaks i El Rancho, można było dostrzec ładne podmiejskie domy i dobrze utrzymane trawniki. Od czasu do czasu pojawiał się gęsty dębowy starodrzew, zarośla leszczyny lub ze trzydzieści metrów ogrodzenia, a za nim padok z pasącymi się kucami, jak wspomnienie z czasów Poppy Mallory, gdy wszędzie tu były pastwiska, na których pasło się bydło i owce i uwijali się prawdziwi kowboje.

Mike jechał wynajętym suzuki po krętych, ciągnących się bez końca alejkach. Nieoczekiwanie na szczycie wzgórza gładka nawierzchnia urwała się, przechodząc w wąski, pokryty czarnym chropawym asfaltem pas, po którego obu stronach rosły stare topole, tak wysokie, że zdawały się zahaczać wierzchołkami o jaskrawoblękitne niebo. Na łuku z kutego żelaza był napis „Ranczo Santa Vittoria” i inicjały NK.

Długi na kilometr podjazd prowadził do starej białej hacjendy z werandami obrośniętymi gąszczem klematisów i bugenwilli. Wyłożona niebieskimi kafelkami fontanna wyrzucała w spokojnym słonecznym blasku migoczące łuki wody. Ogrodnik, Japończyk, podniósł z zaciekawieniem oczy i zgiął się w ukłonie, po czym wrócił do pracy przy wypieszczonych rabatach. Mike idąc w stronę domu zauważył, że posiadłość jest zadbana. Trawniki były równo przystrzyżone, a wytarte schodki wyłożone terakotą wypucowano do połysku. Frontowe drzwi stały otworem. Mike zjrzał do środka i jakiś męski głos zawołał pytająco:

– Czy to pan Preston? Proszę, niech pan wejdzie!

Chłodny, wyłożony kamiennymi płytami hol wydawał się mroczny po jasnym blasku słońca, lecz nie sposób było nie zauważyć Hilliarda Konstanta, chociaż siedział w fotelu na kółkach. Miał ze dwa metry wzrostu i bary rugbisty. Rzadkie siwe włosy były starannie zaczesane na łysiejącym czubku głowy, a bladoniebieskie oczy pod najeżonymi siwymi brwiami zdawały się patrzeć gdzieś daleko poza Mike'a, jakby gospodarz już teraz nie mógł doczekać się jego wyjścia.

– Proszę wejść, szybko – powiedział opryskliwie Hilliard popychając swój fotel przez dwuskrzydłowe dębowe drzwi, wiodące do przestronnego pokoju. – Zapewne chętnie pan zwilży gardło, zanim mi pan opowie, dlaczego marnuje mój czas.

W jego sanktuarium wszystkie ściany od podłogi do sufitu wypełniały książki, niektóre z nich – najwyraźniej cenne starodruki – zamknięte bezpiecznie w oszklonych szafach bibliotecznych. Na olbrzymim kamiennym palenisku płonął ogień, mimo że wieczór był ciepły, a nad kominkiem wisiał portret wysokiego, barczystego młodzieńca o pływających jak zboże włosach i bladoniebieskich oczach Hilliarda. Otaczał ramieniem ładną dziewczynę o hiszpańskim typie urody i roziskrzonych, wesołych oczach.

– Wiem, wiem, co pan sobie myśli – powiedział z irytacją Hilliard. – No pewnie, że wyglądam jak on. To mój dziadek, Nikołaj Konstantinow, i moja babka. On był Rosjaninem, a ona Meksykanką – niezwykła kombinacja jak na owe czasy, nie sądzi pan? Obraz został namalowany około 1885 roku.

Podał Mike'owi szklaneczkę przezroczyściego trunku.

– Manzanilla – objaśnił. Patrzył z ciekawością, jak jego gość pije łyżeczkę na próbę. Trunek był przeraźliwie piekący i Mike rozkaszał się, zacisnąwszy powieki. Hilliard roześmiał się gładzącym śmiechem. – To napitek nie dla paniczek, ale jest lepszy niż ta wasza ulubiona whisky. Manzanilla i parę kieliszków dobrego wina do kolacji to jedna z niewielu rozrywek, jakie mi zostały. – Nagle utkwiał w Mike'u bladoniebieskie spojrzenie. – Czego właściwie chce się pan dowiedzieć o Konstantach?

Mike niespokojnie przesunął ręką po zmierzwionych włosach. Hilliard Konstant wyglądał mu na twardą sztukę.

– Prawdę mówiąc – zaczął z wahaniem – poszukuję właśnie jakiegoś dobrego tematu. W dzisiejszym „Timesie” z Los Angeles ukazało się ogłoszenie pewnego prawnika z Genewy, który szuka spadkobierców Poppy Mallory...

– Zastanawiałem się, czy bez kluczenia pan się do tego przyzna – stwierdził sucho starzec. – Jedno panu powiem, panie Preston, wiem o Mallorych niewiele więcej, niż mógłby pan znaleźć w Towarzystwie Historycznym Santa Barbara. Jeb Mallory i Nik Konstant byli przyjaciółmi. Więcej, współnikami. Lecz rodzina Mallorych zniknęła stąd na długo przed moim narodzeniem. Nigdy nie pytałem dlaczego, myślałem, że po prostu powymierali, jak to się dzieje z nami wszystkimi. Ja jestem ostatnim z Konstantów. Nigdy nie byliśmy płodną rodziną. Tych nielicznych, którzy się narodzili, w większości zabrały wojny. Druga wojna światowa, wojna w Korei, wojna w Wietnamie... W Wietnamie zginął mój syn, a to z kolei zabiło jego matkę. Od tamtej pory jestem sam. Nie, nie – dodał uprzedzając pytanie Mike’a – ja nie dorobiłem się tego na wojnie, urządził mnie tak durny, uparty koń. Bawiłem się w ranczera, rozumie pan, zabijałem jakoś czas... po tym, jak się to wszystko stało.

Starzec utkwiał wzrok w rozciągającej się za oknem dolinie.

– Czasami zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby ojciec nie sprzedał rancza. Kiedy byłem chłopcem, kochałem zwierzęta, i jazdę konną, naprawianie płotów, zabawę w kowboja na serio... rzecz jasna, to było wtedy wielkie, prawdziwe ranczo. Dopiero jak dorosłem, zrobił się z tego raptem duży trawnik. – Uśmiechnął się z aprobatą, gdy Mike dopił manzanillę. – Rozsmakował się pan? – spytał z uśmiechem. Nie czekając na odpowiedź zawrócił gwałtownie fotelem na kółkach. – Niech pan idzie za mną – rozkazał.

Zatrzymał się przy dwóch oprawionych w ramki dokumentach, wiszących na ścianie holu. Mike zauważył na żółtym pergaminie jednego z nich to samo zawile, pajęcze pismo, co w księgach rejestrów narodzin w archiwum.

– To jest oryginalny tytuł własności rancza Santa Vittoria. Miało tylko pięćdziesiąt akrów, czyli dwadzieścia hektarów. Dokładnie tyle samo, ile nam teraz zostało! Ironia losu, prawda? Zna pan to stare powiedzenie „zejść na psy w ciągu trzech generacji”? – W jego śmiechu zabrzmiała głucha nuta. – Teraz to już bez znaczenia – dodał. – Po mojej śmierci wszystko przejdzie w ręce rodziny mojej babki, Abregów. Są ich tuziny gdzieś tam. – Machnął niedbale ręką w stronę drugiego krańca doliny. – Jeden w drugiego bogaci jak krezusy. Rzecz jasna, wcale się nie palą do tej schedy, może tylko ze względu na sentymenty rodzinne. – Zakaszłał niecierpliwie, jakby pragnąc ukryć uczucia, z którymi nie chciał się zdradzić przed gościem. – A to – wskazał drugi dokument – jest umowa o zawiązaniu spółki między Nikiem Konstantem i Jebem Mallorym.

– To oni byli współnikami?

– Pewnie, że byli, po cóż by w innym razie mieszkali praktycznie drzwi w drzwi i uprawiali tę samą ziemię? Niech no pan to przeczyta.

Żółtawy arkusz nosił nagłówek „Irlandzki saloon Clanceya, Kearney Street, San Francisco”, a słowa pod spodem głosiły: „Piwa amerykańskie i importowane. Dwanaście gatunków whisky. Co dzień bezpłatny bufet od dwunastej do drugiej”. Poniżej ktoś napisał energicznym pismem:

Jeb Mallory i Nik Konstant jako równorzędni współnicy zawiązują spółkę własności rancza Santa Vittoria ze wszystkimi gruntami i inwentarzem. Spisano 10 kwietnia 1856 roku.

Jeb Mallory podpisał się z zakrętasem, a starannie wywiedzione litery w nazwisku Nika postawiła ręka człowieka, który niedawno nauczył się pisać.

– Mój dziadek wtedy dopiero co przyплыwał z Rosji – wyjaśnił Hilliard. – Musiał się nauczyć angielskiego. Jeb Mallory zamerykanizował jego nazwisko. Jak pan widzi, stali się współnikami popijając w saloonie. Zawsze się mówiło, że Nikołaj dużo się nauczył od Jeba Mallory’ego – nawet więcej, niż było jego zamiarem.

– Na przykład?

Hilliard wzruszył ramionami.

– Młody człowieku, jeżeli kiedyś wiedziałem, to do dziś dnia wyleciało mi to z głowy. Mam siedemdziesiąt cztery lata, a w tym wieku ma się dosyć zachodu z pamiętaniem o terażniejszości, nie mówiąc już o zamierzchłych czasach. Myślę jednak, że znajdzie pan to tutaj, jeśli starczy panu chęci, żeby wertować stare papiery. – Machnął ręką w stronę biblioteki. – Tam jest wszystko, co Konstantowie napisali od zarania dziejów, ładnie oprawione i odstawione na półkę. Są tam pewnie jakieś stare pamiętniki; kobiety zawsze pisały je w dawnych latach, żeby wypełnić jakoś czas. Spłowiąły atrament i nieczytelne gryzmoły... To nie na moje oczy. Widzi pan, panie Preston, byłem żołnierzem, człowiekiem czynu i nigdy nie interesowały mnie te szpargały. Dlatego kiepsko się w nich orientuję.

Mike'a ręce swędziały, żeby dobrać się do wszystkich tych niewykorzystanych materiałów, lecz gospodarz nagle wydał mu się bardzo zmęczony.

– Może lepiej będzie, jak wrócę tu jutro – zaproponował.

– Bzdura, bzdura! – W wyblakłych oczach Hilliarda pojawiło się coś jakby niema prośba. – Od lat nie prowadziłem takiej pogawędki i nie wstydzę się przyznać, że dobrze się bawię. Nikt już nie przychodzi, wie pan – dodał smutno – tylko ten ogrodnik, a on nie mówi po angielsku, w każdym razie nie tak, jak trzeba. Oczywiście, jest jeszcze Mary, moja gospodyni, miła kobieta, ale w kółko ogląda telewizję... Ja sam tego nie cierpię. Może jeszcze manzanilli? – zapraszał gorliwie, popchnąwszy fotel z powrotem do biblioteki. – Powiem coś panu. Jeśli chce pan grzebać w tych szpargałach, może by pan przyjechał tu na parę dni? Mógłby pan pracować do późna w nocy, zupełnie sam. Wy pisarze chyba to lubicie. I miałby mnie pan pod ręką, jakby chciał pan odpowiedzi na jakieś pytania.

– Umowa stoi – zgodził się Mike, ledwo wierząc własnemu szczęściu. Potrząsając na pożegnanie ręką Hilliarda dostrzegł jednak w jego oczach błysk, który wzbudził w nim niepokój i podejrzenia, że starzec coś knuje.

W wielkim starym domu panowała cisza, przerywana tylko tykaniem zegara w holu. Mike odsunął od stołu staroświeckie, obite skórą krzesło i skrzywił się na

zgrzytliwy hałas, jaki wydały zardzewiałe i od dawna nie używane rolki. Minęła trzecia w nocy. Już od ósmej, gdy Hilliard Konstant położył się spać, siedział w bibliotece i czytał stare dokumenty. Duży dębowy stół był zarzucony książkami i papierami, głównie starymi księgami rachunkowymi i rachunkami związanymi z prowadzeniem rancza, lecz to nie one były przedmiotem poszukiwań Mike'a.

Chodził niespokojnie po dywanie śliwkowego koloru, zbyt podminowany, żeby położyć się spać. Biblioteka była przestronnym, niemal kwadratowym pomieszczeniem od podłogi po sufit wypełnionym książkami. Hilliard nie dał żadnej wskazówki, gdzie należy zacząć, ograniczając się do uwagi: „To wszystko gdzieś tu jest, młody człowieku. Ma pan wolną rękę!” Chwilami Mike przyłapywał ironiczne i jakby rozbawione spojrzenie jego wyblakłych oczu, a wtedy odzywało się w nim przecucie, że starzec nie wyjawiał mu wszystkiego, co wie, i ma uciechę patrząc na jego bezradność.

Przeszedł nerwowo korytarzem do wielkiej bawialni, biegnącej przez całą długość domu. Czuł się tak, jakby znalazł się w pętli czasowej. Hilliard powiedział mu, że spłowiwały ze starości niebieski adamaszek, który pokrywał ściany, to ten sam, który Rosalia Konstant wybrała przeszło osiemdziesiąt lat temu, chociaż jedwabne obicia sof i foteli, niegdyś tego samego koloru, zostały później zmienione na inne, w wesołe desenie kwiatowe. Mike zatopił spojrzenie w dwóch bliźniaczych portretach chłopca i dziewczynki, wiszących nad kominkiem. Były to dzieci Rosalii i Nika Konstanta: Gregorius – zwany na co dzień Gregiem – i jego siostra Angel, która przyszła na świat krótko przed Poppy. Wiedział, że Greg był ojcem Hilliarda, lecz starzec niewiele mu opowiedział o Angel oprócz tego, że służyła z urody.

Angel już w wieku dziewięciu lat była pięknoscią. Drobną i kruchą, miała olbrzymie jasnoniebieskie oczy, odziedziczone po ojcu, i chmurę lekko kędzierzawych blond włosów. Ubrana w różową marszczoną sukienkę, trzymała na ręku małego czarnego pieska z zawiązaną na szyi różową wstążką i uśmiechała się słodko, lecz z wyrazem pewności siebie. U dołu rzeźbionej złożonej ramy widniał napis: „Angel i Trotty, 1889”. Mike gotów był się założyć, że Angel wyrosła na

istną pogromczynię serc: wszystko to widać było już na tym obrazie – świadomość własnej urody i wysokiej pozycji społecznej, jaką cieszyła się córka bogatych właścicieli ziemskich.

Szesnastoletni Greg, wysoki, ciemnowłosy i przystojny, miał brązowe, roześmiane oczy matki. Czerstwy, wysportowany chłopak dał się sportretować na dworcu, razem ze swoim ulubionym koniem. Opierał się o ogrodzenie padoku. W jednej ręce trzymał kapelusz meksykański o szerokich skrzydłach, kciuk drugiej zawadiacko zatknął za skórzany pas z klamrą z kutego srebra, z którego był najwidoczniej dumny. Za nim na padoku pasł się piękny młody kasztan z białą strzałką na czole. Na złoczonej ramie, takiej samej jak na portrecie siostry, był napis: „Greg z Vassily, 1889”.

Widząc wesoły uśmiech i charakterystyczne dla Konstantów otwarte spojrzenie Grega oraz urodę jego siostry, Mike jął się zastanawiać, co im przyniosła przyszłość, w którą patrzyli z takim spokojem i ufnością. Czy życie spełniło ich oczekiwania?

W poszukiwaniu zimnego piwa przeszedł przez mroczną jadalnię z zamkniętymi okiennicami i dotarł do kuchni – najstarszej części domu, którą dwieście lat temu zbudowały z suszonej na słońcu cegły ręce indiańskich robotników. Teraz miała nowoczesny wystrój, lecz w rogu wciąż było stare, otwarte palenisko, na którym indiański służący kiedyś warzył posiłki Nikowi Konstantowi.

Mike szturchnął butem żarzące się głownie i usadowił się z puszką piwa w staroświeckim krześle na biegunach z wysokim oparciem. Mimo nowoczesnych urządzeń pomieszczenie to zachowało dawną atmosferę. Siedząc tutaj i patrząc w żar Mike czuł się tak, jakby cofnął się o sto lat do czasów Nika, Rosalii, Grega i Angel. I Poppy Mallory.

Chyba już drzemał, gdy nagle pojawiła się odpowiedź, prosta i logiczna. Szukał w zupełnie niewłaściwym miejscu. Starych pamiętników nikt nie przechowuje w bibliotece. Gdzież indziej rodzina magazynuje dawne skarby i tajemnice przodków, jak nie na strychu?!

Zastanawiałem się, jak szybko zaświta panu ten pomysł – powiedział Hilliard ze złośliwym uśmiechem. – Od lat nikt nie wchodził na strych, a zresztą jest tam tylko kupa starych śmieci. Jeśli było kiedyś coś wartościowego, dawno zostało sprzedane przez któregoś z Konstantów!

– Nie chodzi mi o rzeczy wartościowe – zaprzeczył Mike. – Szukam informacji.

– Informacji? Ba! Tam na górze znajdzie pan tylko kilka starych programów teatralnych, karnetów z przyjęć, no i sterty nadjedzonych przez mole ubrań. – Nieoczekiwanie gospodarz zmiękł w uporze. – Cóż, jeśli pan koniecznie chce...

Hilliard myślił się co do ubrań. Było ich mnóstwo, nie tkniętych przez mole, pięknie zapakowanych w bibułkę i ułożonych w przepastnych starych skrzyniach i kufrach podróżnych, na których widniały nalepki dawnych liniowców kursujących przez Atlantyk i europejskich hoteli. Mike buszował w pokładach koronkowych strojów wizytowych i popołudniowych sukien ze sztywnego jedwabiu. Kichnął. Wyciągnął złotobrazowe futro z wydry, niegdyś miękkie i puszyste, a teraz wypełzłe i spękane. Tylko taftowe obszycie zachowało wesoły szkarłatny kolor. Były tam suknie wieczorowe, naszywane błyszczącymi pajątkami i matowymi perełkami, oraz wspaniała toaleta z błękitnego szyfonu z przyszytą nazwą firmy „Worth, Paryż”.

Po paru godzinach zatrzasnął z desperacją wieko ostatniego kufra. Nie znalazł nic ciekawego. Cała kolekcja była godna muzeum, lecz nie posunął się ani trochę naprzód w tropieniu śladów Poppy Mallory.

Starł grubą warstwę kurzu z blatu starej szkolnej ławki i przeciągnął palcem po wyrytych inicjałach AK, widząc oczami wyobraźni śliczną Angel, jak znudzona lekcjami dłubie spinką do włosów w miękkiej sosnowej desce. W kasetce była kolekcja dziewczęcych pamiątek: plik starych programów ze spektakli i koncertów, kilka karnetów, do których wciąż były przywiązane maleńkie złożone ołówki, rozsypujący się bukiet suszonych kwiatów. I, nareszcie, kilka plików listów, przewiązanych wstążką. Pod nimi zaś leżała oprawna w błękitną skórę książeczka ze złożonym spłowiałym napisem „Rozalia Konstant. Pamiętnik. Tom I. Rok 1863”. Było ich więcej – tom II i III, a potem cienka książeczka w okładkach z różowego

aksamitu, zatytułowana „Angel Konstant. Pamiętnik. 1892-1898”. I na samym końcu dziennik w zwykłej brązowej skórzanej oprawie, podpisany „Margaret Mallory. Pamiętnik. Rok 1873”.

Margaret Mallory! Mike’owi z wrażenia aż zrobiło się gorąco, gdy przesuwiał zakurzoną ręką po skórzanej okładce.

Zbiegł pędem ze strychu i rozłożył swoje znaleziska na stole w bibliotece, układając karnety w małe kupki przy paczkach listów, a za nimi drogocenne pamiętniki. Westchnął z zadowoleniem i zaczął czytać.

Dwa dni później złożył ostatni list, zawiązał starannie czerwoną wstążkę i siedział nieruchomo wyglądając z zadumą przez okno.

– Szklaneczka najlepszej manzanilli za pana myśli – zaproponował Hilliard od drzwi.

Mike obrócił się na krześle i uśmiechnął przepaszająco.

– Przepraszam, znajdowałem się w tej chwili daleko, całe kilometry stąd, lub raczej całe lata stąd!

– No? – Hilliard skierował swój fotel do stolika z trunkami i nalał dwie szklaneczki. – Rozwiązał pan tajemnicę spadkobiercy Poppy Mallory?

Mike przejechał ręką po włosach i zmarszczył z namysłem brwi.

– Nie... ale to dopiero początek.

Myślał, że Hilliard nigdy nie położy się spać, lecz po zapadnięciu ciemności starzec złożył mu wreszcie życzenia dobrej nocy. Kierując swój fotel na kółkach do drzwi biblioteki uśmiechnął się z ironią.

– Moim zdaniem czeka pana jeszcze kupa roboty, panie Preston. W życiu nic nigdy nie jest tak proste, jak się wydaje, tak przynajmniej wynika z moich doświadczeń – powiedział z pewną goryczą w głosie i odwróciwszy się raptownie, odjechał korytarzem do swego pokoju.

Mike patrzył za nim ze zdumieniem. Potem przeniósł wzrok na kupkę listów i pamiętników, spoczywającą na bibliotecznym stole.

– No, Poppy Mallory – rzekł z determinacją – ugrzązłem w twojej sprawie na

dobrze! Muszę wiedzieć, co się naprawdę stało. A gdy się dowiem, opowiem to całemu światu!

Wiedział, że będzie musiał sięgnąć do wyobraźni, żeby wypełnić luk i pozostawione przez pamiętniki, lecz miał już całkiem dobry obraz bohaterów tej historii. Wkręcił arkusz papieru w maszynę i napisał: „Na początku był Nikołaj Konstantinow i Jeb Mallory...”

Rozdział 4

1856, KALIFORNIA

Jeb Mallory świętował samotnie swoje trzydzieste urodziny w saloonie Clanceya przy Kearney Street w San Francisco. Wypił szybko trzecią irlandzką whisky, utrwalił efekt piwem i gestem zamówił u barmana następną. Pamięć własnej burzliwej kariery od czasów, kiedy w rodzinnej Irlandii jako niedoświadczony wyrostek zaczął kosztem wielu niemiłych doświadczeń kształcić się w kunszcie szulera, aż po dzień dzisiejszy, gdy stał się otrzaskanym w wielu podróżach zawodowym graczem, nie frasowała go ani trochę, ponieważ rzadko wracał myślą do przeszłości. Jeb żył chwilą obecną. Zapytywany, zawsze odpowiadał, że nie ma przeszłości, lecz w gruncie rzeczy wołał o niej zapomnieć lub odpowiednio podbarwić, stosownie do oczekiwań kompanii. Nie żeby uważał te lata za takie złe: przyniosły mu wiele wrażeń. Przeżył długie okresy dobrej passy, choć czasem szczęście się od niego odwracało, i miał więcej pięknych kobiet, niż mógłby się spodziewać od losu przeciętny mężczyzna. W większości prezentowały jego ulubiony typ – rudowłose z białą, niemal przezroczystą skórą, do czego miał szczególną słabość. Łatwo zdobyte pieniądze szybko przeciekały mu przez palce, więc dobra passa nigdy nie trwała dostatecznie długo, a zła przynosiła tylko nudę. Jeb wciąż tęsknił za emocjami wielkiej rozgrywki, w której wszystko stawia się na jedną kartę.

Zamówił następnego drinka i oparł się o ścianę, obserwując toczącą się nie opodal grę w pokera. Twarz miał nieporuszoną, lecz w środku aż kipiał ze

wzburzenia. Poznał tajniki pokera w wieku dziewięciu lat i doskonalił się w tej sztuce wędrując po ubogich nielegalnych szynkach i co obskurniejszych tawernach na ziemi ojczystej. Oprócz znajomości gry miał intuicję, która pozwalała mu odkryć wewnętrzne podniecenia partnera mającego w ręku dobrą kartę. Stał się mistrzem blefu, znawcą natury ludzkiej – kimś, dla kogo gra oznaczała więcej niż pieniądze. Jego jedynym kłopotem w obecnej chwili było to, że nie miał ich dosyć, żeby przysiąść się do tamtego stolika.

Siedział tam człowiek, którego Jeb obserwował już trzeci wieczór z rzędu, ranczer z górzystych okolic Lompoc. Popisywał się rzucaniem wysokich stawek i przebijał innych, wybuchając gromkim śmiechem. Dźwięk tego śmiechu irytował niepomiarne Jeba, którego korciło, żeby wyrznąć pięścią w rumianą gębę lub ogrącić go do suchej nitki. Odwrócił się wzruszając ramionami. Nie mógł zrobić ani jednego, ani drugiego. Żeby zasiąść do kart, musiał zdobyć jakieś pieniądze, i to szybko.

Miał w kieszeni dokładnie dwadzieścia dolarów, on, lubiący szastać pieniędzmi po wielkopańsku, na prawo i lewo! Uśmiechnął się melancholią na myśl o dziewczynie, która tydzień temu podwędziła mu portfel z pokoju w hotelu. Nie winił jej za to – przecież zostawił go tuż pod jej nosem, na toaletce, wypchany banknotami. Zbył wtedy śmiechem własną głupotę i pomyślał, iż dziewczyna miała szczęście, i przy tym uznał, że może to i uczciwa cena za jej wdzięki.

Zwrócił uwagę na młodzieńca siedzącego samotnie przy stoliku pod oknem. Tak naprawdę był to jeszcze chłopiec, lecz wzrostu olbrzyma, masywnym torsem i potężnymi ramionami. Gęste jasne włosy spadały mu na brwi, a szeroka twarz była gładko ogolona. Niebieskie oczy miały tak jasny odcień, że zdawały się jedynie odbijać światło, ukrywając jego myśli. Jeb od pierwszego rzutu oka odgadł, że to nowy przybysz, który dopiero co zszedł ze statku. Siedział całkiem sam i można się było spodziewać, że wszystkie oszczędności ze starego kraju ma zaszyte bezpiecznie w pasie. Sącząc piwo Jeb obmyślał przez chwilę plan, a potem podszedł do nieznanego i usiadł naprzeciwko.

– Jeb Mallory – przedstawił się i z szerokim uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie.

Jasnowłosa olbrzym ostrożnie potrząsnął jego dłonią.

– Nikołaj Konstantinow – odparł – z Archangielsk. – Samo wymówienie nazwy rodzinnego miasta sprawiło, że poczuł w duszy ukłucie dojmującej tęsknoty. Zamrugnął oczami, by ukryć wzruszenie, które nie licowało z jego stoicką postawą.

Z Archangielska, he? A gdzie to jest, u licha? – spytał Jeb, upalając cienkie, długie cygaro i rozsiadając się wygodnie w drewnianym krześle z wysokim oparciem.

– To w Rosja.

– Tam jeszcze nigdy nie byłem. Powiedz mi, chłopcze, jak tam jest?

– Ładniej niż tutaj – westchnął Nikołaj patrząc na szarą mgłę, która skraplała się na szybach zadymionego saloonu. Przypomniał sobie mroźne rosyjskie noce i przytulne ciepło małej drewnianej chatki nad Dźwiną. Jego rodzina była bardzo biedna i dlatego wyemigrował, żeby szukać szczęścia w dalekiej Ameryce. Przeczytał w gazecie o gorączce złota w Kalifornii. Szlochającej matce powiedział na pożegnanie: „Mam już osiemnaście lat, mateńko. Pojadę jak inni na poszukiwanie fortuny. Pewnego dnia przywiozę do domu całe to kalifornijskie złoto i złożę ci u stóp. Będiesz żyła jak księżniczka, tak jak ci zawsze obiecywał ojciec”.

– Pozwól, że postawię ci whisky – zaproponował Jeb.

Nikołaj oderwał myśli od mroźnych równin Rosji i zwrócił podejrzliwe oczy na Jeba.

– Kto ty? – Patrzył nieufnie. – Dlaczego ty kupować mi whisky?

Jeb wzruszył ramionami.

– Jak to przy spotkaniu dwóch nieznajomych w obcym mieście – rzucił od niechcenia. – Gest przyjaźni, i tyle. Na oko sądząc, przydałby ci się przyjaciel.

– Skąd ty? – spytał Nikołaj, gdy Jeb skinął na barmana, aby podał dwie irlandzkie whisky i dwa piwa.

Jeb Mallory uśmiechnął się szeroko.

– Z zachodniej Irlandii... Jestem jednym z najwybitniejszych synów hrabstwa Clare, ale zaliczam się do obywateli całego świata, Nikołaju, i żyję zawsze chwilą obecną. Liczy się tu i teraz, nic więcej.

Nikołaj przelknął whisky jednym haustem i patrzył na swojego nowego znajomego ponad brzegiem kufła. Nie chciało mu się wierzyć, żeby te regularne rysy i wesołe, roziskrzone błękitne oczy mogły ukrywać jakieś łajdactwa, chociaż nie wątpił ani przez chwilę, że ich czarnowłosy właściciel musiał zostawić za sobą w drodze z zachodniego wybrzeża Irlandii na wschodnie wybrzeże Stanów wiele złamanych serc.

– To znaczy, że ty też przyjechać tu szukać złoto? – spytał, a jego rezerwa stopniała do reszty pod wesołym spojrzeniem Jeba.

– Grasowałeś już na złotonośnych polach, chłopcze?

– Jeszcze nie. Najpierw zarabiać pieniądze na życie. Na budowa. Nosić cegły w górę i w dół po rusztowaniu. Ciężka praca i niebezpieczna, bo można spaść, ale dobre pieniądze. – Nikołaj pociągnął piwa, myśląc o dolarach w brezentowym pasie, który uszyła mu matka. Zarobione własną pracą pieniądze dodawały otuchy i napawały dumą. Grzały nie gorzej niż nowa marynarka na grzbiecie czy wspaniały posiłek w żołądku. – Niedługo ja mieć dosyć, żeby szukać złoto – dodał z zapalem.

Jeb zamówił następną kolejkę i zapatrzył się posepnie we wzór małych krążków wilgoci na wypolerowanym blacie stołu.

– Przykro mi, że to właśnie ja muszę cię rozczarować, chłopcze – powiedział ze smutkiem – ale jeśli spodziewasz się zdobyć fortunę, szukasz jej nie tam, gdzie trzeba. – Pochylił się ku Nikołajowi, który spojrzał na niego pytająco. – Chcesz zobaczyć bogatego człowieka? Spójrz na tego ranczera przy sąsiednim stoliku, tego w irchowej marynarce i butach z cholewami. To jest prawdziwy bogacz! A chcesz wiedzieć, przyjacielu, jak się tego dochrapał? Kupił sobie trochę ziemi ze starych hiszpańskich nadań nad rzeką Santa Ynez, zaczął wypasać na niej owce i bydło, a potem mógł już tylko siedzieć wygodnie na tyłku i patrzeć, jak rosną zyski. Za te zyski kupił jeszcze więcej ziemi. Ziemia, Nikołaju Konstantinow. To właśnie

powinniśmy zachapać dla niebie: wielki kawał pięknej kalifornijskiej ziemi. Całe akry, mile kwadratowe ziemi. Ziemi, na której będzie się hodować bydło, paść owce, budować domy i miasta... – Machnął ręką i nowe drinki pojawiły się na stoliku jak wyczarowane.

Nikołaj słuchał uważnie. Wychylił whisky.

– Ale złoto...? – zaczął.

– Chłopcze, garść złotego proszku na sicie, zdobytego w pocie czoła i z nadstawieniem karku, nie przyniesie ci majątku! Zbyt wielu innych próbowało tego przed tobą. Wiesz mi, Nikołaju, ten ranczer jest grubo bogatszy od stu poszukiwaczy złota. Posłuchaj, mówię ci to w tajemnicy... Mam zamiar zdobyć dla siebie trochę tej ziemi. Trzymaj się mnie, chłopcze, a też będziesz bogaty.

Bładoniebieskie oczy Nikołaja, utkwione w twarzy Jeba, wyrażały najwyższą uwagę.

– Nie ma piękniejszego widoku niż ciągnące się po horyzont pastwiska – ciągnął Jeb – które tylko czekają na stado bydła lub owiec, żeby je wykarmić... i na twoje kieszenie, żeby je wypchać dolarami. Na pewno ty i ja moglibyśmy kupić dobre działki w tej okolicy, chłopcze. Ranczo... ranczo Santa Vittoria, tak byśmy je nazwali. I zbudowalibyśmy na naszej ziemi murowany dwór, z wielkim pianinem w salonie i świetnym kucharzem w kuchni. Mówię ci, i chłopcze, to byłby istny irlandzko-rosyjski pałac na kalifornijskim wzgórzu!

Jeb urwał dla nabrania oddechu i wlał whisky w gardło, a jego błyszczące niebieskie oczy pod prostymi ciemnymi brwiami płonęły podnieceniem.

– A poczekaj no tylko, aż zobaczysz niektóre z tych meksykańskich dziewcząt, mój przyjacielu, z lśniąco-ciemnymi włosami i śmiejącymi się brązowymi oczami, i cerą jak dojrzałe brzoskwinie. Wypił do dna i zamówił następną kolejkę.

Nikołaj nie mógł zdecydować, co mu bardziej przemówiło do wyobraźni – wizja ciągnących się po horyzont pastwisk usianych bydłem i owcami, murowany dwór z wielkim pianinem, czy też może piękne ciemnookie dziewczęta, lecz obrazy, które Jeb tak umiejętnie kreślił słowami, przekonały go, a podejrzenia znikły jak chłodna

mgła znad zatoki w gorącym słońcu.

– Jak? – spytał z podnieceniem. – Jak ty zdobyć ziemię? – Niemal tego nie zauważając wychylił następną szklaneczkę, którą postawił przed nim barman.

Jeb westchnął i spojrzał mu w oczy.

– Cóż, w tym szkopał. Widzisz, wiem, że pewien ranczer ma ziemię do sprzedania, ale obawiam się, że nie stać mnie na jej kupno. To znaczy samemu, bez wspólnika.

– Ja być twój wspólnik – ofiarował się Nikołaj. – Mam trochę oszczędności... sto pięćdziesiąt dolarów. Tyle wystarczy?

Jeb obserwował, jak Nikołaj odpina i wydobywa spod koszuli pas z pieniędzmi. Suma była mniejsza, niż się spodziewał, ale dobre i to.

– Chłopcze, nie mogę ci zabrać twoich ciężko zarobionych pieniędzy – powiedział uroczyście. – To nie w porządku.

– Przecież... skoro my być wspólnicy – wyjąkał Nikołaj – ta ziemia... będzie nasza wspólna...

– No dobrze, skoro nalegasz – zgodził się Jeb niechętnie – lecz w takim razie każdy z nas będzie miał takie same udziały w spółce. Nigdy w życiu bym się nie zgodził, żebyś wziął mniej.

– Równi wspólnicy. – Szeroka, zaczerwieniona od alkoholu twarz Nikołaja wreszcie się rozpromieniła.

– Czekaj no chwilkę – powiedział Jeb wyjmując pióro z kieszeni na piersi. – Lepiej spiszmy to czarno na białym, byś wiedział na pewno, że to uczciwa sprawa.

Wziął z baru kartę, która głosiła: „Irlandzki saloon Clanceya, Kearney Street, San Francisco. Piwa amerykańskie i importowane. Dwanaście gatunków whisky. Co dzień bezpłatny bufet od dwunastej do drugiej”. Zaczął pisać na wolnym miejscu: „Jeb Mallory i...” Tu utknął i zmarszczył brwi.

– Nie, to na nic – mruknął – całkiem do niczego.

Nikołaj aż się zakrztusił na te słowa, które najwyraźniej kładły kres jego marzeniom.

– Jak to, do niczego? Co? – spytał z najwyższym niepokojem.

– Twoje nazwisko. Jest za trudne, za obco brzmi. Nie możesz zostać ranczerem z takim nazwiskiem, jak Konstantinow! – pomyślał chwilę i oznajmił: – Skrócimy to trochę. Będiesz się teraz nazywał Nik Konstant! To dobre, porządne nazwisko! Amerykańskie nazwisko! Jak ci się podoba?

– Niech będzie Nik Konstant – zgodził się Nikołaj. Własny głos zabrzmiał obco, jakby dobiegał z wielkiej odległości.

– No to z głowy.

Jeb pisał dalej:

Jeb Mallory i Nik Konstant jako równorzędni wspólnicy zawiązują spółkę własności rancza Santa Vittoria ze wszystkimi gruntami i inwentarzem. Spisano 10 kwietnia 1856 roku.

Podpisał się zamasyście i podał pióro Nikowi.

– Podpisz się tutaj, chłopcze – rozkazał i patrzył, jak Nikołaj, wciąż nie przywykły do łacińskiego alfabetu, wolno i starannie stawia każdą literę. Potem Jeb wręczył barmanowi dolara i poprosił o podpisanie dokumentu jako świadek.

– No i proszę, załatwione – oświadczył podając Nikowi kartę. – Schowaj ten dokument i zjaw się jutro o świcie przy stajni Marcusa z końmi do wynajęcia. Każ przygotować dwa konie, żeby były gotowe do drogi. Wyruszymy wcześniej. – Zerknął na Nika, na którego pobladłej twarzy pojawiły się kropelki potu. – Trunek nie poszedł ci coś na zdrowie, chłopcze – stwierdził. – Lepiej idź już i zdrzemnij się trochę.

– Stajnia Marcusa z końmi do wynajęcia – wymamrotał Nik i wstał zataczając się od stołu. Płowe włosy opadły mu na oczy.

– O świcie – przytaknął Jeb, biorąc go za ramię i prowadząc do drzwi. Patrzył, jak chłopak idzie wolno Kearney Street, ostrożnie i z wielką uwagą stawiając chwiejne nogi.

– Powodzenia, chłopcze – mruknął i zawrócił do saloonu Clanceya.

Zanosił się, że partia pokera w kącie przeciągnie się na całą noc, i mając sto

pięćdziesiąt dolarów w kieszeni był gotów pobić na głowę rzucającego wysokie stawki ranczera. Czyż właśnie nie dało znać o sobie jego szczęście? „Fart Irlandczyków” – pomyślał, szczerząc zęby w uśmiechu. Zasiadł przy stoliku i zapalił cienkie czarne cygaro. Z takim szczęściem i smykalką do kart nie mógł przegrać.

Nik czekał od przeszło trzech godzin. Słońce dawno rozproszyło poranną mgłę i delikatnie złociło podwórze stajni Marcusa. Po raz setny zerknął na drogę wyglądając Jeba. Zrobiło mu się mdło na myśl o ciężko zarobionych pieniądzech, które tyle znaczyły dla jego rodziny, i o wczorajszej nocy, gdy idąc za podszeptem rozkołysanej wyobraźni oddał je tak lekkomyślnie Jebowi!

Klnąc na czym świat stoi wódkę, spojrział bezmyślnie na elegancki, żółty kryty kocz, który skręcił w podwórze. Woźnica zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki. Z powozu wysiadł Jeb z cygarem w zębach, wciąż wytworny jak wczoraj, w wyprasowanej białej koszuli i czarnej marynarce. Skinął Nikowi nonszalancko ręką i odwróciwszy się, posłał uśmiech siedzącej w powozie kobiecie o płomiennorudych włosach. Jej uroda i głęboko wycięty dekolt żółtej atlasowej sukni sprawiły, że w Niku serce zadrżało i skurczyło się boleśnie.

Jeb przesunął ręką po jej przepysznych rudych włosach i po ostatnim, gorącym pocałunku odsunął się zatraskując drzwiczki powozu. Pomachał ręką na pożegnanie, kiedy woźnica ruszył i elegancki kocz zniknął za bramą.

– Ja... ja myśleć, że ty nie przyjechać – wyjąkał Nik. Czuł, jak zimna strużka potu spływa mu w dół kręgosłupa.

– Małeńkie spóźnienie, to wszystko. – Jeb wyciągnął z kieszeni marynarki wypchany portfel. – Proszę, chłopcze, masz z powrotem swój wkład z małym naddatkiem. Zeszłej nocy dopisało mi szczęście i chcę, żebyś miał w tym swój udział – dodał wielkodusznie.

– Tu... tu być pięćset dolarów! – szepnął z zapartym tchem Nik, przeliczywszy szybko pieniądze. – Ty dać mi pieniądze, żeby ja sobie pójść?

Jeb zmieszany pyknął z cygara, widząc utkwione w siebie zranione spojrzenie

młodzieńca.

– Przypadłeś mi do serca, chłopcze, więc powiem ci szczerą prawdę – zaczął, mrużąc oczy przed zwijającym się w spirale dymem. – Jestem graczem – wyznał bez obsłonek – a, jak zapewne wiesz, nie ma na świecie siły, która uleczyłaby człowieka z tej namiętności. Parę dni temu barman dał mi cynk, że ma się tu zebrać na hulankę paczka facetów, którzy lubią puszczać pieniądze i są wszyscy zapamiętałymi graczami. No i masz, nie miałem grosza przy duszy, żeby móc się dosiąść do najlepszej partii w mieście! Traf chciał, że ty się napatoczyłeś, i coś mi powiedziało, że masz zaszytych w pasku parę dolców. Mówię teraz z tobą uczciwie, chłopcze. Nigdy w życiu nie widziałem na oczy prawdziwego rancza, ale nieźle potrafię zatrajlować. Spodobała ci się moja bajeczka, prawda? Na tyle, że mogłem wyciągnąć od ciebie twoje uciulane w pocie czoła oszczędności. Moja matka zawsze mówiła, że powinienem wykierować się na kaznodzieję. Na pewno wygłaszałbym wspaniałe kazania.

Nik zapłonął gniewem i Jeb cofnął się pospiesznie przed jego wzniesioną pięścią.

– Czekajże no – próbował go mitygować. – Pewnie, zostałeś wystrychnięty na dudka, ale w twoim wieku wszyscy są dudkami. Niech ci to posłuży za przestrożę, bo po świecie płacze się wielu gości, którzy tylko czekają, żeby wyciągnąć forszę od naiwniaka. Ejże, ejże... spokojnie, chłopcze – powiedział nerwowo, gdy Nik chwycił go za kołnierz – przecież w końcu tu przyjechałem, no nie? Czy nie oddałem ci przed chwilą wszystkich twoich pieniędzy, i to z niezłym procentem?

Nik opuścił wzniesioną do ciosu rękę i popatrzył na zmięte banknoty, które wciąż ścisnął w palcach.

– Więc my nie współniki? – wyszeptał. Jego marzenia legły w gruzach. – Nie być ranczo?

– Za sto pięćdziesiąt dolców nie kupi się dużo ziemi, chłopcze – oświadczył Jeb oschle – nawet w dolinie Santa Ynez.

Nik odwrócił głowę w obawie, że się rozbeczy. Nie tylko wyszedł na głupca, ale ograbiono go z nadziei, że znalazł przyjaciela i zarazem współnika.

Jeb patrzył na niego wspominając fart z ubiegłej nocy. Doprawdy, wszystko jakby się sprzyściło, aby wizja, jaką sprokurował na poczekaniu, żeby wyciągnąć od Nika jego zaskórniaki, zamieniła się w rzeczywistość. Przegrany ranczer w ostatnim desperackim blefie postawił cały swój dobytek. Jeb miał zamiar spieniężyć ten majątek w banku, lecz teraz się zawahał. Oszacował wzrokiem szerokie bary Nika, ogromną siłę jego torsu i ramion, na których przeżyły się mięśnie. Wiedział, że chłopak jest uczciwy, zasługuje na zaufanie i z pewnością będzie pracował jak wariat. Jakich lepszych cech mógłby wymagać od współnika człowiek, któremu właśnie spadło z nieba ranczo?

– Za mną, współniku! – zawołał, dosiadając susem wierzchowca. Koń ruszył naprzód, uskakując na boki z nadmiaru rozpierającej go energii, spragniony biegu. – Zapomniałem ci powiedzieć, że dzięki twojej forsie wygrałem w pokera ranczo!

Nadzieja błysnęła w oczach Nika i zaraz znikła.

– Ty robić ze mnie dudek. Znowu! – powiedział z goryczą.

– Koniec z kręceniem, chłopcze. Mówiłem ci, że jestem szczęściarzem. No dalej, rusz się, albo może mam poszukać kogo innego?

Nik w jednej chwili znalazł się w siodle. Wciąż niepewny, czy wierzyć Irlandczykowi, był gotów jechać za nim, bo Jeb Mallory posiadał magiczny dar ziszczania marzeń. Nawet jeśli nie do końca stawały się rzeczywistością, przy jego boku nie miało to znaczenia.

Od grzbietów wzgórz Santa Rosa do rzeki Santa Ynez, która wiała się w dolinie poniżej, rozciągały się zielone pastwiska. Daleko na zachodzie Nik mógł rozróżnić pas bledszej, złotawej zieleni młodych zbóż, a za nimi ciemne plamy kanionów, w których za dnia zapadały niedźwiedzie, wychodzące nocą na żer. Gdzieś w dali zawył kojot i w tej samej chwili powiew wiatru przebiegł przez trawy i zmarszczył wody bystrej rzeki w oślepiające srebrne łuski.

Dolina kipiała bujną zielenią po ulewnych wiosennych deszczach, a błogi spokój, jaki panował na tych rozległych przestrzeniach, zdawał się przyrzekać wspaniałą przyszłość, niemożliwą do osiągnięcia w otoczonym lodami i ciemnymi lasami

Archangielsku. W tej chwili Nik zrozumiał, że słowa Jeba nie były tylko czcą gadaniną. Oto prawdziwa kraina obfitości. Przed nim leżały bogactwa Ameryki.

Jeb patrząc na dolinę po raz pierwszy od lat przypomniał sobie starą chatkę w Ilskerry, w rodzinnej Irlandii. Przed oczami stanął mu obraz nagiej, nieurodzajnej ziemi, równie ubogiej jak ludzie, którzy na niej harowali. Przypomniał sobie ojca, przygarbionego i złamanego niepowodzeniami w wieku trzydziestu lat – w jego wieku. Pomyślał o matce i jej zaciętych wysiłkach wyhodowania paru kwiatków, żalostnego kolorowego skrawka w twardych grudach ziemi przy drzwiach ich domku. Przyrównał te wspomnienia do bujnej zieloności wokół. Wciągnął w nozdrza wilgotny zapach żyznej ziemi i wyobraził sobie pasące się na niej stada bydła i owiec oraz przyszłe zyski, które przyniosą mu majątek.

Obracając się w siodle, zamasyście rozwinął rulon zawierający tytuł własności.

– Może nie wszystko, co widzisz, do nas należy, ale pięćdziesiąt akrów tej ziemi będzie się od dziś nazywać ranczo Santa Vittoria! – zawołał do Nika, szczerząc zęby w uśmiechu. Po czym, idąc za starym nawykiem robienia wszystkiego z rozmachem, dodał: – Na początek to wystarczy.

Nik w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko. Uścisnęli sobie ręce.

– Wiesz co, chłopcze – dorzucił Jeb ze śmiechem – mój staruszek zawsze mówił, że w życiu nic się nie osiągnie bez ciężkiej pracy. Wygląda na to, że wciąż robię, co mogę, żeby dowieść, że nie miał racji!

Rozdział 5

1856-1873, KALIFORNIA

U stóp wzgórza, w cieniu sykomorów i dębów stanął dom z suszonej na słońcu cegły. Były w nim tylko dwie izby. W jednej stary, owinięty pasiastą wełnianą opończą Indianin warzył na otwartym palenisku przesiąknięte dymem potrawy. Druga służyła jako sypialnia.

Nik przez kilka pierwszych tygodni objeżdżał konno posiadłość i napawał się swoim szczęściem, Jeb zaś wyjechał do Santa Barbara, by „dowiedzieć się, co w

trawie piszczy” i zarejestrować ich tytuł własności. Nikowi nie ciążyła samotność, chociaż bywało, że przez całe dni nie widział żywej duszy. Obozował pod gwiazdami, nasłuchując jednym uchem wycia kojotów i ukradkowego szelestu w zaroślach, gdzie żerował niedźwiedź. Nic nie mąciło jego odosobnienia i był szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Jeb powrócił z wieścią, że wybiera się do Missouri po owce i potrzeba mu na zakup stada pięciuset dolarów Nika.

– Ile będzie za to owiec? – spytał z podnieceniem Nik.

– Zaufaj mi, chłopcze – odparł wymijająco Jeb. – Całe mnóstwo.

Było ich trzy tysiące. Tym razem Nik nie pytał, jaki cud to sprawił, tylko wziął się do swych ranczerskich zajęć i doglądania zwierząt, pozostawiając Jebowi transakcje przy zakupie dalszych akrów urodzajnej ziemi.

Początkowo Jeb wydawał się zadowolony ze swej nowej roli i razem z Nikiem objeżdżał ranczo, lecz po kilku miesiącach odezwał się w nim dawny niepokój i zaczął spędzać więcej czasu w Santa Barbara, a gdy to miasto zaczęło mu zalatywać prowincją, znęciły go znowu jasne światła San Francisco. Czasem Nik nie widywał go tygodniami, po czym Jeb zjawiał się z powrotem, zmęczony i zadowolony z siebie, na ogół z plikiem banknotów w kieszeni kamizelki. Nie wspominał jednak więcej o dużej rezydencji z wielkim pianinem w salonie i znakomitym kucharzem w kuchni, a Nik zdał sobie sprawę, że niespokojny duch przyjaciela nigdy nie pozwoli mu przywyknąć do osiadłego życia. Zbył to wzruszeniem ramion. Nie miał zamiaru się tym przejmować. Był dość silny, by pracować za dwóch.

Pływały lata. Nik siał ziarno na swojej ziemi i budował wielkie spichrze do jego przechowywania. Zatrudnił najlepszych pasterzy świata z kraju Basków w Hiszpanii do stad owiec i meksykańskich *vaqueros* do doglądania dorodnego młodego bydła. Wzniósł zagrody dla zwierząt i długie niskie chaty dla robotników. Pracował ciężko, nie bacząc na porę dnia, i cieszył się każdą chwilą. Silny jak wół, nigdy nie czuł wyczerpania. Z wiejskiego chłopaka przemienił się w prawdziwego mężczyznę, człowieka otwartych przestrzeni, o przenikliwych bładoniebieskich oczach w

surowej, ogorzałej twarzy. Posyłał regularnie pieniądze swojej rodzinie w Rosji, lecz nigdy nie mógł wyrwać się z kieratu codziennej pracy na tak długo, żeby wybrać się do nich z wizytą.

Na ogół był zbyt zajęty i zmęczony, by myśleć o kobietach. Kiedy przyjeżdżał do Santa Barbara, zachowywał rezerwę godną wzorowego dżentelmena i tylko unosił grzecznie kapelusza przed panienkami i ich matkami, wprawiając w trzepot młode serduszka pod przesadnie skromnymi, zachodzącymi pod szyję bluzkami z białej koronki.

Jeb miał wiele kobiet w San Francisco, lecz to właśnie Nik zakochał się pierwszy, i to w dziewczynie nie tylko prześlicznej, lecz w dodatku stanowiącej świetną partię. On miał dwadzieścia pięć lat, a ona osiemnaście. Nazywała się Rozalia Abrego i była córką ranczera, właściciela jednego z największych stad bydła w dolinie Lompoc, który nie bardzo był skłonny wydać ją za jakiegoś nikomu nieznanego gołowąsa z końca świata.

Tych dwoje spotkało się w sklepie z siodłami Loomisa w Santa Barbara i wystarczyło jedno spojrzenie lśniących, okolonych ciemnymi rzęsami, brązowych oczu Rozalii i lekki, lecz czarujący uśmiech w jego stronę, by Nik wpadł po uszy i zdradził swoją do tej pory wyłączną miłość, rancho Santa Vittoria.

Śmiertelnie zakochany kręcił się po całych dniach w pobliżu siodlarni albo wystawał na werandzie małego hoteliku na State Street w nadziei, że ujrzy Rozalię. Gdy wreszcie się doczekał, zebrał całą odwagę i zagadnął dziewczynę, ona zaś zaskoczyła go zaproszeniem na piknik, na który wybierała się z grupą młodych przyjaciół. Ciepła i serdeczna natura Rozalii równoważyła powściągliwą małomówność Nika; Rozalia mówiła dosyć za ich dwoje. Kilka tygodni później pocałował ją w cienistym zagajniku sykomorów. Wiedzieli już, że są w sobie zakochani.

Don Jose był wielce bogatym człowiekiem i odnosił się podejrzliwie do tych zalotów, lecz gdy zasięgnął języka o młodym Rosjaninie i nie usłyszał nic oprócz pochwał na temat jego pracowitości, dzięki której rancho Santa Vittoria tak świetnie

prosperuje, dał w końcu swoje błogosławieństwo.

Ślub, na którym Jeb w roli świadka pana młodego dokonywał nie lada podbojów, stał się okazją do wielkiej fiesty, lecz po weselu Nik nie mógł zabrać oblubienicy do domu. Jej ojciec stanowczo się sprzeciwił, by Rozalia rozpoczęła życie małżeńskie w dwuizbowej chacie z suszonej cegły. Wobec tego wynajęli apartament w hotelu „Arlington”, gdzie Nik odwiedzał ją, gdy tylko mógł wyrwać się z rancza. Tymczasem na terenie posiadłości budowano dwa nowe domy, jeden na miejscu starej indiańskiej chałupy dla Jeba, drugi pośrodku dwóch tysięcy akrów przyległych do rancza, które Jose Abrego podarował córce w prezencie ślubnym.

Gdy budowa dobiegła końca, dwór Konstantów na ranczu Santa Vittoria stał się jednym z najpiękniejszych domów w dolinie Lompoc. Dla Nika najcenniejszym w nim przedmiotem pozostała stara umowa o zawarciu spółki, spisana na karcie z saloonu. Wisiała w połączanej ramce na ścianie we frontowym holu, gdzie każdy mógł ją zobaczyć. Jego radość przytłumiły wieści o śmierci matki, lecz nie przestawał siostrom posyłać pieniędzy. W Archangielsku rodzina Konstantinowów przestała cierpieć niedostatek.

Rozalia często objeżdżała ranczo razem z Nikiem, siedząc w siodle po męsku w spodniach i zamszowych ochraniaczach, jakie nosili vaqueros, pomagała przy cielętach i jagniętach i zajmowała się prowadzeniem domu. W kuchni objęła berło znakomita kucharka, na stole pojawiły się wyborne potrawy, a Nik wyzbył się nieśmiałości i gościnnie podejmował przyjaciół i krewnych Rozalii. Do zupełnego szczęścia brakowało mu tylko jednego – syna, który będzie nosił jego nazwisko. Minęły dwa lata, a Rozalia nie zachodziła w ciążę. Choć nic nie mówiła, w jej oczach znać było niepokój.

Dwór Mallory’ego przez większość czasu pozostawał pusty, chociaż w salonie stało teraz okazałe pianino, a liczne pokoje pyszniły się pięknymi meblami z mahoniem, tak jak to kiedyś Jeb opowiadał. Nik wiedział, że Jeb, jak zwykle, raz coś osiągnąwszy, zupełnie przestał się tym interesować. Co jakiś czas zjeżdżał z San Francisco w kilkanaście powozów pełnych ludzi i wielki dom rozjarzał się

światłami. Wydawano wystawne bankiety o najbardziej nieoczekiwanych porach, wino płynęło strumieniami, a zebrane towarzystwo zabawiali włoscy śpiewacy operowi lub francuskie zespoły rewiewe, sprowadzone z San Francisco. Nikt z miejscowych wyższych sfer nie pojawiał się na tych obiadach, ponieważ krążyły pogłoski, że w dworze bywają kobiety, których obyczajem można określić tylko jako swobodne, czego bynajmniej nie silą się ukryć.

Nik wciąż dokupywał bydło na coraz to nowe pastwiska rancza Santa Vittoria. Majątek jego i Jeba rósł jak na drożdżach, zasilany „skórzanymi dolarami”, zarobionymi na sprzedaży kupcom z Nowej Anglii skór do wyrobu butów i pantofli. Oprócz tego sprzedawali róg na guziki i łój do wyrobu świeczek i mydła.

W roku 1873, siedemnaście lat po zawiązaniu spółki, posiadali sto czterdzieści tysięcy akrów ziemi, przeszło osiemdziesiąt tysięcy sztuk bydła oraz siedemdziesiąt tysięcy owiec. Nik pracował w pocie czoła na ranczu, a Jeb wiódł życie bogatego kawalera w swoim wspaniałym nowym domu na Rosyjskim Wzgórzu w San Francisco. By dopełnić miary szczęścia Nika, Rozalia wreszcie urodziła mu syna. Otrzymał imiona Gregorius Aleksander Abrego, a na co dzień nazywano go Greg.

Rzecz dziwna, od narodzin dziecka Jeb zaczął spędzać więcej czasu na ranczu. Wpadał niespodziewanie do domu Konstantów i jadł z nimi lunch, obserwując rosnącego szybko chłopczyka zmrużonymi niebieskimi oczami, z cieniem uśmiechu na ustach.

– Nigdy nie myślałem, że coś takiego powiem – wyznał kiedyś Rozalii – ale dałbym wszystko, żeby mieć takiego małego smyka jak Greg.

– To proste – odparła ze śmiechem – wystarczy się ożenić.

– Ach, Rozalio, w tym sęk. Obawiam się, że jestem za stary, żeby zmienić skórę.

Wkrótce potem poznał na promie kursującym z San Francisco do Santa Barbara pannę Margaret James. Margaret straciła oboje rodziców podczas epidemii tyfusu w 1871 roku i zarabiała na utrzymanie jako nauczycielka rysunków w Belmont, szkole przygotowawczej dla chłopców w San Mateo. Udawała się na krótkie wakacje, zamierzając spędzić je na rysowaniu. Była raczej zaskoczona, gdy zabójczo

przystojny pan Mallory, którego wszyscy wokół zdawali się traktować z wielkim szacunkiem, nawiązał z nią rozmowę.

Siedziała na pokładzie, próbując akwarelę utrwalić grę barw na niebie. Naturalnie była onieśmielona, lecz Jeb poprowadził rozmowę z całą swobodą, zadając pytania o Belmont i przyprowadzając ją o rumieniec komplementami na temat jej uzdolnień malarskich.

Margaret skończyła dwadzieścia sześć lat. Jedwabiste włosy koloru ciemnej miedzi nosiła ściągnięte w ciasny węzeł na czubku głowy, a jej nieskazitelnie gładka skóra była koloru świeżego mleka. Miała chłodne szare oczy, do których pasował jej chłodny sposób bycia, i pełne usta o lekko opadających kącikach, jakby zawsze była nieco smutna. Mimo powagi w zachowaniu śmiała się z żarcików Jeba, a jej onieśmielenie wkrótce zniknęło pod wpływem czaru doświadczonego uwodziciela. Stanowili jednak całkowite przeciwieństwo pod względem charakteru, toteż jego oświadczenia po krótkim okresie znajomości były dla niej zupełną niespodzianką. W końcu Jeb Mallory miał czterdzieści siedem lat i znano w mieście jego swawolne rozrywki. Lecz był również bardzo bogaty.

W hotelu „Arlington” odbyło się najwspanialsze przyjęcie weselne, jakie widziała okolica. Dzięki perswazjom Rozalii towarzystwo z Santa Barbara wybaczyło Jebowi swobodny tryb życia i stawilo się w komplecie.

Był piękny letni wieczór. Przez wysokie, szeroko otwarte okna rześńście oświetlonej sali balowej napływał ciepły powiew lata. Goście przechadzali się w ogrodzie pod chińskimi lampionami, wiszącymi na magnoliach, które obsypane były białym kwieciami, jakby specjalnie na cześć panny młodej. Meksykańska kapela śpiewała oblubieńcom serenady, a najlepszy francuski szampan spływał do setek kryształowych kieliszków, wzniesionych w weselnym toaście.

Dzień ślubu stał się dniem triumfu Margaret. Jeb już wiedział, że uczynił trafny wybór – Margaret była inteligentna, wykształcona i urodziwa, a ponadto silna i zdrowa. Nie mógł znaleźć lepszej matki dla swego syna.

Rozdział 6

1873-1880, KALIFORNIA

Margaret Mallory nigdy nie mogłaby nikomu się zwierzyć, jak przebiegła jej noc poślubna. To wspomnienie chciała pogrzebać w najciemniejszych zakamarkach umysłu. Naturalnie przed ślubem zdawała sobie sprawę, jakie będą jej obowiązki żony, ale wiedziała ponadto, że od żadnej damy nie można oczekiwać, by sprawiało jej to przyjemność, jak utrzymywał Jeb. „Wszystkie to lubią oprócz ciebie!” – krzyknął na nią z zapiekłą złością.

Leżała później przy boku śpiącego męża pogrążona w myślach. Posiniaczone ciało bolało, lecz ona tego nie czuła. Po upływie godziny, gdy zyskała pewność, że Jeb śpi, poszła do łazienki, by się umyć. Potem uczesała włosy, włożyła czystą koszulę nocną i spojrzała na siebie w lustrze. Ku swemu zdziwieniu nie zauważyła prawie żadnej różnicy. Nikt się nigdy nie dowie o jej wstydzie i upokorzeniu, jakiego doznała tej nocy. Teraz nie ma już powrotu. Jest panią Mallory. I wiedziała, że gdy w przyszłości mąż zażąda jej „usług”, nie będzie mu się opierać. Będzie po prostu leżeć bez ruchu, pozwalając mu robić to, co musi, i myśląc przy tym o czymś innym... na przykład o kolorze nowych zasłon albo co podać następnego dnia na lunch.

„Kobiety mają swoje własne metody odwetu” – pomyślała zimno, wracając do sypialni i kładąc się u boku męża. Patrzyła na pierwsze smugi brzasku, wpadające przez szczelinę w zasłonach ze złocistego aksamitu, i wiedziała, że ucieknie się do tych metod bez skrupułów.

Jeb większość czasu spędzał poza domem. Margaret nie miała pojęcia, gdzie i z kim mąż przebywa, i nigdy go nie pytała. Jednak gdy był w domu, nie przepuszczał żadnej okazji do egzekwowania swoich mężowskich praw.

W miarę upływu lat Rozalia Konstant zastanawiała się, jak Margaret może znieść takie życie.

– Jeb raz jest tu, następnego dnia gdzie indziej – powiedziała ze złością do Nika.
– Ucieka do San Francisco, do swojego prawdziwego życia: gry w karty i zadawania

się z kobietami lekkich obyczajów.

– Ożenił się z Margaret z niewłaściwych powodów – odparł Nik wzruszając ramionami – a gdy nie dała mu upragnionego dziecka, przestał się nią interesować. Tak zawsze z nim bywa.

On i Rozalia zadawali sobie wiele trudu, aby swą gościnnością wynagrodzić Margaret długie okresy nieobecności Jeba, lecz ich dwór, zawsze gwarny i wesoły, sprawiał, że własny wielki dom wydawał się Margaret jeszcze bardziej pusty. Coraz bardziej zamykała się w sobie, wypełniając dni pracą w ogrodzie.

Pośrodku wielkich trawników rosły teraz rzucające chłodny cień drzewa świętojańskie, a drogi dojazdowe do rezydencji Mallorych i Konstantów obsadzono młodymi topolami, które cieszyły latem oczy delikatną zielenią, na jesieni przechodzącą w mosiądz. Każdego roku, gdy liznął je pierwszy jęzor chłodu, zrzucały wszystkie liście od razu, tak że pozostawały tylko czarne szkielety pni, u których stóp słał się złoty dywan, wspomnienie chwały lata.

Margaret od barwnych hibiskusów, smukłych oleandrów i olbrzymich, mocno pachnących angielskich róż wolała zwykle maki. Całe ich pole na tyłach domu wyrastało na wiosnę jasną zielenią, zmieniało się w masę srebrzystych liści, a potem w morze drżących kwiatów. Wyglądało jak falujący pomarańczowozłoty kobierzec, w którym tu i ówdzie przeglądały szafirowe bławatki, podkreślające jeszcze jego barwę. W długie letnie wieczory Margaret siedziała samotnie na werandzie chłonąc ulotne piękno maków – gdyż już po kilku dniach wiatr obrywał ich płatki i rozrzucał po wzgórzu niczym konfetti.

Rozalia niemal nie śmiała powiedzieć Margaret o tym, że znowu jest w ciąży. Był listopad 1879 roku, Greg ukończył już prawie siedem lat. Ona i Nik od tak dawna wyczekiwali drugiego dziecka, że dosłownie szalała ze szczęścia. Gdy w końcu zdobyła się na odwagę, odpowiedź Margaret wprawiła ją w osłupienie.

– Jeśli o tym mowa... – Margaret spuściła oczy i skromnie się zarumieniła – Jeb i ja również będziemy mieli dziecko, i to mniej więcej w tym samym czasie co wy.

To zupełnie zmieniło postać rzeczy. Jeb słał całe skrzynie mebelków do pokoju

dziecinne, zakupionych w eleganckich magazynach San Francisco, ogromnego konia na biegunach i wszystkie możliwe zabawki. Częściej bywał w domu i zaczął przejawiać prawdziwą troskliwość i czułość wobec Margaret, choć nigdy nie towarzyszył temu pocałunek ani inny gest, który by świadczył o głębszym uczuciu. Podczas nieobecności Jeba Margaret paplała nieustannie o nim i o dziecku, wtrącając co chwila „Jeb powiedział to”, „Jeb zrobił tamto”, jakby byli całkiem zwyczajnym małżeństwem.

Córka Rozalii urodziła się pierwszego czerwca 1880 roku. Poród był łatwy, a dziecko miało płowe włoski i oczy jeszcze bardziej niebieskie niż oczy ojca. Zostało ochrzczone imionami Angel, na cześć Archangielska, rodzinnego miasta ojca, Irina po matce Nika i Ampara po matce Rozalii – Angel Irina Ampara Konstant.

Dwa tygodnie później Margaret chwyciły bóle. Był parny dzień czerwcowy, a ciemnoczerwone słońce świeciło posępnie na ołowianym niebie, zwiastując burzę. Jeb nie mógł znaleźć sobie miejsca, chodził niespokojnie po werandzie, wzdrygając się za każdym razem, gdy bezradne krzyki Margaret rozdzierały ciszę. Wściekał się na lekarza za to, że pozwala jej cierpieć, i krzyczał na akuszerkę, by przyspieszyła poród, przejęty trwogą, że jego syn może się udusić. Oblewał się potem, szalał z gniewu i modlił się w duszy, aż wreszcie, po osiemnastu godzinach, dziecko przyszło na świat.

– Śliczna mała dziewczynka – powiadomił go znużony lekarz. – Ma pan szczęście, panie Mallory, pańska żona przeszła bardzo ciężkie chwile.

Nie przemówiwszy słowa do Margaret, Jeb przeszedł sztywno przez sypialnię i spojrzał na noworodka. Zacisnął pięści patrząc na czerwone, skulone stworzenie w kołysce. Był tak pewny, że będzie to syn! Wybrał przecież już nawet imiona: James Rogan Fitzgerald, po jego dziadku, ojcu i matce.

Cicho zbliżył się do łóżka i pocałował żonę w policzek. Margaret wyczytała jednak w jego oczach gorzkie rozczarowanie i zrozumiała, że sprawiła mężowi ciężki zawód.

– Wkrótce wydobrejesz – powiedział sztywno – tak mówi doktor Svensen. Boli

cię jeszcze, czy może ci niewygodnie?

Margaret potrząsnęła głową i zacisnęła powieki, walcząc ze łzami.

– Masz tu prezent – powiedział, rzucając na posłanie szafirową broszkę – za dzieciaka... – Odwrócił się gwałtownie i znów podszedł do kolebki. Dziecko wydało mu się całkiem obce, obojętne; mogło być czyjekolwiek. Nie czuł nic, żadnych emocji, żadnej więzi z tym małym stworkiem, którego spłodził.

Nagle rozpętała się burza, w dalekich górach zahuczały grzmoty. Jeb spojrzął niewidzącym wzrokiem w okno.

Spadła rześista ulewa, zmieniając wzgórze maków w morze falującego złota i srebra.

– Musimy ją jakoś nazwać – powiedziała Margaret zmęczonym głosem.

Jeb wzruszył ramionami z oczami utkwionymi we wzgórze.

– Nazwij ją Poppy – rzucił niedbale i skierował się do drzwi.

O świcie wyjechał bez pożegnania do San Francisco.

Kilka dni później Margaret leżała na szezlongu, ustawionym na werandzie, z kołyską u boku. Nik i Rozalia przyszli z wizytą i chociaż znalazła fałszywe wymówki na nieobecność Jeba, widziała, że jej nie uwierzyli.

– Wiem, że chciał mieć syna – szepnęła Rozalia, zanim odeszła. – Czy na pewno wszystko jest w porządku?

– Jeb przepada za małą – skłamała Margaret – nawet wybrał dla niej imię.

– Ale dlaczego nie chciał jej dać imion po swoich rodzicach, by uczcić ich pamięć? – spytała zdumiona Rozalia.

Margaret siłą woli przywołała na twarz uśmiech.

– Znasz Jeba, robi to, co mu właśnie wpadnie do głowy. Wymyślił jej takie imię z powodu tego poletka kalifornijskich maków za domem.

Po ich odjeździe poczuła się raptem silniejsza. Zateśknęła za ciepłem słońca. Mimo napomnień lekarzy, że nie powinna jeszcze wstawać, wyjęła dziecko z kołyski i poszła wolno przez trawnik w stronę wzgórza.

Poppy leżała cicho w jej ramionach, rozglądając się wokół szeroko otwartymi,

chłonącymi wszystko niebieskimi oczami. Margaret brodziła po kolana w kwiatach. Przejęta litością uklękła wśród maków, wyciągając przed siebie dziecko, żeby mogło je zobaczyć.

– Zobacz, maleńka – szepnęła – spójrz tylko, jakie piękne są te kalifornijskie kwiaty, a zrozumiesz, dlaczego twój ojciec dał ci ich imię. Popatrz, ich płatki tańczą na wietrze jak chmara pomarańczowych motyli. – Wysunęła niemowlę naprzód, żeby mogło zajrzeć w cudowne, złociste serce delikatnego kwiatu. – Zapamiętaj to sobie na zawsze, moje maleństwo, twój ojciec nazwał cię tak z powodu ich piękna.

Uniosła głowę i objęła spojrzeniem zielone pastwiska. Wszystko to, jak sięgnąć wzrokiem i jeszcze dalej, należało do jej męża i jego współnika.

– Któregoś dnia to będzie twoje – dodała – cała ta wspaniała, żyzna ziemia.

Dziecko wciąż wpatrywało się wielkimi oczami w kwiaty, zaabsorbowane ich kolorem i zapachem.

Rozdział 7

1880, KALIFORNIA

Rozalia odjeżdżając z rezydencji Mallorych ze smutkiem obejrzała się za siebie. Jakże inny był ten dwór od jej kipiącego życiem domu! Tu żaden pies nie wylegiwał się na ganku, koty nie bawiły się przy drzwiach kuchennych, na padokach nie pasły się klacze ze źrebietami. Podczas każdych odwiedzin zastawała Margaret w salonie lśniącym czystością. Ciężkie, przetykane złotem brokatowe kotary, które do połowy zasłaniały okna, wisiały w sztywnych, nie poruszonych niczyją ręką fałdach. Nie widziało się tu porozrzucanych bezładnie książek i pism, dziecięce zabawki nie zaśmiecały pięknego tureckiego dywanu. Zbyt grubo wyściełone sofy nie nosiły śladów, że ktoś na nich ostatnio siedział. Głębokiej ciszy nie mącił nawet bzyk przelatującej muchy.

„Jest tam tak pusto, jak w domu, w którym od lat nikt nie mieszkał” – pomyślała Rozalia z drzeniem. Trzepnęła biczykiem zad wierzchowca i wypuściła go w kłus, opanowana pragnieniem pozostawienia tej smutnej siedziby jak najszybciej za sobą.

Bóg świadkiem, zrobiła, co leżało w jej mocy, by przeniknąć ochronną skorupę, w jakiej zamknęła się Margaret, która uparcie nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że Jeb ją porzucił. Nie pojawił się w domu od sześciu miesięcy, jakie minęły od urodzin Poppy, a Margaret wciąż mówiła o nim tak, jakby mógł wrócić w każdej chwili, i podtrzymywała fikcję, że wszystko jest w zupełnym porządku

– Jeb po prostu nabrał ochoty na krótką podróż – oświadczyła, odpierając płynące z jak najlepszych intencji pytania Rozalii. – Nigdy nie mógł usiedzieć długo w miejscu. – Przechyliła ciężki srebrny dzbanek i naląła herbatę do kruchych porcelanowych filiżanek z takim spokojem, jakby wierzyła we własne słowa.

Tego dnia rano Nik powiedział Rozalii, że dom Jeba na Rosyjskim Wzgórzu w San Francisco jest wciąż zamknięty na głucho i nie ma tam żywej duszy poza dozorcą, który mieszka w suterenie. Natomiast prawnicy Jeba otrzymali od niego telegram z Monte Carlo, z poleceniem przekazania następnej okazałej sumy na rachunek pani Mallory. Tak więc Jeb przynajmniej nie uciekał przed finansową odpowiedzialnością za rodzinę.

Podczas wizyty Rozalia z rozmysłem spytała Margaret, czy miała jakieś wiadomości od męża, zastanawiając się, czy Margaret wspomni o pieniądzach.

– Ależ oczywiście! Prawie zapomniałam. Dostałam od niego bardzo miły list z Monte Carlo, całkiem długi. Można wnosić, że świetnie się tam bawi. – Głos Margaret podniósł się o parę tonów ze zdenerwowania. Kłamstwo było tak oczywiste, że Rozalii zrobiło się jej żal. – Jeb ma wielki dar pisania listów, w ogóle jest bardzo zręczny w słowach. Przedstawia wszystko tak obrazowo, że mam wrażenie, jakbym była z nim w Europie.

– Widział nie więcej tamtejszych widoków niż ty i ja! – zripostowała gwałtownie Rozalia. – Hazard, oto czym się zajmuje!

Margaret dumnie uniosła podbródek.

– Być może – powiedziała – ale wciąż opiekuje się mną jak należy.

Duże brązowe oczy Rozalii wypełniły się współczuciem. Margaret była mizerna. Jej gęste rude włosy zmatowiały, a skóra stała się woskowo blada, niemal

przezroczyista. Wyglądała jak ktoś, kto w bezsenne noce przewraca się na posłaniu, torturowany wspomnieniami. W oczach jednak miała wyraz przebiegłej cierpliwości, za którym czuło się skrytą nienawiść i wytrwałe oczekiwanie odwetu.

Rozalia zmuszała się do tych cotygodniowych wizyt tylko przez wzgląd na dziecko. Margaret nigdy nie była rada z jej widoku. O ileż łatwiej byłoby zostawić ją własnemu losowi! Lecz Nik, jako przyjaciel i współnik Jeba, poczuwał się do odpowiedzialności za nią i za dziecko. Margaret zaś, nawet jeśli kryła w sercu nienawiść do Jeba, niewątpliwie kochała córkę.

Zdaniem Rozalii Poppy, choć nie była tak ładniutka jak jej Angel, miała wrodzony łobuzerski wdzięk. Błękitne oczy, które odziedziczyła po ojcu, spoglądały figlarnie spod rudej czupryni i miały czarująco uniesione kąci. Skoro Margaret była zdecydowana udawać, że wszystko jest w porządku, i z własnego wyboru zasklepić się w osamotnieniu – to jej sprawa, ale jak mogła skazywać własne dziecko na życie w takiej pustelni?

Za szczytem wzgórza piaszczysta droga opadała w dół i w polu widzenia ukazał się kryty czerwoną dachówką dach pięknej siedziby Konstantów. Czujący blisko stajnię koń wyciągnął szyję, spragniony wybornego owsa. Widok własnego domu podniósł Rozalię na duchu. Gnębiło ją jednak poczucie winy, bo mimo wszelkich starań nie mogła wzbudzić w sobie sympatii do Margaret.

Niezwykle ciepła jak na tę porę roku pogoda trwała aż do grudnia i przyniosła ze sobą plagę much. Całe ich roje krążyły wokół bydła i koni; głośno brzęcząc wpadały do domu, mimo zawieszonych w drzwiach meksykańskiej zasłony z grzechoczących na wietrze paciorków. Rozalia pierwszy raz była szczerze zadowolona, że Greg przebywa w prywatnej szkole z internatem w San Mateo, gdzie nie dokucza mu ten kurz i sprzyjający chorobom upał. Trzymała Angel w pokoju dzieciennym, by chronić ją od gorącego wiatru i natarczywych much, i zaprzestała wizyt w domu Mallorych.

Mijał tydzień za tygodniem. Pewnego dnia o świcie na progu domu Konstantów zjawił się stary Indianin z dworu Mallorych. Mieszkał niegdyś w domu z suszonej cegły, pierwszym, jaki stanął na ranczu Santa Vittoria, i od samego początku

piastował u Jeba stanowisko kucharza i dozorca. Przeszedł piechotą piętnaście mil, zasłoniwszy twarz pasiastą opończę dla ochrony przed kurzem. Gospodyni Konstantów, Inez, była już w kuchni. Gdy Indianin zażądał, by obudziła seńora i senorę Konstantów, przerwała rozpalanie w wielkim żelaznym piecu i spojrzała na niego z pogardą.

– Senor już wstał i jest na górnych pastwiskach – odparła, oburzona podobną bezczelnością – a senora potrzebuje odpocząć.

– Ty obudzić senora zaraz! – Indianin postąpił krok naprzód, a w jego oczach pojawił się dziki błysk.

Inez cofnęła się nerwowo.

– Już, już lecę – obiecała bez tchu i pomknęła po schodach tak szybko, jak na to pozwalała jej tusza.

Rozalia usiadła sztywno wyprostowana, od razu przytomna.

– Czy coś się stało z dzieckiem?! – krzyknęła wyskakując z łóżka i biegnąc do drzwi.

– Nie, nie, senora, to nie dziecko. To stary Indianin państwa Mallorych. Jest tu, w kuchni. Mówi, musi się z panią zobaczyć. Nie wiedziałam, co zrobić.

Rozalia narzuciła szlafrok i zbiegła po schodach do kuchni.

– O co chodzi? – spytała z niepokojem.

– Missis zachorować dwa dni temu – oznajmił posepnym tonem Indianin. – Ona mówić, że to nic, ale ja widzieć już wcześniej taka choroba. Dziecko pana Jeba nie może tam być. To niebezpieczne.

Rozalia pobladła.

– Czy pani Mallory jest bardzo chora?

– Szybko jej się pogorszyć. Missis umrzeć wczoraj w nocy. Ale dziecko pana Jeba nie umrzeć. Ja przynieść je tutaj.

– Margaret nie żyje? – wyszeptała Rozalia, przyciskając rękę do serca. – Och, nie... nie, to nie może być prawda...

Jej wzrok spotkał się z dziwnymi, matowymi oczami Indianina.

– To prawda – powiedział Indianin obojętnie.
– Ale dlaczego nie posłaliście po pomoc? – zaszlochała.
– Missis nie potrzebować pomoc. Ona chce śmierci. – Odwrócił się ku drzwiom. – Chodź.

Rozalia wyszła za nim przed dom i spojrzała z niedowierzaniem na stojący w cieniu sykomora koszyk, naprędcie upleciony z trawy. W środku leżała śpiąca smacznie Poppy.

Rozdział 8

Podczas wizyt w Los Angeles Mike zatrzymywał się zawsze w hotelu „Beverly Hills”. Był przekonany, że w powietrzu unoszą się tu jeszcze twórcze fluidy, pozostawione przez sławnych reżyserów, pisarzy i gwiazdy filmowe, dla których hotel okresowo stawał się domem. Może po prostu sam spokojny luksus staroświeckich, ociekających przepychem wnętrz dawał mu natchnienie. Cokolwiek to sprawiło, większa część książki o Robbelardzie powstała właśnie tutaj, podczas wspaniałego dwumiesięcznego zrywu inwencji twórczej. Od tamtej pory datował się sentyment Mike’a. Hotel został zbudowany w 1912 roku, gdy w miejscu dzielnicy Beverly Hills były tylko uprawne pola i kilka nowo przeprowadzonych ulic, i od samego początku zasłynął jako najbardziej ekskluzywna rezydencja Hollywood.

Punktualnie o wpół do dziesiątej przyniesiono śniadanie. Mike, który spędził rano godzinę na korcie z zatrudnionym tu na stałe trenerem, zdążył już wziąć prysznic, przebrać się i był przygotowany na wszystkie niespodzianki dnia. Popijając kawę i gryząc grzankę z żytniego chleba zabrał się do studiowania nadesłanej przez Liebera listy kandydatów do spadku po Poppy Mallory. Prawnik podzielił spis na dwie części, zatytułowane „Możliwe” i „Nieprawdopodobne”. Ta ostatnia liczyła dobrych kilkaset nazwisk, pierwsza zaś zaledwie pięć: Aria Rinardi, zamieszkała w Wenecji, bliźnięta Klaudia Galli, zamieszkała w Paryżu, i Pierluigi Galli, osiadły w Nowym Jorku (ich roszczenie potraktowano wspólnie, choć każde z nich skontaktowało się z Lieberem na własną rękę), Orlando Messenger w Londynie i Lauren Mallory

Hunter, mieszkająca właśnie tutaj, w Los Angeles.

„Można by równie dobrze zacząć od niej, skoro jest pod ręką. Przynajmniej ma właściwe nazwisko” – pomyślał Mike, czytając krótkie streszczenie historii Lauren, podane przez Liebera. Jej prababka wychowała się podobno na ranchu niedaleko Santa Barbara. Zarówno prababka, jak i pradziadek zmarli przed jej urodzeniem. Matka nazywała się Sonia Mallory Hunter. Mike wrócił wzrokiem do daty urodzenia Lauren. Dziewczyna miała zaledwie osiemnaście lat. Dlaczego w takim razie to nie Sonia Hunter upomina się o spadek? Pewnie jakiś konflikt między matką i córką. Może też Sonia po prostu przegapiła ogłoszenie – są przecież ludzie, którzy całymi miesiącami obywają się bez gazet.

Tak czy owak, opowieść Lauren o babce z Santa Barbara miała nader kruche podstawy i nie była poparta żadnymi dowodami oprócz rodzinnej Biblii, w której widniało nazwisko Mallory. Na tej podstawie oraz ze względu na pasujące daty Lieber wciągnął Lauren Hunter na listę. Mike rzucił okiem na „Nieprawdopodobne” i pomyślał, że może stary prawnik miał po temu racje, bo w porównaniu z wysysanymi z palca bredniami, jakie przysłali inni ludzie, wersja Lauren wydawała się solidna jak skała.

Podniósł słuchawkę i nakręcił jej domowy numer. Sygnał na drugim końcu zabrzączał dwanaście razy bez odpowiedzi, więc spróbował ją złapać „U Denny’ego” na Ventura, myśląc, że może jest już w pracy. Jakaś dziewczyna poinformowała go, że Lauren ma dziś dzień wolny.

– ...ale później będzie w „Norze Teddy’ego” – dorzuciła. – Pracuje tam jako kelnerka prawie co wieczór.

Mike znów wykręcił domowy numer Lauren, przekonany, że skoro ma wolne, jeszcze powinna być w domu. Wciąż nie było odpowiedzi. Z irytacją odłożył słuchawkę.

Nie pozostało nic innego, jak poczekać do wieczora.

Lauren słyszała telefon, lecz nie podnosiła słuchawki. To nie mogło być nic ważnego, pewnie Denny z wiadomością, że potrzebują jeszcze jednej kelnerki, więc

czy mogłaby przyjść? Dzisiaj nie było o tym mowy, nawet gdyby zapłacił jej potrójnie. Ten dzień należał do Marii. Lauren leżała w łóżku rozważając możliwości różnych rozrywek. Dziecko wywijalo w powietrzu pulchnymi nóżkami i próbowało złapać kolorową zabawkę, zawieszoną nad kołyską. Lauren wiele słyszała o dzieciach, które płakały bez przerwy i doprowadzały matki do szału, lecz w odróżnieniu od nich Maria była bardzo cicha i nie sprawiała najmniejszych nawet kłopotów. Nigdy nie płakała zostawiona w żłobku w ciągu dnia lub pod opieką dziewczyny do dziecka wieczorem, a na widok Lauren zawsze rozpromieniała się w uśmiechu.

– Maria! – zawołała do małej i uśmiechnęła się z zachwytem, gdy usta dziecka poruszyły się naśladując ruch jej warg i próbując powtórzyć za nią. Dźwięk, jaki wydało, był dziwnie wysoki i w niczym nie przypominał słowa „Maria”. – Próbuj dalej, skarbie – powiedziała zachęcająco – w końcu ci się uda.

W głębi duszy wcale nie była o tym tak przekonana. Pamiętała współczujące spojrzenie pielęgniarki w żłobku i jej słowa: „Maria jest tylko trochę inna, nie trzeba się tym za bardzo przejmować”.

Lauren chwyciła wtedy dziecko w ramiona i pobiegła do domu, próbując wymazać z pamięci wyraz oczu kobiety i słowa, które potwierdziły jej własne obawy. Musiała jednak w końcu pogodzić się z tym, że Maria jest inna, zagubiona we własnym, odrębnym świecie. „Nie rozwija się prawidłowo” – pomyślała Lauren smutno, używając najmocniejszego określenia, jakie mogło jej przejść przez usta. Nigdy nie użyłaby w stosunku do Marii dosadniejszych określeń, jak „opóźniona w rozwoju” czy „niedorozwinięta umysłowo”. Świadomość strasznej prawdy sprawiła tylko, że jej miłość do dziecka stała się jeszcze bardziej opiekuńcza i żarliwa. W nawracających sennych koszmarach Lauren przeżywała wciąż chwilę, kiedy Maria osiąga wiek szkolny i zgłasza się po nią inspektor oświaty. Widziała scenę rozstania, gdy siłą odbierają jej dziecko i kierują do jakiegoś zakładu zamkniętego. Wiele razy budziła się z krzykiem, złana zimnym potem. Wiedziała, że jeśli kiedyś do tego dojdzie, złamie im to obu serce.

Oparła się o poduszki i patrząc na małą, całkowicie pochłoniętą zabawą, zastanawiała się, ile razy można mieć złamane serce. Pierwszy raz przydarzyło się jej to, gdy miała dwanaście lat. Do domu zadzwoniono z fabryki Boeinga, w której jej ojciec pracował jako kierownik produkcji, z wiadomością, że dostał zawału i skonał, zanim jeszcze upadł na podłogę. Matka powtórzyła jej dosłownie ten zwrot i okropne wyobrażenie martwego ciała ojca, padającego na ziemię, wryło się w umyśle Lauren na zawsze.

Z początku nie wiedziała, jak uniesie ten ciężar, który osiadł jej na sercu, lecz zwykłą koleją rzeczy czas złagodził ból i po jakimś czasie wspomnienie nieco się zatarło. Drugi cios spadł dwa lata później, kiedy matka powiedziała jej, że chce znowu wyjść za mąż. Do tamtej pory Lauren była zwykłą pilną uczennicą szkoły średniej, jak inne nastolatki uczyła się, gdy było trzeba, a w wolnych chwilach bawiła na całego. W czasie weekendu zawsze była gdzieś jakaś impreza albo czekał gościnny dom którejś z przyjaciółek, w którym mogła zostać na noc. W sobotę rano myszkowały grupkami po sklepach, a w zimowe sobotnie popołudnia kibicowały szkolnej drużynie futbolowej.

Po usłyszeniu nowiny wybuchnęła dziką zazdrością. Teraz, po latach, patrzyła na to inaczej. Rozumiała, że było rzeczą jak najbardziej naturalną, iż jej matka w wieku zaledwie trzydziestu czterech lat zakochała się i zapragnęła ponownie wyjść za mąż. Wtedy, gdy miała świeżo w pamięci smutek po śmierci ojca, wydało jej się to straszliwą zdradą.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że z kimś chodzisz! – krzyczała na matkę. – Nie pisnęłaś o tym ani słowem! Założę się, że on nawet nie wie o moim istnieniu!

– Oczywiście, że wie – odparła uspokajająco Sonia Hunter. – Opowiadałam mu o tobie ze szczegółami. Wie, że jesteś świetną pływaczką, że dobrze się uczysz i chcesz w przyszłości studiować w Stanford. Wie nawet, że miałaś wietrzną ospę w wieku trzech lat i ile kosztowały klamerki na twoje zęby.

– Jak śmiałaś mu to powiedzieć! – wrzasnęła Lauren. – To są rzeczy, o których wiedział mój prawdziwy tatuś, nie on!

Sonia Hunter westchnęła z rezygnacją. Wiele osób było zdania, że trzeba się liczyć z taką reakcją własnego dziecka na wiadomość o zamiarze powtórnego małżeństwa, ale to wcale nie ułatwiało sprawy. Sonia miała długie do ramion, puszyste jasne włosy, zawsze starannie ułożone przez fryzjera, i wygląd schludnej, dobrze utrzymanej kobiety, która dba o figurę. Chodziła na gimnastykę i ćwiczyła w siłowni do siódmych potów na nautilusie. Piła dużo świeżych soków, była entuzjastką zdrowej żywności i wychowała swoją córkę na tej samej diecie. Owszem, Lauren miała klamerki na zębach, lecz za to zęby te były lśniaco białe, oczy przejrzyste, a skóra gładka i bez skazy. Podobnie jak u matki, na jej ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu.

Sonia starała się robić dobrą minę do złej gry. W weekendy, gdy Doug przyjeżdżał z San Diego, gdzie pracował jako prawnik, próbowała z całych sił stworzyć rodzinny nastrój, aby jej córka nie czuła się zapomniana. Czternastoletnia Lauren przechodziła jednak ciężki okres przepoczwarczenia się z dziecka w młodą kobietę. Myśl o tym, że jej mama śpi z Dougiem i koleżanki w szkole o tym się dowiedzą, budziła w niej odrazę. Zaczęła się opuszczać w nauce. Nie odrabiała prac domowych. Łazikowała po mieście i jeździła po bulwarach z paczką innych nastolatków jakimś przedpotopowym gruchotem.

Lauren zawsze była nieśmiała i najlepiej czuła się w grupie, gdzie ginęła w cieniu innych. Nie wiedziała nawet za bardzo, co powiedzieć chłopcu, gdy umówi się kiedyś na prawdziwą randkę. Nie uważała się za piękność i żałowała, że nie jest wyższa, lecz z pewnością była pociągająca. Miała gibkie ciało o wąskich biodrach, zgrabne nogi i małe, spiczaste piersi. Matka zawsze mówiła, że Lauren ze swoją gładką skórą, lśniącymi włosami i wrodzoną kalifornijską opalenizną rwie oczy i wygląda jak świeżo wyszorowany ronderek.

Wreszcie zdjęto jej z zębów klamerki podobne do szyn kolejki wąskotorowej, a wtedy chłopcy natychmiast zwrócili na nią uwagę. Zaczęła nosić krótsze spódniczki, które odsłaniały nogi, i w końcu nabrała dość pewności siebie, by umawiać się na randki. Nie grzeszyła śmiałością, lecz to samo można było powiedzieć o jej

towarzyszach i randka na ogół ograniczała się do seansu w kinie lub siedzenia w kawiarni czy chińskiej restauracyjce. Potem jeździli trochę po mieście, dopóki nie znaleźli zacisznego kąca, ale Lauren nigdy nie pozwalała na zbyt wiele. Nie zdawała sobie jasno sprawy, dlaczego odmawia, skoro inne dziewczęta szły na całego – a przynajmniej tak mówiły – lecz wcale jej do tego nie ciągnęło. Oznaczało zbyt wielką odpowiedzialność i było zbyt dorosłe. Stwierdziła, że ogólnie rzecz biorąc dużo bardziej woli długie wizyty z noclegiem u swoich przyjaciółek, wesołe i wypełnione plotkowaniem, niż odpieranie ataków jakiegoś nadgorliwego, spoconego zalotnika na tylnym siedzeniu samochodu podczas dusznej, upalnej kalifornijskiej nocy.

Matka i Doug wreszcie się pobrali i oznajmili Lauren, że będzie musiała przenieść się do nowej szkoły w San Diego, gdzie zamieszkają całą rodziną. Ku ich osłupieniu wiadomość wywołała burzę łez i protestów. Lauren miotała się po domu wyrzucając z siebie pretensje. Jak mogli jej coś takiego zrobić? Czyżby nie wiedzieli, że tu są wszyscy jej przyjaciele? Ludzie, których zna od zawsze? I tylko dlatego, że zachciało im się pobrać, każą jej wszystko rzucić i na nowo zaczynać od zera?! Co będzie z jej egzaminami? Miała już prawie siedemnaście lat, zbliżał się termin egzaminów wstępnych na studia... Jak to sobie wyobrażają, jeśli na krótko przed tym będzie musiała się przenieść do nowej szkoły, w której będzie inny rozkład zajęć i nieznanymi nauczyciele? Wiedzieli przecież, jak ważne były dla niej studia w Stanford!

– To niesprawiedliwe! – lamentowała i w końcu oświadczyła, że nigdzie nie wyjedzie.

– Mała ma zupełną rację – rzekł nerwowo Doug do Soni. – To naprawdę niesprawiedliwe.

Lauren przestała płakać i popatrzyła na niego podejrzliwie, zastanawiając się co to za nowy podstęp, lecz następne jego słowa brzmiały:

– To tylko rok, Soniu, musimy przecież dać jej szansę. Będę po prostu dojeżdżał do San Diego, a gdy pójdzie na studia, wtedy dopiero się przeniesiemy.

Lauren spojrzała na niego z uśmiechem i po raz pierwszy wydało jej się, że wszystko będzie dobrze. Nie trwało to długo. Wkrótce spadło nieszczęście, a wraz z nim przygniatający ciężar winy. Gdyby tylko mogła zawrócić czas, wyjechałaby potulnie do San Diego.

O siódmej wieczorem nie wiedziała, która z nich jest bardziej zmęczona: ona czy Maria. Dziecko, odurzone świeżym powietrzem i wrażeniami z zoo, spało już w najlepsze w swojej kołysce. Lauren ocieężałą ręką zrobiła makijaż, włożyła obcisły trykot, czarne rajstopy i pantofle na wysokim obcasie. Teddy narzekał ostatnio, że za bardzo schudła.

– Została z ciebie skóra i kości, Lauren – ostrzegł ją. – Gdyby nie to, że masz ładny tyłeczek i świetne nogi, musiałbym cię zwolnić.

– Wielkie dzięki! – odparowała ze złością.

– Jesteś kelnerką w nocnym klubie – odpowiedział, wzruszając ramionami – i wiesz, jakie są wymagania. Umiesz wprawdzie roznosić drinki tak, żeby ich nie rozlać, wydajesz dobrze resztę i nie próbujesz wsunąć ukradkiem dziesięciu dolców do kieszeni, ale to potrafi setka innych dziewcząt. Faceci lubią mieć na co popatrzeć, gdy ich obsługujesz. Lepiej rzuć w diabły to odchudzanie i zrób coś z sobą.

Lauren, choć z najwyższą niechęcią, musiała przyznać mu rację. „Nora Teddy’ego” słynęła z ładnych kelnerek. Ona sama zaś po prostu nigdy nie miała czasu ani pieniędzy na właściwe jedzenie i żywiła się podłym, barowym żarciem.

Gdy weszła do klubu, było w nim cicho i spokojnie. Przy barze siedziało dwóch mężczyzn, jeden czy dwa ze stolików z tyłu, w przyćmionym świetle, były zajęte. Zespół muzyczny, który miał grać dziś wieczór, próbował właśnie mikrofonów i rozstawiał sprzęt. Pozostałe kelnerki stały przed estradą i plotkowały. Przeczesała włosy, musnęła usta szminką, poperfumowała się i poszła w ich stronę.

Mike Preston, który obserwował ją z barowego stołka, porównał jej twarz z małą kolorową fotografią, dołączoną do notatek Liebera. Zdjęcie wyglądało na wyjęte z albumu szkoły średniej. Uczennica na fotografii, z lśniąco rudoblond włosami,

szeroko otwartymi niebieskimi oczami i czarującym, choć nieśmiałym uśmiechem, wyglądała słodko i dziewczęco, natomiast kelnerka, którą miał przed sobą, była wychudzona, wyraźnie przemęczona, a między jej brwiami rysowała się zmarszczka strapienia. Pomyślał ze smutkiem, co też mogło zmienić tego wrażliwego podlotka w zatroskaną młodą kobietę.

Ustawiała popielniczki na stołach i sprawdzała, czy nie wypaliła się któraś ze świeczek w czerwonych czarkach. Mike wziął swoją szklankę i podszedł do niej.

– Lauren Hunter? – spytał. Poderwała raptownie głowę i spojrzała na niego z lękiem. – Przykro mi, jeśli napędziłem pani stracha – ciągnął łagodnie. – Dostałem pani nazwisko od Johanna Liebera, prawnika z Genewy. Prosił mnie, bym się z panią spotkał. U pani w domu nikt nie odpowiadał na telefon. Dzwoniłem do „Denny’ego” i dowiedziałem się, że pani tutaj pracuje wieczorami.

– Od Johanna Liebera? – powtórzyła zdumiona.

– Chodzi o spadek po Poppy Mallory.

Pod Lauren nagle ugięły się nogi i osunęła się na krzesło. ,

– Czy to znaczy, że naprawdę ja jestem tą spadkobierczynią?

– Niestety, nie wiemy jeszcze, kto dziedziczy po Poppy – odparł szybko Mike. – Lieber chciał jedynie, żebym się z panią spotkał i poznał więcej szczegółów. – W utkwionych w niego oczach odmalowało się wyraźne rozczarowanie, więc dodał: – Oczywiście, taka możliwość wcale nie jest wykluczona. Jestem tu tylko po to, żeby uściślić dane.

– Rozumiem. Cóż, niewiele mam do dodania. Napisałam wszystko w liście do pana Liebera. Nie byłam nawet pewna, czy to ma sens, ale ostatecznie warto było spróbować. Jak to mówiła moja mama, szczęściu trzeba dać szansę, bez tego nic się w życiu nie osiągnie. Zresztą wszystko, co napisałam, to szczerą prawdą!

– Nie wątpię w to – uspokoił ją. – Chciałbym tylko pogawędzić trochę z panią na ten temat, jeśli można.

Rozejrzała się nerwowo po pomieszczeniu, w którym wciąż przybywało ludzi.

– Muszę wziąć się do pracy – powiedziała wstając z krzesła.

– Czy możemy się później spotkać? – spytał Mike. – O której pani kończy?

– O pierwszej. Ale nie wiem... Będę musiała zawiadomić dziewczynę do dziecka.

– Rozumiem – odparł Mike, dośpiewując sobie w myślach resztę.

– Tak się tylko panu wydaje – Lauren spojrzała mu prosto w oczy. – Nic pan nie rozumie. Będę tu o pierwszej.

Roztrząsał w myślach te słowa dopijając drinka i patrząc, jak Lauren uwija się zręcznie i szybko między stolikami. Nie oszczędzała się – wiedział, że w ciągu dnia podawała „U Denny’ego”. Taka młoda, bystra dziewczyna powinna być w college’u, zamiast harować na dwóch posadach, lecz teraz Mike znał powód. Ciężka na niej odpowiedzialność za dziecko, musiała zarabiać na jego utrzymanie.

Nie mając nic do roboty, obejrzał film w kinie na Hollywood Boulevard, przegryzł coś po drodze i wrócił do klubu Teddy’ego za kwadrans pierwsza. Lauren skinęła mu głową i wskazując na zegarek wymówiła bezgłośnie: „O pierwszej”. Mike usiadł przy barze, zamówił drinka i skierował wzrok na tłum, kłębiący się na parkiecie. Muzyka dudniła tak głośno, że przenikała drzeniem całe ciało. Zastanowił się, jak Lauren może to znosić dzień po dniu, potem iść do domu do swego dziecka, które na pewno budziło się o szóstej rano kipiąc energią, podczas gdy biedna matka szykowała się do kolejnego dnia pracy w restauracji „U Denny’ego”. Doprawdy, miał nadzieję, że to ona jest dziedziczką fortuny Poppy Mallory. Komu jak komu, ale jej z pewnością przydałaby się ta forsa!

– Cześć – powiedziała Lauren, zatrzymując się przy nim. Włożyła na obcisły trykot spodnie i starą kurtkę dzinsową. Bez szminki i makijażu wyglądała na szesnaście lat. Uświadomił sobie nagle, że tak naprawdę ma niewiele więcej. Wziął ją pod ramię, czując mimo grubego dzinsu, jak jest szczupłe i kruche, i poprowadził przez tłum. Zbudziła się w nim opiekuńczość i chęć, żeby nakarmić to chucherko.

– Nie jest pani głodna? – spytał.

– Trochę.

– Jaką kuchnię pani lubi?

– Chińską – odparła bez wahania.

Zabrał ją do „Nowiu” na Ventura Boulevard i patrzył, jak pochłania naleśniki nadziewane wieprzowiną, cebulą i pędami bambusa, wołowinę w sosie z czarnej fasoli i singapurskie bułeczki.

– Już lepiej? – spytał z uśmiechem.

– No chyba! – Lauren westchnęła z zadowoleniem. – Dziękuję, panie Preston. To było wspaniałe! Dawno nie miałam takiej uczyty.

Dla tej dziewczyny ucztą był obiad w drugorzędnej chińskiej garkuchni, gdzie stoliki są nakryte ceratą! No, ale przynajmniej stała się teraz pogodniejsza. Zyskała bardzo na urodzie, gdy z jej oczu znikł wyraz niepokoju. W ich błękitnej głębi odbijała się każda zmiana nastroju. Łatwo było odczytać jej myśli ze zmiennego wyrazu tej niebieskości.

– Kim pan właściwie jest? – spytała sącząc colę. – To znaczy, wiem, że ma pan coś wspólnego z panem Lieberem, ale na czym to dokładnie polega?

– Prawdę mówiąc, jestem pisarzem.

– To pan jest tym Mikiem Prestonem! – krzyknęła z niebotycznym zdumieniem.

– Przecież czytałam pana książki!

– Przyznaję się do winy – uśmiechnął się szeroko.

Lauren spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem.

– Nigdy nie spotkałam sławnego pisarza ani zdobywcy nagrody Pulitzera. Już w klubie Teddy’ego pana twarz wydała mi się znajoma. Teraz sobie rzecz jasna przypominam, że widziałam pana parę razy w telewizji. Pomyślałam, że wygląda pan oryginalnie; trochę sterany życiem, jak Jean-Paul Belmondo... W rzeczywistości jest pan dużo przystojniejszy. – Zasłoniła ręką usta i oblała się rumieńcem. – Zawsze chlapnę coś bez zastanowienia – dodała przepraszająco – i na ogół nie to, co trzeba, ale tym razem to prawda – zerknęła na Mike’a figlarnie.

Ich oczy spotkały się nad stolikiem. W milczeniu taksowali się nawzajem wzrokiem. Lauren poczuła dreszczyk biegnący wzdłuż kręgosłupa. W spojrzeniu mężczyzny naprzeciwko było coś, co mąciło jej spokój, jakiś niezwykły wyraz, zupełnie inny niż nieme zachęty, jakie posyłała jej faceci w klubie Teddy’ego. Ten

wzrok był głębszy, nawiązywał między nimi nic intymnego porozumienia.

– Jean-Paul Belmondo... skąd go pani zna? – spytał Mike, nie odrywając od niej oczu. – Jest pani zbyt młoda.

– Czasami po powrocie do domu nie mogę spać i oglądam różne stare zagraniczne filmy w telewizji – odwróciła nieco głowę, żeby przerwać niepokojący kontakt wzrokowy, i wypła łyk coli. – A skąd się biorą sławni autorzy?

Jej prostolinijność rozbawiła Mike'a.

– Ten, którego pani widzi przed sobą, wziął się z Madison w stanie Wisconsin. Wychowała mnie moja ciotka Marta, bo tylko ona mi została po śmierci ojca i ucieczce matki z wędrownym komiwojażerem – to ci dopiero temat na powieść!

– Jak było w Wisconsin? – spytała. – Nigdy nie ruszyłam się dalej niż do San Diego.

Wzruszył ramionami.

– Normalnie, mały dom w stylu hacjendy na średniozamożnym przedmieściu. Ciotka Marta jest wyznawczynią wszystkich dobrych, starych zasad: kościół w niedzielę, szacunek dla starszych i wyżej postawionych, uczciwa praca i miłość dla kraju. By zarobić na kieszonkowe, kosiłem trawniki, wynosiłem śmieci i wykonywałem inne zajęcia, które uważała za odpowiednie dla dorastającego chłopca. Co dzień rano wciągaliśmy flagę na maszt na frontowym, trawniku, a o zachodzie spuszczałyśmy ją na dół. Zanim odrobiłem lekcje, nie było co marzyć o wymknięciu się na koszykówkę albo urwaniu z kumplami do kina dla zmotoryzowanych.

– Założę się, że miał pan krążownika szos, wielką limuzynę z wysokimi błotnikami jak stateczniki samolotu.

– Pewnie, że tak. Powiem pani, co jeszcze miałem: ciasta domowej roboty, gdy wracałem ze szkoły, najlepszy na świecie placek jagodowy i niedzielną pieczeń ciotki Marty. Bez mała czuję teraz jej zapach, zapamiętałem go na zawsze.

Lauren uśmiechnęła się do niego, a odbijające się w jej oczach zrozumienie i życzliwość skłoniły go do dodania:

– Wie pani, Lauren, ciotka Marta stała się dla mnie kimś więcej niż tylko krewną, która mnie przygarnęła. Miałem wówczas dziewięć lat, byłem zagubiony i przestraszony, a przyszłość przedstawiała mi się jako wielka niewiadoma i budziła śmiertelny lęk. Miłość ciotki pomogła mi przetrwać ten okres i trudne lata dojrzewania... Zawsze byłem za wysoki i wciąż wyrastałem ze swoich ubrań, co doprowadzało ją do szału. „Te wydatki! – mówiła surowo. – Nie możesz pomyśleć o wydatkach, Michael, i przestać rosnać?”

Lauren roześmiała się, a on zamilkł na chwilę.

– Nie wiem, dlaczego opowiadam pani to wszystko, ale to dobrze tak o niej z kimś porozmawiać.

– Czy ona jeszcze żyje? – spytała ostrożnie Lauren.

– No chyba! – wyszczerzył radośnie zęby. – Dzwonię do niej raz w tygodniu, choćby z najdalszego końca świata. Gawędzimy wtedy mniej więcej godzinę o tym i owym, o jej zebraniu kościelnym, moim ostatnim cyklu wykładów, jakbyśmy siedzieli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole i zajadali jedno z jej przepysznych dań. Pomagała mi w każdym życiowym dołku – dodał – z nieudanym małżeństwem włącznie.

– Młodo się pan ożenił?

Skinął głową.

– Mieliśmy oboje po dwadzieścia trzy lata i studiowaliśmy na uniwersytecie Northwestern. Nasz związek był chyba od początku skazany na niepowodzenie, ale w tym wieku niewiele się rozumie... – przerwał nagle, uświadomiwszy sobie jej wiek.

– Jaki pan jest inny – powiedziała Lauren cicho.

– Inny? Niż kto?

– Och, chyba inny niż mężczyźni, z którymi chodziłam.

– To dlatego, że jestem grubo starszy – stwierdził Mike z posępnym westchnieniem – choć nie spodziewałem się, że już w wieku trzydziestu siedmiu lat zostaną zaliczony do starych przyków.

Lauren wybuchnęła śmiechem. Mike'owi spodobał się ten śmiech: zadzwieczał radośnie w obskurnej restauracyjce, aż inni goście odwrócili głowy, żeby sprawdzić, kto się tak dobrze bawi. Zobaczył, jaka musiała być kiedyś, zanim przytłoczyły ją życiowe troski.

– Podtusiały lowelas zastawiający sidła na młodą spadkobierczynię wielkiej fortuny – powiedziała z przewrotną wesołością, po czym nagle spoważniała. – Ale to nie ja, prawda? Dziewczynom takim jak ja nie przytrafiają się takie rzeczy.

Wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń, drobnokościstą i trochę szorstką od ciężkiej pracy.

– Tego jeszcze nie wiemy – zapewnił i dla dodania otuchy uściśnił jej palce. – Stoimy dopiero u progu poszukiwań. Jestem z tym związany tylko pośrednio. Zobaczyłem ogłoszenie w gazecie i zadzwoniłem do Liebera, żeby dowiedzieć się, czy nie moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Ja rozglądam się za dobrym tematem na książkę, jemu zwała się na głowę cała masa domniemanych spadkobierców. Pomagam mu oddzielić ziarno od plew i jednocześnie próbuję poznać prawdziwą historię Poppy Mallory.

– Więc pan myśli, że należę do plew?

– Nie powiedziałbym tak, Lauren – stwierdził ostrożnie – ale twoje twierdzenia... no, opierają się na nieco kruchych podstawach.

Skinęła potwierdzająco głową.

– Tak naprawdę to tylko pogłoski. Wie pan, opowieść, przekazywana w rodzinie z pokolenia na pokolenie. Jedynym niezbitym faktem jest rodzinna Biblia z imionami i nazwiskami moich przodków. Nie ma wątpliwości, że pochodzę z Mallorych – wzruszyła ramionami – ale Mallorych są pewnie tysiące. W każdym razie nigdy nie znałam swojej babki ani prababki, ale moja mama zawsze mówiła, że prababka wychowała się na dużym ranczu niedaleko Santa Barbara.

Opuściła wzrok na pusty talerz i Mike dostrzegł ze zdziwieniem nagły lęk na jej twarzy.

– Mówiono, że po ślubie prababce pomieszało się w głowie – ciągnęła bardzo

cicho. – Urodziła dziecko, a potem uciekła od męża, więc dziecko oddano do adopcji. To dziecko było moją babką.

– Więc twierdzi pani, że pani prababka, Poppy Mallory, porzuciła dziecko i...

– Nie – przerwała mu Lauren – niemożliwe, żeby to była Poppy Mallory. Moja prababka urodziła się później niż ona. Może była jej córką...

– Rozumiem. – Mike spojrział z namysłem w notatki Liebera. – Tak, to by mniej więcej pasowało. Poppy urodziła się w 1880 roku, a jej córka prawdopodobnie przyszła na świat między 1898 a 1900 rokiem... Nie jesteśmy jeszcze tego pewni.

– Nie jesteście pewni? Myślałam, że znacie takie szczegóły, myślałam, że będziecie mi mogli powiedzieć...

– Obawiam się, że to nie takie proste. I tu się zaczyna moja rola: gromadzę wszystkie możliwe informacje w nadziei, że uda mi się poskładać z kawałków historię Poppy i ustalić, kto jest jej spadkobierczynią... lub spadkobiercą.

– Przykro mi, że niewiele panu pomogłam. – Lauren westchnęła ze znużeniem. – Nie sądzę, żebym miała duże szanse.

– Zawsze istnieje jakaś szansa, inaczej by mnie tu nie było. Zgłosiło się wiele osób, których opowieści nawet nie warto sprawdzać. Zdziwiłaby się pani, ile ludzi odpowiedziało na to ogłoszenie.

– Muszę jechać do domu. – Nagle na jej twarzy odbiło się zmęczenie i przygnębienie. – Opiekunka będzie się niepokoić. Dziękuję za obiad, panie Preston.

– Miło mi było panią poznać, Lauren – rzekł szczerze. – Szkoda, że musimy się już żegnać, ale trudno. Niech pani wraca do swego dziecka.

– Ja nie mam dzieci! – zaprotestowała gwałtownie. – To moja siostra.

– Siostra?!

Skinęła głową.

– Drugie małżeństwo mamy trwało tylko rok. Doug był prawnikiem w San Diego i miałyśmy się tam przenieść, żeby razem z nim zamieszkać, ale chciałam najpierw skończyć tutaj szkołę średnią. Widzi pan, miałam przed sobą egzaminy do college'u, tu byli moi wszyscy przyjaciele... Koniec końców, Doug dojeżdżał do nas, a czasami

mama jeździła do niego, gdy ja nocowałam u znajomych. Była w ciąży i strasznie się z tego cieszyła. Zwykle podróżowała do San Diego samolotem, ale wtedy była już w ósmym miesiącu i nie mogła latać. Wybrali się więc samochodem na weekend, a ja miałam iść na przyjęcie i przenocować u przyjaciółki. W środku nocy zjawiała się policja z wiadomością, że mama i Doug mieli wypadek. Ich samochód zderzył się z ciężarówką, prowadzoną przez pijanego kierowcę. Doug zginął na miejscu, a mama była w szpitalu, na oddziale intensywnej terapii, podłączona do sztucznego płucoserca... Poszłam do szpitala, żeby ją zobaczyć. Była taka ładna i jakby spokojna. Oddychała przy pomocy takiego specjalnego urządzenia, które chyba pompuje powietrze do płuc... nie wiem. Lekarze powiedzieli, że dziecko wciąż żyje i będą musieli zrobić cesarskie cięcie. Nic mu nie było... ale gdy je wyjęli, wyłączyli mamie płucoserce.

W oczach Lauren nie było łez, gdy rzeczowym tonem ciągnęła:

– Chcieli oddać Marię do adopcji. Stwierdzili, że nie będzie z tym kłopotu, bo jest wiele kochających się małżeństw, które mają dom, pieniądze i wszystko, o czym można zamarzyć, a nie mogą mieć własnego dziecka. Mówili, że tak będzie lepiej dla Marii... Nie pozwoliłam. Walczyłam do upadłego i w końcu nie mogli zaprzeczyć, że jako jej przyrodnia siostra mam prawo ją zatrzymać. Zdałam celująco egzaminy i dostałam się do Stanford, co było moim marzeniem, ale nie mogłam podjąć nauki. Maria była na pierwszym miejscu. A zresztą – dodała ze zdławionym, krótkim śmiechem – gdy Maria ukończy osiemnaście lat, ja będę miała trzydzieści kilka i wtedy mogę iść na studia... a że trochę później, to nic nie szkodzi, prawda?

– Absolutnie nic – powiedział Mike cicho. – Dzielna z ciebie dziewczyna, Lauren Hunter.

– Tylko ona mi została – stwierdziła Lauren z prostotą. – Wcale nie żałuję swojej decyzji. Maria jest dla mnie wszystkim.

Odprowadził ją na parking i poczekał, aż wsiądzie do starego mustanga. Włączyła zapłon i opuściła okno, żeby się pożegnać.

– Będę z tobą w kontakcie, Lauren – obiecał, opierając się o karoserię, żeby

spojrzeć na dziewczynę z bliska. Ich oczy znów się spotkały. – Powodzenia.

– Dobranoc, Mike – powiedziała, trochę bez tchu. – Jeszcze raz dzięki za chiński obiad. Był fantastyczny.

W nocy Mike nie mógł przestać myśleć o Lauren Hunter, a w snach wciąż widział jej uśmiech. Spał niespokojnie, przewracając się na szerokim łożu. Rano zbudził się zmęczony i przygnębiony. Pragnął móc jej powiedzieć, że wszystkie kłopoty dobiegły końca, że to właśnie ona jest spadkobierczynią Poppy Mallory. Niestety, na nieszczęście dla Lauren, w prawdziwym życiu sprawy rzadko tak się układają. Czyż Poppy mogła kiedy przypuścić, ile przedwczesnych nadziei wywoła jej tajemniczy testament?

Luksusowy pokój wydał mu się duszny, gdy leżał rozmyślając o historii Poppy i jej ojca, Jeba, jaka zaczęła się wyłaniać z pamiętników Rozalii.

Rozdział 9

1881, KALIFORNIA

Jeb Mallory zszedł z pokładu kursującego wzdłuż wybrzeża parowca „Santa Rosa”, wymachując beztrudnie trzcinową laską. Laska, ze srebrną główką w kształcie głowy lwa, została podobno wykonana dla rosyjskiego księcia, który przegrał w Monte Carlo całą swoją spuściznę i majątek. Jeb kupił ją przypadkowo w lombardzie z zamiarem podarowania Nikowi, lecz uznał, że laseczka nadaje mu wygląd europejskiego eleganta, więc zatrzymał ją dla siebie.

Nosił srebrzystej szarości spodnie z cienkiej wełny i czarną marynarkę z najlepszego sukna, uszyte przez jednego z najznakomitszych londyńskich krawców z Savile Row. Jego buty z czarnej miękkiej skóry były ręcznej roboty i robione na miarę w ekskluzywnym londyńskim zakładzie szewskim, a lekki płaszcz z kaszmiru, który miał zarzucony na ramiona, został kupiony w Paryżu. Jedwabny krawat o metalicznie szarym kolorze pochodził z Włoch, a wpięta w niego duża perła została, według zapewnień jubilera z Monte Carlo, wyłowiona w największych głębinach mórz południowych. Lśniący cylinder nałożony był idealnie pod właściwym kątem.

Całość stroju stanowiła wzorowy przykład głębokiej żałoby.

Wyjął z masywnego złotego pudełka grube cygaro marki Romeo y Julieta i obciął równo jego koniuszek małą złotą gilotynką. Stuliwszy dłonie, zapalił cygaro drewnianą zapalką, wyjętą z mniejszego złotego pudełeczka, i wypuściwszy z rozkoszą kłęb dymu, uśmiechnął się do grupki olśnionych dzieciaków, które zebrały się, żeby popatrzeć na parowiec z San Francisco, a teraz podziwiała jego.

Wsiadając do powozu hotelu „Arlington” Jeb przyjrzał się współpasażerom i uniósł lekko cylindra, rozpoznawszy żonę miejscowego architekta, która była obecna na jego ślubie. Był zaskoczony, kiedy odwróciła twarz, jak gdyby go nie poznała. Wzruszył obojętnie ramionami myśląc, że nie widziano go tu przez pewien czas, a w swoim nowym europejskim ubraniu wyglądał zapewne jak cudzoziemiec.

Miasto było bodaj jeszcze mniejsze, niż wydawało się we wspomnieniach. Powóz toczył się wolno wzdłuż półkolistej plaży. Mijał właśnie okazałą rezydencję rodziny Diblee, Punta del Castillo, z sufitami malowanymi przez francuskiego artystę-malarza i wspaniale rozplanowanymi ogrodami. Był to najpiękniejszy dom w Santa Barbara, dokładnie taki, jaki Jeb chciałby wybudować dla siebie. „Ale nie w Santa Barbara” – pomyślał z uśmiechem. Zbyt tu prowincjonalnie. Jego nowa fortuna pozwoli mu wznieść ten pałac na brzegu rzeki Hudson w Nowym Jorku, a może raczej w Newport na Rhode Island, w sąsiedztwie magnatów kolejowych, królów ropy naftowej i gigantów przemysłowych w rodzaju Rockefellera, Vanderbilta i J. Pierponta Morgana.

Powóz przejechał podskakując na wybojach koło targu rybnego Larco, gdzie jak zawsze ten sam biały pelikan grzebał w stercie rybich odpadków. Po prawej stronie był stary niebieski dom z suszonej cegły, otoczony żelaznym parkanem – siedziba doktora Shawa – a kawałek dalej przed domem Morrisów ten sam co zawsze pucybut wykonywał swój zawód. Minęli sklep siodlarski Loomisa, gdzie Nik po raz pierwszy ujrzał Rozalię, sklep spożywczy Shawa, a potem kowala, gdzie w zalanej czerwonym blaskiem kuźni podkuwano konia. W jednej uliczce mieściła się chińska dzielnica, gdzie sędziwi starcy ze szpakowatymi związanymi z tyłu włosami, w

czarnych czapeczkach, siedzieli jak dawniej przed swoimi sklepami, w zamyśleniu paląc długie fajki, a kobiety w jedwabnych kaftanach i spodniach dreptały szybko po chodniku małymi, skrępowanymi stopami w grzechoczących drewniakach.

„Nic się tu nie zmieniło i nigdy się nie zmieni” – pomyślał Jeb, zaciągając się cygarem, żeby zwalczyć natrętny zapach chińskich trociczek. Dostrzegł katolicki kościół z czerwonej cegły, lecz przypomniał sobie, że Margaret nie została tu pochowana; spoczywała na prezbiteriańskim cmentarzyku na wzgórzu. „Na pewno nawet w trumnie miała twarz odwróconą do ściany” – pomyślał z urazą. Oczywiście czuł żal z powodu jej śmierci, lecz tak naprawdę nie żywił już dla niej żadnych uczuć. Przekreśliła go ostatecznie, wyrzuciła ze swego łóżka i z serca. Któż mógłby go winić za to, że gdzie indziej szukał zapomnienia?

Woźnica skreślił w szeroką bramę hotelu „Arlington”. Jeb czuł się tak, jakby jego nieobecność trwała długie lata, a nie niespełna rok. Był teraz człowiekiem światowym, któremu obcy jest leniwy rytm życia w Santa Barbara. Nowo zdobyta ogromna fortuna, wygrana przy karcianych stolikach Monte Carlo, paliła mu kieszeń; korciło go, by wydać ją na wszelkie rozrywki. Najpierw jednak policzył się z Nikiem Konstantem.

Gdy zarządzający hotelem pokazał mu jego apartament, Jeb zaczerwienił się z gniewu. Tu właśnie on i Margaret spędzali noc poślubną.

– Te pokoje mi nie odpowiadają – rzekł ostro. – Niech pan łaskawie znajdzie mi coś innego.

– Ależ, sir, to nasz najlepszy apartament! – zaprotestował hotelarz.

– Więc dajcie mi drugi pod względem jakości! – warknął kierując się do baru. Nie spodziewał się, że Margaret kiedyś jeszcze wzbudzi w nim irytację, lecz, na Boga, jeden rzut oka na ten pokój sprawił, że wszystkie złe wspomnienia wróciły wielką falą. Dopiero gdy sączył drugą whisky, wzmocnioną piwem, jego myśli znów pobiegły w stronę Nika i listu, jaki od niego otrzymał.

Siedział wtedy w innym barze – w bogato zdobionej sali słynnego „Hotel de Paris” w Monte Carlo. Gdy przeczytał list, stwierdził z przerażeniem, że ręka mu

drży, a w oczach szczypią łzy.

Czekałem długo, aż wrócisz, przynajmniej po to, by pójść na grób Margaret – pisał Nik – lecz przez te wszystkie miesiące otrzymaliśmy od ciebie tylko jeden telegram. Nie mogę znaleźć dość mocnych słów, by powiedzieć, co myślę o Twoim postępowaniu. Zamiast włóczyć się po świecie, powinieneś trwać przy chorej żonie, a tak zmarła bez niczyjej opieki. Moim zdaniem, ponosisz całą winę za śmierć Margaret. Nie mogę ci tego wybaczyć, Jeb, i piszę, aby Cię powiadomić, że możesz uważać naszą przyjaźń za skończoną. Co się tyczy naszego wspólnictwa w interesach, ponieważ nie wydajesz się już interesować ranczem Santa Vittoria, jestem gotów odkupić od Ciebie Twoją połowę na warunkach, jakie Ty i Twoi prawnicy uznacie za dogodne.

Chociaż w telegramie nie napomknąłeś ani słowem o swojej córce ani też nie wyraziłeś zainteresowania co do miejsca jej pobytu i stanu zdrowia, zawiadamiam Cię, że jest pod naszą opieką. Jeśli Cię to w ogóle interesuje, dodam, że śliczne z niej dziecko. Niech Ci Bóg wybaczy, Jemie Mallory, bo ja z pewnością nigdy się na to nie zgodzę.

List był podpisany: „Nikołaj Konstantinow”.

Jeb wychylając trzecią whisky wiedział, że musi jeszcze dziś zobaczyć się z Nikiem.

Czekał całą godzinę, siedząc samotnie w bibliotece rezydencji Konstantów, zanim Rozalia wróciła wreszcie z zagród dla owiec. Wpadła do pokoju z na wpół rozplecionym warkoczem, trzymając na ręku nowo narodzone, słabe jagniątko, które tu nazywano *lepe*.

– Jeb! – krzyknęła, otwierając szeroko ze zdumienia brązowe oczy. – Nie spodziewaliśmy się ciebie.

– Podróżnik wraca do rodzinnej przystani – odparł lekkim tonem, całując ją w policzek. – Witaj, Rozalio.

– Muszę znaleźć temu biedactwu ciepłe miejsce w kuchni, blisko komina. – Cofnęła się niepewnie. – Będzie je trzeba karmić butelką, wiesz.

– Przybyłem tu w ważniejszej sprawie, niż *lepes*. – Jeba rozbawiło jej zakłopotanie. – Chciałem ci podziękować za to, co zrobiłaś dla Margaret. – Wyjął plik tysiąc dolarowych banknotów i wyciągnął w jej stronę. – To w nagrodę za twoją opiekę – oświadczył z uśmiechem.

Rozalia spojrzała z przerażeniem na gruby plik banknotów.

– To nic wielkiego. Każdy postąpiłby tak samo na moim miejscu. Żałuję tylko, że nie byłam przy niej, gdy mnie potrzebowała. Nie masz mi za co dziękować, Jeb.

– A ja bym powiedział, że masz jej za co dziękować!

Nik wszedł twardym krokiem do pokoju i objął opiekuńczo Rozalię, mierząc Jeba gniewnym wzrokiem. Koszulę miał poplamioną krwią – jeszcze przed chwilą pomagał przy wykotach owiec – i z potarganą brodą i nastroszonymi włosami wyglądał jak dzikus. Jeb ruszył ku niemu ze swobodnym uśmiechem na ustach.

– Nik, chłopcze, powtarzasz moje własne słowa. Oczywiście, że mam jej za co dziękować. Wam obojgu. Nigdy nie zdołałem się wam odwdziżyć za to, coście zrobili dla Margaret.

– Rozalia zasługuje na twoje podziękowania – rzekł Nik z pogardą – ale nie potrzebuje twoich brudnych pieniędzy. Czy wygrałeś je, gdy Margaret leżała na łożu śmierci? A może wtedy, gdy ją grzebano? Pewnie chciałbyś usłyszeć jeszcze trochę szczegółów? O jej cierpieniu? O jej śmierci w opuszczeniu? O tym, że była zbyt wątła, wycieńczona troskami i zmartwieniami, jakich jej przysporzyłeś, żeby zwalczyć tyfus? – Przemierzał pokój gniewnymi krokami. – Ale pogrzeb przypadłby ci pewnie do gustu! Wszyscy się na nim zjawili wszyscy, którzy parę lat temu byli na waszym ślubie. Z wyjątkiem ciebie! – Nik uniósł szyderczo górną wargę. – Mąż doskonały w swoim wymuskanym, europejskim żałobnym garniturku. – Odwrócił się z nagłą odrazą. – Dostałeś mój list. Chcę odkupić twoją część rancza Santa Vittoria, żeby twoja noga więcej tu nie pozostała. Wymień tylko sumę, a prawnicy sporządzą dokumenty.

Twarz Jeba zalał rumieniec gniewu.

– A więc tyle zostało z tej wielkiej przyjaźni między nami, chłopcze! I naszej

spółki! Pamiętasz Nikołaja Konstantinowa? Tego gołowąsa, który dopiero co zszedł na ląd, gdy go wzięłem pod swoje skrzydła? Pamiętasz, że to właśnie dzięki mnie wygraliśmy udziały w tym ranczu? Beze mnie byłbyś niczym! – dodał pogardliwie.
– A teraz mówisz, że chcesz odkupić moją część!

– Pamiętam to wszystko – Nik zbliżył się do Jeba, górując nad nim groźnie. – To moje pieniądze były stawką w grze o pierwsze pięćdziesiąt akrów, ja swoją ciężką pracą zrobiłem z rancza Santa Vittoria to, czym jest dzisiaj. A coś ty zrobił dla jego dobra, Jebie Mallory? Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? Grałeś i uganiałeś się za dziwkami w San Francisco!

Rozalia uwiesiła się jego ramienia, wciąż ściskając jagnię na rękę.

– Nik, proszę, nie mów takich rzeczy!

Nik odwrócił się z pełnym niesmaku wzruszeniem ramion, lecz Jeb chwycił go za rękę i zatrzymał na miejscu.

– Wpakowałem dużo forsy w tę posiadłość, panie Nikołaju Konstantinow – powiedział przez zaciśnięte zęby – i gdyby nie to, co zrobiłeś dla Margaret, klnę się na Boga, że zabiłbym cię w tej chwili jak psa!

Śmiech Nika był pełen pogardy.

– To dla ciebie typowe, Jeb, bić się za swój honor, chociaż go nie posiadasz.

– Ty przekłety...! – ryknął Jeb podnosząc pięść.

Rozalia rzuciła się między nich.

– Proszę, och, proszę, nie róbcie tego! Nie podnoście na siebie ręki w moim domu!

Jeb odstąpił w tył, kipiąc z gniewu. Przeszył Nika wściekłym spojrzeniem.

– Jedno ci mogę powiedzieć, nigdy nie dostaniesz mojej części rancza! Na Boga, chłopcze, dopilnuję, żebyś nie dostał już ode mnie ani centa! Nigdy nie dostaniesz w swe ręce niczego, co należy do mnie!

Nik z kamiennym spokojem założył ręce na piersi.

– Zobaczymy – rzekł wzruszywszy ramionami. – Jeszcze zobaczymy.

Jeb wyszedł sztywnym krokiem z pokoju. Rozalia pobiegła za nim, wciąż

przyciskając jągnię do piersi. „On nie może po prostu tak odejść – pomyślała z rozpaczą. – Nie zapytał nawet o córkę, nie zobaczył jej”.

– Jeb! – zawołała za nim, gdy zbiegał po schodach. – A co z Poppy?

Stanął jak wryty, a potem odwrócił głowę i spojrzał na nią, jakby nie rozumiał, o czym mówi.

– Poppy – powtórzył, odgrzebując w pamięci coś dawno zapomnianego. – Ach tak, Poppy. Gdzie ona jest?

– W pokoju dzieciennym, z Angel.

Wbiegł susami na górę i ruszył długim krokiem po szerokim podeście z galeryjką do skrzydła dziecięcego. Rozalia wepchnęła *lepe* w ręce służącej i pospieszyła za nim. Angel, głęboko uśpiona, leżała w kołysce bliżej drzwi. Jej jasne puszyste loczki utworzyły śliczną aureolę wokół główki, a złote rzęsy przy delikatnych jak płatki lilii powiekach rzucały cień na gładkie policzki. Poppy była zupełnie rozbudzona, włoski miała nastroszone koło uszu, a jej uważne niebieskie oczka zerknęły z ciekawością na Jeba.

Oddał jej spojrzenie i poczuł wstrząs, jakby nagle ją rozpoznał: miała włosy matki i jej białą skórę, lecz, na Boga, od razu widać było, że płynie w niej dobra, stara irlandzka krew! Wyciągnął z kołyski miękkie wełniany koc i owinał w niego maleństwo. Wetknął tobołek pod pachę jak kłęb bielizny do prania i ruszył do drzwi. Rozalia rzuciła się za nim.

– Jeb! Dokąd ją zabierasz? Jeb, Jeb... och, proszę...

– Powiedziałem Nikowi, że nigdy nie dostanie niczego, co należy do mnie. Również mojej córki! – krzyknął znikając w korytarzu.

– Nik! Zatrzymaj go, och, zatrzymaj!

– Nie mogę – odparł ze smutkiem Nik. – Poppy jest jego dzieckiem, nie naszym.

– Tu się przynajmniej nie mylisz, chłopcze! – zawołał Jeb za szczytu schodów – i to ci powiem, że ani jej, ani mnie więcej nie zobaczysz na oczy!

Rozalii wydało się, że usłyszała gaworzenie dziecka, gdy Jeb wsiadł do powozu. Potem odjechali.

Mike odsunął krzesło od biurka i przeciągnął się z trudem. Był wyczerpany. Stojący na blacie zegar w stylu art deco wskazywał piątą trzydzieści. Cały rozdział poszedł gładko, słowa same wybiegały na papier. To jednak zaledwie początek tej historii. Tyle jeszcze pozostało do odkrycia!

Padł na łóżko. Wciąż nurtowała go myśl, że musi zgłębić osobowość Poppy. Zastanowił się, jaki mógł być charakter dziecka zrodzonego z takiej namiętności i chłodu zarazem. Czy to połączenie ognia i lodu odbiło się w jej naturze?

Rozdział 10

1881-1886, KALIFORNIA

W domu na Rosyjskim Wzgórzu dokonywano przeróbek i urządzano pokój dziecienny, a na ten czas Jeb z Poppy zamieszkali w najwytworniejszym apartamencie hotelu „Sir Francis Drake” w San Francisco. Jeb wezwał swą długoletnią przyjaciółkę i kochankę, Maraję Kent, śpiewającą i tańczącą gwiazdę rewiową z „Follies”, która miała złote serce, i poprosił ją o wyszukanie mu niańki do dziecka.

Następnego dnia zjawiała się Louise LaSalle, kandydatka na piastunkę Poppy. Louise była tancerką, lecz z różnych powodów nie wiodło jej się ostatnio najlepiej i z ochotą przyjęła propozycję stałego zajęcia. Powiedziała Jebowi, że pochodzi ze wsi i miała jedenaścioro rodzeństwa, więc wie wszystko o pielęgnacji niemowląt. To oraz fakt, że miała wspaniałe ciemne oczy i najjędrniejsze piersi, jakie Jeb widział od długiego czasu, sprawiło, że otrzymała posadę.

Pierwszego wieczoru, po położeniu Poppy do łóżeczka w przeladowanej ozdobami hotelowej sypialni z wysokim sufitem, Louise włożyła szlafroczek z czerwonego jedwabiu i poszła do pokoju Jeba, aby ofiarować biednemu wdowcowi odrobinę pociechy, co oczywiście zostało przyjęte wdzięcznym sercem.

Jeb postanowił, że Louise, jako piastunka Poppy, musi nosić specjalny strój, i wcisnąwszy w jej małą, zachłanną rączkę garść pieniędzy, wysłał dziewczynę, by

kupiła potrzebne rzeczy. Ujrzawszy rezultaty, ryknął gromkim śmiechem. Louise rozebrała się do czarnego gorsetu i czerwonych, jedwabnych majtek; schyliła się, by włożyć czerwoną halkę z falbankami, wypinając prowokująco kołyszącą się pupę. Postawiwszy nogę wysoko na stole, zadarła nowe spódnice i wyprostowała podwiązkę na pięknej, czerwonej, jedwabnej pończosze. Jeb jęknął z pożądania na widok pełnych piersi, wylewających się z gorsetu, i, ledwie zdążyła pokazać mu bluzkę z białej koronki, zdarł z niej wszystkie nowe łauszki i rzucił ją na łóżko. Jeśli Poppy płakała lej nocy, żadne z nich tego nie słyszało.

Piastunka, która wyglądała jak girlsa z francuskiej rewii, znalazła się na ustach całego San Francisco. Pchając przed sobą elegancki, przysłany z Anglii wiklinowy wózek, kroczyła ulicami z głośnym stukiem obcasów wysokich sznurowanych bucików. Spod perwersyjnie krótkich spódnic wyglądał jej zawsze brzeg czerwonej halki, a pełne piersi podskakiwały w głębokim wycięciu bluzki. Zadzierając wysoko nos Louise kwitowała spojrzenia przechodniów szerokim uśmiechem, w nadziei, że zdobyty rozgłos pomoże jej w zdobyciu rólki w „Follies”.

Jeb uwielbiał tę atmosferę skandalu, choć z pewnością nie darzył niani wielkim sentymentem ani też nie przyznawał jej prawa wyłączności. Pomimo hojnych napiwków i dobrodusznej sympatii, z jaką traktował personel, zarząd hotelu zaczął krzywo patrzeć na jego swawole i hulaszczce przyjęcia, toteż z głęboką ulgą powitał parę miesięcy później wieść, że dom Jeba jest już ukończony i pan Mallory się wyprowadza.

Jeb dał Louise dzień wolny i posadziwszy Poppy na kolanie, pojechał otwartym powozem w blasku czerwcowego słońca na Rosyjskie Wzgórze.

Angielski kamerdyner zbiegł ze schodów, spiesząc z pomocą, lecz Jeb odprawił go i swoim zwyczajem wetknął sobie Poppy pod ramię. Była ubrana w białą batystową sukienkę z kołnierzykiem z francuskiej koronki i zapinane na guziczki malutkie buciki z mięciutkiej kozłej skóry. Gdy Jeb wchodząc na schody mijał ustawioną rzędem służbę, rude włoski Poppy rozblęły w słońcu i gospodyni mruknęła z uśmiechem, że mała wygląda jak jesienna chryzantema.

Jeb z cygarem w ręku i Poppy pod pachą pomaszerował po wielkich marmurowych schodach do pokoju dzieciennego.

– Pewno myślałaś, że zapomniałem, co? – powiedział triumfalnie do córki. – Nie, kochanie, byłaś w błędzie! Nikt nie powie, że tatuś zapomniał o twoich pierwszych urodzinach. – Poppy utkwiała w nim szeroko otwarte oczy. Odrzucił głowę w tył i zaśmiał się. – To jasne jak słońce i założę się, że rozumiesz, co mówię, chociaż masz dopiero roczek. Jest w tych ślicznych niebieskich oczkach błysk, który rozpoznaję. Prawdziwa z ciebie mała Irlandka, nie ma co! Nie martw się, twój stary ojciec dobrze wie, czego potrzeba dziewczynce... niezależnie od wieku! – To powiedziawszy, otworzył drzwi na całą szerokość i posadził ją na podłodze na środku pokoju.

Kupił dla niej wszystkie zabawki, o jakich jego zdaniem mogła zamarzyć. Były tu regimenty lalek o porcelanowych buziach i szklanych niebieskich oczach, które otwierały się i zamykały, z prawdziwymi włosami, blond, czarnymi i rudymi jak marchewka. Były małe naguski, które piszczwały, gdy Jeb je przewracał dla demonstracji, i szmaciane lalki z malowanymi twarzyczkami. Były psy na kółkach z futrem z wełny, zszywane ze skrawków materiału koty i puszyste króliki. Stał tam dom lalek, wypełniony po brzegi mebelkami, farma ze zwierzątkami, leżały stosy książek z obrazkami. Były też gumowe piłki o żywych kolorach i skakanki z przymocowanymi dzwonkami. Przy ścianie, stał olbrzymi drewniany koń na biegunach. Lśniący czarny, miał białą strzałkę na czole i grzywę z prawdziwego końskiego jasnego włosia.

Odsuwając na bok lalki, Poppy porachkowała w stronę konia. Złapała rączką za strzemień, podciągnęła się na nóżki i stała przez chwilę, chwiejąc się niepewnie i spoglądając błagalnie na Jeba, aż wreszcie podniósł ją i posadził w siodle.

– No proszę, moja mała – zachichotał – teraz pokaż, czy umiesz jeździć konno. – Promienny uśmiech rozjaśnił buzię Poppy. Jeb uśmiechnął się do niej w odpowiedzi. – Wiesz, jak go nazwiemy? – spytał chytrze. – Nazwiemy go Nik. Bo Nik to prawdziwy czworonóg i nie końska nawet, a wołowa dupa!

Myśl o Niku popsowała mu humor. Zdjął Poppy z siodła i zadzwonił na lokaja, żeby przyniósł mu butelkę szampana. Poppy siedziała wśród swoich nowych zabawek, obserwując go poważnym wzrokiem. Szybko opróżnił pierwszą butelkę i zażądał następnej. W połowie trzeciej odezwał się nagle:

– Hej, to nieładnie pić samemu. Masz, łyknij troszkę.

Przechyliwszy kieliszek, wlał nieco płynu w jej buzię. Zakrztusiła się i zaniósła kaszlem, mrugając załzawionymi oczkami.

– No patrzcie państwo, moja córka ma wybredny gust, zupełnie jak jej tata! – krzyknął, wybuchając pijackim śmiechem. – Poppy – powiedział, złożony całusa na jej okrągłym policzku – wiesz, kim jesteś, prawda? Jesteś córeczką swego tatusia. Nigdy o tym nie zapominaj.

Angielski kamerdyner wytrwał na posadzie tylko miesiąc. Po upływie tego czasu oznajmił Jebowi, że „znajduje swoją pracę nieodpowiednią” i odszedł, zgorzony rozpasanymi przyjęciami, grą w karty na okrągło przez cały tydzień i „zbrodniczym zaniedbaniem dziecka”, jak to ujęła gospodyni.

– Wychowuje się tu jak mała poganka – oznajmiła Jebowi z determinacją – żadnego uregulowanego trybu życia i te wszystkie... te wszystkie kobiety lekkich obyczajów, które się tu kręcą. I ta cała „piastunka”, która też nie jest lepsza! Nie mogę już tego dłużej znieść, panie Mallory, mówię panu, że to wprost łamie mi serce.

– Cóż, nie mogę sobie pozwolić na trzymanie gospodyni ze złamanym sercem, pani Drake, więc musi pani odejść. Natychmiast! – odrzekł Jeb zimno. – Dostanie pani tygodniową odprawę.

Pani Drake zachnęła się, a jej pulchna twarz poczerwieniała z gniewu.

– Według zwyczaju mam prawo do miesięcznej pensji.

Jeb wzruszył ramionami.

– Więc niech pani zostanie i to odpracuje.

Zmierzyła go gniewnym wzrokiem, ale wiedziała, że poniosła porażkę. Oddaliła się gwałtownie, mamrocząc pod nosem o „niemoralności i sędzie Pana nad

grzesznikami”.

Jeb tylko westchnął i wysłał kolejny list do Marai. Wkrótce wielki dom zaludnił się tyloma bezrobotnymi tancerkami i śpiewaczkami, że Jeb mógł z nich utworzyć własną trupę i czasami rzeczywiście urządzał rewię, zabawiając po królewsku swoich gości. Na stołach pojawiało się tyle homarów i szampana, że wystarczyłoby na zaopatrzenie transatlantyckiego liniowca. Dom na Rosyjskim Wzgórzu stał się miejscem spotkań przybyłych do San Francisco ludzi teatru, a Jeb wydawał przyjęcia dla śpiewaków operowych, odtwórców ról szekspirowskich, gwiazd rewiowych i linoskoków, muzyków i scenarzystów. I hazardzistów.

Wciąż jednak miał dosyć wdzięku i aż nadto pieniędzy, by zachować pozycję w snobistycznych sferach San Francisco. Każdego wieczoru, ubrany w nienaganny frak i biały krawat zjawiał się w swej łoży w teatrze. Zapraszano go na wszystkie kotyliony, przyjęcia i wieczorki muzyczne. Śliczne panienki z dobrych domów, zafascynowane jego reputacją, flirtowały z nim na oczach wszystkich, podczas gdy Jeb dyskretnie czarował – i często uwodził – ich matki. Każda z nich była przekonana, że tylko ona jedna byłaby w stanie nawrócić tę czarną owcę o uwodzicielskim uroku i uczynić z niej szanowanego członka społeczeństwa. Wystarczyłoby, aby Jeb się z nią ożenił.

Poppy rosła w tej atmosferze jak rozpieszczane zwierzątko domowe. Jeb nazywał ją „rozkosznym, ślicznookim kociątkiem”. Gdy Louise stała się zbyt wymagająca, zastąpił ją nową „piastunką”, a po niej zjawiły się następne. Żadna nie zagrzała miejsca dłużej niż kilka miesięcy. Jeb całkiem zapomniał o drugich i trzecich urodzinach córki, ale nie miało to dla niej żadnego znaczenia, bo i tak nie znała żadnych dzieci i nie mogłaby nikogo zaprosić. Poza tym przez cały czas odbywały się przyjęcia, na których wolno jej było sączyć szampana przez słomkę z własnego kieliszka, zjadać homara i ciasto czekoladowe. Jeba napawał dumą fakt, że nie miała po tym torsji.

Miała cztery lata, kiedy Jeb znów poczuł zew podróży i zabrał ją ze sobą do Francji. Poppy biegła z podnieceniem po stacji Union Square, patrząc na wielkie

pociągi, dyszące i parszające parą. Gdy wsiedli do wagonu, odkryła z zachwytem, że ma wyłącznie dla siebie mały pokoik, z opuszczanym ze ściany łóżkiem, a za oknem migają różne widoki. Po dwóch dobach znaleźli się w Chicago i stąd następny pociąg zawiózł ich do Nowego Jorku. Tutaj ona, tatuś i ostatnia piastunka, nie licząc sporej grupy przyjaciół papy, zanocowali w hotelu „Waldorf” i wstali wcześniej, by pojechać Wall Street do nadbrzeża, gdzie czekał na nich wielki liniowiec. Poppy oceniła, że sam przejazd był najlepszą częścią ich wyprawy, bo gdy znaleźli się we Francji, z nikim nie mogła się dogadać. Za to dostała wiele prezentów i pięknych sukienek z eleganckich sklepów. A potem, po następnej podróży pociągiem na południe, znaleźli się w Monte Carlo.

Jeb wynajął willę na wzgórzu. Wkrótce ostatnia piastunka Poppy zniknęła, a jej miejsce zajęła nowa, tym razem Francuzka. Codziennie rano jechały razem na plażę. Poppy była w siódmym niebie biegając wzdłuż linii wody, gmerając palcami w mokrym piasku i kopiąc łopatką. Dokuczala jej tylko tęsknota za ojcem, który nie zabierał jej już nigdzie ze sobą. Bywało, że kiedy jadła śniadanie w słonecznej jadalni, on dopiero wracał do domu z marynarką przerzuconą przez ramię, z wetkniętym w kieszeń sztywnym kołnierzykiem i białym krawatem. Zmęczony, ale wciąż mimo to przystojny, wołał do niej: „Hejże, moje maleństwo kochane! Jak się miewa córeczka swojego tatusia?”, głośno cmokał ją w czubek głowy, rozsiewając zapach whisky, i wdrapywał się po schodach na piętro, by przespać cały dzień.

Miała pięć lat, gdy wrócili do San Francisco i Jeb postanowił, że czas już, aby Poppy nauczyła się czytać i pisać. W tym celu wynajął młodą kobietę, niejaką mademoiselle Grenier, która miała wpoić jej tajniki alfabetu i liczb. Mam’zelle Grenier była paryską subretką o cudownie długich, smukłych nogach. Została na lodzie, bez pracy i pieniędzy, kiedy splajtował objazdowy teatrzyk rewiowy, w którym występowała. Czasami Jeb zaglądał do pokoju dziecinnego, by przyjrzeć się postępom Poppy, a wtedy mam’zelle głaskała ją po włosach, rumieniła się i stawała jeszcze bardziej „francuska”. Pewnego razu Jeb uśmiechnął się porozumiewawczo do mam’zelle i polecił jej przyjść do swego gabinetu o drugiej po południu.

– Proszę, *ma petite* – powiedziała guwernantka, sadzając Poppy pospiesznie przy stole z kilkoma słoiczkami farb i pędzlem. Była za pięć druga. – Namaluj coś ładnego dla tatusia, dobrze? Za minutkę wrócę.

Poppy zdecydowała się namalować wizerunek jej ukochanego przyjaciela, konia na biegunach. Ofiaruje go tacie, a on może każe go oprawić i powiesi w swoim gabinecie obok posepnych, ciemnych obrazów. Po skończonej pracy obejrzała zadowolona swoje dzieło, a potem rozejrzała się w poszukiwaniu mam'zelle. Nie było jej już od długiego czasu. Poppy zaczęła dokuczać samotność, nawet mimo obecności konia Nika, z którym mogła rozmawiać. Chciała ponadto pokazać swój obrazek ojcu, lecz przecież mam'zelle kazała jej tu zostać... Czekala przez czas, który wydał jej się wiekiem, a potem zeskoczyła z krzesła i pobiegła do drzwi.

Wyłożony czerwonym dywanem korytarz, prowadzący ze skrzydła dziecinnego do reszty domu, był pusty. Poppy podeszła na palcach do schodów i nasłuchiwała przechylając się przez poręcz. Przestraszyła ją panująca w domu głęboka cisza. Może wszyscy sobie poszli i zostawili ją samą? Nigdy jeszcze nie była całkiem sama. Przyciskając rysunek do piersi zesza cichutko po wspaniałych marmurowych schodach. Podkraśla się do gabinetu ojca. Najmniejszy szmer nie mącił ciszy.

Mosięzna gałka w drzwiach była za duża dla jej małej rączki, lecz w końcu Poppy udało się ją obrócić. Uchyliła drzwi i wśliznęła się do środka. Gabinet ojca był jednym z największych pokoi w całym domu. Stało w nim wielkie mahoniowe biurko i duży, obity skórą kręcony fotel, za którym Poppy przepadała, bo można było na nim wirować jak na karuzeli. Ściany były pokryte ciemną, rzeźbioną dębową boazerią, a wokół ozdobnego kominka z szarego marmuru ustawiono sofy i krzesła. W wysokich szafach bibliotecznych stały za szkłem oprawne w ciemną skórę książki o imponująco poważnym wyglądzie, a w trzech wysokich oknach wisiały ciężkie kotary z zielonego aksamitu, podwiązane po obu stronach. W głębi pokoju stał wielki, pokryty zielonym sukmem stół bilardowy z masywnymi nogami. Oświetlał go frymuśny żyrandol z kloszami w kształcie czerwonych kul, z których zwisały na haczykach z połączanego brązu kryształowe kuleczki, dzwoniące ładnie, gdy Poppy

trącała je palcem.

Dziś kuleczki brzęczały, jakby ktoś silnie szarpnął za żyrandol. Różowoczerwony blask padał na mam'zelle, która bez ubrania leżała rozciągnięta jak długa na stole, a na niej leżał ojciec.

Poppy wytrzeszczyła na nich oczy, zdumiona dziwnymi okrzykami mam'zelle i niecodziennym zachowaniem ojca. Stwierdziwszy, że musi to być jakaś nowa zabawa, roześmiała się głośno.

– Tato! – zawołała swoim słodkim głosikiem. – Mogę się z wami pobawić?

Guwernantka wrzasnęła i usiadła, zasłaniając wielkie, rozkołysane piersi. Poppy aż zasłoniła rękami uszy.

– Nie powinna pani tak krzyczeć, mam'zelle – poinformowała ją surowo – to niegrzeczne.

– O mój Boże! – zawołał Jeb, złącząc pospiesznie ze stołu i doprowadzając ubranie do ładu. – Poppy, co ty tutaj robisz?

– Przyniosłam ci mój rysunek. Czekałam bardzo długo, aż mam'zelle wróci, ale ona była tutaj, z tobą.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Jeb jęknął. Ujął ją za ramię i poprowadził w drugi koniec pokoju, podczas gdy guwernantka zebrała rozrzucone części swojego odzienia i ubierała się z pośpiechem.

– To... ehm, to są sprawy dorosłych, moja córeczko, i dzieci nie mają tu nic do roboty – wyjaśnił surowo. – Powinnaś była siedzieć w swoim pokoju, jak ci kazano. Bardzo się na ciebie gniewam, Poppy.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Ja tylko chciałam dać ci rysunek, bo tak bardzo cię kocham – szepnęła.

Jeb spojrzał na nią z uwagą.

– No dobrze, już dobrze, maleńka – powiedział mierzwiąc jej włosy, które wciąż przypominały mu Margaret – ale chcę, żebyś mi jedno obiecała: zapomnij, że w ogóle byłaś w tym pokoju. Zapomnij, że mam'zelle tu była. Dobrze?

Poppy skinęła główką.

– Obiecuję, tato – powiedziała posłusznie, myśląc w duchu, że ojciec chyba bardzo polubił mam'zelle, bo była już z nimi bardzo długo. Dlatego też pierwszym językiem, w jakim Poppy nauczyła się czytać i pisać, był francuski.

Poppy nie kładła się spać ani nie wstawała o żadnej określonej porze, nie dawano jej również o stałych godzinach posiłków. Często się zdarzało, że gdy poprzedniego wieczora było przyjęcie, budziła się dopiero po południu i jadła kolację tuż przed północą. Czasem już w łóżku budził ją jakiś hałas i wędrowała na dół w białej flanelowej koszuli nocnej, z lśniącymi rudymi włosami zaplecionymi w dwa grube warkoczyki i z pyzatką szmacianą lalką pod pachą. Wokół zielonych stolików w pokoju do gry siedziało w milczeniu nad kartami wielu mężczyzn, którzy palili cienkie lub grube cygara, wydmuchując skręcający się w spirale niebieski dym w nisko zawieszono lampy z zielonymi kloszami. Między stolikami krążyły podając zakąski „pokojówki” w krótkich czarnych spódniczkach subretek i wysokich, zapinanych na guziczki butach, a w powietrzu wisiał zapach irlandzkiej whisky i burbona. Dwa kredensy ugięły się pod olbrzymimi srebrnymi półmiskami z mięsem, puddingami, deserami z owoców i orzechów, w sąsiedztwie otwartych butelek wyśmienitego bordeaux i karafek ze starym porto, którymi nikt się nie interesował.

Poppy przechodziła wzdłuż kredensów, tu spróbowała indyka, tam szynki, przeciągała od niechcenia palcem po czubku ufryzowanego kremem deseru, przy którym francuski szef kuchni i jego pomocnicy mozolili się cały dzień. Dalej wsadzała palec w mus czekoladowy lub oblizywała lukier z tortu. Nikogo to nie obchodziło. Gdy obejmowała ojca, plamiąc mu lepkimi łapkami wymuskane szare spodnie, odsuwał ją z irytacją na bok i wysyłał, by poszukała swej aktualnej opiekunki.

Jeb uwielbiał hazard we wszelkich postaciach. Zawierał wariackie zakłady: stawiał tysiąc dolarów na to, czyj powóz pierwszy minie zakręt ulicy, kupiony u Cartiera diamentowy pierścionek na to, który sopran najdłużej przeciągnie wysokie

c, rubinowe spinki do mankietów na to, która dziewczyna z chóru w nowej rewii ma najdłuższe nogi. Podróżował do Nowego Jorku, Chicago, Filadelfii i Bostonu w poszukiwaniu wielkich partii pokera. Najwyższe stawki jednak padały podczas rozgrywek w jego własnym domu.

Zaczęły się szerzyć plotki, najpierw z wolna, potem z coraz większym impetem. Niektórzy ludzie przestali przychodzić do Jeba na pokera, bo – jak narzekali – gra się tam zbyt wysoko. Zaczęto mówić, że Jeb traci pieniądze, że zdażył już trzy razy przehulać swój wygrany w Monte Carlo majątek i wydaje o wiele więcej niż wygrywa. Twierdzono również, że wprawdzie jego udział w ranczu Santa Vittoria czyni go zamożnym posiadaczem ziemskim, ale brak mu gotówki, a tego właśnie potrzeba, aby grać. Po półrocznej złej passie Jeba gruchnęła wieść, że jest zrujnowany.

– Co za nonsens! – szeptały między sobą młode damy, obserwując go w operze przez małe lornetki z masy perłowej. – On wciąż się wspaniale prezentuje. Człowiek na krawędzi klęski nigdy nie zdobyłby się na takie opanowanie i swobodę i nie mógłby się tak uśmiechać.

– Te pogłoski o ruinie to bajki – mówili z przekonaniem goście na przyjęciu z okazji szóstych urodzin Poppy, przypatrując się w podziwie tysiącom róż i goździków, które Jeb kazał specjalnie pofarbować na błękitny kolor oczu córeczki. Niebieski adamaszek przykrywał długie stoły, z sufitu zwieszały się niebieskie girlandy, a stos opakowanych w błyszczący niebieski papier prezentów czekał na otwarcie.

Poppy siedziała na honorowym miejscu u szczytu stołu w pięknej sukience z błękitnej organdy, przybranej pączkami róż, które Jeb sprowadził z Paryża. Sącząc szampana patrzyła wielkimi, poważnymi oczami na sztuczki magika i żonglera, który był u nich lokajem, oraz wygibasy dziewcząt pełniących funkcje pokojówek. Widziała, jak ładne młode dziewczyny całują starych mężczyzn o czerwonych twarzach i zatykała uszy na dźwięk ich przenikliwych śmiechów. Patrzyła na tańce, którym przygrywała dziesięcioosobowa orkiestra, i na łakomstwo, z jakim goście

pożerali przepiórki, ostrygi, homary i kawior, beztriosko zalewając niebieskie obrusy drogim szampanem.

O północy wniesiono na srebrnej tacy tort urodzinowy. Był to największy tort, jaki Poppy widziała w swoim życiu. Nagle wydarzyło się coś nieopisanie śmiesznego: tort pękł na dwoje i wyskoczyły z niego dwie ładne panie, nie mające na sobie nic oprócz sznurków niebieskich paciorków i czarnych siatkowych pończoch z błyszczącymi czerwonymi podwiązkami. Przetańczyły przez całą długość stołu podrygując piersiami i wyrzucając wysoko nogi, a Poppy i wszyscy goście pokładali się ze śmiechu.

Wrzawę głosów, muzykę i śmiechy wibrujące w wielkiej sali przerwał nagle okrzyk Jeba, który prosił o ciszę.

– Wznoszę toast na cześć mojej córki z bardzo ważnej okazji jej szóstych urodzin – zawołał podnosząc Poppy i stawiając ją na stole. – Za córeczkę swojego tatusia!

– Za córeczkę swojego tatusia! – odpowiedział chór głosów rozbawionych gości.

Wtedy Jeb podał jej niebieskie pudełeczko z zamszu, a gdy je otworzyła, ujrzała w środku piękny, rzucający iskry niebieski naszyjnik.

– Szafiry i diamenty – oznajmił donośnie Jeb, zapinając ten niestosowny prezent na jej szyi. – Pomyślałem sobie, że pora, aby moja kochana dziewczynka miała jakieś klejnoty.

Obecni mężczyźni otaksowali go baczными spojrzeniami. Było dużo ochów i achów ze strony pań, które oglądały z bliska drogie kamienie, a oczy Poppy rzucały blask dorównujący blaskowi szafirów.

Jeb uśmiechnął się z zadowoleniem. Był przeświadczony, że wystawne przyjęcie i hojny gest położą tamę płotkom o niewypłacalności i przywrócą mu kredyt, lecz w jego oczach pojawiał się niekiedy błysk niepokoju.

Kilka tygodni później szarym świtem wyrwał Poppy ze snu hałas tłuczonej porcelany, zatraskiwanych drzwi i dźwięk gniewnych, podniesionych głosów. Złapała ulubioną szmacianą lalkę i pobiegłszy do swojego zwykłego punktu

obserwacyjnego za balustradą, ze zdumieniem obserwowała scenę w głównym hallu. Ciężkie dębowe drzwi były szeroko otwarte i można było przez nie dostrzec mam'zelle i kilka pokojówek, które wsiadały do ładnego powozu, zagarniając wokół siebie stos wiklinowych koszyków i pudeł. Francuski kucharz stał w korytarzu wymachując pięściami i wrzeszcząc coś z wściekłością. Poppy na tyle już знаła francuski, że pojęła, iż jego pełna wzburzenia tyrada dotyczy pieniędzy. Patrzyła zdumiona, jak kucharz chwytając dwa wysokie srebrne kandelabry i wetknąwszy je pod ramię, maszeruje za drzwiami. Pozostała służba szybko poszła w jego ślady i zaczęła rabować drogocenne figurynki, srebrne pudzeczka i chińskie wazy, nawet obrazy ze ścian – wszystko, co można było zapakować do czekających powozów. Drzwi po raz ostatni zamknęły się z trzaskiem i w domu zapanowała cisza.

Poppy ścisnęła kurczowo balustradę, czekając, aż wbiegnie tatuś, by sprawdzić, co się dzieje. Dokąd wszyscy wyjechali? I dlaczego zabrali ze sobą te wszystkie rzeczy?

Duży zegar stojący w hallu cykał donośnie. Usłyszała słaby szmer mechanizmu, gdy szykował się do wybicia godziny. „*Un, deux, trois, quatre, cinq, six*” – policzyła w pamięci. Godzina za każdy rok jej życia. Dźwięk kuranta zamilkł, zostawiając po sobie cichnące echo. Poppy poderwała się na nogi, pobiegła przez hall i prowadzący z niego korytarz do pokoi ojca. W małym westybulu z rzeźbionymi krzeselkami i długimi włoskimi zwierciadłami w rokokowych ramach nie zastała nikogo. Ojciec zawsze ją beształ, gdy go budziła, więc bardzo ostrożnie otworzyła drzwi jego sypialni, zerkając dokoła i starając się oddychać jak najciszej. Szerokie mahoniowe łóżko z kolumnkami było przykryte chińską narzutą z czarnego jedwabiu w smoki, jakby nikt w nim nie spał. Pamiętała, że czasami, gdy tato wracał do domu jeszcze później niż zwykle i za dużo wypił, zdejmował tylko ubranie i zasypiał na kozetce w swojej garderobie. Zajrzała tam z nadzieją, lecz kozetka była pusta.

Przerażona Poppy wcisnęła piąstkę do ust, żeby zdławić szloch. Gdzie się podział ojciec? Czy on też odszedł razem z innymi? Cóż ona pocznie, jeżeli tatuś nigdy nie wróci? Gnana paniką rzuciła się pędem w głąb korytarza, otwierając raptownie

kolejne drzwi w poszukiwaniu ojca.

We wszystkich pomieszczeniach panował chaos, krzesła i stoły były przewracane, zasłony zerwano z prętów, cenne bibeloty leżały w skorupach. Widok kuchni przejął ją zgrozą. Na środku kamiennej podłogi leżał stos rozsypanej mąki, cukru i innych produktów, a jego szczyt wieńczyła osadzona do góry dnem bańka na mleko. Wielkie piece, w których zazwyczaj paliło się bez przerwy, na wypadek gdyby Jeb lub jego goście nieoczekiwanie poprosili o posiłek, były zimne, a z palenisk osypywał się wystygły popiół. Poppy z przerażeniem patrzyła, jak spod szafki wylazł brązowy szczur i przemknął do kąta, przebiegając jej po stopach. Uciekła z krzykiem długimi korytarzami do frontowego hallu. Szarpnięciem otworzyła drzwi, zbiegła na złamanie karku po schodach i popędziła ulicą.

Biegła i biegła. Pochlipywała ze strachu, wciąż przyciskając kurczowo pod łokciem szmacianą lalkę, dokładnie tak jak kiedyś tatuś nosił ją samą, gdy była bardzo mała. Było dopiero wpół do siódmej i pałace słońce nie rozproszyło jeszcze porannych mgieł, wiszących nad San Francisco. Oślepiąca łzami i mgłą Poppy nie zauważyła jakiegoś człowieka, który szedł naprzeciwko, i wpadła na niego całym rozpędem.

– Hejże, mała damo – przemówił łagodnie pełen troski męski głos – co ci jest? Co się stało, że taka dziewczuszka biega po ulicy wczesnym rankiem zupełnie sama? W dodatku na bosaka i w koszuli nocnej. – Wziął ją za rękę i dodał tonem pełnym otuchy: – No już, już, to na pewno nic strasznego. Zobacz, twoja lalka nie płacze.

Rude włosy Poppy sterczały na wszystkie strony, a buzia była szkarłatna ze strachu i hysterii. Szlochała tak, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Mężczyzna podniósł ją i powiedział łagodnie:

– Wszystko w porządku, moja mała. Po prostu zabłądziłaś. Słuchaj, tu blisko jest posterunek policji. Może pójdziemy tam oboje i wspólnie naradzimy się z miłymi panami, jak ci pomóc?

Minęło dobrych kilka godzin, zanim Poppy uspokoiła się na tyle, żeby podać im swoje nazwisko.

– Córka Jeba Mallory’ego! – Sierżant policji cicho gwizdnał ze zdziwienia.

Poppy, która między atakami czkawki po płaczu piła drobnymi łydkami szklanek mleka, opowiedziała im, co zaszło.

– Niech ktoś tam pójdzie i sprawdzi, czy pan Mallory już wrócił – zarządził sierżant.

Młody policjant wrócił po półgodzinie z wiadomością, że w domu nikogo nie ma. Zostawił jednego funkcjonariusza na straży. Wszystkie drzwi są otwarte, a przecież dzisiaj nikomu nie można ufać.

Poppy spędziła noc na posterunku. Spała na zabawnej wąskiej pryczy w celi z kratami i wielką kłódką na drzwiach, napiła się lemoniady i zjadła siekany befsztyk, przyniesiony z baru po drugiej stronie ulicy. Gdyby tak się nie martwiła o ojca, bardzo by ją cieszyła ta nowa zabawa.

Kiedy Jeb wreszcie wpadł na posterunek, pytając gniewnie, z jakiej racji trzymają tu jego córkę, sierżant w mocnych słowach z ciężkim nalotem irlandzkiego akcentu powiedział mu, co myśli o ojcu, który zostawia sześciolatnie dziecko samo jak palec.

Jeb wymamrotał, że to długa historia, i wepchnął plik dolarówek w dłoń sierżanta.

– Na policyjny fundusz rozrywki – oświadczył odzyskując rezon.

Wziął Poppy za rękę i wrócił z nią na Rosyjskie Wzgórze.

– Już po wszystkim, kochanie – zapewnił ją, nie tłumacząc nawet słowem, co się stało. – Niedługo się stąd wyprowadzimy. W końcu ten dom jest za duży tylko dla nas dwojga, prawda? Może znów wyjedziemy za granicę. Co ty na to?

– Do Monte Carlo? – spytała radośnie.

– Czemu nie?

Poppy westchnęła z zadowoleniem, tuląc mocniej do siebie szmacianą lalkę. Znów wszystko było dobrze.

Skandaliczna opowieść o tym, jak córka Jeba Mallory’ego spędziła noc na posterunku policji, podczas gdy jej ojciec pochłonięty był grą w pokera, i soczyste

plotki o służących, którzy odeszli rabując, co w rękę wpadło, ponieważ nie płacono im od szeregu miesięcy, obiegła San Francisco z szybkością błyskawicy. Pogłoski o ruinie materialnej Jeba zyskały nową pożywkę i rodzina Mallorych stała się głównym tematem rozmów na obiedzie w każdym domu oraz we wszystkich salonach i barach miasta.

Jeb i Poppy siedzieli cicho jak myszy pod miotłą w swoim wielkim, cichym, zdewastowanym domu, unikając wszystkich. Poppy uważała, że to cudowne mieć ojca tylko dla siebie, chociaż zastanawiało ją, dlaczego nikt nie przychodzi sprzątać. Jeb otwierał kolejne butelki szampana, jakie pozostały w jego niegdyś hojnie zaopatrzonej piwnicy, i pił bez przerwy, przyrządzając w zaśmieconej kuchni na zmianę jajka na miękko, jajecznicę i jajka sadzone, dopóki Poppy nie zaczęła się skarżyć, że nie przełknie już ani jednego jajka. Wtedy upichcił ziemniaki duszone z boczkiem. Wszystko to było bardzo dziwne, lecz zarazem zabawne.

W tydzień po tamtej strasznej nocy rozległo się rankiem grzmiące stukanie do drzwi i jakiś człowiek o surowej minie podał Jebowi arkusz papieru. Poppy spostrzegła zdziwiona, że ojciec gwałtownym ruchem usiłował wcisnąć mu z powrotem dokument, lecz mężczyzna cofnął się tylko nieznacznie i powiedział:

– To sądowy nakaz rekwizycji, panie Mallory, lepiej niech pan go nie lekceważy. Prawo do tej nieruchomości zgłosił pan Bud Mayhew na podstawie posiadanego przez siebie weksła, który wystawił mu pan na pokrycie zaciągniętego podczas gry długu. Bardzo mi przykro, sir, ale tak to już jest.

Jeb wziął Poppy za rękę i zaprowadził ją na górę, by się spakować. W kilka godzin później stali na szerokich frontowych schodach z ustawionymi wokół torbami podróżnymi. Jeb przekreślił zdecydowanie klucz w zamku dębowych drzwi i schował go do kieszeni. Potem wezwał powóz i kazał woźnicy wieźć się na prom. Mieli złapać parowiec do Santa Barbara.

Już na pokładzie Jeb pod zdumionym spojrzeniem Poppy wyjął z kieszeni wielki mosiężny klucz i wrzucił go do wody, a potem patrzył w milczeniu, jak znika pod falami.

– Wszystko w porządku, moja mała – powiedział z szerokim uśmiechem. – Źródółko jeszcze nie wyszło. Trzeba mi jedynie odrobiny szczęścia. Poza tym wciąż posiadamy co nieco, ty i ja. Mamy siebie nawzajem, czyż nie? No i połowę rancza Santa Vittoria!

Rozdział 11

Francesca Rinardi miała ten rodzaj chłodnej, klasycznej urody, która budzi podziw i szacunek. Dzięki jedwabistym jasnym włosom, nieskazitelnym rysom i wysokiej, smukłej sylwetce zaliczano ją do ścisłej czołówki paryskich modelek, gdy przed laty prezentowała wytworne toalety w bladozielonych, obwieszonych kryształowymi żyrandolami salonach Diora i Balmaina. Często mówiła swojej córce, Arii:

– Zawód modelki bardzo się zdeklasował z nadejściem lat sześćdziesiątych i spódniczek mini. Dawniej modelki były zawsze pięknie uczesane i ubrane. Żyłyśmy niczym królowe. Utrzymywałyśmy stosunki tylko z elitą towarzyską, dla reszty ludzi stanowiłyśmy niedosiężny ideał.

Nie przyznała się nigdy, że jej ojciec był belgijskim sklepikarzem w małym miasteczku niedaleko Liege, a matka pulchną, zadowoloną z życia wieśniaczką, i że porzuciła ich oboje i trzypokojowe mieszkanie nad sklepem na zawsze, gdy w poszukiwaniu kariery udała się do Paryża. Wydała ciężko zarobione przez rodziców pieniądze, które dali jej z taką miłością i dumą, na bilet pierwszej klasy, ponieważ wiedziała, że nie spotka nikogo, kto jest naprawdę kimś, w przedziale drugiej klasy. To ryzyko się opłaciło. Mężczyzna w średnim wieku, który miał miejsce tuż obok i pomagał jej wnieść bagaże, okazał się producentem jedwabiu z Como i szczęśliwym przypadkiem znał *directrice* u Balmaina.

Reszta była łatwa. Francesca wymyśliła sobie nowy życiorys: podawała się za jedyną córkę niedawno zmarłego, podupadłego ziemianina. Nie utrzymywała kontaktów ze swoją prawdziwą rodziną. Wymazała ich ze swego życia tak skutecznie, jakby byli martwi.

Gdy miała dwadzieścia sześć lat, na przyjęciu w Paryżu spotkała Paola. Za każdym razem, kiedy patrzyła w jego stronę, przyłapywała na sobie jego spojrzenie i w końcu spytała gospodarza, kto to jest.

– To Paolo Rinardi – usłyszała w odpowiedzi – baron Rinardi, jego rodzina ma jeden z najstarszych tytułów szlacheckich we Włoszech. Jest właścicielem pięknego pałacu w Wenecji. – Okazało się ponadto, że Paolo ma posiadłość na wsi, wielki apartament w Paryżu i jest kawalerem.

Paolo był wysokiego wzrostu i miał jasną, potarganą czuprynę, dłuższą niż było to przyjęte w tamtych czasach, ponieważ tak absorbowała go praca nad książką „Poeci epoki romantyzmu”, że zapomniał się ostrzyć. Ślęczał całymi dniami w wielkiej bibliotece w swoim wiejskim domu o nazwie Villa d’Oro, nie widując absolutnie nikogo, z wyjątkiem Antonia Carralda.

Paolo zadurzył się nieprzytomnie we Francesce od pierwszego wejrzenia. Został w Paryżu, by być blisko niej, a praca poszła w zapomnienie. Francesca oceniwszy swoją sytuację, doszła do wniosku, że, jakkolwiek nie był on miliarderem, którego miała nadzieję złapać, zapewni jej przynajmniej dostatnie życie i szlachecki tytuł. Nie I lada pokusę stanowiły też trzy wielkie rezydencje. Z tych wszystkich względów przyjęła jego oświadczenia.

W Palazzo Rinardi odbyło się wspaniałe przyjęcie weselne. Panna młoda wystąpiła w sukni z atlasu koloru kości słoniowej, prezencie ! ślubnym od Balmaina. Nie zaprosiła swojej rodziny. Natomiast wśród gości nie zabrakło Antonia Carralda.

Gdy tylko miesiąc miodowy dobiegł końca, Paolo znów zagrzebał się w bibliotece w Villa d’Oro. Nie marzył o niczym poza cichym wiejskim życiem u boku nowo poślubionej żony. Jeden jedyny Carraldo był zawsze mile widziany w jego samotni.

Miał zwyczaj wpadać do nich niespodziewanie, a po obiedzie, przy którym Francesca zachowywała chłodne milczenie, on i Paolo wycofywali się do biblioteki i siedzieli w niej aż do świtu. Francesca krążyła z wściekłością po sypialni, zachodząc w głowę, o czym rozmawiają. Czasami schodziła chyłkiem na dół i przykładała ucho

do drzwi, starając się pochwycić jakieś słowo, lecz docierał do niej tylko cichy szmer głosów. Rano znajdowała na biurku Paola opróżnioną butelkę koniaku i całe stronicie nagryzmołonych notatek.

– Co wście robili całą noc? – spytała kiedyś lodowatym tonem.

– Carraldo podsunął mi kilka świetnych pomysłów do rozdziału o Verlainie – odparł Paolo z entuzjazmem. – Powiedziałem mu, że to on powinien pisać tę książkę, nie ja! Ma niesłychaną erudycję, zna się dosłownie na wszystkim!

W opinii Franceski wiedza Carralda była nawet zbyt rozległa. Jego ciemne oczy miały taki wyraz, jakby mogły przejrzeć człowieka na wylot. Poza tym było w nim coś dziwnie złowrogiego. Za każdym razem, gdy mercedes Carralda zajeżdżał z chrzęstem na zwirowy podjazd i widziała Paola biegnącego na spotkanie przyjaciela, odżywały w jej pamięci różne zasłyszane ponure pogłoski. Kiedy Carraldo ujmował jej dłoń, by złożyć na niej pocałunek, od dotyku jego zimnej ręki Francescę przebiegał dreszcz strachu.

Po niedługim czasie zorientowała się, że rodzinny majątek Rinardich jest na wykończeniu. Paolo był krańcowo niepraktyczny i wyrzucał garściami pieniądze na nierentowne inwestycje. Gdy wypytywała go o finanse, wzruszał ramionami i odpowiadał, że zajmują się tym prawnicy, a potem znów wsadzał nos w swoją książkę, podczas gdy zarówno willa, jak i pałac stopniowo chyliły się ku ruinie.

Francesca rozważała właśnie celowość rozwodu rozpatrując, jakie szanse na międzynarodowym rynku matrymonialnym da jej tytuł baronowej Rinardi, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Rozwód zatem musiał poczekać.

Paolo sam wybrał imiona dla córki: Aria – ponieważ był zdania, że jest piękna jak jego ulubione arie operowe, Maria – po własnej matce i na cześć uwielbianej przez niego Marii Callas, oraz Angelina – po swojej babce. Ku wściekłości Franceski uparł się również zaprosić Carralda na ojca chrzestnego dziecka, lecz ten dzięki Bogu odmówił.

Francesca źle się czuła w roli matki, dziecko było jej kulą u nogi. Zostawiała Arię pod opieką Fiametty, która wychowała już dwa pokolenia Rinardich, a sama

uciekała do Rzymu i Paryża, brylowała w wytwornym towarzystwie i spędzała całe miesiące w letnich rezydencjach licznych przyjaciół na francuskiej Riwierze. Paolo dostrzegł z pewnym opóźnieniem pustkę kryjącą się za zewnętrzną fasadą klasycznej urody, którą tak ukochał, i głęboko rozczarowany dzielił swój czas między pracę i uwielbianą córeczkę.

Aria miała sześć lat, kiedy Paolo zaraził się rzadkim gatunkiem wirusa, atakującym system nerwowy, i umarł po zaledwie trzech miesiącach choroby. Francesca po raz pierwszy w życiu rada była z obecności Carralda, który z kamienną, zastygłą twarzą, nie zdradzającą żadnych uczuć, zajął się przygotowaniami do pogrzebu i zapłacił rachunki. Oszłomiła ją wiadomość, że nie może sprzedać willi ani jej urządzenia czy choćby tknąć czegokolwiek w pałacu. Wszystko to aż do pełnoletności Arii, którą Paolo ustanowił jedyną swoją spadkobierczynią, wchodziło w skład funduszu powierniczego.

Francesca wpadła w furję. Mając trzydzieści cztery lata była uwiązana do dwóch drogich siedzib, w których nawet nie lubiła mieszkać, i miała na karku małe dziecko. Ochoczo przyjęła propozycję pomocy, złożoną przez Carralda, lecz ku jej rozgoryczeniu miesięczna pensja, którą jej wyznaczył, starczała tylko na opłacenie wydatków na życie.

Zostawiwszy Arię pod opieką Fiametty, poleciała do Rzymu, gdzie wynajęła małą mieszkanke i znalazła sobie pracę sprzedawczyni u jednego z najlepszych projektantów mody. Wynagrodzenie nie było zbyt wysokie, lecz mogła za półdarmo kupować wspaniałe stroje i zawierać doskonałe znajomości. Chodziła na wszystkie liczące się przyjęcia, była zajęta od świtu do nocy i wkrótce jej twarz stała się znana wśród czytelników plotek towarzyskich i pism o modzie.

Podczas rzadkich wizyt w domu, z okazji przyjęć, jakie wydawała w pałacu lub willi na wsi, widywała oczywiście córkę, lecz Aria była irytująco rozhukanym dzieckiem, które wolało wlaźć na drzewa i bawić się z ulubionymi królikami i psami, zamiast popijać herbatę w salonie z przyjaciółmi matki. Zawsze też udawało jej się oblać lemoniadą jakąś piękną suknię, kupioną przez matkę specjalnie na

przyjęcie.

Carraldo nieczęsto składał teraz wizyty w Palazzo Rinardi, choć skrupulatnie uiszczal opłaty na szkołę Arii i wydatki domowe. Dał dziecku na chrzciny bezcenny zabytkowy srebrny kielich, który był dziełem słynnego osiemnastowiecznego srebrnika, Paula de Lamerie. Francesca nieraz patrzyła na puchar pożądliwie, żałując, że nie może go spieniężyć, lecz myśl o zimnym wzroku Carralda i jego reakcji, gdyby dowiedział się o sprzedaży, powstrzymywała ją w zapędach.

W dniu siedemnastych urodzin córki Francesca musiała jeszcze raz spojrzeć krytycznie na swoją sytuację życiową. Najlepsze zdobycze przypadały teraz młodym kobietom, nie ubogim wdowom, takim jak ona. Zrozumiała, że wyszła już z obiegu. I wtedy pomyślała o Arii.

Mały urwis przeobraził się tymczasem w urodziwego podlotka. Aria miała siedemnaście lat – w sam raz, żeby wyjść za mąż. Można zacząć dla niej szukać bogatego narzeczonego. Francesca wzięła z toaletki oprawione w srebrną ramkę zdjęcie Arii, i przyjrzała mu się krytycznie. Stwierdziła, że ona w tym wieku przewyższała córkę urodą. Wyraziste rysy Arii odbiegały od klasycznych kanonów i zdradzały silny charakter: wygięte brwi nad wielkimi ciemnoniebieskimi oczami, prosty nos i szerokie usta. Było w niej jednak coś – strzelistość długonogiej sylwetki, pewny krok, ujmująca żywość i dumna postawa – co sprawiało, że ludzie odwracali się za nią na ulicy. Francesca wiedziała, że przy odpowiedniej oprawie jej córka może stać się prawdziwą pięknoscią, która trwale zapisuje się w pamięci mężczyzn.

Aria była uparta i samowolna, toteż Francesca zdawała sobie sprawę, że obmyślony przez nią plan nie będzie łatwy do przeprowadzenia. Westchnęła; Arię najwyraźniej guzik obchodziło, czy jej przyjaciele są bogaci, czy biedni, i z pewnością odniesie się wrogo do projektu matki. Trzeba będzie sprytnie to rozegrać.

Po dojściu do takiego wniosku wezwała na naradę Carralda. Jego propozycja zaskoczyła ją, lecz stwierdziła, że trudno o lepszy obrót sprawy. Musiała tylko nieźle nałamać sobie głowę, jak skłonić Arię do zgody.

Dzisiaj młodzi ludzie oczekiwali oczywiście od życia „miłości”, lecz Arii był potrzebny starszy mężczyzna o dużym doświadczeniu, który wie, czego chce – i za co płaci.

Kochanie – odezwała się Francesca następnego dnia przy śniadaniu – chyba już czas, żebyś usłyszała ważną wiadomość... o... – Tu jej głos załamał się ze szlochem.

Aria podniosła znad stołu oczy pełne niepokoju.

– O co chodzi, mamó? Jesteś chora?

– Nie, nie, to nic groźnego... chociaż lekarze ostrzegli mnie... – Francesca drżącą nieco ręką przeciągnęła ze znużeniem po oczach. – Prawda jest taka, Ario, że nie mamy już żadnych pieniędzy. Wprawdzie tyle lat ciężkiej pracy podkopało zupełnie moje siły, ale tłumaczyłam lekarzom, że muszę dalej pracować, bo w przeciwnym razie któż by się tobą zajął? Ciężko jest kobiecie w moim wieku kursować między pracą w Rzymie a Wenecją, gdzie młoda córka jej potrzebuje, lecz znam swoje powinności. Och, Ario, gdybyś tylko znała prawdę! Gdybyś wiedziała, ile dla ciebie poświęciłam w imię obowiązku! Jak ciężko pracowałam, aby cię wychować, jak tułałam się z dala od domu, rezygnując z czasu spędzanego z własnym dzieckiem, ponieważ twój ojciec zostawił nas bez grosza...

– Nieprawda – zaoponowała Aria. – Jak możesz twierdzić, że jesteśmy bez grosza, mamó? Zupełnie jakby papa zostawił nas na ulicy, zmuszone żebrać o kawałek chleba! Wzięłaś tę pracę, bo ci się podobała i mogłaś w niej dostać dużo ładnych ubrań.

– Ario! Wolałabyś, żebym się męczyła na jakiejś posiadzie, której bym nie znosiła? Nie tłumacz sobie tego mylnie! Pracowałam po to, by zarobić na dom dodatkowe pieniądze, których tak bardzo potrzebowałyśmy. Ukrywałam to przed tobą, gdy byłaś młodsza, ale mówiąc między nami, renta wypłacana przez radę powierniczą nie starczyłaby nawet na ziarna słonecznika dla tej twojej okropnej papugi! Tylko mojej walce, by związać koniec z końcem, zawdzięczasz, że jesteś przyzwoicie ubrana i skończyłaś dobrą szkołę. Lecz teraz brak mi już sił! –

Francesca przycisnęła delikatną białą dłoń do czoła i osunęła się z wdziękiem na szeszlony, obciążony postrzępionym brokatem.

Aria spojrzała na nią z powątpiewaniem. Nigdy nie umiała zgadnąć, kiedy matka mówi prawdę, a kiedy udaje. Jeżeli naprawdę od dawna były w złej sytuacji finansowej, to skąd wzięły się pieniądze na jej chesne w szkole? I na utrzymanie pałacu i domu na wsi? Przypomniała sobie wielki, płaski dach Villa d'Oro i zadrżała na myśl, ile musi kosztować jego naprawa.

Zatęskniła za ojcem. Villa d'Oro była dla niej ich ukochanym wspólnym domem. Nigdy i nigdzie nie czuła się tak szczęśliwa jak w tamtych czasach. Miłość do ojca była tak prosta, tak naturalna i łatwa, całkiem różna od skomplikowanej gamy uczuć, które budziła w niej matka. Niekiedy Aria zastanawiała się, jakim cudem może widzieć tyle wad w Francesce i mimo to ją kochać. Dlaczego gardząc płytkim życiem matki pragnie jednocześnie jej czułości i aprobaty?

Francesca odjęła rękę od czoła i opuściwszy ją bezwładnie, patrzyła apatycznie w przestrzeń. Aria z nagłym niepokojem pomyślała, że matka naprawdę mizernie wygląda. A jeśli rzeczywiście jest chora? Ona sama musi jakoś pomóc. Pójdzie do pracy. Poczula żal na myśl o studiach w szkole sztuk pięknych we Florencji. Malowanie było jej wielką pasją, której zamierzała poświęcić całe swoje życie.

– Posłuchaj, mamó – zaczęła – musisz pojechać do Villa d'Oro, tam jest cicho i spokojnie. Będiesz mogła wypocząć i nabrać sił. Rzucę studia, znajdę sobie jakąś pracę i będę się tobą opiekować. – Pogłaskała z czułością jasne włosy matki.

– Nie rób tego, Ario – skrzywiła się Francesca, poprawiając uczesanie – za chwilę wychodzę. – Potem spojrzała na córkę z niedowierzaniem. – Pracę? A co niby będziesz robić? Sprzedawać na straganie karnawałowe maski i szkło z Murano? Zatrudnisz się w hotelu jako kelnerka albo może pokojówka? Zdaje się, że mnie nie rozumiesz. Ario, majątek Rinardich jest praktycznie wyczerpany. Zostało z niego tylko to, co widzisz dokoła... odrapane ściany i spłowiałe antyki, których nawet nie możemy sprzedać, bo są w tym przeklętym zarządzie powierniczym! Mówię ci, Ario, nie mogę już dłużej!

Francesca zarzuciła zakiet na ramiona, wzięła torebkę i skierowała się do drzwi. Przystanąła w progu i obejrzała się na córkę, wciąż siedzącą nieruchomo przy szeszlengu.

– Wiedz jedno, Ario, że nie mam zupełnie pojęcia, co robić. Jeśli ta sprawa się jakoś nie rozstrzygnie, wtedy... – zrobiła dramatyczną pauzę – wtedy będę doprowadzona do ostateczności! – Odwróciła się gwałtownie i wyszła równym krokiem z pokoju.

Aria poczuła, że ściska ją w żołądku ze strachu. Co matka miała na myśli mówiąc o ostateczności? Nie chciała chyba przez to powiedzieć, że brak pieniędzy popchnie ją do... do samobójstwa?! W oczach Franceski był nowy wyraz rozpacz, a w głosie przebijała przenikliwa, histeryczna nuta. Aria zerwała się jednym skokiem z kozetki i przerażona wybiegła z salonu w poszukiwaniu Fiametty.

Nikt nie znał dokładnego wieku Fiametty, nawet ona sama. Patrząc na jej pomarszczoną, brunatną jak orzech twarz i spuchnięte, artretyczne ręce można jej było dać równie dobrze lat siedemdziesiąt, jak i znacznie więcej. Z tytułu i z racji wykonywanych zajęć była piastunką Aarii – choć Francesca od lat już nie płaciła jej żadnej pensji – lecz zarazem pełniła w rodzinie Rinardich znacznie ważniejszą rolę. Aria kochała ją jak rodzoną babkę i czyniła powiernicą wszystkich tajemnic, z których nie mogła zwierzyć się matce.

Staruszka siedziała przy wyszorowanym do czysta sosnowym stole pośrodku wielkiej, staromodnej kuchni o wysokim suficie. Niegdyś uwijało się tu piętnaście osób służby. Gęste siwe włosy miała gładko szesane do tyłu i zwinięte nisko na karku w kok, a jej krępa postać i obfity biust od razu kojarzyły się z domowym ciepłem. Na czarną suknię zarzuciła wykrochmalony biały fartuch. Właśnie siekała zioła do risotta, które przygotowywała na obiad. Jej obrzękłe od artretyzmu ręce poruszały się wolno i niezdarnie.

Na widok łez Aarii w jej bystrym, ptasim wzroku pojawił się niepokój.

– Cóż ci się, na Boga, stało, *carina*?! – krzyknęła podnosząc się ociężale na nogi, gdy Aria rzuciła się jej na szyję. – No, kwiatuszku, powiedz Fiametcie o wszystkim

– ciągnęła kojącym tonem, gładząc ją czule po plecach, jakby pocieszała zmartwione dziecko.

Usłyszawszy całą historię, skrzywiła się z powątpiewaniem. Znała Francescę przeszło dwadzieścia lat i coś jej tu trąciło fałszem. Francesca nie należała do ludzi, którzy mogą targnąć się na swe życie, była na to zbyt zimna i wyrachowana.

– Ale ona właśnie tak powiedziała, Fiametto! —jęknęła Aria. – I wyglądała, jakby rzeczywiście mogła to zrobić! Nigdy dotąd nie widziałam, żeby była tak... dziwna i zdenerwowana.

– Twoja matka nie ma nerwów – odparła spokojnie Fiametta – a jeśli chodzi o pieniądze, to ma ich dzisiaj tyle samo co pół roku temu. Po prostu coś knuje i dlatego odgrywa komedię!

– Coś knuje... – powtórzyła Aria ze zdumieniem. – Ale co?

Następny dzień przyniósł wyjaśnienie. Przy kolacji matka oznajmiła, że Aria musi poślubić Carralda. Postawiła sprawę jasno: to małżeństwo jest jedynym wyjściem.

– Co takiego?! – Aria zerwała się na równe nogi, przewracając szklanekę z wodą. – O czym ty mówisz, mamó? Mam dopiero siedemnaście lat! Nie chcę wychodzić za mąż. Nigdy nawet jeszcze nie byłam zakochana!

– Zakochana! – prychnęła Francesca lekceważąco. – Miłość nie ma nic wspólnego z małżeństwem. To zwykle zauroczenie, które nigdy nie trwa długo. Pieniądze dają więcej korzyści. Będiesz miała dużo domów, klejnoty jak z bajki, stroje najsztywniejszych kreatorów mody i piękne futra; będziesz podróżowała po całym świecie prywatnymi samolotami i jachtami! Zabyśniesz w najlepszym towarzystwie, w międzynarodowych wyższych sferach!

– No tak, to dla ciebie szczyt szczęścia! – odpaliła Aria. – Nie* rozumiesz, że ja nie jestem taka jak ty? Jestem podobna do papy, chcę być artystką i tworzyć wspaniałe płótna, które będą przynosić radość całym pokoleniom...

– Bardzo dobrze, Ario – rzekła zimno Francesca. – Pomówmy o twoim ojcu. Przypomnij sobie, jak on kochał ten piękny pałac, który od pokoleń był siedzibą

rodu Rinardich, i jego historię, jak droga jego sercu była Villa d'Oro. Zrobiłby wszystko, by przywrócić im blask! To nie dla mnie się poświęcasz, lecz ze względu na pamięć ojca i wszystkich Rinardich, którzy wślawili nasze nazwisko!

Aria długi czas siedziała samotnie nad resztkami kolacji i myślała o ojcu.

Nie mogła już sobie przypomnieć rysów jego twarzy, ale pamiętała jasno rozmaite drobne wydarzenia. Najwyraźniej rysował się w jej pamięci dzień, gdy ojciec przyniósł do domu papugę.

Było to szare lutowe popołudnie. Nad Wenecją rozpostarły się żółtobure chmury, grożące śniegiem. Karnawałowe upierzenie ptaka wprawiło ją w zachwyty.

– Nazywa się Luchay – powiedział ojciec – i jest dużo starszy od ciebie czy nawet ode mnie. Przyszedł na świat pośród amazońskiej dżungli w dalekiej Brazylii, lecz wątpię, czy to jeszcze pamięta. Należał do twojej ciotecznej babki Heleny, a przedtem do kogoś o nazwisku Poppy Mallory. Często wymawia to imię, więc nie bądź zdziwiona, jak je usłyszysz.

– Czy nauczy się i mojego imienia? – spytała przesuwając nieśmiało palcem po zielonym skrzydle ptaka. Cofnęła szybko rękę, kiedy papuga odwróciła głowę i zaczęła się w nią wpatrywać małymi, przenikliwymi oczkami o barwie topazu.

– Przypuszczam, że tak – zapewnił ją Paolo – gdy pozna cię lepiej i gdy go pokochasz.

Potem pokazał jej drogocenne, wysadzane szmaragdami i diamentami obrączki wokół żylastych nóg ptaka, ozdobiony klejnotami drażek i cudowną złotą klatkę, jak z bajki. Aria śmiała się w głos i z uciechy klasnęła w ręce. Papuga zniecka zaczęła przedrzeźniać jej śmiech, co wywołało nowy wybuch wesołości jej i ojca. Od tej pory między Luchayem, Arią i ojcem nawiązało się porozumienie. Francesca była z niego wykluczona, toteż darzyła ptaka nienawiścią, która przetrwała do dziś.

Aria ścisnęła dłońmi obolałą głowę. Nie mogła dłużej znieść nerwowego napięcia, w jakie wprawiły ją słowa matki i wspomnienia o ojcu. Poczula, że musi się stąd wydostać. Złapała w korytarzu kurtkę z wieszaka i wybiegła z domu.

Rzucające błądki blask latarnie na Campo Morosini wyglądały jak świetliste kule,

a na Campo San Vidal pływały w powietrzu strzępki mgły, podobne do kawałków cukrowej waty. Minęła kościół San Stefano, odnajdując drogę w znajomym labiryncie brukowanych uliczek, aż ujrzała przed sobą teatr „La Fenice”. Zza jego jasno oświetlonej fasady dobiegały dźwięki „Czterech pór roku” Vivaldiego. Arii przyszło na myśl, jak wiele razy jej ojciec wchodził po tych właśnie schodach, prowadzących do przepięknych rokokowych wnętrz starego teatru, by słuchać śpiewu operowych gwiazd. Przypomniała sobie, jak wielką miłością darzył muzykę i jak bardzo kochał ją samą, i zrozumiała, że nie zniesie myśli, iż sprawiła mu zawód. Nie może też ryzykować, że matka popełni samobójstwo. Aria znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Musi spełnić swój obowiązek.

Odwróciła się z rozpaczą od rozjarzonego światłami budynku i zagłębiła ponownie w mroczne uliczki. Sklepy były jeszcze otwarte, często potracali ją ludzie, udający się do kawiarni i restauracji. Patrzyła na uśmiechnięte młode dziewczyny, które szły uwieszone ramion swoich chłopców lub grupkami robiły zakupy przy wtórze śmiechu i plotek, i z ukłuciem w sercu zdała sobie sprawę, że nie należy już do tego rozbawionego, tętniącego życiem świata. Zmuszono ją, by przedwcześnie dojrzała. W tejże chwili ujrzała wychodzącą z jasno oświetlonego salonu piękności kobietę z małym pieskiem w objęciach. Piesek miał zawiązaną na łebku czerwoną wstążeczkę tego samego koloru, co opaska przytrzymująca włosy jego pani. To wywołało uśmiech na twarzy Arii. Obudził się w niej optymizm właściwy młodości. Na razie musi ulec matce, ale postara się pomieszać jej szyki. Nie wiadomo, co się jeszcze zdarzy. Zdecydowanym krokiem weszła do salonu piękności.

– Tak, możemy panią teraz obsłużyć – powiedziała panienka zza biurka. – Giorgio się panią zajmie.

– Chcę obciąć włosy całkiem krótko – oznajmiła drżącym głosem.

– Signorina, szkoda ich, są takie piękne! – zaprotestował fryzjer, przesuwając między palcami grube, jedwabiste pasmo. – Podetniemy z parę centymetrów, nie więcej...

– Proszę obciąć na jeża – rozkazała, a w oczach znów stanęły jej łzy. – W tej

chwili!

Rozdział 12

Po tygodniu przestała płakać i wreszcie wyraziła zgodę na spotkanie z Carraldem. Zastukał do drzwi dokładnie o ósmej wieczór, punktualny jak zawsze. Fiametta pobiegła otworzyć. Zaznajomiona przez Arię z sytuacją, ofiarowała jej od razu wszystkie swoje gromadzone przez wiele lat oszczędności.

– To niezbyt duża suma, kwiatuszku – rzekła wśród łez – ale z tymi pieniędzmi będziesz mogła uciec i gdzie indziej zacząć nowe życie. To o niebo lepsze niż zostać żoną takiego Carralda!

Aria jednak była zrezygnowana i, jak jej się zdawało, rozsądna.

– To naprawdę jedyne wyjście, Fiametto, i mój obowiązek.

Poczuła zimny dreszcz, gdy Carraldo ujął jej dłoń w obie ręce.

– Nieznośna dziewczyna, obcięła swoje piękne włosy tak, że nic z nich nie zostało – przerwała ciszę matka z udaną wylewnością. – Wygląda jak dziecko ulicy. Na pewno odrosną trochę przed ślubem...

– Chcę, żebyś mówiła ze mną całkiem otwarcie – odezwał się Carraldo, ignorując Francescę. – Twoja matka pozwoliła mi prosić cię o rękę, lecz jedynie ty sama możesz udzielić mi odpowiedzi. Rozumiem, że moja propozycja mogła tobą wstrząsnąć i nie chcę, byś robiła coś pod przymusem. Mogę ci tylko powiedzieć, że szczerze kochałem twój ojca, który był moim najdroższym przyjacielem. Kochałem również ciebie już od dnia twoich urodzin. Jeśli powiesz tak, uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby dać ci szczęście!

Aria jakby oglądała z boku scenę odgrywaną w teatrze. Zdawało się jej, że zawisła w próżni między swoją króciutką przeszłością i nieznaną przyszłością. Choć głos Carralda był łagodny, wyczuła pod tą układnością wrzenie wulkanu.

– Ario? – rzuciła matka niecierpliwie i przynaglająco.

– Przyjmuję pańską propozycję, signore – rzekła spuszczać oczy. Poczuła ręce Carralda na swoich ramionach i lekkie muśnięcie ust na policzku.

– Dziękuję, Ario – powiedział.

Wyjął z kieszeni małe ciemnoniebieskie pudełko i otworzył kciukiem wieczko. Aria w osłupieniu spojrzała na wielki szmaragd niezwykle czystej wody, pojedynczy kamień bez żadnych ornamentów. Sama jego wielkość i głęboki zielony kolor przy prostocie oprawy najlepiej świadczyły o wielkiej wartości.

– Należał do pewnej maharani – powiedział Carraldo. – Spodobał mi się jego kolor i bezpretensjonalna oprawa. Pomyślałem, że sprawi ci przyjemność.

Aż się skuliła i odsunęła od siebie olbrzymi klejnot, który wydał jej się symbolem niewoli w złotej klatce.

– Nie mogę go przyjąć, nie mogę go nosić – wyszeptała.

– Cóż u licha się z tobą dzieje? – krzyknęła ostro Francesca. – Każda dziewczyna na świecie nie posiadałaby się z zachwytem mając na palcu taki pierścionek!

– Proszę, Antonio – rzekła Aria błagalnie – czy nie moglibyśmy trochę tego odłożyć... aż skończę osiemnaście lat? – Czas, jaki dzielił ją od tej chwili, wydawał się odległy o całe stulecia, długi jak wieczność.

– Jak sobie życzysz – odparł spokojnie – mogę poczekać kilka miesięcy, lecz wkrótce potem musimy się pobrać.

W jego oczach nagle zabłysł niepokój, więc zapewniła go pośpiesznie:

– Tak, tak, przyrzekam. Proszę tylko o trochę czasu.

– Uczyniłaś mnie najszczęśliwszym z ludzi – powiedział wstając. – Teraz muszę się pożegnać. Na lotnisku czeka już na mnie samolot, którym mam lecieć do Nowego Jorku. Jutro odbędzie się tam ważna aukcja dzieł sztuki. Czy zjesz ze mną obiad po moim powrocie?

Skinęła w milczeniu głową i patrzyła za nim, gdy odprowadzany przez Francescę zmierzał do drzwi. Okazał wobec niej wielką łagodność, był czarujący i miły. Obchodził się z nią niczym z jakimś drogocennym przedmiotem, który należy traktować delikatnie i podziwiać. Aria pomyślała, że jako żona Carralda stanie się po prostu kolejnym okazem w jego kolekcji.

W ciągu następnych dwóch tygodni co wieczór szła spać zadowolona, że

Carraldo jeszcze nie wrócił, a co rano budziła się ze strachem, że on zjawi się właśnie dzisiaj i przypomni jej obietnicę wspólnego obiadu. Ta obawa trzymała ją w takim napięciu, że gdy w końcu zadzwonił, poczuła niemal ulgę.

Puściła mimo uszu namowy Franceski, by włożyć nowy kostiumik ze śliskiego jedwabiu. Ubrała się w prostą białą spódnicę i czarny sweterek, ścisnęła szczupłą talię szerokim czarnym pasem, a na bosa opalone nogi wsunęła czarne pantofelki na płaskim obcasie. Francescę rozwścieczył jej zgrzebny wygląd.

– Włóż przynajmniej coś z biżuterii – nalegała, kiedy Aria obstawała uparcie przy swoim stroju – może moje kolczyki z pereł i diamentów?

Aria bez słowa zapięła na kształtnych uszach wielkie ceramiczne klipsy w białe i czarne kropki i cofnąwszy się o krok, oeniła w lustrze efekt. Potem nastroszyła palcami włosy. Na ten widok Francesca jęknęła.

– Mamo! – krzyknęła Aria z irytacją. – Przestań bez przerwy robić ze mnie kogoś innego! Jestem taka, jaka jestem i Carraldo musi się z tym pogodzić. Nie mam zamiaru zmieniać się dla jego czy twojej przyjemności.

Usłyszały na zewnątrz warkot łodzi. Francesca podbiegła do schodów i czekała, aż Fiametta otworzy wielkie drzwi, wychodzące na Canale Grande. Stara piastunka wróciła po chwili ściskając w zgrabiałej ręce kopertę z listem.

– Signora Carralda coś zatrzymało i przyleci trochę później – oznajmiła. – Przysłał po Arię swoją łódź.

Francesca wyrwała jej list z ręki i otworzyła go, nie bacząc, że jest adresowany do Arii.

Moja kochana – pisał Carraldo dużym, stanowczym pismem – wybac, że nie przyjechałem po Ciebie osobiście, zwłaszcza przy okazji pierwszego naszego spotkania, lecz niestety ważne sprawy zatrzymały mnie nieco dłużej. Mój służący, Giulio, przywiezie Cię do mnie. Oczekuj z niecierpliwością.

Antonio Carraldo

Aria, której niedbały strój miał pomóc w ukryciu zdenerwowania, wsiadła do smukłej czarnej łodzi marki Riva. Na dziobie trzepotała flaga Carralda – czarny kruk

w złotym pierścieniu. Służący w wy- krochmalonej białej kurtce i marynarskiej czapce ze złotym otokiem skierował łódź na ruchliwy kanał. Aria sądziła, że udadzą się wprost do domu Carralda, gdzie na niego zaczeka, lecz łódź nagle zwiększyła prędkość i z niskim rykiem silnika pomknęła przez lagunę.

– Signore Carraldo polecił mi zabrać panią na lotnisko na jego spotkanie – oznajmił Giulio, a Aria pomyślała nerwowo, że świadczy to o niecierpliwości, z jaką Carraldo pragnął ją zobaczyć.

Na brzegu czekał już na nich szofer, który zawiózł ją wielkim czarnym mercedesem do miejsca, gdzie na płycie stał mały czarny gulfstream o potężnym silniku. Na jego boku również widniał emblemat kruka.

Czekający przy schodkach steward zsalutował i wprowadził ją na górę do wnętrza maszyny. Weszli do salonu, którego wnętrze utrzymane było w monotonnym szarym kolorze.

– Signorina Rinardi – zaanonsował.

Carraldo podniósł wzrok znad katalogu aukcyjnego i z uśmiechem zerwał się na nogi.

– Aria! Wybaczysz, że sam do ciebie nie przyjechałem? Wysłałem Giulia, bo wiedziałem, że mój przylot się opóźni.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała nieśmiało. – Ja też nie grzeszę punktualnością.

– Ja wręcz przeciwnie, zazwyczaj ściśle jej przestrzegam. Mój ojciec był pod tym względem bardzo pedantyczny i narzucał mi tryb życia ściśle według zegarka.

Aria spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nigdy jakoś nie przyszło jej do głowy, że Carraldo miał ojca. A więc był jednak ludzką istotą! Z zewnątrz dotarł do niej hałas odtaczanych schodków, a potem stłumiony pomruk silników. Drzwi zostały zamknięte, pomruk przeszedł w ryk i samolot pomknął po pasie.

– Dokąd lecimy?! – krzyknęła z przestachem.

– Usiądź, Ario, i zapnij pas – polecił Carraldo ze spokojem – zabieram cię do domu na obiad.

– Nawet nie wiem, gdzie pan mieszka – wyjąkała zapinając posłusznie pas

bezpieczeństwa. – Myślałam, że zjemy obiad tutaj, w Wenecji.

– Mam wiele domów. Na pierwszym miejscu powinienem chyba wymienić ten w Mediolanie, bo stamtąd prowadzę swoje interesy. Ty również będziesz głównie tam mieszkała i pomyślałem, że zechcesz go zobaczyć. – Uśmiechnął się. – Nie ma powodu do zdenerwowania, wieczorem będziesz w domu.

Samolot leciał gładko, bez wstrząsów. Nagle pod nimi rozlał się bezmierny błękit laguny i morza. Aria kątem oka zerknęła na Carralda. Czuła niepokój będąc z nim sam na sam daleko od domu, który mógłby być równie dobrze oddalony o tysiąc kilometrów.

Carraldo z dumą pokazał jej wnętrze samolotu. Był to najmniejszy z jego gulfstreamów, używany do krótkich lotów międzymiastowych. Pozostałe dwa służyły do lotów za ocean. Jeden z nich stał na lotnisku Kennedy’ego w Nowym Jorku, a drugi w Paryżu na lotnisku Charlesa de Gaulle’a. Oba były pomalowane na ten sam lśniący czarny kolor z emblematem kruka na burcie. Ich wnętrza również nie różniły się niczym. Ściany, zasłony, krzesła, szafki, ramy luster, łóżka – wszystko było obciążone miękkim stalowoszarym zamszem. Carraldo nie chciał, by tę jednostajną szarość zakłócił choćby jeden kolorowy akcent, gdyż – jak twierdził – oglądał w pracy tyle wspaniałych, barwnych płócien, że jego wzrok najlepiej odpoczywał w tym monochromatycznym wnętrzu.

Spytał Arię o jej obrazy i powód, dla którego przerwała studia we Florencji.

– Nie skończyłabym roku, skoro mam wyjść za mąż – odparła spuszczać oczy.

– W takim razie musimy załatwić ci prywatne lekcje – zdecydował natychmiast. – Pozostaw to mnie, znajdę ci świetnego nauczyciela.

Aria pomyślała, że to nie to samo. Nie chodziło o samą naukę: brak jej będzie przyjaciół, wspólnych żartów i śmiechu w kawiarniach, hałaśliwych studenckich przyjęć.

Pojawił się steward z zapytaniem, czy chcą się czegoś napić.

– Szampana? – zaproponował Carraldo.

– Dziękuję, ale czy mogłabym dostać coli?

Zarumieniła się na widok jego uśmiechu. Ukradkiem obserwowała go z profilu, gdy prosił stewarda o dwie cole. Jastrzębi nos nadawał jego twarzy drapieżny wyraz, a głęboko osadzone oczy miały ciemne obwódki, przez co wydawały się jeszcze ciemniejsze. Przypuszczała, że Carraldo w oczach wielu kobiet uchodzi za przystojnego mężczyznę, lecz ona czuła w jego obecności wyłącznie zażenowanie.

– Czy wiedziałś, że mam również dom w Portofino? – spytał napotykJając jej spojrzenie.

– Nie, bardzo mało wiem o panu.

– Musimy to naprawić. Sądę, że w Portofino będziesz się dobrze czuła, tam jest zawsze pełno młodzieży. Poza tym mam oczywiście dom w Londynie i mieszkanie w Nowym Jorku. Lubisz podróże, Ario?

– Jak na razie nie miałam wielu okazji do podróży.

Nie potrafiła w towarzystwie Carralda zachowywać się swobodnie. Podniosła do ust kryształową szklanę. W coli pływały gładkie, zaokrąglone kostki lodu i cienkie plasterki cytryny. Aria chętnie zamieniłaby tę kruchą szklanę z bakaratu na zwykłą puszkę, z jakiej piła colę w towarzystwie kumpli z uczelni.

Gdy samolot podchodził do lądowania, zdumiało ją, jak szybko minął półgodzinny lot. Przy pasie czekał kolejny długi czarny mercedes, by zawieźć ich z lotniska do miasta.

– Czy wszystkie pana samochody są takie same? – spytała. – Tak jak wnętrza samolotów?

Carraldo wzruszył ramionami.

– Mam po temu swoje powody. Przeżyłem wypadek, w którym omal nie zginąłem. Jechałem wówczas starym, ulubionym mercedesem mojego ojca. Układ kierowniczy był tak sprawny, że zdołałem uciec z kolizji i uniknąć ciężkich obrażeń. Od tamtej pory zawsze jeżdżę mercedesami, a ten model znakomicie mi odpowiada.

„Oczywiście – pomyślała Aria posepnie – człowiek taki jak Carraldo wszystko robi z jakiegoś powodu, nigdy nie działa bez namysłu. Każdy szczegół musi być przemyślany i zaplanowany. A jaki cel ma w tym, żeby się ze mną ożenić?”

Wóz stanął, lokaj w czarnej marynarce i białych rękawiczkach otworzył przed nimi drzwiczki. Wyszli i weszli do domu. Carraldo zmienił wnętrze wysokiej osiemnastowiecznej kamienicy z szarego kamienia w nowoczesną siedzibę. Podłoga z wybielonych desek nie była niczym przykryta. Jedyne dwa dywany, zabytkowe chińskie kobierce z jedwabiu, zawieszono na ścianach. Połyskiwały w półmroku subtelnymi barwami jak wspaniałe obrazy. Wszystkie pokoje na parterze połączono w jedną salę o wysokim suficie. Na obu jej końcach stały proste marmurowe kominki, w których palił się bliźniaczy ogień. Ściany pomalowano na neutralny kremowy kolor, a przepastne sofy obciągnięto ciemnoszarym płótnem. Źródeł światła było wiele, sączyło się z ukrytych nisz lub tworzyło jasne plamy wokół nowoczesnych lamp w kształcie wrzeciona. Z zestawu stereofonicznego z głośnikami tak wysokimi jak Aria dochodziła muzyka Mozarta w wykonaniu Aszkenazy'ego.

Aria rozejrzała się uważnie po pokoju, spodziewając się, że ujrzy słynną kolekcję dzieł sztuki, lecz na ścianach nie wisiało nic oprócz pięknych dywanów. Nigdzie nie było widać ani jednego obrazu, rzeźby czy choćby bibelotu.

– Każdy przedmiot w tym pokoju spełnia rolę użytkową – rzekł Carraldo. – Jak już wspomniałem, co dzień muszę oglądać tyle dzieł sztuki, że najlepiej wypoczywam psychicznie w spartańskiej prostocie. Jedynym wyjątkiem jest moja sypialnia, w której zawsze wieszam jeden z moich ulubionych obrazów i patrzę na niego przed zaśnięciem. Zmieniam go co miesiąc. Nie lubię się zbyt do niczego przywiązywać.

Na środku stołu jadalnego ze szkła i metalu stał podobny do dziewczęcej wiązanki bukiet z konwalii, gipsówki, frezji i małych kremowych różyczek. Był zupełnie nie na miejscu w tym wnętrzu. „Jak bukiet panny młodej” – pomyślała ze zdziwieniem Aria.

– Wybrałem te kwiaty dla ciebie – oznajmił jej Carraldo – sądziłem, że są w twoim guście.

Aria zaczerwieniła się z gniewu. Czyżby uważał ją za tak dziecinną? Lokaj podał

jej właśnie kieliszek szampana. Wypiła połowę jednym haustem postanawiając nagle, że będzie się zachowywać na tyle źle, na ile starczy jej odwagi.

Podano im tradycyjny włoski posiłek. Carraldo jadł niewiele. Siedział rozparty na swoim krześle i popijał szampana obserwując ją z lekkim sardonicznym uśmiechem. Aria unikała jego wzroku i piła musujący trunek jak wodę, nie odzywając się ani słowem.

W milczeniu wypili kawę, a potem on ujął ją za rękę i powiedział:

– Chodź, chcę ci jeszcze coś pokazać przed wyjazdem.

Wyszła za nim chwiejnie na korytarz, gdyż kręciło jej się już w głowie od szampana. Wprowadził ją do pokoju, w którym z pewnością mieścił się jego gabinet. Osiemnastowieczna dębowa cartonniere z obitymi skórą szufladami, których głęboka niegdyś barwa burgunda zbladła do różowej, kontrastowała z nowoczesną prostotą złomu cętkowanego czarnego granitu, służącego za biurko. Wszędzie panował nienaganny porządek, równo poukładane papiery leżały obok ksiąg o szacownym wyglądzie. Telefon był czarny, a jasnokremowe zasłony w oknach pasowały do koloru ścian. Aria oglądając to wnętrze odniosła wrażenie, że Carraldo ograniczył swe życie osobiste do minimum i ujął je w żelazne karby. Zadrżała na myśl, jak musi wyglądać jego sypialnia, i wyobraziła sobie coś w rodzaju zimnej klasztornej celi. Nagle jej wzrok padł na ustawiony na sztalugach mały pejzaż w pozłacanych ramkach, w którym natychmiast rozpoznała dzieło Maneta.

– Och... jaki piękny! – zawołała z zapartym tchem i pochyliła się, by go dokładnie obejrzeć.

– Byłem pewny, że ci się spodoba. – W cichym głosie Carralda dało się wyczuć zadowolenie.

Aria w zachwycie oglądała obrazek z coraz to innego miejsca.

– Jak Manetowi udało się stworzyć coś takiego? – szepnęła, zapominając na chwilę, gdzie jest i w czyim towarzystwie. – Jakim sposobem umiał stworzyć to magiczne złudzenie? To jest tak... tak prawdziwe, że czuję się, jakbym tam była, na tej łące nad rzeką w słoneczne niedzielne popołudnie.

– Manet wysłał ten obraz na Salon w 1860 roku, lecz komisja go odrzuciła – powiedział Carraldo. – Uważano, że jest dziwaczny i brzydki.

Aria patrzyła na niego z zadumą.

– Jakie to smutne nie mieć pojęcia, że kiedyś własna praca zostanie doceniona... choć przecież Manet musiał wiedzieć, że ludzie myślą się w swoim sędzie.

Carraldo odwrócił się od sztalug wzruszając ramionami.

– Van Gogh przez całe życie nie sprzedał ani jednego obrazu. Ja sam w miarę swoich skromnych możliwości staram się zaradzić złu – wyławiam nieznanym, utalentowanym artystów, pomagam im i znajduję nabywców na ich dzieła. Malarstwo to trudny zawód. Wymaga wielkiego samozaparcia. Dużo czasu mija, zanim się osiągnie sławę.

– Nie wiedziałam, że robi pan coś takiego – wyznała Ania zaskoczona.

Carraldo zdjął ze sztalug pejzaż Maneta.

– Kupiłem go dla ciebie – podał jej obrazek. – Proszę, weź go.

Aria wytrzeszczyła na niego oczy.

– Pan kupił ten obraz dla mnie?! Ale to przecież niemożliwe... to znaczy, chciałam powiedzieć... nikt nie daje takich prezentów...

– Nie udało mi się ciebie olśnić szmaragdem maharani, to może Manet znajdzie w twoich oczach więcej uznania – odparł Carraldo – Jest twój.

Przez chwilę patrzyła z osłupieniem na obrazek, pełna wahania i oszołomiona wspaniałością prezentu.

– Nie mogę go przyjąć – stwierdziła wreszcie. – Proszę, niech pan nie pyta dlaczego, po prostu nie mogę go przyjąć. Jeszcze nie.

Carraldo bez słowa ustawił pejzaż z powrotem na sztalugach.

– Pora wracać – rzekł krótko.

Aria zerknęła nerwowo w jego stronę i wyszła spiesźnie. Nagle powiało od niego takim chłodem, że się przestraszyła.

Potem, gdy mknęli z wielką szybkością na lotnisko, powiedziała sobie, że te głupie myśli nasunął jej chyba nadmiar szampana. Carraldo nigdy nie zrobiłby jej

żadnej krzywdy. Wyczuła jednak, że rozgniewała go odrzucając podarunek, a gniew Carralda był żywiołem o nieznanej sile.

W samolocie położyła głowę na oparciu i zamknęła oczy. Dopiero po dłuższej chwili odważyła się spojrzeć na swego towarzysza. Zobaczyła, że jest pochłonięty lekturą katalogu dzieł sztuki. Podróż minęła w zupełnej ciszy.

Czarny wóz czekał na lotniska, by zawieźć ich na łódź. Kiedy sunęli gmatwaniną kanałów, Carraldo nareszcie się odezwał:

– Cieszę się, że mieliśmy okazję trochę porozmawiać. Mam teraz uczucie, że znamy się lepiej.

Aria obserwując znikający w ciemnościach smukły czarny kadłub łodzi pomyślała, że w ich spotkaniu nad rozmowami przeważało głuche milczenie. Nie mogła powiedzieć, że zna go teraz lepiej niż przedtem. I wciąż czuła przed nim strach.

Rozdział 13

W londyńskiej galerii Petera Maze'a nastąpiło otwarcie wystawy Orlanda Messengera. Choć przyszło wielu bogatych ludzi i wypito już mnóstwo kiepskiego szampana, na niewielu obrazach pojawiły się małe czerwone nalepki oznaczające, że zostały sprzedane. Orlando uśmiechał się do każdego czarująco i nadstawiał policzki pod pobieżne, szybkie dwa całusy eleganckich kobiet. Ich suknie kosztowały prawdopodobnie więcej niż jego dzieła. Jednocześnie słuchał bacznie plotek, którymi wszyscy zdawali się bardziej interesować niż samą wystawą. „Niech ich diabli! – pomyślał ze złością. – O tym, kto z kim sypia, mogą gadać podczas tych swoich ciągnących się w nieskończoność lunchów, nie muszą teraz!”

Orlando od najwcześniejszego dzieciństwa słyszał zachwyty nad swoją niezwykłą urodą, wdziękiem tudzież charakterem i, choć to dziwne, wydawało się, że nadmiar pochwał nie uderzył mu do głowy. Uczęszczał po kolei do kilku najlepszych angielskich szkół publicznych, lecz z niewytłumaczonych bliżej powodów po krótkim czasie wyrzucano go z każdej z nich. Zdarzało się to zbyt często zdaniem

jego rodziców. Specjalista od psychologii dziecięcej powiedział im, że Orlando bardzo źle znosi dyscyplinę szkolną i ustalony tryb zajęć, choć jego bystrość nie pozostawia nic do życzenia. Miał nawet wyjątkowo wysoki iloraz inteligencji – 158.

Orlando wcześniej zaczął zdradzać uzdolnienia artystyczne i rodzice z ulgą wysłali go do Florencji, gdzie przez trzy lata uczył się w szkole sztuk pięknych. Postawili jednak warunek, że ma mieszkać u krewnych matki i przestrzegać pewnych zasad, co było całkiem zrozumiałe w odniesieniu do zaledwie szesnastoletniego chłopca. We Florencji, zachowując z powodzeniem pozory dobrze wychowanego, czarującego młodego człowieka o znakomitych manierach, nawiązywał romanse z przyjaciółkami ciotki. „Przynajmniej zadaje się tylko z kobietami – powiedział filozoficznie jego wuj, gdy ciotka wykryła prawdę i pełna oburzenia narzekała na siostrzeńca. – Z Anglikami nigdy nic nie wiadomo!”

Pobył Orlando za granicą niepostrzeżenie się przedłużał. Z Florencji pojechał do Paryża, stamtąd na południe Francji i na greckie wyspy. Nie odpowiadało mu jednak zaszywanie się na odludziu i malowanie dzikiej przyrody. Jego naturalnym środowiskiem był miejski luksus, wielkie, przestronne mieszkania i domy licznych przyjaciół. Umiał dobrze uchwycić podobieństwo i szybko odkrył, że najlepszym pochlebstwem było powiedzieć gospodyni, iż bezwzględnie musi namalować ją samą lub jej dom. Kobiety same na niego leciały, wszystkie bez wyjątku.

– Orlando! – zaczęła go niska kobieta w czerni, ubrana z zabójczym szykiem. Jej szerokie, uszmkowane usta rozchyłały się w uśmiechu, podobne do krwawej szramy. – Jak miło cię znowu zobaczyć! Nie widzieliśmy się od wieków... He to już minęło czasu? Dwa lata?

– Co najmniej, Pamelu – odparł biorąc ją za rękę i włączając swój wdzięk jak za przyciśnięciem guzika. – Tęskniłem za tobą.

– Ja za tobą też, kochanie. – Duże brązowe oczy spojrzały na niego porozumiewawczo spod grubej warstwy popielatego cienia do powiek i czarnego tuszu do rzęs. – Mam nowy domek letniskowy w Gstaad – dodała, nie spiesząc się z cofnięciem ręki z jego uścisku. – Przyjedź na Boże Narodzenie, organizuję ciche,

domowe przyjęcie, tylko dwadzieścia sześć osób.

– To brzmi wspaniale – powiedział uśmiechając się i zaglądając jej z bliska w oczy.

– Świetnie! Przy okazji będziesz mógł namalować mój nowy nabytek.

Zostawiła go i podreptała w głąb sali na niemożliwie wysokich obcasach, którymi zawsze dodawała sobie wzrostu. Parę kroków dalej rzuciła się na szyję następnej osobie, pisarzowi, który był znajomym Orlanda, z niemal identycznymi słowami powitania. Pamela miała inklinacje do „artystycznych” podbojów i dosyć pieniędzy, by zawsze postawić na swoim. Orlando myślał o tym z goryczą. Jeżeli pojedzie do Gstaad na Boże Narodzenie, będzie musiał, tak jak tego oczekiwała, zabawiać ją w łóżku, kiedy tylko przyjdzie jej ochota, i w rewanżu za wszystkie łaski namalować ładną akwarelkę. Tani pacykarz, służący jak piesek na dwóch łapkach w zamian za kolację!

Powiódł wzrokiem po nie sprzedanych obrazach: były ładne, pełne wdzięku, choć malowane odrobinę pod publiczność, gdyż starał się uwzględnić gusty swoich klientów. „Trzeba z tym skończyć – stwierdził pośpiesznie – muszę pokazać wreszcie lwi pazur”. Tak, ambicje ambicjami, ale nie miał chęci przymierać głodem na jakimś poddaszu; za bardzo lubił zbytek wyższych sfer. Dlatego skwapliwie uchwycił się nadziei spadku po Poppy Mallory.

Jak tylko ujrzał ogłoszenie, natychmiast zadzwonił do prawnika w Genewie i opowiedział mu swoją historię. Lieber wysłuchał go, a następnie spytał:

– Czy ma pan jakieś dokumenty na poparcie swoich słów?

Cóż mógł na to rzec? Przetrzęsnał centymetr po centymetrze gabinet ojca w poszukiwaniu aktów urodzenia, listów rodzinnych i innych papierów, lecz nic nie znalazł.

Gdy odpowiedział przecząco, w głosie adwokata zabrzmiało powątpiewanie.

– Proszę mi przysłać pisemne oświadczenie, panie Messenger. Proszę również dać mi znać, kiedy dowie się pan czegoś konkretnego – dodał Lieber, nie odprawiając go bezapelacyjnie, bo istniał ułamek prawdopodobieństwa, że rozmawia

ze spadkobiercą.

Orlando westchnął patrząc na elegancki, rozchichotany, szumiący plotkami tłum. Mając pieniądze Poppy mógłby nareszcie poczuć się jednym z nich, a nie ubogim intruzem. Nie musiałby więcej nadszukiwać Pamelom tego świata – wtedy nadeszłyby ich kolej na skakanie na dwóch łapkach, i, na rany boskie, długo kazałby im służyć w zamian za kolację!

– No, no, no – powiedział Peter Maze, właściciel galerii – patrzcie, kogo dobry wiatr tu przywiał! Daję słowo, Orlando, jesteś ulubieńcem bogów! Przecież to Antonio Carraldo!

Ruszył z rozpromienioną twarzą ku drzwiom, wyciągając rękę na powitanie ciemnowłosego mężczyzny o drapieżnej urodzie. W oczach Orlanda zapalił się błysk; wiedział, że Carraldo oprócz tego, że jest jednym z największych dealerów w handlu dziełami sztuki, od dwudziestu lat wspiera finansowo młodych artystów, z których kilku dzięki temu wyrobiło sobie markę w świecie. Carraldo był ich deską ratunku, prawdziwym mecenasem w dawnym stylu, kimś, kogo tak bardzo Orlando potrzebował. Ponadto znany był jako człowiek, który nie traci na próżno czasu. Nie przyszedłby tutaj bez powodu.

Orlando obserwował z chłodnym spokojem scenę powitania, sącząc szampana i czekając, aż Peter go przedstawi. Zobaczył, że Carraldo wskazuje obraz wystawiony w oknie. Peter Maze znów rozpromienił się cały z zachwytu i na ramie pojawiła się czerwona nalepka. Carraldo kupił akwarelę z widokiem Portofino! Orlando odstawił kieliszek i podszedł do nich, przeciskając się przez tłum.

– Ach, Orlando! – zawołał Peter. – Poznaj, proszę, to pan Antonio Carraldo.

– Właśnie kupiłem jeden z pańskich pejzaży – rzekł Carraldo.

– Pochlebia mi, że mój obraz spodobał się komuś o pańskim oku na tyle, by go kupić, signore Carraldo. – Orlando schylił głowę w lekkim ukłonie.

Carraldo zagłębił w nim spojrzenie głęboko osadzonych ciemnych oczu.

– Bardzo mi się podobają pana prace. Ma pan lekką rękę.

– Nie to jednak naprawdę chciałbym malować – oznajmił z zapalem Orlando. –

To są płótna komercyjne, obliczone na wyciągnięcie pieniędzy z kieszeni klienta. Gdybym mógł wyzwolić się z wszelkich więzów i tworzyć z całkowitą swobodą...

– Więc dlaczego pan tego nie robi?

– Z najbardziej pospolitego powodu: pieniędzy, a raczej ich braku – wyjaśnił Orlando ze wzruszeniem ramion. – Muszę zarabiać na życie.

– Jak my wszyscy.

– Carraldo! To naprawdę ty? Myślałam, że pojechałeś do Nowego Jorku kupować Van Gogha. – Pomiedzy nich wsunęła się wysoka chuda Amerykanka, otulona we wspaniałe sobole, mimo że w galerii było gorąco od świateł lamp. – Wiesz, że Harry jest tutaj? Musisz się z nim przywitać.

– Mam nadzieję, że jeszcze się kiedyś spotkamy – zdążył jeszcze powiedzieć Carraldo, ciągnięty za łokieć – i życzyć powodzenia w dalszej karierze.

– Skąd on się tu wziął? – spytał Orlando z rozdrażnieniem.

– Przechodząc obok wystawy zobaczył twój widok na Portofino. Rozbawiło go, że namalowałeś jego dom, więc postanowił wstąpić.

„Niech to piekło pochłonie! – pomyślał Orlando z pasją – więc wielki Antonio Carraldo znalazł się tu tylko przez przypadek, bo zobaczył na obrazie swój dom! Chyba wiecznie będę skazany na malowanie willi!”

– Słyszałeś najnowszą plotkę o nim? – Małe oczka Petera błyszczały złośliwym rozradowaniem. – Carraldo jest zakochany! Dziewczyna nazywa się Aria Rinardi. Jest piękna, soczysta jak brzoskwinia i ma niespełna osiemnaście lat. Już się jej oświadczył. Przyjęła go, bo jest biedna jak mysz kościelna, ale teraz jej matka zgłasza prawa do spadku po Poppy Mallory, więc Aria zaczyna się wahać. Która dziewczyna przy zdrowych zmysłach poślubiłaby, mając własny majątek, tajemniczego signore Carraldo?

Orlando wlepił w niego wzrok.

– Spadkobierczyni Poppy Mallory? Kto to taki?

– Nie widziałeś ogłoszenia? Myślałem, że każdemu wpadło w oko. Na tym polega cały kłopot, że nikt chyba nie wie, kim była Poppy...

– Nie o to pytam, głupcze! – warknął Orlando. – Kim jest Aria Rinardi?

Peter zmierzył go zagniewanym spojrzeniem.

– Nie podniecaj się tak, Orlando, to do ciebie nie pasuje. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, jest córką zubożałego włoskiego barona, który już pożegnał się z tym światem. Stąd konieczność znalezienia bogatego męża. Mieszka w Wenecji, w cudownym starym pałacu, rozsypującym się w gruzy, na który trzeba zapewne wydać około miliona, by doprowadzić go do przyzwoitego stanu. To nie dla ciebie, mój stary. Tobie przydałby się Carraldo żeńskiego rodzaju! – Roześmiał się piskliwie, a Orlando spiorunował go wzrokiem.

– Przydałby mi się lepszy marszand, który umiałby sprzedać moje obrazy! – rzucił ze złością i zaczął się przeciskać przez tłum otaczający ciasno Carralda. Popijał szampana obserwując go ukradkiem. Rozmyślał o tym, co właśnie usłyszał. Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o Arii Rinardi. Jak by się tu do tego sprytnie zabrać?

– Przykro mi, że muszę już wyjść – mówił właśnie Carraldo – ale w tej chwili powinienem lecieć do Paryża. Tak, w przyszłym tygodniu będę w Nowym Jorku. – Pożegnał się z kilkoma osobami uściskiem dłoni, musnął ustami kilka uperfumowanych policzków i już odwracając się do wyjścia pochwycił wzrok Orlanda.

– Z przyjemnością obejrzałem pana dzieła – powiedział uprzejmie i nagle urwał, jakby coś mu przyszło do głowy. – Kupiłem ten widok Portofino na prezent dla mojej narzeczonej – dodał. – Przez rok studiowała w szkole sztuk pięknych we Florencji i wybrała sobie właśnie akwarelę jako podstawową technikę. Przerwała studia, ale nadal chciałaby się kształcić. Sądzę, że przydałyby jej się prywatne lekcje. Gdyby to pana interesowało i pomogło w finansowych problemach, mógłbym pana zatrudnić na parę miesięcy jako nauczyciela. Wiąże się to oczywiście z pobytem w Wenecji, lecz moglibyśmy załatwić zakwaterowanie i wyżywienie w jakimś pensjonacie. Godziny pracy nie wydadzą się chyba panu zbyt uciążliwe i zostanie dosyć czasu na malowanie tego, co naprawdę chce pan malować.

Nie był to łut szczęścia, na jaki liczył Orlando, lecz w tych okolicznościach propozycja i tak była darem niebios. Nie musiał zabiegać o poznanie Arii Rinardi. Los się do niego uśmiechnął...

– Będę zachwycony – dziękował wylewnie. – Sam pobyt w Wenecji to wystarczająca zapłata!

Carraldo skinął mu głową.

– Mój sekretarz się z panem skontaktuje. A więc do widzenia, panie Messenger.

Orlando potrząsnął jego ręką. Nawet w przegrzanym, dusznym wnętrzu ta dłoń wydała mu się zimna. Z pewnym skrępowaniem spojrzął w oczy signorowi Carraldo. Plotki zawierały ziarno prawdy – w tym człowieku istotnie było coś złowrogiego.

Carraldo dotrzymał słowa. Jego sekretarz zadzwonił nazajutrz, żeby omówić szczegóły wyjazdu Orlanda do Wenecji. Miał polecieć klasą turystyczną i zamieszkać w skromnym pensjonacie, lecz samo wynagrodzenie było bardzo hojne. Spodziewają się jego przyjazdu w przyszłym tygodniu, jeśli mu to odpowiada. „No chyba, że tak” – pomyślał w trakcie pakowania. Wstąpił do galerii Maze’a, gdzie sprawdził, jak idzie sprzedaż, i wziął nieco gotówki. Do wyjazdu zostało akurat dosyć czasu, żeby udać się przedtem do Genewy, porozmawiać z panem Lieberem i przewąchać, jak sprawy stoją. Miał szczerzy zamiar dowiedzieć się, czy ktoś jeszcze zgłosił pretensje do spadku i kim są te osoby.

Wystrój kancelarii prawnej „Lieber i Lieber” w Genewie był supernowoczesny i bardzo elegancki, a młoda jasnowłosa recepcjonistka chyba specjalnie została wybrana, by pasować do niego wyglądem. Podniosła pytająco oczy znad wąskiej konsoly telefonicznej na biurku z różanego drzewa i uśmiechnęła się ładnie, natrafiwszy na wzrok Orlanda.

– Tak, m’sieur?

– Dzień dobry. – Podszedł bliżej i oparł się o biurko. – Nazywam się Orlando

Messenger. Chciałbym zobaczyć się z panem Lieberem.

– Czy ma pan umówione spotkanie, panie Messenger? – spytała, poprawiając odruchowo krótkie, puszyste włosy.

– Przykro mi, ale nie jestem umówiony. Przed chwilą przyjechałem z Londynu. Chodzi o spadek po Poppy Mallory. Myślałem, że może pan Lieber wykroi dla mnie jakiś kwadransik.

– Bardzo mi przykro – odrzekła, a z jej niebieskich oczu wzyrało współczucie – ale niestety pan Lieber nie przyjmuje nikogo bez uprzedniego ustalenia. Wie pan, jest bardzo zajęty.

– Jestem o tym przekonany – odparł Orlando – a poza tym ma dobry gust.

Obrzuciła go pytającym spojrzeniem.

– Skoro wybrał panią na recepcjonistkę... – dodał z rozbijającym uśmiechem.

Potrząsnęła głową z udanym oburzeniem, lecz również się uśmiechnęła. ^

– Proszę posłuchać – ciągnął szybko – przyjechałem tu z Londynu specjalnie po to, żeby się z nim zobaczyć. Przykro mi, że nie umówiłem się na wizytę. Po prostu nie przyszło mi to do głowy. Czy nie dałoby się znaleźć dla mnie choćby dziesięciu minut?

– Jeśli pan chce, spytam jego sekretarkę.

Odeszła po brązowym dywanie, kołysząc biodrami i pokazując ładne nogi. Wiedział, że jest świadoma jego wzroku, i skwitował to szerokim uśmiechem. Zastukała do drzwi i znikła w środku, a po chwili znów wyszła z czerwoną książką pod pachą.

– Zapomniałam, że sekretarka pana Liebera wyszła dziś wcześniej na obiad, ale tu jest jej notatnik ze spisem spotkań. Zobaczmy, co tutaj jest. – Przesunęła palec w dół strony. Orlando zaglądał jej przez ramię. – Niestety – rzekła z powątpiewaniem – dziś cały terminarz wypełniony jest co do minuty. Jak pan widzi, pan Lieber zaznaczył przybliżony czas trwania każdego spotkania... nie ma nawet chwili przerwy. Mówiłam panu, że jest bardzo zajęty.

Orlando skinął głową.

– Rozumiem. W takim razie spróbuję chyba szczęścia jutro.

Zwróciła się ku niemu ze zmarszczonymi w namyśle brwiami i w tej chwili odezwał się brzęczyk interkomu. Podniosła szybko słuchawkę.

– Tak, panie Lieber? – spytała. – Niestety, pana sekretarka jeszcze nie wróciła, ale ja mogę pana połączyć. Tak. Mike Preston, Santa Barbara, Kalifornia. Tak, proszę pana, od razu. Proszę chwilę poczekać – szepnęła do Orlanda i nakręciła numer. – Pan Preston? Łączę pana z panem Lieberem z Genewy. – Przełączyła rozmowę i odwróciła się do Orlanda. – Strasznie mi przykro, że nic z tego nie wyszło, panie Messenger – powiedziała współczująco. – Żałuję, że nie mogłam panu pomóc. Może poczeka pan na sekretarkę i z nią pomówi?

– Dobrze – westchnął, lecz po chwili rozjaśnił twarz w uśmiechu. – Może okaże pani litość nad biednym, samotnym mężczyzną, który umiera z głodu? Byłoby mi szalenie miło coś zjeść w pani towarzystwie.

Roześmiała się.

– Ot, tak dla zabicia czasu?

– Ależ skąd! – zaprzeczył z galanterią. – Wyświadczy mi pani prawdziwy zaszczyt.

Obserwowała go przez chwilę z zastanowieniem. Był bardzo przystojny, chłopięcy i taki czarujący...

– Czemu nie? – przystała w końcu. Telefon znów zadzwonił. Podniosła słuchawkę. – Tak, panie Lieber? Przetaksować do pana Prestona w Santa Barbara jeszcze jeden egzemplarz listy pretendentów do spadku po madame Mallory? Tej z numerami telefonów w Europie? Dobrze, proszę pana, wezmę ją z biurka pańskiej sekretarki i natychmiast prześlę. – Rzuciwszy Orlandowi uśmiech, pobiegła do biura i wróciła z kilkoma arkuszami papieru, które włożyła do faksu, po czym wcisnęła numer. Podniosła torebkę i uśmiechnęła się promiennie do Orlanda. – Powiem tylko jednej z dziewcząt, że wychodzę! – zawołała znikając w głębi korytarza.

Orlando spojrział na faks. Szum, świadczący o pracy urządzenia, ucichł, a na tacce leżało to, o co mu chodziło – lista nazwisk osób ubiegających się o majątek Poppy i

uzasadnienie ich wniosków. Rozejrzył się szybko, podniósł plik kartek i przewertował je, lecz nie miał czasu ich przeczytać – słyszał już na korytarzu kroki wracającej recepcjonistki. Bez chwili wahania wepchnął listę do kieszeni i ruszył na spotkanie dziewczyny.

– Nie znoszę jadać w samotności – powiedział – a poza tym nie znam Genewy i nie wiem, dokąd pójść. – Uśmiechnął się do niej zwycięsko. – Nie mogę się doczekać, kiedy mi pani opowie coś o sobie. Jak się pani nazywa? I co pani robi w tej nudnej kancelarii, gdy powinna pani pracować w Paryżu jako modelka? Znam kilku odpowiednich ludzi w tych sferach.

– Naprawdę? – spytała z roziskrzonym wzrokiem, a wszelka myśl o liście wywietrzała jej z głowy. Poszli razem w stronę windy.

Rozdział 14

Carraldo siedział sam w swoim gabinecie w wielkim pustym domu przy placu Belgravia. Już od czterech dni był w Londynie. Miał zamiar dostarczyć jedynie Renoira swojemu londyńskiemu klientowi, uczcić zakup długim, smakowitym lunchem w „Connaught” i polecieć z powrotem do Wenecji na obiad z podwójnej okazji urodzin Arii i ich zaręczyn, lecz treść przeczytanego rano ogłoszenia dręczyła go jak natrętna mucha. Zwlekał z powrotem i decyzją, co robić dalej. Chciał zadzwonić do Franceski i wybadać jej zamiary lub nawet porozmawiać z samą Arią, lecz zbyt się obawiał tego, co mógł usłyszeć. Przypomniawszy sobie prymitywny, fizyczny strach z czasów wczesnego dzieciństwa i poczucie uzależnienia, jakie nękało go w późniejszych latach, lecz nic nie mogło się równać z obecnym cierpieniem.

Francesca zrobi wszystko, żeby zagarnąć pieniądze Poppy. Domyślał się nawet, jak się do tego zabierze. Mimo to nie będzie chciała stracić świetnej partii dla córki. Dwa majątki to zawsze więcej niż jeden. W głębi serca zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli Aria zdobędzie inne źródło pieniędzy na zaspokajanie potrzeb matki, nie wyjdzie za niego za męża. Mógł obrać dwie metody postępowania: czekać w

bezczyńności, co przyniesie los, lub przedsięwziąć odpowiednie kroki, by raz na zawsze uniemożliwić udowodnienie, że Aria jest spadkobierczynią.

Zadzwoił do Palazzo Rinardi, jak tylko przeczytał ogłoszenie. Telefon odebrała Fiametta, która powiadomiła go niechętnie, że baronowej ani Arii nie ma w domu i że nie wie, kiedy wrócą.

– Proszę im przekazać, że pilne sprawy zatrzymują mnie w Londynie – powiedział. – Wrócę w przyszłym tygodniu. Przepróż w moim imieniu Arię, że nasz obiad zaręczynowy się opóźni, ale czekaliśmy tak długo, więc mała zwłoka nie zaszkodzi.

Następnie zadzwonił do kwiaciarni, zamówił sześć tuzinów białych róż i kazał je wysłać Arii.

Kołysał melancholijnie szklaneczką brandy i w ciszy wielkiego domu słuchał trzasku polan na kominku, aksamitnego głosu Pavarottiego z cicho nastawionego odtwarzacza płyt kompaktowych, słabego, charakterystycznego warkotu londyńskiej taksówki, skręcającej za róg. Potem, jak zawsze, gdy był sam, wrócił myślami do przeszłości.

Carraldo i Francesca Rinardi nigdy nie pałali do siebie sympatią. Francesca zaraz po ślubie z Paolem zdała sobie sprawę, że Carraldo przejrzał jej prawdziwą naturę i posądza ją o wyrachowanie. Po śmierci przyjaciela stłumił głęboki, prawdziwy ból i objął nadzór nad przygotowaniem do pogrzebu Paola w grobowcu Rinardich, dbając, by ceremonia odbyła się z należytym szacunkiem.

Mała, sześciolatnia Aria ścisnęła z ufnością jego rękę, gdy pogrzebowa procesja sunęła przez zamgloną wenecką lagunę do weneckiej wyspy-cmentarza San Michele. Miał wrażenie, że oni dwoje łączą się we wspólnym smutku. Kiedy wyniósł ją na rękach z kościoła, płaczącą głośno, ogarnęło go przemożne uczucie zaborczej miłości. W późniejszych latach trzymał się na uboczu ze względu na swoją antypatię do Franceski, lecz zawsze pilnował, by Aria była materialnie zabezpieczona. W rzadkich przypadkach, gdy widywał dziewczynkę, chowała się nerwowo za Fiamettę, jakby przejęta strachem, a wówczas zastanawiał się, co też

Francesca jej o nim naopowiadała.

Minęło pięć lat, podczas których nie widywał Arii. Któregoś dnia Francesca zadzwoniła do niego z zaproszeniem do Palazzo Rinardi. Rozstawione gęsto w salonie fotografie Arii zdradzały podobieństwo dziewczyny do ojca, a jednocześnie pokazywały, że wyrasta na piękność w nowoczesnym stylu, wysmukłą i delikatną. Carraldo słuchał słów Franceski i zaszokowany uświadomił sobie, że matka przygotowuje Arię na targ matrymonialny, by ją możliwie drogo sprzedać najbogatszemu reflektantowi. Wiedział, że najprościej dać Francesce upragnione pieniądze i umyć ręce od całej sprawy, lecz było to rozwiązanie tymczasowe; chciwości tej kobiety niczym nie dałoby się zaspokoić. Francesca zawsze będzie chciała więcej i bez skrupułów wykorzysta w tym celu własną córkę. Tego Carraldo był pewny. W nocy przemyślał sytuację i doszedł do wniosku, że powinien poślubić Arię Rinardi. Nie mógł pozwolić, aby córka jego najlepszego przyjaciela była wiecznie upokarzana i wykorzystywana przez matkę. Zrozumiał, że Aria, taka młoda, nie potrafi sprzeciwić się matce i posłuży jej za przynętę. Potrzebowała czasu, by nabrać siły, dojrzeć wewnątrz – stać się prawdziwą kobietą. A gdy Carraldo pomyślał o tym, jaką kobietą stanie się Aria, zdał sobie nagle sprawę, że pragnie jej równie silnie jak najpiękniejszego Rembrandta czy Moneta i gotów jest zapłacić za nią każdą cenę. Aria była uosobieniem młodości i niewinności – i musiał ją mieć właśnie teraz.

Przesiedział wtedy całą noc z butelką brandy w swoim wielkim pustym domu, wpatrując się, jak teraz, w wygasły kominek. Bił się z myślami i rozważał, czy Paolo zaaprobowałby jego zamiary. Wrócił pamięcią do pewnego wieczora trzydzieści trzy lata temu, kiedy wyznał przyjacielowi całą prawdę o sobie.

Po raz pierwszy spotkał Paola pamiętnego dnia w weneckim teatrze „La Fenice” na przedstawieniu „Normy”, w którym śpiewała Maria Callas. Przebrzmiały burzliwe owacje i publiczność już wyszła, a on wciąż siedział bez ruchu, nie mogąc się wyzwolić spod uroku śpiewaczki. Obok siebie dostrzegł kogoś, kto również pozostał na widowni, oczarowany „Normą”. Odwrócił się do sąsiada i

zapropował, by uczcić to przeżycie butelką szampana.

W trakcie rozmowy Paolo zdradził mu swoje wielkie zainteresowanie poetami epoki romantyzmu. Carraldo zaprosił go do siebie, aby obejrzał jego kolekcję rzadkich książek i manuskryptów. Ich przyjaźń, wyrosła na gruncie wspólnych upodobań, rozkwitała szybko i spędzali wspólnie wiele godzin na dyskusjach o sztuce, muzyce i poezji, a gdy Carraldo wyjeżdżał do któregoś ze swoich domów w innym mieście lub podróżował w interesach, pisali długie listy.

Paolo pochodził z bardzo starego rodu Rinardich. Po czterech stuleciach wystawnego życia majątek rodzinny niemal się wyczerpał. Rodzice Paola nie żyli, a on sam, beznadziejnie niepraktyczny, po otrzymaniu swojej renty, wypłacanej co kwartał przez radę powierniczą, wydawał ją natychmiast beztrosko na stare książki, dzieła sztuki i dobre wino. Jednak zdaniem Carralda był istnym czarodziejem słów. Miał piękny, wibrujący głos recytatora i gdy czytał włoskie wiersze, sonety Szekspira w oryginale lub łacińskie poezje Wergiliusza, słuchało się ich jak muzyki. To budziło uczucie fascynacji. Z kolei Paola intrygowała aura tajemnicy, jaka otaczała Carralda, i jego niepojęte bogactwo – same obrazy w jego domu stanowiły fortunę. Więzy między nimi krzepła na zasadzie przyciągania się przeciwieństw. Dobrze się czuli w swoim towarzystwie i nigdy nie zadawali sobie osobistych pytań.

Niekiedy siedzieli późno w noc nad butelką dobrego koniaku i wywnętrzali się sobie z najgłębszych uczuć, poruszając takie tematy, jak kobiety, miłość i seks. Pewnego razu Carraldo zrozumiał, że nie oprze się dłużej głosowi sumienia i albo wyzna przyjacielowi całą prawdę o sobie, albo zakończy ich znajomość. Była to ważka decyzja, ponieważ Paolo stał się najbliższym mu człowiekiem, jedynym, wobec którego przełamywał rezerwę i otwarcie zwierzał swoje myśli. Mógł za chwilę stracić kogoś, kogo kochał jak prawdziwego przyjaciela i brata, lecz wolał to od dalszych przemilczeń i niedopowiedzeń.

Znajdowali się obaj w jego willi w Portofino. Nadszedł chłodny jesienny wieczór. Cały dzień spędzili na jachcie, zjedli dobry obiad i teraz siedzieli odprężeni w miłej, braterskiej atmosferze przed ogniem na kominku, popijając szlachetny koniak. Nagle

Carraldo przerwał ciszę:

– Muszę ci o czymś powiedzieć.

Paolo poznał po jego bladej twarzy i poważnym wyrazie ciemnych oczu, że chodzi o ważną sprawę. Nie przerywając ani słowem słuchał, a Carraldo opowiadał mu historię swojego życia.

Przypuszczalnie urodził się w 1937 roku, chociaż nie mógł być pewny daty, ponieważ wszystkie dokumenty uległy zniszczeniu. Nie wiedział nawet, kim byli jego rodzice. Odkąd sięgnął pamięcią, mieszkał z kobietą o imieniu Antonella w wilgotnej neapolitańskiej kamienicy czynszowej, gdzie nie docierało światło słońca. Pamiętał, że zawsze nazywał tę kobietę po imieniu, i wywnioskował stąd, że nie była jego matką. Musiała jednak przewyższać nieco kulturą innych mieszkańców *bassi*, bo zawsze dbała, by był czysty i schludnie ubrany.

Właśnie nastaly czasy Benita Mussoliniego i faszyzmu. W kwietniu 1939 roku Włochy, porwane falą historycznego entuzjazmu dla Hitlera, napadły na Albanie. Kilka miesięcy później zawarły sojusz z Niemcami i rozpoczęły wojnę z aliantami, a później z Rosją.

W okresie drugiej wojny światowej życie stało się trudne. Brakło żywności, ponieważ wszyscy pracownicy rolni zostali wysłani na front. Młody Antonio, który nie znał innych warunków, uważał ten niedostatek za całkiem normalny. Brudne, zaśmiecone ulice *bassi* były jego placem zabaw, a kolegami – dzieci nędzarzy gnieźdzących się w czynszowych kamienicach. Zamiast normalnego języka uczył się cwaniackiej ulicznej gwary. W wieku pięciu lat miał szeroki zasób przekleństw, potrafił poruszać się z zawiązanymi oczami po labiryncie uliczek i schodków, które stanowiły jego terytorium, i mógł rozpoznać od pierwszego rzutu oka właścicieli mieszkań po praniu rozwieszonym na sznurkach w poprzek ulicy.

We wrześniu 1943 roku amerykańska 5 Armia pod wodzą generała Marka Clarka wylądowała w Salerno na zachodnim wybrzeżu Włoch. Walki toczyły się coraz

blżej Neapolu, który stał się celem nieustannych bombardowań. Wiele domów leżało w gruzach, lecz jakimś cudem codzienne życie toczyło się dalej. Pewnego słonecznego poranka w końcu września Amerykanie zrzucili na miasto grad bomb i w ciągu paru minut cały kwartał kamienic czynszowych w rodzinnej dzielnicy Antonia został zrównany z ziemią. Pozostał tylko dymiący, poczerniały gruz, który przysypał ciała zabitych. Śmierć dosięgła również Antonellę. Antonio uniknął podobnego losu tylko dlatego, że wysłano go do piekarza po świeży chleb. Wychudzony, wielkooki sześciolatek został całkiem sam na objętych ogniem walki ulicach Neapolu.

Nocą odkrył, że nie on jeden znalazł się w tym położeniu. W mieście były dziesiątki, a może i setki dzieci bez opieki. Nie wiedział dokładnie ile, bo umiał liczyć tylko do dwudziestu, lecz było ich mnóstwo. Inne dzieci ostrzegły go, że amerykańscy żołnierze zabiorą go do sierocińca, jeśli się dowiedzą, że nie ma żadnej rodziny. Nazajutrz miasto poddało się aliantom, a Antonio, przerażony widokiem czołgów i maszerujących obcych żołnierzy, zapadł w ruiny poranego bombami miasta i uczył się od innych, jak żebrać o pieniądze czy jedzenie i jak kraść. Kradli wszystko, co wpadło im w zwinne ręce – rozwieszoną do suszenia bieliznę, sprzedawaną później paserom, którzy puszczała ją dalej w obieg na targach, torebki starszych pań, jedzenie ze straganów nieuważnych sprzedawców i chleb z piekarni. Kryli spryt pod maską niewinności – któż mógłby posądzać o coś złego takie małe, zabiedzone sierotki? Spali w ruinach na resztkach zdezelowanych materacy i krzesel. Było ich w grupie przeszło dwudziestu, złączonych wspólnym celem – przetrwaniem.

Po roku umykania przed władzami i kształcenia się w kunszcie drobnego złodziejaska Antonio z trudem mógł sobie przypomnieć, że istnieje jakieś inne życie. Pewnego dnia ukradł czyścibutowi siedzącemu w kawiarni nad szklaneczką wina skrzynkę ze szczotkami i innymi przyborami. Tym razem nie zaniósł biegiem łupu do kwatery w ruinach, lecz ukrył go za zakurzoną aksamitną zasłoną w zakrystii pobliskiego kościoła. W nocy długo obmyślał swój następny ruch.

Skończył już siedem lat, a ubiegły rok wiele go nauczył – miał szybki refleks i wyrobioną rękę, wiedział, gdzie pozbywać się kradzionych rzeczy i umiał ocenić ich wartość. Wiedział, jak kraść i jak zdobyć dosyć jedzenia, by przeżyć. Rozumiał też, że dzięki skrzynce czyścibuta może otworzyć własny mały interes, zacząć regularną pracę i dostawać uczciwe wynagrodzenie zamiast kilku drobnych monet, które mu przypadały w grupie. Oznaczało to, że będzie musiał porzucić swoich towarzyszy, lecz nie mógł przepuścić takiej okazji.

Miał dosyć sprytu, żeby się przenieść z rodzimego *bassi* do innego, w zachodniej części miasta. Po kapitulacji Włoch nauczył się błyskawicznie, że żałośnie chudy, przyodziany w łachmany ulicznik, opowiadający rzewną historyjkę o swoim sieroctwie, mógł nieźle zarobić na polerowaniu butów młodych amerykańskich żołnierzy, którzy obsiadali kawiarnie na placach. Przykładał się do pracy, a oni w nagrodę rzucali mu monety w nadstawioną dłoń, częstowali czekoladą i dobrotliwie wicherzyli skołtunione, zawszone włosy, gdy zbierał się do odejścia. Nie wiedział jednak o tym, że jest czujnie śledzony.

Raz, kiedy nie podejrzewając niczego wchodził na schody u wylotu alejki prowadzącej do rumowiska, które obrał sobie za nową siedzibę, nastąpił atak. Ktoś zarzucił mu rękę na szyję, szarpnął w tył i przewrócił. Antonio poczuł zimne ostrze na żebrach. Bał się, lecz nie miał zamiaru oddać swojej skrzynki bez walki. Wygiął grzbiet i skoczył na równe nogi. Obrócił się zręcznie jak kot i kopnął napastnika w krocze. Chłopak osunął się z bolesnym jękiem na ziemię, lecz jego miejsce od razu zajęło dwóch następnych, którzy kopali Antonia, dopóki nie spłynął krwią.

– No dobra, wysłuchasz teraz spokojnie, co ci mamy do powiedzenia? – warknęli.

Antonio, zdumiony, że wciąż stali wokół, zamiast po prostu uciec z jego skrzynką, spojrzał na nich z ukosa spod szybko puchnących powiek. Byli dużo starsi i dużo więksi od niego, zrozumiał więc, że jest pokonany.

– Czego niby mam słuchać? – odwarknął. – Weźcie se skrzynkę i zostawcie mnie w spokoju.

– Chcemy czegoś innego – wysyczał chłopak, stawiając stopę obutą w ciężki

żołnierski but na piersi Antoniego. – Zamknij się i słuchaj.

Antonio zamilkł z oczami wlepionymi w gniotący mu klatkę piersiową but. Dowiedział się, że ma chodzić jak zwykle ze swoją skrzynką czyścibuta, lecz od tej pory połowa każdego lira, którego zarobi, będzie szła na konto jego ciemiężców. Nie miał żadnego wyboru, te czternastoletnie wyrostki były teraz jego panami. W zamian za to cały teren placu przed kościołem będzie pod ochroną i żaden inny czyścibut nie będzie mógł tam pracować. Jego pogromca przesunął kciukiem po ostrzu noża i nacisnął mocniej buciorem pierś Antoniego.

– Zgadzasz się na taki układ? – Schylił się i przysunął mu nóż do gardła.

Antonio skinął głową.

– Zgadzam się – wykrztusił.

– Codziennie o drugiej po południu i o jedenastej wieczorem będziesz oddawał nam naszą część. Nie myśl sobie, że nas wykiwasz, będziemy cię mieli na oku. Jak zaczniesz coś kombinować, wiesz, co cię czeka. – Chłopak przesunął nożem po gardle Antonia ze złowieszczym uśmiechem. – To było zwykle ostrzeżenie, żebyś zrozumiał, że mówimy serio.

Zniknęli w nocnym mroku, a Antonio z trudem podniósł się na nogi. Otarł brudną szmatą krew z twarzy i trzymając kurczowo skrzynkę pod pachą pokuśtykał do swojej kryjówki. Nie musiał długo myśleć, by zrozumieć, że odgrywa niewdzięczną rolę w tym układzie. Odwalał całą robotę, a jego „opiekunowie” zbierali tylko zyski. Oni pracowali głową, on rękami! Pierwszy raz zrozumiał, co to znaczy być szefem, i przysiągł sobie, że wkrótce sam nim zostanie.

Któregoś wieczoru jego gnębiciele nie pojawili się po wypłatę i dowiedział się, że złapano ich w obławie zorganizowanej przez wojsko, aby usunąć z ulic młodych, osieroconych kryminalistów. Był znów wolny i pełen planów na rozszerzenie działalności.

Nowy „dom” Antoniego przylegał do podupadłego zakładu pogrzebowego. W chłodne noce chłopiec spał na posłaniu z siana razem z parą zniedołężniałych karych

koni karawaniarskich, które jakimś cudem ocalały nie przerobione na kotlety, zapewne za sprawą przesadnego strachu. Z czarnymi kitami na łbach wciąż ciągnęły staromodny karawan na miejscowy cmentarz. Antoni nieraz śledził wzrokiem żałobny powóz, za którym podążała grupa zawodzących, odzianych w czerń płaczek, zmierzający uliczkami w stronę kościoła. Wielu starych ludzi umierało teraz z powodu ciężkich przejść wojennych, lecz trafiało się również dużo dziecięcych trumienek. W spustoszonej przez wojnę Neapolu panowały choroby i wciąż odczuwano niedostatek żywności, poza tym po wznowieniu ruchu motorowego w mieście zdarzało się wiele wypadków. To wszystko sprawiało, że zakład świetnie prosperował.

Rodziny zmarłych na ogół nie były przygotowane na śmierć krewnych i zwracały się po prostu do najbliższego zakładu pogrzebowego. Antonio pomyślał, że przedsiębiorca pogrzebowy łatwo zapewniłby sobie klientelę, gdyby sam zjawiał się we właściwym momencie, aby zdjąć ciężar niezbędnych przygotowań z ramion pogrążonych w bólu żałobników. On, Antonio, mógłby zająć się zbieraniem informacji o ludziach, którzy dopiero co umarli lub są bliscy śmierci i powiadamiać o tym przedsiębiorcę, by ten mógł się zjawić jako pierwszy przy łożu nieboszczyka. Zażądałby procentu od każdego pogrzebu. Zbieranie żałobnych wieści w okolicy nie przedstawiało trudności, ponieważ wszyscy byli dobrze zorientowani w życiu sąsiadów, a kobiety plotkowały bez przerwy – na targu, u piekarza lub wychylając się z okien kamienic. Liczyła się szybkość. Musiał tylko wykombinować jakiś środek lokomocji, by prędko się przemieszczać. To był niezbędny warunek powodzenia.

Nazajutrz młody żołnierz amerykański, opływając potem w podkoszulku khaki, grubych wełnianych spodniach i ciężkich butach, przymocował starannie swój rower łańcuchem do żelaznej kraty w drzwiach baru i wszedł do środka, znęcony wizją zimnego piwa. Antonio wynurzył się z cienia i rozejrzał ostrożnie w obie strony. Ulica była pusta. Ukląkł i zaczął manipulować przy kłódce pękiem kluczyków, które pożyczył na jeden dzień od swojego znajomego w zamian za jednodniowe używanie

skrzynki czyścibuta. Przy siódmej próbie zamek puścił, a Antonio wskoczył na siodełko i pomknął jak wiatr.

Zawarł pierwszą „umowę” z zakładem pogrzebowym w sąsiedztwie i zażądał tylko pięciu procent. Śmigając po nędznych uliczkach na rowerze wkrótce znalazł wylot stan zdrowia wszystkich mieszkańców *bassi*. W zakładzie nastąpiło wyraźne ożywienie interesów i Antonio wkrótce mógł sobie pozwolić na sprzedanie skrzynki czyścibuta za okrągłą sumkę – plus tygodniowy procent od zarobków. Rozszerzył również swoją działalność na następny zakład pogrzebowy. Wówczas pierwszy kontrahent podwyższył mu stawkę do dziesięciu procent w obawie przed konkurencją. Antonio zrozumiał, że karta się odwróciła. Teraz on był szefem.

Zatrudniał u siebie chłopców z sąsiednich *bassi*, aż dorobił się sieci dwunastu pracowników, obejmującej całe miasto. W krótkim czasie zaczął zarabiać tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi zrobić.

W wieku dziesięciu lat wyglądał jak silnie zbudowany czternastolatek. Ponieważ tak było mu wygodnie, dodał sobie te cztery brakujące lata. Miał darmowe mieszkanie nad zakładem pogrzebowym, kobietę do sprzątania, która od czasu do czasu gotowała mu posiłki, i dużą sumę pieniędzy, poutykanych pod deskami podłogi. Gdy ukończył czternaście lat (utrzymywał, że ma osiemnaście), kupił za pośrednictwem prawnika dwupokojowe mieszkanie, które było jego wyłączną własnością. Zapłacił gotówką.

Wracał pewnego razu samotnie do domu, gdy koło niego zatrzymał się samochód, z którego wyskoczyło dwóch mężczyzn. Poczuli lufę pistoletu, boleśnie wbitą w klatkę piersiową, i zrozumiał, że to nie jest zwykły napad rabunkowy.

– Właż do środka – rozkazał wyższy z mężczyzn – nie ma się czego bać. Ktoś po prostu chce z tobą pogadać, i tyle.

Zawiązali mu oczy. Zdawało się, że samochód krąży po mieście nieskończenie długo, aż wreszcie koła zazgrzytały na żwirowym podjeździe. Antonio, prowadzony przez porywaczy, potykając się wszedł po szerokich kamiennych stopniach. Jakiś głos o łagodnym brzmieniu rzucił rozkaz i napastnicy zdjęli mu opaskę.

Znalazł się w jasno oświetlonym ogromnym pokoju. Do tej pory nie wiedział nawet, że sale o takich rozmiarach w ogóle istnieją. Całe jego mieszkanie zmieściłoby się w kącie tego olbrzymiego pomieszczenia. Ściany były aż po sufit wyłożone boazerią, na wypolerowanej dębowej posadzce leżały miękkie dywany w pastelowych kolorach. Stało tu wiele sof i foteli obitych brokatem, kwiaty w wazonach na małych stolikach roztrząsały słodki zapach, a na wielkim palenisku paliła się kłoda drzewa. Przy ogniu, w fotelu z wysokim oparciem siedział niski ciemnowłosa mężczyzna o pomarszczonej wiekiem twarzy i patrzył na Antonia, który gapił się z rozdziawionymi ustami na piękne obrazy na ścianach.

– Podobają ci się, co? – spytał drżącym głosem. – Ten po lewej namalował Ghirlandaio. Akt, który właśnie podziwiasz, jest pędzla Tycjana, na prawo wisi uczta Veronesa, a naprzeciwko moje ulubione płótna Canaletta. – Strzepnął popiół z papierosa do srebrnej popielniczki. – Wszystkie, rzecz jasna, zostały zrabowane. Nie przeze mnie, lecz przez armię Hitlera. – Wzruszył ramionami. – Gdybym je oddał, gniłyby prawdopodobnie w muzealnych piwnicach. Mam wrażenie, że tu są bardziej doceniane.

Antonio patrzył na niego w oszołomieniu.

– Czego pan ode mnie chce? – wybuchnął w końcu. – Po co mnie pan tu ściągnął?

– Obserwuję cię od jakiegoś czasu, Carraldo. Jesteś bardzo przedsiębiorczym młodzieńcem. Zdaje się, że chociaż twierdzisz inaczej, masz dopiero czternaście lat?

Antonio zmierzył go gniewnym wzrokiem. Kogóż poza policją mógł obchodzić jego wiek? Ten mężczyzna z pewnością nie był policjantem, był na to zbyt bogaty i potężny. Nagle zrozumiał, przed kim stoi. Słyszał jego nazwisko, wspomniane szeptem i z pełnym strachem szacunkiem. Nogi się pod nim ugięły, musiał chwycić trzęsącą ręką oparcie fotela, lecz wkrótce gniew przeważał nad strachem.

– Chce się pan wpakować w mój interes – powiedział dobitnie – dlatego kazał mnie pan tu sprowadzić, co? Żeby mi go zabrać. Harowałem jak wół na wszystko, co mam, signore, i niech mnie gęś kopnie, jeśli to panu oddam! Może pan kazać

mnie zbić, nawet zabić, ale nigdy nie popuszczę swego, nigdy!

Twarz mu spurpurowiała z gniewu, lecz mężczyzna uśmiechnął się tylko.

– Uspokój się, Carraldo – powiedział zapalając następnego papierosa. – Porozmawiajmy jak dżentelmeni. Zgarniasz dzięki swojej pomysłowości i zaradności niezły profit. Potrafię ci go wyliczyć co do grosza. Moglibyśmy oczywiście z łatwością przejąć twoje drobne przedsiębiorstwo, wiesz przecież, jak to się odbywa... ale kto by sobie zawracał tym głowę? – Wzruszył ramionami i strzepnął popiół z papierosa.

Antonio wytrzeszczył na niego oczy. Jego gniew gdzieś uleciał, a zamiast niego pojawiło się przerażenie. Wiedział, o czym mówi ten starzec, lecz wciąż nie miał pojęcia, dlaczego się tu znalazł.

– Usiądź tutaj, Carraldo, naprzeciwko mnie, – Mężczyzna skinął ręką w stronę obitej pastelowym brokatem sofy. – Bez wątpienia słyszałeś coś niecoś o mnie i moich interesach. Jak również o moich metodach. – Antonio skinął potakująco. – W takim razie mogę ci powiedzieć jedno: nie powinieneś wierzyć we wszystko, co ludzie gadają. Ja też zebrałem o tobie sporo informacji. Znalazłeś się tutaj, ponieważ potrzebuję kogoś takiego jak ty. Och, mam pod dostatkiem silnych, bezmózgich idiotów, odpowiednich do bardziej... prymitywnych zadań, a wszyscy oni rzuciliby się skwapliwie na to, co chcę tobie zaproponować. Brak im jednak sprytu i przedsiębiorczości. Oni nie potrafią stać na własnych nogach, podejmować decyzji i kierować innymi. Sądzę, że po odpowiednim przeszkoleniu ty nadasz się do tej roli. Jesteś sam na świecie i to mi bardzo odpowiada, bo nie będą cię kępowały więzy rodzinne. Nie mam synów – ciągnął dalej, gasząc na wpół wypalonego papierosa – i szukam następcy, który objąłby moje... królestwo. – Uniósł stalowo-siwe brwi na pełnym zmarszczek czole i spojrzał pytająco na Antonia. – No więc, chłopcze, co na to powiesz?

Antonio nerwowo przełknął ślinę.

– Nie wiem nic o pana interesach – wymamrotał. – Znam się tylko na tym, co robię. Nie chodziłem nigdy do szkoły... Nie mam zielonego pojęcia o obrazach,

wszystkie te nazwiska, co pan wymienił, nic dla mnie nie znaczą. Jak żyję, nie widziałem takiego pokoju. Odkąd miałem sześć lat, obijałem się na bruku. Czego pan mógłby chcieć od kogoś takiego jak ja? Może pan sobie wynaleźć kogoś kształconego, co wie, jak się znaleźć. Ze mnie nie będzie pan miał żadnej pociechy, pan ani pana interesy.

– Owszem, zatrudniam ludzi z wyższym wykształceniem, księgowych i prawników, na innych stanowiskach. Ty masz coś cenniejszego niż ich kwalifikacje. Obserwowałem cię bardzo uważnie i mogę powiedzieć, że znam cię dobrze. Jesteś młody, można cię odpowiednio poprowadzić i wyedukować, lecz wiedzy, którą posiadasz, wiedzy o życiu ulicy nie da żadna szkoła. Nadejdzie dzień, gdy moje przedsiębiorstwo będzie cię potrzebować. A nagroda będzie olbrzymia, większa niż mógłbyś zamarzyć.

Antonio w zakłopotaniu zwichrzył i bez tego potarganą czuprynę. Ofiarowywano mu niewyobrażalną fortunę. Wiedział, że ten, który mu ją daje, to człowiek u szczytu władzy, że jego mafia obejmuje swoimi mackami całe Włochy. Propozycja była pociągająca mimo strachu, jaki budziła. Życie nauczyło jednak Antonia, że nie ma nic darmo. Czego ten facet może chcieć w zamian?

– Nigdy nie zabiję nikogo dla pieniędzy – rzekł pogardliwie.

– Mój drogi, nikt tego od ciebie nie wymaga – odparł mężczyzna z pełnym zrozumieniem uśmiechem. – Zapominasz, że to ty będziesz wydawał rozkazy.

Antonio skinął głową. Zrozumiał.

– Co mam teraz zrobić?

Mężczyzna rozparł się w obitym brokatem fotelu.

– Podjąłeś mądrą decyzję. Miejmy nadzieję, że nigdy nie będziesz miał powodów, by jej żałować. Począwszy od dzisiejszej nocy zamieszkaś tutaj. Pokój jest już przygotowany. Jutro przyjeżdża twój angielski nauczyciel i rozpoczniesz naukę.

– Ale moje mieszkanie, moje rzeczy...

– Nie będziesz potrzebował niczego z przeszłości. Mieszkanie zostanie

sprzedane, a pieniądze wpłacone na twój nowy rachunek bankowy. Nie zarobisz ani grosza, dopóki nie będę zadowolony z twego wykształcenia.

Antonio spojrział na niego z powątpiewaniem. Czuł się tak, jakby podpisał cyrograf. Owładnął nim strach. Co go czeka, jeśli nie spełni oczekiwań? Na myśl o tym przeszedł go dreszcz, lecz pokusa władzy szybko przemogła lęk.

– Jeszcze jedno, zanim odejdziesz do swego pokoju – dorzucił starzec przeszywająco chłodnym głosem, zapalając kolejnego papierosa. – Jesteś jeszcze chłopcem, ale masz już niegorsze doświadczenie i apetyt, jeśli idzie o sprawy erotyczne. Od tej chwili będziesz zachowywał ścisłą wstrzemięźliwość. Nie pozwolę, by jakiś skandal splamił imię mojej Rodziny. – Po tych słowach odwrócił się, wziął do ręki książkę i otworzył ją w miejscu zaznaczonym srebrną zakładką. – A teraz możesz iść – zakończył.

Antonio wiedział, że zaprzedał się w swoistą niewolę, lecz miała ona swoje dobre strony. Odkrył w sobie wielki głód nauki. Połykał książki i przeciągał ponad miarę lekcje, aż nauczyciel opadał z sił. Matematyka nie przedstawiała dla niego trudności, ponieważ od kiedy ukończył sześć lat, stosował ją na co dzień w praktyce. Za sprawą geografii świat otwarł się przed nim, poszerzając swoje granice, a błyskotliwe wykłady z historii ożywiły w jego wyobraźni przeszłość. Piękno słowa pisanego, muzyki i innych dziedzin sztuki otworzyło przed nim obszary nowej wiedzy i wrażliwości. W chwilach wolnych od nauki ślęczał w bibliotece i odkrywał z modlitewnym zachwytem cenne stare księgi. Zdejmował je ostrożnie z półek, podziwiał ich sędziwy wiek i piękno kruchych, ręcznie iluminowanych stronic. Z czułością dotykał miękkich skórzanych okładek, wyobrażając sobie pracę introligatora, który stworzył te dzieła sztuki, aby przetrwały stulecia. Oglądał wiszące w każdym pokoju płótna mistrzów, chłonąc ich ulubione techniki i charakterystyczne szczegóły.

Co wieczór jadł kolację ze swoim opiekunem, ubrany w eleganckie spodnie z szarej flaneli, niebieską koszulę z granatowym jedwabnym krawatem i zapinany na złote guziki blezer. Chociaż zwracał się do niego po imieniu, zawsze nazywał go w

myśli „On”, jakby podświadomie wolał nie pamiętać, z kim ma do czynienia. Starzec zadawał mu wiele podchwytliwych pytań na temat lekcji i kiwał z zadowoleniem głową, gdy słyszał szybką i trafną odpowiedź. Stwierdził, że jego podopieczny ma za mało ruchu i załatwił mu lekcje tenisa, pływania i szermierki. Antonio najbardziej lubił szermierkę. Gdy ubrany w biały kostium i drucianą maskę wymachiwał floretem, czuł się jak Douglas Fairbanks w jednym ze starych filmów, które On oglądał kilka razy w tygodniu w prywatnej salce kinowej w suterenie.

Nie mógł się nadziwić, jak łatwo przywykł do życia w luksusie i licznej służby. Willę i otaczający ją park utrzymywał w nienagannym porządku cichy tłum służących i ogrodników. Antonio co dzień dostawał świeże, wyprasowane ubranie. Śniadanie i obiad przynoszono mu do pokoju szkolnego, gdzie już od szóstej rano ślęczał nad nauką. Kolacje, serwowane z namaszczeniem przez lokaja w białych rękawiczkach, co wieczór jadł z Nim. Zawsze podawano dobre wino, a On musiał dobrze się natrudzić, by wyjaśnić Antoniowi jego doskonałość i subtelności smaku. Oczywiście za te luksusy trzeba było płacić pewną cenę. Piękne ogrody otaczał wysoki mur, patrolowali je uzbrojeni strażnicy z groźnymi, warczącymi brytanami. Strażnicy stali również przy bramie i wszystkich drzwiach. Wszędzie zamontowano systemy alarmowe i potężne reflektory. Od niemal półwiecza On był więźniem we własnej luksusowej rezydencji. Przez dom przewijał się jednak nieustannie potok ludzi. Niektórzy wyglądali na solidnych urzędników, inni na kryminalistów, a jeszcze inni, pełni pokory, byli mieszkańcami *bassi*. On przyjmował ich wszystkich.

Antonio pędził dość samotny jak na młodego człowieka tryb życia, choć był przyzwyczajony do samotności. To życie jednak wydawało mu się ciekawe i urozmaicone, lecz brakowało w nim jednej rzeczy. Na neapolitańskiej ulicy dzieci szybko dojrzewają. Antonio po raz pierwszy widział parę kochającą się w ciemnej bramie, gdy miał sześć lat. Niektórzy chłopcy za pieniądze ofiarowali swoje usługi starszym mężczyznom, a inni często miewali przygody, o których rozprawiali z anatomiczną dokładnością i dużą dozą przesady.

Kiedy Antonio miał trzynaście lat – wyglądał na siedemnaście – poszedł do

pewnego mieszkania, gdzie podobno umierał jakiś staruszek. Chciał zjawić się pierwszy z ofertą pogrzebu. Drzwi otworzyła młoda kobieta o wydatnym biuście i szerokich biodrach. Ciemne, kręjące się włosy opadały na jej ramiona, gdy przytrzymała drzwi, mierząc go podejrzliwym spojrzeniem i ściskając drugą ręką na piersi tani jedwabny szlafrok. Antonio z wysiłkiem oderwał spojrzenie od jej piersi i wyjaśnił, że doszły go słuchy, iż w jej domu ktoś może potrzebować usług pogrzebowych.

– O tak, on umiera, tylko patrzeć, jak wyzionie ducha. I dzięki Bogu! – wykrzyknęła. Potem patrząc na niego dodała: – Wejdz, to wszystko omówimy.

Usiadła przy nim na wytartej aksamitnej kanapie. Przez uchylone drzwi naprzeciwko Antonio widział mężczyznę leżącego na łóżku. Szarobiała twarz, zwrócona w ich stronę, była wysuszona i pomarszczona, lecz spojrzenie miał bystre i czujnie ich obserwował.

– Nie wiem, jakim cudem tak długo pociągnął – oznajmiła rzucając obojętne spojrzenie przez pokój – doktor powiedział, że powinien skończyć już tydzień temu. Stary już jest i dość się nażył... Czas, żeby odszedł do Stwórcy i zrobił miejsce komuś młodszemu. – Spojrzała na Antonia z namysłem, a potem poszła do kuchni, skąd wróciła z otwartą butelką czerwonego wina.

– Ile lat ma pani ojciec? – spytał Antonio z grzeczności.

– Mój ojciec?! – zawołała z drwiącym śmiechem. – To nie mój ojciec, a mąż!

Nalała wina do dwóch szklanek i podała mu jedną. Przy tym ruchu szlafrok rozchylił się na piersiach. Antonio gorączkowo przełknął wino, ściskając desperacko kolana, bo poczuł nagłe stwardnienie w kroczu. Piersi kobiety przypominały dwa ciężkie owoce, oliwkowa skóra wyglądała na jedwabiście gładką, a sutki były ciemne i sterczące.

– Napij się jeszcze. – Napelniła powtórnie jego szklanę. – A potem powiedz mi, co tu robisz. – Położyła pulchną rękę na jego udzie i przysunęła się bliżej, nie robiąc żadnego gestu, by zakryć dekolt. Opróżniwszy swoją szklanę, odezwała się szorstko: – Masz pojęcie, co to znaczy kochać się ze staruchem? Kłaść się w nocy do

jego łóżka i czuć, jak cię obmacuje zimnymi rękami, a zarazem majstruje przy swoim interesie, żeby zrobić sobie dobrze? Możesz sobie wyobrazić, jak to jest, gdy coś takiego – rzuciła zjadliwe spojrzenie w szparę w drzwiach – obcałowuje cię z cieknącą z ust śliną? Boże! – jęknęła, a jej dłonie nagle zaczęły błędzić gorączkowo po ciele Antoniego. – Nie wiesz nawet, jak gorąco życzyłam mu śmierci, jak pragnęłam poczuć przy sobie młode, ciepłe ciało. – Zadygotała, gdy Antonio położył rękę na jej piersi. – Oooch! – krzyknęła przeciągle – chcę, żeby mnie ktoś kochał, jak się normalnie kocha kobietę, czy jest w tym coś złego?

Szlafrok zsunął się z jej ramion, padła na kanapę pociągając za sobą Antoniego. Machinalnie wtulił głowę w jej piersi i nagle wstąpił w niego obcy duch. Poczul się silny, potężny, jakby miał w swojej władzy wszystkie kobiety świata. Kobieta znów jęknęła z zachwytem, gdy zobaczyła jego erekcję. Wszedł w nią gwałtownie i wtedy posłyszał cichy okrzyk zza niedomkniętych drzwi sypialni. Obrócił głowę. Zobaczył utkwione w siebie oczy konającego.

– Jeszcze – błagała kobieta – mocniej, mocniej... tak, żeby bolało!

Wbił członek głęboko i poruszał się w coraz szybszym rytmie, gryząc jej sutki i czując paznokcie, orzące mu plecy. Mimo że był to jego pierwszy raz, wytrzymał dłużej niż ona i pozwolił sobie na rozkosz dopiero wtedy, gdy zaczęła błagać go, by przestał.

Szybko narzucił ubranie. Kobieta, wciąż wyzywająco naga, podeszła do drzwi sypialni.

– No, to załatwiło sprawę – powiedziała tonem, z którego wiał mróz. – Staruch wreszcie zdechł.

Antonio rzucił się do drzwi i wypadł na schody. Jeszcze tam gonił za nim jej przenikliwy śmiech.

W Neapolu łatwo było znaleźć seks, jeśli się wiedziało, czego szukać. Wystawiano go na sprzedaż na każdym rogu, prowadziły do niego niezliczone przygodne znajomości. Antoniowi zdawało się, że cały świat obraca się tylko wokół spraw erotycznych. On sam z pewnością był nimi pochłonięty i wkrótce zaczął

chodzić na rozbierane prywatki, poświęcone rozpustnym figlom. Odkrył, że lubi mieć dwie lub nawet trzy dziewczyny jednocześnie. Pierwsze doświadczenie przesądziło o jego przyszłych upodobaniach – lubił postępować twardo i brutalnie, słyszeć jęki bólu i rozkoszy, błagalne wołania. Chciał mieć nad kobietami absolutną władzę. Były niewolnicami, a on ich panem.

W rezydencji starca musiał żyć w celibacie, wszystkie myśli poświęcając nauce. Dziwnym obrotem rzeczy po jakimś czasie ostra samodyscyplina zaczęła sprawiać mu przyjemność. Czuł się jak nowicjusz w zakonie i wyładowywał energię grając z zacięłością w squasha, pływając i fechtując.

Nie było wątpliwości, że On darzył go coraz większą sympatią. Pewnego razu Antonio dostał ostrych boleści. On pełen niepokoju wezwał lekarza, a po stwierdzeniu zapalenia wyrostka robaczkowego, zawiózł go osobiście do szpitala wielkim, prowadzonym przez szofera czarnym mercedesem w asyście licznej ochrony. Nie odszedł, zanim nie przekonał się na własne oczy, że jego pupil pomyślnie przeszedł operację. Powrócił tego samego dnia wieczorem z wielkim koszem owoców i kwiatów i naręczem książek, które sam wybrał według gustu Antonia.

Po tym wypadku częściej trzymał Antonia przy sobie i stopniowo zaczął wprowadzać go w sprawy swojego „przedsiębiorstwa”, wyjaśniać jego strukturę i zapoznawać z obszarami, na jakich działało. Antonio w wieku dwudziestu jeden lat (wciąż dodawał sobie cztery), znał wszystkie sekrety starca i był wprowadzony we wszystkie obowiązki, jakich wymagała funkcja następcy.

Parę miesięcy później On miał pierwszy zawał, niezbyt rozległy, ale i tak został unieruchomiony na wózku inwalidzkim. Nagle stał się bardzo wątpy i kruchy. Antonio dopiero wówczas uświadomił sobie głębokie przywiązanie, jakie żywił do starca. On wziął go z brudnej ulicy i zmienił w cywilizowaną istotę, dał mu wykształcenie, ogładę i mądrość; gdy więc Antonio modlił się o jego wyzdrowienie, była to szczerza modlitwa, płynąca z serdecznej troski, a nie chęci uniknięcia twardego jarzma odpowiedzialności.

Pewnego wieczora po kolacji siedzieli obaj w milczeniu zatopieni w lekturze. Po jakimś czasie Antonio zamknął książkę i życzył starcowi dobrej nocy. Był zmęczony i chciał się wcześniej położyć.

– Nie odchodź jeszcze, synu – rzekł On słabym, drżącym głosem.

Antonio posłusznie usiadł.

– Tam leży pewien dokument. – On wskazał ruchem brody okrągły, wykładany marmurem stół pod oknem. – Przynies go tu, dobrze? – Antonio spełnił polecenie. – A teraz przeczytaj – powiedział cicho starzec – i powiedz, co o tym myślisz.

Antonio miał przed sobą formalny akt adopcji. On chciał go usynowić w majestacie prawa. Antoni wlepił oczy w dokument, unikając niespokojnego wzroku starca. Dotychczas zawsze się pocieszał, że gdy takie życie mu zbrzydni lub gdy zażądamy od niego, by wziął udział w przedsięwzięciach Rodziny, uda mu się jakoś wymknąć, uciec z tego domu, opuścić Włochy, zacząć od nowa. Jeżeli podpisze ten dokument, stanie się legalnym synem głowy Rodziny. Wtedy nie będzie już ucieczki.

– Zrozum, to jedyne wyjście – rzekł On. – Jeśli cię usynowię, cały mój majątek przejdzie zgodnie z prawem na ciebie. – Westchnął ze znużeniem. – Wiele osób tylko czeka, by rozszarpać go jak sępy, gdy mnie nie stanie. Nie możemy przecież do tego dopuścić, prawda, Antonio? Moja kolekcja... tyle skarbów... tyle nagromadzonego piękna, które dla nich liczy się tylko w brzęczącej monecie. Ty będziesz je kochał jak ja. Jesteś moim prawdziwym duchowym synem.

Antonio podpisał dokument drżącą dłonią i oddał go starcowi, zaskoczony wyrazem nieopisanego radości w jego oczach.

– Powiedziałem kiedyś, iż mam nadzieję, że nigdy nie pożałujesz swego wyboru – powiedział On cicho. – Mogę cię teraz zapewnić, że tak będzie.

Dwa miesiące później miał drugi, rozległy zawał i po kilku minutach już nie żył. Antonio stał się jedynym panem i władcą całego imperium, jakie nadzorował – nową głową Rodziny.

Pogrzeb odbył się z dyskretną pompą. Wzięli w nim udział tylko Antonio, najwyższa „rada nadzorcza” i około dwunastu milczących, odzianych w ciemne płaszcze ludzi o poważnym spojrzeniu, którzy byli mu całkiem obcy. Po ceremonii oznajmili z uprzedzającą grzecznością, że nadszedł czas na rozmowę o interesach. Antonio słuchał kryjąc zdenerwowanie, gdy nakreślali jego przyszłą rolę i zadania. Orzekli gładko, że z powodu swego niedoświadczenia trudno by mu było prowadzić rozliczne, skomplikowane interesy. Proponowali, że pomogą mu przejmując nadzór nad pewnymi „działaniami”; będzie lepiej dla wszystkich zainteresowanych, gdy pozwoli im się tym zająć. Unikną niepotrzebnych kłótni i kłopotów. Przyznali, że osobisty majątek zmarłego prawnie należy do Antonia, lecz obrazy i dzieła sztuki tak naprawdę nie były niczyją osobistą własnością i teraz zostaną wcielone do majątku mafii.

Antonio patrzył na nich z pogardą i narastającym gniewem. Popełnili błąd biorąc go za głupca. Był wściekły nie tylko za siebie, ale i za Niego. Dzielili się pod jego nosem schedą, rozdrapując najlepsze kaski, a jemu pozostawiali ochłapy. Pohamował się i pozwolił im skończyć wywody. W końcu w wyniosłej sali zaległa cisza i wszystkie oczy zwróciły się na Antonia.

Istna ironia losu! Ich propozycja była właśnie owym bezpiecznym wyjściem, jakiego niegdyś pragnął. Teraz jednak nie mógł jej przyjąć – nie dlatego, że kusilo go stanowisko ojca chrzestnego Rodziny, lecz dlatego, że nie chciał sprawić zawodu człowiekowi, który dał nieokrzesanemu ulicznikowi wiedzę, kulturę i wstęp do „lepszego świata”. Antonio wiedział, że ci wyprani z uśmiechu baronowie zbrodni nie należą do tej samej klasy co On; i uświadomił też sobie, że jest to próba lojalności, którą starzec przewidział czyniąc go swoim spadkobiercą.

Nie podnosząc głosu podziękował im za propozycję i stwierdził, że nie potrzebuje ich pomocy. Nie może być mowy o wyrzeczeniu się żadnej części jego dziedzictwa. Zanim mogli odpowiedzieć, dodał:

– Powinniście pamiętać, panowie, że zostałem wyszkolony, by przejąć interesy, i to wyszkolony dobrze. Rodzina jest lojalna i podda się moim rozkazom. Wkrótce się

przekonacie, że wszystko przebiega równie sprawnie, jak za życia ojca. – Pierwszy raz nazwał Go ojcem. Gdy wymawiał to słowo, poczuł ucisk w gardle i pożałował, że nie zdobył się na odwagę, by wypowiedzieć je przed śmiercią opiekuna. – Jeśli chodzi o obrazy i dzieła sztuki – ciągnął dalej – była to prywatna kolekcja mojego ojca. Wyraził specjalne życzenie, aby przetrwała nienaruszona. Przynależę mu, że spełnię jego wolę.

Wszyscy obecni wychodząc z sali ściskali go, składali kondolencje i życzenia pomyślności, lecz Antonio wiedział, że nie powiedzieli ostatniego słowa. Postanowił, że nie da się uwięzić w swojej rezydencji tak jak On. Wolałby śmierć niż podobną wegetację. On wkraczał już w starość, kiedy zatrasnęły się drzwi pułapki, a Antonio był młody. Zamierzał dotrzymać danej Mu obietnicy, lecz chciał również prowadzić normalny tryb życia, bez strażników i karabinów. Wiedział, że zdobycie takiej swobody i poważania innych Rodzin nie będzie łatwe.

Tydzień później jechał wielkim czarnym mercedesem po pełnej zakrętów drodze wzdłuż wybrzeża. Zaczęła wyprzedzać go ciężarówka załadowana skrzynkami warzyw. Szosa była wąska, niemal tuż pod kołami pionowe urwisko opadało w morze. Ciężarówka zaczęła spychać go z szosy. Nie ulegało wątpliwości, że ten, kto ją prowadzi, nastaje na jego życie. Antonio odruchowo nacisnął pedał gazu. W chwili gdy ciężarówka uderzyła go z boku, wóz skoczył do przodu i z piskiem opon zarzucił na wąskiej szosie. Ciężarówka gwałtownie zahamowała. Antonio wrzucił wsteczny bieg i szybko zawrócił. Dodał gazu i z rozpędem uderzył w ciężarówkę, która złamała barierkę i zwała się w dół urwiska. Zaciągnął hamulec ręczny i siedział przez dłuższą chwilę. Cały drżał, był zlany potem. Wytarł czoło chusteczką, wysiadł z trudem i spojrzał za krawędź urwiska. Szmaragdowe morze pieniało się u stóp poszarpanych pomarańczowo-brunatnych skał, tylko jedna czy dwie skrzynki oberżyn unosiły się podskakując na jego powierzchni. Zdał sobie sprawę, że nie zatracił instynktu ulicznika, żeby uderzać pierwszymu, i to z całej siły, zanim przeciwnik zada cios. W tej grze można było tylko zwyciężyć albo marnie skończyć. Postanowił, że w przyszłości będzie się ściśle trzymał tej reguły.

Kilka dni później w willi wybuchł pożar. Antonio ocalał budynek przed spaleniem – i zarazem własne życie – tylko dzięki temu, że nie mógł zasnąć i zszedł w nocy do biblioteki w poszukiwaniu książki i czegoś do picia. Wyratował wprawdzie Tycjana i Veronesa, lecz pastwą ognia padło wiele innych obrazów, między innymi Ghirlandaio i ulubione przez Niego płótna Canaletta. Napełniło to Antonia gorzkim poczuciem winy.

Innego wieczora udał się samotnie do teatru. Po przedstawieniu miał po niego przyjechać wóz, lecz Antonio nagle poczuł, że nie zniesie następnego samotnego wieczoru w willi. Chciał rzucić się w wir życia, pragnął kobiety. Odesłał kierowcę do domu, a sam zagłębił się w uliczki *bassi* w poszukiwaniu swoich występnych rozrywek. Gdy wrócił dwa dni później, blady, z silnie podkrążonymi oczami, dowiedział się, że jego samochód znaleziono na końcu podjazdu podziurawiony kulami. Kierowca nie żył. Antonio zrozumiał, że wrogowie wydali mu regularną wojnę. Wiedział, kim są, i przysiągł sobie tępić ich bez pardonu. Albo on, albo oni.

Wezwał swoich pomocników i przedłożył im bezwzględny plan działania. Nie minęło wiele czasu, a wszyscy obecni na pogrzebie jego przybranego ojca spoczęli na cmentarzu. Odtąd nikt nie kwestionował kwalifikacji Antonia do objęcia dziedzictwa. Antonio z goryczą przypominał sobie wieczór, gdy spotkał się z Nim po raz pierwszy i własne wyniosłe słowa: „Nigdy nie zabiję człowieka dla pieniędzy”. „Nikt tego od ciebie nie wymaga – odpowiedział wtedy starzec z uśmiechem. – Zapominasz, że to ty będziesz wydawał rozkazy”. I Antonio wiedział, że w razie potrzeby znów wyda podobny rozkaz. Na razie wywalczył sobie wolność.

W tym czasie wciągnął się bez reszty w interesy Rodziny. Teraz nie mógł się już wycofać. Był wspaniałym administratorem, lecz nie lubił tego zajęcia. Wielkie sumy pieniędzy, rosnące miarowo na kontach w wielu krajach, nigdy nie dawały mu tej przyjemności, co kupka banknotów, schowana pod deską podłogową w jego pierwszym małym mieszkanku. Szukał odprężenia w swoich dwóch największych

miłościach – muzyce i sztuce. Często chodził do opery i był stałym bywalcem wszystkich galerii. Jeździł w odległe miejsca na upatrzone wystawy i aukcje, kupował z przebiegłością i bez skrupułów. Na aukcji u Sotheby’ego w Londynie nawiązał rozmowę ze starszym panem o arystokratycznym wyglądzie. Gdy siedzieli już nad drinkiem w jego klubie, starszy pan zwierzył się swemu rozmówcy, że wciąż ma na wsi dom pełen obrazów, mimo że przyciśnięty potrzebą posprzedawał dawno temu wszystkie najcenniejsze płótna. Będąc pod wrażeniem erudycji Carralda, zaprosił go na weekend, aby na własne oczy mógł zobaczyć tę kolekcję.

Na ścianach zostało wiele jasnych plam w miejscach, gdzie niegdyś wisiały płótna starych mistrzów, lecz kiedy wędrowali przez długie korytarze i przejmujące chłodem sale, w których odbijało się echo, Carraldo znalazł kilkanaście pełnych wdzięku obrazów o dużych walorach dekoracyjnych. Zaproponował za nie lordowi Bestonowi uczciwą cenę, którą ten natychmiast zaakceptował.

Pili właśnie whisky w bibliotece, żeby oblać transakcję i rozgrzać się trochę, gdy Carraldo zauważył dwa niemal ukryte w ciemnym kącie obrazki. Widział je niewyraźnie przez szyby wielkiej szafy bibliotecznej, za którą wisiały, lecz rozpoznał od razu, że są to rzadko spotykane obrazy Canaletta, namalowane podczas pobytu artysty w Londynie. Powiedział lordowi Bestonowi, iż jest całkiem przekonany, że obrazy są autentyczne i bardzo cenne, po czym ofiarował mu za nie sumę o dziesięć procent wyższą niż ta, jaką przypuszczalnie mogły uzyskać na aukcji. Dobrze wiedział, że niedługo będzie mógł je sprzedać o trzydzieści procent drożej. Poradził gospodarzowi, żeby sprawdził jego ofertę u innego dealera, aby mieć pewność, że nie padnie ofiarą oszustwa, po czym wrócił do Londynu. Nazajutrz lord Beston przysłał oba obrazy do jego hotelu, a Antonio, podniecony pierwszym wielkim odkryciem, poczuł, że nie zawiódł zaufania, jakie On w nim pokładał. W tej chwili odkrył swoje życiowe powołanie.

Mediolan, zamożne miasto przemysłowe, nie odgrywał wielkiej roli w międzynarodowym handlu sztuką. Z tego właśnie powodu Antonio postanowił założyć tam swoją galerię. Miał pewność, że będzie pierwszy. Wykupił kilka

budynków przy dyskretnie eleganckiej ulicy i kazał urządzić na nowo ich wnętrza, tak by powstała wspaniała, supernowoczesna galeria. Mieściła dwa odrębne działy – jeden poświęcony starym obrazom, drugi dziełom młodych artystów, których Carraldo odkrywał, sponsorował i promował, a którzy w zamian prezentowali u niego swoje prace. Był dobrze przygotowany do takiej roli i ze swoim okiem znawcy i instynktownym wyczuciem dobrego malarstwa wkrótce przyciągnął uwagę kolekcjonerów. Zatrudniali go do odnajdywania dzieł interesujących ich malarzy. Galeria w Mediolanie odniosła wielki sukces. W rok później Carraldo otworzył drugą w Paryżu, po dwóch latach zaś jego nazwisko zaczęło się liczyć w świecie sztuki, którego centra stanowiły Nowy Jork, Londyn i Paryż.

Bez przerwy podróżował po świecie wypatrując ukrytych skarbów, pokrywających się kurzem w starych pałacach i dworzyszczach. Odwiedzał niechlujne, prowizoryczne pracownie młodych, wiecznie głodnych artystów w nadziei znalezienia tego jednego, w którym tli się iskra geniuszu. Niekiedy, choć niezmiernie rzadko, zdarzało mu się napotkać taki talent, i była to dla niego najcenniejsza zdobycz.

Co miesiąc, wierny swoim obowiązkom, przyjeżdżał w wyznaczonym dniu do Neapolu. Początkowo były to wizyty trwające od tygodnia do dziesięciu dni, lecz stopniowo, gdy silniej zaczął trzymać w garści interesy Rodziny, przekazywał więcej obowiązków swoim pomocnikom – choć nigdy wystarczająco dużo, by mogli przejąć kontrolę. Tylko trzech ludzi wiedzieli, jak się z nim skontaktować o każdej porze i w każdym punkcie kuli ziemskiej. On okazał się dobrym nauczycielem.

Ogień zdążył już wygasnąć i na wielkim palenisku leżały tylko przyprószone popiołem zszarzałe węgle, Carraldo wysączył ostatnią kroplę koniaku i spojrzał na przyjaciela. Paolo wysłuchał opowieści w zupełnym milczeniu, tylko jego dłoń tak mocno zacisnęła się na szklance, że szkło cudem nie pękło.

– Od wielu lat lawiruję między dwiema egzystencjami – zakończył Carraldo. – Mam dwa wcielenia, jedno w Neapolu, drugie w Mediolanie. Jest jednak jedna

rzecz, której On nie potrafił we mnie zmienić – głód seksu. To zdominowało całe moje życie! Czasami czuję się tak, jakby moje ciało sprawowało nade mną władzę, a jego potrzeby są nienasycone. – Wzruszył ramionami. – Trzymałem rzecz jasna swoje romanse w tajemnicy, lecz zdaję sobie sprawę z krążących plotek. Widzisz więc, Paolo, dlaczego nigdy nie będę mógł zaznać radości bliskiego związku z jakąkolwiek kobietą. Nigdy nie mógłbym jej opowiedzieć nawet jednej dziesiątej prawdy o sobie. On ostrzegł mnie kiedyś, abym się nigdy nie zakochał. „To przyniesie ci zgubę – powiedział – tak jak omal nie przywiodło mnie do zguby”. Nigdy nie będzie w moim życiu miejsca na miłość.

Podszedł do kominka i kopnął wystygłe węgle na kracie.

– Chcę coś wyraźnie podkreślić – rzekł. – Okazałem się dobrym synem, nie synem marnotrawnym z przypowieści biblijnej. Interesy przynoszą zysk. Od śmierci mojego opiekuna na naszych kontaktach w rozmaitych bankach przybyło wiele milionów. – Umilkł na chwilę patrząc w oczy Paola. – Przysięgam, że nigdy nie tknąłem z nich ani grosza. Tylko pozostawiony mi przez Niego osobisty majątek uważałem za pełnoprawne dziedzictwo syna po ojcu. Z tych pieniędzy finansowałem moje galerie i transakcje w handlu sztuką. Jestem bardzo bogaty, Paolo, ale niczego spośród tego, co posiadam, nie nabyłem za pieniądze mafii. Za te domy, samochody, łodzie i skarby sztuki nie płaciła Rodzina.

Oparł rękę na gzymsie kominka i wbił wzrok w wystygłe palenisko, bojąc się spojrzeć na Paola, bojąc się tego, co za chwilę usłyszy. Nie mógł znieść przedłużającego się milczenia.

– Proszę, nie krępuj się, jeżeli chcesz odejść – rzekł krztuszając się własnymi słowami. – Nie mam prawa prosić o twoją przyjaźń.

Paolo podszedł i objął go ramieniem.

– Mój drogi Antonio – powiedział cicho – jeśli ktoś ma tyle odwagi, by obnażyć swoją duszę przed drugą osobą, jest to oznaka prawdziwej przyjaźni. Bardzo się cieszę, że opowiedziałeś mi tę historię.

Carraldo poczuł, że napięcie z niego uchodzi jak gaz z naprężonego do granic

wytrzymałości balonu. Po twarzy ciekły mu łzy. Nie mógł ich powstrzymać.

– Przez całe życie byłem sam... – Głos mu się łamał. – Gdy spotkałem ciebie, to było tak, jakbym odnalazł brata.

– Masz we mnie brata i szczerego przyjaciela – zapewnił go Paolo.

Żaden z nich nie wspomniał więcej tej rozmowy.

Carraldo westchnął głęboko, patrząc w wystygły popiół, tak jak wtedy. Paolo od dawna nie żył. Należał do przeszłości, a Aria była przyszłością.

Spisana przez Liebera lista pretendentów do majątku Poppy Mallory leżała na stole pod oknem. Carraldo nalał sobie następną porcję doskonałej brandy i spojrzał znów na figurujące na liście nazwisko Orlanda Messengera. Gdy wyciągał do niego pomocną dłoń, nie zdawał sobie sprawy, że Orlando również ubiega się o pieniądze Poppy, chociaż jego wersja była chyba najbardziej naciągana, może z wyjątkiem opowiadki Lauren Hunter. Wtedy na wystawie wyczuł w słowach Orlanda o marnowaniu talentu nutę rozpacz i pod wpływem nagłego impulsu postanowił dać mu szansę. Oczywiście za mało jeszcze wiedział o jego dotychczasowym dorobku, żeby objąć go opieką; Orlando musi dowieść swej wartości, zanim uzyska stałe wsparcie finansowe.

Patrzył przez okno w pustą londyńską noc. Fakt, że i Orlando, i Aria ubiegają się o spadek, w niczym nie zmieniał jego sytuacji, za to Francesca będzie wściekła, gdy się o tym dowie. Carraldo uśmiechnął się ponuro. Miał nadzieję, że pieniądze dostanie Orlando, a jak nie on, to Pierluigi, obojętnie zresztą kto – byle nie Aria.

Rozdział 15

Klaudia przeciągnęła się leniwie i z lubością, zerkając na pozłacany, wykładany lapis-lazuli zegarek, stojący przy łóżku – jedną z niewielu błyskotek, jakie pozostały jej po ostatnim małżeństwie. Była dziesiąta trzydzieści przed południem, a telefon dzwonił natarczywie. Klaudię to rozzłościło. Jej znajomi wiedzieli, że nie należy dzwonić przed jedenastą; potrzebowała snu dla odświeżenia urody, szczególnie

teraz, gdy się starzała.

Westchnęła z rozdrażnieniem, cisnęła w telefon obszytym koronką jaśkiem, a potem naciągnęła kołdrę na głowę. Zapomniała wczoraj o włączeniu automatycznej sekretarki. Telefon dzwonił uparcie. Z pewnością nie był to nikt z jej znajomych, którzy zbyt dobrze znali tryb jej życia, a zatem musiał to być ktoś domagający się pieniędzy. Filistyni!

Dzwonienie w końcu ucichło. Klaudia zadowolona wyprężyła z rozkoszą całe ciało i przesunęła rękami po gładkiej skórze, zastanawiając się, co czują mężczyźni, kiedy ją pieścą. Czasami żałowała, że nie można zamienić ról, na chwilę stać się kimś, kto się z nią kocha, żeby móc samej poznać, jakie to wspaniałe. Raz prawie to osiągnęła, prawie...

Klaudia już od czasu gdy skończyła trzynaście lat, uświadamiała sobie swój erotyczny powab. Jako nastolatka była rozpasana i szalona, zbyt szalona, jak konstatowała teraz z goryczą. Gdyby od początku wiedziała, że wygląd i sex appeal będą jej jedynymi atutami, wykorzystywałaby je może do lepszych celów. Zamiast tego robiła co mogła, by zabić nudę cichego życia w rozwalającej się, położonej na zapadłej wsi marmurowej willi.

Usiadła zapaliła papierosa złotą zapalniczką i odegnała dym wąską, starannie wymanikiowaną dłonią. Niech to licha! Jeden z paznokci się ułamał. Tego już naprawdę za wiele! Oparła się o poduszki i paliła z ponurym wyrazem twarzy, myśląc o swoich rodzicach.

Aleksander Rinardi miał pięćdziesiąt lat, gdy w 1952 roku przyszedł na świat bliźnięta. Patrzył z niedowierzaniem na małe stworzenia i zastanawiał się, jak nie dopuścić, by zburzyły jego spokojny, uporządkowany świat. Ożenił się zaledwie dwa lata temu. Lucia Galli była pierwszą kobietą, której udało się przebić mroźny pancierz nieprzystępności, jakim się otoczył jeszcze w dzieciństwie. Nic go nie obchodziły te niemowlęta, lecz Lucia była uszczęśliwiona, więc był gotów pogodzić się z ich istnieniem.

Drobną Lucię o słodkim głosie kochał jak źrenicę oka. Dzięki niej wybiegał

tęsknie myślą do następnego ranka, kiedy obudzi się z nią wtuloną w jego ramiona, a wieczorem, gdy spała głębokim snem, dręczony bezsennością przebijał się przez długie nocne godziny czytając przy mrugającej świeczce, aby nie płoszyć jej snu ostrym światłem lampy. Chciał Lucii i niczego poza tym, ani dzieci, ani nawet psa. Po ślubie przyjął nawet jej panięskie nazwisko i wyrzekł się własnego, znieawidzonego, razem z tytułem barona.

Pierluigi i Klaudia dorastając zdali sobie sprawę, że ojciec w ogóle o nich nie dba. Lucia pobłażała dzieciom, puszczając płazem wszystkie wybryki, aby wynagrodzić im tę obojętność.

Klaudia gniewnie zdusiła papierosa. Gdyby ich matka wróciła na czas do szpitala, kiedy pojawiły się komplikacje po operacji woreczka żółciowego, żyłyby do dziś dnia. Jak inne byłoby wtedy życie! Lecz woląla zostać w domu, w Villa Velata, czując się bezpieczną blisko Aleksandra. Bezpieczna! Też coś! Po jej śmierci ojciec oddał się bez reszty ogrodnictwu i bezsensownym rojeniom. Snuł plany wielkiego nowego stawu, przy którego kopaniu prace ciągnęły się w nieskończoność, rzucał na papier fantastyczne projekty nowych wieżyczek i wykuszy, miniaturowych ogrodów w stylu angielskim, francuskim i włoskim, komponował różne widoki i perspektywy, nie poświęcając cienia uwagi swoim dorastającym dzieciom.

Klaudia, buntownicza i ciekawa życia, miała pierwszy stosunek w wieku trzynastu lat z jednym z chłopców stajennych. Kręciła się w pobliżu, obrzucając tęsknymi spojrzeniami jego muskularną pierś i wąskie pośladki. Czasem odwracając się przyłapywał ją na tym i rzucał jej porozumiewawczy uśmiezek. Uśmiechała się w odpowiedzi i krzątała przy swojej gniadej klaczy, cały czas obserwując go spod oka. Któregoś dnia oparł się o drzwi stajni i patrzył na nią, jak pracuje. Był gorący letni poranek, Klaudia miała na sobie koszulę, bryczesy i nic pod spodem. Zdała sobie z podnieceniem sprawę, że chłopak gapi się na jej piersi, podskakujące pod koszulą. Odłożyła szczotkę i odwróciwszy się do niego podniosła ramiona, udając, że poprawia włosy, by mógł widzieć sutki przez cienki materiał. Jego oczy przesunęły się beczelnie po jej ciele, a potem z sarkastycznym śmiechem wszedł do

stajni i rozpiął spodnie. Patrzyła na niego wstrzymując oddech, a on rzucił jej szydercze spojrzenie i wysusiał się na rozłożone na klepisku siano pięknym, czystym lukiem.

Nie wyobrażała sobie, że podobna czynność może być tak erotycznie podniecająca. Czując gorącą wilgoć między nogami odruchowo położyła tam rękę. Skończył, odwrócił się i spojrzał na nią, ściskającą dłonią krocze z oczami utkwionymi w jego nabrzmiewającym członku. Wciąż z tym zarozumiałym uśmiechem podszedł do niej i stanął obnażony.

– Dotknij go – powiedział do niej. – No, śmiało, dotknij go, tego właśnie chcesz, nie?

Jej oczy przywarły do grubego, sterczącego penisa i wiedziała, że chłopak mówi prawdę. Naprawdę chciała go dotknąć, chciała tego ponad wszystko. Był ciepły, twardy i gładki. Chłopak rozpiął jej koszulę i pieścił piersi, szczypiąc pożądliwie za sutki. Chciała, żeby to robił, i jego, i wszystkiego, co by zapragnął z nią robić. Chciała się pieprzyć tak bardzo, że aż bolało.

Teraz oceniała go jako niezbyt wspaniałego kochanka, lecz był młody, dorodny, wspaniale zbudowany. Pozwalała mu na wszystko, czego chciał. Uczyła się, jak najlepiej używać swoich wdzięków, aż stopniowo to ona stała się panią sytuacji. Codziennie spotykali się w stajni, czasem dwa albo nawet trzy razy dziennie. Nigdy nie miała go dosyć. Klaudia uśmiechnęła się do wspomnień, zapalając następnego papierosa. Oczywiście nie zdawała sobie wtedy sprawy, że ktoś ich podglądał, ale to całkiem inna historia.

Miała szesnaście lat, gdy uciekła z synem ajenta plaży w Forte del Marmi, miejscowości wypoczynkowej na toskańskim wybrzeżu, którą latem odwiedzały mieszczańskie rodziny. Jej ojciec nie okazał wtedy swej zwykłej obojętności — natychmiast córkę wydziedziczył. Nie chciał jej więcej widzieć. Dotrzymał słowa nawet na łożu śmierci trzy lata później.

W tym czasie Klaudia miała już czwartego lub piątego kochanka. Chłopak z plaży nie cieszył się długo jej łaskami; została z nim dostatecznie długo, aby poznać

w praktyce tajniki sztuki erotycznej i zasmakować w rysztockowych wyrażeniach. Potem jej pragnienie zmiany i tęsknota za luksusami rzuciły ją w ramiona i łóżka kilku bardzo dziwnych mężczyzn. Był między nimi oficer angielski, który napawał się jej młodością i kazał się ubierać w białą koszulkę i granatowe majtki – szkolny strój gimnastyczny; był mistrz jeździecki z Wiednia, który lubił czuć na skórze własną szpicrutę; oprócz niego francuski projektant mody, który lubił patrzeć, jak ona robi to z kimś innym. Utrzymywali lubieżną młodą Klaudię na poziomie, do jakiego przywykła.

Wszystko to było tak dawno temu... Dzięki Bogu, że po młodości spędzonej na głupstwach obrała bardziej lukratywną linię postępowania i wyrobiła sobie dzięki paru zamożnym eks-mężom nazwisko i pozycję w międzynarodowej klicie bogaczy. Dopiero teraz pozycja ta osłabła. Pieniądze z ostatniego rozwodu rozeszły się nie wiadomo kiedy i Klaudia straciła dostęp do jedyne go towarzystwa, na którym jej zależało.

Znów dzwonek. Spojrzała na telefon z irytacją. Ciężko westchnąwszy, przetoczyła się po łóżku i podniosła słuchawkę, zasłaniając się prześcieradłem.

– Allo? – odezwała się gardłowo.

– Czy to Klaudia Galli? – spytał nieznajomy męski głos o głębokim, przyjemnym brzmieniu.

Obrzuciła słuchawkę podejrzliwym wzrokiem.

– Si, pronto – powiedziała ostro w obawie, że to następny telefon w sprawie jakiegoś nie zapłaconego rachunku.

– Przepraszam, jeśli panią obudziłem. Nazywam się Orlando Messenger i jestem przyjacielem Bibi Mouton. Widziałem ją w zeszłym tygodniu w Londynie i wspominałem, że wybieram się do Paryża. Poprosiła, bym do pani zadzwonił i umówił się na lunch. Czy ma pani dzisiaj wolny czas o tej porze, Klaudio?

– Na lunch? – Myśli Klaudii ruszyły galopem. Jeśli powie, że jest wolna, będzie wiedział, że nie ma żadnych spotkań. Z drugiej strony, jeśli odmówi, straci posiłek w naprawdę dobrej restauracji i szansę poznania kogoś nowego. Głos w słuchawce

brzmiał nader interesująco; miły, kulturalny głos Anglika z dobrej sfery. – Dziękuję, Orlando – rzekła słodko. – To bardzo miło z pana strony, że zechciał mnie pan zaprosić, ale niestety jestem już umówiona.

– Szkoda! – W jego głosie zabrzmiało wielkie rozczarowanie. – Bardzo chciałem panią poznać. Bibi tyle mi o pani mówiła...

Klaudia zawahała się wyraźnie.

– Przykro mi jednak zostawiać pana na pastwę losu, zwłaszcza że Bibi prosiła, żeby pan do mnie zadzwonił... Chwileczkę, niech pomyślę... – Zrobiła pauzę postukując z namysłem paznokciem w słuchawkę. – Wiem, że postępuję okropnie – odezwała się ponownie z dziewczęcym chichotem – ale zrobię to dla Bibi. Jestem umówiona dziś wieczorem na obiad z pewnymi ludźmi. Prawdę mówiąc, są to raczej nudziarze! Jeśli ma pan wolny wieczór, mogłabym odwołać ten obiad... wymyślić jakąś wymówkę. W gruncie rzeczy mam coraz większą chętkę, żeby się wykręcić od spotkania z nimi. Wie pan, jak to czasem jest.

– Jeszcze jak – odparł ze śmiechem – i doceniam pani poświęcenie.

– Może więc spotkamy się w barze hotelu „Ritz” o dziewiątej?

– Będę czekał.

Klaudia lubiła efektowne wejścia. Do żadnego pomieszczenia nie wchodziła zwyczajnie, zawsze pojawiała się, jak gwiazda na scenie. Nie szła, a płynęła z gracją. Dziś otulona była w ciemne futro, które podkreślało jej kremową cerę, a szesane gładko do tyłu włosy koloru czekolady przytrzymała aksamitna przepaska w stylu Chanel. Pod futrem nosiła suknię projektu Alai, uszytą z czarnej welenki, która w skomplikowanych skrętach obciskała jej ciało jak druga skóra. Czarne zamszowe szpilki i także rękawiczki o szerokich mankietach obszytych puszystym futrem dopełniały stroju. Na prawej ręce miała wspaniały pierścionek z diamentem, na lewej olbrzymi, fałszywy szmaragd, w uszach błyszczące kolczyki – znak firmowy Coco Chanel w kształcie podwójnych odwróconych C. Wiedziała, że wygląda wspaniale, upozowała się więc w drzwiach, pozwalając, by futro rozchyliło

się trochę, i przycisnąwszy dłoń do pięknego biustu, powiodła wzrokiem po sali. Wszystkie głowy zwróciły się ku niej. Po chwili jej spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem niesamowicie przystojnego blondyna, który siedział samotnie w kącie. Wstał z półśmiechem i podszedł do niej.

– Klaudia Galli? – Wyciągnął rękę.

– Orlando? – spytała w odpowiedzi, a w jej jasnych błękitnych oczach zapalił się błysk zainteresowania. Mój Boże, ależ to przystojniak! Wspaniały prezent na tę noc zrobiła jej Bibi! Będzie się musiała jej jakoś odwdziaczyć.

– Przepraszam, że się spóźniłam – powiedziała niskim głosem, przeciągając słowa – lecz pewnie Bibi powiedziała ci, że to moja największa wada. Nie mam za grosz wyczucia czasu.

– Czekanie na piękną kobietę jest przyjemnością – skłamał Orlando z galanterią. Było dwadzieścia pięć po dziewiątej. Spędził ten czas nad jednym drinkiem; zwątpił już, czy ona w ogóle przyjdzie.

– Przepadam za tym barem w „Ritzu”! – Klaudia usiadła z wdziękiem i zsunęła futro z ramion. – Tak tu przytulnie, że człowiek czuje się jak w domu.

– A gdzie jest twój prawdziwy dom, Klaudio? – spytał Orlando, dając znak kelnerowi.

– Mój prawdziwy dom? – Westchnęła z głębi piersi. – Było ich tyle, za dużo, by o tym myśleć... to przygnębiające. Chyba jest nim Villa Velata. Należy do mnie... no i do mojego brata. Tam się urodziłam, co nie znaczy, że czuję do niej przesadny sentyment. I oczywiście mam również mieszkanie na rue des Arbres. A ty, Orlando?

– Madame? – zwrócił się do niej pytająco kelner.

– Proszę koktajl z szampana.

– A pan, m'sieur?

– To samo – zdecydował Orlando i wrócił do przerwanej rozmowy: – Spędziłem dzieciństwo w dużym domu na wsi. Po śmierci ojca ten dom przeszedł na moją własność, ale rzadko tam jeżdżę. Mam małe mieszkanie w Londynie, które jest moją pracownią.

– To znaczy, że jesteś artystą? Jakie to fascynujące! Jakie malarstwo uprawiasz, Orlando?

– O, ostatnio portrety, pejzaże. – Wzruszył ramionami z udaną skromnością. – Raczej wszystko po trochu. W przyszłym roku chcę się wyspecjalizować w jednej dziedzinie.

– Portrety! – Oczy Klaudii zabłyły. – Ależ to ciekawe! Zawsze chciałam, żeby ktoś namalował mój portret, zanim będzie za późno.

– Za późno? – powtórzył z uśmiechem.

– Kobieta powinna dać się sportretować przed pierwszą operacją plastyczną – odparła nie zbita z tropu. – Potem twarz traci młodzieńczą żywość wyrazu, robi się sztywna i nijaka, bez charakteru. Pewnie, że nie należy przesadzać w drugą stronę, bo wtedy robią się brzydkie zmarszczki lub kurze łapki, ale przecież mimika podkreśla indywidualność człowieka.

Podano drinki i Orlando uniósł kieliszek.

– Twoje zdrowie, Klaudio – powiedział. – Na twojej twarzy widać indywidualność, choć nie masz ani jednej zmarszczki.

Uśmiechnęła się i również uniosła kieliszek.

– Wypijmy za ten wielce szczęśliwy przypadek, który nas ze sobą zetknął, Orlando – zamruczała jak kotka.

Obiad w „Jaminie”, gdzie Klaudii przewidująco udało się zamówić stół, był wytworny i bardzo drogi. Orlando pomyślał przy płaceniu rachunku, że suma jest równa cenie małego obrazu, ale nie żałował tej rozrzutności. Klaudia stanowiła prawdziwą gratkę: była czarująca, diabelnie seksowna i mówiła jak najęta. Słowa wydobywały się z jej ładnych, jakby nadąsanych ust tak łatwo, jak oddech, a pośród plotek i paplaniny bez znaczenia trafiały się szczerozłote grudki informacji. Nadmieniła już dwukrotnie, że w najbliższym czasie stanie się prawdopodobnie bardzo bogata, zanim zdążył choćby napomknąć o Poppy Mallory. Teraz czatował na właściwą chwilę.

– Chciałbyś iść potańczyć? – spytała wtulając kokieteryjnie brodę w futro i patrząc mu w oczy, gdy czekali na taksówkę. – A może wolałbyś wpaść do mnie na strzemiennego?

– Tak – odparł po prostu. – Bardzo bym chciał, Klaudio.

– To małe mieszkanie – tłumaczyła, gdy wysiedli z taksówki na rue des Arbres – ot, miejsce na ziemi... Jak już mówiłam, mieszkam w tylu różnych miejscach, że jestem w wiecznym ruchu. Ale tutaj trzymam swoje ubrania!

Zaciągnięte zasłony nie pozwalały dojrzeć pojemników na śmieci za oknami. Mieszkanie było przytulne, zarzucone z niedbałą elegancją mnóstwem kosztownych drobiazgów. Liczne lampy sączyły przytłumione światło.

– Koniak, kochanie? – zaproponowała, rzucając futro na fotel. Usiadła obok Orlanda na sofie i naląła dwa kieliszki. – Gdy otrzymam spadek – powiedziała patrząc na niego z rozmarzeniem – kupię oczywiście większe mieszkanie, żeby mieć więcej szaf. Ja sama zajmuję niedużo miejsca, ale mój dobytek wymaga większej przestrzeni. – Roześmiała się. – To na pewno rozwścieczy Pierluigiego, on nienawidzi, jak wydaję pieniądze, chociaż jest bardzo bogaty. Niekiedy mówię mu w oczy, że jest skąpiradłem. Tak się czasem na mnie gniewa... – spojrzała na niego z zakłopotaniem w błękitnych oczach – możesz to zrozumieć?

– Nie. – Wygładził palcem zmarszczkę między jej brwiami. – Nie mogę sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógłby się na ciebie gniewać, Klaudio. Czy on też odziedziczy te pieniądze?

– Tak – westchnęła. – Odziedziczy. To dziwna historia... Może zauważyłeś ogłoszenie w gazetach „Poszukuje się spadkobierczyni... i tak dalej, i tak dalej... Poppy Mallory”? No więc, to jestem ja – i Pierluigi. Jesteśmy bliźniętami, rozumiesz, a nasz ojciec był synem Poppy Mallory.

– Wasz ojciec był synem Poppy Mallory?!

Wybuchnęła śmiechem na widok osłupienia, malującego się na jego twarzy.

– Wiem, trudno uwierzyć, ale to prawda. Tata nazywał się tak naprawdę Aleksander Rinardi, baron Aleksander Rinardi, ale nienawidził swojej rodziny tak

bardzo, że wyrzekł się nazwiska i tytułu. To nie moja babka była jego prawdziwą matką, lecz Poppy. Dziadek oczywiście go nienawidził, bo wiedział, że nie jest jego synem. Jak o tym pomyśleć, wszystko staje się bardzo logiczne. Dlatego właśnie Aleksander odseparował się od reszty rodziny. Prawdziwą zagadką jest to, dlaczego Poppy nigdy po niego nie wróciła.

– Masz chyba jakieś dowody na poparcie tej historii – rzucił Orlando jakby mimochodem, popijając koniak.

– Och, myślę, że znajdzie się ich dosyć w Villa Velata i Villa d’Oro. – Klaudia przeciągnęła się rozkosznie. – W każdym razie nie ma wątpliwości, że majątek Poppy jest nasz. – Znów rozległ się jej gardłowy śmiech. – I tym razem nie mam zamiaru pozwolić, żeby Pierluigi położył łapę na mojej części. Będę hulać bez końca i wyrzucać pieniądze garściami!

– Jak duży jest ten majątek?

– Miliony – odparła marząco – setki milionów, Orlando. Możesz to sobie wyobrazić? – Pochyliła się i pocałowała go lekko w usta. – Kiedy będę bogata, zamówię u ciebie mój portret. Jako odaliska, całkiem nago.

– Widzę cię jak Goya – mruknął biorąc ją pod brodę i obracając twarz do światła – w kolorze kremowym, czekoladowym brązie i niebieskim... Jesteś bardzo piękną kobietą, Klaudio.

– I wkrótce będę też bardzo bogata – powiedziała z uśmiechem, kiedy ją pocałował.

Klaudia należała do nielicznych kobiet, które nagie zyskują na urodzie, i Orlando docenił swym okiem artysty każdą cudowną linię jej ciała, podobnie jak jego ciało doceniło jej lubieżne zadowolenie z aktu miłosnego. Była to długa, pełna zmysłowej ocieężałości noc i Orlando prawie żałował, że nadszedł rano.

– Czy spotkamy się jeszcze? – spytała Klaudia rozspanym głosem, kiedy ubrał się szybko i pocałował ją na pożegnanie.

– Oczywiście – zapewnił. – Czy myślisz, że teraz, gdy cię znalazłem, pozwolę ci odejść?

Uśmiechnęła się figlarnie.

– Wszystko w porządku, byle nie chodziło ci o moje pieniądze.

– Nie, Klaudio. – Znów ją pocałował. – Nie dbam o twoje pieniądze. Będę w Paryżu w przyszłym tygodniu. Zadzwoń do ciebie.

– Mogę wyjechać do Włoch, do Villa Velata. Zostawię dla ciebie wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Obiecujesz? – spytał wyrównując krawat.

– Obiecuję – przyrzekła z uśmiechem. – Do zobaczenia wkrótce, Orlando.

Rozdział 16

Mike po raz piąty przeczytał pocztówkę od Lauren z widoczkiem jednego z basenów Hockneya. Było na niej słońce i woda koloru akwamaryny.

Mama zawsze twierdziła, że trzeba listownie podziękować za mile spędzony wieczór, ale robię to zupełnie szczerze. Naprawdę miło było Cię poznać. Życzę Ci powodzenia w Europie i mam nadzieję, że znajdziesz poszukiwaną spadkobierczynię.

Podpisała kartkę: „Ściskam Cię. Lauren”. Z jakiegoś powodu Mike poczuł się bardzo ujęty tym ciepłym zwrotem.

Podniósł słuchawkę i wybrał jej numer. Telefon w mieszkaniu Lauren dzwonił bez końca, lecz nikt nie odbierał. Mike przerwał połączenie i nakręcił numer ciotki w Madison. Tym razem telefon odebrano już po drugim sygnale.

– Cześć, ciociu Marto! – zawołał. – Jak leci?

– Wszystko po staremu, Michael. Sam byś to od razu zauważył, gdybyś kiedyś wyrwał się z tego kołowrotu, w jakim żyjesz, i wpadł do domu.

Uśmiechnął się słysząc ten ostry ton. Ciotka Marta zawsze najpierw zwięźle dawała wyraz swemu niezadowoleniu, po czym przechodziła – jak w tej chwili – do miejscowych plotek. Krytykowała nowo mianowanego pastora w parafii, opisywała okropny kapelusz, jaki sprawiła sobie Joanna Handspacher, i oznajmiała, że córka Mary Griffith właśnie obdarzyła ją trzecim wnukiem. Pragnęła się dowiedzieć, kiedy on znajdzie sobie jakąś porządną, miłą dziewczynę, z którą będzie miał dziecko?

Jako cioteczna babka miałyby się przynajmniej czym chwalić na następnej herbatce, zamiast wysłuchiwać próśb o jego autograf. Ona uważa, że zbieranie autografów to śmieszna mania, a już całkiem nie pojmuje, po co komuś właśnie jego podpis.

– Daj spokój, ciociu – zaprotestował ze śmiechem – sama przyznaj, że puchniesz wtedy z dumy.

– I cóż z tego? Oczywiście, jestem z ciebie dumna, ale co to ma wspólnego z twoim ożenkiem? Wszyscy wciąż mi przypominają, że masz już trzydzieści siedem lat, jakbym sama o tym nie pamiętała.

Mógł sobie świetnie wyobrazić uśmiech, jaki towarzyszył tym słowom, jej twarz i krótkie, ciemne, lekko wijące się włosy ze srebrnymi pasmami na skroniach. Nie starała się ich zamaskować uczesaniem, byłoby to poniżej jej godności. Już sam fakt, że wciąż ma naturalnie ciemne włosy, sprawiał cioci Marcie wielką satysfakcję. Jej przyjaciółki były w większości zupełnie siwe lub też, jak stwierdzała z przekąsem, wyrzucały pieniądze farbując sobie fryzury na cudaczny niebieski kolor.

– Wiek odbija się na umyśle – mówiła zawsze Mike’owi. – To nie ma nic wspólnego z wyglądem.

Przypomniał sobie teraz te słowa myśląc o Lauren.

– Co się warzy w kuchni? – przerwał ciotce. – Nawet przez telefon czuję zapach.

– Ty wieczny łakomczuchu! – skarciła go pobłaźliwie i roześmiała się donośnym, zaraźliwym śmiechem. – Szykuję właśnie twoją ulubioną pieczeń wołową.

– Nie jadłem tego od lat, koniecznie ją przygotuj następnym razem, gdy będę w domu, dobrze?

– Stęskniłam się za tobą. Kiedy przyjedziesz?

– Przykro mi, ale to jeszcze trochę potrwa. Po południu muszę lecieć do Nowego Jorku, stamtąd do Londynu i Genewy, a później do Wenecji. Cóż, ciociu, praca... – Mike westchnął ciężko.

– Ładna mi praca zwiedzić tyle wspaniałych miast! Pisziesz nową książkę?

– To dziwna historia, dopiero się do niej zabieram. Mam wytropić nieznanego spadkobiercę tajemniczego majątku.

– Na czym polega ta tajemniczość? Albo jest majątek, albo go nie ma.

– Tajemnicą jest sposób, w jaki testatorce udało się dojść do fortuny – zaśmiał się. – Jadę do Europy, żeby rozwiązać tę zagadkę.

– W takim razie życzę ci szczęścia, chłopcze. Po powrocie przyjedź mnie odwiedzić, dobrze?

– Ciociu Marto? – odezwał się Mike po chwili wahania.

– Tak? O co chodzi, Michael? Widzę przed domem Millie Hutchins, miała do mnie przyjść na kolację... Mniejsza o to, drzwi są otwarte, sama znajdzie drogę.

– Ciociu Marto, poznałem pewną dziewczynę... tutaj, w Los Angeles. – Na drugim końcu linii zaległa cisza. Pospieszenie ciągnął dalej: – To znaczy, prawie jej nie znam, widziałem się z nią tylko raz, ale, no... jest w niej coś niezwykłego.

– Dzięki za to Panu na wysokościach! – odparła z uczuciem ciotka Marta. – Przyjedźcie razem, gdy wrócisz z Europy.

Mike uśmiechnął się szeroko. Nie wiedział, co go popchnęło do tego wyznania, ale poczuł się lepiej, gdy ujął swe uczucia w słowa.

– Dziękuję i zapamiętam – powiedział radośnie. Usłyszał szcęk odkładanej słuchawki.

Wciąż uśmiechając się jak idiota spojrzął na leżącą na łóżku pustą walizkę. Do odlotu miał dwie godziny, powinien się pospieszyć z pakowaniem. Podeszedł do biurka i popatrzył w zamyśleniu na stos arkuszy, na których spisywał historię życia Poppy Mallory, poznaną z pamiętników Rozalii i Angel. Postać Poppy kojarzyła mu się z Lauren przez współczucie, jakie w nim budziła. Bóg świadkiem, że obie dostały niezłe ciągi od losu.

Rozdział 17

1886, KALIFORNIA

Nik spojrzął z uwagą na rudowłose dziecko w sklepie ze słodyczami pani Price. Dziewczynka stała przed ladą i zagryzając wargę przyglądała się w rozterce cukierkom w lśniących słojach. Natychmiast poznał, że to córka Jeba – była

uderzająco do niego podobna.

– Poproszę dwie pałeczki lukrecji i jednego lizaka – zdecydowała i z niepokojem wysunęła dłoń z dwoma centami.

– Niestety, masz o centa za mało, moja mała – odparła łagodnie pani Price. – Lepiej namyśl się jeszcze raz.

– Pozwoli pani. – Nik położył na ladzie brakującego centa.

Poppy podniosła na niego zdumione oczy.

– Jak oddam panu te pieniądze? – spytała z powątpiewaniem. – Nie znam pana wcale.

– Ale ja cię znam i znałem twoją matkę – odrzekł Nik z uśmiechem. – Jesteś Poppy, prawda?

– Skąd pan wie? – Odwzajemniła jego uśmiech.

– Jesteś bardzo podobna do... – Nik się zawahał. Nie chciał wspominać o Jebie. – Masz takie same włosy jak twoja matka – zakończył wreszcie.

– Naprawdę? – Otworzyła szeroko oczy, przyjemnie zaskoczona. – Nikt mi nigdy nie powiedział, że moja mama miała rude włosy! – Nik zmarszczył brwi na te słowa, lecz Poppy z niezmaconą pogodą lizała lizaka. – Jak się nazywasz? – spytała.

– Nik Konstant.

Wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Ależ ja mam konia na biegunach, który nazywa się Nik! Papa dał mu to imię, bo miał kiedyś przyjaciela, który... – Nagle zasłoniła dłonią usta uświadamiając sobie, że ojciec nazwał wtedy Nika dupą wołową. Tego nie mogła mu powiedzieć. – To bardzo ładny koń – dodała pospiesznie – i bardzo go kocham. Został w San Francisco. – Oparła się o kontuar i dotrzymywała mu towarzystwa, gdy robił sprawunki. Pani Price włożyła je do papierowej torby.

– Dla kogo są słodycze? – spytała oblizując palce spiczastym różowym języczkiem.

– To prezent dla mojej córeczki, Angel.

– Angel! – powtórzyła ze zmarszczonymi brwiami. – Co za śmieszne imię. Ile

ona ma lat?

– Sześć, jest w tym samym wieku co ty. – Uśmiechnął się i schował słodycze do kieszeni.

– Nie znam żadnych dziewczynek w moim wieku – oznajmiła Poppy z wyższością. – Znam tylko dorosłe panie.

Nik westchnął.

– Cóż, w Santa Barbara jest wiele małych dziewczynek, więc może spotkasz kilka z nich.

– Może poznam kiedyś Angel – powiedziała Poppy głosem pełnym nadziei, lecz nagle buzia jej posmutniała. – Nie, na pewno jej nie spotkam. W hotelu „Arlington” nie ma żadnych dzieci i nie myślę, żeby były jakieś w naszym dworze. Za to papa mi obiecał, że kupi prawdziwego kucyka tylko dla mnie.

Jej żywe, błękitne oczy i radosny uśmiech tak mocno przypomniały Nikowi Jeba, że to aż zabolalo. Odwrócił się.

– To świetnie, Poppy – odparł wychodząc na drewniany ganek.

Pobiegła za nim.

– Panie Konstant! – zawołała. – Ja naprawdę chciałabym spotkać jakąś małą dziewczynkę!

Jej pełen prośby wzrok ukłuł go w samo serce. Raz jeszcze przeklął w myśli Jeba za krzywdę, jaką wyrządził temu biednemu samotnemu dziecku.

– Zobaczmy! – krzyknął do niej i zamachał na pożegnanie.

– Miło mi było pana poznać, panie Konstant! – zawołała Poppy ze smutkiem i oparta o balustradę odprowadzała go wzrokiem.

W sklepie z alkoholami pana Goux'a, położonym nieco dalej przy tej samej ulicy, robił sprawunki jakiś sąsiad, który właśnie wrócił z San Francisco. Opowiedział Nikowi o finansowych tarapatach Jeba. Przed zachodem słońca wiadomość rozniosła się po całym Santa Barbara. Potwierdziła tylko ugruntowaną wśród miejscowych opinię, że Jeb Mallory to nic dobrego.

To nie może być prawda – rzekła przerażona Rozalia, gdy Nik powtórzył jej nowiny. – Jak mógł stracić cały majątek? Przecież przywiózł z Monte Carlo miliony!

– Jeb jest w stanie przepuścić milion dolarów, zanim człowiek zdąży mrugnąć. – Nik wzruszył ramionami. – To samolub, dla którego cały świat kręci się wokół niego samego i jego zachcianek. On jest jak dziecko, czy nie widzisz tego, Rozalio? Jeśli czegoś chce, musi to mieć natychmiast, a najczęściej chce grać. Nie obchodzą go koszty ani cierpienia, jakich przysparza innym. – Nalał sobie brandy z karafki stojącej na kredensie i spojrzał pośpiesznie na żonę. – Poppy ma jego oczy i jego uśmiech. Od razu widać, czyją jest córką. To bardzo miłe dziecko, Rozalio. I bardzo samotne.

Rozalia w myśli dziękowała niebiosom za wszystko, co miała: szczęśliwą małą Angel, śpiącą spokojnie w pokoju dzieciennym, Grega, który przyjechał do domu na wakacje, i Nika. Wdzięczna była, że jej dom oznacza więcej niż dach nad głową i cztery ściany. Było to prawdziwe, pełne ciepła i miłości ognisko rodzinne, które dawało wszystkim poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

– Musimy ją do nas zaprosić – powiedziała cicho. – Nie można przecież obarczać dzieci winami ich ojców, prawda?

Poppy szurała nogami w zeschniętych liściach i kurzu na ganku dworu Mallorych. Jeb niecierpliwie nacisnął po raz trzeci dzwonek. Posiadłość była zaniedbana i opuszczona; biała farba łuszczyła się ze ścian domu, a spłowiałe zielone okiennice zwisały krzywo przy zarośniętych brudem oknach. Płot wokół opanowanych przez chwasty rabatek obrósł plataniną dzikiego bluszczu, a trawniki, niegdyś aksamitnozielone, były teraz brązowe i spalone słońcem.

Za drzwiami dały się słyszeć powolne szurające kroki, a potem ktoś odsunął ciężkie zasuwę, klucz obrócił się ze zgrzytem w zardzewiałym, od dawna nie używanym zamku i drzwi otworzyły się opornie.

Poppy schowała się przerażona za ojca widząc w szparze Indianina starego jak

Matuzalem. Jego twarz, brązowa jak skorupa orzecha, była pocięta tysiącami zmarszczek. Oczy niemal zupełnie przesłaniała mu katarakta, wyczuł jednak w jakiś sposób, że to Jeb Mallory powrócił, i skłonił się przed nim. Jeb minął go i wszedł do ponurego holu. Odciągnął ciężkie zasłony, by wpuścić do środka potok słonecznego światła. Poppy zatrzymała się przy stole stojącym w holu i wielkimi koślawymi literami napisała swoje imię na grubej warstwie kurzu. Jeb powiedział Indianinowi, że Lian Sung, ich chiński służący, który czekał w gigu, zaraz wniesie zapasy, i zaprowadził Poppy na górę dębowych schodów.

– Dziecko ma włosy matki! – zawołał za nim Indianin donośnie.

Jeb zmierzył go gniewnym spojrzeniem. Chytry stary drań pomimo katarakty świetnie widział to, co chciał zobaczyć.

– Już druga osoba mi to mówi – zauważyła Poppy. – Czy on też znał moją mamę?

– O czym ty mówisz? Kto jeszcze rozmawiał z tobą o matce? – spytał zaskoczony Jeb.

– Zapomniałam ci powiedzieć, że spotkałam wczoraj jednego pana w sklepie pani Price. Mówił, że poznał mnie po włosach mojej mamy. Tatusiu, dlaczego nigdy mi nie powiedziałeś, że ona miała rude włosy?

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał gniewnie, ściskając ją gwałtownie za ramię.

– Ten pan mówił, że nazywa się Nik Konstant i ma córeczkę w moim wieku – odparła Poppy z oczami okrągłymi ze strachu. – Ma na imię Angel. Powiedziałam mu, tato, że to niemądre imię...

– Masz nigdy więcej nie rozmawiać z Nikiem Konstantem! – przerwał zimno. Takiego tonu nigdy wcześniej u niego nie słyszała. – Ani z nikim z jego rodziny. Rozumiesz, Poppy? Nigdy!

– Ale on wydawał się taki miły... – Głos dziecka zadrżał i ucichł.

– Rób, co ci każe! – rozkazał Jeb puszczając ją tak raptownie, że zatoczyła się na balustradę.

Poppy zwiesiła głowę, a w jej oczach pojawiły się łzy strachu, jak zawsze, gdy ojciec wpadał w gniew. To było gorsze, niż gdy dużo pił i zapominał o jej istnieniu

albo zatracił się w kartach i nie wracał do domu. Przygnębiona wlokła się za nim długim ponurym korytarzem do swojego dawnego pokoju.

Było to duże narożne pomieszczenie z wysokimi oknami, wychodzącymi na wschód i południe. Po odciągnięciu zasłon wypełnił je blask słońca, lecz nawet wtedy wydało się Poppy obce i nieprzyjazne. Nagle zatęskniła do swego przystrojonego atłasem, jedwabiem i koronkami pokoju dziecinnego na Rosyjskim Wzgórzu, gdzie zostały wszystkie jej zabawki, książki i Nik, koń na biegunach. Zniosłaby nawet obecność mam'zelle, gdyby tylko mogła tam wrócić. Zamrugwała, żeby odpędzić łzy, i uśmiechnąwszy się, odważnie obeszała pokój. Pomacała schludne, pomalowane na biało żelazne łóżko, przykryte zszytą z kawałków materiału pikowaną kołdrą, i wydało jej się bardzo twarde. Spojrzała ze smutkiem na małą sosnową toaletkę i proste krzesła o wyplatanych siedzeniach, a potem dostrzegłszy przy oknie stary fotel na biegunach, wdrapała się na niego i usadowiła wygodnie, przyciskając do piersi szmacianą lalkę. Kołysała się lekko, oswajając z wyglądem swojego nowego i zarazem starego domu. Usiłowała wyobrazić sobie swoją tajemniczą rudowłosą mamę, która kładła ją, jeszcze całkiem malutką, do łóżka i trzymała ją w ramionach siedząc w tym fotelu, tak jak postępowały inne matki, znane Poppy ze słyszenia. Znów ją zastanowiło, dlaczego nikt nigdy nie rozmawiał z nią o matce. Odwróciła się, żeby zapytać ojca, ale już wyszedł z pokoju. Pobieгла, by go odszukać.

Stał na progu wielkiej, ciemnej sypialni. W smudze światła, przedostającej się przez szparę w zasłonach, widać było długie lustro z szarymi plamami tam, gdzie złuszczyła się srebrna powłoka, a w nim zniekształcone odbicia ich obojga. „Wszystko tutaj jest ciemne – pomyślała Poppy kryjąc się nerwowo za ojcem – wielkie rzeźbione łóżko, masywna komoda, zakurzone aksamitne story”. Nie podobał jej się ten pokój.

– Czy to tu mieszkaliście z mamusią? – wyszeptała, bo w przytłaczającej ciszy lękała się mówić głośno.

– Tak – odrzekł szorstko Jeb i zatrzasnął drzwi.

Ruszył w głąb korytarza otwierając z rozmachem kolejne drzwi i odsuwając zasłony, a ona deptała mu po piętach jak mały piesek.

– Tutaj będę spał – oświadczył, gdy przeszli na drugi koniec domu, a Poppy pomyślała niespokojnie, że strasznie stąd daleko do pokoju dzieciennego.

Była już późna noc, kiedy po zjedzeniu dziwnej kolacji z przyprawionego po chińsku ryżu, jaką ugotował Lian Sung, Poppy zwinęła się w kłębek na zimnym łóżku w swym dawnym pokoju, trzymając kurczowo w ramionach szmacianą lalkę, i z całej siły zacisnęła oczy. Tatusz zostawił drzwi otwarte i zapaloną lampkę nocną, lecz pomimo to wciąż ją prześladowało wspomnienie zamkniętej, cichej sypialni matki, przerażającego Indianina o zarosłych bielmem oczach i ostrego głosu ojca, który zabronił jej rozmawiać z miłym Nikiem Konstantem. Ogarnął ją smutek na myśl, że nigdy nie pozna swojej rówieśniczki, Angel. Płakała długo, aż wreszcie zmogło ją zmęczenie i zapadła w niespokojny sen.

Tatusiu – odezwała się w kilka tygodni później, gdy razem wchodzili na wzgórze na tyłach domu – gdzie się podziały maki?

Rzucił na nią spojrzenie zmrużonych niebieskich oczu.

– Rosły tu przed wielu laty... zanim się urodziłaś. Dlaczego o nie pytasz? Kto ci o tym powiedział?

– Nikt – odparła szczerze. – Pamiętam je.

– Nie kłam, Poppy – powiedział gniewnie. – Niemożliwe, żebyś je pamiętała. Musiał ci o tym paplać ten stary Indianin... a może Nik Konstant, co?

Poppy spuściła głowę i milczała, upokorzona posądzeniem o kłamstwo. Dlaczego ojciec zachowywał się teraz zupełnie inaczej niż dawniej, kiedy wszystko wokół było wesołe i przyjemne?

– Tatusiu – zagadnęła znów po pewnym czasie – może moglibyśmy wydać przyjęcie dla twoich przyjaciół, jak to robiliśmy w naszym poprzednim domu? Tu jest tak pusto... tęsknię już za ludźmi. – Podniosła na niego oczy z nadzieją. – A ty?

Jeba tknęło sumienie, gdy przypomniał sobie przysłany przez Rozalię list z prośbą, czy Poppy mogłaby ich odwiedzić, i swoją lakoniczną odmowę. Do diabła, jemu też doskwierała samotność! Był znudzony ranczem i opieką nad Poppy, brakowało mu dawnego pełnego fantazji życia. Tęsknił za kobietami i pokerem, a żadnej z tych rzeczy nie można było znaleźć na ranczu Santa Vittoria.

– Wiesz co, Poppy – rzekł nagle – najbardziej by ci się przydał kucyk. Tak, rażny, mały czarny kucyk, jak twój koń na biegunach, ale tym razem prawdziwy! Co byś na to powiedziała? Chciałabyś, żeby twój stary tatuś nauczył cię jeździć konno, co, malutka?

Poppy zaczęła podskakiwać z podniecenia.

– Och tak, tatusiu, tak! A kiedy? Kiedy go dostanę?

– Już jadę kupować dla córeczki konika – odrzekł sadzając ją sobie na ramiona. Zbiegł ze wzgórza. Poppy trzymała go za włosy i śmiała się radośnie.

– Czy ja też mogę jechać? – prosiła.

– No nie, tym razem nie – odparł zestawiając ją na ganek. – Córeczka swojego tatusia zaczeka tutaj. Będzie wtedy miała większą niespodziankę.

Poppy zawiedziona patrzyła, jak ojciec wykrzykuje polecenia do Lian Sunga i rozkazuje Indianinowi opiekować się nią. Potem wsiadł do odrapanego czarno-żółtego gigu i poganiając konia szybko odjechał zacienioną aleją.

– Zaraz wrócę, kochanie! – zawołał machając na pożegnanie.

Poppy długo siedziała na schodkach przed domem, obserwując oddalający się obłok kurzu wzbitego końskimi kopytami, który wreszcie zniknął w oddali.

Weszła do domu i natknęła się na Lian Sunga zamiatającego podłogę w holu.

– Mogę pomóc? – zapytała i kichnęła donośnie. Chciała porysować różne wzory w kurzu. Chińczyk tylko wzruszył ramionami i wtedy przypomniała sobie, że Lian Sung mówi śmieszna, łamaną angielszczyzną, którą jedynie ojciec rozumie. Powiedziała na próbę kilka francuskich słów, ale Chińczyk dalej zamiatał nie zwracając na nią uwagi.

W żołądku zaburczało jej z głodu, więc zajrzała do kuchni, lecz na widok

straszego starego Indianina, który siedział na swoim zwykłym miejscu przy palenisku, wycofała się. Cisza w pokoju dzieciennym wydała jej się jeszcze głębsza niż zwykle. Usiadła w fotelu na biegunach i zaczęła rozmyślać o matce. Wiedziała od ojca, że matka umarła, gdy ona była jeszcze całkiem malutka. „To niesprawiedliwe! – pomyślała. – Jak mama mogła mi to zrobić?!” Z nagle rozbudzoną ciekawością przeszła na paluszkach korytarzem i zatrzymała się przed tajemniczą sypialnią.

W zamku tkwił wielki mosiężny klucz. Przy użyciu obu rąk i całej swojej siły udało jej się go obrócić. Spomiędzy zasłon sączyła się smuga światła. Poppy na paluszkach przeszła przez pokój i rozsunała ostrożnie ciężkie fałdy, a potem rozejrzała się wokół w ostrym blasku słońca. Szukała jakiegoś wizerunku matki, lecz na ścianach nie było żadnych portretów ani fotografii, tylko kilka ponurych drzeworytów mężczyzn i kobiet o świątobliwym wyglądem.

Pod oknem stał mały sekretarzyk z pokrywą, zrobiony z jakiegoś pięknego ciemnego drewna i intarsjowany masą perłową. Poppy przesunęła rączką po pokrywie, a potem z poczuciem winy objęła paluszkami mały złoty kluczyk. Wiedziała, że źle jest oglądać cudze rzeczy, ale to przecież należało do jej matki. Po chwili wahania przekręciła szybko kluczyk i zajrzała do środka. Rozczarowana pogrzebała w masie starych papierów i listów, a potem przeniosła uwagę na szafkę pod blatem. Jedną półkę zapełniały szkicowniki, w których były małe, ładne akwarelki, przedstawiające ich dom i ogród. Poppy przeglądała je przez dłuższą chwilę. Nagle zauważyła ukrytą w samym rogu półki płaską książeczkę w brązowej skórzanej oprawie. Rozpoznała nazwisko „Mallory” wypisane na okładce złotymi literami. Z mozołem odcyfrowała imię „Margaret” i słowo „Pamiętnik”. Zarumieniona z podniecenia przytuliła drogocenną książeczkę do piersi. Więc to był pamiętnik matki!

Z przejściem spojrzała na połówkę strony, lecz odczytanie odręcznego pisma przerastało jej niewielkie umiejętności. Ze smutkiem przekartkowała książeczkę, chcąc choć w ten sposób poczuć bliskość matki, i na stronie blisko końca rozpoznała

słowo „Poppy”. Matka napisała coś o niej!

Jeszcze raz przycisnęła do siebie pamiętnik. Przechowa go na zawsze jak największy skarb i pewnego dnia, gdy będzie dość duża, by płynnie czytać, wszystkiego się dowie. Dopóki ten dzień nie nadejdzie, będzie trzymać istnienie pamiętnika w tajemnicy nawet przed ojcem, który mógłby go jej zabrać.

Schowała książeczkę pod fartuszek i wymknąwszy się na palcach z wielkiej sypialni, pobiegła do pokoju dzieciennego. Tam ukryła skarb w głębi starej szafki z zabawkami. Westchnęła z ulgą stwierdziwszy, że nikt nie zauważył jej „kradzieży”, otrzepała ręce z kurzu i wróciła na swój posterunek na frontowych schodkach, aby oczekiwać powrotu ojca.

Zapadła już noc, a ojca nie było widać. O świcie znów usiadła na schodkach i wypatrywała go na drodze, dopóki nie zrobiło się na tyle ciemno, że nie mogła nic dojrzeć. Chociaż próbowała tłumaczyć sobie, że ojcu dużo czasu zajmuje wybranie jak najlepszego kucyka, płakała długo, aż płacz ukołysał ją do snu. Trzeci dzień wydawał się długi jak sama wieczność. Lian Sung postawił na schodku obok jedzenie, ale nie mogła nic przełknąć. Siedziała i czekała, dopóki nie zapadła noc. Nagle z mroku wyłonił się stary Indianin, złapał ją za rękę i pociągnął do wnętrza domu. Poppy wrzasnęła z przerażenia, lecz on tylko potrząsnął głową i powiedział:

– Pan Jeb wrócić, jak wrócić. On tak robić. Ty dziecko, ty iść spać.

Nikt nie zapalił lampy ani nie przyniósł jej szklanki mleka. Poppy tłumiąc łkanie przewracała się niespokojnie z boku na bok. Ze wzgórz dochodziło szczekanie kojotów i złowieszcze pohukiwanie krążących w poszukiwaniu łupu sów. Poppy zdawało się, że słyszy w pokoju trzepot skrzydeł niesamowitych, upiornych stworów.

Czwartego dnia wyszła wczesnym rankiem przed dom blada i drżąca. Usiadła skulona na schodkach, obejmując ramionami kolana, z podbródkiem przyciśniętym do piersi, by podjąć czekanie.

Gdy Jeb w końcu wrócił późnym popołudniem, leżała zwinięta na deskach

werandy, pogrążona we śnie.

– Hej, czy to córeczka swojego tatusia?! – zawołał ze swoim zwykłym beztroskim uśmiechem. – Może byś poszła i rzuciła okiem na swojego własnego kucyka?

– Tatuś! – krzyknęła budząc się natychmiast. Rzuciła się w dół po stopniach i skoczyła mu na szyję. – Och, tatusiu! Myślałam, że już nigdy nie wrócisz! – Z buzią zalaną łzami zacisnęła mocno ramionka wokół jego szyi.

Spojrzał z goryczą na okno dawnego pokoju Margaret i poczuł złość. Czemu umarła i zostawiła mu córkę na karku?! Oczywiście kochał Poppy, ale mężczyzna nie może być wiecznie uwiązany do dziecka!

– Nie powinnaś tak się martwić, Poppy – rzekł stawiając ją na ziemi. – Tatuś zawsze do ciebie wróci. Chodźmy obejrzyć kucyka, dobrze? – Kiedy szli w stronę małego wierzchowca, przysiągł sobie w duchu, że gdy tylko zacznie mu się lepiej powodzić, znów zatrudni piastunkę i guwernantkę, a sam wreszcie wypuści się w świat. Nikt na świecie, dziecko ani kobieta, nikt nie mógłby go powstrzymać!

Poppy wyciągnęła ostrożnie pęk trawy W stronę tłustego gniadego kucyka i z entuzjazmem klepała go po bokach.

– Tatuś nauczy cię jeździć. Będiesz amazonką jak się patrzy! – powiedział Jeb, sadzając ją na siodło.

Przez dwa dni kucyk chodził w kółko na lonży, najpierw stępa, potem kłusem, a Poppy uczyła się unosić i opadać w rytm kroków wierzchowca, kierować jego ruchami za pomocą kolan. Wodze należało trzymać leciutko jak piórko i nie ściągać ich nagle, by nie zranić delikatnego pyska. Wkrótce samodzielnie kłusowała wokół padoku, siedząc swobodnie w siodle z wyprostowanymi plecami i śmiejąc się z zachwytem, gdy kucyk przechodził w cwał.

Kucyk z powodu długich cienkich nóg dostał imię Pajak. Poppy wstawiała o świcie, żeby go nakarmić, wyczesać i sprzątnąć stajnię. Mając tatusia w domu i swojego kucyka do kochania była najszczęśliwszą dziewczynką na całym świecie.

Pewnego dnia Jeb zapowiedział, że jedzie w interesach do Santa Barbara i wróci

następnego dnia rano. Poppy tyle miała pracy przy Pająku, że nawet się nie martwiła nieobecnością ojca, lecz gdy nie wrócił przed zapadnięciem nocy, poczuła dawny, ściskający żołądek strach. Kolejnego dnia o zmroku znów popłynęły łzy strachu i samotności. Przepelniona tęsknotą za czyjąś obecnością wymknęła się z domu i zwinęła w stajni przy Pająku. Ciepły bok kucyka i znane zapachy stajni dodawały jej otuchy.

Z biegiem czasu straciła rachubę dni, które Jeb spędził poza domem. Jeździła samotnie na Pająku, zataczając koła wokół posiadłości Mallorych. Nie chciała oddalać się od domu w obawie, że przeoczy przyjazd ojca.

Jeb w końcu wrócił, a jego żywe, błękitne oczy iskrzyły się dobrym humorem. Uśmiechnął się tylko do córki swoim szerokim, beztroskim uśmiechem i zaczął wypytywać o postępy w konnej jeździe. Nie pisnął ani słówkiem, gdzie był ani co robił przez cały ten czas.

Podczas trzeciej jego eskapady Lian Sung porzucił służbę, mamrocząc w swojej dziwacznej angielszczyźnie, że to nie jest dobry dom. Brnął po piaszczystej drodze niosąc na grzbiecie cały swój ziemski dobytek. Poppy w milczeniu odprowadziła go na Pająku. Zatrzymała się na szczycie wzgórza i śledziła go wzrokiem, dopóki nie zniknął w gąszczu sykomorów. Wtedy zawróciła Pająka i wolno pojechała do wielkiego, ogarniętego ciszą domu, w którym teraz nie było nikogo prócz przerażającego ślepeca.

Dni wlokły się jeden za drugim. Nawet Indianin zdawał się zapominać o jej obecności i odwracał tylko głowę, by wpatrywać się w nią swymi dziwnymi, matowymi oczami, gdy zakradała się do kuchni po kawałek kukurydzianego placka, który piekł na otwartym palenisku, albo kostkę sera i jabłko. Każdego ranka siodłała Pająka i jechała na szczyt wzgórza, skąd patrzyła z natężeniem na zakurzoną drogę. Potem zwracała oczy na piaszczysty trakt, który, jak powiedział jej Jeb, wiódł do dworu Konstantów. Poppy zastanawiała się zazdrośnie, jak to jest mieć ojca takiego jak Nik, i wyobrażała sobie, jak wygląda nie znana Angel.

Z całej duszy pragnęła pojechać tam, dokąd trakt prowadził, lecz Jeb wymusił na

niej przyrzeczenie, że nigdy nie odezwie się do żadnego z Konstantów. „Nie zabronił mi jednak na nich patrzeć, prawda?” – uświadomiła sobie pewnego dnia. Ścisnęła kolanami tłuste boki Pajaka i szybkim cwałem ruszyła w tamtą stronę.

Droga zdawała się ciągnąć w nieskończoność i Poppy już zdjęła obawa, że zabłądziła, gdy nagle zza kępy dębów pochwyciła błysk czerwonych dachówek, a chwilę później roztoczył się przed nią widok na dolinę, w której stał najpiękniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziała.

Dwór Konstantów ani trochę nie przypominał ich własnego szarego, obitego deskami domu z najstarszą, zbudowaną z suszonej cegły częścią, w której teraz mieściła się kuchnia. Ten budynek lśnił bielą, miał dwa skrzydła, otaczające dziedziniec, a prowadziła do niego wielka, zakończona lukiem żelazna brama, kuta w piękny wzór przypominający łabędzie skrzydła. Strużki wody z wyłożonej niebieskimi kafelkami fontanny mieniły się w słońcu jak sznury diamentów, a wygodne szezlongi, ustawione na podpartej kolumnkami werandzie, były jak wymarzone do spoczynku w gorące dni. Wszędzie widać było terakotowe doniczki z geranium, lobelią, begoniami, fuksjami, hibiskusami, bugenwillami i różami, tworzące feerię barw, która olśniła Poppy. Widziała ogrodników pracujących w cienistym ogrodzie z tyłu domu i schyloną nad grządkami kobietę w otoczonym murkiem warzywniku. Na wielkim trawiastym padoku mała dziewczynka o włosach tak jasnych, że połyskiwały w słońcu jak białe złoto, skierowała zwinnego karego kuczka na szereg przeszkód, biorąc kolejno coraz wyższe, aż Poppy westchnęła z podziwu.

Od razu się domyśliła, że to musi być Angel, i nawet z tej odległości dostrzegła jej urodę. Był tam również wysoki ciemnowłosy chłopiec w koszuli w kratę, który podszedł do Angel i poklepał kuczka po szyi. Szczęśliwa Angel, miała nie tylko matkę i ojca, ale również brata! Trzymając się wciąż w cieniu dębów, Poppy popędziła Pajaka nieco naprzód i wyteżyła uszy, by pochwycić ich głosy, strzępki rozmowy. Nagle rozległ się dźwięk dzwonka i Pajak zarżał z bólu, gdy odruchowo ściągnęła wodze.

Na dziedzińcu stała drobna ciemnowłosa kobieta i potrząsała srebrnym dzwonkiem. Jej głos dotarł na szczyt wzgórza:

– Angel! Greg! Lunch jest gotowy. *Vamos almorzar!*

Angel ześliznęła się z grzbietu wierzchowca, odpięła popręg i zdjęła siodło. Jej brat obdarzył zwierzę serdecznym klepnięciem w zad. Oboje roześmiali się, gdy uwolniony kucyk wierzgnął tylnymi nogami i pogalopował po padoku. Poppy, której zazdrość i zachwyty zaparły dech w piersiach, patrzyła, jak przeszli przez ogrodzenie i ramię przy ramieniu poszli w stronę pięknego domu i czekającej na nich na dziedzińcu matki.

– No dalej, chodźcie! – wołała Rozalia. – Daję słowo, te konie są chyba dla was ważniejsze od jedzenia! – Potargała czule jasne włosy Angel i weszła za nimi do wnętrza pięknego domu.

Poppy bardzo długo siedziała nieruchomo w siodle. Obserwowała dom i myślała z zazdrością o jego mieszkańcach. Czując czczość w żołądku zastanawiała się, czy codziennie dostawali lunch o tej samej porze i co jedli. Miała nadzieję, że pokażą się jeszcze raz. W końcu zawróciła Pająka i wypuściła go w cwał. Była całkiem pewna, że matka i ojciec otulą Angel na dobranoc w łóżeczku i rano, kiedy się obudzi, będą przy niej.

Stapając cicho, żeby nie obudzić Indianina, przetrząsnęła kuchnię w poszukiwaniu czegoś na kolację. Ułamała kawałek czerstwego chleba i nalała sobie szklankę pianistego mleka od krowy, która pasła się w sadzie jabłoniowym. Zabrała ten skromny posiłek na swoje ulubione miejsce na schodkach i żuła wolno chleb, patrząc z natężeniem przez zarośnięty ogród na drogę w nadziei, że ojciec pojawi się nagle zza zakrętu jak za skinieniem czarodziejkiej różdżki. Znowu spotkało ją rozczarowanie i gdy zapadł zupełny zmrok, odwróciła się ze znużeniem i weszła do wielkiego, pogrążonego w ciszy domu.

Usiadła na brzegu łóżka ze zwieszonymi luźno nogami i oparłszy podbródek na dłoniach, znowu zaczęła myśleć o Angel Konstant, wspominać jej jasne włosy i wesoły śmiech. W Angel było coś niezwykle świeżego, czystego i pięknego –

unosila się wokół niej świetlista poświata, jak wokół prawdziwego anioła. Poppy zlazła z trudem z łóżka i spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jej bawełniana niebieska sukienka była brudna i poplamiona na przodzie mlekiem. Na twarzy widniały smugi kurzu, a nad górną wargą został biały wąs. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czesała włosy, bo nikt jej nigdy o tym nie przypominał. Na głowie miała zbity kołtun, warkocze nie były rozpuszczane od wielu dni. Wyciągnęła przed siebie ręce i spojrzała z niedowierzaniem na czarne obwódki pod obgryzionymi paznokciami, a potem opuściła wzrok na swoje podrapane gołe nogi w zdartych zabłoconych butach. Porównała swój wizerunek z nieskazitelnym obrazem jasnowłosej Angel.

Zdarła z siebie gniewnie sukienkę i przetrząsnęła szafę w poszukiwaniu czystej koszuli nocnej. Rozpuściła włosy i zaatakowała je twardą drucianą szczotką, próbując bez powodzenia rozczesać zbite, splątane pasma. Dzbanek z wodą stał za wysoko, by mogła do niego dosięgnąć, zresztą i tak nie zdołałaby go utrzymać, więc weszła na krzesło i zanurzyła w zimnej wodzie najpierw jedną, a potem drugą rękę. Wyszorowała dłońmi twarz i wytarła się, przenosząc brud na sztywny, biały lniany ręcznik. W końcu uklękła przy łóżku, złożyła ręce i zmówiła pacierz. Dziś wieczorem do zwykłej modlitwy o powrót ojca dołączyła prośbę, aby Bóg uczynił ją podobną do Angel Konstant. W nocy śnił jej się rasowy kary kucyk, skaczący przez przeszkody, i siostra z bratem, którzy podchodzą wolnym krokiem do damy mającej głos równie słodki, jak dźwięk srebrnego dzwonka.

Tylko że w tym śnie Poppy, a nie Angel wracała do domu, do matki.

Tym razem ojciec wrócił pochmurny i bez torby z prezentami. Wszedł, głośno trzaskając drzwiami. Twarz miał pobladłą z gniewu. Poppy stała cicho na szczycie mahoniowych schodów. Minęła długa chwila, zanim ją dostrzegł.

– Niech to licho, Poppy – jęknął – całkiem o tobie zapomniałem!

Stała jak porażona. Jak mógł zapomnieć o jej istnieniu, gdy ona tak na niego czekała?

Ojciec westchnął ciężko.

– No już dobrze – powiedział ponuro i minawszy ją bez uścisku ani pocałunku wszedł do pokoju dziecinnego. – Chyba muszę cię ze sobą zabrać, nie ma innej rady.

Poppy patrzyła w milczeniu, jak wyciąga z rozmachem szuflady i wpycha jej rzeczy do małej torby. Był tak rozdrażniony, że zapomniał nawet powiedzieć córce, dokąd jada.

– Połóż się wcześniej spać – rzucił szorstko, zamykając za sobą drzwi pokoju dziecinnego – ruszamy jutro o świcie.

Poppy leżała bezsennie w swoim zimnym łóżku i trzęsła się ze strachu. Nie przerażała jej tajemnicza podróż, lecz myśl, że ojciec mógłby ją zostawić. Wstała i ubrała się na długo przed brzaskiem, a potem czekała pod jego drzwiami z małą torbą podróżną obok i szmacianą lalką pod pachą. Gdy Jeb otworzył drzwi, omal się o nią nie przewrócić.

– Bałam się, że o mnie zapomnisz, tatusiu – powiedziała Poppy z oczami okrągłymi ze strachu.

Zmierzył ją gniewnym wzrokiem. Nie dość, że przegrał dom i swój udział w ranczu Santa Vittoria do jakiegoś parszywego kowboja z Montecito, to jeszcze miał na karku Poppy. Niech to diabli, życie wędrownego gracza było dostatecznie trudne bez drepającego wciąż za nim dzieciaka! Porwał jej torbę i ruszył korytarzem tak szybko, że musiała za nim pobiec.

– Co z Pajakiem? – spytała bez tchu. – Czy pojedzie z nami?

Zupełnie zapomniał o tym cholernym kucyku!

– Będzie tu na ciebie czekał, aż wrócisz – skłamał z lekkim sercem. – No dalej, pospiesz się.

Indianin, owinięty swoją wełnianą derką, czekał w holu na dole.

– Więcej pana nie zobaczyć, panie Jeb – rzekł, a jego zazwyczaj donośny głos ścichł do szeptu. – Pan i ja opuścić ten dom na zawsze.

Jeb utkwiał w nim nieruchomy wzrok. Staruch zawsze miał rację. Był tu od początku, a teraz nadciągnął koniec.

Indianin skłonił siwą głowę.

– To już długo nie potrwa – mruknął, gdy minęli go i wyszli na rzeński, perłowy poranek.

Rozdział 18

1887

Ojciec powiedział jej, że będą podróżować, więc Poppy marzył się powrót do Monte Carlo, lecz ta wyprawa była całkiem inna. Na parowcu płynącym do San Francisco gnieździł się w maleńkiej kabinie, położonej na najniższym pokładzie. Fale waliły w burzę, co przyprawiało Poppy o chorobę morską. Ojciec nie zwracał uwagi na jej płacz i leżąc na swojej koi pił irlandzką whisky ze srebrnej flaszki. W końcu zapadł w głęboki sen i zaczął donośnie chrapać.

W San Francisco zeszli na ląd na miękkich nogach. Spytała z nadzieją, czy jada do domu na Rosyjskim Wzgórzu, lecz Jeb bez słowa złapał ją za rękę i wpakował do konnego omnibusu, którym pojechali na stację Union Square. Po drodze Poppy zasypywała go pytaniami, więc rozkazał gniewnie, żeby siedziała cicho. Złękła się i skuliła w swoim kącie.

W długim pociągu do Chicago nie zajęli tym razem eleganckiego przedziału, lecz dwa siedzenia z szorstkiego pluszu, który drapał jej nogi. Kiedy skarżyła się na głód, Jeb kupował jej kanapki i jabłka u sprzedawcy, który obchodził wagony z wielką tacą zawieszoną na taśmie na szyi. Poppy zapadła w końcu w sen z głową na ramieniu ojca, ściskając kurczowo rękaw jego marynarki, i śniła o tym, że jest Angel Konstant i przeskakuje na swoim karym kucyku przez sto przeszkód. Pociąg toczył się z hukiem i stukotem przez wielki kraj.

Gdy się zbudziła, ojca nie było, a pod głowę podłożoną miała jego zwiniętą elegancką kamizelkę. Panika ścisnęła jej żołądek na myśl, że mógł wysiąść bez niej.

– Gdzie jest mój tatuś? – spytała ciemno ubraną kobietę naprzeciwko, trąc zaspane oczy.

– Sądząc po zapachu, jaki od niego bije, pewnie w barze! warknęła kobieta.

Wyglądała na zgorszona. – Co z niego za człowiek, żeby zostawić taką małą dziewczynkę samą i upijać się w najlepsze!

Poppy obrzuciła ją nieufnym wzrokiem, zsunęła się z kłującego siedzenia i prześliznęła obok niej do drzwi.

– Tatuś się nie upija! – odparła z bezpiecznej odległości. – I wcale mnie nie zostawił! Jest najlepszym ojcem na świecie!

Po czym uciekła korytarzem od ostrego języka kobiety i gniewu, jaki musiała wywołać ta impertynencka odpowiedź.

Zatrzymała się i spytała jakiegoś siwowłosego mężczyznę o bar. Roześmiał się głośno, ale udzielił jej odpowiedzi. Pobieгла dalej, zataczając się i wpadając na ściany, gdy pociąg szarpał niespodziewanie na zakręcie. Wreszcie dotarła do baru i natychmiast pojęła, dlaczego tatuś tak lubi to miejsce.

Było tu o wiele weselej niż w ponurym przedziale z krytycznie nastawioną sąsiadką w czerni. Tutaj śliczne lampy w kulistych kloszach z rżniętego szkła rzucały blask na czerwone obicia, połyskliwe boazerie i półki pełne lśniących butelek i kieliszków. Poppy zatrzymała się przy drzwiach szukając wzrokiem ojca w rzędzie zaróżowionych twarzy przy mahoniowym barze. Wciągnęła nosem znajomy zapach whisky, burbona i cierpką, chmielową woń piwa. Dostrzegła go wreszcie – siedział przy stoliku w towarzystwie czterech mężczyzn i tasował karty.

Nieświadoma rozbawionych spojrzeń przepchnęła się przez tłum do jego stolika.

– Tatusiu! – krzyknęła i nagle zapadła cisza. – Jesteś tutaj! A już myślałam, że znów mnie zostawiłeś!

Partnerzy Jeba unieśli brwi szczerząc zęby w uśmiechu, a on sam rzucił jej zimne spojrzenie. Odłożył karty i rzekł cicho:

– Oczywiście, że cię nie zostawiłem, Poppy. Ta miła pani w przedziale obiecała, że się tobą zaopiekuje.

– Nie spodobała mi się – oznajmiła Poppy na cały głos, gdy ojciec ujął ją za rękę i prowadził do wyjścia. – Powiedziała, że nie masz prawa upijać się i zostawiać mnie samej.

Wybuchy rubasznego śmiechu goniły za nimi jeszcze na rozkołysanym korytarzu. Jeb nagle bardzo mocno ścisnął jej rękę.

– Au! – pisnęła. – To boli, tato!

– Masz szczęście, że nie wsoliłem ci kilku porządných klapsów! – warknął gniewnie. Przykucnął, tak że ich oczy znalazły się na jednym poziomie, i rzekł cicho, lecz z ukrytą groźbą: – Nigdy więcej mnie nie szukaj, Poppy. Rozumiesz, co mówię? – Jego głos drżał z wściekłości. – Masz się nigdzie za mną nie włóczyć, zrozumiano? Nigdzie!

Znów chwycił ją za rękę i zaciągnął milczącą i dygoczącą z powrotem do wagonu. Dał jej jabłko, lalkę, kazał spać lub oglądać widoki za oknem i powiedział, że „zaraz wróci”. Poppy wiedziała już, co to znaczy: wróci dopiero wtedy, gdy skończy robić to coś, co było dla niego ważniejsze niż wszystko inne, ważniejsze od niej. Nie wcześniej. I że jego nieobecność może trwać dni, tygodnie, nawet miesiące... albo bez końca.

Dojechali do Chicago. Ojciec był już w znacznie lepszym humorze. Zabrał ją prosto do eleganckiego hotelu, gdzie biegała radośnie po wielkim apartamencie. Natychmiast oswoiła się na nowo z otoczeniem aksamitów i brokatów. Nie zobaczyła jednak wiele z Chicago, bo wcale nie wyszli na miasto. Ojciec kazał przysłać na górę stół do kart i aż do rana siedział z jakimiś obcymi mężczyznami przy pokerze popijając whisky, podczas gdy ona spała smacznie na wielkim mosiężnym łóżu.

Jeb przespał cały dzień, a Poppy umilała sobie czas wędrówkami po wielkim hotelu i rozmowami z pokojówkami, kelnerami oraz portierem, który powiedział jej, że często zatrzymują się tutaj ważni ludzie – gwiazdy opery i teatru.

– Przecież ja ich znam! – krzyknęła z podnieceniem, gdy wymieniał sławne nazwiska. Przypomniała sobie, jak gromadzili się tłumnie co wieczór w domu na Rosyjskim Wzgórzu.

– No pewnie, pewnie – zaśmiał się dobrodusznie i klepiąc ją po głowie kazał

przechodzącemu chłopcu hotelowemu przynieść paczka dla „miłej rudowłosej dziewczuszki”.

Poppy wkrótce stała się znana w kilku lepszych hotelach w Filadelfii, Pittsburgu, Bostonie, Nowym Jorku i Chicago. Lecz pojawiała się tam tylko wtedy, gdy Jeb wygrywał. W okresach złej passy zatrzymywali się w obskurnych kamienicach czynszowych, położonych w ubogich dzielnicach. Jeb prowadził ją pospiesznie brudnymi uliczkami i postawiwszy kołnierz u płaszcza, unikał złych spojrzeń rozrabiaków, włóczęgów i pijaków. Poppy przywykła do spożywania w milczeniu tłustych śniadań w towarzystwie czerwonych na twarzy robotników i dokerów, którzy pachnieli potem, i szybko nauczyła się trzymać język za zębami, kiedy jakaś gospodyni o ostrym wzroku pytała ją, kiedy ojciec zapłaci za pokój.

W niedługim czasie zrozumiała schemat wydarzeń. Po wygranej ojciec był miły, wesoły i pozwalał jej zamawiać u obsługi hotelowej cokolwiek chciała, lecz wkrótce karta się odwracała. To oznaczało zimny pokój w starej kamienicy niedaleko stacji lub doków, gdzie było ziębiące nogi brązowe linoleum, zapadnięte łóżko i ani skrawka dywanika dla bosych stóp po wstaniu rano. Wtedy miała szczęście, gdy dostała choć kanapkę. W hotelach kręciła się swobodnie wszędzie, lecz w starych kamienicach ojciec nie pozwalał jej wychodzić podczas swojej nieobecności. W chwilach największej nudy wykradała się na podest, słuchała różnych głosów, często podniesionych w gniewie, które dobiegały z innych pokoi, i wahała dziwny odór gotowanej kapusty, jaki osiadł na klatce schodowej. Wtedy coś jej mówiło, że nigdy już nie zobaczy swojego ukochanego kuczka, Pająka.

Od paru tygodni przebywali w małym hoteliku w St. Louis. Była w tym mieście pierwszy raz. Jeb jak zwykle wyszedł w poszukiwaniu partyjki i zostawił Poppy samą, przeżuwającą kawał ciasta. Odprowadziła go niespokojnie wzrokiem do drzwi. Nie podobał jej się ten hotel. Pełno tu było domokrażnych handlarzy z tekturowymi walizkami, a korytarze pachniały środkiem dezynfekcyjnym. Mężczyzna za biurkiem recepcji miał silny katar. Z dezaprobatą siąkał nosem za każdym razem, gdy zawędrowała do hotelowego holu w poszukiwaniu rozrywki, i

odsylał ją z powrotem do pokoju, w którym ciągnęło chłodem.

Przynajmniej w łóżku było ciepło i mogła przytulić się do swojej starej szmacianej lalki. Przywołując w myśli wyblakły już nieco obraz kochającej się rodziny w pięknym domu i siebie samej na miejscu Angel Konstant, Poppy wkrótce zasnęła.

Rano wstała wcześniej, umyła się i ubrała, w nadziei, że może ojcu poszczęściło się w grze i po powrocie zabierze ją do kawiarni na jej ulubione śniadanie: naleśniki z jagodami i syropem klonowym. Siedziała na brzegu łóżka wymachując nogami i nuciła melodyjkę, jaką niedawno grał na ulicy kataryniarz. Chodził z prześliczną, ubraną w czerwony kubraczek małpką, którą Poppy karmiła orzeszkami. Poppy czekała całe wieki, lecz ojciec wciąż nie wracał. Zawiedziona patrzyła przez brudne okno na szare, oślizłe od deszczu ulice szarego, nieznanego miasta.

Ranek przeszedł stopniowo w popołudnie, deszcz zmienił się w śnieg, a w brzuszku Poppy odezwało się znajome uczucie głodu. Stała zrezygnowana przy oknie, oparta o parapet, i co pewien czas dmuchała na szybę, żeby ciepła para z jej ust rozpuściła warstewkę lodu. Gdy jej wzrok nie mógł już przebić ciemności, skuliła się na łóżku, by było cieplej, i z całej siły powstrzymywała łzy.

– Tatusz zabronił mi siebie szukać – powiedziała i podskoczyła na dźwięk własnego głosu w ciszy, jaka panowała w pokoju. Powtarzała to zdanie wciąż od nowa w ciągu tej długiej, bezsennej, mroźnej nocy.

Nazajutrz po południu jej żołądek tak był ściśnięty z głodu i strachu, że nie mogła tego dłużej znieść. Włożyła płaszczyk, zeszła jak najciszej po skrzypiących schodach z wytartym chodnikiem i przemknęła szybko koło recepcji modląc się w duchu, by hotelarz jej nie zauważył.

– Hej, ty! – zawołał ostro. – Gdzie jest twój ojciec? Powiedz mu ode mnie, że jest mi winien pieniądze za dwa tygodnie i jak nie poczuję ich w garści do jutra rana, wyrzucę was na zbity pysk!

Poppy przerażona przytuliła się do ściany. Jeśli ojciec nie wróci dzisiejszego wieczora, wyrzucą ją na ulicę, a wtedy tatuś już nigdy jej nie znajdzie.

– Coś tak struchlała? – spytał mężczyzna i spojrzał na nią łagodniej. – To nie twoja wina, mała. Masz pecha, że trafił ci się taki ojciec, ot co.

– Nieprawda! – wybuchnęła Poppy tupiąc gniewnie nogami i kręcąc głową tak gwałtownie, że rozplotły jej się warkocze. – Mój ojciec jest najlepszym ojcem na świecie, ale to najlepszym! – krzyknęła i rozplakała się w głos.

Na różnych piętrach drzwi zaczęły się otwierać, a zza nich wyglądali zaciekawieni sceną goście.

– Co się stało tej małej? – spytała tęga kobieta w surowej sukni z czarnej krepy z wielką kameą przypiętą do kołnierzyka. – Dlaczego wyprawia takie brewerie?

– Niestety nie wiem, szanowna pani – odparł recepcjonista niespokojnie – ale nie widziałem jej ojca już od ładnych paru dni. Jest nam winien za przeszło dwa tygodnie. Chyba ją porzucił.

– Porzucił? To okropne! Biedne dziecko. Musimy natychmiast coś na to poradzić.
– Zeszła majestatycznie ze schodów szumiąc spódnicami i obrzuciła uważnym wzrokiem zalaną łzami Poppy. – Zadzwoń do inspektora opieki społecznej – zdecydowała. – Istnieją przytulki dla porzuconych dzieci i już ja się postaram, żeby znalazło się tam dla niej miejsce!

Poppy broniła się energicznie, kopiąc i drapiąc, gdy pracownik opieki społecznej o sztywnym, oficjalnym wyglądzie wsiadał z nią do powozu.

– Nie zabierajcie mnie! – krzyczała – Nie! Tatuś nigdy mnie teraz nie znajdzie!

– Nigdy cię nie znajdzie?! – zawołał zirytowany urzędnik. – No pewnie, że nie! Nawet nie będzie szukał!

Sierociniec mieścił się w budynku z szarego granitu, otoczonym przysypanymi śniegiem zaroślami i trawnikami. Pod oknami, w których nie wisiały żadne zasłony, rósł ponurą gęstwiną żywopłot laurowy. Poppy pomyślała, że to najsmutniejsze miejsce, jakie widziała w swoim życiu. Grupki szaro ubranych dzieci kryły się spłoszone pod szarymi ścianami i patrzyły na nią z niedowierzaniem, a na ich wynędzniałych twarzyczkach odmalował się szok, gdy usłyszały jej przeraźliwy

krzyk. Inspektor opieki społecznej podał ją przełożonej w granatowej sukni i białym fartuchu ze słowami:

– To wybuch hysterii. Ojciec jest pijakiem i hazardzistą. Uciekł z hotelu bez płacenia rachunku i zostawił ją tam na pastwę losu.

Nieeee...! – krzyknęła Poppy. – Nie, to nieprawda! On wcale laki nie jest i naprawdę mnie kocha! Tatus nigdy by mnie nie zostawił, nigdy, nigdy...!

– Chodź, dziecko – powiedziała dziarskim tonem przełożona – musimy cię wykapać i sprawdzić, czy nie masz wszy, a potem dostaniesz czyste ubranie i zjesz kolację.

Poppy nie miała pojęcia, co to są wszy, i nie chciała żadnej kolacji. Myślała tylko o tym, czy ojciec ją odnajdzie. Łzy przestały płynąć, ale wątlwym ciałałkiem wciąż wstrząsał suchy, dławiący szloch. Ciągnięta za rękę przez przełożoną niechętnie weszła na piętro po nagich drewnianych schodach.

Kopała i pluła, gdy pielęgniarzka oglądała jej włosy, a także potem podczas kąpieli w letniej wodzie, śmierdzącej środkiem dezynfekcyjnym. Ubrano ją w takie samo szare ubranko jak resztę dzieci, a krnąbrne rude włosy zapleciono tak ciasno, że bolała naciągnięta skóra. Duch walki osłabł w Poppy. Zeszła zrezygnowana do sali, w której dzieci siedziały rzędami na ławkach i jadły kolację. Jakaś kobieta posadziła ją na końcu stołu i postawiła przed nią miskę z brunatną tłustą breją. Poppy spojrzała na to odrażające danie i podniósłszy głowę napotkała wzrok dziesiątków ciekawych, wpatrzonych w nią oczu. Wszystko podeszło jej do gardła i zwymiotowała.

Przez następne dwa dni leżała w łóżku rozpalona, mającąc w malignie. Trzeciego dnia gorączka spadła i Poppy zaczęła dostawać małe porcje ciepłego kleiku. Właśnie siedziała na wąskim łóżku ściskając w osłabłych rączkach miskę z nieapetycznym kleikiem, gdy usłyszała jakiś hałas w holu.

– Gdzie ona jest? – dobiegł ją gniewny ryk Jeba. – Gdzie jest moja córka? Jak śmieliście ją zabrać i umieścić w tym zakazanym miejscu?

Poppy rzuciła miskę na podłogę, wyskoczyła z łóżka i gwałtownie otworzyła

drzwi.

– Tatusiu, och, tatusiu! – krzyknęła radośnie. – Mówiłam im, że ty mnie nie zostawisz! Mówiłam im, że wrócisz po córeczkę swojego tatusia... Mówiłam im, że nigdy, przenigdy byś mnie nie opuścił!

– Oczywiście, że nie! Zaszło jakieś okropne nieporozumienie! – zawołał, a ona rzuciła mu się na szyję zaciskając mocno ramionka. – Ja również byłem przez kilka dni nieco niedysponowany. Inaczej zaraz przyszedłbym tutaj. No, już po wszystkim, moja mała dziewczynko. – Spiorunował wzrokiem przełożoną, jej pomocnice i zaciekawione dzieci, wyglądające zza drzwi klasy. – Drugi raz nie puszcę tego płazem! – zagroził. Wziął Poppy na ręce i zaniósł do czekającego przed ochronką powozu. – Powiniennem was pozwać do sądu za spowodowanie u dziecka rozstroju nerwowego i odebranie jej prawowitemu ojcu!

Tak naprawdę wołał trzymać się z dala od wymiaru sprawiedliwości, ponieważ dopiero co opuścił ławę oskarżonych po kilku nieprzyjemnych nocach spędzonych w areszcie za pijaństwo i zakłócenie porządku publicznego. Poppy jednak nic o tym nie wiedziała.

Jeb i Poppy chaotycznie przemierzali kraj w swoich wędrówkach. Zatrzymywali się w różnych miastach, dużych i małych, lecz nigdy nie wrócili do St. Louis. Obskurne przemysłowe przedmieścia i bocznice kolejowe stały się znajomym widokiem, jaki często ich witał z okien pociągu, a Poppy wzbogaciła swój słownik o nowe pojęcie: „dawaj drapaka”.

Kiedyś Jeb obudził ją w środku nocy i kazał się ubrać. Poppy myślała, że to fascynująca nowa zabawa. Miała jak najciszej zejść po schodach, przekraść się przez hol i niepostrzeżenie wyjść za drzwi. Tłumiąc chichot, wymknęła się cicho jak myszka. Śmiali się z tego na głos, gdy szli pustą ulicą, wymachując torbami podróżnymi, a Jeb powiedział, że z Poppy byłby świetny włamywacz. Nie wiedziała, co to oznacza, ale bardzo podobało jej się brzmienie tego słowa.

Coraz rzadziej zatrzymywali się w eleganckich hotelach. Poppy nie dostawała już

nowych lalek ani ładnych sukienek i po jakimś czasie znudziła jej się zabawa w dawanie drapak. Nie chciała być tak często wyciągana w nocy z ciepłego łóżka na mróz i dreptać oblodzonymi ulicami. Jeb mówił jej, żeby się nie martwiła, bo może już w przyszłym tygodniu pojedą do słonecznego Monte Carlo i willi na wzgórzu.

Następnym razem przepadł w Pittsburgu. Poppy była zbyt przerażona, by płakać. Odpowiedziała jedynie pustym spojrzeniem, gdy gospodyni powiadomiła ją, że przyjedzie po nią ktoś z opieki społecznej. Poddała się w milczeniu upokarzającym zabiegom higienicznym w ochronce, bez buntu włożyła sukienkę z szorstkiego szarego materiału i opadające wełniane pończochy. Nie odpowiedziała jednak ani słowem na zadawane pytania, odwracając głowę i zaciskając zęby tak mocno, że aż bolały ją szczęki. Tym razem ojciec pojawił się dopiero po dwóch tygodniach, kiedy prawie już straciła nadzieję. Przywarła do niego kurczowo.

– Miałem diabelnie dużo zachodu ze znalezieniem ciebie – oznajmił wesoło.

To samo powtórzyło się w Nowym Jorku i w Bostonie. W końcu Poppy zaczęła śmiertelnie bać się chwili, gdy Jeb wychodził za drzwi, z obawy, że go już więcej nie zobaczy. Pobyty w rozmaitych sierocińcach, gdzie panowała surowa dyscyplina i wielki niedostatek, stały się dla niej chlebem powszednim. Przyjmowała odmianę losu w milczeniu lub też pełnym buntu krzykiem i liczyła dni i noce do powrotu ojca. Nigdy nie usłyszała z jego ust słowa wyjaśnienia ani przeprosin.

Nagle ich los odmienił się na lepsze. Było lato. Znowu znaleźli się w Filadelfii i wynajęli apartament we wspaniałym hotelu. Jeb sprawił sobie eleganckie ubranie i zabrał Poppy do sklepu, gdzie wybrała dwie nowe sukienki, jaskrawoniebieski płaszczyk i prześliczne małe granatowe buciki z czerwonymi sznurówkami. Później wzięła kąpiel w pięknej żeliwnej wannie, pomalowanej na biało i osadzonej na nóżkach w kształcie lwich łap. Wytarła się wielkimi białymi ręcznikami, miękkimi jak puch, a ojciec rozczesał jej długie rude włosy, które po wyschnięciu stały się puszyste i kędzierzawe.

Poszła z nim do hotelowego zakładu fryzjerskiego. Patrzyła z obawą i fascynacją, jak fryzjer przykłada ojcu do twarzy parujące, gorące ręczniki, co na pewno bolało i

jak lśniaca brzytwa przesuwana się po policzku Jeba, pozostawiając za sobą gładką zaróżowioną skórę. Wypróbowała na własnej szyi wodę kolońską dla panów, wklepując ją tak, jak to robił fryzjer, i wciągając w upojeniu leśny zapach drzewa sandałowego.

Następnie Jeb oznajmił jej wielką niespodziankę: ponieważ dziś są jej siódme urodziny, postanowił ją zabrać na obiad do wspaniałej restauracji. Poppy czuła się niezmiernie dorosła, niezmiernie ważna i niezmiernie ładna w swojej jedwabnej błękitnej sukience z kołnierzykiem z francuskiej koronki. Wszyscy kelnerzy kręcili się zaaferowani wokół niej i mogła wybierać z menu wszystko, czego zapragnęła. Potem przyniesiono mały tort tylko dla niej, z siedmioma świeczkami jej imieniem wypisanym niebieskimi literami na białym lukrze, omdlała z lekkim smutkiem, że gdyby nie brak tłumu przyjaciół ojca, byłoby zupełnie jak za dawnych czasów na Rosyjskim Wzgórzu. Bardzo śpiąca położyła się do łóżeczka, a Jeb otulił ją na noc.

– Moja duża, dorosła dziewczynka – powiedział z beztroskim uśmiechem. Wtuliła się w poduszki, zmęczona i szczęśliwa. – Masz – dorzucił wkładając pod kołdrę jej starą szmacianą lalkę, a potem uściskał Poppy i ucałował. Zamykała już oczy, kiedy szedł na palcach w stronę drzwi. – Zaraz wracam! – zawołał i przesłał jej ręką całusa.

Dopiero po trzech dniach obsługa hotelu zdała sobie sprawę, że dziecko zostało samo. Zarządzający był dla Poppy bardzo dobry; umieścił ją w małym pokoiku, pilnował, by podawano jej posiłki. Minął tydzień i stało się jasne, że Jeb nie ma zamiaru wracać. Wówczas wezwano opiekę społeczną.

Poppy tym razem nie płakała. Skuliła się w kącie powozu i czekała, aż zabiorą ją do następnego więzienia. Nie czuła gniewu na ojca, tylko oszołomienie i strach, a przede wszystkim przeraźliwą samotność.

W ochronce robiła, co jej kazano, poddając się regułom bez cienia sprzeciwu. Oczy zawsze miała spuszczone i nigdy nie patrzyła na inne dzieci, przełożoną ani pracownicy domu sierot. Odliczała na palcach kolejne dni, po francusku, ponieważ tylko w tym języku umiała liczyć, i czekała, aż Jeb przyjedzie i ją zabierze.

Tygodnie wlokły się ospale, aż wreszcie Poppy zabrakło kolejnej liczby. Od tej pory czas rozciągnął się w szarą otchłań zapomnienia, wypełnioną odstręczającymi zapachami ochronki, zimnym, tłustym jedzeniem i odrętwiająco nudnymi lekcjami czytania, pisania i rachunków, które przyprawiły ją o ból głowy. Pewnego ranka rozejrzała się po dużej, zimnej sali lekcyjnej i uświadomiła sobie ostro i wyraźnie, że jeśli ojciec po nią nie wróci, zostanie tutaj na zawsze. Odepchnęła gwałtownie krzesło, które upadło z łoskotem na podłogę, i wybiegła z krzykiem z sali.

Przełożona O'Dwyer miała dobre serce, a do obrania tej drogi życiowej skłoniła ją świadomość, że staropanieństwo skazuje ją na bezdzietność. Pracowała z poświęceniem i staczała długie, zacięte walki ze zwierzchnikami o lepsze warunki dla swoich małych podopiecznych. Bolało ją głęboko, że dla biurokratów te dzieci stanowiły tylko liczby w jednym z wielu podobnych zakładów. Gdy zobaczyła przed sobą czerwoną i trzęsącą się na całym ciele Poppy, sprowadzoną siłą przez rozgniewaną nauczycielkę, kazała jej usiąść, złapać oddech i dopiero wtedy powiedzieć, o co chodzi.

– Nie chcę tu zostać! – wypaliła Poppy patrząc na nią gniewnie.

– Moje biedne dziecko – odparła łagodnie przełożona – tutaj nikt nie chce zostać, ale dla sierot i dzieci porzuconych przez rodziców to jedyne schronienie. To miejsce dla bezdomnych dzieci, kochanie.

– Ja nic jestem bezdomna! – krzyknęła Poppy z naciskiem. Mieszkam w dworze Mallorych na ranczu mojego ojca w Santa Barbara. Ono nazywa się Santa Vittoria! Mój ojciec pewnie jest tam teraz...

Przełożona spojrzała na nią sceptycznie zza okularów w złotej oprawce, lecz dziecko najwyraźniej nie zmyślało.

– To chyba było dawno temu, Poppy – powiedziała postanowiwszy jej uwierzyć – a stąd jest bardzo daleko do Kalifornii.

Poppy zmarszczyła brwi w rozpaczliwym wysiłku, próbując wyobrazić sobie ojca w dworze Mallorych, ale szło jej to nieskładnie. Zrozumiała, że przełożona ma rację. Wspomniała zazdrośnie pogodną scenę, jaką podpatrzyła pewnego dnia dawno,

dawno temu, i swoje spotkanie z Nikiem Konstantem w sklepie ze słodyczami. Wtem jej buzia rozjaśniła się nagłą nadzieją.

– Nik Konstant będzie wiedział, gdzie jest ojciec! – wykrzyknęła żarliwie. – To mój przyjaciel. On wie, że nie jestem bezdomna. Proszę, bardzo proszę, niech pani jego zapyta! Niech pani mu powie, gdzie jestem! – Nie miała pojęcia, czy Nik jej pomoże, lecz był jedynym pomostem łączącym ją z dawnym życiem i Jebem. Wspomnienie jego silnej, budzącej zaufanie postaci pojawiło się w jej pamięci jak promień nadziei.

– Zobaczmy, kochanie – uspokajała ją łagodnie przełożona, oddając z powrotem pod opiekę nauczycielki. – Zobaczmy.

Poppy słyszała już jednak te słowa tak często, że wiedziała, iż nie znaczą absolutnie nic.

Tej nocy przełożona O'Dwyer nie mogła zasnąć. Wciąż widziała przed sobą płonące, niebieskie oczy tego dziecka, a w uszach dźwięczały jej słowa: „Nie jestem bezdomna... Nik Konstant to mój przyjaciel”.

Rano podeszła do rzadko używanego telefonu w swoim biurze. Uważając to za niemądry wybryk ze swej strony, poprosiła o numer centrali Santa Barbara. Po długim oczekiwaniu połączono ją z rezydencją Konstantów i w słuchawce zabrzmiał czarujący głos kobiety, która przedstawiła się jako Rozalia Konstant.

Tydzień później Poppy kazano umyć ręce i twarz, uczesać i porządnie zapleść włosy, a potem zejść o dwunastą na dół do biura przełożonej. Zastukała do drzwi punktualnie o wyznaczonej porze, zastanawiając się, co też tym razem przeskrobała.

Z nieopisanym zdumieniem ujrzała przed sobą Nika i Rozalię. Wytrzeszczała na nich oczy jak na bogów, którzy zeszli z Olimpu jej na ratunek.

– Wszystko w porządku, Poppy – powiedział Nik spokojnie. – Zabieramy cię ze sobą do domu. Już nigdy tu nie wrócisz.

Poppy skrzywiła buzię i wsadziła piąstki do oczu, próbując powstrzymać łzy. Nie

były to jednak łyzy radości. Płakała, bo przestała być córeczką swojego tatusia. Przez całe życie zależna była od kaprysów ojca i jego szczęścia w kartach. Miała już dość. Nie chciała nigdy więcej widzieć go na oczy.

Rozdział 19

1897, KALIFORNIA

Wczesnym rankiem w rocznicę swoich siedemnastych urodzin Poppy pomyślała, że ostatnie dziesięć lat jej życia było najbardziej bajecznym okresem, jaki można sobie wymarzyć. Nie chciała dorosnąć i zostawić czasów dzieciństwa za sobą. Uznała, że i tak jest już strasznie stara! Spojrzała na sąsiednie łóżko. Angel wciąż smacznie spała. Poranne słońce wpadało przez otwarte okna i jarzyło się w jej włosach, które wyglądały jak bladozłota przędza, jasna twarzyczka zaróżowiła się od snu. Poppy pomyślała z westchnieniem, że Angel wygląda świeżo jak kwiat magnolii, podczas gdy ona sama swą niezdrową bladością przypomina zapewne brzuch śniętej ryby! Lecz choć Angel tak ją przewyższała urodą, Poppy nigdy nie była o nią zazdrosna. Od pierwszej chwili zostały przyjaciółkami.

Gdy Nik i Rozalia zabrali ją z domu sierot, Poppy powzięła decyzję: koniec z mazgajstwem! W przyszłości będzie śmiało przeciwstawiać się ludziom i walczyć! Toteż stanąwszy przed Angel, popatrzyła na nią gniewnie i wyzywająco, przygotowana na niechęć z jej strony. Angel również przyglądała jej się swoimi cudownymi, przejrzystymi oczami, teraz pełnymi zdziwienia, i Poppy poczuła, że wbrew swej woli się czerwieni. Była przeraźliwie chuda i pomimo że Rozalia kupiła jej nowe ubranie, wciąż wyglądała mizernie i żałośnie.

– O rety – powiedziała Angel ze zdumieniem – wyglądasz zupełnie jak fasolowa tyczka z masą rudych włosów! – A potem zachichotała zaraźliwie i Poppy zaśmiała się również, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Angel podbiegła i chwyciła ją w objęcia. – Cały tydzień czekałam na twój przyjazd! – zawołała. – Wiem na pewno, że będziemy najlepszymi przyjaciółkami!

Poppy pokochała Angel wręcz bałwochwalczo. Pragnęła mieć takie jak ona

jedwabiste srebrzystoblond włosy zamiast tej głupiej, przeraźliwie rudej szopy. Chciała mieć takie pewne siebie, bladoniebieskie oczy niczym kryształowe stawy, na dnie których kryła się niezgłębiona tajemnica, i białoróżową cerę zamiast bladej, usianej piegami. Chciała też być drobna i delikatna jak Angel, a nie wysoka, ze zbyt zamaszystymi ruchami.

Zacząła naśladować lekkie seplenienie Angel, przechylać przy śmiechu głowę i marszczyć nos w wyrazie dezaprobaty tak jak ona. Próbowwała nawet upodobnić swój długi, swobodny krok do wdzięcznego dreptania Angel, aż Rozalia wzięła ją na stronę i wyjaśniła, że to daremny wysiłek. Nie ma na świecie dwóch jednakowych osób. Poppy może podziwiać Angel, lecz powinna pozostać sobą.

– Kochamy cię taką, jaka jesteś – dodała z uśmiechem.

Poppy zdała sobie sprawę, jak niemądre były te próby, ale to nie przeszkadzało, że w dalszym ciągu o całe niebo wolałaby być Angel Konstant niż Poppy Mallory.

Miały osiem lat, gdy Nik stwierdził, że stają się zbyt niesforne w swobodnej atmosferze rancza, gdzie zdarzało im się uciekać na kucykach przed guwernantką, i postanowił zapisać je do szkoły w Santa Barbara. Konstantowie zbudowali tam na ulicy De La Vina piękny biały dom z oknami w wykuszach i wysokimi wiktoriańskimi wieżyczkami. W rezydencji był kort do gry w tenisa, pole krykietowe, wspaniały ogród, sad i altanki oplecione pnącymi różami i klematisami. Poza tym znajdowały się tam stajnie i wielki skład na opał dla olbrzymich pieców kuchennych i kominków. Dom od ulicy odgradzał biały drewniany parkan.

Zacząła się szkoła. Angel uważała ją za świetną zabawę i ze zwykłą sobie łatwością przystosowała się do nowego trybu życia, lecz Poppy nie cierpiała szkoły i odnosiła się nieufnie do innych dziewczynek. Łatwiej nawiązywała przyjaźnie z chłopcami i szybko nauczyła się od nich metod walki wręcz. Od tej pory nikt nie wysmiewał jej rudych włosów, bo szybko dawała odczuć gwałtowność swego charakteru i siłę małych piąstek.

Angel należała do najbardziej lubianych dziewczynek w Santa Barbara. Jeżeli chodzi o Poppy Mallory, wszyscy pamiętali, że jest córką nicponia, przygarniętą

przez Konstantów, chociaż nikt nigdy o tym nie wspominał.

Poppy górowała nad Angel jedynie w jeździe konnej. Trzymała się w siodle tak swobodnie i od niechcienia, że dopiero gdy pomagała Nikowi i Gregowi zaganiać bydło, stawała się widoczna jej mistrzowska wprawa. Angel jak na dziewczynkę była niezłą amazonką, lecz Poppy jeździła jak dorosły mężczyzna. Ubrana w białą koszulę Grega, czarną spódnicę, skórzane ochraniacze i nieodłączne czarne sombrero, spinała klacz ostrogami i wjeżdżała na strome zbocze w pogoni za młodym wołem, a złapawszy go na lasso, rzucała się pędem w dół urwiska, by odprowadzić go do ryczącego stada, które czekało w dolinie.

– Powinnaś być chłopakiem – drażnił się z nią Greg Konstant. – Właściwie to wyglądałabyś zupełnie jak chłopak, gdybyś obcięła te okropne rude kudły! – To mówiąc pociągał za przytrzymującą warkocze wstążkę, a wtedy na ramiona Poppy opadała masa rudych loków, które wiatr targał i pchał jej w oczy.

Greg miał mocne białe zęby i brązowe oczy, których kąciaki marszczył w uśmiechu. Był jednym z najprzystojniejszych chłopców w Santa Barbara. Poppy czuła dumę na myśl, że ma takiego brata – lub prawie brata.

Chwilami prześladowały ją dawne, mroczne wspomnienia i zastanawiała się, gdzie może być ojciec. Zwidywało jej się we śnie, że znów jest „córeczką swojego tatusia”. Widziała tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, litość w oczach zarządzającego hotelem, gdy mówił, że wezwał ludzi z opieki społecznej, i zalewała ją fala upokorzenia. Budziła się lepka od zimnego potu. Biegła do stajni i osiodławszy piękną arabską klacz, którą dostała na czternaste urodziny, galopowała przed siebie, jakby chciała uciec przed strachem, że pewnego dnia ojciec wróci i zabierze ją z sobą.

Jechała dobrze znanym skrótem i zwalniała na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na dwór Mallorych. Nik opowiedział jej dawno temu, jak przyjechał do niego kowboj z Montecito przechwalając się chępliwie, że jest teraz jego współnikiem. Jeb przegrał w karty swoją część rancza. To stawiało pod

znakiem zapytania dorobek Nika i dalsze istnienie rancza Santa Vittoria. Nik musiał zaciągnąć wielki dług hipoteczny, aby odkupić ziemię, której Jeb tak bezmyślnie się pozbył. Miała ona stanowić wiano Poppy.

Dwór Mallorych stał pusty, lecz Nik pilnował, aby był dobrze utrzymany. Lśnił nową białą farbą, a okna błyszcząły w słońcu. Poppy zostawiła kłacz, aby się pasła, i zeszła wolno z pagórka, który wciąż pamiętała jako barwną plamę złocistych maków.

Patrzyła na dom, na soczyście zielone pola i w jej sercu wrzał gniew. Nienawiść do ojca rozpaliała się coraz mocniejszym płomieniem. Nie tylko zmarnował jej dzieciństwo, lecz i całe dziedzictwo. Przynęła sobie święcie, że jeśli ten największy koszmar stanie się rzeczywistością i ojciec naprawdę po nią wróci, raczej umrze, niż pozwoli mu się zabrać!

– Grosik za twoje myśli! – Angel usiadła na łóżku, ziewnęła i przeczesała rękami bujne, miękkie jak jedwab włosy. – Masz zbyt poważną minę jak na dzień swoich urodzin!

Poppy wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w dal, objawszy rękami kolana.

– Myślałam właśnie, że chciałabym, by mój ojciec umarł – powiedziała gorzko.

– Nie możesz tak mówić!

– Ale to prawda, Angel. Łatwiej być sierotą, niż pogodzić się z tym, że ktoś cię odepchnął. To tysiąc razy gorsze – wiedzieć, że byłam mu niepotrzebna. Przysięgam w obliczu Boga, że jeśli będę miała kiedyś dzieci, to nigdy, przenigdy ich nie porzucę!

Angel wyskoczyła z pościeli, wsunęła się do łóżka Poppy i przytuliła do przyjaciółki.

– Spójrz na to z innej strony – przekonywała. – Tak, ojciec cię porzucił, ale z tego wynikło dla nas wielkie szczęście. Dzięki temu zostałam z nami. Nikt by nie pomyślał, że ty i tamta dziewczynka, która przyjechała tu zimą dziesięć lat temu, to jedna i ta sama osoba. Pamiętam, jak cię zobaczyłam i pomyślałam sobie, że tak muszą wyglądać wszystkie dzieci z sierocińca: blade, przełknięte, o zapadniętych

policzkach. A chuda byłaś tak, że naprawdę wyglądałaś jak fasolowa tyczka w rudej peruce!

Poppy westchnęła i przegarnęła palcami niesforną, splątaną grzywę.

– Za bardzo się nie zmieniałam, co?

Angel przyjrzała się uważnie twarzyczce, spoczywającej na poduszce tuż koło jej twarzy. Skóra Poppy miała białosc śmietanki, nieznaczna smuga piegów biegła przez mały, prosty nos pod błękitnymi oczami o uniesionych kącikach, okolonymi rzęsami koloru ciemnej miedzi. Mocno zarysowane brwi przecinały jej czoło dwoma śmiałymi lukami. Kości policzkowe były wysokie, a szerokie usta o wrażliwym rysunku odsłaniały mocne, równe, białe zęby. W wieku lat siedemnastu Poppy nie była już chudzielcem. Miała wysoko osadzone spiczaste piersi, wąską talię i rozkosznie zaokrąglony tyłeczek, którego Angel szczerze jej zazdrościła. Była wprawdzie nieco za wysoka, ale miała wrodzoną grację i – Angel przez chwilę szukała właściwego słowa – styl! Tak, to było to, Poppy nawet siedząc na koniu miała styl!

– Bardzo się zmieniłaś – odparła poważnie. – Słowo daję, Poppy, wystarczy spojrzeć w lustro. Myślę, że jesteś bardzo ładna i szalenie elegancka.

– Ładna? Elegancka? – przedrzeźniała ją Poppy. – Chyba mówisz o kimś innym. To bardziej pasuje do ciebie niż do mnie.

– Mówię prawdę – upierała się Angel.

Poppy zmieniła temat.

– Angel, w tym wieku chyba powinnyśmy się już w kimsz zakochać?

– Mam nadzieję. – Angel przeciągnęła się z lubością. – Nie mogę się wprost doczekać! Jak myślisz, co się wtedy czuje?

– Wyobrażam sobie, że to musi być porywające – szepnęła Poppy opierając podbródek na kolanach. – Jakby cię unosiły jakieś wielkie skrzydła, zawrót głowy i szalona radość...

– Och, Poppy, jak my się różnimy od siebie – roześmiała się Angel. – Ja wyobrażam sobie, że zakochanie będzie jak łagodny sen na jawie, pełen czułości i

zadowolenia. Taki mały płomyk szczęścia, który co dzień będę nosiła w sercu.

Poppy zmarszczyła brwi utkwivszy wzrok w grubych dębowych belkach, podtrzymujących sufit.

– Angel – odezwała się po chwili – jak myślisz, skąd dzieci biorą się w brzuchu?

– Nie mam pojęcia – westchnęła Angel. – Mama mówi, że wyjaśni to nam dopiero, gdy wyjdziemy za mąż. Pewnie dzieje się to w jakiś prosty sposób, tak jak barany robią to z owcami i krowy z bykami.

– Pfu! – wykrzyknęła Poppy z grymasem.

– Pfu! – zawtórowała jej Angel.

Spojrzały jedna na drugą i obie wybuchnęły śmiechem.

– Wiem, co zrobimy – powiedziała nagle Angel. – Obiecujmy sobie, że ta, która pierwsza wyjdzie za mąż, opowie drugiej, jak to jest. – Wyciągnęła drobną dłoń i zagięła różowy paluszek.

– Obiecuję – przyrzekła solennie Poppy i zaczęła swój mały palec o palec Angel.

– Teraz zawarłyśmy uroczystą umowę – powiedziała Angel. – Nie wolno ci nigdy o niej zapomnieć, Poppy.

– Nie zapomnę, ale ty i tak na pewno pierwsza wyjdiesz za mąż. Przecież kochają się w tobie wszyscy chłopcy w Santa Barbara.

Rozalia nie mogła się nadziwić, że są ze sobą tak zżyte mimo skrajnie różnych charakterów. Angel była wcieleniem spokoju i kobiecej słodyczy, Poppy zaś miała zmienne nastroje i duszę urwisa. Angel miała swobodne podejście do życia i niemal wszystko traktowała jako „pyszną zabawę”, podczas gdy Poppy była wybuchowa, podejrzliwa i nieufna. Angel promieniała pewnością siebie, a Poppy kryła wrodzoną nieśmiałość pod zaczepnym, buńczuczным zachowaniem, którym próbowała przyciągnąć uwagę. Sam ich wygląd zewnętrzny był ogromnym kontrastem – filigranowa, chłodna blond piękność i wysoka, żywiołowa, rudowłosa dzikuska – a kochały się jak siostry.

Rozalia potrząsnęła w zdumieniu głową patrząc na scenę rozgrywającą się przed

jej oczami. Grupa młodzieńców i dziewcząt wdrapywała się na fury z sianem, które miały ich zawieźć na ranczo Hope'a. Potem miał się odbyć piknik na plaży. Wsiadaniu towarzyszyły dziewczęce piski i chichoty oraz śmiech i okrzyki chłopców. Poppy wspięła się z gorączkowym pośpiechem na samą górę i zakasując białe spódnice brnęła przez siano. Nieodłączne czarne sombrero miała jak zawsze włożone zawadiacko na bakier, kędzierzawe kosmyki już zaczęły się wysuwać z jej dorosłego, wytwornego uczesania a la Pompadour. Błękitne oczy zaświeciły złośliwą uciechą, gdy z triumfalnym krzykiem zepchnęła jednego z chłopców na ziemię.

Angel oparła się leniwie o belę siana. Na rozpuszczonych jasnych włosach miała wianek z polnych kwiatków, upleciony przez wielbiciela. Z wyniosłą miną zbyła go wzruszeniem ramion i odwróciła się, by flirtować z drugim.

Rozalia spojrzała na Nika unosząc brwi z udaną rozpaczą.

– Są zanadto rozpuszczone. Obawiam się, że pora wziąć je w karby, i znam odpowiednie do tego miejsce. Pani Diblee powiedziała mi o doskonałej pensji w San Francisco, na której z najbardziej rozhukanego podlotka potrafią zrobić doskonale ułożoną młodą damę.

Tak więc wyprawiono je z kuframi nowych sukien, które były dziełem miejscowej krawcowej, panny Matthews, do prowadzonej przez pannę Henderson Akademii dla Młodych Panien w Berkeley. Pojechały tam pod eskortą Grega, który właśnie ukończył Harvard. Angel weszła z gracją i pewnością siebie do holu; Poppy wlokła się za nią niechętnie. Duży dom, w którym mieściła się szkoła, urządzono elegancko i z wdziękiem. Na ścianach było wiele obrazów w złotych ramach, w oknach wisiały firanki z falbankami. Na podłodze leżał wschodni czerwony dywan i wszędzie stały kwiaty w wazonach, ułożone starannie w bukiety przez uczennice podczas lekcji sztuk stosowanych. Lecz według Poppy pachniało tu niewolą, podobnie jak w sierocińcu.

Usłyszała szmer szeptów i powstrzymywanych chichotów. Podniosła oczy i

napotkała ciekawe spojrzenia grupki dziewcząt, które zniknęły pospiesznie na widok przełożonej, wychodzącej na spotkanie nowo przybyłych. Panna Henderson miała gładko uczesane siwe włosy, nosiła praktyczną szarą spódnicę, jedwabną białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem i przypiętą pod nim wielką topazową broszką. Poppy od razu poczuła do niej niechęć.

Protestowała gorąco, kiedy Rozalia oznajmiła im, że zostaną wysłane na pensję. Angel pierwszy raz nie podzielała jej zdania.

– Tam na pewno będzie okropnie! – przekonywała Poppy przyjaciółkę, chodząc ze wzburzeniem tam i z powrotem w ich wspólnej sypialni i odrzucając na plecy długie loki. – Same tylko głupie gęsi z towarzystwa, nie znające się na koniach ani innych naprawdę ważnych sprawach!

– Och, nie wiem – odparła Angel szcztokując włosy i wpatrując z rozmarzeniem w lustro – to może być całkiem zabawne. Pani Diblee powiedziała mamie, że będziemy chodzić do opery, galerii obrazów i muzeów, nauczymy się trochę francuskiego, chociaż ty już oczywiście znasz francuski, i może trochę włoskiego, dzięki czemu będziemy mogły prowadzić konwersację z zagranicznymi dyplomatami, gdyby jacyś przejeżdżali przez Santa Barbara. Nauczymy się, jak witać monarchów – na wypadek gdybyśmy jakiegoś spotkały – i jak wydawać dla nich przyjęcia. Daj spokój! Założę się, że poznamy tam masę miłych dziewcząt. – Roześmiała się na widok pełnej buntu twarzyczki Poppy. – A oprócz tego może jakichś chłopców, w których będzie można się zakochać...

Poppy położyła się do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie chciała słyszeć słów Angel, nie chciała jechać do San Francisco i nie chciała być oddana na pensję. Nie chciała, by cokolwiek w jej życiu uległo zmianie.

– Niezmiernie miło mi pana poznać, panie Konstant – przywitała Grega panna Henderson, podając mu rękę. – Oczywiście wszyscy w San Francisco znają pańskiego ojca i ranczo Santa Vittoria. Podobno jest to największe ranczo w całej Kalifornii.

– W samej rzeczy, szanowna pani – odrzekł z kurtuazją Greg. – Aczkolwiek gdy

mój ojciec przybył do tego kraju, był biednym rosyjskim emigrantem bez grosza w kieszeni. Wszystko, co ma, zawdzięcza własnej ciężkiej pracy.

Panna Henderson zatrzepotała powiekami rozważając, czy bogactwo Konstantów wyrównuje ich nieokrzesanie, ale umiała szybko myśleć.

– Ach, lecz rodzina Abregów, z której pochodzi pańska matka, należy do najstarszych w Kalifornii. – Z uśmiechem podała zimną dłoń Angel. – A to jest Angel. Cóż to za niezwykle imię, kochanie.

– To od nazwy miasta, w którym urodził się mój ojciec, Archangielska – odparła nieśmiało Angel.

Brwi panny Henderson uniosły się nieco ze zdziwienia.

– Jakież to oryginalne! – odparła. – Moja droga, jestem pewna, że znajdziesz tu wiele odpowiednich dla siebie przyjaciółek. – Przeniosła wzrok na Poppy, stojącą za Angel. – A to jest córka Mallory’ego? – spytała lodowatym tonem. Była nad wyraz niechętna przyjmowaniu Poppy do swojej szkoły, lecz Konstantowie kładli nacisk na to, by dziewczęta się nie rozłączały.

– To nazwisko jest również dobrze znane w tym mieście – odcięła się Poppy unosząc dumnie podbródek.

– O, bez wątpienia! – Panna Henderson odwróciła się od niej lekceważąco. – Panie Konstant, czy mogę poczęstować pana herbatą? Podróż musiała być długa i męcząca.

– Dziękuję pani, ale nie – odparł krótko. – Muszę jechać. Ufam, że dobrze się pani zaopiekuje obiema moimi siostrami.

Poppy rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie.

– Bądź dzielna – szepnął, całując ją na pożegnanie, i uśmiechem dodał jej otuchy. Po chwili już go nie było.

W akademii panny Henderson było dwanaście dwuosobowych sypialni. W Poppy zamarło serce, gdy okazało się, że nie będzie mieszkała z ukochaną przyjaciółką. Angel miała dzielić pokój z Dorotheą Wilkes Frazer.

– Słyszałaś z pewnością o rodzinie Frazerów z San Francisco, prawda, Angel? – mówiła wylewnie panna Henderson. – Jestem pewna, że ty i Dorothea będziecie dobrze się czuły razem.

– Ależ oczywiście! – zawołała Angel uśmiechając się promiennie do ciemnowłosej Dorothei o pulchnych policzkach. – Będziemy się pysznie bawić.

Poppy ze zwieszoną głową i ulubionym okrzykiem Angel dźwięczącym w uszach weszła do wskazanego jej pokoju. Zastała tam miedzianowłosą dziewczynę o ponurej minie.

– Zamieszkaś z Laurą Banks – powiadomiła ją panna Henderson. – Och! – wykrzyknęła zaskoczona. – Nie zdawałam sobie sprawy, że obie macie rude włosy. Mam nadzieję, że obejdzie się bez starcia wybuchowych charakterów – spojrzała znacząco na Poppy i zamknęła drzwi, zostawiając ją sam na sam z Laurą.

– Łóżko pod oknem jest moje – oznajmiła Laura szorstko. – Komódka z orzecha też. Szafa jest wspólna i już wiszą tam moje rzeczy, więc będziesz musiała się zadowolić miejscem, jakie zostało. ? Założywszy ręce na piersi, spojrzała chłodno na Poppy. – I jeszcze jedno. Moje włosy nie są pospolicie rude, jak twoje. Mają kolor orzechowy.

Poppy odpowiedziała jej zimnym spojrzeniem i otworzyła na oścież szafę. Całe wnętrze zapełniały sukienki Laury. Było ich mnóstwo, na wszystkie możliwe okazje. Poppy wyjęła jadownicie zieloną wieczorową suknię ze sztywnego jedwabiu i przyjrzała jej się krytycznie.

– Tylko taki obrzydliwy kolor może pasować do twoich orzechowych włosów – skomentowała i rzuciła suknię na podłogę. Ignorując okrzyk oburzenia, złapała w ramiona pęk sukien i posłała je śladem pierwszej. Gdy połowa szafy była pusta, Poppy rzekła ze spokojem:

– Teraz każda z nas ma tyle samo miejsca. Obawiam się, że będziesz musiała gdzie indziej schować swoje szmaty.

Laura z płonąco policzkami przeszła Poppy gniewnym spojrzeniem.

– Masz pojęcie, ile te suknie kosztowały? – Oszacowała pogardliwie wzrokiem

nowy strój Poppy, który wyszedł spod igły najlepszej krawcowej w Santa Barbara, i dodała zjadliwie: – Na pewno nie. I nie myśl sobie, że nie poskarżę się na ciebie u panny Henderson – dodała. – Jesteś tu od pięciu minut i już sprawiasz kłopoty.

– Jeśli to zrobisz, Lauro Banks – wycedziła Poppy zaciskając groźnie pięści – wtedy ode mnie oberwiesz. A ostrzegam cię, Greg mówi, że potrafię świetnie bić.

– Kto to jest Greg? – spytała Laura cofając się nerwowo.

– Greg to mój brat – odparła Poppy z triumfującym uśmiechem.

– A właśnie, że nieprawda! Greg Konstant jest bratem Angel! Wszyscy wiemy, kim ty jesteś! Czekał no, niech tylko mój ojciec usłyszy, że mieszkam w pokoju z córką Jeba Mallory’ego. Będzie wściekły!

Krew uderzyła gorącą falą na twarz Poppy. Od wielu lat nikt nie wspomniał ani słowem o ojcu, a mimo to ta dziewczyna wiedziała. Raptem drzwi się otworzyły i stanęła w nich Angel.

– Hej, jak się macie! – zawołała. – Och, jak bosko urządzony pokój! Dużo ładniejszy od mojego! – Wyciągnęła rękę do Laury i przedstawiła się z uśmiechem: – Jestem Angel Konstant.

Poppy zagryzła drżące usta i schyliła się nad swoim kufrem. Wyciągnęła naręcze ubrań i rzuciła je do szafy.

– Och, Poppy, czy wszyscy tu nie są przemili? – ciągnęła Angel rozpromieniona. – Mówiłam ci, że będziemy się tu pysznie bawić!

Ogólnie rzecz biorąc, większość nauczycielek i rówieśnic odnosiła się do niej miło i uprzejmie, lecz Poppy czuła, że w duchu uważają ją za obcą. Wszystkie też stawały na głowie, by zaprzyjaźnić się z Angel. Czy miała na to wpływ uroda Angel, jej uśmiech, wdzięk w zachowaniu? Poppy często o tym myślała, gdy obserwowała z boku, jak dziewczęta przepychają się, żeby usiąść obok Angel przy kolacji, lub ślą jej liściki z prośbami, by była ich najlepszą przyjaciółką. A może rolę odgrywały tu również pieniądze Konstantów? Poppy nie zdawała sobie dotychczas sprawy, że jej opiekunowie są tak bogaci. Patrzyła z zazdrością, jak nauczycielki rozplývają się na

widok uśmiechu Angel i od razu puszczają w niepamięć jej słabe postępy we francuskim, pomylenie kieliszków przy nakryciach lub nieznamość nazwisk wielkich włoskich malarzy renesansu. Nawet panna Henderson starała się jej przypodobać i Poppy po raz pierwszy uderzyło, że Angel jest nie tylko piękna, lecz również jest córką Nika Konstanta, wielką dziedziczką.

Co wieczór przed sprawdzeniem listy obecności dziewczęta mogły czytać i prowadzić wytworną konwersację w „salonie”, jak panna Henderson nazywała wielki frontowy pokój bawialny na parterze. Grały na zmianę nokturny Chopina, czasami któraś z nich śpiewała lub czytała romantyczne poezje, lecz salon głównie był miejscem gawęd i plotek.

Angel jak zawsze otaczała grupka dziewcząt, które chichotały i szeptały sobie na ucho rozmaite sekrety. Poppy przyglądała się temu z zazdrością ze swego miejsca pod oknem, gdzie siedziała udając, że czyta książkę. Z Laurą nigdy nie rozmawiała, nie zawarła też przyjaźni z żadną z pozostałych dziewcząt, choć wszystkie były dla niej miłe. Angel zaś, zdawałoby się, zupełnie o niej zapomniała. Poppy nie mogła tego dłużej znieść. Wybiegła z salonu, porwała swój płaszcz z szafki, odryglowała wielkie drzwi frontowe, wysunęła się na ulicę i zniknęła za rogiem. Nie myślała, dokąd idzie, po prostu głęboko wdychała świeże powietrze wolności.

Zegar w holu pokazywał ósmą trzydzieści, gdy Poppy wśliznęła się z powrotem przez drzwi, niespokojna, czy ktoś zauważył jej nieobecność. Wrzuciła płaszcz i kapelusz do szafki pod schodami i weszła do bawialni rozglądając się ukradkowo. Jej obawy były bezpodstawne. Meredith McGuinn po raz setny wyrąbywała na klawiszach „Sonatę księżycową” wciąż się myśląc, a inne dziewczęta plotkowały zbite w małe grupki. Zdawało się, że nikt nawet nie zauważył jej zniknięcia.

– Poppy! – Angel wydostała się z kręgu swoich wielbicielek i podbiegła do niej. – Poppy, gdzieś ty się, na Boga, podziewała? Panna Tremaine przyszła cię szukać i musiałam jej skłamać, że dostałaś migreny, ale pokojówka widziała, jak się wymykałaś na zewnątrz!

Zapadła cisza i dwadzieścia par oczu przyglądało się Poppy ze zdumieniem.

– Czy naprawdę wyszłaś na dwór? – spytała Dorothea z podziwem.

Poppy wzruszyła ramionami.

– No pewnie, że wyszłam – powiedziała niedbałym tonem. – Nie wiem, jak możecie tu wytrzymać, zamknięte w tej nudnej ruderze dzień po dniu. Pomyślałam sobie, że wpadnę na chwilę do... w jedno miejsce, które znam.

– Gdzie, Poppy...? – Angel dech zaparło z przejęcia.

Poppy uśmiechnęła się w duchu widząc, że przyciągnęła uwagę wszystkich.

– Nie mogę wam powiedzieć – odparła – ale niedługo znów tam pójde. Tam jest o wiele zabawniej niż tutaj. – Wstała i ziewnęła szeroko. – Jestem okropnie zmęczona!
– Spojrzała na dziewczęta z wyższością. – Pójde się położyć.

Angel nie miała pojęcia, dokąd Poppy mogła się udać w San Francisco, gdzie z całą pewnością nikogo nie знаła. Zostawiła koleżanki, które przyciszonymi głosami rozmawiały o tej niesłychanej eskapadzie, i poszła na górę do pokoju przyjaciółki.

Poppy siedziała na brzegu łóżka z rękami złożonymi na podolku. Na jej twarzy malował się smutek i beznadziejność. Angel przypadła do przyjaciółki i uściskała ją serdecznie.

– Strasznie się o ciebie martwiłam! Dlaczego tak nagle zniknąłeś? Najadłam się strachu, gdy panna Tremaine zaczęła odczytywać listę przed spaniem, i musiałam wymyślić jakieś kłamstwo. Powiedziałam po prostu, że rozboleła cię głowa.

– I jest to święta prawda. – Poppy potarła ręką zmarszczone czoło.

– Ale gdzież ty byłaś? – spytała już zirytowana Angel.

Poppy znów wzruszyła ramionami.

– Po prostu chciałam się przejść. Spacerowałam po ulicach – powiedziała bezbarwnym głosem. – To wszystko. Musiałam się stąd wyrwać.

– Jak możesz mówić coś podobnego?! Przecież tu jest bardzo przyjemnie, szkoła to taka pyszna zabawa!

Poppy westchnęła.

– Oczywiście, że tak, Angel – zgodziła się posepnie. – Dla ciebie.

– Wiecie, co to jest stosunek między kobietą a mężczyzną? – spytała Poppy pewnego wieczora, gdy dziewczęta siedziały w salonie paplając jak zwykle. – Bo ja wiem.

– Naprawdę? – zaciekawione przysunęły się bliżej.

Angel przyglądała jej się spod oka. Od czasu samotnego spaceru Poppy najwyraźniej próbowała szokować otoczenie coraz bardziej skandalicznym zachowaniem.

– To tak samo jak u byków i krów – oznajmiła Poppy głośno – tylko że robi to mężczyzna z kobietą.

Dziewczęta patrzyły na nią z rozdziawionymi ustami, nie wierząc własnym uszom. One nie odważyłyby się nawet wymówić głośno takich słów.

– Ale jak? – szepnęła Dorothea z ciekawością. – Jak to robią?

Poppy uśmiechnęła się zuchwale i odparła:

– No cóż, mężczyzna ma coś podobnego jak byk i wkłada to kobiecie.

– Gdzie? – spytała zdumiona Meredith.

– O tu – powiedziała Poppy bezwstydnie – no wiecie. – Pokazała palcem i dziewczęta z niedowierzaniem powiodły oczyma za tym ruchem. – Wiem, że to prawda – dodała – bo wyczytałam to w książce medycznej, którą panna Henderson trzyma u siebie w gabinecie. W tej książce są też ilustracje... naprawdę niezwykle. Widać na nich męski członek i inne takie rzeczy...

Dziewczęta słysząc ten wyraz zakryły dłońmi usta i spojrzwały po sobie ze zgrozą.

– Nie wierzę w ani jedno słowo! – zawołała drwiąco Laura. – Zmyślasz to wszystko, jak zawsze.

– Nieprawda! – odparła Poppy z gniewem. – I co więcej, mam tę książkę u siebie w pokoju. Jeśli któraś z was chce, może ją zobaczyć – dodała wspaniałomyślnie.

– Och, Poppy – westchnęła strapiona Angel – nie powinnaś tego robić...

Lecz Poppy już biegła na górę na czele grupki podekscytowanych koleżanek.

– Tylko wchodźcie pojedynczo – rozkazała. – Reszta niech czeka na zewnątrz.

Dorothea weszła za nią do środka chichocząc nerwowo. W parę chwil później

wynurzyła się oniemiała, z purpurową twarzą.

– Jak to wygląda? – spytały czekające swojej kolejki. – Czy tam naprawdę są obrazki?

Dorothea skinęła bez słowa głową, a potem przycisnęła ręce do ust i rzuciła się biegiem do toalety, gdzie wymiotowała.

Pod drzwiami rozległy się chichoty i gwar podnieconych głosów, rzucających różne przypuszczenia w czasie oczekiwania na następną wtajemniczoną.

– Jak to wygląda? – powitało ją chóralne pytanie.

– O rety, nie miałam pojęcia, że mam coś takiego... – Dziewczyna śmiała się, czerwona z zakłopotania. – A co dopiero, jeśli chodzi o mężczyzn! Fe!

Panna Henderson przeszła przez hol, by jak co wieczór wypić przed snem gorące kakao ze sporą kropelką koniaku. Dzięki tej miksturze od dwudziestu lat nie miała najmniejszych kłopotów z zaśnięciem. Usłyszała na górze jakieś zamieszanie. Wchodząc po schodach, by sprawdzić przyczynę hałasu, przyglądziła siwe włosy i poprawiła broszkę z topazem. Cóż te dziewczęta mogły znowu zmalować? Zatrzymała się zaskoczona na widok zbitej gromadki pod drzwiami pokoju Poppy.

– Co się tu dzieje?

Na jej tubalny głos aż podskoczyły.

– Stało się coś złego? – dodała z lekkim niepokojem. Z tą córką Mallory'ego nigdy nic nie wiadomo; a nuż popełniła jakieś głupstwo?

– Och, nie, ależ nie, panno Henderson... bardzo przepraszamy, panno Henderson – wyszemrały i rozbiegły się do swoich pokoi.

– Ach, to pani, panno Henderson! – krzyknęła Angel w desperackiej próbie odwrócenia uwagi przełożonej. – Już od dawna chciałam panią zapytać o parę rzeczy w związku z podróżą do Europy, jaką mama dla nas planuje w przyszłym roku. Jeśli to pani odpowiada, może poszłybyśmy teraz do pani gabinetu i omówiły tę sprawę?

– Posłała pannie Henderson olśniewający uśmiech i ruszyła w stronę schodów modląc się w duchu, by przełożona poszła za nią.

– Nie ma mowy, moje dziecko – warknęła panna Henderson, myśląc o swoim

kakao. Po chwili jednak zreflektowała się, przypomniawszy sobie, kim jest Angel, i rozciągnęła usta w łaskawym uśmiechu. – Przyjdź do mojego gabinetu jutro o trzeciej – zaproponowała – będziemy wtedy mogły porozmawiać...

Urwała, gdyż z pokoju Poppy wypadła Meredith McGuinn z twarzą czerwoną jak burak. Panna Henderson otworzyła energicznie drzwi i wmaszerowała do środka.

– Co się tu dzieje? – rzuciła gniewnym tonem i spurpurowiała z wściekłości. Jej wzrok padł na książkę, otwartą na szczególnie ciekawej stronie. Poppy bez najmniejszego ruchu, by ukryć dowód swojej winy, patrzyła wyzywająco na przełożoną. Panna Henderson z trzaskiem zamknęła uczone dzieło i wetknęła je pod ramię.

– Ty zepsuta dziewczyno! – krzyknęła ostrym głosem. Gorączkowo szukała odpowiednich słów, by wyrazić swą opinię, a wystająca grdyka na jej szyi podskakiwała komicznie. – Ty mała przybłędo! – wypluła w końcu z siebie. – Zachowujesz się jak ostatnia wywłoka! Tego zresztą należało się spodziewać po kimś z takiej rodziny! Wiedziałam, że nie powinnam cię przyjmować. Nigdy bym tego nie zrobiła, gdyby nie nalegania pana Konstanta!

Poppy wbiła wzrok w podłogę i milczała, lecz Angel dostrzegła, że zacisnęła ręce w pięści.

– Zostaniesz natychmiast usunięta ze szkoły! – krzyczała wściekła panna Henderson. – Od razu zadzwonię do pana Konstanta i powiadomię go o mojej decyzji. Lauro! – Będziesz dziś spać w pokoju w głębi korytarza. Nikomu nie wolno się zbliżać do tej... tej podłej dziewczyny!

Przełożona odeszła majestatycznie.

– Och, Poppy! – Angel uderzyła w lament. – Zobacz, co nawyrabiałaś! Wyrzucają cię teraz ze szkoły!

– I dobrze – odrzekła pochmurnie Poppy. – Dlatego właśnie to zrobiłam, bo chcę stąd odejść. – Lecz spojrzenie jej oczu było nieruchome i smutne.

Angel podbiegła do przyjaciółki i zamknęła ją w ciasnym uścisku.

– Nie wyrzucają cię – przyrzekła – nie pozwolę im nas rozdzielić, nigdy, Poppy!

Obiecuję! Nie dopuszczę do tego.

Poppy spojrzała na nią błagalnie.

– Mówisz szczerze, Angel? – wyszeptwała. – Naprawdę nie chcesz, żeby nas rozdzielono?

– Oczywiście! Zaraz zadzwonię do taty i powiem mu, że to nie była twoja wina. To ta głupia baba nie powinna rozrzucać takich książek tam, gdzie dziewczęta mogą je znaleźć. Wszystko będzie dobrze, Poppy, przyrzekam.

Następnego dnia w południe poważny dylemat, przed którym stanęła panna Henderson, zmusił ją do pokrzepienia się kolejnym kieliszeczkiem koniaku. Ojciec Angel zgromił przełożoną pensji surowo za posiadanie podobnie nieprzystojnej książki, a gdy zaprotestowała, iż był podręcznik medyczny, zakonkludował logicznie, że Poppy nie dopuściła się żadnego przewinienia.

– Jeśli to zwykły podręcznik, nic złego się nie stało. Te parę szczegółów z ludzkiej anatomii zna każda kobieta. Natomiast bardzo mnie rozczarował sposób prowadzenia pani zakładu. Skłaniam się niemal do decyzji, by zabrać obie moje dziewczynki z pani szkoły. Jestem przekonany, że pani rozumie, jaki powstałby skandal, gdybym był zmuszony do tego się posunąć – i gdyby wyszły na jaw powody. Innych rodziców nie rozbawiłby chyba ten drobny incydent, prawda?

Popijając koniak małymi, ostrożnymi łyżkami panna Henderson wiedziała, że nie ma wyboru. Musi zatrzymać Poppy.

Poppy przeniesiono do innego pokoju, gdzie miała spać w pojedynkę. Późno w nocy Angel przyszła do niej w odwiedzinach. Poppy z włosami zaplecionymi grzecznie w dwa warkocze siedziała na łóżku. Angel pomyślała, że wygląda bezbrinnie i żałośnie mimo całej swojej brawury.

– Poppy, teraz musisz zachowywać się, jak należy – powiedziała stanowczo – bo następnym razem panna Henderson naprawdę usunie cię ze szkoły.

– Guzik mnie to obchodzi – odparła Poppy. – Nie rozumiesz, Angel? Nie znoszę

tego miejsca! Wolę, żeby odesłali mnie do domu, gdzie będę szczęśliwa!

– Szczęśliwa?! – krzyknęła Angel z wyrzutem. – A mama i tatuś, co z nimi? Pewnie myślisz, że też będą bardzo szczęśliwi, jak cię stąd wyrzucą? Czy tata już cię raz nie obronił? Zanim zrobisz coś głupiego, najpierw pomyśl, jak ich to zmartwi.

– Nie myślałam o tym w ten sposób – przyznała Poppy patrząc żałośnie na przyjaciółkę. – Jaka jestem samolubna i głupia!

– Dasz sobie radę, a ja ci pomogę. – Gniew Angel zniknął równie szybko, jak się pojawił. – Grunt, że jesteśmy razem. Spróbuj poczuć się tutaj lepiej. Mówię ci, możemy się tu jeszcze pysznie bawić! – dodała z przekonaniem.

Poppy dołożyła wszelkich starań, by się zrehabilitować w oczach Nika i Rozalii. Zaczęła dbać o porządek w swoim pokoju i o schludny wygląd. Zaczesała do tyłu włosy unieruchamiając je mnóstwem spinek, żeby nie wymknął się ani jeden kosmyk. Uważała na lekcjach i zachowywała się nienagannie podczas wypraw do teatru i wizyt w najlepszych domach San Francisco, których drzwi stały otworem dla uczennic pensji panny Henderson, aby mogły podziwiać kolekcje obrazów, rzeźb i pięknych starych mebli. Swoją śmiałością zyskała podziw koleżanek, okazujących jej teraz znacznie więcej sympatii, i znów mieszkała razem z Angel. Pomimo antypatii panny Henderson zaczęła sądzić, że wreszcie pogodziła się ze szkołą i że mogłaby nawet dobrze się tutaj czuć.

Co tydzień wyznaczano kilka dziewcząt do układania bukietów. Pewnego chłodnego grudniowego dnia, gdy suche i rześkie powietrze niesło już zapowiedź Bożego Narodzenia, nadeszła kolej Poppy, by przyozdobić zielonią główny hol. Jej wybór padł na ostrokrzew i jemiolę, gęsto obsypane lśniącymi czerwonymi i białymi owocami. Pożyczyła z kuchni nóż, by łatwiej poradzić sobie z twardymi gałązkami. Było to trudne zadanie, lecz zamierzała stworzyć na zbliżającą się Gwiazdkę najpiękniejszą dekorację, jaką kiedykolwiek widziano na pensji panny Henderson. Pochłonięta swym zajęciem, nie dosłyszała dzwonka u drzwi wejściowych, lecz gdy młoda pokojówka minęła ją spieszenie, by otworzyć, wetknęła jej dla żartu gałązkę

jemioly w ciemne włosy.

– Och, panienko, co ludzie na to powiedzą! – zachichotała dziewczyna i wpuściła gościa.

– Ha, jemiola! – zabrzmiał znajomy głos. – Wszyscy wiemy, co to znaczy, prawda, moja mała?

Poppy obróciła się gwałtownie i zobaczyła Jeba, który właśnie pocałował zaskoczoną pokojówkę.

– Jak się masz, córeczko! – zawołał z nie zmienionym przez lata beztroskim uśmiechem, jakby rozstali się wczoraj.

Pod Poppy ugięły się kolana. Patrzyła na podchodzącego do niej ojca. Wyglądał tak, jak w jej wspomnieniach – i zarazem inaczej. Podpuchnięte oczy i głębokie bruzdy zmarszczek postarzały go bardzo, a gdy wyciągnął do niej rękę, zauważyła, że trzęsą się lekko. Tylko roziskrzzone niebieskie oczy pozostały takie same. Te oczy, tak podobne do jej własnych, i rysy twarzy, które widziała w lustrze każdego dnia, sprawiły, że obudziła się w niej dawna nienawiść. Odskoczyła w tył. Na schodach pojawiły się zaciekawione pensjonarki, podczas gdy przerażona pokojówka pobiegła po pannę Henderson.

– Nie jestem pańską córką! – krzyknęła Poppy drżącym głosem.

– Ależ jesteś, jesteś... pamiętasz mnie, prawda? Zawsze byłaś córeczką swojego tatusia. I czy nie mówiłem zawsze, że wrócę po ciebie? No i oto jestem, kochanie, twój stary tatuś wreszcie do ciebie przyszedł!

Angel przebiegła przez podest i zbliżyła się do grupy milczących dziewcząt.

– O co chodzi?! – krzyknęła niespokojnie. – Co się stało?!

– To Jeb Mallory – syknęła podniecona Laura. – Przyszedł po swoją córeczkę... o raju, ależ historia! Będzie o czym opowiadać!

Angel spojrzała z przerażeniem na dół. Usłyszała załamujący się głos Poppy, która powtórzyła:

– Nie jestem pańską córką. Proszę stąd odejść. Nie chcę pana więcej widzieć. Nigdy!

– Na pewno chcesz – odparł Jeb podchodząc bliżej. – Nie masz chyba zamiaru być równie pamiętliwa jak twoja matka tylko dlatego, że zdarzyło mi się zrobić kilka błędów. Narzuć kapotę, pójdziemy coś przekąsić i odnowić znajomość. Przecież tu nie zostaniesz, skoro twój tatuś wrócił, co? Konstantowie też pewnie radzi pozbędą się kłopotu. Wynająłem apartament w hotelu. Wszystko będzie tak jak dawniej, ja i córeczka swojego tatusia!

– Nie jestem żadną córeczką swojego tatusia! – wrzasnęła Poppy, gdy wyciągnął do niej rękę. – Nie, nie, nie!

– Poppy, och, Poppy! – Angel rzuciła się pędem na dół po schodach w tej samej chwili, gdy Poppy nieprzytomna ze strachu cisnęła na oślep nożem w ojca.

– Och, Poppy... – Głos Angel przeszedł w szept.

Jeb osunął się na podłogę. Jego krew utworzyła ciemną plamę na czerwonym dywanie.

Rozdział 20

1898, WŁOCHY

Ciotka Melody była bardzo zadowolona, gdy Rozalia poprosiła ją o opiekę nad dwójką dziewcząt na czas podróży do Europy. Historia Poppy wzbudziła w jej sercu współczucie dla biednego dziecka, które zdążyło już wyrosnąć na młodą kobietę, do tego niezmiernie pociągającą, z rodzajem kociej gracji. Poppy nie mogła się wprawdzie równać z Angel, lecz Angel była wyjątkowo piękna. Ciotka Melody miała nadzieję, że nie będą narażone na zbyt dużą natarczywość perwersyjnych Francuzów i romantycznych Włochów.

Prowadziła podniecone dziewczęta przez stację Union Square, skąd miały wyruszyć w wielką podróż. Nasadziła mocniej słomkowy kapelusz o szerokim rondzie na spiętrzone siwe włosy, obciągnęła wełniany żakiet i poruszyła palcami w nowych bucikach. Jej stopy zawsze miały tendencję do puchnięcia, a teraz, gdy skończyła lat sześćdziesiąt i była znacznie pulchniejsza niż w młodości, stało się to bardzo dokuczliwe. Nie mogła się doczekać chwili, gdy w pociągu, w ich własnym,

wygodnym przedziale, będzie mogła wreszcie ściągnąć obuwie. Żywiła też nadzieję, że dziewczęta po dotarciu do Paryża nie nabiorą ochoty na długie spacerunki i będą zachowywać się przyzwoicie. Nie oczekiwała wprawdzie żadnych kłopotów ze strony Angel, lecz Poppy była całkowicie nieobliczalna.

Rozalia usprawiedliwiała postępek Poppy jako niezamierzony odruch, wywołany strachem przed ojcem. Blizny, jakie pozostały w jej duszy z czasów dzieciństwa, nigdy się całkiem nie zagoją. Należy dziękować Bogu, że do biednej Poppy nie przylgnie na dobitkę miano morderczynie (ciotka Melody wzdrygnęła się na samą myśl o tym słowie), gdyż Jeb Mallory na szczęście uszedł z życiem. Rana się zagoiła, lecz lekarze orzekli, że długoletnie picie uszkodziło mu wątrobę i potrzebna jest długa kuracja. Nik pokrył jej koszty i ponadto wyznaczył Jebowi miesięczną pensję, którą miano mu wypłacać pod warunkiem, że będzie trzymał się z daleka od Poppy i rancza Santa Vittoria.

Po wypadku Greg odebrał telefon przerażonej panny Henderson, a że ojca nie było w domu, sam pognął co koń wyskoczy do San Francisco. Jego siostry zostały zamknięte w gabinecie przełożonej i otrzymały zakaz rozmawiania z koleżankami i personelem. Spakowane kufry z ich rzeczami stały już w holu. Gdy Angel i Poppy opuszczały szkołę, pozostałe dziewczęta zerkały ciekawie zza drzwi salonu, by choć zerknąć na osławioną Poppy, zanim zniknie na zawsze.

Panna Henderson siedziała blada i posepna w gabinecie. Bała się, że to zajście zrujnuje reputację pensji, która była dziełem całego jej życia. Zadzwoiła do jednego z najważniejszych obywateli San Francisco, którego córkę miała zaszczyt niegdyś uczyć. Zrozumiał natychmiast jej trudne położenie i wysłał Jeba do prywatnej kliniki, a także dołożył starań, aby nie wszczynano dochodzenia policyjnego.

Panna Henderson otworzyła energicznie drzwi gabinetu.

– Twój brat przyjechał, Angel – powiedziała chłodno. – Wyjaśniłam mu już, że nie było najmniejszej potrzeby, byś czekała na niego tutaj, z tą... tą dziewczyną, i że sama na to nalegałaś.

– Och, Greg – szepnęła Angel rzucając mu się na szyję – to straszne, potworne...

Tak się boję. Popatrz na nią... Nie mogłam wydobyć z niej słowa, nie poruszyła się nawet...

Poppy skuliła się w zimnym, obitym śliską skórą fotelu z kolanami podciągniętymi do piersi i twarzą ukrytą w dłoniach.

– Przyjechałem zabrać cię do domu – powiedział Greg gładząc jej sprężyste loki.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. No, Poppy, spójrz na mnie... powiedz coś!

Uniosła nieco głowę i spojrzała na niego jednym okiem. Nie płakała, lecz jej wzrok był nieruchomy, jakby nieprzytomny.

– Nie mogę wrócić do domu – wyszeptła. – Nie rozumiesz, Greg? Wszyscy myślą, że chciałam zabić swojego ojca!

– Dzięki Bogu twój niegodziwy ojciec wciąż żyje – warknęła panna Henderson – choć nie twoja to zasługa, ty wstrętna dziewczyno! Mało co, a zamknęliby nas wszystkich w więzieniu!

Angel odwróciła się do niej gniewnie.

– Niech pani będzie cicho, podła kobieto! – krzyknęła. – Nic pani nie wie o tym, co się stało! To nie była wina Poppy!

– Nie jej wina? A co, może to ktoś inny dźgnął Jeba Mallory'ego nożem? To mi próbujesz wmówić? Obawiam się, że zbyt wielu świadków widziało całe zajście, by ktoś wziął twoje kłamstwo za dobrą monetę!

– Ja wcale nie kłamię! – zawołała Angel z rozpaczą. – Och, pani w ogóle nic nie rozumie!

– Poppy – powiedział Greg łagodnie – twój ojciec nie umarł. Ale przyrzekam ci, że już nigdy nie będzie cię nachodził. Tym razem upewniliśmy się co do tego. Odszedł z twojego życia raz na zawsze. – Wziął ją na ręce jak piórko i dorzucił: – Zabieram cię do domu.

Poppy ukryła twarz na jego piersi. W brązowych oczach Grega malowało się coś więcej niż zwykła sympatia. Od niepamiętnych czasów był zakochany w Poppy i czekał cierpliwie, aż dziewczyna dorośnie i ukończy szkołę. Miał nadzieję, że gdy będzie miała osiemnaście lat, zobaczy w nim nie brata, a mężczyznę, i obdarzy

uczuciem silniejszym niż siostrzane przywiązanie.

Gdy niósł ją przez hol, goniły za nimi ochy i achy zaszokowanych pensjonarek. Kilka z nich zawołało: „Do widzenia, Angel!”, a co odważniejsze dodały: „Do widzenia, Poppy! Powodzenia!”

Przez kilka następnych miesięcy Greg i Poppy byli nierozłączni. Poppy czepiając się kurczowo jego ręki jak liny ratunkowej opowiadała mu historię swego smutnego dzieciństwa. Opowiadała, jak co chwila zmieniała miejsce pobytu, ciągnana z miasta do miasta, przetrucana z hotelowego apartamentu do nędznej nory, zawsze kończąc w sierocińcu. Opowiadała o sennym koszmarze, jaki dręczył ją na pensji, że Jeb wróci i będzie chciał ją zabrać, o jej przerażeniu, gdy zobaczyła go w drzwiach. Nie pamiętała wcale rzucenia w niego nożem; chciała po prostu od niego uciec, nie mogła znieść myśli, że ją dotknie. Nienawidziła nawet swojej twarzy za to, że była podobna do twarzy ojca.

– Tobie zadano okrutniejszą ranę, Poppy – stwierdził Greg cicho – ale te czasy już się skończyły. Nigdy już nie ujrysz go na oczy. Przyrzekam ci, pewnego dnia zapomnisz o tym wszystkim, już ja się o to postaram. Będziemy tak szczęśliwi, jakby to się wcale nie wydarzyło.

Tego dnia, gdy matka oznajmiła im o podróży obu dziewcząt do Europy, przechadzał się wieczorem z Poppy po ogrodzie. Ogarnęły go nagle złe przeczucia.

– Wyjedziesz na całe pół roku – rzekł niespokojnie. – Nie chcę, żebyś o mnie zapomniała. Znasz stare przysłowie: co z oczu, to i z serca?

– Jak mogłabym o tobie zapomnieć? – spytała i spojrzała na niego zdumiona. – Przecież Angel i ja na pewno będziemy cały czas rozmawiać o tobie. Tak bym chciała, żebyś jechał z nami!

– Chodzi o to, że... Cóż, nie chciałbym, żebyś się tam w kimś kochała, Poppy. Chyba chcę, żebyś zakochała się we mnie.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Jak możesz tak mówić? Jesteś moim bratem.

– Nie jestem twoim bratem, Poppy! – krzyknął ściskając ją mocno za rękę. – Nie

rozumiesz? Jestem Greg Konstant, a ty jesteś Poppy Mallory. I kocham cię.

– A czy ty nie rozumiesz? – szepnęła Poppy z wyrzutem. – Nie rozumiesz? Chciałam, żebyś naprawdę był moim bratem! – I pobiegła do domu z włosami rozwianymi na wietrze, jakby pragnęła znaleźć się juk najdalej od niego.

Po tej rozmowie zaczęła go unikać i cały czas trzymała się Angel, aż nadszedł dzień wyjazdu. Greg uparł się, że odwiezie je do San Francisco.

Olbrzymia lokomotywa parowa sapnęła głośniej. Zawiadowca ruszył wzdłuż pociągu zamykając drzwi. Angel pocałowała brata na pożegnanie i wsiadła, otarłszy łzę wzruszenia. Greg uśmiechnął się do Poppy, która nareszcie spojrzała mu w oczy.

– Nie rozstawajmy się w złości – poprosił. – Przecież powiedziałem tylko, że cię kocham.

– Wiem. – Spuściła wzrok. – Przepraszam, Greg. Po prostu nigdy nie przyszło mi do głowy... nie zdawałam sobie sprawy...

– Obiecuj tylko, że będziesz o mnie myśleć. Nie odrzucaj mnie tak szybko, Poppy.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Ciotka Melody nawoływała do pośpiechu, więc Poppy cmoknęła Grega szybko w policzek, odwróciła się i wsiadła do pociągu.

– Do widzenia! – krzyczały obie z Angel, wychylając się z okna, gdy pociąg wyjeżdżał ze stacji. – Do widzenia!... Będziemy pisać!...

– Greg! – zawołała Poppy w ostatniej chwili, przekrzykując łoskot pociągu. – Greg!... Obiecuję!

Paryż spełnił wszystkie marzenia Poppy. Majowe niebo jaśniało czystym błękitem, wzdłuż szerokich bulwarów kwitły kasztany, a słońce złociło stoliki w kawiarniach, w których siedziały nad *citron presse*, obserwując życie francuskiej stolicy. Drepcząc w olśnieniu za przewodnikiem oglądały cuda Luwru, podziwiały Monę Lizę i Nike z Samotraki.

– Nie zapominajcie o prowadzeniu notatek, dziewczęta – przypomniała im ciotka Melody opadając na marmurową ławkę. Zaczęła wachlować się bedekerem i

poruszyła obolałymi stopami w przyciasnych bucikach. – Wasz tatuś będzie chciał wiedzieć, czego się nauczyłyście.

Siedziały we wspaniałej, imponującej nawie katedry Notre Dame, słuchając porywającego hymnu śpiewanego anielskimi głosami przez chór chłopięcy. Potem zatrzymywały się podniecone przed sklepami z takimi specjałami, jak aromatyczne ciemne czekoladki, ciastka z kremem, pasztet z gęsich wątróbek i sery o dziwnym, przenikliwym zapachu. Kupowały błyskotki w eleganckich magazynach i z głębokim przejęciem mierzyły kapelusze w szykownym małym sklepiku przy rue de la Paix. Przyzwyczyły się nawet do picia szklaneczki wina podczas obiadu. Ciotka Melody pilnowała ich jastrzębim wzrokiem, choć sama wychylała trzy lub nawet cztery porcje. Po posiłku nieodmiennie zaczynała skarżyć się na senność i zarządzała pójście do łóżka – w porze gdy Paryż właśnie budził się do życia!

Codziennie długo chodziły po mieście, aż ciotka Melody zaczynała wołać o litość. Nawet Angel przyznawała, że jest zmęczona, lecz Poppy nigdy nie miała dosyć. Miejskie światła mieniły się przed jej oczami jak cudowny miraż, który kusi, by go dotknąć, pochwycić, bo inaczej rozplynie się jak sen.

Ciotka Melody nie chciała zaprowadzić ich na Montparnasse, utrzymując, że to miejsce nieodpowiednie dla panienek. Poppy postanowiła osobiście się o tym przekonać. Pewnego popołudnia, gdy ciotka Melody odsypiała obfity obiad w wygodnym apartamencie hotelu „Lotti” i nawet Angel zadrzemała nad książką, Poppy włożyła żakiet i samotnie udała się na wyprawę w zakazane rejony. Wstąpiła do kawiarni i zasiadła pod pasiastą markizą sącząc lemoniadę przez słomkę i ignorując zaczepne spojrzenia przechodzących mężczyzn. Zastanawiała się, cóż może być nieodpowiedniego w tym wesołym miejscu. Wędrowała samotnie malowniczymi uliczkami u stóp Sacre Coeur, zaglądając z podziwem przez ramię malarzom, którzy siedzieli przy sztalugach i utrwalali na płótnie sceny ulicy. Przystawała przed wejściami do małych kabaretów, oblepionymi afiszami i fotografiami modnych artystek w uwodzicielskich pozach. Weszła nawet na strome wzgórze, gdzie w bramach domów widziała kobiety o zuchwałym wyglądzie.

Przyspieszyła kroku, gdy zauważyła pogardę w ich wzroku. Raz jakiś mężczyzna trącił ją w łokieć i zaczął coś mówić, lecz wystarczyło, że zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem, a odszedł pospiesznie, mamrocząc pod nosem przeprosiny. W wesołych podskokach przebiegała po ozdobnych mostkach, zatrzymując się, by podziwiać barki z ładunkiem świeżych warzyw. Często mieszkały na nich całe rodziny, na rufie jednej siedział nawet mały piesek. Machała ręką do dzieci, które odpowiadały jej tym samym i wołały: „*Bonjour, mam'zelle!*”

Nie wdawała się oczywiście z nikim w rozmowy i wróciła do hotelu „Lotti” na długo przedtem, zanim ciotka Melody skończyła drzemkę i wytknąwszy głowę zza drzwi swej sypialni, zawołała różnym głosem:

– No jak, dziewczęta? Czy odpoczęłyście trochę? Mam nadzieję, że czujecie się równie odświeżone jak ja i jesteście gotowe na dzisiejszy wieczór w teatrze.

Włożyły na tę okazję swoje najlepsze suknie. Suknia Angel była z cukierkoroźowego jedwabiu, ozdobiona rozetkami sztucznych kwiatów i koronki, Poppy zaś miała kreację z żółtego atlasu, przybraną wisiorcami z czarnych paciorków. Publiczność w teatrze interesowała je daleko bardziej niż odgrywana sztuka Moliera.

Widziałaś kiedyś tyle eleganckich kobiet? – wyszeptała Poppy do Angel, gdy obejrzały przez operową lornetkę tłum, wypełniający stopniowo rzędy czerwonych pluszowych krzesel.

– Nagle poczułam się jak kuzynka z prowincji – mruknęła Angel spoglądając smętnie na swoją różową sukienkę. – Dotychczas uważałam, że ta suknia uszyta przez pannę Matthews jest ostatnim krzykiem mody!

– Wyglądacie tak, jak powinny się prezentować młode panienki z dobrego domu – oceniła z aprobatą ciotka Melody – i całkiem odpowiednio jak na Santa Barbara.

Angel i Poppy spojrzały po sobie z irytacją.

– Ciociu, to nie jest Santa Barbara – syknęła Angel. – To Paryż!

Pół nocy spędziły na układaniu rozpaczliwego telegramu do Nika i Rozalii: „Ratunku stop Wasze córki wyglądają tu jak niezgrabny bez gustu stop konieczny

zakup paryskich sukien w domu mody monsieur Wortha”.

Odpowiedź, na którą czekały z niepokojem, wywołała piski zachwytu: „Pozwalamy obstalować u Wortha po jednej sukni codziennej i wieczorowej stop podobno madame Marcel przy rue de Valence jest równie dobra i nie tak droga stop możecie kupić u niej wszystko co ciotka Melody uzna za stosowne stop całujemy stop mama i tata”.

W wytwornie urządzonym salonie Wortha przy rue de la Paix były bladezielone boazerie i długie zwierciadła w stylu Ludwika XIV. Na zaproszenie sprzedawczyni o wyniosłym spojrzeniu Poppy i Angel przysiadły niewygodnie na samym brzeżku złożonych krzesłek po obu bokach ciotki Melody i czekały, aż słynny krawiec będzie wolny. Upłynął kwadrans.

– Co ten krawczyk tak zadziera nosa! – fuknęła ciotka. – To niewybaczalne! – wybuchnęła w pół godziny później i kazała sprzedawczyni powiadomić monsieur Wortha, że jeśli nie zajmie się nimi natychmiast, odejdą.

– Och nie, ciociu Melody! – krzyknęła zrozpaczona Angel. – Proszę cię, zostańmy!

– Ciociu Melody, to strasznie dla nas ważne! – jęknęła do wtóru Poppy. Teraz, gdy cel był tak bliski, nie mogły pozwolić, by coś stało im na przeszkodzie.

– U mistrza jest księżna de Vignes – oznajmiła z wyższością sprzedawczyni. – Zamawia garderobę na jesień.

– Na jesień! – powtórzyła z niedowierzaniem Angel. – Ależ jest dopiero wiosna.

– W Paryżu zamawia się stroje z wyprzedzeniem o jeden sezon, mademoiselle. Księżna ma już gotowe stroje na lato.

Wielkie dwuskrzydłowe drzwi na końcu salonu otwarły się raptownie i wyszła z nich kobieta w płaszczu z granatowego jedwabiu i olbrzymim kapeluszu, przybranym wielkim pękiem różowych róż. Przepłynęła z gracją przez pokój. Za nią gnąc się w ukłonach podążał mistrz igły.

– Pamiętaj, Worth – rozkazała – muszę mieć wszystko na czas przed podróżą do

Rosji w październiku. I dołóż specjalnych starań przy sobolach. Nie chcemy przecież, żeby Rosjanie, którzy wszak dobrze znają się na futrach, orzekli, że dzieło monsieur Wortha jest pośledniego gatunku, prawda? – Jej złośliwy śmiech zadźwięczał donośnie w obwieszonym kryształowymi pajakami salonie. Nagle dostrzegła Angel i Poppy i uniósłszy do oczu złocone lorgnon, przyjrzała im się kolejno. – Kto to jest? – spytała sprzedawczynię.

Ta w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– To nikt ważny, wasza wysokość – odparła. – Po prostu turystki z Ameryki.

– *Ah, les petites Americaines!* – Obejrzała je z bliska, nie przejmując się wściekłym spojrzeniem, jakie rzuciła jej skonfundowana ciotka Melody, i powiedziała szybko coś, na co sprzedawczyni wybuchnęła śmiechem.

Tylko Poppy zrozumiała słowa wytwornej damy i wytrzeszczyła na nią w zdumieniu oczy. „Ależ one są czarujące! – stwierdziła Francuzka, a potem dodała: – Ich uroda wspaniale kontrastuje ze sobą! Blondynka jest jak delikatna, szlachetna róża, którą mężczyźni będą chcieli otaczać opieką i podziwem. A ta druga to istna czereśnia, dojrzała do zerwania! Na pewno wielu zechce ją łakomie połknąć!”

– Co ona powiedziała? – Ciotka Melody gniewnie domagała się tłumaczenia. – Poppy, ty znasz francuski, powtórz jej słowa!

Poppy spuściła oczy na swoje zakurzone buciki, czerwieniąc się ze kupowania.

– Nie... nie wiem za dobrze – wybąkała. Zresztą, choć rozumiała słowa Francuzki, nie była pewna, czy pojmuje ich znaczenie. Wyczuła jednak, że lepiej nic nie powtarzać ciotce Melody.

Księżna majestatycznie opuściła salon, roześmiewszy się raz jeszcze wesołym śmiechem, w którym brzmiała nuta złośliwości. Zostawiła za sobą smugę zapachu konwalii.

Sprzedawczyni wprowadziła je do mniejszego, obwieszonego lustrami saloniku. Tam mistrz krawiecki bez słowa przyjrzał się dokładnie najpierw Angel, a potem Poppy, ku oburzeniu ciotki Melody. Kłasnieniem w ręce przywołał grupkę czekających w pogotowiu pracowników.

– Przynieście szafirowy szyfon dla *la petite* – zawołał wskazując Angel. – A dla drugiej... – spojrział na Poppy z błyskiem rozbawienia w oczach – ...dla *la cerise*, czeresienki, coś spokojniejszego, by stonować kolor jej włosów. Może ciemnozielony atlas... nie, jest za młoda na ten kolor. Już wiem... gołębioszary aksamit, *oui, cest parfait!*

Zakłopotana Poppy znów oblała się rumieńcem, a ciotka Melody mruknęła:

– Cóż za okropne maniery! W dodatku nikt tu nie mówi po angielsku, jak Bóg przykazał.

– Madame, mój ojciec był Anglikiem – odparł mistrz igły znakomitą angielszczyzną.

– To dlaczego od razu pan tego nie powie?! – zagrzmiała ciotka Melody z irytacją. – Trzymał nas pan tutaj dostatecznie długo, młody człowieku, i lepiej, aby wynik był tego wart!

– Są ludzie, którzy chętnie czekali by cały rok, żeby przestąpić próg salonu Wortha – stwierdził krawiec odwijając z wielkiej beli nieskończone metry szafirowej tkaniny. – Każdy na pierwszy rzut oka pozna ubranie, które wyszło spod ręki mistrza. Moje kreacje dodają wdzięku i powabu nawet najbardziej niezgrabnym kobietom.

Z wielką zręcznością udrapował na Angel jedwabny szyfon. Przypinał, poprawiał, próbował różnych ułożeń, aż wreszcie wezwał następnego pomocnika, by zdjął miarę.

– Jak to zauważyła księżna – ciągnął – obie panienki są czarujące, jedna w chłodny, druga w żywiołowy sposób. W moich kreacjach obie będą wyglądać zachwycająco.

Ciotka Melody pociągnęła nosem, niepewna, co mistrz ma na myśli. Widziała jednak, że miał rację. Niebieski kolor wspaniale podkreślał białoróżową cerę Angel i pogłębiał barwę jej oczu. Nawet w tym pobieżnym upięciu tkaniny widać było urok przyszłej sukni. Z kolei Poppy, zawinięta w szary, lejący się aksamit, przy którym jej kremowa skóra jaśniała jak alabaster, już wyglądała jak marzenie.

– No! – sapnęła ciotka Melody. – Przynajmniej zna pan swój fach, monsieur Worth. Teraz, dziewczynki, nie sprawicie mi zawodu waszym wyglądem.

Rozdział 21

Natychmiast po przyjeździe do Nowego Jorku Mike skontaktował się z Pierluigim Gallim, aby poprosić o chwilę rozmowy. Przeczytał jakiś czas temu w „The Wall Street Journal”, że kondycja finansowa Galliego nie jest najlepsza. Teraz plotki przeciekły również do „Timesa” i innych dużych gazet i przepowiadały już nie zachwianie się jego potęgi, a zupełną katastrofę.

Z początku sekretarka, której sądząc po głosie bardzo się spieszyło, oznajmiła, że pan Galli jest absolutnie nieosiągalny, bez względu na to, kto chce się z nim widzieć.

– Proszę posłuchać – nalegał Mike – niech mu pani powie, że chcę z nim porozmawiać w sprawie spadku po Poppy Mallory i że dzwonię z polecenia pana Johanna Liebera z Genewy. Powinienem jutro być w Londynie, lecz skłonny jestem zostać w Nowym Jorku na tyle długo, by się z nim zobaczyć.

– Przekażę panu telefonicznie jego odpowiedź, panie Preston – odrzekła sucho sekretarka.

Nieco zdetonowany Mike poszedł do klubu, przepląnął trzydzieści długości basenu, wziął masaż i zimny prysznic, po czym, sprawdzwszy, że nikt nie zostawił dla niego wiadomości, przeszedł się Piątą Aleją do sklepu Schwarza, w którym kupił ogromnego pluszowego misia na prezent dla siostrzyczki Lauren Hunter. Poleciał zapakować go w błyszczący papier i wysłać pocztą. Na załączonej kartce napisał: „Nie wiem, której z Was on się bardziej przyda, ale Maria na pewno pozwoli Ci się nim bawić”. Zakończył, podobnie jak ona, słowami: „Ściskam Cię, Mike”. Miał nadzieję, że jego prezent rozjaśni trochę Lauren samotne święta.

W powietrzu wisiało podniecenie przed zbliżającą się Gwiazdką. Mike ruszył w drogę powrotną oglądając wystawy. Główną atrakcją stanowiła wielka szopka z ruchomymi figurkami w oknie wystawowym Sachsa. Na drugim miejscu plasowała się olbrzymia, błyszcząca od świateł choinka na Rockefeller Plaży i zatłoczony tor

łyżwowy. Atmosfera była naelektryzowana, wszystko pulsowało oczekiwaniem.

Mike po powrocie do domu wysłuchał nagranej na taśmę wiadomości, żeby zadzwonił do pana Galli. Telefon odebrała sekretarka, jeszcze bardziej zaaferowana niż poprzednio.

– Pan Galli jest po południu bardzo zajęty, a jutro wyjeżdża do Paryża – oświadczyła. – Wobec tego proponuje, żeby przyszedł pan do jego biura wieczorem, około wpół do ósmej. Czy to panu odpowiada?

Biuro Pierluigiego spełniło oczekiwania Mike'a dyskretnie eleganckim wystrojem: ciemne obicia, miękkie dywany i dobre obrazy. Mimo zachowanego umiaru dawało się wyraźnie wyczuć atmosferę przepychu, zawsze idącą w parze z zamożnością. Sekretarka, której wygląd bardziej niż głos w słuchawce świadczył o przepracowaniu, siedziała wciąż nad papierami.

– Zaraz pana zapowiem, panie Preston – rzekła tonem pełnym znużenia.

– Ma pani za sobą kilka ciężkich dni – powiedział współczująco Mike.

Skinęła głową i nacisnęła brzęczyk interkomu.

– Jeszcze gorsze były dla niego, biedaka. Nie wiem, jak on to znosi... te wszystkie głupie doniesienia w gazetach... Och, panie Galli, właśnie przyszedł pan Preston. Proszę wejść – zwróciła się do Mike'a odkładając słuchawkę.

Pierluigi stał przy oknie i patrzył na ruch uliczny trzydzieści pięter poniżej. Był ubrany w doskonale skrojony dwurzędowy garnitur z granatowego materiału w drobne prążki i ponury krawat. Odwrócił się, a wtedy Mike zobaczył jego twarz szarą jak popiół. Pomyślał, że równie szara beznadziejność odbija się w oczach Pierluigiego.

– Dzień dobry, panie Preston – rzekł Galli wyciągając rękę na powitanie. – W czym mogę panu pomóc?

– Przykro mi, że zakłócam panu spokój w tak trudnym okresie – zaczął Mike – lecz Johannes Lieber prosił, abym się z panem zobaczył.

– Proszę usiąść. – Pierluigi zasiadł za antycznym biurkiem z drzewa tulipanowca. Mebel ten najwyraźniej pochodził z gabinetu jakiegoś włoskiego arystokraty. –

Johannes Lieber? Czy to znaczy, że pan pracuje dla pana Liebera? Czy też mam przez to rozumieć, iż w niedalekiej przyszłości wystąpię w pana następnej książce?

– Przyznaję, że istnieje taka ewentualność – zgodził się Mike. – To zależy od tego, jak rozwinie się cała ta historia.

– Rozumiem. A jak rozwija się ona, żeby użyć pańskiego wyrażenia, w chwili obecnej?

– Dowiedziałem się, kim byli rodzice Poppy Mallory i odtworzyłem czasy jej młodości, lecz dalsze losy Poppy wciąż pozostają zagadką. Jak do tej pory nie odkryłem nic, z czego można by wysnuć jakieś konkretne wnioski.

– Na przykład co do tego, kto dziedziczny spadek?

– Właśnie, proszę pana. Pan Lieber streścił mi fakty, na podstawie których uważa pan siebie i swoją siostrę za beneficjentów. Czy może pan coś do tego dodać?

Pierluigi wbił posepny wzrok w biurko. Mike odniósł niepokojące wrażenie, że Galli całym wysiłkiem woli powstrzymuje zbyt długo tłumione uczucia, które przebijają się na powierzchnię, że jest w nim jakaś utajona gwałtowność, szukająca ujścia...

– Panie Preston, nie mam nic do dodania oprócz tego, co już pan wie. Wszystko, co powiedziałem Lieberowi, jest prawdą. Łatwo stwierdzić, że w mojej wersji jedno logicznie wynika z drugiego. Poppy Mallory była moją babką.

Podniósł się i Mike uświadomił sobie, że oznacza to odprawę. Spotkanie dobiegło końca. Jego rozmówca, nawet jeśli wiedział coś więcej, nic mu nie wyjawiał.

Pierluigi nie odprowadził go do drzwi, a gdy Mike obejrzał się za siebie, zobaczył, że znowu stoi przy oknie i patrzy szklanym wzrokiem na samochody w dole. Wyglądał jak człowiek stojący samotnie na pokładzie tonącego statku.

Wspomnienie ściągniętej twarzy Pierluigiego i jego posepnych ciemnych oczu prześladowało Mike'a w kinie, a potem w „Carnegie Deli”, gdzie wstąpił coś przekąsić. Chcąc oderwać się od tego obrazu, zaczął słuchać młodej kasjerki, która przyjęła od niego rachunek i pieniądze nie przerywając ani na chwilę kłótni, jaką

prowadziła przez telefon ze swoim chłopakiem.

– Nie wciskaj mi ciemnoty, stary – syknęła wykonując jednocześnie ze zręcznością zonglera manipulacje przy kasie. – Już nieraz słyszałam te dyrdymały, więc zachowaj je na inną okazję. – Rzuciła z brzękiem odliczoną resztę na kontuar i osunęła się w kucki na podłogę, przyciskając mocno słuchawkę do ucha. – Wiem, że jesteś żonaty... – Usłyszał Mike zmierzając do wyjścia.

Machnął ręką na taksówkę. Zatrzymała się z piskiem opon przy krawężniku.

– Dokąd?! – ryknął gardłowym głosem smagły kierowca z blizną od brzytwy na jednym policzku.

– Róg Sześćdziesiątej Pierwszej i Park Street.

– A, dzielnica dla lepszych gości...!

Wcisnął gaz do deski i zaczął się brawurowo ścigać z jadącą obok taksówką o pierwszeństwo na jezdni. Mike, podrzucany na zniszczonym, obitym dermą tylnym siedzeniu, próbował nie słyszeć donośnej wymiany zdań dwóch kierowców, którzy opuściwszy szyby, darli się jak opętani.

– Co ci się zdaje, że czym jeździsz? Jakąś pierdoloną karetką pogotowia?! – wrzasnął kierowca Mike'a.

– Chrzań się, kowboju! – odwrzasnął drugi.

– Przepraszam, że się wyrażam – dorzucił kierowca wyjaśniająco w stronę swego pasażera – ale jak tu nie objechać takiego zasranego palanta.

Mike westchnął, gdy jechali pędem po nierównej nawierzchni Manhattanu. Poranny spacer po Piątej Alei i towarzyszący mu nastrój uniesienia wydawał się odległym wspomnieniem. Padający równomiernie śnieg topniał na chodnikach i zostawała z niego szara bryja. Najwyższa pora opuścić to miasto.

Przed zaśnięciem ponownie przejrzał listę od Liebera. Zostały mu jeszcze trzy osoby, z którymi miał się spotkać: Orlando Messenger, Klaudia Galli i Aria Rinardi. Zadzwoił do brytyjskich linii lotniczych i zarezerwował miejsce na poranny lot do Londynu.

Aria rozpakowała obraz, który przysłał jej Carraldo, żywiąc w duchu nadzieję, że nie będzie to Manet. Wolałaby obejrzeć go sama, lecz matka sterczała jej nad głową.

– Co to jest, Ario, daj mi zobaczyć! – Francesca wyrwała jej obraz z ręki i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. – Taki znawca dzieł sztuki mógł lepiej wybrać – orzekła pogardliwie. – To nic nie warto!

Aria obejrzała uważnie obraz. Był to malowany piórkiem i akwarelą widok na Portofino. Nieznany jej artysta miał lekką kreskę i zdołał oddać atmosferę ciepła, jakim promieniała ta wioska rybacka w letniej krasie.

– Podoba mi się ta akwarela, mamo – powiedziała. – Jest u niej pewien urok. Chciałabym ją zatrzymać.

Francesca pochyliła się nad stołem i oparłszy podbródek na rękę, spojrzała z niedowierzaniem na córkę.

– Doprawdy, Ario, czasami wydaje mi się, że nie masz ani krzty rozumu. Kręcisz nosem na płótno Maneta, odrzucasz szmaragd maharani, wart fortunę, a chcesz przyjąć jakiś lichy, taniutki obrazek, bo ma urok. Właśnie tę tandetną akwarelę powinnaś odesłać! Naprawdę, moja droga, gdzie się podział twój zdrowy rozsądek?

– Dlaczego wciąż się upierasz, abym wyszła za Carralda, skoro według ciebie jestem spadkobierczynią Poppy Mallory? – Aria odgarnęła włosy z oczu i spojrzała gniewnie na matkę.

– Należy być przezornym, kochanie – rzekła Francesca z afektacją. – Co będzie, jeżeli prawnicy rozstrzygną sprawę na twoją niekorzyść? Oczywiście spadek należy się tobie, ale wiesz, jacy potrafią być podstępni i chytry. Nie chcą mi uwierzyć na słowo, żądają dowodów. Gdy popełnia się takie błędy jak Poppy Mallory, nie rozrzuca się beztrosko ich świadectw. Powiedziałam to Lieberowi. Spytałam, czego się spodziewał. Aktów urodzenia? „Ta kobieta miała nieślubne dziecko – tłumaczyłam – które wychowało się w rodzinie Rinardich, a Aria jest w prostej linii potomkiem tego dziecka. To oczywiste, że pieniądze należą się właśnie jej”.

– A wtedy on ci powiedział, że Angel Rinardi wychowała trójkę dzieci, dwie dziewczynki i chłopca, i nie wiadomo, które z nich było dzieckiem Poppy –

dokończyła za nią ze znużeniem Aria, która słyszała to już z dziesięć razy.

– Dziewczynki były bliźniaczkami – ciągnęła oschle Francesca. – Wiadomo powszechnie, że Helena nigdy nie wyszła za mąż, więc jedyną logiczną kandydatką jest twoja babka, Maria-Krystyna. W testamencie jest wyraźnie napisane: „spadkobierczyni”, a zatem Poppy miała na myśli córkę, a nie syna. Wobec tego przypuszczenie, że Aleksander Rinardi był jej dzieckiem, jest całkowicie bezpodstawne, bez względu na to, co mówią Pierluigi i Klaudia Galli.

– A jeżeli dzieckiem Poppy była Helena, która nigdy nie wyszła za mąż? Komu wtedy przypadną pieniądze?

– Co za bzdurne rojenia! – ofuknęła ją Francesca. – Zresztą wszyscy wiedzą, że Maria-Krystyna była podobna do Poppy: odziedziczyła po niej trudny charakter.

– Skąd ty tyle wiesz o Poppy, mamo, skoro prawie nic o niej nie wiadomo? – spytała pogardliwie Aria.

– Po prostu mam intuicję – odpaliła z wielką pewnością siebie Francesca sunąc do drzwi. – Znam się dobrze na kobietach.

Aria zaśmiała się drwiąco.

– Lepiej poszukaj tych aktów urodzenia! – zawołała za matką. – Wątpię, żeby pan Lieber docenił twoją intuicję!

– Odeślij natychmiast ten bezwartościowy bohomasz! – rozkazała na to gniewnie Francesca i znikła z pokoju.

Aria otworzyła dołączony do obrazu list. Była ciekawa, co Carraldo ma jej tym razem do powiedzenia. Na pozór przyjął spokojnie odłożenie ceremonii oficjalnych zaręczyn, dużo spokojniej, niż jej matka, która dostała napadu szału. Aria jednak czuła w głębi duszy, że sprawiła mu ból, i to ją martwiło. Do tej pory nie wyobrażała sobie, by cokolwiek mogło sprawić ból Carraldowi; zdawał się tak potężny i przez swój ogromny majątek wyższy ponad zwykłe ludzkie reakcje.

Ilekróć znalazł czas, przylatywał do Wenecji, aby się z nią zobaczyć. Jedli razem obiad. Aria zawsze nalegała na pójście do restauracji, tak że nigdy nie byli naprawdę sami. Opowiadał jej o obrazach, jakie widział ostatnio, zakupionych lub sprzedanych

dzielał sztuki, a najczęściej o młodych artystach, którym patronował. Miało się wrażenie, że są dla niego źródłem prawdziwej radości i dumy. Rzadko jej dotykał, nieczęsto nawet brał ją za rękę i, za co dziękowała Bogu, nigdy nie spróbował jej pocałować.

Moja droga Ario – napisał swoim wyrazistym, mocnym charakterem pisma – mam nadzieję, że spodoba ci się ten czarujący mały szkic Portofino. Zauważyłem go w Londynie na wystawie obrazów i dostrzegłem, że jest na nim namalowany mój własny dom. Znając twoje uzdolnienia do akwareli pomyślałem, że spodoba ci się taki prezent. Nie zapomniałem naszej rozmowy ani mojej obietnicy. Myślę, że ten artysta będzie odpowiednim nauczycielem, więc poprosiłem go, żeby przyjechał do Wenecji i udzielał ci przez kilka miesięcy lekcji. Wiem, że nigdy nie chciałaś przyjmować ode mnie żadnych prezentów, lecz przyjmując ten ostatni pomożesz pośrednio młodemu malarzowi w zarobieniu bardzo mu potrzebnych pieniędzy bez uszczerbku dla jego dumy. Nazywa się Orlando Messenger. Skontaktuje się z tobą lada dzień. Proszę, wyraż tym razem zgodę.

List był podpisany po prostu: „Antonio”.

Aria zamyśliła się głęboko. Może Carraldo nie jest tak zły, jak ludzie opowiadają. Przypomniała sobie, że jej ojciec, Paolo, lubił go i miał do niego zaufanie. Z drugiej strony jednak te plotki o jego okrucieństwie i braku serca... Westchnęła. Nie wiedziała, co o tym myśleć, lecz oczywiście nie odrzuci jego propozycji, nie pozbawi młodego, chcącego się wybić malarza okazji do zarobku.

Orlando Messenger zadzwonił do niej następnego dnia i umówili się w kawiarni „Florian”. Sprawił jej niespodziankę swoją znajomością włoskiego, choć mówił z zabawnym angielskim akcentem. Powiedział, że chodził przez dwa lata do tej samej szkoły plastycznej we Florencji co ona.

– Widzisz więc – zakończył ze śmiechem – że już mamy ze sobą coś wspólnego.

Pobiegła przez szary zmierzch na plac św. Marka, ściskając pod pachą teczkę ze szkicami. Pchnęła drzwi i weszła do ciepłego, zaparowanego wnętrza. Kawiarnia „Florian” istniała od przeszło dwóch stuleci. W czasach austriackiej okupacji na

początku XIX wieku była dla weneccjan ulubionym miejscem spotkań, a niemniej sławna kawiarnia „Quadri”, po drugiej stronie placu, cieszyła się popularnością u wroga. Wystrój „Floriana” nie zmienił się od dnia otwarcia, wciąż były tu te same siedzenia wyściełane czerwonym aksamitem i stoły z marmurowymi blatami, a lustra na ścianach widziały niejedną znaną postać. Tutaj przychodził na herbatę Byron, ni Elizabeth Barret Browning popijała czekoladę.

Aria przesunęła wzrokiem po sali. Spodziewała się ujrzeć typowego, przymierającego głodem malarza, chudego, z wielką brodą. Ku swemu zdziwieniu zobaczyła wysokiego przystojnego młodzieńca o gęstej jasnej czuprynie, który spojrzał na nią wyczekująco.

– Aria? – spytał podnosząc się od stolika.

– A więc ty musisz być Orlando – odparła z bijącym sercem, kiedy ujął jej dłoń. – Nie spodziewałam się, że będziesz tak wyglądał!

Orlando roześmiał się siadając naprzeciwko niej przy stoliku z marmurowym blatem.

– Ja też spodziewałem się czegoś innego! – przyznał.

I tak rzeczywiście było. Zdumiał go wdzięk i oryginalna uroda dziewczyny. Każdy malarz pragnąłby malować takie rysy. Jej niebieskie oczy w oprawie ciężkich rzęs i ukośnych łuków brwi były zniewalające. Z takim wyglądem mogła przecież wyjść za każdego, dlaczego więc właśnie Carraldo? Może Aria uniknie małżeństwa, gdy zdobędzie majątek, a wraz z nim swobodę wyboru. Przypomnił sobie swoje zblazowane znajome i pomyślał, że szkoda byłoby, gdyby tyle niewinności i wdzięku przepadło pod wpływem zbyt dużych pieniędzy.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – spytała zmieszana Aria.

– Przepraszam. Myślałem właśnie, że chciałbym cię namalować. – Chociaż raz słowa te nie były pochlebstwem, lecz szczerą prawdą.

– Nie wiedziałam, że malujesz portrety.

– Maluję wszystko po trochu, farbami olejnymi i gwaszem na równi z akwarelą. Na ogół robię portrety olejem, ale jeśli chodzi o ciebie, to najpierw chciałbym zrobić

szkic węglem, a potem może namalować cię akwarelą. Ale nie po to tu przecież jestem. Signore Carraldo wynajął mnie, żebym cię uczył.

Podszedł do nich kelner i Aria zamówiła herbatę z cytryną.

– Przyniosłam teczkę z moimi pracami – powiedziała nieśmiało.

Zaczął uważnie oglądać kolejne kartony. Były to delikatne, nastrojowe pejzaże. Niewątpliwie zdradzały talent.

– Są całkiem dobre – rzekł – ale chyba wiem, co powinnaś poprawić. Chodzi o kompozycję, zobacz, tu... i tu. – Pochylił się i pokazał fragmenty, o które mu chodziło. – Środek powinien być tutaj, cała reszta jakby z niego wychodzi. To kwestia wyrobienia oka, nic więcej.

– Rzeczywiście, masz rację! To się wprost rzuca w oczy, nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia i sama tego nie zauważyłam.

– Żaden problem. – Wzruszył ramionami. – Od jutra zaczniemy zajęcia i wyrobisz sobie właściwe spojrzenie. Następnie przejdziemy do operowania piórkiem i pędzlem, żeby nieco poprawić technikę, ale na to przyjdzie czas później.

– Czy to naprawdę takie trudne być zawodowym malarzem? – spytała Aria wkładając rysunki z powrotem do teczki. – Zawsze tego pragnęłam.

Orlando popatrzył na nią. Nigdy dotąd nie znał podobnych do niej dziewczyn o słodkim i ufnym spojrzeniu, pod którym serce topniało. Czuł się jak obcy w nieznanym kraju. Ona była odległa o całe lata świetlne od tych twardych, szykownych kobiet, które żywiły się dietetycznymi sucharkami, plotkami i szampanem.

– To ciężki zawód – przyznał. – Przekonuję się teraz o tym na własnej skórze. Dostyc łatwo jest zarobić na życie malując obrazy, jakie ludzie lubią wieszać na ścianach, bo im pasują do wnętrza. Nie robi się na tym majątku, lecz można jakoś żyć i szybko wpaść w pułapkę łatwizny. Zrozumiałem, że jeśli kiedykolwiek mam zacząć tworzyć po swojemu, to muszę zacząć teraz, natychmiast, choćbym musiał przymierać głodem w jakiejś norze! Carraldo pewnie ci powiedział, że spotkaliśmy się w galerii Maze'a w Londynie, gdzie wystawiano moje obrazy. Kupił widok

Portofino. Zaczęliśmy rozmawiać i zwierzyłem mu się ze swoich ambicji, a wtedy on zaoferował mi tę pracę dla podreperowania finansów. – Orlando roześmiał się głośno. – Dwa miesiące w Wenecji i piękna uczennica! Jak mogłem odmówić? Przepraszam – dorzucił szybko – nie powinienem tak mówić, wiem, że jesteście zaręczeni.

– Nie jestem z nim zaręczona – stwierdziła Aria spokojnie. – Owszem, przyrzekłam mu, że za niego wyjdę, ale teraz zaczynam się wahać.

– Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – spytał poważnym łonem. – Nie jesteś w nim zakochana, gdybyś była, nie musiałabyś się namyślać. Taka śliczna dziewczyna jak ty może wyjść za każdego, kio jej się spodoba... absolutnie każdego.

– Moja matka tak nie uważa. – Aria zaczerwieniła się. – Powiedziała mi, że nikt nie zechce poślubić biednej dziewczyny, nawet gdy nosi ona nazwisko Rinardich. Widzisz, nie mamy już pieniędzy. Mamy pałac i willę, lecz wszystko to jest w powiernictwie. Moja matka twierdzi, że ciężko pracowała, by odpowiednio mnie wychować i utrzymać naszą stopę życiową. To... no, dosyć dziwna osoba, cóż... wyszło na to, że ona ułożyła za mnie to małżeństwo.

Orlando spojrział na nią osłupiały.

– Nie miałem pojęcia, że takie rzeczy się jeszcze zdarzają! Ale przecież nie musiałas się na to godzić?

– Matka jest chora. Jestem wszystkim, co jej zostało. Muszę się nią opiekować. A Carraldo był bliskim przyjacielem mojego ojca.

Orlando odchylił się do tyłu i z niedowierzaniem świsnął przez zęby.

– No i co, kiedy ma być ten wielki dzień?

– Nie wiem – wymamrotała z oczami spuszczone na filiżankę z parującą herbatą. – Miałam nadzieję, że może teraz nie będę musiała za niego wychodzić.

– Dlaczego? – Pochylił się ku niej, zafascynowany linią jej powiek i cieniem, jaki długie rzęsy rzucały na gładkie policzki. Ciemne, krótko ostrzyżone włosy Arii połyskiwały kasztanowo w czerwonym świetle lamp. W szeroko otwartych niebieskich oczach, które na niego podniosła, błyszczała nadzieja.

– Może zwróciłeś uwagę na ogłoszenie, które było w gazetach, o poszukiwaniach nieznanej spadkobierczyni Poppy Mallory? – Uśmiechnęła się, gdy Orlando skinął głową. – Chyba wszyscy je czytali. No więc mama sądzi, że to ja nią jestem. Podobno moja babka była córką Poppy Mallory. Gdy odziedziczę pieniądze Poppy, oddam je matce i wówczas wyrwę się na swobodę.

– Wyrwiesz się z rąk Carralda, to chcesz powiedzieć? – spytał Orlando.

Potrząsnęła przecząco głową.

– To za mocno powiedziane. Carraldo jest czasem... och, nie wiem, po prostu go nie rozumiem. Niekiedy się go boję.

Orlando sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

– Nie martw się. Na pewno nie ma się czego bać.

Spojrzała na niego z wdzięcznością. Jego obecność i uścisk ręki dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Ze swoimi jasnymi włosami i męskimi rysami twarzy wyglądał jak piękny rycerz, który przybył jej na ratunek.

– Zaczniemy lekcje od jutra? – spytał obejmując mocniej jej palce.

Aria przytaknęła ruchem głowy uśmiechając się do niego.

– Nie mogę się doczekać – powiedziała szczerze.

Rozdział 22

„Wersja Orlanda przedstawia się interesująco – pomyślał Mike, idąc w zimnej mżawce Cork Street do galerii Maze’a. – Utrzymuje on, podobnie jak Pierluigi i Klaudia, że Poppy miała syna, a nie córkę. Historia Aleksandra Galli jest jednak podparta rzetelną psychologią, wersja Orlanda składa się z czystych domniemań”.

Zanim wszedł do środka, przyjrzał się obrazom na wystawie. Były ładne i dekoracyjne, lecz jego zdaniem nie zdradzały lwiego pazura. Wszedł do ciepłego i jasno oświetlonego wnętrza, z ulgą pozostawiając za drzwiami wilgotne szare popołudnie. Niski otyły mężczyzna obrzucił go pytającym wzrokiem, oceniając w duchu, czy jest potencjalnym klientem, czy też tylko przypadkowym przechodniem. Mike uśmiechnął się pod nosem.

– Dzień dobry – powiedział – czy zastałem może pana Maze’a?

– To właśnie ja – oświadczył grubas podchodząc do niego unizienie. – Jestem Peter Maze. W czym mogę panu pomóc?

– Mike Preston – przedstawił się Mike podając mu rękę. – Szukam Orlanda Messengera.

– Co on tym razem znalazł? – spytał z niepokojem Maze.

Jego reakcja rozbawiła Mike’a.

– Czy to znaczy, że taki z niego rozrabiaka?

– Z nim nigdy nic nie wiadomo, wszędzie go pełno. No i te historie z kobietami... Myślałem, że jest pan rozwścieczonym małżonkiem, który przyszedł szukać pomsty.

– Maze zaśmiał się przepraszająco. – Oczywiście nie mówię serio. Orlando to miły chłopak i świetny malarz.

– Może dobry rzemieślnik, panie Maze – sprostował Mike – ale nie wielki artysta.

– No, pan opiera swój osąd tylko na tym, co widzi pan tutaj. Mówię szczerze, Orlando to naprawdę świetny malarz, a mógłby zostać wielkim, gdyby sam sobie na to pozwolił. I powiem panu, że jeśli tak się stanie, wówczas te milutkie pacykadła staną się warte majątek jako „wczesne płótna Orlanda Messengera”. Powinien pan kupić jedną z jego prac, panie Preston, póki cena jest umiarkowana, bo teraz, gdy wziął go pod swoje skrzydła sam Carraldo, Orlando może stworzyć niejedno arcydzieło.

– Carraldo? Ten sławny pośrednik w handlu dziełami sztuki?

– Był tutaj parę tygodni temu na otwarciu wystawy Orlanda. Kupił jeden obraz i zaproponował mu pracę w Wenecji, dawanie lekcji jego narzeczonej, która bawi się w malowanie akwarelą. W gruncie rzeczy chciał w taktowny sposób wyciągnąć Orlanda z trudnej sytuacji i dać mu okazję zarobku, która pozostawiłaby mu dosyć czasu na malowanie według własnego gustu, a nie pod publiczność. Orlando oczywiście był w siódmym niebie, wpadł tutaj po zaliczkę i natychmiast wyjechał. Mam nadzieję, że kiedy wróci, zauważymy znaczącą różnicę w jego pracach. – Spojrzał przebiegle na Mike’a. – A teraz, skoro ja tyle panu powiedziałem, może i

pan mi zdradzi, po co chciał się pan z nim widzieć.

– Och, to nic takiego. Jestem przejazdem w Londynie i pewien nasz wspólny przyjaciel zaproponował, bym się z nim spotkał – odparł szybko Mike. – Cóż, wobec tego umówię się z nim chyba innym razem. Aha, jeszcze jedno, panie Maze. Co miał pan na myśli mówiąc o jego trudnej sytuacji? Co to znaczy? Czyżby za dużo pił albo zażywał narkotyki...?

– O Boże, nie! Pod tym względem Orlando jest czysty jak łąza! Nie, on ma inne kłopoty. Lubi rozmaite dobre rzeczy, na które go nie stać. – Maze wzruszył wymownie ramionami. – Jest młody i bardzo przystojny, podoba się kobietom... może pan sobie dopowiedzieć resztę. A z drugiej strony staje się zgorzkniały, ma dosyć portretowania dla chleba. Zaręczam panu, że niektóre z tych bogatych dam to istne wiedźmy. Wiedzą, jak trzymać pieniędzmi w szachu kogoś takiego jak Orlando i nie szcędzą mu upokorzeń wraz z każdym drobnym podarunkiem, jaki raczą mu ofiarować. To wysoka cena, panie Preston, i sądzę, że on ma już tego powyżej uszu.

– Pieniądze i władza – pomyślał na głos Mike – oto co zawsze rządziło światem.

– No cóż, mam przeczucie, że Orlando uważa, iż nadszedł czas, aby to on stał się panem sytuacji. A teraz, czy da się pan namówić na kupno jednego z jego dzieł, panie Preston?

– Chciałbym odpowiedzieć twierdząco – rzekł Mike z uśmiechem – ale po prostu nie są w moim stylu. Mimo to dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu.

– Miło mi było pana spotkać – rzucił Peter Maze, gdy za niedoszłym klientem zamykały się drzwi.

Mike zrobił krótki postój w Genewie, by spotkać się z Johannesem Lieberem. Prawnik okazał się niskim grubaskiem, lecz mimo to wrażenie, jakie wywierał, było imponujące. Jego pomarszczona twarz wskazywała, że dobijał już sześćdziesiątki, a oczy, którymi otaksował Mike'a znad pulpitu swego biurka, przywykły oglądać skazy w naturze ludzkiej.

Po chwili ostre rysy Liebera rozpląnęły się w uśmiechu. Mike z ulgą

odpowiedział mu tym samym. Dotychczas czuł się tak, jakby siedział na ławie oskarżonych czekając na ogłoszenie wyroku, lecz teraz nagle Lieber przybrał wygląd poczciwego wujaszka.

– Świetnie się pan spisał, panie Preston – powitał Mike’a. – Wiemy teraz przynajmniej, kim była Poppy Mallory, chociaż wciąż pozostaje tajemnicą, jak udało jej się zgromadzić tak wielki majątek. – Zamilkł na chwilę. – Mówił pan, że wybiera się dziś wieczór do Wenecji.

Mike kiwnął twierdząco głową.

– Chciałem najpierw polecieć do Paryża na rozmowę z Klaudią Galli, lecz w jej mieszkaniu odpowiada tylko automatyczna sekretarka. Nagrała wiadomość, że nie ma jej w mieście i nie wróci przed upływem tygodnia. Pomyślałem, że w takim razie lepiej udać się prosto do Wenecji.

– Wersja Gallich jest interesująca – rzekł zamyślony Lieber. – Czy nie wydaje się panu dziwne, że w jednej rodzinie może być taka sieć intryg?

Mike w odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Doświadczenie mi mówi, że takie rzeczy są na porządku dziennym. Pod względem fałszu i podstępnych machinacji może dorównać domowemu ognisku jedynie wielka korporacja. Proszę mi wierzyć, różnice są niewielkie. Nie zapominajmy, że większość morderstw ma miejsce w kółku rodzinnym.

Lieber zachichotał.

– No, przynajmniej Poppy nie ukatrupiła swojego ojca, choć Bóg mi świadkiem, wygląda na to, że w pełni sobie na to zasłużył.

– Wolę przyjąć, że rzuciła w niego nożem w przystępie paniki – odparł z powagą Mike. – Na ile mogłem wyrobić sobie o niej zdanie, Poppy Mallory nie była mściwa.

– W takim razie jaka była? – spytał z naciskiem Lieber. – Oto zagadka, która wciąż stoi przed panem, panie Preston.

Mike w duchu przyznał mu rację. Wciąż nie znał prawdziwej Poppy Mallory, Poppy jako dorosłej kobiety.

Pozostał tydzień do Bożego Narodzenia. Mike zdecydował, że skoro ma spędzić święta samotnie w Wenecji, może przynajmniej to zrobić w komfortowym otoczeniu i wsiadł do łodzi hotelu „Cipriani”, która odchodziła z nabrzeża po przylocie samolotu. Łódź popłynęła z dużą szybkością na wyspę Giudecca. Wysiadając obejrzał się na widoczny po drugiej stronie laguny Pałac Dożów, który w żywym blasku popołudniowego słońca wyglądał jak porywająco piękna dekoracja teatralna.

Hotel „Cipriani” powitał go pozbawioną ostentacji atmosferą luksusu i kuchnią godną sybaryty. Siedząc nad późnym lunchem, składającym się z kolczastych krabów i rozpływających się w ustach pasztecików z musem z kurczęcia, rozmyślał o Arii Rinardi i Orlandzie Messengerze, dwojgu domniemanych spadkobiercach, których los zetknął ze sobą za pośrednictwem Carralda, najbardziej chyba tajemniczego człowieka tego stulecia.

Jedyna wspólna cecha, która łączyła wszystkich kandydatów do spadku, to brak pieniędzy. Orlando był na śmierć znudzony mizdrzeniem się do bogatych kochanek, a jednocześnie nie miał ochoty rezygnować z luksusowego trybu życia, jaki przy nich prowadził. Nie zamierzał cierpieć dla sztuki. Mike nie poznał jeszcze Arii Rinardi, ale miał wrażenie, że dziewczyna chce uniknąć małżeństwa z Carraldem okupując się matce pieniędzmi Poppy i w ten sposób zdobyć sobie wolność. Lauren Hunter potrzebowała pieniędzy, by móc utrzymać przyzwoicie siebie samą i małą siostrzyczkę i może pójść na studia. Pierluigi Galli musiał wesprzeć swoją pozycję finansową, natomiast Klaudia, zdaniem Liebera, była rozrzutna i zawsze odczuwała dotkliwy brak gotówki.

Nikt nie znał odpowiedzi na podstawowe pytanie: w jaki sposób Poppy dorobiła się majątku. Jeśli naprawdę miała dziecko i została wydziedziczona przez rodzinę, jak radziła sobie później, sama jak palec w Europie?

Mike wrócił do pokoju i zadzwonił do Franceski Rinardi.

– *Pronto?*– odezwał się ktoś w słuchawce czystym, bezosobowym głosem.

– Czy mówię z baronową Rinardi?

– *Si.* Kto mówi?

– Nazywam się Mike Preston. Johannes Lieber prosił mnie, abym się z panią skontaktował.

– Lieber? – W głosie baronowej zabrzmiała ostra nuta. – Czego pan sobie życzy, panie Preston?

– Chciałbym pomówić z panią w sprawie testamentu Poppy Mallory. Jak do tej pory nie doszliśmy do ostatecznego rozwiązania, lecz staramy się szczegółowo zbadać każdą wersję.

– Proszę przyjść do mnie dziś o piątej – poleciła i gwałtownie odłożyła słuchawkę.

Mike wybrał się do Palazzo Rinardi na piechotę. Doszedł do niego od strony Campo Morosini, a nie od Canale Grande, lecz nawet widziany od tyłu wydał mu się bardzo piękny, mimo farby łuszczącej się z bladoróżowych stiuków. Drzwi otworzyła mu staruszka w czarnej sukni i wykrochmalonym białym fartuchu. Skwitowała jego przyjście skinieniem głowy i ze słowami: „Tędy, signore” pokuśtykała przodem. Poprowadziła go przez główny hol. Po drodze wyrzekła pod nosem na artretyzm.

– Tam na piętrze – pokazała. – Duże, podwójne drzwi naprzeciwko schodów. Baronowa czeka na pana, a ja oszczędzę sobie trudu włożenia na górę, jeśli sam się pan zapowie.

– Nie ma potrzeby, abyś wchodziła na schody, Fiametto – zawołała srebrzystym głosem Francesca z góry schodów. Obdarzyła Mike’a olśniewającym uśmiechem. – Proszę wejść na górę, panie Preston. Fiametta przyniesie nam herbatę, dobrze, moja droga?

Staruszka oddaliła się utykając i wciąż zrzedzając coś do siebie, a Mike wszedł na piękne marmurowe schody. Francesca westchnęła ostentacyjnie. Miała na sobie zieloną wełnianą suknię i kaszmirowy szal koloru fuksji, zarzucony niedbale na ramiona. Wykonany z perfekcją, a zarazem nie rzucający się w oczy makijaż podkreślał klasyczną urodę jej chłodnej twarzy o zielonych oczach i raczej wąskich

ustach. Mike pomyślał, że wygląda bardzo kosztownie.

– Biedna Fiametta – powiedziała baronowa Rinardi z udanym ubolewaniem. – Obawiam się, że jest już za stara do tej pracy, ale widzi pan, służy naszej rodzinie już od przeszło pięćdziesięciu lat, a gdy ktoś pracuje tak długo, nie można go tak po prostu zwolnić. Nie zna innego życia niż przy Rinardich. – Wyciągnęła rękę do Mike’a. – Nie znam dokładnie powodu pana wizyty, lecz mimo to witamy w Palazzo Rinardi.

– Ma pani piękny dom, pani baronowo. – Mike rozejrzał się po nieco zaniedbanym pokoju o wspaniałych proporcjach, dostrzegając freski na suficie, wiszące na ścianach portrety, wytarte kotary z ciężkiego jedwabiu i porozstawiane na stolikach bezcenne bibeloty.

– Takie dziedzictwo może być wielkim ciężarem – westchnęła. – Jak łatwo stwierdzić, pałac wymaga restauracji. Przywrócenie mu dawnej świetności kosztowałoby majątek. Niestety, rodzina Rinardich nie posiada na to wystarczających funduszy. Widzi pan więc – dodała z rozbajającym uśmiechem – że pieniądze Poppy pójdą na dobry cel.

Mike zajął miejsce naprzeciwko niej na sofie pokrytej żółtym brokatem.

– Jeżeli rozszczenia Arii zostaną uznane, wtedy sama będzie decydować o przeznaczeniu tych pieniędzy.

– Przecież to jeszcze dziecko! – zachnęła się Francesca, a jej uśmiech zniknął bez śladu. – Jestem jej prawną opiekunką. Zresztą nie ma wątpliwości, że będzie chciała odnowić pałac, który od czterystu lat jest siedzibą jej rodziny.

– A jeśli nie? – obstawał przy swoim.

Wzruszyła z irytacją ramionami.

– Aria zawsze w końcu robi to, czego ja chcę.

W drzwiach pojawiła się Fiametta niosąc w zgrubiałych rękach tacę z zastawą. Mike skoczył na równe nogi, aby jej pomóc. Podziękowała i obrzuciła go bystrym spojrzeniem ptasich oczu.

– To całkiem zbyteczne – rzekła chłodno Francesca. – Fiametta doskonale potrafi

sama unieść tacę z herbatą. Oczywiście jej życie również stanie się łatwiejsze, gdy przypadną nam pieniądze Poppy. Znowu będziemy mogli pozwolić sobie na utrzymanie odpowiedniej liczby służących. Fiametta była piastunką mojego męża i знаła matkę Paola, Marię-Krystynę. Jest wprawdzie stara i jej wspomnienia nieco się zatarły, ale może chciałby pan z nią później porozmawiać.

– To na pewno okaże się pomocne. Proszę mi powiedzieć, baronowo, czy ma pani jakieś jeszcze dowody na poparcie swoich roszczeń? Dotychczas nie przekazała pani nic poza oświadczeniem, że Maria-Krystyna była córką Poppy. Nie podała pani żadnego uzasadnienia – z wyjątkiem faktu, że jej przybrana siostra, Helena, nigdy nie wyszła za mąż.

– Maria-Krystyna była bardzo żywiołowym dzieckiem – odparła Francesca nalewając herbatę – podobnie jak jej matka, Poppy. Zawsze podejmowała w życiu złe decyzje, robiła nie to, co należy, poślubiła nieodpowiedniego mężczyznę. Chociaż z trudem mi przychodzi to mówić, trzymała się zaledwie na granicy przyzwoitości. Helena natomiast całe życie spędzała w domu. Angel, jej matka, uwielbiała ją i stale trzymała przy sobie. Helena była bez wątpienia jej ulubienicą i zaraz pan zrozumie dlaczego. Powód leżał w tym, że Maria-Krystyna nie była w ogóle rodzoną córką Angel, która wychowując ją chciała po prostu pomóc swojej starej przyjaciółce Poppy Mallory. A jeśli chodzi o prawa Aleksandra do spadku, to zupełna bzdura. Poppy nie mogła mu w żaden sposób zapisać pieniędzy w testamencie. Nie miała syna.

– Nie ma pani jednak pisemnych świadectw? – nalegał Mike. – Żadnych dokumentów?

Francesca znowu westchnęła.

– Panie Preston, mamy tylko papugę! – powiedziała. – Proszę za mną, pokażę ją panu.

Weszli na następną kondygnację schodów i znaleźli się w wielkim pokoju. Przy oknie stały dwie sztalugi, a na wielkim stole leżały porozrzucone narzędzia sztuki malarskiej. Na masywnym złotym drażku pod oknem siedziała duża zielona papuga.

– To jest Luchay – oznajmiła Francesca. – Należał do Poppy Mallory. Gdy umarła, w Villa d’Oro pojawił się jakiś stary adwokat z prowincji i dał papugę Helenie i Marii-Krystynie. Później przeszła w ręce Paola, a teraz Arii.

– Ten drążek i klatka to istne dzieła sztuki! – wykrzyknął.

– Z czystego złota, panie Preston, a wszystkie drogie kamienie są prawdziwe. To ptaszysko nosi na nogach bransolety ze szmaragdami i diamentami! Drążek – zrobił go, jak mi się zdaje, jubiler Bulgari – jest wysadzany szafirami, rubinami, szmaragdami i wykładany lapis lazuli i turkusami. Poppy musiała mieć zupełnego kręćka na punkcie tego przeklętego ptaka. A najśmieszniejsze, że nic z tego nie można sprzedać, bo tak zarządziła Poppy. Poza tym, te przedmioty są zbyt znane, by je połamać i sprzedać pojedyncze kamienie.

Nachyliła się nad ptakiem.

– Luchay! – zawołała. – Powiedz „Poppy”, Luchay!

Lecz ptak tylko zaszurał pazurami na drążku i odwrócił głowę.

– Oczywiście, on jest już bardzo stary – Francesca wzruszyła ramionami – ale od czasu do czasu wymawia jej imię.

– Dziękuję pani bardzo za rozmowę, pani baronowo – zakończył Mike. – Sądzę, że teraz lepiej rozumiem sytuację. Zawsze lepiej jest spotkać się z kimś i pomówić z nim osobiście.

– A więc pracuje pan u pana Liebera? Powiedział, że prawdopodobnie zatrudni w tej sprawie prywatnego detektywa.

– Jeśli już o tym mowa, to nie zostałem przez niego wynajęty. Jestem pisarzem, a nie detektywem. Postanowiliśmy po prostu, że będziemy ze sobą współpracować.

Znów rzuciła mu ostre spojrzenie, a potem na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

– Mike Preston! Musi mi pan wybaczyć mój rzeczowy ton. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan tym sławnym pisarzem! Musi pan przyjść do nas na obiad i poznać moją córkę, Arię. Gdzie się pan zatrzymał, panie Preston... a może będę nazywać pana Mike, skoro mamy się bliżej poznać.

– Mieszkam w hotelu „Cipriani”, pani baronowo.

– Proszę, zostawmy te formalności, nazywaj mnie Francescą. Może przyjdiesz jutro o dziewiątej wieczór? Czy to ci odpowiada?

– Tak, doskonale. Zjawię się z przyjemnością. A teraz może zamienię jeszcze słówko z Fiametta.

– Ależ oczywiście! W takim razie lepiej pójść do niej do kuchni, żeby nie tracić czasu. Chodź za mną.

Fiametta zdumiona podniosła na nich oczy. Francesca rzadko zapuszczała się w te rejony. Rozglądała się teraz wokół marszcząc z niesmakiem nos na zapach siekanego czosnku.

– Pan Preston chciałby porozmawiać z tobą chwilę o Poppy Mallory – oznajmiła podniesionym głosem, choć Mike nie dostrzegł u Fiametty żadnych oznak głuchoty.

– Pan Preston został przysłany przez pana Liebera, tego prawnika z Genewy – dodała podkreślając wyraźnie słowa. – Powiedziałam mu, że znałaś Marię-Krystynę.

Fiametta skinęła głową.

– I to dobrze – stwierdziła wycierając ręce w ścierkę i siadając przy kuchennym stole.

– Fiametta cię wyprowadzi, jak skończysz, Mike – powiedziała Francesca konfidencyjnie. – Niestety muszę lecieć, mam umówione spotkanie. A więc do jutra?

– Do jutra – przytaknął potrząsając jej chłodną, gładką dłonią.

– Co pan chce wiedzieć? – spytała stara kobieta, patrząc na niego spode łba. – Dlaczego ci prawnicy nie chcą uwierzyć jej na słowo, jak było? Maria-Krystyna była córką Poppy, matką Paola i babką Arii, i basta.

– Chciałbym, żeby to było takie proste – powiedział Mike siadając naprzeciw niej. Na stole oprócz czosnku leżały posiekane zioła i warzywa. – Wspaniale pachnie – ocenił z uznaniem.

– Jestem dobrą kucharką – stwierdziła z dumą. – Nauczyłam się wszystkiego o kuchni jeszcze jako młoda dziewczyna. Kuchnia wenecka jest inna niż gdzie indziej

we Włoszech, i dużo zdrowsza. Je się dużo ryżu, a nie na okrągło makaron. Powinien pan spróbować mojego risotta, signore, jest najlepsze w całej Wenecji.

– Może mi się to uda. Baronowa zaprosiła mnie na jutrzejszy obiad.

– Ha, w takim razie nie powącha pan go nawet. Będzie chciała podać coś wymyślniejszego, żeby się popisać, jak to ona.

Mike skinął głową. Stosunki między starą kobietą a jej pracodawczynią najwyraźniej nie odznaczały się szczególnym ciepłem.

– Proszę opowiedzieć mi o Marii-Krystynie. Ile miała lat, gdy ją pani poznała?

– Była już dorosła i bardzo samolubna; zbyt zajęta swoimi sprawami, żeby zawracać sobie głowę własnym synem, Paolem. Kapryśnica, rzucała jednego mężczyznę za drugim. Wyszła raz za męża, wie pan, za Amerykanina. Bill Aston, tak się nazywał. Paolo był jego synem i wołali na niego „Paul”, dopóki nie rozwiodła się z mężem i nie przywiozła chłopca tutaj. Od tamtej pory nazywaliśmy go po naszymu. Bill Aston był bogaty, ale nie dał im ani centa. Ją to oczywiście mało co obeszło, bo jej rodzina była równie bogata. Więc jak pan widzi, Paolo nie nosił nawet nazwiska Rinardi. Dostał je dopiero wtedy, gdy jego kuzyn Aleksander wyrzekł się tytułu. Ten tytuł przeszedł na Paola jako następnego żyjącego mężczyznę w rodzinie. To się stało rzecz jasna jeszcze przed małżeństwem Aleksandra i urodzinami Pierluigiego. Założę się, że ona panu nic z tego nie powiedziała – prychnęła, wskazując ruchem brody drzwi. – Pewnie, że nie. A to wszystko blaga, że Paolo urodził się z nazwiskiem tak starym jak ten pałac. No a ta biedna Helena, siostra Marii-Krystyny... Była jakaś dziwna i zawojowana przez matkę, tak sobie zawsze myślałam. Nigdy dużo się nie odzywała i podobno w końcu dostała bzika.

– Czy dotarła do pani jakakolwiek wzmianka o Poppy?

Fiametta potrząsnęła przecząco głową.

– Nic takiego sobie nie przypominam, choć po całej okolicy krążyła plotka, że jedno z dzieci Angel i Felipe Rinardich nie jest ich własne.

– Czy była pani w domu, gdy ten prawnik przyniósł papugę Poppy?

– O tak – odparła z ożywieniem – byłam przy tym, a jakże. Pamiętam go jak dziś, taki niski człowieczek, widać, że nie z miasta. Tego dnia było gorąco, więc pocił się jak mysz w tym swoim czarnym staroświeckim garniturze, pot spływał mu po twarzy, a w ręku niósł klatkę z papugą. – Zaśmiała się na to wspomnienie. – To ci dopiero, zobaczyć w drzwiach takie dziwadło! W każdym razie powiedział Marii-Krystynie o śmierci Poppy Mallory i że chciała dać papugę Rinardim, a ta krzyknęła: „Do licha, po co nam jakieś stare, parszywe ptaszysko?!” i wtedy dopiero zobaczyła klatkę. Oglądała ją chciwie ze wszystkich stron – nie ma co, lubiła ładne kamyki – aż biedna papuga się wystraszyła i zaczęła skrzeczeć. Darła się wniebogłosy. Na to z ogrodu nadeszła Helena. „Co to jest? – zapytała. – Co to za ptak, który tak pięknie śpiewa?” „To jest dla ciebie śpiew? – spytała z pogardą Maria-Krystyna. – To przekłete straszidło robi piekielny hałas!” Helena spojrzała na biedną, przestraszoną papugę, a jej wielkie niebieskie oczy pełne były łagodności. Dobra z niej była dziewczyna, wie pan, mimo że matka się nad nią trzęsła i psuła ją, ile włożyło. Nigdy nie zapomnę, co wówczas powiedziała. „Nie, Mario-Krystyno, mylisz się, on śpiewa. Śpiewa specjalnie dla mnie”. Jej siostra na pewno pomyślała, że Helenie do reszty pomieszało się w głowie, ale zawsze była dla niej dobra, więc zdecydowała: „No to weź ją sobie, Heleno. Papuga jest twoja. To prezent od Poppy Mallory”. Wtedy jeden jedyny raz usłyszałam nazwisko Poppy Mallory w tym domu.

– Dziękuję ci, Fiametto – powiedział Mike i wstał zbierając się do wyjścia. – Twoje wspomnienia bardzo mi pomogły.

Jej przenikliwe stare oczy badały go przez kilka sekund, a potem spytała:

– Czy widział pan już Arię? – A gdy potrząsnął przecząco głową, stwierdziła: – Ona jest tyle warta, co wszyscy Rinardi razem wzięci. Wychowałam ją, więc wiem. Ma dobre serce, panie Preston. To woła o pomstę do nieba, że musi wyjść za signore Carraldo. – Jej twarz posmutniała. – Oby dostała pieniądze Poppy Mallory i nie musiała poślubić tego człowieka. To los gorszy niż śmierć.

Rozdział 23

Położona u stóp Dolomitów Villa Velata jakby zapadła się głębiej niż zwykle w dolinę. Grudniowy mróz okrył białym szronem zarośla i trawę; oszklili zaniedbany zwirowy podjazd lodową powłoką, która, jak Pierluigi wiedział z doświadczenia, nie stopnieje aż do wiosny. Miejsce to leżało w cieniu góry, zimą słońce nigdy nie wznosiło się ponad jej masyw. Szron stanie się grubszy, lód stwardnieje, a potem wszystko przykryje śnieg i znów odetnie dom od świata na cztery długie miesiące.

Kierowca wynajętego fiata prowadził ostrożnie czując, jak opony ślizgają się na oblodzonej nawierzchni. Miał ochotę zakląć, lecz powstrzymywała go obawa przed milczącym pasażerem, który przez całą drogę ani razu nie otworzył ust. Patrzył tylko przez okno z miną, jakby wybierał się na własny pogrzeb. Na co, zdaniem szofera, istniały spore szanse.

Wreszcie dojechali. Kierowca zahamował przed ponurą willą koloru ochry. Wyskoczył z pośpiechem, by otworzyć tylne drzwiczki, lecz Pierluigi zdążył już wysiąść. Szofer wyjął z bagażnika jego torbę i wniósł ją na schodki.

– Czy mam zadzwonić, signore?

Pierluigi stał na podjeździe i patrzył na dom.

– Dziękuję, nie trzeba. Niech pan lepiej szybko wraca, zanosi się na śnieżycę – powiedział podając kierowcy zapłatę.

– Bardzo panu dziękuję, signore.

Szofer szybko obliczył wysokość napiwku, który okazał się przyzwoity, choć nie przesadnie duży, i westchnął. Spodziewał się większego po tym najwyraźniej nadzianym facecie. Gdy odjeżdżał, jego pasażer stał wciąż w tym samym miejscu z wzrokiem utkwionym w dom, jakby bał się wejść do środka.

Pierluigi wiedział, że nigdy nie wymaże z pamięci stiukowych ścian, które ściemniały pod wpływem wilgoci i przybrały brzydki brązowy kolor, nieproporcjonalnej fasady, okien tak spaczonych ze starości, że zimno przedostawało się swobodnie do środka przez szpary, ogołoconego, cichego ogrodu. Dom jego dzieciństwa. Zdawało się, że ojciec wybrał sobie najbardziej niegościnną siedzibę, jaką mógł znaleźć. Odpowiadała jego duszy odludka.

Villa Velata budziła się do życia tylko na kilka krótkich letnich tygodni. Powietrze przesycone było wówczas zapachem siana z doliny i wonią kwitnących krzewów w ogrodzie – tych, którym udało się przetrwać w cieplarni srogą zimę. Konie galopowały po łąkach, wierzgając i kásając się między sobą dla zabawy, zachwycone ciepłą pieśczołą słońca i swobodą. Młoda Klaudia też szalała z radości. Wydawała dzikie okrzyki wierzgając jak źrebak, zrzuciwszy ubranie turlała się w trawie i niczym letnia wróżka plotła wianki ze stokrotek.

Pchnął ciężkie drzwi i po długiej chwili wszedł do środka. Wielki hol tonął w ciemności, lecz Pierluigi znał na pamięć rozkład domu. Mógłby po nim chodzić z zawiązanymi oczami. Rzucił torbę na I podłogę i poszedł prosto przed siebie do obszernej kuchni z tyłu domu. Krzątająca się tam kobieta, która właśnie stawiała czajnik na starym piecu, aż podskoczyła, gdy obróciwszy się, ujrzwała go przed sobą.

– Signore Pierluigi! Nie spodziewaliśmy się pana!

– Dzień dobry, Giuletto. Przykro mi, że cię nastraszyłem.

– Skądże, nic nie szkodzi, signore. Przyjechał pan na spotkanie z signorą Klaudią? Ale się zdziwi, jak pana zobaczy.

– Na pewno – potwierdził sarkastycznie. – Czy wiesz, gdzie mogę ją zastać?

– W gabinecie pańskiego ojca, signore. Już od kilku dni spędza tam cały czas. Mówiła, że czegoś szuka.

Wyszedł na korytarz, minął bibliotekę i wszedł do gabinetu ojca. Klaudia siedziała przy dużym staroświeckim biurku z żaluzjową pokrywą. Spojrzała na brata ze zdumieniem. Po chwili lekki uśmiech podniósł kąćki jej ust.

– No no, czyżby syn marnotrawny powrócił do domu? – powiedziała drwiąco. – Cóż ty tu porabiasz, Pierluigi? Zdawało mi się, że mówiłeś, iż nigdy więcej twoja noga nie postanie w Villa Velata.

– A czy ty przypadkiem nie twierdziłaś tego samego?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Najwyraźniej wspomnienia, jakie stąd wyniosłam, były mniej bolesne niż twoje, braciszku... a może nawet przyjemne.

– Nietrudno zgadnąć, co cię tutaj sprowadziło – odrzekł zimnym tonem. – Myślałem, że się ze mną skontaktujesz w sprawie spadku po Poppy Mallory. Przed wyjazdem dzwoniłem do ciebie do Paryża, ale nie odbierałaś telefonów. Poleciałem więc tam, żeby się z tobą spotkać. Gdy stwierdziłem, że nie ma cię w Paryżu, szybko się domyśliłem, dokąd pojechałaś, i przyleciałem tutaj przez Genewę.

– Czyżby pieniądze Poppy tyle dla ciebie znaczyły? – spytała pogardliwie. – Dla ciebie, Pierluigiego Galli, geniusza z Wall Street, który dorobił się milionów? Dlaczego nie zostawisz ich wszystkich mnie, Pierluigi? Cóż dla ciebie znaczy milion lub dwa? A wiesz, że dla mnie to cała fortuna!

Pierluigi zdjął płaszcz, złożył go starannie i przewiesił przez oparcie krzesła. Potem usiadł naprzeciw siostry.

– Widać z tego jasno, że nie wiesz, o czym mówisz – stwierdził ze spokojem. – Majątek Poppy wynosi nie jakiś nędzny milion lub dwa, ale setki milionów. Wystarczy nawet dla ciebie, Klaudio, choć Bóg mi świadkiem, że potrafisz puszczać pieniądze z oszałamiającą szybkością. Nie wydaje się, żeby z latami przybywało ci rozsądku.

– Jesteśmy w tym samym wieku! – krzyknęła dotknięta tą Uwagą. – Mam tyle lat co i ty!

– U mężczyzn jednak wiek liczy się inaczej, prawda? Pewny jestem, że zdajesz sobie z tego dobrze sprawę, Klaudio.

– No więc teraz już wiesz, na co mi pieniądze – wzruszyła ramionami. – Pora sobie zabezpieczyć spokojną starość. Dlatego chcę je dostać, a nie ze zwykłej chciwości jak ty.

– Posłuchaj, Klaudio – rzekł z westchnieniem – skończmy z tym głupim przekomarzaniem. Zawsze dawano nam do zrozumienia, że nasz ojciec jest synem Poppy Mallory, a my jesteśmy jej wnukami, i oboje znaleźliśmy się tutaj z tego samego powodu – żeby znaleźć jakieś dowody na potwierdzenie tej tezy. Lieber pokazał mi kopię tego dziwnego testamentu. Jest tam wyraźnie sprecyzowane, że Poppy zostawia pieniądze swojej córce. Wyjaśniłem, że bierze się to stąd, iż Poppy

w gruncie rzeczy nigdy nie widziała swego dziecka na oczy. Angel zabrała je od niej zaraz po urodzeniu, zanim mogła choćby wziąć je na ręce. I wyrobiła w niej przekonanie, że była to dziewczynka, w obawie, że któregoś dnia Poppy może wrócić, by odzyskać dziecko. Wy tłumaczyłem, że źródło nienawiści, jaką Felipe Rinardi darzył chłopca, tkwiło w tym, że nie był to jego rodzony syn. Zmienił życie dziecka w piekło i dlatego po jego śmierci Aleksander porzucił rodzinny dom i odmówił przyjęcia tytułu. Nie chciał niczego, co należało do Rinardich. Przybył więc tutaj, kupił Villa Velata i dużo później poślubił Lucię Galli, przybierając jej nazwisko. Lieber zgodził się ze mną, że historia ta wygląda prawdopodobnie, lecz zastrzegł, że musimy okazać jakieś dokumenty na jej poparcie. Dlatego tu przyjechałem.

– A ja myślałam, że przyjechałeś, by zobaczyć się z ukochaną siostrą! – Klaudia przeciągnęła się rozparta na krześle. – Czyżbyś wcale za mną nie tęsknił, Pierluigi? Całkiem sam w biurze na Wall Street jak w wieży z kości słoniowej? Albo w tym mauzoleum przy Park Avenue, które nazywasz domem?

– Nie, nie tęsknię – powiedział lodowato.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że Pierluigi nie mówi prawdy.

– A jak tam twoje życie intymne ostatnimi czasy? – drażniła go. – Czy też może nie zniżasz się już do tak ordynarnych rozrywek?

– Nie bądź śmieszna – odrzekł chłodnym tonem i otworzył drzwi. – Spotkamy się na kolacji.

– Nie mogę się wprost doczekać! – krzyknęła za nim szyderczo.

W dużej jadalni nie napalono i panował tam dojmujący ziąb, tak więc kolację zjedli w małym saloniku, przy okrągłym stole ustawionym w pobliżu kominka. Giulietta podała im zupę minestrone. Klaudia paplała bez przerwy narzekając, że unieważniono jej kartę kredytową i że Pierluigi się o nią nie troszczy.

– Masz tyle forsy i nigdy nie dajesz mi ani grosza – mówiła ze złością. – Ja prawie przymieram głodem, a ty tarzasz się w luksusach!

Pierluigi pokręcił odmownie głową, gdy Giulietta podsunęła mu półmisek z plastrami cielęciny, i odprawił ją machnięciem ręki.

– Mylisz się całkowicie, Klaudio – odparował ze spokojem. – Płaciłem za ciebie za każdym razem, gdy pakowałaś się w finansowe tarapaty. Najwyższy czas, żebyś sama się zaczęła o siebie troszczyć. To jedyny sposób, aby nauczyć się wartości pieniędzy.

– Wartość pieniędzy! – Nalała sobie drugi kieliszek wina, rozlewając trochę na biały obrus. – A jakąż to wartość pieniądze mają dla ciebie, braciszku? Bawisz się tylko nimi, przekładasz z jednego konta na drugie, kupujesz to, a sprzedajesz tamto, ale nie służą ci do niczego konkretnego! Nie dają ci przyjemności ani wygód, ani żadnej realnej korzyści! Dla ciebie pieniądze są celem same w sobie; dla mnie są tym, za co mogę kupić rzeczy, które są dla mnie ważne.

Giulietta sprzątnęła talerze i wniosła mus czekoladowy. Klaudia rzuciła się na niego łapczywie i dołała sobie wina.

– Nigdy nie myślisz o konsekwencjach, prawda? – rzekł Pierluigi pogardliwie. – Nie zastanawiasz się nawet, jaki wpływ będzie miała ta druga porcja deseru na twój obwód bioder.

– Niech cię diabli! – krzyknęła i cisnęła w niego niecelnie talerzem. – Nienawidzę cię, ty łajdaku!

Giulietta podniosła z ziemi potłuczone kawałki i szybko wycofała się do kuchni. Tych dwoje zawsze darło ze sobą koty i oto teraz znowu zaczęli sobie skakać do oczu. Wniosła kawę, postawiła tacę na stole i spojrzała na nich nerwowo.

– Jeśli można, to już pójdę, proszę państwa.

– Dobranoc, Giulietto. Dziękuję – pożegnał ją Pierluigi.

Klaudia pólleżała na stole z twarzą ukrytą w ramionach. Giulietta rada była z całej duszy, że nie musi być świadkiem kolejnej awantury, może wrócić do domku przy bramie, gdzie czeka na nią mąż i gdzie panuje cisza i spokój.

– Po prostu mi zazdrościsz, i tyle – powiedziała dobitnie Klaudia.

Pierluigi nalał sobie filiżankę kawy i zabrawszy ją ze sobą, skierował się do

drzwi.

– Wracam do gabinetu ojca, zobaczę, co uda mi się znaleźć – rzekł pomijając milczeniem jej ostatnią uwagę.

Po godzinie, która zesłała mu na sortowaniu zawartości ciasno wypchanych szuflad i półeczek biurka, usłyszał w holu kroki. Gwałtownie szarpnięte drzwi otworzyły się i stanęła w nich Klaudia. Opierała się o nie chwiejnie. Rozczochrane włosy opadły jej na twarz, a kremowa atlasowa bluzka poplamiona była winem.

– Chcę z tobą pomówić, braciszku! – Bełkotała już; wzbierała w niej złość.

Spojrzał na nią chłodno.

– Jesteś pijana. Lepiej idź do łóżka i prześpij się trochę. Możemy porozmawiać rano.

– „Możemy porozmawiać rano” – przedrzeźniała jego staranną dykcję – a o czymże to będziemy rozmawiać, co, Pierluigi? Może o tobie i o mnie? – Na jej pełnych ustach pojawił się uśmiech; oblizwała prowokująco wargi. – Pogawędzimy sobie o dobrych, dawnych czasach.

Pierluigi mocniej ścisnął w rękę plik papierów.

– Idź stąd, Klaudio, dobrze? – powiedział i odwrócił się od niej.

Podeszła wolnym krokiem.

– Więc nie chcesz powspominać, braciszku? Tylko mi nie mów, że nie marzysz o tym, gdy leżysz sam w swoim starokawalerskim barłogu, wysoko nad Manhattanem. No, przyznaj się, Pierluigi, oboje wiemy, że tak jest. – Stanąwszy za nim, objęła go za szyję i pocałowała w czubek głowy. – Przecież mimo wszystko kochasz swoją siostrę, prawda? Nie wiedziałam, jak gorąco – aż do tego dnia w stajni. Nigdy mi nie mówiłeś, jak długo nas podglądałeś. Ile razy? Dwa, trzy... a może dziesięć? – Zaśmiała się na głos, a on uwolnił się z jej ramion i odepchnął ją.

– Przestań, Klaudio! – rozkazał. – Natychmiast przestań!

– Nie tak wtedy mówiłeś – naigrawała się z niego – przeciwnie, chciałeś, żeby to trwało jak najdłużej... Pamiętasz to popołudnie, Pierluigi? Leżałam na sianie, on mnie dopiero co zostawił. Wiedziałam, że jesteś tam na górze, na stryszku, że nas

podglądałeś, więc cię zawołałam. Zszedłeś po drabinie niemal po omacku, bo nie mogłeś oczu ode mnie oderwać, prawda? Byłam prawie goła, z sukienką podciągniętą do pasa...

– Klaudio, na miłość boską! – krzyknął odpychając krzesło i odwracając się twarzą do niej.

– I wtedy nadeszła twoja kolej, co, Pierluigi? Twoja kolej, żeby pomacać piersi twojej małej siostrzyczki, twoja kolej, żeby położyć się na niej i...

Pierluigi uderzył ją w twarz, aż głowa odskoczyła jej w bok.

– Ty nędzna, tania dziwko! – ryknął. – Tak, dziwko! Zawsze handlowałaś własnym ciałem!

– A ty nigdy nie zapłaciłeś wysokiej ceny! – odcięła się zajadle, trzymając się dłonią za policzek, na którym widniał czerwony ślad po uderzeniu. – Dostałeś za darmo, braciszku!

– Wyjeżdżam natychmiast – rzucił wychodząc z pokoju. – Nie zniosę przebywania z tobą pod jednym dachem.

– Boisz się, że cię uwiodę? – judziła. – O to ci chodzi?

Ignorując ją poszedł na górę do swego pokoju. Włożył płaszcz, podniósł jeszcze nie rozpakowaną torbę podróżną i zszedł po schodach. Klaudia czekała przy telefonie stojącym w holu.

– Jak niby masz zamiar stąd wyjechać? – spytała. – Zapomniałeś, że nie możesz prowadzić?

– Zadzwońię do wsi po taksówkę. – Sięgnął po słuchawkę.

Złapała ją pierwsza, śmiejąc się na całe gardło.

– A właśnie, że nie! Linia jest przecięta.

Spojrzał z osłupieniem na nożyczki w jej ręku, a potem na zwisający koniec kabla. Podniósł torbę podróżną i przeszedł koło Klaudii.

– Pójdę na piechotę – rzekł oziębło.

– Na piechotę?! – krzyknęła biegnąc za nim. – To pięć kilometrów stąd, a na dworze śnieżyca!

– Zostaw mnie, Klaudio – powiedział z dziką wściekłością. – Nie chcę nic już mieć z tobą więcej do czynienia. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy.

– Niech cię piekło pochłonie, ty łajdaku! – wrzasnęła w pijackim szale, zamierzając się na niego nożyczkami. Instynktownie zasłonił się ręką. – Zabiję cię!...

– Nagle urwała i wytrzeszczyła przerażone oczy na krew płynącą z rany. Pierluigi bez słowa wyszedł za drzwi i zatrzasnął je za sobą.

Klaudia rozejrzała się wokół, zdjeta nagłym popłochem. Co ona najlepszego narobiła, o Boże, co też narobiła...? Nie miała zamiaru go skaleczyć, chciała tylko wytrącić go z tej wyniosłej obojętności, zmusić, żeby był dla niej miły... do diabła, w końcu coś niecoś jej zawdzięczał! Chodziła po zimnym holu wstrząsana szlochem, ocierała wierzchem dłoni łzy i rozmazywała tusz po policzkach. Od niepamiętnych czasów kłócili się z Pierluigim, lecz tym razem posunęła się za daleko. Chociaż nigdy nie rozmawiali o zdarzeniu w stajni, Klaudia zawsze żywiła przekonanie, że Pierluigi ją jedną kocha naprawdę. Traktowała go jak surowego ojca, który trzyma ją krótko dla jej własnego dobra i nie pozwala na zbytne kaprysy i samowolę.

Pogrążona w rozpamiętywaniu fatalnej kłótni nie zwracała uwagi na upływ czasu. Zegar stojący w holu wybił dziesiątą tak donośnie, że Klaudia aż podskoczyła. Pierluigi już pół godziny szedł w stronę wioski. Po ciemku droga była niebezpieczna, pokryta zdradliwym lodem, na którym mógł się łatwo pośliznąć i złamać nogę. Wtedy leżałby tam do rana, zanim ktoś by go znalazł, a do tego czasu zamarzłby na śmierć. Nie mogła znieść podobnej myśli – kochała Pierluigiego i wiedziała, że on też ją kocha.

Przerażona narzuciła płaszcz i wybiegła na zewnątrz. Śnieg oblepił obcasy jej pantofli, gdy poślizgując się biegła przez podwórze do garażu. Drzwi były otwarte i do środka waliły kłęby śniegu. Pomyślała zdumiona, że widocznie Pierluigi próbował uruchomić samochód, mimo iż nigdy nie prowadził. Miał na tym punkcie uraz.

Włączyła reflektory i wyjechała tyłem na drogę prowadzącą do wioski. Koła

podskakiwały na nierównej, zmarzniętej ziemi. Droga biegła w dół między dwoma rzędami lip. Ich gałęzie tworzyły baldachim, który nie przepuszczał wiele śniegu. Klaudia starała się przebić wzrokiem ciemność za omiataną przez wycieraczki przednią szybą i wypatrywała gorączkowo brata, dręczona strachem, że go nie zauważy. Ponownie otarła oczy i chlipiąc wymamrotała jego imię.

– Pierluigi, ja naprawdę tak nie myślałam. Kocham cię. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby mówić ci takie rzeczy.

Nigdzie nie było go widać. Nie odrywając oczu od drogi, jedną ręką zaczęła szperać w torebce, żeby wyjąć chusteczkę.

Zaraz! Co to było? Tak, to musiał być on... zatrzymał się i patrzył w jej stronę oślepiiony światłami...

– Pierluigi! – krzyknęła.

Nagle tył samochodu uciekł w bok, a kierownica zakręciła, mimo że Klaudia wczepiła się w nią kurczowo rękami. Wóz wypadł w poślizg. Klaudia odruchowo wcisnęła hamulec, lecz nie dało to żadnego skutku. Samochód wciąż nabierając szybkości obrócił się bokiem, przetoczył przez krawędź drogi i spadł na drzewa oliwkowe rosnące niżej. Kiedy wylądował na dachu, w powietrzu rozległ się perlisty dźwięk tłuczonego szkła. Potem zapadła głęboka cisza.

Rozdział 24

Aria stała przed siedemnastowiecznym portretem pędzla Van Dycka, przedstawiającym szlachcica w czarnym aksamitnym kaftanie z białym koronkowym kołnierzem i mankietami, opiętych białych spodniach pod kolana i trzewikach z wielkimi klamrami. Szlachcic stał w aroganckiej pozie, oparty o marmurową kolumnę. Na jego twarzy malowała się taka pycha, jakby cały świat miał u swoich stóp i potrafił zetrzeć na proch każdego, kto chciałby uszczuplić jego władzę.

– Czuje się przed nim respekt, co? – szepnęła do Orlanda.

– Chcesz chyba powiedzieć, że ciarki przechodzą na jego widok – odparł z

namysłem Orlando.

Skinęła potakująco głową.

– Wygląda jak Carraldo, na potężnego, budzącego lęk człowieka.

– Nie mówmy o Carraldzie – zachnął się – spróbujmy o nim zapomnieć na jakiś czas.

Przemierzali wykwintne sale Ca' d'Oro, w których mieściła się galeria. Aria pokazywała mu najpiękniejsze jej zdaniem płótna, a on oglądał je uważnie, z bliska i odsuwając się nieco, z wyrazem powagi na przystojnej twarzy. Był zupełnie niepodobny do jej kolegów ze szkoły sztuk pięknych i do żadnej ze znanych jej osób. Zakrawało zgoła na cud, że pojawił się w jej życiu w tak przełomowej chwili. Ujął ją swoją wrażliwością. Nie musiała mu długo tłumaczyć, co czuje względem matki czy Carralda – rozumiał ją w pół słowa.

Podchwytywali nawzajem swoje myśli tak szybko, jakby nadawali na jednej fali. Urywkami zdań przekazywali sobie uwagi o oglądanych obrazach, i choć to, co mówiła, wydawało jej się powierzchowne i nieudolne, on słuchał z uwagą, dorzucał własne spostrzeżenia i chwalił ją za malarską intuicję.

– Każdy obraz tylko tyle jest wart, ile potrafi w nim dojrzeć odbiorca – powiedział. – Jeśli nie budzi żadnego oddźwięku, jest bezwartościowy. Słoneczniki Van Gogha mogą być dla jednej osoby warte miliony, podczas gdy ktoś inny za nic nie powiesiłby ich w swoim mieszkaniu.

Ich znajomość trwała dwa tygodnie. Aria dawno nie była tak szczęśliwa, tym bardziej że Carraldo dotąd się nie pojawił. Jego nieustanne podróże w interesach złościły matkę, niezadowoloną, że szmaragdowy pierścionek zaręczynowy nie znalazł się jeszcze nie-odwołalnie na palcu Arii. Ujrzawszy Orlando, Francesca zmierzyła go wzrokiem wielce podejrzliwym i niechętnym. Aria czuła, że gdyby nie został przysłany przez Carralda, matka w jednej chwili przepędziłaby go, gdzie pieprz rośnie.

– Co ten Carraldo wyprawia najlepszego? – powiedziała Francesca z rozdrażnieniem. – Przysyła tu tego przystojniaka... Lepiej się pilnuj, Ario, to

wszystko, co ci mogę powiedzieć. Carraldo nie należy do ludzi, którzy łatwo przelknęliby zniewagę.

– Czy to ma być przestroga, mamó? – podjęła wyzwanie Aria.

– Oczywiście, że tak – parsknęła Francesca gniewnie – i lepiej weź ją sobie do serca, albo i ty, i Orlando możecie tego pożałować.

Aria me troszczyła się zbytnio o własny los, lecz wzmianka o Orlandzie wzbudziła jej niepokój. On z takim zapalem opowiadał o zainteresowaniu Carralda jego pracami i szansie, jaka się przed nim pojawiła. Byłoby straszne, gdyby z jej powodu Carraldo przestał mu pomagać.

– O czym myślisz? – spytał Orlando, wytrącając ją z zamyślenia.

– O tobie – odpowiedziała szczerze.

– Mam nadzieję, że dobrze.

– Jasne, że tak. Myślałam właśnie, jaka to szkoda, że nie mogę pomóc ci w jakiś sposób w karierze.

– Każdy jest kowalem własnego losu – stwierdził spokojnie. – Sam muszę walczyć o sukces, nikt inny tego za mnie nie zrobi.

– Gdybym dostała majątek Poppy Mallory, mogłabym zostać twoim mecenasem... – Zobaczyła wyraz rozbawienia w jego oczach i szybko dodała: – Mówię całkiem poważnie! Wtedy miałbyś zawsze dosyć pieniędzy i mógłbyś całkowicie poświęcić się malowaniu, zamiast udzielać lekcji takim gęsiom jak ja.

Wziął ją pod ramię śmiejąc się serdecznie.

– Uczenie takiej gąski jak ty sprawia mi wielką przyjemność. Właśnie pomyślałem sobie, że nigdy przedtem nie znałem dziewcząt podobnych do ciebie. Spotykałem tylko bogate kobiety, które są twarde jak stal i zawsze chcą więcej, niż mają. Ty najwyraźniej nigdy nie chcesz niczego dla siebie.

– Nieprawda, chcę – zaprzeczyła, patrząc na niego z przejęciem ciemnoniebieskimi oczami.

– Powiedz, czego chcesz?

Pokręciła odmownie głową.

– To tajemnica.

– I nigdy jej nikomu nie zdradzisz, tak?

Skinęła głową, a przy tym ruchu ciemne włosy opadły jej na oczy.

– Być może nigdy – rzekła stanowczo.

Roześmiał się.

– Tylko ty jesteś w stanie połączyć dwa przeciwstawne pojęcia w jednym zdaniu. Przyjmuję, że to znaczy, iż pewnego dnia mi ją powiesz. A tymczasem, skoro Carraldo dobrze mi płaci za to przyjemne zajęcie, co byś powiedziała, gdybym zaprosił cię dzisiaj na obiad? Gdzie masz ochotę pójść? Do „Baru Harry’ego”?

– Nie, chodźmy do „Corte Sconta” – poprosiła. – Nie wiem tylko, czy dostaniemy stolik, zawsze tam taki tłok.

– Zostaw to mnie. O której godzinie wpaść po ciebie?

Zawahala się przez chwilę.

– Chyba lepiej będzie, jak spotkamy się już w restauracji... Przepraszam cię, ale moja matka nie pochwalałaby tego – dodała z udręką. – Widzisz, chodzi o Carralda.

– Rozumiem – odparł krótko Orlando. – Wobec tego spotkajmy się na miejscu o dziesiątej.

Restauracja „Corte Sconta” była położona dość daleko od Palazzo Rinardi i Aria czekała niecierpliwie na vaporetti – tramwaj wodny. Panowało przenikliwe zimno, kłęby mgły unosiły się nad laguną, tłumiąc dźwięki i ograniczając widoczność do paru metrów. Aria otuliła się szczelnie kurtką. Spacerowała nerwowo tam i z powrotem po przystanku. Nie chciała się spóźnić; każda minuta spędzona z dala od Orlanda wydawała jej się niepowetowaną stratą. Vaporetti wciąż nie nadpływał. W Arii niecierpliwość wzięła górę, dziewczyna postanowiła pójść na piechotę. Idąc na skrót mogła dotrzeć do „Corte Sconta” w piętnaście minut.

Obcasy jej nowych kowbojskich butów z chwaścikami stukały głośno na płytach ze skały wulkanicznej, jakimi była wyłożona Piazzetta. Były to jedyne kroki rozlegające się we mgle. Brzydka pogoda zatrzymała wszystkich w domu, wiele

kawiarń i sklepów miało już zapuszczone żaluzje. Aria skręciła w boczną uliczkę, zaprzątnięta myślami o Orlandzie i tajemnicy, której nie chciała mu zdradzić. Nie mogła mu jej wyjawić. Gdyby wyznała, że go kocha, skwitowałby to prawdopodobnie głośnym śmiechem. Znał przecież tyle eleganckich kobiet z wielkiego świata. Musiał uważać ją za smarkulę. Nie była już jednak dzieckiem. Jakże pragnęła, by ją pocałował! Całowała się już wprawdzie z tuzinami chłopców, lecz tym razem czuła co innego, pragnienie wiązało się z ryzykiem i poświęceniem. Taka była miłość. I Antonio Carraldo nie miał tu nic do gadania!

Usłyszała na moście za sobą stłumiony odgłos kroków i obejrzała się szybko, lecz w świetle latarni widać było tylko opary mgły i niewyraźne cienie. Zrobiło jej się nieswojo. Przyspieszyła kroku i wyteżyła słuch... Tak, znów rozległy się czyjeś kroki, tym razem dźwięczące na kamiennym mostku, przez który dopiero co przeszła. Wiedziała, że jej obawy są śmieszne. W normalnych warunkach nie zwróciłaby uwagi na ten odgłos, lecz mgła nadawała wszystkiemu złowieszczy posmak. Kroki jakby się przybliżyły, zwiększając tempo. Aria z okrzykiem przerażenia rzuciła się do ucieczki. Zbiegła pędem po schodkach na niewielki plac, na którym błyszcząły jasne światła kawiarni.

Przystanąła z bijącym sercem. Teraz w każdej chwili mogła wbiec do jakiegoś lokalu i zawołać o pomoc. Poczowała nieprzyjemne mrowienie na karku, jakby czyjś wzrok śledził ją z ciemności. Obejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś za nią idzie, lecz nie dostrzegła nikogo. Zganiła się w duchu za własną głupotę i poszła dalej.

Mrok na Calle Crocera wydawał się głębszy po jasnych światłach na placu. Aria znów wpadła w popłoch; rzuciła się biegiem, minęła róg i skręciła w Calle del Pestrin, potykając się na nierównym chodniku. Nie mogła opanować szlochu. Wreszcie dobiegła do drzwi restauracji. Z ręką na klamce odwróciła się jeszcze i rzuciła ostatnie spojrzenie w mgłę, ale nie dojrzała w wirujących kłębach żadnego śledzącego ją potwora. Wokół panowała głęboka cisza. Potrząsnęła głową i wymyślając sobie od histeryczek weszła do środka.

„Corte Sconta” była małą restauracją, ukrytą z dala od głównych szlaków w wąskiej uliczce w dzielnicy Castello, niedaleko Riva Degli Schiavoni. Zyskała powodzenie z powodu zawsze świeżych i przyrządzonych z fantazją potraw z owoców morza. Szybko poznali się na niej smakosze kreujący modę i tego wieczora panował w niej taki tłok, że ciężko było przejść między stolikami, nakrytymi bezpretensjonalnymi obrusami w czerwoną kratkę. Aria rozglądała się gorączkowo, lecz nigdzie nie widziała Orlanda.

– Czy ma pani zarezerwowany stolik? – spytał ją młody właściciel.

– Chyba tak – powiedziała niepewnie. – Na nazwisko pana Messengera.

Przejrzał swoją listę.

– *Si*, na dziesiątą. Signora Orlando jeszcze nie ma – stwierdził odprowadzając ją do stolika. – Czy napije się pani czegoś przed jego przyjściem?

– Aria! – W drzwiach stanął Orlando. Na jego jasnych włosach jak paciorki lśniły kropelki wilgoci. Podszedł spiesznie do stolika. – Przepraszam za spóźnienie. Ale mgła! Dziesięć razy przystawałem, żeby spytać o drogę, a mimo to zabłądziłem!

– No, lecz w końcu tu dotarłeś – rzekła rozpromieniona, zapominając w jednej chwili o strachu, jakiego dopiero co się najadła. – Powinnam cię uprzedzić, że trudno tu trafić.

– Nic nie szkodzi, to moja wina – uśmiechnął się do niej szeroko. – Za bardzo się przyzwyczaiłem do taksówek. Wsiadasz, podajesz adres i zawożą cię dokąd chcesz. W Wenecji trzeba zdać się na własne nogi i zmysł orientacji w terenie.

– Dlatego jest tu tak przyjemnie – pouczyła go z powagą. – Nie ma samochodów, spalin, hałasu... To jeden z uroków tego miasta.

– Masz rację, Ario – ujął jej rękę leżącą na stoliku – chociaż dla mnie ty jesteś największym urokiem Wenecji. Ślicznie dziś wyglądasz. Wiesz, już od dawna chciałem cię prosić, żebym mógł namalować twój portret. Na sam twój widok aż mnie swędzi ręka, żeby wziąć pędzel i przenieść na płótno te delikatne rysy, rudawe błyski we włosach, brwi jak skrzydła ptaka... – obwiodł palcami kontur jej warg – te śliczne, miękkie usta...

– Signore? – Kelner uśmiechnął się do nich wyrozumiale. – Polecam na przekąskę świeżego węgorza, kolczaste kraby, małże i wyśmienite krewetki, a jako główne danie...

Tak byli pochłonięci sobą nawzajem, że ledwie go usłyszeli.

– Na co masz ochotę? – spytał półgłosem Orlando.

– Cokolwiek – wyszeptała.

Kelner westchnął i wznosił wymownie oczy do nieba.

– Czy mogę polecić państwu zestaw przekąsek: węgorz, małże i krewetki podane z dwoma sosami? – zaproponował błyskawicznie. – Potem może świeżutki okoń morski z sałatką. A co podać do picia, signore?

– Do picia? Ależ szampana, oczywiście!

– Szampan jest za drogi – próbowała oponować Aria.

Orlando pokręcił przecząco głową.

– To jedyny trunek godny tej okazji, skoro pozwalasz mi malować swój portret.

– Oczywiście, że pozwalam! – krzyknęła Aria z zachwytem. – Nie musisz przekupywać mnie szampanem!

– To nie przekupstwo – zaprzeczył Orlando z takim świętym oburzeniem, że ściągnął na nich rozbawione spojrzenia sąsiadów. – Po prostu chcę coś uczcić!

– To, że będziesz mnie malował? – roześmiała się.

– Nie – odparł poważnie. – To, że chyba się w tobie zakochałem.

Zatłoczone wnętrze nagle gdzieś znikło i zostali sami jak dwie główne postacie na scenie w wąskim promieniu reflektora. Nie odrywali od siebie oczu, ich dłonie stykały się lekko na blacie stolika.

– Nie mówisz poważnie... – szepnęła cicho.

– Ależ tak. – Uścisnął mocno jej palce patrząc bez zmrużenia powiek w jej oczy.

– Nigdy nie znałem kogoś takiego jak ty. Przewróciłaś mój świat do góry nogami. Dotychczas liczyło się dla mnie tylko eleganckie towarzystwo, wytworne przyjęcia, blichtr i luksus. Dopiero gdy cię poznałem, uświadomiłem sobie, jak głupie i płytkie wiodłem życie.

– Ale dlaczego ja... Znasz przecież tyle pięknych kobiet, bogatych i sławnych, których zdjęcia są w kolorowych magazynach...

– One są podobne do twojej matki, Ario. Przykro mi to mówić, lecz taka jest prawda. Wszystkie, oprócz paru wyjątków, mają kalkulator zamiast serca. Dzięki tobie czuję się, jakbym zaczął życie na nowo. Teraz, gdy mogę tworzyć to, co chcę, mam wrażenie, że czeka na mnie tu, w Wenecji, cała moja przyszłość.

– Och, Orlando, ja też cię kocham – wyszeptała z wdzięcznością, niepomna obecności ludzi wokół. – To właśnie do tego nie chciałam się dzisiaj przyznać.

– Szampan, signore – obwieścił kelner pokazując butelkę.

Korek wystrzelił z hukiem i trunek spłynął pienistą strugą w kieliszki. Orlando wznosił toast:

– Za nas oboje i początek nowego życia! Za twoją i moją przyszłość!

– Za naszą przyszłość! – powtórzyła Aria, lecz na dnie jej świadomości zamajaczył obraz człowieka, o którym żadne z nich nie wspomniało ani słowa. Antonio Carraldo... Przypomniała sobie ostrzeżenie matki.

Rozdział 25

Mediolańskie biuro i galeria Carralda, mieszczące się w budynku przy dyskretnie eleganckiej ulicy, świadczyły – każde na swój sposób – o osobowości właściciela. Wystrój biura cechowała spartańska prostota: szare ściany i meble, stalowe krzesła z siedzeniami ze skóry, biurko z szarego granitu i podłużne metalowe lampy, które rzucały wąskie snopy światła na wypolerowany blat i w oczy osoby siedzącej naprzeciwko. Galeria miała podłogę z surowych bielonych desek. Na lśniących białych ścianach wisiały odważne, nowoczesne płótna młodych artystów, których Carraldo objął swym mecenatem. Istniało jeszcze jego prywatne sanktuarium, gdzie w przyćmionym świetle mógł oglądać najnowsze nabytki – dzieła starych mistrzów i impresjonistów. Specjalizował się w handlu tymi bezcennymi obrazami; do niedawna były jego największą miłością, lecz teraz, gdy tak fatalnie zauroczyło go uczucie do Arii, zeszły na drugi plan.

Wziął do ręki ostatni numer „Il Giorno” i ponownie przeczytał wiadomość o śmierci Klaudii Galli. Gazeta donosiła, że jej brat, sławny finansista Pierluigi Galli, został aresztowany pod zarzutem morderstwa. Przebywał w areszcie w Mediolanie, bez możliwości złożenia kaucji, do czasu zakończenia śledztwa. Carraldo znał Klaudię, spotkał ją kilkakrotnie na przyjęciach w Paryżu i Nowym Jorku. Uważał, że jest typową przedstawicielką pewnego rodzaju kobiet, które pojawiają się zawsze na ekskluzywnych imprezach dobroczynnych i przeróżnego rodzaju „otwarciach”, chociaż w jego opinii była bardziej atrakcyjna niż większość z nich, ponieważ w niczym nie przypominała wieszaka na ubrania. Była zaokrąglona tam, gdzie trzeba, i nie szczędziła widzom swych bujnych wdzięków. Raz czy dwa robiła do niego oko i wiedział, że mógłby ją mieć na skinienie, lecz ta łatwość go nie pociągała. Smutne jednak, że Klaudia zginęła taką śmiercią. Dziwne, że wydarzyło się to właśnie teraz, gdy ona i jej brat zgłosili prawa do spadku po Poppy Mallory i wkrótce mogła stać się bogata.

Usiadł wygodnie w fotelu i założył ręce na piersi. Pomyślał o Pierluigim. Krążyły pogłoski, że ma trudności na giełdzie i poważnie nadużył swego kredytu. Zaledwie mała grupa osób, które działały w tej samej branży, domyślała się, jak rozpaczliwa jest jego sytuacja. Pierluigi mógł więc mieć motyw, by zabić Klaudię. Motywem był majątek Poppy Mallory.

Carraldo widział kiedyś przelotnie Pierluigiego wraz z Klaudią w Nowym Jorku i odniósł wrażenie, że ten człowiek kryje pod powłoką chłodu gniew lub cierpienie. Ocenił go trafnie, ponieważ Pierluigi wydał mu się podobny do niego samego. Teraz przypomniał sobie tamto wrażenie i pogрузzył się w zadumie.

Kelner przyniósł Mike’owi „Il Giorno” razem ze śniadaniem. Nawet przy swojej skromnej znajomości włoskiego Mike zrozumiał wielkie nagłówki. Klaudia Galli nie żyje, a jej brat, Pierluigi, siedzi w więzieniu, oskarżony o to morderstwo.

Gwizdnął głośno ze zdumienia. Kto by pomyślał? Czyżby powodem były pieniądze Poppy Mallory? Wystarczyłoby ich w zupełności dla dwojga. Nagle

przypomniawszy sobie z niepokojem wyraz skrywanej pasji w ciemnych oczach Pierluigiego i doszedł do wniosku, że całe zdarzenie nie jest aż tak niewiarygodne.

Wieczorem udał się do Palazzo Rinardi. Gdy zasiedli do obiadu w ośmiokątnej jadalni, Francesca oznajmiła, że wcale nie jest zaskoczona tą nowiną. Pierluigi jest wprawdzie dziwakiem, lecz ma wiele dumy.

– Pewnie miał już dosyć szargania w błocie ich nazwiska – orzekła bez cienia współczucia. – Klaudia zasłużyła sobie na taki koniec.

– Mamo! – krzyknęła zaszokowana Aria.

– A co ty o tym myślisz, Ario? – spytał ją Mike.

Zwróciła na niego wielkie ciemnoniebieskie oczy zasnute smutkiem.

– Wie pan, właściwie nigdy ich dobrze nie znałam – powiedziała przepraszająco.

– Byli dużo ode mnie starsi i mieszkali daleko. Spotkałam ich zaledwie parę razy. Pamiętam, że Klaudia wydawała mi się bardzo ładna... Bardzo żałuję, że coś takiego się zdarzyło. Ze względu na ich oboje – dodała.

Fiametta podała risotto, które ugotowała na dzisiejszy wieczór wbrew kategorycznym zakazom Franceski. Jeszcze chwilę kręciła się przy stole w oczekiwaniu na opinię Mike'a. W swoim falbaniastym odświętnym fartuchu przypominała napuszonego ptaka.

– To straszne – pociągnęła nosem i otarła oczy skrajem fartucha. – Z Klaudivi była kiedyś taka ładna, pełna życia dziewczuszka. Biedny Pierluigi, ojciec zawsze trzymał go krótko. Po śmierci matki zabrakło miłości w ich domu. Aleksander to był dziwny człowiek, naprawdę dziwny...

– Wystarczy, Fiametto – przerwała jej Francesca.

– Przepyszne risotto – pochwalił Mike i uśmiechnął się do staruszki z sympatią. – Rzeczywiście, najlepsze w Wenecji.

Fiametta skinęła z zadowoleniem głową i pokuśtykała do kuchni.

– Kazałam jej podać krem ze szparagów – narzekała Francesca – ale starzeje się i dziecinnieje, więc pewnie zapomniała.

Oczy Arii i Mike'a spotkały się nad stołem.

– Wcale nie jest dziecinna – powiedziała z naciskiem Aria. – Risotto to jej specjalność. Chciała po prostu pokazać się z najlepszej strony, to wszystko.

– I z pewnością jej się udało – powiedział z szerokim uśmiechem Mike. – Jadłem już risotto w hotelu „Cipriani” i w „Barze Harry’ego”, ale to jest najlepsze.

– Próbujemy zachować pewien poziom, mimo trudnych warunków – odparła chłodno Francesca.

– Jakich znowu trudnych warunków, mamó? – wtrąciła ostro Aria. – Mówisz tak, jakbyśmy musiały żywić się okruszkami chleba i zeschniętym serem!

Mike obserwował z zainteresowaniem, jak mierzą się gniewnym wzrokiem. Były tak różne od siebie; Francesca zimna jak ryba, Aria gwałtowna i uczuciowa. Widać, że drze koty z matką. Nie miała klasycznej urody Franceski, lecz było w niej coś więcej, coś, co nieodparcie przyciągało wzrok. Przyznawał, że jest śliczna, lecz to nie to. Wciąż brakowało mu odpowiedniego określenia... i wreszcie je znalazł – zgadł, co tak zauroczyło Carralda: z Arii biła witalność i bezkompromisowa, bujna, promienna młodość.

– Przepraszam pana za niegrzeczne zachowanie mojej córki – powiedziała Francesca lodowatym tonem, na dźwięk którego Aria zgarbiła się w milczeniu po swojej stronie stołu. – Dzieci w żadnej sprawie nie dzielą punktu widzenia rodziców. To się chyba nazywa konflikt pokoleń.

Fiametta sprzątnęła talerze i podała kurczę w sosie cytrynowym.

– To stara wenecka potrawa – wyjaśniła Aria Mike’owi. – Prawdopodobnie przejęliśmy ją od Maurów lub Turków. Fiametta zna wszystkie stare przepisy, prawda? – Chwyciła za rękę przechodzącą obok staruszkę.

Mike zauważył, że w spojrzeniu, jakie wymieniły między sobą, było szczere przywiązanie.

– Ario, powiedz mi o swojej babce – poprosił. – Znałaś ją?

– Babkę Marię-Krystynę? – spytała zaskoczona dziewczyna. – Na litość boską, nie. Umarła długo przed moim urodzeniem. Tato nieczęsto o niej wspominał. Najwyraźniej była trochę flirciarą – ciągnęła beztrudno, zabierając się do kurczaka –

i wiecznie uganiała się za mężczyznami.

– Ario! – krzyknęła wstrząśnięta Francesca. – Nie powinnaś tak się wyrażać o swojej babce!

– Daj spokój, mam, przecież wiesz, że to prawda – uspokoiła ją z uśmiechem Aria. – Maria-Krystyna była niesforną dziewczyną, tak jak Poppy.

– A Luchay? – spytał Mike. – Czy nie należał do Heleny?

– Widział pan Luchaya? Tak, to papuga od mojej ciotecznej babki Heleny. Tato przyniósł mi go po śmierci babki. Czy nie jest piękny? – dodała z entuzjazmem. – Należał kiedyś do Poppy. Musi być jedyną żyjącą istotą, która naprawdę ją znała. Nie myśli pan, że pamięć o niej jest zamknięta w tym jego małym mózdzku? My znamy różne fragmenty dziejów Poppy, jakbyśmy mieli kawałki niekompletnej układanki. A Luchay o Poppy wie wszystko. Założę się, że wie, kto jest prawdziwym spadkobiercą. Mam nadzieję, że to ja.

Mike roześmiał się głośno.

– A co zrobisz z tymi pieniędzmi, kiedy je dostaniesz? Słyszałem, że chcesz być malarką. Zdaje się, że Orlando Messenger udziela ci lekcji?

Zapłoniła się po cebulki włosów i wbiła oczy w talerz.

– Skąd pan to wie?

– Tak się składa, że w zeszłym tygodniu byłem w galerii Maze'a w Londynie i widziałem wystawę prac Orlanda. Właściciel galerii wspomniał, że Carraldo kupił jeden z obrazów i zaangażował Orlanda jako swojego nauczyciela. Ciekaw byłem po prostu, jak wam idzie.

– Świetnie. On jest bardzo dobry. Jeśli będzie miał swobodę tworzenia, zostanie wielkim artystą.

– Moim zdaniem ten młody człowiek jest zbyt zaprzątnięty własną osobą – oznajmiła Francesca, kiedy Fiametta wniosła owoce i ser. – Osobiście nie mogę się dopatrzeć wielkich walorów w jego pracach. No cóż, Carraldo jest znawcą w tej dziedzinie, więc spodziewam się, że wie, co robi. Przynajmniej mam taką nadzieję – dodała znacząco. – Przykro mi, ale u nas nie jada się deseru – zwróciła się

przepraszająco do Mike'a. – Rozumie pan, nastolatki szybko przybierają na wadze, a nie chcemy, żeby Aria utyla przed ślubem, prawda, kochanie?

– Mamo! – jęknęła Aria przewracając oczami i wydała ciężkie westchnienie.

Mike wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu. Rozmowa Franceski i jej córki podczas obiadu przypominała nie wyrównany pojedynek szermierzy: cokolwiek dziewczyna powiedziała, matka zawsze wyprzedzała ją o krok.

Postanowił zmienić temat.

– Mówiłaś, Francesco, że macie dom pod miastem. Zapewne już go przeszukałaś, lecz czasami komuś z zewnątrz łatwiej dostrzec coś, co ujdzie uwagi domowników.

Francesca zaciekawiona podniosła na niego wzrok.

– To prawda. Dom jest stary i wielki, łatwo coś przeoczyć. Proszę bardzo, rozejrzyj się tam. Wyglądasz jak detektyw... a przynajmniej twoje książki czyta się prawie jak kryminały.

Aria z namysłem spojrzała na Mike'a. Może naprawdę uda mu się dokonać jakiegoś odkrycia? Powinna pomóc Mike'owi, leżało to w jej własnym interesie. Pieniądze Poppy były jej potrzebne, aby mogła uwolnić się od matki i Carralda oraz pomóc ukochanemu – bo Carraldo z pewnością wyjmie go spod swojej opieki, gdy dowie się całej prawdy. Miała wolny czas, bo Orlando, ku jej żalowi, musiał wyjechać na parę dni do Londynu. Powiedział jej o tym, gdy wracali z „Corte Sconta”. Odprowadzał ją do domu. Szli razem przez te same mostki i wąskie uliczki, którymi wcześniej biegła zalekniona, lecz mimo że niekiedy słychać było we mgle jakieś kroki, nie bała się ani trochę. Prawdę mówiąc, nawet nie miała kiedy, tak często przystawali, żeby się całować.

Aria zadrzała na wspomnienie jego warg na swoich. Czuła się przy nim tak swobodna i radosna, zupełnie inaczej niż z Carraldem. Kochali się głęboko, chociaż ich znajomość trwała dopiero dwa tygodnie. Nie mogła oczywiście opowiedzieć o swym szczęściu matce, która miała za nic miłość od pierwszego wejrzenia.

– Zabiorę pana do Villa d'Oro, jeśli pan chce – zaproponowała. – Pokażę panu dom.

– Przynajmniej raz wpadłaś na dobry pomysł – pochwaliła matka. – Umówcie się na wyjazd. I mam wielką nadzieję, że coś wykryjecie, bo Arii naprawdę przyda się ten spadek – dodała uśmiechając się do córki.

Aria miała nazajutrz wizytę u dentysty, więc spotkali się po dwóch dniach na parkingu na Piazzale Roma. Zjawiała się pierwsza i czekała na Mike'a w małym białym fiacie, otulona w drogą kurtkę ze strzyżonego bobrowego futra, farbowanego na ciemnoszmaragdowy kolor. Na szyi miała duży ciemnoniebieski szalik, który pasował barwą do jej oczu.

– Hej! – powitał ją Mike, gdy otworzyła mu drzwiczki. – No, no, ależ ładnie dziś wyglądasz!

– To nie ja, to futro – powiedziała z uśmiechem. – Mama kazała mi kupić coś nobliwego, na wypadek gdybym wychodziła gdzieś z Carraldem, więc kupiłam to. Oczywiście wściekła się, jak je zobaczyła, bo chciała, żebym wystroiła się w norki, ale ono bardziej do mnie pasuje. Zresztą kosztowało masę forsy – dodała, zręcznie lawirując w ruchu ulicznym na przedmieściach Wenecji – więc lepiej znajdziemy dzisiaj w willi coś, co potwierdzi moje prawa do spadku, bo naprawdę będę musiała wyjść za Carralda, żeby mama miała z czego za nie zapłacić!

Roześmiała się, lecz nie był to wesoły śmiech. Mike pomyślał o Lauren Hunter, która z trudem wiązała koniec z końcem i opiekowała się siostrzyczką. Czy mimo mylących pozorów Aria nie była przypadkiem po prostu małą zepsutą dziewczynką z bogatej rodziny?

– Nie jestem pewny, czy nasza znajomość uprawnia mnie do zadania tego pytania – powiedział ostrożnie – ale właściwie dlaczego wychodzisz za Carralda?

Aria spojrzała na niego nieufnie. Może nie powinna mówić nic pochopnego wobec człowieka, który pracował dla genewskich prawników. Z drugiej strony polubiła go. Jego typowo amerykańskie, bezceremonialne zachowanie budziło zaufanie, podobnie jak szczerą, na swój sposób przystojną twarz. Oczywiście nie był tak przystojny jak Orlando, lecz z nim nikt nie mógłby się równać. No i Mike był

starszy; musiał mieć przynajmniej trzydzieści pięć lat. Rozstrzygnęła w myśli, że to nic nie zaszkodzi, i opowiedziała mu o „chorobie” Franceski i umowie zawartej z Carraldem.

– Nie widziałam go od kilku tygodni – stwierdziła na zakończenie. – Mieliśmy ogłosić nasze zaręczyny właśnie tego dnia, gdy w gazetach ukazało się to ogłoszenie o poszukiwaniach spadkobierczyni. Był w Londynie i zadzwonił, że nie zdąży wrócić w porę, więc oczywiście ceremonia została odłożona. Potem, kiedy mama i Fiametta wyjawily mi, że to ja jestem osobą, której szukają, pomyślałam, że może jednak nie będę musiała za niego wyjść. Od tamtej pory rozmawiałam z nim tylko raz czy dwa i powiedziałam, że chcę poczekać. Był dla mnie bardzo miły, odniósł się do mojej prośby ze zrozumieniem, ale...

– Ale?

– Ale myślę, że sprawiła mu przykrość – dokończyła cichutko. – Chyba mu naprawdę na tym zależało.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Mike spytał:

– To Fiametta mówiła, że należy ci się spadek?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

– Chyba pan nie sądzi, że uwierzyłabym matce, gdyby mi oznajmiła taką rewelację?

– A co sądzisz o młodym Messengerze? – spytał czekając, że mu powie, iż Orlando również ubiega się o spadek.

Zaczerwieniła się i mocniej zacisnęła ręce na kierownicy.

– Orlando jest bardzo fajny – odparła szybko. – Wiem, mama myśli inaczej, ale ja wierzę, że kiedyś zostanie wielkim malarzem. Carraldo chyba też tak uważa, bo inaczej po co by mu pomagał?

Mike uznał, że Aria ma rację. Zamyślił się. Dzwonił wczoraj do pensjonatu, w którym mieszkał Orlando, lecz powiedziano mu, że pan Messenger wyjechał do Londynu i wróci dopiero za kilka dni. Aria wyraźnie nie miała pojęcia o tym, że on również zgłosił roszczenia do spadku, i Mike był ciekaw, dlaczego Orlando ukrył to

przed nią. Może bał się, że jeśli wiadomość dotrze do uszu Franceski, stanie się pretekstem do odprawienia go? Lub że Aria tak rozpaczliwie pragnie tych pieniędzy, iż nie będzie chciała go widzieć na oczy? Na pewno nie, bo sądząc z wyrazu jej oczu i ciągłych rumieńców, w powietrzu wisiał jakiś romans!

Jedna wszakże sprawa nie ulegała wątpliwości. Carraldo z pewnością wiedział, że Orlando zgłosił prawa do spadku po Poppy Mallory. Na pewno zasięgnął informacji, jakie są szanse Arii na odziedziczenie majątku; był tego rodzaju człowiekiem, który zawsze zdobywa potrzebne wiadomości. Mike założyłby się o swoją ostatnią parę butów, że Carraldo uczyni wszystko, żeby Aria nie dostała pieniędzy Poppy. Wątpliwe było również, czy przyjąłby spokojnie fakt, że Aria wystawiła go do wiatru i uciekła z innym mężczyzną. Dziewczyna powinna być diabelnie ostrożna – stąpa po bardzo kruchym lodzie.

Mały fiat mknął trasą 21 do Treviso. W samochodzie panowała cisza. Nagle Aria zapytała:

– Czy pan jest prawdziwym detektywem?

– Z zawodu jestem reporterem, lecz przypuszczam, że można by mnie nazwać czymś w rodzaju detektywa.

– Czy w takim razie może mi pan pomóc? – Dodała gazu. Wyprzedziła wielką ciężarówkę, zamachała przyjaźnie do kierowcy i wpakowała się przed niego z powrotem na prawy pas. – Chyba ktoś nas śledzi. Za ciężarówką jedzie czarny peugeot. Siedzi nam na ogonie, odkąd ruszyliśmy z Piazzale Roma.

Mike obejrzał się przez ramię w samą porę, by dostrzec czarny samochód, który wychynął zza ciężarówki i wsunął się na pas za nimi.

– No widzi pan, mam rację. Za każdym razem, gdy ja wyprzedzam, on robi to samo, ale ciągle trzyma się z tyłu i nie próbuje wyjechać przed nas. Sprawdziłam to, bo przez jakiś czas jechałam wolniej.

Mike znów zerknął na samochód. Kierowca z twarzą niewidoczną pod daszkiem ciemnej szoferskiej czapki utrzymywał stałą odległość za fiatem.

– To główna autostrada, Ario. Może ten facet po prostu wraca do Treviso i w ten

sposób ułatwia sobie jazdę.

– Nie, to musi być coś innego. Od kilku dni mam wrażenie, że ktoś za mną chodzi. – W oczach Arii czaił się strach, gdy opowiadała Mike’owi o krokach we mgle. – A wczoraj, nawet za dnia, cały czas czułam, że jestem obserwowana. Wie pan, taki nieprzyjemny dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Byłyśmy z matką w teatrze i mogę przysiąc, że ktoś szedł za nami w drodze do domu. Na ulicy był jeszcze duży ruch. Oglądałam się ciągle, ale jak miałam poznać, kto to był? Nikt z idących za nami niczym się nie wyróżniał, ale czułam wyraźnie, że ktoś nas śledzi.

– Powiedziałaś matce?

– Jasne, że nie. Nie wypuściłaby mnie za próg, gdyby się dowiedziała.

– Dlaczego ktoś miałby cię śledzić? – spytał i w tej chwili przyszedł mu do głowy Carraldo.

– Wiadomo przecież, że mam szansę dostać majątek Poppy Mallory – powiedziała Aria. – Notatki o poszukiwaniu spadkobierczyni ukazały się w całej włoskiej prasie. Może chce mnie porwać dla okupu! – Spojrzała na niego, a potem we wsteczne lustro na małego czarnego peugeota, który wciąż utrzymywał taki sam dystans. – Boję się, panie Preston.

Mike pomyślał o Klaudii, którą zamordowano zaledwie kilka dni temu, o Pierluigim, który siedział w więzieniu. A teraz znowu Aria obawia się, że grozi jej porwanie lub coś jeszcze gorszego. Wszystko z powodu majątku Poppy Mallory. Dziedzictwo, które wydawało się takim darem niebios, zaczynało przypominać przekleństwo.

– Sprawdźmy go jeszcze raz – zaproponował. – Zatrzymaj się na poboczu przy tej kafejce.

Aria błyskając migaczem skręciła w boczny zjazd i zatrzymała wóz przed stacją benzynową i kawiarnią. Oboje odwrócili się czekając na tajemniczy samochód. Ten jednak nie nadjechał.

– Może jednak się myliłam – stwierdziła Aria z nerwowym śmiechem. – Matka zawsze mówi, że mam zbyt bujną wyobraźnię.

– Skoro już tu jesteśmy, zróbmy sobie krótki odpoczynek i napijmy się kawy – zaproponował Mike.

W przyjacielskiej atmosferze, opierając się łokieć przy łokciu o kontuar, popijali małymi łyżkami parującą kawę cappuccino i zajadali na spółkę trójkątny kawałek tortu czekoladowego.

– Chciałbym cię o coś spytać – odezwał się nagle Mike. – Czy Carraldo wie o tobie i Orlandzie?

Aria przestała jeść i zlizwała nerwowo kawałek czekoladowego kremu z warg.

– Co o mnie i Orlandzie?

– No... – Wzruszył znacząco ramionami.

– Nie, nic nie wie – przyznała cicho. – To zresztą trwa dopiero od kilku dni. A właściwie jak pan odgadł?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Sam nie wiem, miałem takie przeczucie. Musisz koniecznie coś zrobić z tym dziewczęcym rumieńcem.

Znów oblała się pąsem i utkwiała wzrok w czubkach butów. Namyślał się, czy nie powiedzieć jej, że Messenger zgłasza pretensje do spadku, lecz w końcu zrezygnował. Może Orlando sam niedługo jej to powie? Lepiej się nie wtrącać w sprawy zakochanych.

– Nie myślisz, że to może Carraldo kazał cię śledzić? – poruszył inny temat.

Aria poderwała gwałtownie głowę i spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Carraldo nie zrobiłby czegoś podobnego! Ma do mnie zaufanie. Jak na razie niczym sobie nie zasłużyłam, by mi nie wierzył.

Mike skwitował to skinieniem głowy.

– W porządku. No to jedźmy.

Rozglądał się za małym czarnym peugeotem, lecz ten przepadł bez śladu. Arii wkrótce wyleciały z głowy wcześniejsze obawy. Wreszcie dojechali do Villa d’Oro.

– Co za przepiękny dom! – Mike’owi wyrwał się okrzyk zachwytu.

Imponujący podjazd zaokrąglął się przed kremowym, ozdobionym stiukami

budynkiem. Kamienne schody z dwiema klasycznymi rzeźbami naturalnej wielkości, przedstawiającymi młode rzymianki z rękami wyciągniętymi w geście powitania, prowadziły na obszerny portyk wsparty na czterech marmurowych kolumnach. Każde skrzydło miało trzy rzędy kwadratowych okien z ciemnozielonymi okiennicami, rozmieszczonych symetrycznie po obu stronach masywnych dwuskrzydłowych drzwi wejściowych, a na rogach płaskiego dachu stały cztery marmurowe klasyczne posągi.

– Jest piękny – potwierdziła Aria – ale są inne, jeszcze wspanialsze. Gdyby pan zobaczył Rotundę, pałacyk projektu Andrei Palladia, położony pod Vicenzą, zrozumiałby pan, o co mi chodzi. Ale wchodźmy do środka, czeka nas masa roboty.

Wnętrze urządzone z wielkim smakiem weneckimi antykami, lecz wszędzie leżał kurz, jakby od dawna nikt tu nie mieszkał. Mike zauważył na ścianach duże, odcinające się jasne plamy w miejscach, gdzie niegdyś wisiały obrazy.

– Zostały oddane w depozyt do muzeum – wyjaśniła Aria. – Nie mogłyśmy sobie pozwolić na ich ubezpieczenie, a poza tym nie można tu zachować odpowiedniej temperatury ani wilgotności.

W holu pojawił się mężczyzna w płóciennej czapce. Przedstawiła go Mike'owi:

– To jest Alfredo. On i jego żona opiekują się tym domem. W czasach mojego pradziadka było tu chyba ze trzydzieści osób służby, ale dzisiaj mało kto może sobie pozwolić na taki luksus.

– Czekaliśmy na panienkę, signorina – oznajmił Alfredo. – Dzwoniła do nas pani baronowa. Kazała przygotować posiłek na wpół do drugiej.

Aria roześmiała się serdecznie.

– Można polegać na mamie, że nie zaniedba żadnej z form towarzyskich. No dobrze, Mike, od czego zaczynamy?

– Może od gabinetu – zaproponował, lecz gdy tylko go zobaczył, wiedział, że to chybiony pomysł. W pomieszczeniu panował nienaganny porządek, a na biurku, na którym nie było ani pyłka kurzu, leżał porządnie ułożony papier listowy, koperty i znaczki w małych przegródkach, przygotowane do poważnego zajęcia, jakim było

pisanie listów.

– Może rozejrzemy się po domu i sprawdzimy, gdzie pana najdzie to tajemnicze przecucie? – zaproponowała Aria uśmiechając się do niego przekornie. Była przy tym tak ładna... doprawdy, trudno było winić Carralda i Orlanda za to, że obaj się w niej zakochali.

– Villa d'Oro została odnowiona na początku naszego wieku – zaczęła Aria. – Stało się to w czasie, gdy rodzina Rinardich dorwała się do pieniędzy Konstantów i, co tu dużo mówić, wydawali je garściami. Zdaje się, że budynek był prawie w ruinie, gdy Felipe Rinardi zabrał się do remontu. Odrestaurował te wszystkie cudowne reliefy ściennie i freski na sufitach, a oprócz tego wybudował tamę i osuszył teren. Naprawdę wielka szkoda, że posiadłość znów jest tak zaniedbana, ale mama chce doprowadzić ją do porządku, jak dostaniemy pieniądze.

Mike zauważył, że nie powiedziała: „jeśli”. Wydawała się pewna swego, chociaż jak dotychczas nie wyszły na jaw żadne konkretne dowody. Szedł za nią przez sypialnie i gotownię, łazienki i pokoje do szycia, salony na piętrze i pokoje poranne na parterze, pomieszczenia, w których trzymano strzelby i buty, zmywalnie i schowki z zastawą stołową, nie mówiąc o bibliotece, wielkim salonie oraz jadalni ze stołem, przy którym mogło zasiąść trzydziestu biesiadników, i kryształowym żyrandolem ważącym na oko kilka ton. Zjedli tam niewyszukany posiłek, składający się z makaronu, sałatki i sera, i zapili go butelką miejscowego wina.

– Co jest na strychu? – spytał przy kawie.

– Dach jest płaski, więc nie ma tu prawdziwych strychów, tylko pomieszczenia dla służby na poddaszu. Chyba nikt tam nie zaglądał od wielu lat.

– To brzmi obiecująco – stwierdził, przypomniawszy sobie odkrycie w domu Hilliarda Konstanta.

Poprowadziła go dusznym korytarzykiem i pokazała kilka izdebek, w których stały zardzewiałe żelazne łóżka i nędzne drewniane szafki. Na pierwszy rzut oka widać było, że tu nie kryje się żaden skarb.

Zeszli po sosnowych schodach w rejony kuchni. Szarzało już.

– Może w bibliotece będziemy mieli więcej szczęścia – powiedział Mike bez większej nadziei. Wyglądało na to, że w Villa d’Oro regularnie usuwano osad starych rodzinnych szpargałów i nie oszczędzano pamiątek z przeszłości.

– Ojciec zawsze tu pracował – powiedziała Aria i usiadła za solidnym, godnym buchaltera biurkiem w bibliotece. – To było jego biurko. Mama go nie cierpi, zawsze chciała je wyrzucić albo przestawić w jakieś mniej widoczne miejsce, ale ja nie pozwoliłam. – Spojrzała na Mike’a ze smutkiem, a jej usta zarysowały się miękką dziecienną linią. – Pan by go polubił. Umarł, gdy miałam zaledwie sześć lat, ale ciągle go pamiętam. Pamiętam, jak siedziałam mu na kolanach, tu, przy tym biurku, i ten dzień, kiedy przyniósł Luchay’a. I pamiętam jego pogrzeb i jak trzymałam wtedy Carralda za rękę. Śmieszne, wtedy uważałam go za coś w rodzaju opoki, która zawsze będzie mnie ochraniać. Widać z tego, jak się można pomylić – dodała gorzko. Wzruszyła ramionami, jakby otrząsając się ze wspomnień, podeszła do półki i zdjęła z niej duży, oprawiony w skórę album. – Chciałby pan zobaczyć fotografię ze ślubu Angel? – spytała. – Są też tu zdjęcia jej dzieci.

– Jasne, że chciałbym – odparł z zapalem Mike.

– To ona w dniu ślubu. – Aria wskazała wyblakłą sepiową odbitkę, która przedstawiała prześliczną blondynkę o olśniewającym uśmiechu, spowitą w chmurę tiulowego welonu. – Była bardzo piękna – dodała z westchnieniem. – Niestety, żadne z dzieci się w nią nie wdało. To moja babka Maria-Krystyna. A to Helena.

Mike spojrzał ciekawie na dwie siostry. Były zarazem podobne i różne od siebie. Maria-Krystyna miała bardzo jasne włosy i błyszczące oczy, robiła wrażenie osoby żywiołowej. Helena patrzyła bez uśmiechu w obiektyw wielkimi oczami o tajemniczym wyrazie. Ona również była blondynką, choć jej włosy były o ton ciemniejsze. Nie było w niej śladu żywości i blasku siostry.

– A to jest Aleksander. – Aria wskazała poplamioną brązową fotografię chłopczyka w wieku mniej więcej sześciu lat, który stał sztywno wyprostowany w sportowej marynarce i obcisłych spodenkach. Na stoliku przy nim leżało pudło z parą wspaniałych strzelb. Było jeszcze kilka zdjęć Angel i córek w starszym wieku,

lecz żadnego więcej zdjęcia jej syna i ani jednej podobizny męża.

– Chyba chciała się z nim rozwieść – mówiła Aria. – W każdym razie saga rodzinna głosi, że wyjechała do Kalifornii i wróciła do Włoch dopiero po jego śmierci. Nie wiadomo o tym zbyt wiele, a wielka szkoda. Gdyby nie byli tak pruderyjni i nie kryli tak gorliwie różnych rodzinnych skandali, łatwiej byłoby nam dowiedzieć się prawdy.

– Mimo to pomalutku wszystko zaczyna do siebie pasować – stwierdził Mike składając w myśli strzępki informacji, jakie zdobył w rozmowach z różnymi ludźmi. Jeszcze kilka wskazówek i uda mu się zrekonstruować kolejne lata życia Poppy. Wiedział, że w tym domu musi się kryć coś ważnego, lecz by to znaleźć, potrzebował więcej czasu.

Na dworze było już ciemno, o szyby uderzył nagle deszcz ze śniegiem.

– Robi się późno – powiedziała Aria. – Musimy wracać.

– Czy nie moglibyśmy zostać na noc? – spytał nieoczekiwanie. – Na dobrą sprawę nawet nie zaczęliśmy szukać.

Zawahała się, a potem wyjaśniła ze skrepowaniem:

– Matka nie byłaby zadowolona, gdybym została tu sama, bez niej albo Fiametty jako przyzwoitki. Ale pan śmiało może tu nocować. Poproszę Alfreda i jego żonę, żeby przygotowali panu pokój. Będzie pan mógł wtedy pracować tak długo, jak się panu podoba.

– Lepiej chyba będzie, jak z tobą wrócę – odparł z powątpiewaniem, przypominając sobie jej obawy, że jest śledzona.

– Proszę się nie martwić, dam sobie radę. Wezmę wodną taksówkę z parkingu na Piazzale.

Pomachał jej na pożegnanie. Gryzło go trochę sumienie, bo czuł, że powinien jej towarzyszyć, lecz przeważyła ciekawość. Zbyt mocno kusiła go biblioteka i cały wielki dom z pilnie strzeżonymi tajemnicami. Musiał poznać dalsze losy Poppy.

Alfredo rozpałił na kominku w bibliotece i zaciągnął ciężkie kotary z zielonego aksamitu. Na małym stoliku ustawił srebrną tacę z nie napoczętą butelką whisky i

karafką brandy. Mike stał przy kominku i próbował cofnąć się myślą do początku stulecia. Wyobrażał sobie piękną Angel, jej przystojnego męża, a później dzieci, które im się urodziły. Wiedział już sporo o Angel i nieco o Poppy. Jediną osobą, o której nie miał najmniejszego pojęcia, był Felipe Rinardi.

Usiadł przed ogniem i popijając whisky myślał o Felipe, człowieku, który nie szczędził kosztów na remont Palazzo Rinardi i Villa d'Oro, mimo iż wydawał na to cudze pieniądze; człowieku, który był dla swych bliskich znieawidzonym tyranem.

Zaczął myszkować po bibliotece, przeglądając oprawione w skórę tomy, których szeregi zapełniały ściany od podłogi do sufitu. Pod literą R zauważył kilka kartonowych pudeł w marmurkowy wzór, jak teczki na akta, podpisanych „Paolo Rinardi – Poeci epoki romantyzmu”. Zdjął je z półki i zaniósł na to samo biurko, przy którym Paolo pisał dzieło swego życia. Po jego śmierci ktoś – zapewne Francesca – zgarnął niedbale owoc jego pracy i wepchnął w kąć na wieczne zapomnienie.

Mike otworzył pierwsze pudło i przejrzał zawartość. Arkusze były pokryte zwartym, misternym pismem, któremu nie mogła sprostać jego kiepska znajomość języka włoskiego. Odłożył pudło na miejsce i otworzywszy pozostałe dwa, przewertował schowane w nich papiery. Trzecie zawierało na pierwszy rzut oka tylko notatki Paola i materiały pomocnicze do książki. Przeglądał je, nie spodziewając się trafić na nic godnego zainteresowania, gdy nagle zauważył, że niektóre strony są napisane po angielsku.

To był list napisany dużymi, rozwlekłymi literami, z nagłówkiem „Ranczo Santa Vittoria”.

Droga Mario-Krystyno,

od dawna już nie miałam od Ciebie żadnych wiadomości. Napisz, proszę, czy Ty i Helena jesteście zdrowe. Bardzo się o Was martwię i bezustannie myślę, co porabiacie. Dziś smutek i samotność są szczególnie dotkliwe, ponieważ spotkałam kogoś, kto był mi kiedyś najbliższą przyjaciółką, więcej – siostrą. Niekiedy mi ją przypominasz i zastanawiam się wówczas, co sprawia, że Ty i ja należymy do tak

odmiennych typów kobiet? Czy każda z nas odziedziczyła inne geny po przodkach, czy też może charakter człowieka jest kwestią zwykłego przypadku? Nie wspominałam nigdy o Poppy, o tym, jak była mi bliska, lecz teraz chcę Ci opowiedzieć o niej i o czasach mojej młodości. Kiedyś słuchałam tylko głosu serca, lecz życie przyniosło mi wiele gorzkich doświadczeń. Przekonałam się, że miłość nie trwa wiecznie – może powoli wygasać lub umrzeć nagle, zabita przez czyjąś podłość i okrucieństwo. Teraz pozostała mi tylko miłość do Ciebie, Twojej siostry i biednego małego Aleksandra. Opiekuj się siostrą, Mario-Krystyno; ona potrzebuje Twojej pomocy. Nie potrafi troszczyć się sama o siebie. Zawsze nadmiernie ją chroniłam, więc nigdy nie wyrobiła w sobie tej odporności, jaką masz Ty. Opowiadam Ci o Poppy, abys wiedziała, co zaszło między mną a Twoim ojcem...

List liczył kilkanaście stron. Mike przerzucił je szybko, by znaleźć podpis. Wypisany staroświeckim pismem, brzmiał: „Twoja kochająca matka, Angel Konstant Rinardi”.

Trzymał mocno kartki w dłoni drżąc niemal z podniecenia. Miał wreszcie odpowiedź, oto była w jego rękach. Maria-Krystyna przekazała list swemu synowi, Paolo, a on go zachował – na wypadek, gdyby jego dzieci chciały kiedyś poznać prawdę.

Przysunął bliżej lampę i zatopił się w lekturze nierównych linijek pisma, pochłonięty bez reszty tym, co Angel miała do powiedzenia córce. Po półgodzinie wyprostował się na krześle i próbował ułożyć w głowie nowe wiadomości. Nie dawały one ostatecznej odpowiedzi, bo Angel nie zdradziła córce całej prawdy, jednak wypełniły treścią następne rozdziały życia Poppy.

Rozdział 26

1898, WŁOCHY

Upał, który już we Florencji dał im się we znaki, w Rzymie stał się trudny do zniesienia, a w Wenecji był taki, że rozgrzane powietrze, nie poruszane najmniejszym nawet powiewem wiatru, przesłaniało wszystko migocącą mgiełką.

Poppy, która znów wypuściła się samotnie na jedną ze swoich sekretnych popołudniowych przechadzek, przeszła przez plac św. Marka i przekroczyła próg cienistego wnętrza kawiarni „Florian”, gdzie panował rozkoszny chłód. Usiadła pod oknem przy okrągłym stoliku z marmurowym blatem, zamówiła mrożoną herbatę i powtórnie zaczęła czytać list od Grega. Był bardzo serdeczny i braterski, z wyjątkiem samego zakończenia: „Nie zapominaj o mnie, Poppy. I pamiętaj, że cię kocham”. Ona również szczerze kochała Grega, lecz nie miało to nic wspólnego z porywającą namiętnością, jaką według niej była miłość. Wzdychając schowała list do torebki. Uwagę jej przyciągnęły apetyczne ciastka, ułożone na srebrnych tacach. Przyłożyła palec do rozchylnych ust i namyślała się nad wyborem.

– Polecam pani tort orzechowy – odezwał się po angielsku stojący obok mężczyzna.

Poppy szeroko otworzyła oczy.

– Skąd pan wie, że jestem Amerykanką?

– Prosta dedukcja. Łatwo poznać, że nie jest pani Włoszką, choć ma koloryt arcydzieła Tycjana. Nie jest pani również zimna i wyniosła jak Francuzki, choć nosi elegancką paryską toaletę. Wykluczyć też należy pochodzenie nordyckie czy niemieckie, choć jest pani słusznego wzrostu. I nie jest pani Angielką, choć mówi tym językiem.

Roześmiała się z aprobatą.

– To bardzo inteligentny wywód. Dziękuję za radę, ale myślę, że jest dziś za gorąco na ciastko.

– Więc może zje pani porcję granity? To wyśmienity mrożony deser. Będę zachwycony, jeśli pozwoli mi pani dokonać zamówienia. W końcu jest pani gościem w moim kraju i poczytuję sobie za obowiązek pokazać pani wszystko co najlepsze.

Oczy Poppy rozbłysły. Ciotka Melody z wielkim naciskiem zabroniła im rozmów z nieznanymi – lecz ciotka Melody smacznie spała za zamkniętymi okiennicami w Palazzo Gritti i nie miała pojęcia, dokąd wypuściła się jej podopieczna. A ten nieznanomy był taki przystojny! Wysoki i smukły, z wystającymi kośćmi

policzkowymi, dzięki którym jego piękne zielonkawe oczy wydawały się głębiej osadzone, co nadawało im romantyczny wyraz. Poppy tak wyobrażała sobie biedujących artystów. Gęste włosy miał gładko zaczesane z czoła, a ręka, którą do niej wyciągnął, była smukła, o długich jak u muzyka palcach.

– Oczywiście zanim zgodzi się pani zaszczyścić mnie rolą swego przewodnika, najpierw powinienem się przedstawić – powiedział. – Baron Felipe Rinardi. – Musnął jej dłoń chłodnym pocałunkiem. Od dotyku jego warg Poppy przebiegł elektryzujący dreszczyk. – Wiem, że damy nie zwykły zawierać znajomości w kawiarni – ciągnął z czarującym uśmiechem – ale mogę przedłożyć znakomite referencje. Moja rodzina jest jedną z najstarszych w Wenecji i przychodzę tu, do „Floriana”, od moich lat dziecińczych. Jeśli pani chce, może zażądać potwierdzenia u tutejszej obsługi.

Poppy zaśmiała się zachwycona, a on skinął na kelnera.

– Carlo! – zawołał. – *Una granita cioccolata per la bella signorina!* – Znow spojrzął na Poppy urzekającymi zielonkawymi oczami. – *Permesso?* – spytał i nie czekając na pozwolenie usiadł przy niej na obitej czerwonym materiałem kanapce. Poppy spojrzała na niego z nagłą nieufnością. – Niech mi będzie wolno zgadnąć, skąd pani pochodzi – podjął rozmowę. – Zapewne zrodziły panią gęste lasy Północy, gdzie nie dociera słońce, i stąd ta mlecznobiała cera? Nie... w morskim błękicie pani oczu i zarysie ust, a także tych piegach, jak smuga złotego pyłu przecinających piękny nosek, jest coś z południowego ciepła. Czy więc pochodzi pani z Południa? Z kraju rozlewisk, dębów porośniętych mchem i wielkich plantacji? Lecz nie ma pani w sobie rozleniwienia prawdziwej piękności Południa. – Westchnął dramatycznie. – Muszę przyznać, że gubię się w domysłach. A przy tym nie znam nawet pani imienia.

– Mam na imię Poppy – powiedziała olśniona jego elokwencją.

– Poppy? Cudownie, to imię idealnie do pani pasuje. Poppy, *che bella*. Poppy... i jak dalej?

– Poppy Konstant – odparła bez namysłu, oblewając się ognistym rumieńcem.

– Konstant? To bardzo oryginalne nazwisko.

Kelner postawił właśnie przed nią czarę z mrożonym musem czekoladowym. Poppy w przygnębieniu spuściła na nią wzrok. Nie powinna była tak się przedstawiać, lecz te słowa same wymknęły jej się z ust, jakby przemówiło przez nią głębokie pragnienie, by stać się jedną z Konstantów.

– To rosyjskie nazwisko – wymamrotała. – Skrót od Konstantinow.

– Czyżby Rosjanka? Nie, na Rosjanę również pani nie wygląda – stwierdził Felipe z uśmiechem. – Proszę tego spróbować i powiedzieć, czy to nie najwspanialsza rzecz na świecie w gorące weneckie popołudnie.

Oparty wygodnie, założył ręce na piersi i obserwował Poppy, a ona podnosząc do ust łyżeczkę, rzuciła mu z ukosa kocie, figlarne spojrzenie, w którym była nieświadoma kokieteria.

– Jeszcze pan nie zgadł, skąd jestem – przypomniała zlizując różowym spiczastym języczkiem czekoladę z warg.

– Z Kalifornii? – rzucił na chybił trafił.

Aż jej dech zaparło z podziwu.

– Jak pan to zgadł?

– A jakież inne miejsce wchodziło w grę? Jest pani prawdziwym kalifornijskim makiem... i równie piękna jak kwiat, którego imię pani nosi.

Poppy zerknęła na niego nieśmiało spod rzęs, niepewna, czy sobie z niej nie żartuje, lecz wyglądał całkiem poważnie. Ze zmieszania nie umiała wydusić ani słowa. Żałowała, że nie przysłuchiwała się uważniej rozmowom starszych dziewcząt na wieczorkach tańczących w Santa Barbara. Może wówczas wiedziałyby, co powiedzieć na taki komplement. Gorączkowo nabrała następną łyżeczkę mrożonej czekolady.

– Poppy – odezwał się Felipe z powagą – czy zjadłaby pani ze mną dzisiaj kolację?

– Ależ skąd! – wykrzyknęła. – Ciotka Melody nie wie nawet, że wyszłam sama. – Znów spuściła oczy, myśląc z rozpaczą, że wszystko zepsuła. On teraz pomyśli, że

jest smarkatą pensjonarką, za którą wszędzie biega przyzwoitka.

– W takim razie może zaprosimy również ciotkę Melody? – zaproponował z uśmiechem.

– Nie, lepiej nie... Widzi pan, poza tym jest jeszcze moja siostra, Angel.

Felipe głośno się roześmiał.

– Angel, Melody, Poppy? Skąd bierzecie takie wdzięczne imiona? Rodzina Konstantów musi być niezmiernie poetyczna! Wobec tego zapraszam również Angel.

– Nie... proszę – wyszeptwała zrozpaczona. – Nie mogę. Ciotka Melody nie pozwoli... Nigdy nie spuści mnie z oka, jak się dowie, że wyszłam sama, a co dopiero, że rozmawiałam z nieznajomym.

Felipe wyjął łyżeczkę spomiędzy jej palców, odłożył na stolik i schował dziewczęcą dłoń w swojej.

– Ale ja muszę cię znowu zobaczyć – rzekł półgłosem, patrząc Poppy głęboko w oczy. – Nie krzywdź mnie odmową. Nigdy dotąd nie spotkałem kogoś takiego jak ty. Proszę, powiedz mi, kiedy możemy się spotkać.

Poppy poczuła słabość w kolanach i ucisk w piersiach. Nagle czas się zatrzymał i cały świat zniknął, pozostali tylko oni dwoje w zacisznym kąciaku „Floriana”. Nic innego nie istniało.

– Jutro – szepnęła mimo woli – tu, we „Florianie”...

Ogarnięta paniką z powodu własnej śmiałości porwała torebkę i pobiegła do drzwi.

– Pamiętaj, jutro, Poppy! – zawołał biegnąc za nią. – O tej samej porze...

Patrzył, jak biegnie lekko w cieniu kolumnady, rzuca mu ostatnie nieśmiałe spojrzenie i znika w labiryncie bocznych uliczek przy Salizzada San Moise.

– Panie baronie, *perdone*... – powiedział zniżonym głosem kelner, podając rachunek na srebrnej tacy.

– Zapisz to na mój rachunek, Carlo – odparł niedbale Felipe, wychodząc bez pośpiechu.

– Panie baronie, rachunek z ostatniego miesiąca wciąż nie zapłacony...

Felipe zmarszczył brwi i machnął ręką niecierpliwie.

– Nonsens, Carlo, oczywiście, że zapłacę... W swoim czasie, jak zawsze.

– *Si*, panie baronie – mruknął stary kelner. Trzęsąc głową z ubolewaniem, schował napiwek do kieszeni. Znał już kilka pokoleń Rinardich i mógł powiedzieć, że ich fortuna nigdy nie zmieniała się na lepsze.

– Poppy, na miłość boską, co się z tobą dzieje? – spytała ze skargą w głosie ciotka Melody, gdy wieczorem jadły obiad w Palazzo Gritti. – W ciągu ostatnich pięciu minut trzykrotnie westchnęłaś i co najmniej tyleż razy upuściłaś widelec!

– Przepraszam, ciociu. – Poppy wyprostowała się i spróbowała wrócić do rzeczywistości, lecz zbyt zaprzętały ją myśli o Felipe i ich spotkaniu. W wyobraźni wciąż widziała jego cudowne, zielonkawe, ocienione długimi rzęsami oczy o tak głębokim wyrazie, że patrząc w nie, odnosiło się wrażenie, iż można zajrzeć przez tę jedwabistą zasłonę aż do wnętrza jego duszy. Czowała, że Felipe ma duszę pełną romantyzmu...

– Poppy! – napomniała ją Angel, kiedy kelner zatrzymał się za jej krzesłem czekając, aż będzie mógł zabrać talerz.

– Och, przepraszam... ogromnie przepraszam – usprawiedliwiła się znów, obudzona z marzeń.

– No, dziewczynki, wybierzemy się na spacer po placu? – zaproponowała ciotka Melody. – Wieczór jest ciepły i z chęcią zaczerpnę świeżego powietrza.

– Och tak, tak, świetnie! – krzyknęła Poppy biegnąc przez sklepiony hol do drzwi w obawie, że ciotka zmieni zdanie. W sercu jej zadrzała nieśmiała nadzieja na spotkanie Felipe.

Dochodziły do placu i słyszały już dźwięki kilkuosobowej orkiestry, która grała tam popularne melodie. Poppy niecierpliwie wrywała się do przodu.

– Poppy, słowo daję! – krzyknęła z irytacją ciotka Melody. – Pędzisz jak koń wyścigowy! Wyszliśmy zażyć spaceru, moja droga, a nie lecieć na łeb, na szyję!

– Przepraszam – powtórzyła znów Poppy. – Angel, nie masz ochoty na mrożony napój? A może na porcję granity we „Florianie”? Jest tak gorąco! – dodała wachlując się przesadnie dłonią.

– Czemu by nie? – odparła zgodnie Angel. – Już mi brak tchu od tego gorąca.

– Myślę, że wstąpimy do „Quadriego” – oświadczyła ciotka Melody, kierując się stanowczo na drugą stronę placu.

Poppy jęknęła z rozpaczą, rzucając tęskne spojrzenie na długie kryształowe okna „Floriana”.

– O co chodzi, Poppy? – spytała zaskoczona Angel. – Mnie te dwie kawiarnie wydają się całkiem takie same.

– Och... nic takiego, tylko ktoś mi mówił, że we „Florianie” mają najlepszą czekoladową granitę – odparła, siląc się na uśmiech.

– Czekoladowa granita? – spytała dociekliwie ciotka Melody. – Cóż to takiego?

– To najpyszniejszy mus czekoladowy, jaki kiedykolwiek jadłaś, ciociu Melody – odparła szybko Poppy w nadziei, że skłoni ją do zmiany zdania. – Mówię ci, jest znakomity.

Ciotka Melody uniosła nieco brwi.

– Mogę spytać, skąd masz takie dokładne wiadomości o specjach „Floriana”? Przecież nigdy tam nie byłaś.

Poppy czerwieniąc się usiłowała zatuszować swoją wpadkę.

– Chyba wspomniał mi o tym ktoś w hotelu... ale oczywiście mógł nie mieć racji...

– Nigdy nie należy ufać rekomendacjom, jeśli się nie zna osoby, od której pochodzą – stwierdziła kategorycznie ciotka Melody, sadowiac się w jednym z wygodnych wiklinowych krzeseł w kawiarni „Quadri” – ale jeśli chcecie zamówić ten deser, jestem całkiem pewna, że mają tu równie dobry.

– Poppy – szepnęła Angel, gdy ciotka Melody przymknęła oczy słuchając orkiestry – jakoś dziwnie się zachowujesz. Dlaczego jesteś taka niespokojna? I gdzie poszłaś dziś po południu?

Poppy była w rozterce. Pragnęła opowiedzieć Angel o spotkaniu z Felipe Rinardim, lecz jednocześnie chciała zachować to dla siebie jak cudowny, czarodziejski sekret. Przyrzekła sobie, że za jakiś czas wszystko powie przyjaciółce.

– Och, byłam tylko we „Florianie” – odszepnęła. – Pewnie ten upał tak na mnie działa.

Nabrała na łyżeczkę kawałek mrożonego deseru i spróbowała sobie wyobrazić, że naprzeciw niej siedzi Felipe. Uśmiecha się do niej pewnym siebie, nieco ironicznym uśmiechem, mówi jej, że jest piękna jak modelka Tycjana i lekko całuje końce jej palców chłodnymi wargami. Nie mogła się doczekać, kiedy nadejdzie jutro; wyglądała go całą duszą.

Poppy zmierzyła obcisły, krótki żakiet kremowego koloru i ciepło-brązową spódnicę, które madame Marcel skopiowała z oryginalnego projektu Wortha, i zdecydowała, że jest to strój zbyt wyszukany. Odrzuciła go na bok, włożyła żółtą suknię z falbankami uszytą przez pannę Mathews i stwierdziła z rozpaczą, że wygląda w niej zbyt młodo. Jedyнным odpowiednim strojem wydawała się prosta bluzka z białego jedwabiu i ciemnozielona spódnica. Zwinęła włosy i spięła je tuzinem szpilek. Była już spóźniona. Szła spiesznie po prażących się w upale cichego letniego popołudnia ulicach i mostach, odgarniając niesforne loki, które wpadały jej do oczu i lepiły się do policzków wilgotnych od gorąca.

Wreszcie, na wpół biegnąc, dotarła na plac. Zegar na Campanili wskazywał dziesięć po trzeciej. Przyglądała nerwowo włosy i niedaleko kawiarni zwolniła statecznie kroku. Zajrzała przez oszklone drzwi, zdjęta obawą, że Felipe tam nie będzie, a potem weszła do środka.

– Poppy! Jakże się cieszę! Już myślałem, że nie przyjdiesz!

W zielonkawych oczach Felipe błyszczała radość. Poppy nie zwróciła nawet uwagi, że od razu zaczął jej mówić po imieniu. Wszystko, co robił, wydawało się słuszne i naturalne. Patrzył na nią, jakby była najpiękniejszą dziewczyną na całej kuli ziemskiej. Znów miała wrażenie, że tym jednym spojrzeniem przeniósł ją w

jakiś zaczarowany świat, w którym byli tylko oni oboje. Ujął jej dłoń w obie ręce, a ona nie odrywając oczu od jego twarzy wybąkała:

– Przepraszam za spóźnienie. Powód był najgłupszy w świecie. Nie mogłam się zdecydować, co na siebie włożyć.

Usiedli przy tym samym stoliku, „ich stoliku” – jak pomyślała w upojeniu Poppy, a Felipe zawołał tego samego kelnera o czarnym wąsiku i imieniu Carlo, aby przyniósł „*una granita cioccolata per la bella signorina*”.

– Byłam tu wczoraj wieczorem – powiedziała nieśmiało. – Rozglądałam się nawet za tobą...

– Ach, żałuję, że o tym nie wiedziałem! – wykrzyknął Felipe. – Wczoraj wieczorem jadłem kolację z wujem w naszym podmiejskim pałacyku. Znajdujemy w nim schronienie przed letnimi upałami. To miejsce jak z bajki! Są tam przepiękne ogrody, a w nich mnóstwo wodnych kaskad i tajemniczych grot. Kiedyś cała ta posiadłość z pałacykiem i ogrodami będzie należała do mnie! – dodał z dumą. Nie powiedział natomiast, że wspaniałe ogrody, zaplanowane i zasadzone przez jego przodków, zarosły chwastami, rozległe grunty, pola i winnice nie wydawały już plonów po latach zaniedbania, chaty wieśniaków rozsypywały się ze starości, a zapadnięty dach pałacyku przeciekał.

– Ten bajkowy pałacyk będzie należał do ciebie? – powtórzyła Poppy bez tchu. Zakłopotana pomyślała, że zapomniał puścić jej rękę, ale zostawiła dłoń w jego ciepłych palcach.

Skinął twierdząco głową.

– Mój ojciec i matka zmarli, gdy Miałem siedem lat. Wychował mnie wuj Umberto, a mieszkaliśmy w Villa d’Oro i w naszych dwóch pałacach, tu w Wenecji.

– Masz aż dwa pałace? – westchnęła z podziwem.

Wzruszył bagatelizująco ramionami.

– Jeden to rodowa siedziba Rinardich. Drugi należał do rodziny mojej babki. Niestety, pozostawiony własnemu losowi niszczał już tak, że nie sposób go odremontować. Utrzymanie tych starych budowli pochłania wielkie sumy; zimowe

powodzie dają się im mocno we znaki, fundamenty, na których stoją od stuleci, są podmywane przez wodę. Naprawy pochłaniają całe nasze dochody – dodał usprawiedliwiająco.

– Ale to taki wspaniały cel! – stwierdziła z zapalem. – Cóż może być cudowniejszego, niż mieszkać w weneckim pałacu i mieć własną gondolę przycumowaną do jednego z tych ślicznych, pomalowanych w paski palików. To żyć jak w bajce!

Uścisnął z wdzięcznością jej rękę.

– Musisz obejrzeć Palazzo Rinardi. Stoi tu od piętnastego wieku i przysięgam, że ma niepowtarzalny urok.

Mus czekoladowy w czarce zdążył się rozpuścić. Poppy patrzyła jak zaczarowana na swego towarzysza.

– Piętnasty wiek! – szepnęła olśniona. – W Kalifornii nic nie jest takie stare!

Felipe odgarnął jej z oczu pasemko włosów.

– Opowiedz mi o twoim domu w Kalifornii. Bardzo jestem ciekaw, jak tam jest.

Poczuła rozkoszny dreszcz, gdy Felipe dotknął jej twarzy. Opowiedziała mu o białym dworze z dziedzińcem kolorowym od kwiatów i lśniąca w słońcu fontanną. Wszystko to wydawało się tak odległe, jakby należało do innego świata. Mówiła o wielkich stajniach i swojej arabskiej klaczy, za którą bardzo tęskniła. Odmalowała obraz rozległych pastwisk rancza Santa Vittoria, sceny zaganiania bydła i strzyży owiec. Opowiedziała o domu w Santa Barbara, o przejażdżkach na wozach z sianem i piknikach na plaży. Na koniec napomknęła o Rozalii i Niku, mówiąc z dumą: „To moi rodzice”, bo w tej chwili wydawało jej się to najprawdziwszą prawdą.

– No i jest jeszcze Angel – dodała. – Moja siostra.

– Młodsza od ciebie? – spytał leniwie Felipe.

– Nie, jesteśmy w tym samym wieku – odparła bez namysłu.

– Co? – spytał zaskoczony. – Czyżbyście były bliźniaczkami?

Poppy zaczerwieniła się, złapana na kłamstwie w chwili, gdy prawie uwierzyła w swoją historię.

– E... tak – kłamała dalej z udręką. – Angel jest ode mnie... troszkę starsza.

– I? – wypytywał dalej Felipe, unosząc brwi.

Obrzuciła go nerwowym spojrzeniem.

– I... co?

– Nie masz więcej rodzeństwa?

Oczywiście! Jak mogła zapomnieć!

– Jest jeszcze Greg – dodała szybko. – To mój brat.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ci zazdroszczę – westchnął rzewnie Felipe. –

Gdy moi rodzice utonęli w Adriatyku, zamieszkałem z wujem. Nie masz pojęcia, Poppy, jaki byłem samotny! Wuj Umberto jest kawalerem i więcej czasu spędzał w Paryżu i Londynie niż z małym chłopcem na zapadłej wsi.

– Tak mi cię żal – westchnęła, otwierając szeroko pełne współczucia oczy. Wyobraziła sobie ślicznego chłopczyka, samego jak palec w wielkim pałacu. Ta wizja była tak przejmująca, że zupełnie zatarała w jej pamięci własne nieszczęśliwe dzieciństwo.

Felipe wzruszył ramionami i uśmiechnął się dzielnie.

– To należy już do przeszłości. Dziś za to jestem we „Florianie” z najcudowniejszą dziewczyną, jaką spotkałem w całym swoim życiu.

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, spuściła oczy na srebrną czarękę, w której granita zmieniła się w czekoladową zupę.

– Z pewnością znasz wiele innych dziewcząt... – bąknęła rumieniąc się po uszy.

– Owszem, ale żadna nie jest podobna do ciebie, Poppy.

Znów nie wiedziała, co powiedzieć. Felipe wezwał Carla i wcisnął mu do ręki napiwek, odsuwając jednocześnie wyniosłym gestem rachunek. Ujął Poppy pod ramię i poprowadził ją w kierunku Riva Degli Schiavoni. Kroczyli wolno wzdłuż kanału San Marco. Poppy westchnęła głośno, uszczęśliwiona tym romantycznym spacerem. Lekki wietrzyk rozwiewał jej włosy nad spoconym czołem i dawał nieco ochłody.

Przytrzymując słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, patrzyła na lagunę i

widoczne w dali wyspy Giudecca i San Giorgio. Ich niewyraźne zarysy drżały na horyzoncie jak fatamorgana. W rozmigotanym mieście, które drzemało w letnim upale, czas jakby stanął w miejscu. Poppy nagle przeszedł dreszcz.

– Wenecja ma jakiś odwieczny czar – wyszeptała jak w transie. – To miasto jest jak kochanek, który nie chce cię wypuścić z objęć. Nawet jeśli od niego odejdziesz, wiesz, że zawsze powrócisz... – urwała nagle, zawstydzona śmiałością głośno ^powiedzianych myśli. Spuściła oczy, lękając się spojrzeć na swego towarzysza.

– Ach, Poppy – szepnął Felipe przyciskając do boku jej rękę. – To ty rzuciłaś na mnie czar.

Spotykała się z nim każdego popołudnia, lecz wciąż nie chciała przedstawić go Angel i ciotce Melody. Tkąła na ich użytek pajęczynę kłamstw, w której sama się miotąca, lecz mimo to chciała zachować go tylko dla siebie. Pierwszy raz miała kogoś, kto należał do niej w zupełności, kim nie musiała się z nikim dzielić.

Felipe zabrał ją do Palazzo Rinardi, którego przepyszna renesansowa fasada odbijała się w Canale Grande. Służący otworzył im drzwi i zniknął tak samo bezszelestnie, jak się pojawił, zostawiając ich samych w marmurowym holu o wysokim sklepieniu. Wędrowali trzymając się za ręce przez wspaniałe salony. Poppy podziwiała w nabożnym zachwycie freski i inkrustowane meble ze szlachetnych gatunków drzew. Przesunęła palcami po zimnym marmurze rzeźby, znalezionej przez archeologów starożytnej rzymskiej willi. Stąpała lekko po bezcennych jedwabnych kobiercach, wytartych poprzez stulecia. Felipe powiedział jej, że przy uroczystych okazjach, takich jak ślub, zapala się setki świec na szklanych żyrandolach z Murano, a wtedy pałac odbija się w wodzie tysiącami błysków „jak diament w świetle księżycy”.

Poppy zatrzymała się na górze szerokich marmurowych schodów i patrząc pilnie na portrety Rinardich, którzy dawno zeszli z tego świata, szukała w ich twarzach śladów podobieństwa do Felipe. Dostrzegła tu i ówdzie odbicie jego rysów i myślała, jak wspaniale jest mieć taką galerię przodków, świadectwo własnego

pochodzenia.

– Jesteś taka piękna w tej skromnej białej sukience – rzekł Felipe, gdy schodziła ku niemu wolno po schodach. – Ta chłodna biel skóry i ogniste włosy sprawiają wrażenie, jakbyś zesza z obrazu Tycjana. – I głosem drżącym z przejęcia wyszeptał: – Poppy, twoje miejsce jest w Wenecji. Och, najdroższa, kocham cię nad życie!

To mówiąc wziął ją w ramiona. Oczy Poppy błyszczały jak gwiazdy, gdy westchnąwszy ze szczęścia, wyznała mu wzajem swoją miłość. A kiedy Felipe ją pocałował, wiedziała, że to musi być miłość prawdziwa, bo w uszach czuła szum i łopot wielkich skrzydeł, które uniosły ją w nie znane dotąd przestworza.

Czas pędził niepowstrzymanie i ich ukradkowe popołudniowe spotkania miały wkrótce dobiec końca. Poppy nie wiedziała, jak wyznać prawdę Angel i ciotce Melody. Wciąż odsuwała myśl o rozstaniu i modliła się o cud, który sprawi, że wszystko samo się ułoży.

Odkryła nowy świat doznań zmysłowych i nie pragnęła niczego więcej, jak być w ramionach Felipe, czuć pieśczoć jego rąk na twarzy i szyi, a nawet szarpnięcie za włosy, gdy odchylając jej głowę do tyłu zaborczo całował ją w usta. Opanowana namiętnością pragnęła czuć na całym ciele jego pieśczoć, lecz choć i on drżał chwilami z pożądania, nie posunął się nigdy poza pocałunki.

– Co się z tobą dzieje? Albo chodzisz rozpromieniona, albo spuszczasz nos na kwintę – narzekała Angel na przyjaciółkę. – I gdzie ty znikasz na całe popołudnia?

– Och, tak sobie zwiedzam – odrzekła Poppy lekkim tonem – chodzę tylko tu i tam.

– W takim razie chyba znasz już to miasto lepiej niż jego rdzenni mieszkańcy – stwierdziła Angel. – Co za szczęście, że na jesieni, gdy zaczną się przyjęcia, pojedziemy do Paryża. Nie mogę się doczekać, kiedy poznamy jakichś przystojnych młodych ludzi. Tutaj jest tak nudno! W kółko stare rudery, stare obrazy, stare kościoły. I wszędzie ta woda!

Zostały już tylko dwa dni. Poppy wpadła w rozpacz. Tylko dwa popołudnia ukradkowych pocałunków za zasłoniętymi firankami sunącej po martwej fali gondoli, gdy ciszę zakłócał tylko plusk wiosła.

– Błagam cię, Poppy, spotkajmy się wieczorem. Nie mogę nawet przez godzinę wytrzymać z dala od ciebie – prosił Felipe, kiedy płynęli z powrotem do przystani San Marco Giardinetti.

Poppy powiedziała mu, że to niemożliwe. Tego wieczora były zaproszone na przyjęcie i kolację do amerykańskiego konsulatu. I tak drżała ze strachu, że ciotka Melody wcześniej skończy drzemkę, by mieć więcej czasu na toaletę. W chwili rozstania oboje pomyśleli o tym samym, choć żadne z nich o tym nie wspomniało: że zostało im tylko jedno spotkanie.

– To czyste marnotrawstwo! – protestowała Angel przeglądając się w lustrze. Poppy zapinała jej bajeczną szafirową suknię z domu mody Wortha. – Powinnam tak się ubrać na jakiś wspaniały bal, a nie po to, by olśniewać nudnych, stetrycziałych dyplomatów!

– Nie szkodzi, wyglądasz w niej fantastycznie! – Poppy patrzyła na nią z podziwem. – Angel, chwilami jesteś taka piękna, że aż bołą oczy.

Angel uśmiechnęła się i wpięła w jedwabiste jasne włosy diamentową spinę w kształcie motyla.

– Tym większa strata. Pomyśl tylko, jaką furorę mogłabym w niej zrobić wśród jakichś przystojnych Francuzów. – Spojrzała na Poppy, która miała na sobie kreację z lejącego się gołębioszarego aksamitu i włosy upięte wysoko w połyskliwy kok. – Ty też wyglądasz prześlicznie... ostatnio cała aż błyszczysz. Co właściwie porabiasz w te upalne popołudnia, gdy my ucinamy sobie drzemkę? Nie mam zamiaru uwierzyć w te wykręty, że oglądasz wciąż jakieś obrazy i rzeźby. No dalej, Poppy, mów! Wyglądasz tak, jakby ta tajemnica za chwilę miała cię rozsadzić!

– Och, Angel! – wybuchnęła Poppy z roziskrzonym wzrokiem. – Jestem zakochana! – Westchnęła z ulgą. Wreszcie wyjawiała prawdę. Teraz wyzna Angel, że tak głupio kłamała, że podała się za jej siostrę, opowie jej o Felipe i ich wzajemnej

miłości. Nagle nabrała przekonania, że wtedy wszystko jakoś się ułoży. – On jest cudowny! – mówiła bezładnie. – Poznałam go we „Florianie” i od tej pory spotykaliśmy się każdego popołudnia...

– Dziewczynki, czy jesteście gotowe? – Do pokoju wkroczyła statecznie ciotka Melody, imponująca w sukni z fioletowej koronki. Na pulchnej szyi miała naszyjnik z pięciu rzędów wielkich pereł, a na siwych włosach stroik z tiulu i piór. – Mój Boże! – krzyknęła przypatrując im się przez lorgnon. – Trzeba przyznać, że monsieur Worth wart jest swej ceny! – Jej okrągłe, uróżowane policzki zdrząły, gdy zaśmiała się ze swego żarciku. – Worth jest wart – powtórzyła ocierając oczy. – Mniejsza z tym, moje drogie, obie wyglądacie naprawdę wspaniale. Chodźcie szybciej, bo się spóźnimy!

– Opowiesz mi później o wszystkim – szepnęła podekscytowana Angel, kiedy ciotka poganiała je do wyjścia.

Amerykański konsulat zajmował parter wspaniałego pałacu; apartament konsula generalnego mieścił się na piano nobile, czyli pierwszym piętrze, urządzone z największym przepychem. Przez niebotycznie wysokie sufity złożonych salonów biegły rzeźbione belki, pomalowane trzysta lat temu w żywe kolory błękitu, purpury i złota, których nie zgasił upływ czasu ani wenecka wilgoć. Pod kryształowymi pajakami z zapalonymi świecami roiło się od wytwornych gości i błyszczało od klejnotów.

– Bogu niech będą dzięki za kreacje Wortha! – wyszeptała Angel. – Pomyśl tylko, co by było, gdybyśmy ubrały się na dzisiejszy wieczór w falbanki i szczypanki panny Matthews!

Rzeczywiście, każda kobieta, na której zatrzymywał się wzrok, zdawała się bardziej elegancka od poprzedniej, a wszystkie były obwieszane drogimi kamieniami. Skromne naszyjniki z perełek, jakie Poppy i Angel dostały na siedemnaste urodziny, nikły w blasku rubinów, szmaragdów i diamentów.

Konsul, pan Osgood Barrington, witał gości stojąc na górze marmurowych schodów.

– Jak to miło, że pani przysłała, panno Abrego – powiedział z uśmiechem. – Jestem zachwycony, że mogę poznać pani czarujące siostrzenice. Przykro mi jedynie, że byłem dotychczas nieobecny, wobec czego nie mogliśmy spotkać się wcześniej. Mógłbym zapoznać panienki z wenecką młodzieżą. To jednak niewielka szkoda, bo zapewne wkrótce znów tu przyjadą.

Zdobycie zaproszenia na przyjęcie nie przedstawiało dla Felipe żadnych trudności, jako że pan Barrington był przyjacielem jego wuja. Baron Rinardi popijał szampana, lecz nie odrywał oczu od schodów, czekając na ukazanie się Poppy. Wreszcie ją zobaczył. Wyglądała zupełnie inaczej niż ta nieśmiała prowincjuszka, którą w czasie ukradkowych spotkań nieustannie wprawiał w zachwyt. To była nowa Poppy, olśniewająco elegancka w prosto skrojonej sukni z gołębioszarego aksamitu. Tchnęła paryskim szykiem i bogactwem. Wyglądała jak ucieleśnienie zmysłowości. Potem dostrzegł jej siostrę. Była wręcz zjawiskowo piękna: subtelną blondynką o księżycowo przezroczystej cerze i delikatnym profilu. Czy było to tylko złudzenie, czy rzeczywiście wszyscy na chwilę zamilkli, by spojrzeć na Angel?

Powoli ruszył w stronę schodów.

– Panie Osgood – zwrócił się do konsula ze spokojnym uśmiechem – czy nie przedstawi mnie pan swoim czarującym gościom?

– Proszę, panno Abrego – rozpromienił się konsul. – Właśnie o takich ludziach przed chwilą mówiłem. Mam zaszczyt przedstawić paniom Felipe Rinardiego, barona Rinardiego, powinienem powiedzieć. Oto młody człowiek, który byłby najlepszym towarzyszem dla pani podopiecznych. Zna wszystkich w Wenecji. Felipe, to jest panna Abrego, która przybyła do nas z wizytą z Santa Barbara w Kalifornii i jej siostrzenice: panna Angel Konstant i panna Poppy Mallory. Poppy miała wrażenie, że zaraz umrze. Zdjął ją strach, że w ciszy, jaka nagle zapadła, wszyscy usłyszą łomot jej serca. Oparła się o stół z połączanego brązu, by nie zemdleć. Mallory... Mallory... Poppy Mallory... wciąż od nowa dźwięczało jej w uszach znienawidzone nazwisko. Cała mistyfikacja wyszła na jaw. Poppy z trwogą patrzyła na Felipe w oczekiwaniu tego, co powie.

Prześliznął się po niej wzrokiem, niczym nie okazując, że się znają. Złożył głęboki ukłon przed ciotką Melody i musnął ustami jej dłoń.

– Jestem do pani usług, panno Abrego – oświadczył. – Będę zachwycony mogąc pokazać paniom największe turystyczne atrakcje Wenecji.

Ciotka Melody popatrzyła na niego z sympatią przez lorgnon.

– Młody człowieku – rzekła tubalnie – przez ostatnie dwa miesiące widziałam tyle turystycznych atrakcji, że starczy mi do końca życia. Szkoda doprawdy, że nie poznałyśmy pana wcześniej, wówczas moje biedne nogi zyskałyby trochę wytchnienia! Obawiam się, że teraz jest już za późno; zamierzamy wyjechać pojutrze.

– Och, ciociu – zaprotestowała Angel, rzuciwszy szybkie spojrzenie na Felipe – może mogłybyśmy zostać jednak trochę dłużej? W końcu jest tyle rzeczy, których nie obejrzałyśmy, a kto wie, kiedy znowu przyjedziemy do Wenecji...

Ciotka Melody zmierzyła badawczym wzrokiem siostrzenicę, a potem młodego barona.

– Hmmm – mruknęła wieloznacznie i z godnością wkroczyła do salonu. – Zobaczymy, moja droga, zobaczymy.

– To zawsze oznacza „nie” – szepnęła z westchnieniem Angel do Felipe podążając za ciotką.

Znikli już w tłumie, a Poppy wciąż stała w miejscu jak skamieniała. Felipe odszedł z Angel. Nie spojrzał na nią nawet, jakby nie istniała. Jakby te wszystkie wykradzione popołudnia nigdy się nie wydarzyły! Pocałunki, powściągana namiętność, słowa miłości – wszystko to było przeznaczone dla Poppy Konstant, a nie dla zwyczajnej Poppy Mallory!

– Dobrze się czujesz, moja droga? – zapytał konsul z niepokojem. – Bardzo zbladłaś.

– Mam do pana wielką prośbę – wyszeptała Poppy z oczami pociemniałymi z rozpacz. – Czy mógłby pan powiedzieć ciotce Melody, że nagle poczułam się bardzo słabo... i że wróciłam do hotelu?

– Pozwolisz może, że ją zawołam?

– Nie! Proszę tego nie robić. To naprawdę drobnostka, nic mi nie będzie... Poza tym nie chcę psuć im zabawy! – Poppy odwróciła się tak szybko, że fałdy połyskliwego aksamitu zatrzepotały wokół niej jak gołębie skrzydła, i zbiegła po schodach w mrok nocy.

– Poppy? Śpisz już, Poppy?

Zacisnęła jeszcze mocniej powieki czując, że Angel pochyliła się nad nią.

– Och, najdroższa! – lamentowała Angel. – Powiedz, że czujesz się już dobrze, proszę cię, Poppy!

– Gdzie ona jest? – zapytała podniesionym głosem ciotka Melody, wtargnąwszy do pokoju. – Moja kochana, czy już ci lepiej? Co ci dolega? Głowę dam, że zatrucie pokarmowe! Doprawdy, tym zagranicznym kucharzom nie można ani trochę ufać...

Poppy zrezygnowana usiadła na łóżku. Udawanie snu mijalo się z celem, gdy ciotka Melody krzyczała jej do ucha tak, że mogłoby obudzić zmarłego.

– Chyba coś mi zaszkodziło – przyznała słabym głosem – ale już mi nic nie jest. Boli mnie tylko głowa. – To było zgodne z prawdą, lecz ten ból był niczym w porównaniu z cierpieniem, które drażyło jej serce. Wolałaby śmiertelną cielesną ranę niż tę, którą zadał jej Felipe. Nie miała nawet tej pociechy, że umrze; będzie musiała żyć dalej z brzemieniem tej męki.

– W dalszym ciągu bardzo źle wyglądasz, moje dziecko! – zauważyła ciotka Melody. – Zaraz każę zarządzającemu wezwać lekarza.

– Nie! – krzyknęła Poppy. – Proszę, nie! Zapewniam cię, ciociu, że czuję się lepiej.

– No cóż, dla mnie wyglądasz, jakby ktoś cię wywrócił na lewą stronę – oznajmiła bez owijania w bawełnę ciotka Melody. – Zastanawiam się, czy nie powinniśmy jednak trzymać się dawnego planu i wyjechać z Wenecji. To gorąco rzeczywiście bardzo szkodzi zdrowiu.

– Och, ciociu, przecież obiecałaś! – Angel niemal skakała z podniecenia. –

Pomyśl, Poppy, czy to nie cudowne? Zostajemy! Felipe Rinardi – baron Felipe Rinardi – obiecał pokazać nam miasto, „jego miasto”, jak powiedział! Z jego słów wynika, że pokażna część Wenecji należy do niego. Ma dwa pałace, Poppy, wyobraź sobie tylko, i wspaniałą starą rezydencję pod miastem z całymi akrami pól i winnic. Zaprosił nas nawet, żebyśmy tam pojechały w gościnę do wuja Umberto. Po śmierci wuja wszystko to przejdzie w posiadanie Felipe.

– Nieźle zawrócił ci w głowie – stwierdziła pobłaźliwie ciotka Melody – choć muszę przyznać, że to czarujący młodzieniec. Poza tym ostatnio niewiele miałyście atrakcji i należy wam się rozrywka. – Spojrzała znów z resztką niepokoju na Poppy. – Jeżeli rzeczywiście jest ci lepiej, pozwolicie, że położę się do łóżka. Te buciki mnie dobijają! – Ściągnęła z nóg ciasne atlasowe pantofelki w kolorze sukni i pokuśtykała do drzwi. – Przyjemnych snów, dziewczęta! – zawołała wesoło. – Jutro też jest dzień!

– Och, Poppy! – krzyknęła Angel, gdy tylko za ciotką zamknęły się drzwi. – Felipe jest przecudowny i mam mocne obawy, że zakochałam się w nim po uszy! – Rzuciła się z głośnym śmiechem na łóżko, radośnie wymachując nogami w powodzi szafirowego szyfonu. – A ja myślałam, że to marnotrawstwo ubierać się dziś wieczór w paryską toaletę! Nie mówiłam ci, że na pewno podbiłabym w niej jakiegoś romantycznego Francuza? Felipe wprawdzie nie jest Francuzem, ale jest romantyczny, więc na jedno wychodzi. Ma szalenie interesującą twarz, taką pociągłą i bladą, jak u szlachetnego, ubogiego artysty. Gdybyś tylko widziała, jak na mnie patrzył... jakbym była jedną jedyną dziewczyną na całutkim świecie! Och, jest naprawdę najcudowniejszy pod słońcem! Chłopcy z Santa Barbara wydają się przy nim tacy niedorośli. Nie uważasz, że jest przystojny? Zauważyłaś, że ma zielone oczy? Zielone jak mech, tak bym je opisała... Matko święta, deklamuję istny szekspirowski sonet, naprawdę muszę być zakochana...

Poppy odwróciła twarz do ściany i zacisnęła zęby, żeby powstrzymać łzy, tak jak to robiła wiele lat temu, kiedy ojciec nie wracał na noc.

– Poppy, nie cieszysz się ze mną? – spytała niespokojnie Angel. – Och, jak ja

mogłam być taka samolubna! – jęknęła nagle. – Oczywiście, twoja biedna głowa! Poczekaj, zrobię ci zimny okład. – Zmoczyła lniany ręcznik w wodzie, stojącej w dzbanku na stoliku obok łóżka, i położyła go na czole Poppy. – Zobaczysz, że ci ulży. Och, Poppy – westchnęła z zadowoleniem – będziemy się teraz tak pysznie bawić!

Kompresy dla ochłody były całkiem zbyteczne – Poppy zlodowaciała, jakby objął ją mróz. Pajęczyna jej kłamstw zerwała się z trzaskiem, gdy przedstawiono ją baronowi jako pannę Mallory. Jej prawdziwe nazwisko było tak nienawistne, ohydne, haniebne! Poppy Konstant nie istniała. Nie stanie się również, jak w marzeniach, Poppy Rinardi. Felipe wybrał Angel. „Jakiż mężczyzna mógłby się jej oprzeć? – pomyślała Poppy ze znużeniem. – Jest przecież tak piękna... w dodatku nazywa się Konstant”.

Rozdział 27

1898, WŁOCHY

Następnego ranka Poppy leżała w łóżku z twarzą zasłoniętą ramieniem, by nie patrzeć na Angel, która stroiła się starannie na spotkanie z Felipe. W żaden sposób nie mogła jednak uciszyć jej nieustannego, podnieconego świergotu.

– Czy powinnam ubrać się na żółto? – denerwowała się Angel. – Moja cera chyba wygląda wtedy zbyt blado? Różowy będzie lepszy! A może wybrać tę prostą bluzkę z białego jedwabiu i granatową spódnicę? Tak, myślę, że po tej strojnej paryskiej toalecie najlepiej zaprezentować się w czymś skromnym. – Rzuciła wzgardzoną suknię na stos ubrań na łóżku i przebrała się ponownie.

– O Boże! – jęknęła chwilę później siedząc przed zwierciadłem i próbując gorączkowo zwinąć włosy w węzeł. – Co ta wilgoć wyrabia z włosami! Są zupełnie przylizane. Poppy, nie myślisz, że wystarczy, gdy zwiążę je z tyłu wstążką?

– Spóźnisz się – powiedziała cicho Poppy. – On czeka już od piętnastu minut.

Angel rzuciła rozpaczliwe spojrzenie na zegar.

– O rety! W takim razie muszę iść, jak jestem. Zresztą spóźnianie się to przywilej

kobiety, a poza tym ciotka Melody dotrzymuje mu towarzystwa. Czy dobrze wyglądam? – zapytała niespokojnie.

– Wyglądasz cudownie, jak zawsze. – Poppy schowała twarz w poduszki. Przypomniała sobie, jak przebierała w strojach, aby wyglądać jak najlepiej dla Felipe i rana w jej sercu otworzyła się ponownie.

Angel rzuciła się na łóżko obok przyjaciółki.

– Myślisz, że mu się podobam? – spytała rozmarzona. – Czy naprawdę mnie polubił? Wydaje mi się, że wczorajszy wieczór był tak dawno temu, prawie jakbym to wszystko śniła. Och, tak bym chciała, żebyś szła z nami! To fatalne, że złapał cię ból zęba! Tak mi będzie ciebie brakować!

Gorąco uściskała Poppy, a potem zeskoczyła z łóżka na równe nogi i pobiegła do drzwi. W ostatniej chwili odwróciła się z ręką na klamce.

– Zupełnie wyleciało mi z głowy! Przecież miałaś mi opowiedzieć o mężczyźnie, którego poznałaś. O twoim tajemniczym ukochanym! O rety, nie mogę się doczekać, aż wszystko o nim usłyszę! Czy to nie zabawne, że zakochałyśmy się obie jednocześnie? Pamiętaj, Poppy, masz mi o tym opowiedzieć natychmiast, jak wrócę! – I posyłając jej ręką całusa wyfrunęła z pokoju.

Poppy leżała sama w dusznym, zaciemnionym pokoju hotelowym. Śniadanie zostawiła nietknięte. Gorycz porzucenia i przytłaczająca samotność przypomniały jej czasy dzieciństwa. Dostała napadu dreszczy, jakby naprawdę miała gorączkę. Wciąż obracała w pamięci urywane uwagi Angel, przypominała sobie przytoczone przez nią słowa Felipe, szukając wbrew rozsądkowi najdrobniejszej wzmianki o sobie. Chciała nawet spytać ciotkę Melody, czy o niej nie wspomniał, lecz w duchu wiedziała, że to próżne nadzieje.

Tego ranka wraz ze śniadaniem przyniesiono Angel bukietek fiołków z bilecikiem, w którym Felipe przypominał, że ciotka Melody pozwoliła mu łaskawie pokazać pannie Konstant wspaniałe weneckie kościoły, naturalnie pod jej szacowną opieką, toteż zaproszenie i ją obejmuje. W liściku nie było ani słowa o Poppy.

Samotne godziny poranka wlokły się wolno jak kondukt pogrzebowy. Zakłóciło

je tylko przyjdzie pokojówki, która zabrała tacę ze śniadaniem. Inna przyniosła lekki obiad, zamówiony przez ciotkę Melody, i wróciła po godzinie, by zabrać nietknięty. W końcu Poppy usłyszała na korytarzu podniecony głos Angel i drzwi otworzyły się z rozmachem.

– O Boże, Poppy, ty wciąż siedzisz po ciemku! – Angel podbiegła do okna i odepchnęła okiennice. – W taki piękny dzień! Och, Poppy, najcudowniejszy, jaki można sobie wyobrazić! – Płonąc z podniecenia przysiadła na skraju łóżka Poppy i opowiadała z rozmarzeniem: – Zwiedziłyśmy kościół San Sebastiano, gdzie jest pochowany Veronese, i widziałyśmy jego prześliczne obrazy, a potem Santa Maria della Salute nad Canale Grande, i San Giorgio Maggiore – wiesz, ten na wyspie, którą widać na końcu laguny – i Santa Maria della Pieta, w którym muzyką dyrygował sam Vivaldi od 1709 do 1740 roku. Poppy, Felipe wie wszystko, ale to wszyściutko o Wenecji! I wiesz, co mi powiedział, gdy ciotka Melody nie słuchała? – zniżyła głos do szeptu: – Powiedział: „To miasto jest jak piękna kobieta, która wyciąga ramiona do kochanka i nie chce wypuścić go z objęć. Nawet jeśli odjedziesz, zawsze tu powrócisz!”

Poppy wstrzymała oddech z przerażenia, słysząc swoje własne słowa, lecz Angel nic nie zauważyła.

– Czyż on nie jest niewypowiedzianie wprost romantyczny? A potem, Poppy, zjedliśmy ogromny obiad w małej trattorii na Zattare, do której nas zaprowadził. To była tania restauracyjka z obrusami w biało-czerwoną kratkę, ale urocza. A jedzenie, och, Poppy —jedliśmy prawdziwe weneckie risotto i małe kolczaste kraby, i ten pyszny czekoladowy deser, o którym mówiłaś...

Zrobiła przerwę dla nabrania oddechu i zauważyła wyraz udręki na twarzy Poppy.

– Czy czujesz się lepiej? Mam nadzieję, że tak, bo wieczorem mamy wszyscy pójść do teatru „La Fenice” na koncert symfoniczny. Przrzeknij, że też pójdziesz! – W jej ślicznych oczach pojawił się niepokój. – Ale jesteś blada! Ciotka Melody ma rację, musi cię zbadać lekarz.

– Nie, naprawdę nic mi nie jest – odparła Poppy uśmiechając się z wysiłkiem.

– No to proszę, powiedz, że pójdziesz. Nie mogę się doczekać, kiedy spotkasz Felipe. Przysięgam ci, że im dłużej na niego patrzę, tym wydaje się bardziej przystojny. I wiesz co – dodała z rozmarzeniem – on patrzy na mnie nie tak, jak to zwykle mężczyźni... wiesz, co mam na myśli. Nie tak, jak na ładną dziewczynę, ale jakbym naprawdę była dla niego jedyna i wyjątkowa. – Westchnęła błogo i zaczęła się rozbierać. – No, powinnam chyba trochę odpocząć przed wieczorem. Może przyśni mi się Felipe. Och! – krzyknęła nagle podnosząc dłoń do ust – Poppy, przecież miałaś mi powiedzieć o twoim ukochanym! No dalej, wyznaj wszystko!

– To... to nie było nic takiego – wyjąkała Poppy. – Po prostu zobaczyłam we „Florianie” kogoś... kto mi się podobał i uwielbiałam go z daleka. Tak sobie fantazjowałam.

– Jaka szkoda! – westchnęła Angel. – Zresztą może to i lepiej dla ciebie, zakochanie jest strasznie męczące, człowiek czuje się jak wypluty. Nie mogę doczekać się wieczora i chwili, gdy spotkam Felipe – dodała z uśmiechem, wskakując do łóżka.

Przez całe popołudnie Poppy przewracała się bezsennie, słuchając cichego, równego oddechu Angel. Chciała iść do teatru i zmusić Felipe, by na nią spojrzął, zauważył wreszcie jej istnienie i tym samym dał dowód, że to, co zaszło między nimi, nie było żadnym urojeniem. Potem pomyślała, że nie zniesie dalszych upokorzeń. Za wszelką cenę jednak musiała go zobaczyć.

Błada, lecz zupełnie opanowana, w ciemnoczerwonej jedwabnej sukni, na tle której jej włosy przebłyskiwały kasztanowo, schodziła po schodach za ciotką i Angel na spotkanie Felipe. Kiedy ją zobaczył, dostrzegła coś jakby iskierkę niepokoju w jego oczach, ale w chwilę później wydało jej się to przywidzeniem.

– Czy poznał pan wczoraj moją drugą siostrzenicę, Poppy Mallory? – spytała donośnie ciotka Melody. – Tak naprawdę nie jest moją siostrzenicą, lecz traktujemy ją wszyscy jak rodzoną siostrę Angel.

– Ciociu, oczywiście, że Felipe wie wszystko o Poppy! – wykrzyknęła zniecierpliwiona Angel. – Nie pamiętasz, opowiadałam mu o niej przy obiedzie.

– Ojej, widać się już starzeję! – westchnęła ciotka Melody, gdy Felipe skłonił się Poppy nie patrząc jej w oczy. – Ostatnio zdarza mi się zapominać o wielu rzeczach.

– Miło mi, że mogła się pani wybrać z nami, panno Mallory – powiedział Felipe ze zdawkową grzecznością.

– Biedna Poppy, była bardzo chora – mówiła Angel wychodząc z nim z hotelu na nabrzeże, gdzie czekała gondola. – Na szczęście wreszcie jej lepiej.

– Lato w Wenecji może być bardzo uciążliwe – przyznał Felipe i dodał wieloznacznie: – I czasem płata dziwne sztuczki.

Dziewczyna zagryzła wargi, żeby się nie rozplakać, i wsiadła do gondoli razem z ciotką Melody. Angel i Felipe mieli płynąć za nimi drugą łodzią. Poppy przypomniała sobie namiętne pocałunki i miłosne wyznania Felipe i pomyślała, że to chyba jakiś zły sen. Zaraz się obudzi i wszystko będzie jak dawniej.

W foyer niedużego, pięknego teatru było już tłoczno. Torowali sobie drogę do swojej łoży, pokrytej rokokowymi malowidłami. Naraz tłum ich rozdzielił. Poppy gorączkowo szukała wzrokiem Angel i Felipe, aż wreszcie ich zobaczyła. Baron Rinardi trzymał gestem posiadacza rękę na ramieniu Angel i szeptał jej do ucha, a ona uniosła ku niemu oczy i twarz tak promienną, że zdawała się rozjaśniać cały teatr. Poppy znów musiała z całej siły zagryźć usta, by powstrzymać szloch. Nawet nie czuła bólu; cała jej dusza krzyczała bezgłośnie, że Felipe należy do niej, że kocha ją, nie Angel.

Rozlegały się już pierwsze takty „Romea i Julii” Czajkowskiego, kiedy Angel i Felipe wsunęli się do łoży i zasiedli na miejscach. Zerknęła na nich ukradkiem, lecz oczy Felipe były utkwione w delikatnym profilu Angel.

Poppy przymknęła powieki. Jej ciało wibrowało z każdą nutą romantycznej, namiętnej muzyki, która wypełniła teatr. Teraz rozumiała miłość, ból i rozpacz szekspirowskich kochanków. Nie miała pojęcia, jak dotrwa do końca wieczoru, rozdarta między chęcią ucieczki jak najdalej od Felipe i rozpaczliwą potrzebą jego obecności, * mimo że miał oczy tylko dla Angel. Powodowana dumą wyprostowała się w fotelu wyściełanym aksamitem i udawała, że pochłonięta jest muzyką, lecz

była zdruzgotana.

Nie wyszła z łóżki podczas antraktu. Pozostali pili szampana w westybulu. Poppy ręce zacisnęła tak mocno, że zbieleły jej kostki, zamknęła oczy, by nic nie widzieć.

– Nie podoba mi się twój wygląd, kochanie – szepnęła po powrocie ciotka Melody. – Pozwoliłam Angel pójść po koncercie na obiad z Felipe i paroma jego przyjaciółmi, lecz ciebie mam zamiar zabrać ze sobą do hotelu i wezwać lekarza.

W ciepłą noc wracały gondolą do Palazzo Gritti. Na brzegach kanałów błyszcząły światła, z przepelnionych kafejek dobiegały dźwięki muzyki, urywki rozmów i głośny śmiech. Poppy zwiesiła znużoną głowę. Poczowała się jeszcze bardziej osamotniona, jakby piękno i wesołość miasta były przeznaczone wyłącznie dla innych. Bez Felipe pobyt w Wenecji i całe życie straciły wszelki sens.

– Signorina potrzebuje czegoś na wzmocnienie – orzekł hotelowy lekarz, uśmiechając się do niej dobrodusznie. – Wyraźnie źle znosi upał. Sądzę, że posłużyłby jej bardziej rześki klimat, powiedzmy nad jeziorem Como, na północy Włoch. Tak, to powinno przywrócić rumieńce jej policzkom. Poza tym, signorina Abrego, nie znajduję u niej żadnej fizycznej niedomogi.

– Jezioro – westchnęła tęsknie ciotka Melody. – Nie miałabym nic przeciwko odrobinie świeżego powietrza, lecz co na to powie Angel? Nie będzie zadowolona, oj nie...

Przewidywania były słuszne: Angel protestowała i zalewała się łzami, które w końcu skłoniły ciotkę Melody do kapitulacji. Umieściła siostrzenicę u przyjaciół konsula, pod łaskawą opieką samej księżny.

Siedząc w pociągu, który z łoskotem toczył się na północ, Poppy nie mogła zdecydować, czy czuje ulgę, czy rozpacz. Wiedziała tylko, że ma złamane serce i nigdy nie będzie już taka jak przedtem.

Gdy przybyły do małego pensjonatu signory Rossi nad jeziorem Como, ciotka Melody rozsiadła się z ukontentowaniem na tarasie, Poppy zaś jak w oszłomieniu chodziła po ogrodach nad wodą, próbując pozbyć się myśli o Angel.

Miejsce, w którym się zatrzymały, okazało się zachwycające, a właściciele hotelu

skwapliwie otoczyli dziewczynę troskliwą opieką, dogadzając przeróżnymi daniami i obdarzając serdecznymi uśmiechami, co ona ledwie zauważała. Po trzech tygodniach pobytu signor Rossi wbiegł któregoś ranka na taras wymachując telegramem. Poppy czuła niemal bijące z papieru podniecenie Angel: „Felipe poprosił mnie o rękę stop tak się kochamy stop mam nadzieję aprobujecie stop przekonajcie mamę i tatę stop ucałowania stop Angel”.

Nik i Rozalia przybyli w miesiąc później ze stanowczą decyzją zduszenia w zarodku nieoczekiwanego romansu córki, pomimo sprzeciwów ciotki Melody i jej wyjaśnień, że Felipe jest przeuroczym młodym człowiekiem, a jedyne co można mu zarzucić, to brak pieniędzy.

– Nie mamy zamiaru oddawać córki jakiemuś zamorskiemu łowcy posagów! – zagrmiał gniewnie Nik, lecz Angel uśmiechnęła się do niego z niezachwianą pewnością siebie.

– Poczekaj, papo, aż go spotkasz – stwierdziła tylko.

I rzeczywiście, już podczas pierwszego spotkania Felipe z wielką wprawą owinał ich sobie wokół palca odpowiednią dawką szacunku i szczerości.

– Chłopak wprawdzie nie ma pieniędzy – mówił Nik spacerując kilka dni później w towarzystwie Poppy po zarośniętych, lecz wciąż pięknych ogrodach wokół Villa d’Oro – ale nie ze swojej winy. Majątek roztrwonili jego przodkowie. Felipe ma dużo zdrowego rozsądku. Wie, co trzeba zrobić i jest gotów ciężko pracować, by to osiągnąć. Tak, muszę powiedzieć, że podoba mi się jego charakter. – Spojrzał z czułością na Poppy, uczeponą jego ramienia jak kotwicy na wzburzonym morzu. – A co ty myślisz o Felipe?

– Ja... – zająknęła się – ta posiadłość jest bardzo piękna – stwierdziła wymijająco. Patrzyła tęsknie na ściany koloru spłowiałego rózu, na porośnięte mchem dachówki i wyobrażała sobie siebie jako żonę Felipe i panią Villa d’Oro – w roli, która miała przypaść Angel.

Rozalia i Nik wyrazili zgodę na zaręczyny i wkrótce Angel pokazywała na lewo i

prawo piękny diamentowy pierścionek w kształcie serca, otrzymany od Felipe.

– Należał do jego matki – wyjaśniła przyjaciółce – i całe lata leżał w podziemnym skarbcu. Nie wolno im było go sprzedać, nawet gdy znaleźli się w kłopotach pieniężnych, bo właściwie wszystko jest objęte funduszem powierniczym. I całe szczęście! – zaśmiała się obracając pierścionek do światła, by się skrzył. – Poppy, tak jesteśmy w sobie zakochani, że chcemy się pobrać od razu... Błagam cię, pomóż mi przekonać mamę i papę, żebyśmy mogli wziąć ślub tutaj, a nie w Santa Barbara. Masz pojęcie, jaki romantyczny musi być ślub w Wenecji? Felipe mówi, że popłyniemy do kościoła gondolą, a przyjęcie zostanie wydane w Palazzo Rinardi. Ty oczywiście będziesz moją jedyną druhną.

Poppy pograżyła się jeszcze głębiej w rozpacz, gdy zaaranżowano pospiesznie wyprawę do Paryża, by obstalować w domu mody Wortha ślubną suknię Angel wraz z wyprawą. Ledwie dotarł do niej fakt, że ponownie znalazła się w mieście, które wydawało jej się niedawno tak wspaniałe, i nie miała już ani chęci, ani energii na samotne wycieczki, w czasie których poznawała Paryż różny od tego, jaki pokazywała im ciotka Melody i przewodnicy.

W chwilach pomiędzy przymiarkami sukni ślubnej z białego atlasu i koronek Angel utyskiwała, że jest daleko od Felipe, i zalewała przyjaciółkę zwierzeniami o ich miłości. Poppy myślała, że oszaleje. Przy ustalaniu warunków kontraktu ślubnego Nik okazał wielką hojność, toteż państwo młodzi natychmiast po podróży poślubnej do Nowego Jorku i hucznym przyjęciu w Santa Barbara, na którym Angel przedstawi męża rodzinie i znajomym, będą mogli rozpocząć remont Villa d'Oro i całej posiadłości.

Poppy wrzała ze wzburzenia, mierząc niechętnie swój strój drużny z jasnoszarej jedwabnej tafty. Oczami wyobraźni widziała siebie kroczącą wspaniałą nawą kościoła Santa Maria della Salute za Angel, piękną oblubienicą. „Dlaczego? – dręczyła się w myślach krążąc po swoim pokoju w hotelu, gdy Angel wybrała się z Rozalią na kolejną wyprawę po sprawunki. – Dlaczego Felipe wybrał Angel, a nie mnie? Czy sprawiła to jej uroda? Przecież tak się mną zachwycał. Czyż nie mówił,

że jest oczarowany moją białą skórą, błękitem oczu, tycjanowskimi splotami? Czyż nie drżał z namiętności, gdy był blisko mnie?” Angel, która nie pominęła żadnego szczegółu swojego romansu, mówiła, że pocałunki Felipe były jak muśnięcia, tak iż wcale się nie bała... Nagle Poppy doznała olśnienia. Przecież to takie proste! Felipe nie kochał Angel, ale był biedny, więc uważał, że powinien ożenić się z bogatą dziedziczką!

Przebiegła myślą kolejne wydarzenia. Nie mogła się nadziwić, że nie wpadła na to wcześniej. Tak, Felipe wciąż ją kochał, lecz udawał obojętność, bo potrzebne mu były pieniądze Angel! Och, biedny, najdroższy Felipe, czyżby nie zdawał sobie sprawy, że wobec miłości pieniądze się nie liczą? Dadzą sobie jakoś radę, z pewnością znajdzie się jakiś sposób.

Wyjrzała bezsilnie przez okno. Paryż nagle wydał jej się więzieniem. Nie mogła się doczekać spotkania z Felipe, by przekonać go, że małżeństwo z rozsądku jest szaleństwem.

Wrócili do Wenecji na tydzień przed ślubem. Poppy czuła wyrzuty sumienia, gdy myślała o ślubnej sukni i wspaniałej wyprawie Angel, które spoczywały w nowiutkich kufrach w wagonie bagażowym, i słuchała podnieconej paplaniny przyjaciółki o planach na przyszłość. Rozgrzeszyła się w końcu, że dla Angel będzie lepiej nie wychodzić za człowieka, który jej nie kocha. Pociąg wreszcie wjechał na stację. Patrzyła w milczeniu, jak Angel rzuca się w objęcia narzeczonego, lecz tym razem jej serce przepełniała litość.

Bajeczna wyprawa Angel nie mogła się pomieścić w ich wspólnej sypialni, więc Angel przeniosła się do oddzielnego numeru.

– Wszystko się teraz zmieni, Poppy – powiedziała z nagłą powagą, kiedy jej nowe kufry, walizy oraz pudła na kapelusze odjechały na wózkach w głąb korytarza. – Pamiętasz, jak przyjechałaś na ranczo Santa Vittoria? Mama przygotowała dla ciebie oddzielny pokój, a ty wówczas powiedziałaś, że wolałabyś mieszkać razem ze mną. Och, Poppy, dopiero co przyszło mi na myśl, że już nigdy nie będziemy spać w jednym pokoju. Tak będę za tobą tęsknić! Brak mi będzie naszych rozmów i

głupiutkich dziewczęcych zwierzeń w środku nocy. To wszystko stało się tak nagle, że czasem mnie przeraża. Poppy, obiecaj, że będziesz mnie odwiedzać we Włoszech. Nie zniosę długiego rozstania z tobą! – Wybuchnęła łzami i objęła ją kurczowym uściskiem. – Tak bardzo kocham Felipe – szlochała – ale ciebie również kocham, a w tej chwili Kalifornia i dom wydają się tak daleko!

– Nie płacz, Angel – uspokajała ją Poppy – wszystko się dobrze ułoży, zobaczysz. Może będzie trochę inaczej, niż sobie wyobrażasz, ale tak będzie lepiej.

Angel spojrzała na nią zdumiona.

– O czym ty, na litość boską, mówisz?

Poppy wzruszyła ramionami i odwróciła się, żeby uniknąć jej szczerego, czystego spojrzenia.

– Och, sama nie wiem... Po prostu nie wszystko jest takie, jak się wydaje, a ludzie robią różne rzeczy z najdziwaczniejszych pobudek...

– Poppy, mówisz zagadkami – zniecierpliwiła się Angel. – Zresztą wszystko jedno, i tak będę za tobą tęskniła. I za Gregiem – dodała już bardziej opanowanym tonem. – Szkoda, że nie mógł przyjechać na ślub, ale papa twierdzi, że ktoś musiał zostać, by sprawować nadzór nad ranczem. Och! – wykrzyknęła rozjaśniając się nagle. – Zobaczę go, gdy przyjedziemy do domu w czasie podróży poślubnej.

„Biedna Angel! – pomyślała Poppy patrząc, jak przyjaciółka znika w korytarzu z ostatnim naręczem pakunków. – Biedna, biedna Angel. Tak mi przykro, że wyrządę jej krzywdę”. Podeszła do lustra i obejrzała starannie swoje odbicie. Uszczypnęła się parę razy w oba policzki, by wywołać na nich rumieniec, i ułożyła niesforne włosy w gładki kok myśląc, czy teraz będzie się tak samo podobać Felipe jak wtedy, zanim poznał Angel.

Seria przyjęć trwała przez cały tydzień, lecz tym razem Poppy starała się przebywać jak najbliżej Felipe. Chwytała jego wzrok siedząc naprzeciw przy stole, ocierała się o jego ramię w przejściu, rzucała mu ukradkowe spojrzenia, unosząc kąćki ust w lekkim uśmiechu, a jej błękitne oczy przekazywały mu nieme wezwanie.

Wuj Umberto, wysoki, nieskazitelnie wytworny starszy pan, po raz pierwszy od wielu lat wydawał wielkie przyjęcie w Palazzo Rinardi. Armia robotników i sprzątaczy pracowała w pocie czoła przez dwa dni, by przywrócić starej rezydencji dawny blask przed wspaniałym przyjęciem weselnym, na które zaproszono przeszło czterystu gości. Wysokie pałacowe okna, roziskrzane blaskiem niezliczonych świec, odbijały się jak księżycowa poświata w ciemnej wodzie Canale Grande, właśnie tak jak to opisywał Felipe.

Niepokój Poppy zaczął się przeradzać w panikę. Dziewczyna przez cały czas nie znalazła okazji, by pomówić z baronem na osobności. „Biedny Felipe!” – współczuła mu w myśli, wchodząc na pałacowe schody, gdzie przyszły oblubieniec witał swoich gości. To straszne być zmuszonym do poślubienia niekochanej dziewczyny tylko dlatego, aby ocalić rodowe dziedzictwo. Ale ona go z tego wybawi! W jej oczach był błysk desperacji, gdy uśmiechała się do niego na powitanie. Od tamtego okropnego wieczoru w konsulacie omijał ją wzrokiem i nie zamienili ze sobą ani słowa na osobności. Dziś jednak Poppy się wydało, że Felipe czasem na nią patrzy. Otucha wstąpiła w jej serce. Dziewczyna pomyślała z rozpaczliwą nadzieją, iż może sam doszedł do wniosku, że małżeństwo dla pieniędzy jest grzechem. Że kocha ją równie szaleńczo, jak ona jego, i nie mógłby bez niej żyć. Siedziała cicho wśród rozgadanych bywalców salonów, podobna do szarego cienia w powłóczystej aksamitnej sukni, i czekała sposobnej chwili. Wreszcie dostrzegła, jak Felipe, szepnąwszy Angel na ucho jakieś usprawiedliwienie, skierował się do drzwi. Przeszła szybko na drugi koniec pokoju i złapała go za ramię.

– Muszę z tobą porozmawiać... – szepnęła gorączkowo – zaraz... jeszcze dzisiaj!

– Czego chcesz? – rzucił szorstkim głosem i wciągnął ją szybko do wnęki zasłoniętej kotarą. – Myślałem, że już do ciebie dotarło. W końcu sama jesteś sobie winna.

– Ja?! – krzyknęła zdumiona.

Wepchnął ją głębiej za zasłonę.

– Nie możemy teraz rozmawiać – wyszeptał gniewnie – a zresztą nie mamy o

czym.

– Felipe, ja muszę z tobą pomówić sam na sam! – nalegała, patrząc na niego błagalnie szeroko otwartymi błękitnymi oczami.

Zawahał się przez chwilę, ale zaraz uciał brutalnie:

– To nie ma sensu! Z tym, co było między nami, już koniec! A tak naprawdę nic między nami nie było!

Odszedł. Poppy z rozpaczą patrzyła za nim. On nie mógł mówić tego serio! Tłumaczyła sobie w duchu, że gdyby tylko mieli okazję porozmawiać spokojnie, ujrzałyby wszystko we właściwym świetle. Przekonałaby go bez trudu, że małżeństwo z Angel jest błędem.

Przyjęcie przeciągnęło się do późna. Wreszcie rodzina Konstantów wróciła gondolą do Palazzo Gritti. Rozalia i Angel usiadły po obu stronach Nika. Były bardzo zmęczone. Położyły mu głowy na ramionach. Poppy siedząca naprzeciwko obserwowała całą trójkę spod w półprzymkniętych powiek. „Cóż za piękny rodzinny obrazek – pomyślała z goryczą – matka, ojciec i ukochana córka”. Zamknęła oczy i poczuła znowu cuchnący alkoholem oddech swojego ojca, którym buchnął jej w twarz mówiąc: „Twój stary tatuś wreszcie po ciebie przyszedł”... Zaraz potem przypomniała sobie krew wsiąkającą w dywan, gdy ojciec upadł na ziemię. Zrozumiała, że po wszystkich tych latach wciąż pozostała tym, kim była – Poppy Mallory, córką nicponia – i wciąż mogła tylko zazdrościć Angel, która zawsze miała wszystko na skinienie palca.

Po powrocie do hotelu długo chodziła gorączkowo po pokoju, aż zaczęło się jej zdawać, że ściany uginają się i walą na nią. Nie mogła znieść tego dłużej. Narzuciła na ramiona ciemną pelerynę i wymknęła się na palcach. Zbiegła po wyłożonych czerwonym chodnikiem schodach, jakby ścigało ją stado demonów. Wsiadła do gondoli i poleciwszy gondolierowi płynąć do Palazzo Rinardi, skryła się nerwowo za firankami. Wkrótce pociągała za stary żelazny dzwonek u drzwi, modląc się, by Felipe był w domu. Nie wiedziała, jak go przekona. Wiedziała tylko, że musi z nim pomówić, zanim będzie za późno, powiedzieć, że należy do niego, wyjaśnić mu jego

błąd. Zadzwoiła powtórnie, drżąc z przejęcia na całym ciele, i usłyszała głos Felipe:

– Kto to? Kto tam jest?

– To ja... Poppy! – Nogi się pod nią ugięły; musiała wesprzeć się o zimny kamienny mur.

Felipe otworzył drzwi i wlepił w nią zaskoczone oczy. Na piżamę włożył szlafrok z ciemnoczerwonego jedwabiu, włosy miał potargane, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Szybko, zanim ktoś cię zobaczy – rozkazał łapiąc ją za ramię i wciągając do środka. – Co ty sobie myślisz przychodząc tutaj o tej porze? Czyżbyś próbowała poważnie mnie z Angel? – Przeszył ją spojrzeniem płonącym wściekłością. – Na pewno o to ci chodzi! – ciągnął pogardliwie. – Zżera cię zazdrość, więc chcesz zrobić trochę zamieszania.

– Nie, wcale nie! – zaprotestowała Poppy. – Wiem, dlaczego chcesz się ożenić z Angel, ale zrozum, Felipe, to bardzo źle, skoro my tak się kochamy...

– Kochamy? – powtórzył unosząc brwi. – Kochamy? Ejże, Poppy, czy naprawdę chodzi ci o miłość? Odpowiedz sobie szczerze, po co tu przysłaś. Do narzeczonego innej kobiety! Moim zdaniem chytra z ciebie sztuka i świetnie wiesz, co robisz – ciągnął przysunawszy się do niej tak, że czuła jego oddech na policzku. – Wiesz, jak doprowadzić mężczyznę do szaleństwa, to ci muszę przyznać. O, tak – dodał i chwycił ją za podbródek unosząc jej twarz ku górze – nie myśl, że cię nie przejrzałem! Dobrze ci szło odgrywanie roli dziedziczki, panno Mallory, lecz nie na tyle dobrze, żeby mnie przechytrzyć!

Pocałował ją tak brutalnie, że Poppy jęknęła z bólu. Odepchnęła go.

– Posłuchaj, Felipe! To, co powiedziałeś, jest prawdą, rzeczywiście odgrywałam rolę, ale nie kłamałam ci z rozmysłem. Nie miałam pojęcia, że uznasz mnie za bogatą...

– A po cóż bym zawracał sobie tobą głowę? – spytał szyderczo. – Z powodu tych twoich pięknych, wyzywających oczu czy śnieżnobiałej skóry? Lubisz kusić, Poppy, a w świecie kusicielek nie ma miejsca na miłość! – Przyciągnął ją do siebie i znów zaczął przemocą całować.

– Nie! – krzyknęła przerażona. Nie były to te łagodne pocałunki z ich przejazdów gondolą; tym razem mocno, okrutnie wpijał się w jej usta. – Nie, Felipe! Przyszłam ci powiedzieć, że nasza miłość jest silniejsza od pieniędzy, potrzebujemy tylko siebie nawzajem.

Zaśmiał się ochryple i zagroził jej drogę do drzwi.

– Musisz mieć źle w głowie! Nie przyszłaś tutaj mówić o miłości, panno Mallory!
– Porwał ją na ręce i zaniósł do salonu. – Przyszłaś, bo miałaś na mnie chrapkę. – Wodził dłońmi po jej piersiach. – Chryste – wymamrotał – twoja skóra jest gładka i biała jak śmietanka...

– Przestań! – Poppy oszalała ze strachu. – Nie rób tego, Felipe... będę krzyczeć!

– Krzycz, ile chcesz, nikt cię tu nie usłyszy! – Chwycił ją garścią za włosy i pocałował w szyję. – Służący śpią w swoich pokojach, zresztą nic nie usłyszą, bo ściany są grube. A mój wuj wybrał się na noc do przyjaciółki... kogoś twojego pokroju. Ty miałabyś pochodzić z Konstantów? Jesteś dziwką, ladacznicą, którą aż świerzbi, żeby sprawdzić na własnej skórze, jak to jest być z mężczyzną! Po to właśnie przyszłaś!

Próbowała mu się wyrwać. Podczas szamotaniny włosy opadły jej na ramiona, a spinki rozsypały się na sofie krytej żółtym brokatem. Felipe stłumił jej krzyki pocałunkami i popchnął ją na poduszki. Napierał na nią całym ciałem, a jego ręce wtargnęły pożądliwie pod jej spódnice, gniotąc brutalnie miękkie ciało. Poppy poczuła ostry ból. Krzyknęła z rozpaczą. Z jej oczu trysnęły łzy i poplamiały piękny żółty brokat.

Nazajutrz rano jasny blask słońca, sączący się przez listwy zielonych okiennic, wyrwał Poppy z zamroczenia, które nie było spokojnym, dającym odpoczynek snem, i na powrót wtrącił w otchłań cierpienia i rozpacz. Czowała palący ból między udami, a posiniaczone ciało piekło w miejscach, gdzie poraniły je brutalne pieszczoty Felipe.

Zamknęła oczy modląc się, by wszystko to okazało się koszmarnym snem, który

można wymazać z pamięci, ale wiedziała, że na nic zdadzą się modlitwy. Nigdy nie zapomni obelżywych słów Felipe, gdy leżała na żółtej sofie zdruzgotana bólem i upokorzeniem. Piękna szara suknia była podarta i poplamiona jej własną krwią.

– Ty namolna mała suko! – warknął baron z pogardą. – Sama się o to prosiłaś!

Owinał ją w pelerynę, wezwał gondolę i wręczając gondolierowi suty napiwek kazał zawieźć dziewczynę do Palazzo Gritti. Na chwilę ścisnął ją za ramiona, jakby chciał do siebie przytulić, lecz zamiast tego wyszeptał złowróżbnym tonem:

– Pamiętaj, jeśli piśniesz komuś choć słówko, skończysz na dnie kanału!

Wepchnął drżącą Poppy do gondoli.

Tylko odźwierny dostrzegł jej późny powrót, gdy pędziła przez hol. Zerknął na nią ciekawie, lecz po chwili znów wrócił do czytania gazety. W bezpiecznym schronieniu własnego pokoju pospiesznie zdjęła zniszczoną suknię i pełna obrzydzenia do samej siebie ukryła ją wraz z podartą bielizną w koszu z rzeczami do prania. W łazience ledwie odkręciła drżącymi rękami masywne brązowe kurki. Napelniła wannę gorącą wodą i szorowała zaciekle całe ciało, by pozbyć się śladu dotyku Felipe. Potem ubrana w czystą koszulę zwinęła się w kłębek na środku łóżka i zapragnęła umrzeć.

Teraz, gdy słońce świeciło w zapowiedzi następnego cudownego dnia – w wigilię ślubu Angel – czuła to samo. Nie mogła nikomu opowiedzieć, co się stało, nikt by jej nie uwierzył. Uczepiła się myśli o truciznie... lecz nie wiedziała, gdzie ją kupić. Wspominała z tęsknotą pokój z bronią na ranczu. Tam w zamkniętych szafkach stały szeregi wspaniale zdobionych strzelb, a w gablocie krytej szkłem leżała kolekcja pistoletów z kolbami wykładanymi srebrem i masą perłową. Jedna kula załatwiłaby sprawę.

Podniosła niespokojnie wzrok słysząc pukanie do drzwi.

– Obudź się, śpiochu! – zawołała wesoło Angel. – Musimy kupić jeszcze parę rzeczy!

– Idźcie lepiej beze mnie! – odrzyknęła Poppy, gorączkowo szukając jakiejś wymówki. – Ja... mnie znów okropnie boli głowa!

– Biedaczka! Weneckie powietrze naprawdę ci nie służy. Chcesz, żeby wezwać lekarza?

– Nie, nie... – Poppy udawało się mówić całkiem normalnym głosem – odpocznę tylko trochę, nie przejmujcie się mną.

Nagle uderzyło ją, że Angel niczego nie podejrzewa. Ani nikt inny. Tylko ona i Felipe znali prawdę. W mroku rozpaczony zaświtał jej promyk nadziei. Jeżeli będzie wystarczająco sprytna, nikt się nigdy nie dowie o jej hańbie. Miała jednak obawę, że zesłoneczne przejścia odbiły się na jej twarzy. Spojrzała uważnie do lustra, lecz oprócz ciemnych kręgów pod oczami wyglądała tak jak zawsze.

Do pokoju wpadły Rozalia i ciotka Melody, pytając niespokojnie, jak się czuje. Usiadła na łóżku, starając się zachowywać jak zwykle.

– Naprawdę zaczynam się o ciebie martwić, Poppy! – Rozalia położyła jej dłoń na czole, by sprawdzić, czy nie ma gorączki.

– Bzdura! – zaoponowała donośnie ciotka Melody. – Dziewczyna jest po prostu zakochana, i tyle!

Poppy spojrzała na nią z lękiem. Czyżby ciotka domyśliła się prawdy?

– To musi być jakieś młodzieńcze zadurzenie – ciągnęła ciotka Melody. – Przecież Angel i Poppy zawsze robią wszystko jednocześnie.

– Ach, rozumiem! – Rozalia roześmiała się, poprawiając przed lustrem kapelusz. – Cóż, sądzę, że pewien młody człowiek w domu byłby więcej niż rad mogąc ją zobaczyć. Greg był bardzo rozczarowany, że nie mógł przyjechać, i podejrzewam, że chodziło mu głównie o ciebie, Poppy. No, ale dosyć tych swatów, musimy ruszać. Angel nie wolno ujrzyć Felipe aż do chwili ślubu, więc zjemy dziś obiad w rodzinnym gronie. Mój Boże, tak się denerwuję, gdy pomyślę tylko o tej całej zaproszonej arystokracji! Miałam koszmarny sen, że wpadliśmy wszyscy do kanału w naszych uroczystych strojach. Bywaj, Poppy, nie powinnyśmy wrócić zbyt późno. Czemu nie otworzysz okna, kochanie, i nie wpuścisz trochę słońca i świeżego powietrza? Nie chcę cię tak zostawiać w ciemności.

Po wyjściu Rozalii Poppy opadła na poduszki. Jakaż była głupia tak się

zamartwiając! Istniało proste wyjście z sytuacji – wyjść za Grega Konstanta! Wówczas będzie miała wszystko, czego zapragnie, i stanie się Poppy Konstant!

We wrześnie popołudnie Angel, eterycznie piękna w stroju oblubienicy, popłynęła obsypaną kwiatami ślubną gondolą do wielkiego kościoła Santa Maria della Salute. Powietrze zastygło w bezruchu, jak to się zdarza przed burzą, i nad Wenecją zawisła przytłaczająca cisza, która wyolbrzymiała wszystkie dźwięki. Wielkie organy ozwały się kantatą Bacha. Prastare mury zawibrowały od potężnych tonów, echo poszło daleko w lagunę. Słońce skrywały chmury i gdy Angel wchodziła do kościoła, jej twarz rozjaśniał tylko promyk uśmiechu.

Poppy ubrana w wirującą w takt kroków zieloną taftę, z ciemno-czerwonymi różami wpiętymi w przepych włosów, pomyślała, że Angel wygląda jak idealne wyobrazenie panny młodej. Jej suknia ślubna z długim trenem na spodzie z grubego białego atlasu uszyta była z misternej koronki, naszywanej perłami i kryształowymi paciorkami. Kryza z tej samej koronki otulała smukłą szyję oblubienicy, a z diamentowego diademu, włożonego na jedwabiste blond włosy, spływała kaskada białego tiulu. Kiedy Angel ujęła ramię ojca idąc do ołtarza, tiul welonu nie pozwalał dojrzeć wyrazu jej oczu, lecz Poppy wiedziała, że świecą ze szczęścia.

Ściskając swój bukiet tak mocno, że drut, którym owinął go kwiaciarz, wpił jej się boleśnie w rękę, z oczami spuszczoneymi na sunący przed nią tren, podążała za nimi wolno w głąb głównej nawy. W końcu odważyła się spojrzeć na młodą parę. Angel z odrzuconym welonem powtarzała słowa przysięgi małżeńskiej, a Felipe wpatrywał się w nią rozkochanym wzrokiem.

„Udawaj, że jesteś aktorką – powtarzała w myśli Poppy ubierając się przed wyjściem – że to tylko nieważna rólka w jakiejś głupiej sztuce”. Trzymając się tego postanowienia złożyła swój podpis na akcie ślubu. Siłą woli opanowała drzenie ręki, dumnie podniosła głowę do zdjęcia, a przy toastach śmiała się wesoło wraz z innymi z dowcipnej przemowy Felipe.

– A teraz – zakończył bez śladu żartobliwości – wypijmy wszyscy zdrowie

najpiękniejszej panny młodej! – Uniósł kieliszek uśmiechając się do Angel.

Później, kiedy została sama z Angel i pomagała jej się przebrać w suknię podróżną z blad różowego jedwabiu, nadal z determinacją udawała dobry humor.

– Najpierw pojedziemy do Paryża – westchnęła ekstatycznie Angel. – Felipe zna go na wylot, tak jak Wenecję, nazywa Paryż swoim drugim domem, a dla mnie to będzie jak odkrywanie nowego świata. Potem do Londynu... a potem do Nowego Jorku... – Nasunawszy na jedno oko dokładnie pod właściwym kątem kapelusik z kremowej słomki, przybrany tiulem i blad różowymi pączkami róż, odwróciła się od lustra i zarzuciła Poppy ręce na szyję. – Bardzo cię kocham, Poppy, jesteś najlepszą siostrą, jakiej ktokolwiek mógłby sobie życzyć.

Gdy schodziła po marmurowych schodach, trzymając Felipe pod ramię, rzuciła swój bukiet wprost na Poppy. „Będiesz następną... i mam nadzieję, że to będzie Greg” – wyszeptwała całując ją na pożegnanie. A później, w deszczu płatków róż, wśród radosnych okrzyków i życzeń szczęścia, Angel i Felipe odpłynęli gondolą nowożeńców do stacji Santa Lucia, by wsiąść do pociągu, którym mieli odjechać do Paryża, i ku nowemu życiu.

Uśmiech Poppy, od wczesnego ranka jakby przyklejony do jej twarzy, zniknął, kiedy usunęła się ludziom z oczu. Już po wszystkim. Zastanawiała się, czy postępek Felipe znaczył dla niego tak mało, że już zdążył o nim zapomnieć. W jego zachowaniu nie było śladu żalu czy wyrzutów sumienia. Nawet na nią nie spojrział. Zadrżała przejęta nagłą nienawiścią. Nienawidziła Felipe tak samo jak Jeba Mallory'ego; obu tym mężczyznom oddała serce, a oni tak mało o nią dbali, zranili ją i porzucili bez skrępowań.

– Chodź, Poppy – powiedział Nik, obejmując ją opiekuńczo ramieniem. – I nie bądź taka smutna. Nie straciliśmy wcale Angel, zyskaliśmy nowego członka rodziny.

Nazajutrz rano mieli wyruszyć w powrotną podróż do Kalifornii. Poppy chciała, żeby ten moment nadszedł jak najszybciej. Jej ratunek, jej przyszłość rysowały się z oślepiającą jasnością. Greg ją kochał. A więc wyjdzie za Grega.

Rozdział 28

1898

Przystojna, uśmiechnięta twarz Grega i jego spojrzenie mówiące, jak bardzo tęsknił, rozjaśniły ponury dworzec w San Francisco. Objął Poppy i ucałował, a w jej uśmiechu dojrzał tyle radości, że się roześmiał.

– Widzę, że cieszysz się ogromnie z powrotu do domu – stwierdził.

– Cieszę się, że ciebie widzę – odszepnęła. Błysnęła jej myśl, że może jednak życie dziś się nie kończy.

Jak nigdy dotychczas poczuła, że dwór Konstantów jest jej prawdziwym domem. Wyjęła z kieszeni zakietu jabłko i na otwartej dłoni podała swojej klaczy. Spojrzała za padoki na faliste brunatne wzgórza i dalej na błękitnawe pasmo gór. W duchu podziękowała Bogu, że nie dopuścił, aby tamtego straszliwego ranka w Wenecji popełniła jakiś desperacki krok. Była znów w domu i nigdy więcej nie chciała go opuszczać.

Co wieczór zasypiając powtarzała sobie w myślach, że Greg nie może nigdy dowiedzieć się prawdy. Po jakimś czasie, przeświadczona, że robi słusznie, powiedziała mu, że wyjdzie za niego za mąż.

Jakże słodkie były jego pocałunki w porównaniu ze zwierzęcą brutalnością Felipe, jak łagodny dotyk rąk, kiedy pieścił jej włosy lub trzymał ją pod ramię. Mimo to czuła się nieswojo. Wciąż była zmęczona i rozdrażniona.

Gdy po raz pierwszy nie dostała okresu, pomyślała, że to musi mieć coś wspólnego z brutalnym gwałtem Felipe. Zaniepokoiła się, czy nie okaleczył jej w nieodwracalny sposób. Była zbyt nieświadoma i zbyt przestraszona, żeby poradzić się lekarza. Podobnie minął drugi miesiąc. Uznała, że zapewne ma anemię, która osłabiła jej organizm i zakłóciła naturalne funkcje. Czyż nie tak określało się podobne niedomagania młodych mężatek? Tylko że ona przecież nie była zamężna, bała się więc zasięgać czyjejkolwiek rady i tak trwała w niewiedzy. Na kilka dni przed przyjazdem Angel i Felipe dostała po obudzeniu gwałtownych torsji.

W hotelu „Arlington” wydano na powitanie panny młodej i jej cudzoziemskiego męża wielki bal, na którym zgromadziła się cała rodzina Abrego.

– Witamy nowego syna na naszej ziemi i w naszym domu – powiedział Nik wznosząc kieliszek i zwracając się do Felipe. – Za człowieka, którego serce jest równie szlachetne jak jego ród!

Rozalia pomyślała, że dziś szczególnie wyraźnie widać rosyjską urodę Nika. Jego jasne włosy były przetykane siwizną, a oczy tak przejrzyste i niebieskie, jakby wciąż odbijały się w nich zaśnieżone rosyjskie równiny, które teraz oglądał tylko we wspomnieniach i snach. „My nie pochodzimy z arystokracji, ale jesteśmy prawdziwymi Amerykanami – pomyślała z dumą – mieszkanką krwi rosyjskiej i meksykańskiej, a teraz jeszcze i włoskiej”. Spojrzała na bladą twarz Poppy o głębokich cieniach pod oczami. „A także irlandzkiej” – dodała w myśli, bo przecież Greg poślubi Poppy; w następnym pokoleniu irlandzka krew Jeba Mallory’ego popłynie w żyłach Konstantów.

W odpowiedzi na toast Nika Felipe z ujmującym wdziękiem wygłosił krótką mowę. Poppy siedziała ze spuszczoneymi powiekami, obracając nerwowo w palcach nóżkę kieliszka. Instynkt podpowiedział Rozalii, że z dziewczyną coś się dzieje niedobrego... Chociaż nie było cienia wątpliwości, że Poppy będzie szczęśliwa z Gregiem. Zaledwie wczoraj powiedziała Rozalii, że jest zadowolona z powrotu do domu i nie ma najmniejszej chęci na dalsze podróże. Mimo to objawiała dziwną nerwowość i niepokój, jakby chciała się wyrwać z jakiejś pułapki. Co to mogło oznaczać?

W tejże chwili dziesięcioosobowa orkiestra z San Francisco zaczęła grać do tańca. Rozalia patrzyła, jak przy aplauzie gości jej prześliczna Angel wiruje w objęciach Felipe, i chwilowo wszelka myśl o Poppy wyleciała jej z głowy.

Angel siedziała na swoim starym łóżku w pokoju Poppy. Lampa mżyła ciepłym blaskiem. Młoda oblubienica, podwinawszy nogi pod siebie, opowiadała długo i

szeroko wrażenia z podróży: opisywała restauracje w Paryżu, londyński deszcz i cuda Nowego Jorku. Poppy stała przy toaletce i chcąc zająć czymś ręce czesała i szczotkowała niezmiernie długo włosy, lecz w lustrze nie odrywała oczu od Angel.

– Poppy – odezwała się w pewnej chwili Angel nieśmiało – pamiętasz, cośmy sobie kiedyś przyrzekły? Ta, która wyjdzie pierwsza za mąż, miała opowiedzieć wszystko drugiej. No więc... to wcale nie jest tak jak u krów i owiec! Och, Poppy, to coś cudownego! Nawet nie wiem, jak ci to opisać. To jest najczulsze, pełne miłości i najłagodniejsze przeżycie w świecie... a jednocześnie w pewien sposób podniecające. Felipe miał dla mnie tyle wyrozumiałości! Cały tydzień minął, zanim się z tym oswoiłam, a on nigdy mnie nie popędział, trzymał mnie tylko w ramionach i bosko ukajał, a kiedy w końcu do tego doszło, to przyszło tak jakoś samo z siebie.

Jej oczy rozbłyły na samo wspomnienie, a Poppy pomyślała, że chyba mówi o kimś innym, nie o Felipe, którego ona знаła.

– Poppy, chcę tobie powiedzieć pierwszej, zanim zawiadomię innych... z wyjątkiem Felipe oczywiście, ale zanim dowiedzą się mama i papa, i wszyscy. Wiesz co? Jestem w ciąży!

Rozległ się głośny stuk. To Poppy upuściła szczotkę.

– W ciąży? – wyszeptwała.

Angel uszczęśliwiona skinęła głową.

– Czyż to nie wspaniałe? Felipe naturalnie marzy o synu, który mógłby nosić nazwisko Rinardich, ale ja nie dbam o to, czy będzie chłopiec, czy dziewczynka. – Spojrzała niepewnie na białą jak papier twarz Poppy. – Nie cieszysz się?

– Czy się cieszę? – powtórzyła Poppy jak w transie. – Och, tak, tak, oczywiście, strasznie się cieszę. Jakżeż mogłabym się nie cieszyć, Angel, przecież to cudowna nowina! Powiedz mi... jak się czujesz?

– Wciąż mi niedobrze – westchnęła Angel. – Wymiotuję każdego ranka, jak tylko wstanę. Czasami bierze mnie ochota, żeby zostać w łóżku i unikać tych mdłości, ale już po chwili jestem rześka jak skowronek. Minęły dopiero dwa miesiące i nic jeszcze nie widać po figurze, wciąż jestem równie smukła jak ty. – Przesunęła

wzrokiem po chudej postaci Poppy i zmarszczyła brwi. – Prawdę mówiąc, jesteś odrobinę zbyt szczupła, Poppy. Mama uważa tak samo. Masz jakieś zmartwienie?

Poppy potrząsnęła głową. Przez ostatnie kilka tygodni jadła możliwie najmniej. Widok jedzenia powodował u niej nudności, a poza tym chciała być jak najszczuplejsza, aby długo ukrywać przed światem swój straszny sekret. Znalazła się w ślepych zaułku. Jak mogła wyjść za Grega nosząc dziecko innego mężczyzny – i to na dodatek jego szwagra? Znow zaczęła szczotkować włosy długimi, machinalnymi ruchami. Była zbyt otepiała, by czuć rozpacz. Jej życie było zrujnowane i nie widziała dla siebie żadnego wyjścia. Wróciła myślą do ozdobnych srebrnych pistoletów w pokoju z bronią.

– Poppy, chcę cię o coś poprosić – ciągnęła Angel błagalnym tonem. – Wiem, że to za dużo żądać, żebyś znowu zostawiła Grega, ale, och, Poppy, tak bym chciała, żebyś pojechała ze mną i zamieszkała na te kilka miesięcy w Villa d’Oro. Będę tam taka samotna, a teraz, gdy jestem w ciąży, trochę się boję. Nie, nie odpowiadaj jeszcze – poprosiła unosząc rękę – bo wiem, że powiesz nie. Po prostu obiecaj mi, że to przemyślisz.

– Nie mogłabym znieść myśli, że się boisz – odrzekła spokojnie Poppy. – Oczywiście, że to rozważę.

Nocą nie mogła zasnąć. Myślała o Angel, która spała w ramionach Felipe w pokoju gościnnym. Kiedy tak przewracała się niespokojnie z boku na bok, w jej głowie zakiełkował pewien pomysł. Obmyślała go wciąż od nowa, aż wreszcie z nadejściem świtu miała gotowy plan działania. Jeśli się powiedzie, będzie znow wolna.

Rano oznajmiła Gregowi, iż uważa za swój obowiązek pomóc Angel. Nie można przecież dopuścić, by jego siostra przechodziła te trudne miesiące pierwszej ciąży nie mając przy sobie żadnej przyjaznej duszy. Poppy zostanie przy Angel do czasu narodzin dziecka, a potem wróci do domu i wezmą z Gregiem ślub.

– Obiecujesz? – spytał Greg ze smutkiem. – Przrzekasz, że wrócisz do mnie?

– Przrzekam – oświadczyła solennie.

w tydzień później Angel i Felipe wyjechali do Europy. Po upływie miesiąca Poppy udała się w ślad za nimi. Tym razem podróżowała samotnie. Na statku przebywała głównie w swojej kabinie i pokazywała się tylko na obiedzie. Kilku młodych oficerów próbowało nawiązać z nią rozmowę i pytało, dlaczego nie przychodzi na poobiednie tańce w salonie. Wymówiła się morską chorobą. Do końca życia miała dosyć flirtów, romansów i mężczyzn.

Gdy przybyła do Włoch, była w czwartym miesiącu ciąży, lecz zagłodziła się do tego stopnia, że nikt nic nie zauważył. Angel, hoża i kwitnąca, przywitała ją z entuzjazmem, natomiast Felipe niemal nie zadał sobie trudu, by ukryć niechęć. Wymówił się jakąś ważną sprawą i pojechał do Wenecji.

– Nie umiem wprost wyrazić, jaka to radość mieć cię tutaj – powiedziała Angel, kiedy zasiadły w pokoju Poppy. – Felipe tak dziwnie się zachowuje, że wciąż zachodzę w głowę, co się stało. Nie myśl, że jest niegościnnie – dodała prędko – przypuszczam, że to dla niego uciążliwe znosić te moje ciągłe mdłości... Och, Poppy, gdybyś tylko wiedziała, jak się człowiek przy tym czuje, nigdy nie miałabyś dzieci!

– Wiem aż za dobrze, Angel – odparła z powagą Poppy. – Dlatego tu jestem.

Angel wybuchnęła śmiechem.

– Nie bądź niemądra, Poppy, skąd byś miała to wiedzieć? Poczekaj, aż wyjdiesz za Grega, a głowę daję, że wtedy szybko się dowiesz.

– Angel – Poppy chwyciła ją za ramię i spojrzała z determinacją w jej oczy – jak bardzo kochasz Grega?

– Grega? – powtórzyła zdumiona Angel. – Przecież kocham go bardziej niż wszystko w świecie.

– A mnie? – nalegała Poppy ściskając mocniej jej ramię.

– Oczywiście, że ciebie też! – zawołała Angel już na serio przestraszona.

– Dobrze, w takim razie nam pomożesz. Słuchaj mnie uważnie, Angel, to skomplikowana historia, choć niestety prawdziwa. Jestem w rozpaczliwej sytuacji. Jeżeli zależy ci choć trochę na szczęściu Grega, musisz mi pomóc.

– Ale o co chodzi? – spytała z przerażeniem Angel. – Co się stało?

– Pamiętasz, że mówiłam ci o mężczyźnie, którego spotkałam w Wenecji? Moim „tajemniczym kochanku”, jak go żartem nazywałaś? Mogę ci zaręczyć, Angel, że nigdy się nim nie stał. Och, snułam takie nadzieje, byłam w nim nieprzytomnie zakochana, nie mogłam znieść myśli o życiu z dala od niego... Umknęły mojej uwagi jego słabości i wady... Och, Angel – jęknęła Poppy – on okazał się demonem z głębi piekieł! Któregoś popołudnia zwabił mnie do swojego domu, a potem zamknął drzwi i... zgwałcił mnie!

Angel pobladła jak chusta.

– Zgwałcił? – szepnęła z niedowierzaniem.

Poppy skinęła w milczeniu głową.

– To było... to był koszmar. Pamiętasz, jak opowiedziałas mi o swojej nocy poślubnej?

Angel skinęła głową, a jej oczy wypełniły się łzami.

– To było coś zupełnie innego – mówiła Poppy – tak... brutalne... okropne, przerażające, upokarzające do głębi przeżycie z winy podłego nikczemnika. Gdy ze mną skończył, pragnęłam tylko śmierci.

– Śmierci? – powtórzyła struchlała Angel.

– Och, możesz mi wierzyć, zastanawiałam się nad wszystkimi możliwymi sposobami. Myślałam o tym, jak zdobyć truciznę, pistolet, nóż, cokolwiek, by się zabić. – Popatrzyła w oszołomione niebieskie oczy Angel. – W głębi duszy jednak nie chciałam umierać... bo kochałam Grega. Czy będziesz mnie winić za to, że nie odebrałam sobie życia?

– Winić?! – oburzyła się Angel. – Oczywiście, że nie!

– Kochałam Grega i wiedziałam, że on mnie kocha. Zdałam sobie sprawę, że zawróciłam sobie głupio głowę złym mężczyzną, cudzoziemcem, który żerował na moich dziewczęcych romantycznych złudzeniach, a potem mnie podle wykorzystał. Och, Angel, sądziłam, że nikt się o tym nie dowie, że będę mogła pogrzebać to w niepamięci. W końcu nie wyrządziłabym tym Gregowi żadnej krzywdy, prawda? –

dodała żałośnie. – Moje serce pozostało takie jak przedtem. Ja tu niczym nie zawiniłam!

– Oczywiście, że nie – zawtórowała lojalnie Angel.

– Wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży – powiedziała cicho Poppy – i nie miałam pojęcia, co zrobić.

– O mój Boże! Cóż teraz poczniesz?

– Dlatego właśnie tu przyjechałam. Słuchaj mnie uważnie, Angel. Przysięknij, że nic nie powiesz, zanim nie skończę. – Angel przytaknęła uroczyście. – Powiem ci, jaki mam plan. Pojadę do jakiegoś pensjonatu na prowincji, daleko stąd, gdzie nikt mnie nie zna. Urodzę tam dziecko.

– Nie chcesz chyba go oddać obcym ludziom? – szepnęła przerażona przyjaciółka.

Poppy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Obiecałaś nic nie mówić, dopóki nie skończę – skarciła ją. – Teraz posłuchaj mnie uważnie, bo to dotyczy ciebie. I Felipe – dodała dziwnym głosem. – Obie jesteście w ciąży, nasze dzieci urodzą się mniej więcej w tym samym czasie. Angel, proszę cię, żebyś to ty wzięła moje dziecko i wychowała je jako swoje własne. Rozumiesz? Nikt nie musi o tym wiedzieć, wszyscy będą sądzić, że urodziłaś bliźnięta. – Widząc, że Angel coraz szerzej otwiera oczy, ciągnęła szybko: – Zrozum, to będzie tylko dziecko, jeszcze jedno małe, słodkie dziecko... moje dziecko, Angel. Jak mogłabym oddać je obcym ludziom na poniewierkę, gdy może wychować się w naszej rodzinie? Zaklinam cię na wszystko, Angel, weź je! Wyzwól mnie od tego okropnego brzemienia... Jeżeli mi odmówisz, sama nie wiem, co ze sobą zrobię – dodała z rozpaczą.

Angel spojrzała na nią, zdjęta nagłą obawą.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... że popełnisz samobójstwo? – szepnęła.

Poppy spuściła oczy i wlepiła wzrok w dywan.

– Cóż innego by mi pozostało?

– Moja biedna, najdroższa Poppy! – krzyknęła Angel rzucając jej się na szyję. –

Naturalnie chcę ci pomóc ze wszystkich sił! Muszę ci pomóc. Ale co powiemy Felipe?

– Felipe ma złote serce – rzekła tym samym dziwnym tonem Poppy. – Poproś go, Angel, i zobacz, co na to powie. Jestem pewna, że zgodzi się na wszystko z miłości do ciebie.

Odpowiedź przyniósł jej Felipe.

– Angel koniecznie chce wziąć to dziecko – oznajmił zimno.

– Twoje dziecko – przypomniała spokojnie Poppy.

– Zdajesz sobie sprawę, że tego nie da się dowieść. Jednakże nie chcąc dopuścić, abyś zaczęła pracować brudną w rodzinie, zgodziłem się wychować dziecko jako swoje własne.

– Co mu się słusznie należy – wtrąciła chłodno.

– ...ale pod jednym warunkiem – ciągnął – i Angel zgadza się ze mną w tej sprawie. Po oddaniu dziecka musisz się oddalić i nigdy nie wolno ci będzie wrócić.

– Ależ naturalnie, pojedę do domu. Do Santa Barbara.

W oczach Felipe zalsnił triumf, gdy odpowiedział:

– Nie to miałem na myśli, Poppy. Masz zniknąć! Zniknąć raz na zawsze z naszego życia! A jeśli kiedyś wrócisz, ja zadbam o to, by twoja rodzina dowiedziała się, że ich tak zwana córeczka okazała się taką samą czarną owcą, jak ten łajdak, jej ojciec! Postaram się, żeby Greg Konstant nie chciał cię widzieć na oczy. W razie potrzeby dowie się całej prawdy: jak mi się narzucałaś, jak przyjechałaś do mnie w nocy w przeddzień ślubu najdroższej przyjaciółki – twojej siostry! – i ofiarowałaś mi swoje wdzięki. Jak mnie usidlilaś swoimi sztuczkami! Nie, Poppy, nigdy już nie wrócisz do domu!

Rozdział 29

1899, WŁOCHY

Instykt skierował Poppy do małego, gościnnego pensjonatu nad jeziorem Como, pod opiekę włoskiego małżeństwa Rossich, które tak serdecznie zajęło się nią, gdy

przyjechała tu z ciotką Melody. Mimo że nosiła na palcu cienką złotą obrączkę ślubną, którą kupiła w Wenecji, poznała po wyrazie oczu signory Rossi, że gospodyni nie uwierzyła w ani jedno słowo opowieści o nagłym tragicznym zgonie męża. Zaopiekowała się nią jednak serdecznie i doglądała jej z tą samą macierzyńską troską, jaką darzyła własne dorosłe dzieci i małe wnuki.

Poppy traktowano z szacunkiem należnym gościowi, toteż w niedzielę, gdy zbierała się cała liczna rodzina, sadzano ją przy oddzielnym stole pod oknem i signora Rossi obsługiwała ją w pierwszej kolejności. Potem usprawiedliwiała się pospiesznie i biegła zaspokoić niezliczone żądania wnucząt.

Poppy starała się nie patrzeć na małe dzieci, wybiegające w podnieceniu na dwór i z powrotem, a także na ich matki, obsypujące je pieszczotami i łakociami pod zyczliwym okiem ojców. Maluchy jednak spoglądały na nią ciekawie zza drzwi i śmiały się do niej, a ona czuła ukłucie zazdrości na widok tego pełnego prostoty rodzinnego szczęścia. Prędko i bez apetytu zjadała obiad, po czym spacerowała po miasteczku o nazwie Bellagio. Zatrzymywała się na dłużej w mrocznym wnętrzu kościoła, rozjaśnionym światłem świec, i daremnie szukała w duszy odpowiedzi na dręczące ją pytania, znajdując tylko krótkotrwałe ukojenie.

Podczas mijających beczynn timer dni, tygodni i miesięcy, miała mnóstwo czasu na rozmyślanie o zemście Felipe. Każdego dnia budziła się z nadzieją, że nadejdzie list od Angel, lecz przyjaciółka nie odezwała się ani słowem. W ciągu długich zimowych nocy Poppy ogarniała przytłaczająca samotność. Zapadała w niespokojną drzemkę i zaczynała śnić o domu i Gregu, którego nigdy już nie zobaczy.

W szare popołudnia mimo mroźnych porywów wiatru od jeziora spacerowała po bezlistnych ogrodach i rozpamiętywała, jak mogła być tak głupia.

Zaniepokojona szybkością, z jaką kurczyły się jej niewielkie zasoby pieniężne, ograniczyła posiłki w pensjonacie do kolacji. Stawała się coraz bardziej ociężała, lecz nie próbowała porozumieć się z lekarzem ani poczynić przygotowań do porodu. Signora Rossi z niepokojem wypytywała ją krótkimi zdaniem i w łamanej angielszczyźnie, lecz Poppy kręciła tylko głową i udawała, że nie rozumie.

Wyglądało niemal na to, że pomimo zniekształconej figury wciąż nie chce uwierzyć, iż wszystko to dzieje się naprawdę. '

Deszczowy kwiecień ustąpił miejsca ciepłym, balsamicznym dniom majowym, a w ogrodzie pensjonatu rozkrzewiła się bujnie winorośl i zakwitły wonne kwiaty. Poppy myślała z lękiem o przyszłości.

W bezsenne noce dręczyły ją obawy, dokąd się uda i co będzie robić. Miała bardzo mgliste przypuszczenia co do terminu narodzin dziecka i gdy w środku cieplej majowej nocy przeszył ją pierwszy ból, zamarła nie mogąc w to uwierzyć. Bóle stały się częstsze i mocniejsze.

„Gdy tylko urodzę dziecko, zmienię całe swoje życie” – pocieszała się w duchu podczas błogich przerw między skurczami. Wkrótce bóle nasiliły się tak, że zaczęła głośno krzyczeć. Do pokoju wbiegła signora Rossi.

– Proszę się nie martwić – uspokajała – czułam, że dziecko dziś przyjdzie na świat, poznałam to po pani twarzy...

Pospieszyła do kuchni po gorącą wodę na obmycie rozrywanego bólem ciała Poppy i po ręczniki, które przywiązała do poręczy łóżka, żeby Poppy mogła za nie szarpać w chwilach największego cierpienia.

Poppy myślała, że ta noc nigdy nie dobiegnie końca. Przez okno wpadał już chłodny powiew, oznaczający nadejście świtu, a dziecko jeszcze się nie urodziło. Przestraszona signora Rossi wysłała męża do miasteczka po lekarza. Obmywała rozpalone czoło Poppy i podczas skurczów trzymała ją w ramionach jak własną córkę.

– Poród będzie pośladowy – rzekł doktor Callonio z powagą. – Istnieje duże niebezpieczeństwo, że dziecko umrze. Matka też może tego nie przeżyć. Gdzie jest jej rodzina?

Signora Rossi wzruszyła ramionami i wzniosła oczy do nieba.

– Jej mąż nie żyje – oświadczyła lekarzowi. – Jest całkiem sama. – I pobiegła do posłania Poppy, która znów krzyknęła ostro z bólu.

Zapadła kolejna noc. Wreszcie przy wtórze jęków tak rozdzierających, że signora

Rossi zakrywała w przerażeniu uszy, dziecko Poppy przyszło na świat. Była to dziewczynka. Wbrew obawom lekarza nie była martwa. Krzyczała z wielkim wigorem i ważyła przeszło sześć funtów. Poppy była zbyt wycieńczona, żeby choć otworzyć oczy i popatrzeć na córkę. Lekarz niezwłocznie posłał do miasteczka po mamkę i rozpoczął walkę o życie Poppy.

Wyglądało już na to, że spełni się jej skryte życzenie, bowiem przez kilka dni była zawieszona między życiem doczesnym a krainą duchów. Teraz, gdy nie zostało jej nic, dla czego można by żyć, przekonana była, że Bóg uwolni ją z udręk tego świata. Majaczyła, że opada wolno w głąb ciemnego, przytulnego szybu, gdzie nie ma cierpienia i panuje wieczny spokój. Mrok przybliżał się coraz bardziej i pomyślała, że to takie łatwe... lecz w tej chwili do jej świadomości przedarły się krzyki dziecka, a z nimi wrócił okropny ból, torturujący jej ciało, i pamięć wszystkich nieszczęść.

– No, signora, postanowiła pani jednak zostać na tym świecie – oznajmił doktor Callonio w trzy tygodnie później.

Poppy spojrzała na niego posepnie.

– Nie ja dokonałam tego wyboru – powiedziała chłodno.

– Proszę zapamiętać, moja biedna pani – rzekł łagodnie – że w rzeczywistości nic nie jest takie straszne, jak się wydaje. Ponadto ma pani piękną córeczkę, której pani jeszcze nie widziała. – Spojrzał na nią przepraszająco. – Nie byliśmy pewni, czy pani przeżyje, więc postanowiliśmy sami ochrzcić dziecko. Signora Rossi pozwoliła sobie wybrać imiona. Małeństwo nazywa się teraz Helena Maria Mallory.

Poppy patrzyła pustym wzrokiem na pogodne błękitne niebo za oknem. Jej córka miała już trzy tygodnie, otrzymała imię, istniała naprawdę... Naciągnęła prześcieradło na głowę i odwróciła się do ściany.

– Nie rozpaczaj, dziecko – pocieszała ją signora Rossi ze zrozumieniem – pamiętaj, że Bóg pomaga nam wszystkim.

„Ale nie mnie – pomyślała Poppy, zagryzając usta, by powstrzymać łzy słabości i żalu – nigdy nie mnie”.

Wreszcie przyniesiono jej dziecko. Zerknęła na nie trwożnie. Na szczęście nie miało rudych włosów i w ogóle nie było do niej podobne. Z westchnieniem ulgi stwierdziła, że nikt nie odróżniłby go od rodzzonego dziecka Angel. Było ładne, lecz nie budziło w niej nawet cienia czułości ani macierzyńskiej miłości. To było dziecko Felipe.

Z zazdrością myślała, jak odmiennie to wydarzenie musiało przebiegać w Palazzo Rinardi. Urodziny dziecka Angel były wielkim świętem, na które wszyscy czekali, by uczyć je z radością. Poprosiła o pióro i papier i napisała telegram: „Urodziła się dziewczynka”. Potem nie zważając na dziecko odwróciła twarz do ściany i czekała na przyjazd Angel.

Codziennie wyglądała wysłańca z poczty w Bellagio, który przyniósłby jej upragnioną odpowiedź, i za każdym razem przeżywała rozczarowanie. W nocy przemierzała niespokojnie swój pokój, spoglądając na dziecko, leżące w kołysce przy jej łóżku, to znów rzucając się do toaletki, by przeliczyć pieniądze, jakie zostały w cieniutkiej portmonetce. Musiała opłacić mamkę i lekarza i trudno było oczekiwać, że signora Rossi, choć obdarzona dobrym sercem, da jej jedzenie i dach nad głową bez żadnej zapłaty... „Och, Angel, Angel – rozpaczliwie wzywała w myślach przyjaciółkę – obiecałaś ją zabrać, przyrzekłaś, że mi pomożesz!”

Po upływie dziesięciu dni prawie straciła nadzieję. Lecz oto późnym popołudniem przed dom zajechał konny powóz ze stacji w Bellagio. Zatoczył półkole i przystanął. Wsiadła z niego Angel. Była ubrana w jedwabną suknię w drobny deseń wiosennych kwiatów i wielki słomkowy kapelusz. Jasne włosy miała nienagannie ułożone, a na szyi nosiła kilka sznurów wielkich, połyskliwych pereł.

– Poczekajcie tu, dobry człowieku – rozkazała wysiadając z powozu. Przysłoniwszy dłonią oczy, spjrzała w kierunku domu.

Poppy wybiegła na ganek.

– Angel, Angel! – krzyczała. – Och, Boże, Angel! Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz!

Po nieuchwytej niemal chwili wahania Angel rozpostarła ramiona by uściskać

przyjaciółkę.

– Dobrze się czujesz? – spytała z wyrazem niepokoju w przejrzystych niebieskich oczach.

– Nawet wolę o tym nie myśleć – odparła gorzko Poppy. – A ty?

– Mam córeczkę. Urodziła się miesiąc temu, jak i twoja. – Angel wsunęła rękę pod ramię Poppy i ruszyły wolnym krokiem do ogrodu. – Felipe nie wie, że tu jestem. Musiałam czekać, aż wyjedzie do Wenecji, aby móc przyjechać. Nie pozwolił mi do ciebie pisać – I naturalnie nie posłuchałam go, ale przechwycił moje listy. Napisał do mamy, papy i Grega... nie wiem, co im powypisywał, ale od tamtej pory mama nie wspomina o tobie ani słowem w swoich listach. Och, Poppy, dlaczego nie pozwoliłaś mi powiedzieć jej, co się stało? Pomogłaby ci z pewnością!

Poppy potrząsnęła tylko głową. Wiedziała, że Felipe dokonał swego dzieła zniszczenia. Wolałaby raczej umrzeć, niż stanąć z brzemieniem swojego wstydu twarzą w twarz z Rozalią i Nikiem. Jeśli zaś chodzi o Grega, nigdy nie uwierzyłyby w jej opowieść. Zrozumiała, że dom rodzinny straciła na zawsze.

– Felipe zabronił mi się z tobą widywać i powiedział, że nie chce tego dziecka. Zakazał mi kontaktować się z tobą. Mówił o tobie takie straszne rzeczy, że to po prostu nie może być prawda. – Patrzyła błagalnie, szukając potwierdzenia na twarzy Poppy. – Powiedział, że jesteś z gruntu zła, że jesteś uwodzicielką i nawet jego próbowałaś uwieść... – Jej głos ucichł. – Proszę, powiedz, że to nieprawda!

Poppy rozgarnęła żwir czubkiem bucika, unikając szczerych oczu przyjaciółki.

– Nie ma w tym słowa prawdy, Angel – powiedziała w końcu.

– Wybacz mi, że w ogóle cię o to pytałam, że mogłam choć na chwilę przypuścić... – Angel się zająknęła. – Wiedziałam przecież, że to nieprawda, ale z drugiej strony, po cóż Felipe miałby cię tak podle oczerniać? Po prostu go nie rozumiem, Poppy. Czasami myślę, że to całkiem inny człowiek niż ten czuły, beztroski Felipe z pierwszych dni w Wenecji, którego poślubiłam. Potrafi być taki zimny, taki... odległy. Wiesz, co zdaje się mu sprawiać największą przyjemność? Gdy wystrojona i obwieszona brylantami odgrywam rolę wielkiej pani na włościach

albo króluję w łoży w operze. Czasem sama sobie wydaję się nieprawdziwa, Poppy, jakby on zmieniał mnie w kogoś wymyślonego... – nagle urwała i spojrzała ze skruchą na zamkniętą twarz Poppy. – Jakże ja mogę się skarżyć? – wykrzyknęła. – Kiedy tylko pomyślę o tobie i twoich kłopotach! Oczywiście zabiorę dziecko, tak jak przyrzekłam. – Znów się zawahała. – Jesteś pewna, że tego chcesz? Masz jeszcze czas, by zmienić zdanie.

Poppy potrząsnęła przecząco głową.

– Dobrze się składa, że dziewczynka w niczym mnie nie przypomina – odparła. – Jest jasnowłosa i tak ładna, że śmiało mogłaby być twoją córką.

– Więc będzie nią od dzisiejszego dnia. Nic mnie nie obchodzi, co powie Felipe! To ci mogę obiecać, Poppy. Nie spadnie na nią żadne piętno, nikt się nigdy nie dowie... nawet ona sama.

Poppy z zadowoleniem kiwnęła głową. Popatrzyła na woźnicę, który odganiał muchy z końskiego zadu.

– Felipe będzie zły, że tu przyjechałaś. Lepiej się pospiesz, żeby zdążyć do domu, zanim on wróci.

Angel rzuciła niespokojne spojrzenie na śliczny złoty zegarek wysadzany perełkami i rubinami, który miała przypięty do paska.

– Pociąg odjeżdża za godzinę – rzekła z obawą. – Och, Poppy, to okropne, że muszę cię tak zostawić. – W jej oczach stanęły łzy.

– Przyniosę małą. – Poppy wróciła po chwili niosąc niemowlę zawinięte w wełniany szal. – Signora Rossi przyniesie jej rzeczy – szepnęła. – Nie ma ich dużo, tylko kilka ubranek.

Angel spojrzała na uśpioną buzię dziecka.

– Ależ ona jest cudowna, Poppy! Och, jak ty możesz to znieść? – Łzy znów popłynęły z jej oczu, otarła je niecierpliwie palcem. – Nie wolno mi płakać. – Siłła się na uśmiech. – Mówią, że wtedy pokarm może się wzburzyć.

Wzięła ostrożnie dziecko, podeszła do powozu i włożyła je do przygotowanego koszyka. Signora Rossi pospieszyła naprzód ściskając w ręku niewielkie zawiniątko

z ubrankami.

– Dziecko zostanie ochrzczone w przyszłym miesiącu – stwierdziła Angel. – Czy wybrałaś dla niej jakieś imiona?

– Signora Rossi nazwała ją Helena Maria.

Angel zatrzymała się z nogą na stopniu powozu.

– Cóż ty poczniesz? – szepnęła. – Co się z tobą stanie, Poppy? Tak bym chciała, żebyś wróciła do domu, do mamy, papy i Grega. Och, Poppy, pewna jestem, że Greg nie spocznie, dopóki cię nie odnajdzie.

– Nigdy mu się to nie uda – oświadczyła zdecydowanie Poppy. – Postaram się o to. – Podała przyjaciółce zaręczynowy pierścionek z szafirem, który dostała od Grega. Zdawało jej się, że to było w jakimś innym życiu. – Proszę, oddaj mu to, wtedy zrozumie – mówiła ochryłym głosem – Wszystko skończone. I nie martw się o mnie, Angel. Ludziom takim jak ja łatwo jest... zniknąć.

Angel w rozterce wpatrywała się w pierścionek. W geście Poppy była ostateczność, która napełniła ją lękiem. Wepchnęła przyjaciółce do ręki mały pakiecik.

– To wszystkie pieniądze, jakie udało mi się zgromadzić. Żałuję, że nie jest ich więcej, ale to Felipe zajmuje się wszystkimi sprawami finansowymi. – Impulsywnie odpięła perły z szyi i wcisnęła je w dłoń Poppy. – Weź je i sprzedaj. Muszą być warte majątek. Felipe mówi, że kiedyś należały do madame du Barry... nazwał je perłami dziwki! Przez to nigdy ich nie lubiłam. – Wsiadła szybko do powozu. Jej twarz była mokra od łez. – Och, moja ukochana Poppy – wyszeptwała – czy my się jeszcze kiedyś zobaczymy?

– Żegnaj, Angel – westchnęła Poppy.

– Och, Poppy! – jęknęła głośno Angel, gdy woźnica zaciął, ospałego konia. – Nie mogę tego znieść... to ponad moje siły... musi być coś jeszcze, co mogłabym zrobić...

– Obiecuj mi jedno – powiedziała nieoczekiwanie Poppy, chwytając ją kurczowo za rękę – tylko jedno. Nazwij ją moim imieniem... nazwij ją Poppy. Angel, proszę!

Angel spojrzała na nią zaskoczona.

– To będzie trudne...

– Proszę! – zawołała Poppy błagalnie.

Angel ustąpiła i skinęła głową.

– Dobrze. Obiecuję.

Poppy obrzuciła ją pełnym wdzięczności spojrzeniem, wiedząc, że widzi ją po raz ostatni, i ciężkim krokiem poszła ku kwitnącemu cichemu ogrodowi nad milczącym błękitnym jeziorem.

Rozdział 30

1899

Gdy Greg przyjechał do Włoch, Angel z obawą stawiała mu czoło. Pierwszy raz widziała brata w takim gniewie. Patrzył na nią zimno, w jego głosie dzwięczała stal.

– Kłamiesz, Angel. I twój mąż kłamie. Nie mieści mi się w głowie, jak matka i ojciec mogli uwierzyć Felipe.

– To z powodu Jeba Mallory’ego – szepnęła przerażona. – Twierdzą, że w Poppy odezwała się krew ojca. Okazała się jego nieodrodną córką, mimo że usiłowała sama to przed sobą ukryć. Jakiż mógłby być inny powód jej ucieczki? Poznała kogoś innego, kogo pokochała mocniej niż ciebie, i uciekła z nim – dodała ze świadomym okrucieństwem, ponieważ musiała chronić Poppy i dziecko.

– Co mówiła, gdy ci go oddawała? – spytał wyjmując z kieszeni szafirowy pierścionek. – Powtórz dokładnie jej słowa.

Angel zamknęła oczy, by nie widzieć jego ściągniętej, pobladłej twarzy.

– Powiedziała: „Oddaj to Gregowi. Powtórz mu, że nie jest mi już potrzebny...” – szepnęła z udręką.

– Nigdy w to nie uwierzę! – krzyknął miotając się w pasji po odnowionym salonie w Palazzo Rinardi. – Nie mówisz o Poppy, to są słowa obcej osoby!

– Masz całkowitą rację, Greg – odezwał się Felipe od drzwi. – Nieszczęsna Poppy! Obawiam się, że biedaczka zupełnie straciła głowę dla tego łajdaka. Wiesz

przecież, jak łatwo omamić młode dziewczęta, by uwierzyły w wielką miłość, szczególnie wtedy – rzucił ukośne spojrzenie na Angel – szczególnie wtedy, gdy są z natury skłonne do dzikich wybryków. Poppy dała już dowody swego niezrównowazenia, więc jej ucieczka nie jest chyba wielką niespodzianką, prawda, przyjacielu? Gdybyś zapytał mnie o zdanie, powiedziałbym, że lepiej na tym wyszedłeś!

– Nie pytałem cię o zdanie! – odpalił Greg z gniewem. – Jestem pewny, że to ty i Angel do spółki wymyśliliście tę bajeczkę. Ale odkryję prawdę i znajdę Poppy, choćbym miał szukać do końca życia! – Wyszedł sztywnym krokiem.

– Biedny, kochany Greg – zaszlochała Angel. – I moja biedna Poppy! Lepiej doprawdy, żeby jej nie znalazł.

– Nie ma obawy – rzekł z gryzącą ironią Felipe. – Nigdy mu się to nie uda. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, Angel, w jak niemożliwej sytuacji postawiłaś nas oboje. Gdybyś omijając mój wyraźny zakaz nie zabrała tego dziecka i podstępem nie skłoniła księdza, by ochrzcił obie dziewczynki na pamiątkę tej kobiety, moglibyśmy po prostu umyć ręce. Nie mamy żadnych zobowiązań względem Poppy.

– Poppy była... jest moją siostrą! – krzyknęła Angel. – Nie obchodzi mnie, co zrobiła, przysięgła mi, że to nie jej wina!

– W takim razie dlaczego nie wyznała nazwiska swego rzekomego uwodziciela? – spytał gniewnie, chwytając żonę za ramiona. – Powiem ci dlaczego: bo miała romans z żonatym mężczyzną! Powtórzyłem ci pogłoski, jakie słyszałem o tych jej popołudniowych wyskokach. Należy też wziąć pod uwagę jej zachowanie w szkole w San Francisco. Czy to wszystko nie układa się w całość? W Poppy płynie zła krew, i basta! Twój ojciec powiedział, że ród Mallorych spowodował już dosyć nieszczęść. Musimy o niej zapomnieć i modlić się, by dosięgła ją litościwa śmierć.

– Nie – płakała Angel – nie, proszę, nie mów tak...

Tej nocy nie dawało jej spać wspomnienie stężałej twarzy Poppy, gdy widziała przyjaciółkę ostatni raz w Bellagio, cztery miesiące temu; zrozumiała wówczas, że jest to spokój kogoś, kto znalazł się na dnie rozpacz. Dla Poppy nie było

przyszłości i Angel dręczyły obawy, że może przyjaciółka już nie żyje.

Pomyślała o dwóch maleństwach, śpiących w pokoju dzieciennym w głębi korytarza, dwóch małych jasnowłosych dziewczynkach, z których żadna nie była podobna do niej, lecz, dziwnym trafem, do Felipe. Nawet jej własna matka nie byłaby w stanie odgadnąć, że jednego z dzieci nie urodziła Angel.

Rozalia z goryczą i gniewem przyjęła opowieść Felipe.

– Próbowaliśmy, Angel! – krzyknęła przez łzy. – Daliśmy jej wszystko, co tylko mogliśmy, rodzicielską miłość, normalny dom. Co ty miałaś, ona miała również. Krew Jeba Mallory’ego okazała się mocniejsza. – Rozalia przeżegnała się nabożnie. – Poppy musi zapłacić za swoje grzechy – powiedziała cicho – a my możemy tylko modlić się do Boga, aby jej wybaczył.

Cała rodzina zebrała się razem na chrzciny. Przy Niku nie można było choćby wspominać imienia Poppy. Argumenty Felipe nawet w Angel posiały ziarno wątpliwości co do prawdomówności przyjaciółki. Dotrzymała jednak słowa i dała dziecku imię matki, choć musiała uciec się do podstępu. Wywołała tym wstrząs w rodzinie, ale zabezpieczyła się na przyszłość, by Poppy nigdy nie mogła się dowiedzieć, które dziecko jest jej.

W przeddzień ceremonii chrztu poszła do księdza i oznajmiła, że zdecydowała się nazwać dziewczynki inaczej. Następnie podała mu karteczkę z wypisanymi nowymi imionami. W kościele patrzyła niewzruszenie wprost przed siebie, gdy ksiądz podnosił kolejno niemowlęta mówiąc przy tym:

– Mario-Krystyno Poppy, chrzczę cię w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego...
Heleno Mario Mallory, chrzczę cię w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego, amen.

Usłyszała, jak przy jej boku Felipe gwałtownie wciąga powietrze.

– Nie! – krzyknął z twarzą zbielełą od gniewu. – Nie możecie chrzcić naszych dzieci imionami po tej kobiecie!

– A dlaczego nie? – spytała niewinnie Angel. – Czyż nie powinniśmy przebaczać bliźnim, tak jak nakazał nam nasz Pan? To zupełnie właściwe, że moje dzieci nazywam na pamiątkę biednej siostry.

Felipe rzucił pytające spojrzenie na Nika, który po chwili wahania skinął przyzwalająco głową.

– Jeżeli Angel tego chce – zgodził się cicho.

Tak więc wszystko poszło jak należy. Tylko ona sama i Felipe wiedzieli, która dziewczynka jest ich córką. Jeżeli Poppy nie umarła i zechce kiedyś odzyskać dziecko, nie rozpozna go w żaden sposób. Tajemnica maleństwa była bezpieczna. Angel zadbała o to, by nie nazaczyło go piętno hańby. Obie „bliźniaczki” należały do niej i tylko do niej. Poppy nigdy nie będzie mogła odzyskać swej córki.

Rozdział 31

Aria odebrała kwitek przy wjeździe i z niekłamaną ulgą wjechała na kryty piętrowy parking przy Piazzale Roma. Droga powrotna z Villa d'Oro trwała przeszło godzinę. Przez cały czas padał deszcz ze śniegiem, utrudniający widoczność. Aria musiała z całej siły wyteżać wzrok. Zwlekła z opuszczeniem samochodu, żeby wysłuchać do końca ulubionej piosenki – „Najlepsze dopiero nadejdzie” Vana Morrisona. Potem z uśmiechem wyłączyła magnetofon. Taśmę Morrisona kupił dla niej Orlando. „Ta piosenka jest jakby napisana specjalnie dla nas” – powiedział wtedy.

Nagle usłyszała pisk opon. Podniosła wzrok i zobaczyła samochód, który wjechał po kręconej rampie i zaparkował tuż przy wyjściu na schody. Był to czarny peugeot. Nawet z tej odległości widziała czarną czapkę z daszkiem na głowie kierowcy.

Rozejrzała się po niemal pustym pięttrze i ogarnęła ją panika. W pobliżu nie było żywej duszy – tylko ona i mężczyzna w czarnym peugeocie. Szybkim ruchem zablokowała wszystkie drzwiczki w samochodzie. Słyszała łomot własnego serca, wstrząsały nią dreszcze strachu. Aż za często czytała w prasie o ofiarach porwań. Niektóre wychodziły z tego cało, ale innym obcinano palce i uszy, które dostawali pocztą ich krewni, zdarzały się gwałty i morderstwa...

Spojrzała gorączkowo na złowrogi samochód. Twarz mężczyzny była ukryta w cieniu. Nie zgasił silnika i kłęby siwego dymu ulatywały w mroźne powietrze.

Zrobiło jej się gorąco. Nie może tak siedzieć i czekać nie wiadomo na co, trzeba uciekać! Jej prześladowca jednak nie bez powodu zaparkował w pobliżu jedyne go wyjścia dla pieszych.

Aria włączyła motor, wrzuciła tylny bieg, wycofała szybko wóz i skrzyła ostro w stronę rampy prowadzącej w dół, zerkając z trwogą we wsteczne lustro. Przewidział jej manewr. Ruszył z miejsca i skierował się w tę samą stronę jadąc wzdłuż przeciwległej ściany. Zaczynał ją wyprzedzać. Z jękiem przerażenia dodała gazu i minawszy go o włos, wjechała rampą na czwarte piętro, nie wiedząc, co robi, gdy się tam znajdzie. Modliła się w duchu, by zdążyła wyskoczyć z samochodu i dobiec do schodów, zanim ją dopadnie tajemniczy prześladowca.

Z przeraźliwym piskiem opon skrzyła w halę na następnym piętrze i w ostatniej chwili nacisnęła hamulec widząc przed sobą grupkę robotników, którzy dopiero co wysiedli z furgonetki i uskoczyli jak zające na boki.

– Co ty najlepszego wyprawiasz! – wrzasnął wściekle jeden z nich. – Głupia siksa, wyglądasz tak smarkato, że w ogóle nie powinni cię wpuścić za kierownicę! Jeszcze kogo zabijesz!

Obstąpili samochód i mierzyli ją gniewnymi spojrzeniami. Arii wydali się aniołami, zesłanymi prosto z nieba.

– Tak się boję! – wybuchnęła płaczem. – Ktoś mnie goni... Wjechał za mną na trzecie piętro i odciął mi drogę do drzwi, żebym nie mogła wyjść!...

Czterech krzepkich facetów spojrzało po sobie, a potem na nią.

– Gonić takie dziecko? – powiedział jeden, wysoki i brodaty. – A to sukinsyn, czego on od niej chciał?

– Mam córkę w jej wieku! – krzyknął drugi.

– Nie bój się, dziecko, powiedz tylko jeszcze raz, gdzie on jest. Już my weźmiemy go w obroty. Maurizio, zostań z małą, a my zajmiemy się tym łajdakiem. Czekaście, chłopaki, lepiej weźmy to. – Potężny brodacz sięgnął do wnętrza furgonetki i wyjął trzy wielkie klucze.

Skierowali się ciężkim krokiem w stronę rampy. Aria oparła się o samochód i

szlochała.

– Nie płacz, moja mała – uspokajał ją czwarty, który z nią został. – Masz, zapal sobie.

Potrząsnęła odmownie głową. Czowała się okropnie i pragnęła z całej duszy, żeby Orlando był przy niej. Przypomniała sobie, jak obejmował ją ramieniem, gdy wracali z „Corte Sconta”. W jego obecności nic jej nie mogło grozić. „Och, Orlando” – rozpacziała w duchu – dlaczego musiałeś właśnie teraz wyjechać i zostawić mnie samą?”

Z wylotu rampy wyłoniły się sylwetki trzech mężczyzn. Wykonywali gest kciukiem do dołu.

– Nikogo tam nie było, proszę pani! – zawołali. – Pewnie nas usłyszał i wołał się zmyć. Całe jego zakichane szczęście, bo skrećilibyśmy mu kark. – Wrzucili klucze do furgonetki i spojrzeli na nią z sympatią.

– Gdzie pani teraz jedzie? – spytał brodac.

– Do domu – odparła pociągając nosem. Otarła oczy rękawem. – Wezmę wodną taksówkę. Dziękuję panom. Naprawdę strasznie dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby panowie mi nie pomogli.

Spojrzeli po sobie. Bali się, że coś jej się może przytrafić. Oświadczyli, że odprowadzą ją do taksówki. Aria zeszła za nimi po schodach, oglądając się nerwowo przez ramię. Wciąż się spodziewała, że usłyszy za sobą kroki lub że z za następnego rogu wyskoczy na nią jakiś szaleniec. Na dworze wciąż panowała plucha. Robotnicy wcisnęli głowy w kołnierze i odeskortowali ją, idąc dwójkami po obu jej bokach, do samego postoju.

– Nazywam się Aria Rinardi – zwróciła się do nich – i chciałabym wiedzieć, gdzie panowie mieszkają, żeby móc okazać swoją wdzięczność. – Uplanowała sobie, że sprzeda swoją złotą bransoletkę i wyśle im jakieś nagrody.

– Nie trzeba, signorina – odrzekli zakłopotani – pomogliśmy każdemu w podobnych opałach.

– W takim razie chociaż wypijcie za moje zdrowie. – Wysypała całą zawartość

portmonetki do kieszeni jednego z nich. – To tyle co nic, ale nigdy nie zdołam wam podziękować, jak należy.

– Signorina Rinardi? – rozległ się czyjś głos z ciemności.

Aria podskoczyła ze strachu, ale po chwili poznała Giulia, służącego Carralda.

– Łódź czeka na panią, signorina – odezwał się ponownie.

Robotnicy spojrzeli na połyskliwą łódź, czarną jak heban, z godłem czarnego kruka w złotym pierścieniu.

– To łódź Carralda – szepnął jeden z nich.

– Carralda? – Odwrócili się, by popatrzeć na Arię, i zdumiał ją wyraz ich oczu. – Carraldo! – powtórzyli i zaczęli wycofywać się bokiem. – No to... do widzenia, życzymy dobrej nocy, signorina...

Odeszli spiesznie przez Piazzale mówiąc coś półgłosem między sobą. Aria patrzyła za nimi osłupiała. Byli przedtem tacy mili, tacy uprzejmi... uratowali jej życie, a na sam dźwięk nazwiska Carralda uciekli. Wiedziała dlaczego. Zanim się odwrócili, dostrzegła wyraz pogardy i strachu na ich twarzach.

Giulio, elegancki w czarnym dwurzędowym uniformie z mosiężnymi guzikami, ozdobionymi emblematem kruka, i w czarnej czapce o okrągłym denku, czekał cierpliwie.

– Skąd signore Carraldo wiedział, że będę tutaj? – spytała, gdy podchodzili do łodzi.

– Signore Carraldo jest u baronowej, signorina. Baronowa zatelefonowała do Villa D'Oro i dowiedziała się, że jest pani w drodze do domu. Signore martwił się, że wraca pani sama w taką złą pogodę, więc wysłał mnie tutaj, bym czekał na panią.

Aria poczuła ciężar na sercu. Minął już prawie miesiąc od ostatniego spotkania z Carraldem i tyle wydarzyło się od tamtej pory. Żałowała, że w ogóle pojawił się w jej życiu; wolałaby nigdy go nie widzieć na oczy. Tylko że wtedy nie poznałaby Orlanda...

Francesca czekała na nią u szczytu schodów.

– Boże przenanty, co ci się stało? – krzyknęła wstrząśnięta na widok zapłakanej córki i smug rozmazanego tuszu na jej twarzy. – Miałaś jakiś wypadek? Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku, mamó. – Aria wchodziła z wysiłkiem na marmurowe schody. – Po prostu coś napędziło mi stracha, to wszystko.

Carraldo stał przy kominku ze szklaneczką whisky w ręku.

– Co się stało, Ario? – spytał ostro.

Słowa same wyrwały jej się z ust, lecz nie mogła wyznać prawdy im obojgu. Już oni by dopilnowali, żeby nigdy sama nie wytknęła nosa z domu, a matka zyskałaby świetny pretekst do szpiegowania jej. Postanowiła, że jutro zadzwoni do Mike’a i opowie mu, co się stało. Pan Preston widział na własne oczy czarnego peugeota i nie posądzi jej o przywidzenia. Zresztą niedługo wróci Orlando i otoczy ją opieką. On najlepiej zadba, aby nigdy nie była sama, zdana na łaskę jakiegoś depczącego jej po piętach maniaka.

– Odpowiadaj, Ario! – krzyknęła Francesca. – Wyglądasz wprost okropnie. Co takiego zaszło, na miłość boską?

– Jakieś głupie wyrostki goniły mnie samochodem na parkingu przy Piazzale Roma – odparła szybko. – Napędzili mi stracha. To wszystko.

– Gonili cię? – powtórzył Carraldo.

– Banda młodych durni, i tyle. Pewnie sobie podpili i uznali, że to zabawne. Myślałam, że na mnie najadą. Właściwie nie ma o czym mówić. Głupio z mojej strony, że się poręczałam.

– No, w takim razie doprowadź się do porządku – rozkazała z ulgą Francesca. – Nie masz pojęcia, jak wyglądasz. Potem będziemy mogli zjeść kolację jak ludzie cywilizowani. Antonio ma dla ciebie niespodziankę.

Aria spojrzała niespokojnie na Carralda, zastanawiając się, co to będzie tym razem.

– Na pewno wszystko jest w porządku? – spytał cicho.

Kiwnęła energicznie głową.

– Nic mi nie jest. Pójdę się umyć i przebrać.

Gdy zeszła na dół, siedzieli już przy stole, a Fiametta podawała zupę z karczochów.

– Twoja ulubiona – szepnęła pocieszająco, obejmując byстрыm spojrzeniem obrzmiałą od łez twarz wychowawcy.

Aria jakoś dotrwała do końca kolacji, choć bolała ją głowa, a po plecach wciąż przebiegały dreszcze, będące reakcją po przeżytych wstrząsie. Nadrabiała jednak miną. Matka i Carraldo pod żadnym pozorem nie mogą się dowiedzieć o prawdziwych powodach jej lęku.

– Myślę, że teraz jest odpowiednia chwila, żeby Antonio wyjawiał ci swoją niespodziankę – oznajmiła Francesca uśmiechając się radośnie.

– Mało się ostatnio widywaliśmy – stwierdził Carraldo. – Wiem, że to moja wina, miałem mnóstwo pracy. Nawet ja jednak nie pracuję w czasie świąt. Już blisko Boże Narodzenie. Tak się składa, że wkrótce potem mam do załatwienia pewną sprawę w Kalifornii, więc pomyślałem, że byłoby miło, gdybyśmy spędzili Gwiazdkę w Los Angeles. Spodoba ci się tam – dodał z lekkim uśmiechem. – Dobrze nam zrobi parę tygodni słonecznej pogody i taplania się w basenie.

– Los Angeles! – krzyknęła Aria myśląc gorączkowo o Orlandzie. – Przecież zawsze spędzamy Gwiazdkę tutaj, w domu... I co z moimi lekcjami malarstwa?

– Sądzę, że Orlando powinien dostać wakacje na święta – powiedział spokojnie Carraldo. – Ty i ja potrzebujemy trochę czasu, żeby poznać się lepiej. Twoja matka podziela ten punkt widzenia.

– Ja też z wami jadę – oznajmiła Francesca, marząc z wniebowziętym uśmiechem o zakupach na Rodeo Drive. – Nie mogę przecież puścić cię samej bez opieki, prawda?

Aria wiedziała, że Carraldo ma jak najlepsze chęci i wymyślił ten wyjazd, by jej się przypodobać, że da jej wszystko, czego ona zechce. Mimo to nagle znienawidziła go z całej duszy. Chciała tylko Orlanda, a Carraldo zabierał ją na drugi koniec

świata, daleko od niego.

Rozdział 32

Mike całą noc ślęczał nad papierami, składając kawałek po kawałku historię Poppy. Po skończonej pracy odczuł satysfakcję, która całkowicie usunęła w cień zmęczenie. Nareszcie dotarł do sedna sprawy: Poppy miała córkę! To wykluczało dwóch współzawodników – Pierluigiego i Orlanda. Pomyślał, że w danej chwili Pierluigiemu tam, gdzie się znajduje, pieniądze i tak nie są na nic potrzebne, a jeśli chodzi o Orlanda, pozostaje tylko nadzieja, że uda mu się zdobyć fortunę dzięki talentowi. Musi również zdecydować się na jedno z dwojga: albo mecenat Carralda, albo Aria. Mike nie zazdrościł mu tego dylematu.

O ósmej rano zadzwonił telefon.

– Oho, dokładnie ta osoba, z którą chciałem rozmawiać – rzucił z uśmiechem do słuchawki.

– Ja też muszę z panem porozmawiać... – Aria mówiła niewyraźnie. – Jest pan jedyną osobą, której mogę to powiedzieć... – Jej głos był zdławiony, jakby płakała.

– O co chodzi? – spytał czym prędzej Mike.

– O tego mężczyznę w czarnym samochodzie... Jechał za mną z powrotem na Piazzale Roma, tak przynajmniej myślę, bo trudno było coś dostrzec w tej chłapie i ciemnościach. Nawet go nie zauważyłam, dopóki nie wjechałam na parking.

Zdała mu przerywaną szlochami relację z przebiegu wydarzeń; myśli obojga zaprzętało to, co mogło się zdarzyć.

– Zaraz przyjadę, mogę? – poprosiła. – Muszę z kimś porozmawiać. Pomoże mi pan? Tak się boję!

– Nie wychodź nigdzie sama – nakazał jej gwałtownie. – Zostań tam, gdzie jesteś. Wynajmę jakiś wóz i wrócę za parę godzin. Czekaj na mnie w domu.

Gdy wreszcie dotarł do Palazzo Rinardi, Aria stała przy sztalugach, zajęta malowaniem. Zielona papuga, przycupnięta na swym absurdalnie ozdobnym, błyszczącym od klejnotów drążku, zmierzyła go przenikliwym wzrokiem.

– Maluję portret Luchaya. – Aria uśmiechnęła się z wysiłkiem, lecz w jej podkrążonych oczach malował się strach, a na twarzy widniało napięcie.

Mike przejechał ręką po krótko obciętych włosach. Był nie ogolony, a rozluźniony krawat zwisał mu krzywo na wczorajszej, pogniecionej koszuli, rozpiętej pod szyją.

– Wyglądasz pan jak Filip Marlowe – orzekła Aria z szerokim uśmiechem.

– Dobra, dziecinko – rzekł przeciągając komicznie słowa – lepiej puść farbę o tej rozróbie na parkingu, zanim prokurator dowie się co i jak.

Aria roześmiała się głośno. Nagle odzyskała swój dawny pogodny wygląd.

– Od razu lepiej się poczułam. – Wciąż jeszcze chichotała.

– Mnie też zrobiło się lepiej, gdy cię zobaczyłem całą i zdrową – wyznał szczerze, stwierdzając w duchu, że tej dziewczynie jest ślicznie nawet ze smugami zielonej farby na nosie i rozczochranymi włosami.

– Wyglądasz, jakbyś nie za dobrze spała – powiedział i wysunął palec w kierunku papugi. Po chwili krzyknął i cofnął rękę, bo ptak wysunął błyskawicznie dziób i uszczypnął go mocno.

– Luchay zawsze to robi – oznajmiła Aria z całym spokojem. – Jak widzi otwartą dłoń, myśli, że dostanie jedzenie, ale boi się, jak ktoś wyciąga palec. Nikomu nie pozwala się dotykać, z wyjątkiem mnie i czasem Fiametty. Raz dziobnął mamę tak mocno, że musieli założyć jej szwy na palec. – Zachichotała głośno. – Pewnie myślał, że chce podwędzić jego szmaragdy. I założę się, że miał rację.

– A wracając do tego faceta w czarnym samochodzie – powiedział spokojnym już głosem Mike – naprawdę myślisz, że chciał cię porwać?

Potwierdziła ruchem głowy.

– A po cóż innego ktoś miałby za mną jechać? Więcej, on wyraźnie na mnie polował. Przeraził mnie śmiertelnie!

Mike wiedział, że nie spodoba jej się ta sugestia, lecz mimo to zapytał:

– Nie sądzisz, że powinnaś powiedzieć o tym Carraldowi? Nikt inny nie przychodzi mi na myśl. On na pewno by coś poradził w takiej sytuacji.

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

– Gdyby się dowiedział, nie spuściłby mnie z oka.

– No a Orlando?

– Jasne, że mu powiem, jak wróci. Jest jeszcze w Londynie. A teraz wyszła na jaw nowa bieda – muszę jechać na Boże Narodzenie do Los Angeles z Carraldem i mamą. To znaczy, że nie zobaczę się z Orlandem aż do mojego powrotu, za jakieś trzy tygodnie.

– Na pewno jesteś innego zdania, ale według mnie to najlepsze, co możesz w tej chwili zrobić. Kto wie, może zanim wrócisz, uda nam się znaleźć rozwiązanie zagadki Poppy Mallory i będzie po wszystkim?

– Naprawdę? – rozjaśniła się. – Naprawdę pan tak myśli, panie Preston?

– Naprawdę! I mów mi po imieniu, bo czuję się jak własny dziadek. Dowiedziałem się sporo rzeczy w Villa d'Oro. Wiem teraz na pewno, że dziecko Poppy było dziewczynką i że zaraz po urodzeniu zostało oddane twojej praprababce. Niemal w tym samym czasie Angel urodziła dziewczynkę i podała je obie za bliźniaczki: Marię-Krystynę i Helenę.

Aria spojrzała na niego oczami okrągłymi jak spodki i zakryła ręką usta.

– To znaczy, że ja... że ja jestem spadkobierczynią?

– No, w każdym razie zaczyna na to wyglądać – odrzekł szczerząc zęby.

– Och, panie Pres... Mike! – Rzuciła mu się na szyję i zaczęła go ścisnąć z całej siły, jakby był jakimś monstrualnie wielkim pluszowym misiem. – Nie mogę w to uwierzyć! Nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. Będę wolna! – Uniosła ku niemu promienną buzię. – Nie mogę się doczekać, aż powiem Orlandowi!

– Ile na ten temat wie Orlando? – spytał od niechcienia.

– Och, wszystko, od A do Z. Opowiedziałam mu całą historię. Widzisz, jak dostanę pieniądze, chcę mu pomóc w karierze. Nigdy nie mógł naprawdę malować tego, co chciał, bo musiał zarabiać na życie. A teraz dzięki mnie będzie miał pełną swobodę tworzenia. Czyż to nie wspaniałe?

– To jeszcze nie jest pewne, pamiętaj – powściągał jej zachwyty.

– Ale prawie pewne? – nalegała.

– Prawie – ustąpił Mike – ale musimy dowiedzieć się dalszego ciągu tej historii. Wciąż nie mamy dowodu, że Maria-Krystyna była córką Poppy. Dopiero wtedy zdobędziemy stuprocentową pewność. Rozumiesz?

– Rozumiem – uległa, lecz wciąż się uśmiechała. – Nic nie powiem matce ani Carraldowi, poczekam, aż to będzie pewne. Ale co ty teraz zrobisz, Mike? Gdzie będziesz szukał tych dowodów?

– W Villa Castelletto – odparł. – Tam mieszkała Poppy.

Kancelaria Liebera próbowała skontaktować się z agentem w Vicenzie, który miał klucz do domu, lecz facet wyjechał na wakacje i aż do jego powrotu Mike znalazł się na lodzie. Do świąt został jeden dzień. Aria wyjechała już do Los Angeles. Medytował, czy nie spróbować umówić się z Orlandem Messengerem, z którym jeszcze się nie spotkał. Dzwonił już wprawdzie do niego dobrych kilkanaście razy, ale bez najmniejszego efektu. Istniały spore szanse, że Orlando wciąż siedzi w Londynie. Warto jednak było spróbować.

– *Si, si*, już proszę – oznajmił nieoczekiwanie właściciel pensjonatu do słuchawki – proszę chwileczkę zaczekać, *signore*...

– Halo – odezwał się po chwili głęboki głos, znamionujący człowieka z dużą ogładą towarzyską.

– Panie Messenger, nazywam się Mike Preston. Johannes Lieber prosił mnie, abym spotkał się z panem w celu przedyskutowania pańskiego listu w sprawie spadku Poppy Mallory. Może moglibyśmy umówić się na drinka i porozmawiać?

– Dziś po południu wyjeżdżam do Gstaad. – W głosie Orlanda zabrzmiało zniecierpliwienie. – O czym chciałby pan ze mną rozmawiać?

– Pan Lieber polecił mi spotkać się z niektórymi pretendencjami do spadku i szczegółowo jeszcze raz omówić ich historie.

– Podałem już Lieberowi swoją wersję – rzekł szorstko Orlando. – Obawiam się, że nie znajdę dzisiaj czasu, by się z panem spotkać, panie Preston. Jak już mówiłem,

wybieram się do Gstaad. Może zadzwoni pan do mnie po moim powrocie?

– Proszę bardzo – odparł Mike spokojnie. – Kiedy pan wraca?

– Nie wiem jeszcze na pewno, niech pan spróbuje za jakieś dwa tygodnie.

Mike odłożył słuchawkę, wziął notatki Liebera o Orlandzie i ponownie je przeczytał. Przypomniawszy sobie, co powiedział mu Lieber w Genewie.

– Podobnie jak Lauren Hunter, Orlando Messenger nie ma żadnych dowodów na poparcie swojego twierdzenia. Mówi, że Poppy urodziła syna, a on jest jego potomkiem w prostej linii – stwierdził stary prawnik – ale coś mnie powstrzymuje przed odrzuceniem jego wersji zdarzeń. Brzmi w niej nuta prawdy.

Orlando utrzymywał, że jego dziadek był synem Poppy Mallory. Podstawy jego roszczeń były jeszcze bardziej wątpliwe niż u Lauren Hunter, która przynajmniej miała Biblię z wpisanym rodowym nazwiskiem „Mallory”, podczas gdy Orlando nie mógł przedstawić nic oprócz historii, opowiedzianej mu, jak twierdził, przez ojca.

Mike wzruszył ramionami. Dziecko Poppy okazało się córką, więc wersja Orlanda nie była warta funta kłaków. Zresztą daty i tak się nie zgadzały: dziadek Messengera urodził się zbyt późno. „Kłapa na całej linii, chłopcze!” – pomyślał Mike. Raptem przypomniał sobie słowa Petera Maze’a, z których wynikało, że Orlando jest znanym uwodzicielem i bez żenady korzysta z pieniędzy swoich kochanek. Zaczynało wyglądać na to, że teraz postanowił omotać Arię, przypuszczalną dziedziczkę, i w ten sposób dorwać się do pieniędzy.

Było już prawie Boże Narodzenie. Mike’owi się zdawało, że wszyscy oprócz niego gdzieś jadą. Zastanowił się, czy nie polecieć do Stanów. Miał jeszcze czas, by dotrzeć tam przed Wigilią. Mógłby spędzić święta z ciotką Martą lub w towarzystwie Lauren Hunter w Los Angeles. Obraz tej ładnej dziewczyny o dzielnym uśmiechu i nieustraszonych niebieskich oczach jakoś go nie opuszczał.

Ostatecznie spędził Boże Narodzenie w hotelu „Cipriani” przy pracy. Przepisał na maszynie swoje notatki i snuł spekulacje, co mogło przytrafić się Poppy po oddaniu dziecka. Nie mógł się doczekać, kiedy będzie mógł wejść do Villa Castelletto.

Aria zadzwoniła do niego z Los Angeles tuż po Bożym Narodzeniu.

– Świetnie, że się odezwałaś – przywitał ją. – Jak leci?

– W porządku, dużo o wszystkim myślę.

Słyszac depresję w jej głosie, starał się mówić z ożywieniem.

– Korzystaj ze słońca, póki możesz – stwierdził beztróska. – Tutaj jest piekielnie zimno i ciągle leje.

– Tu też – odparła ze śmiechem. – Mama nie posiada się ze złości!

– Jak tam Carraldo?

– Jest... jest bardzo miły. Mike, chciałam cię o coś prosić. Czekam na telefon od Orlanda. Nie odezwał się do tej pory i... no, pomyślałam, że może zawieruszył się gdzieś numer telefonu, który zostawiłam dla niego w pensjonacie. Za każdym razem, gdy dzwonię, odpowiadają, że go nie ma i nie zostawił żadnej informacji. Dawno nie miałam od niego wiadomości i boję się, że rozgniewał go mój wyjazd z Carraldem. Mike, mógłbyś tam zadzwonić i dowiedzieć się, gdzie on jest? Muszę z nim porozmawiać. – Teraz mówiła tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

– Zobaczą, co się da zrobić – odpowiedział pospiesznie Mike, czując się jak ostatni oszust, bo wiedział świetnie, że Orlando spędza upojnie czas w Gstaad. Nie chciał jednak dziewczynie tego mówić, miała teraz dosyć na głowie, tak daleko, sama, w kłopotliwym towarzystwie Carralda i matki. Po jej powrocie będzie dosyć czasu na porachunki z Orlandem.

– Dziękuję. Chcę z nim tylko pomówić, nic więcej. Jeszcze jedno, Mike, kiedy jedziesz do Villa Castelletto?

– Jak tylko dostanę klucze; zarządcy teraz nie ma, muszę czekać na jego powrót.

– W razie gdybyś tam pojechał, zanim wrócę, zrobisz dla mnie coś jeszcze? Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale chciałabym, żebyś zabrał ze sobą Luchaya. To był również jego dom. Mieszkał tam przez długie lata razem z Poppy. Naprawdę mi na tym zależy – nie dlatego, że może coś powie, ale jest już taki stary... Jestem pewna, że Poppy bardzo go kochała. Pomyślałam sobie, że będzie mu miło pobyc tam trochę ostatni raz, zobaczyć znów swój dawny dom. Weźmiesz go ze sobą?

– Skoro tego chcesz – odparł z ociąganiem, wyobrażając sobie podróż z zielonym

straszydłem na tylnym siedzeniu.

– Proszę!

– Dobrze, dobrze – roześmiał się wreszcie – jasne, że go wezmę. Muszę przyznać, że sam jestem ciekaw jego reakcji. A nawiasem mówiąc, kiedy wracasz do domu?

– Nie było o tym w ogóle mowy – odpowiedziała z przygnębieniem. – Mam nadzieję, że niedługo.

– Ejże, w Los Angeles nie jest chyba tak znów okropnie! Nie prześladowały cię przypadkiem jakieś tajemnicze kroki albo czarne wozy?

– Dzięki Bogu nie.

– To dobrze. No, dziecinko, w takim razie bywaj. Uważaj na siebie.

– Ty też, Mike. Jak nie będę miała wiadomości od ciebie – albo od Orlanda – to przynajmniej będę wiedziała, że próbowałeś. Do zobaczenia po moim powrocie.

Mike odłożył słuchawkę i pomyślał: „Orlando, ty nędzny, mały gnojku, w pełni zasługujesz na swoją parszywą reputację”.

Rozdział 33

Mike przechadzał się tam i z powrotem po żwirowym podjeździe u stóp schodów wiodących do Villa Castelletto. Czekał na przybycie agenta z kluczem. Luchay skulił się w swojej wielkiej złotej klatce i nastroszył pióra na chłodzie. W powietrzu pachniało dymem palonych drewn, a mroźny podmuch wschodniego wiatru zapowiadał opady śniegu. Drzewa i krzewy w zaniedbanym ogrodzie stały nagie i bezlistne w zimowej martwocie.

– Rusz się, niech cię diabli! – wymamrotał gniewnie Mike widząc niebieskiego peugeota, który pełził w ślimaczym tempie podjazdem i w końcu zaparkował obok jego fiata. Rumiany mężczyzna w grubym tweedowym płaszczu zamknął starannie samochód, chociaż Bóg raczy wiedzieć, kto, jego zdaniem, mógłby go tutaj ukraść – położona na wzgórzu willa stała na zupełnym pustkowiu. Do najbliższej wioski było pięć kilometrów. Gdy Mike przez nią przejeżdżał, zatrzymał się, aby kupić kawę,

mleko, chrupki chleb wprost z pieca, wielki złom parmezanu, krojoną szynkę i kilka butelek mocnego czerwonego wina. Zrobił zapasy na kilka dni, gdyby w razie rozpiętania żywołów Villa Castelletto została na kilka dni odcięta od świata.

– Pan Preston? – zawołał zażywny mężczyzna.

„A kogóż się, u diabła, spodziewałeś?” – pomyślał zgryźliwie Mike, skostniały z zimna po półgodzinnym oczekiwaniu.

– Najmocniej pana przepraszam za to spóźnienie – usprawiedliwiał się mężczyzna podchodząc spieszenie – ale zatrzymano mnie w biurze. Moje nazwisko Fabiani. Przywiozłem panu klucz.

Zmagał się przez chwilę z wielkim, opornym zamkiem. W końcu mechanizm puścił. Mike chwycił kłatkę z Luchayem i przestąpił próg Villa Castelletto. Ku jego zaskoczeniu panowało tu miłe ciepło.

– Pan Lieber polecił nam utrzymywać we wnętrzu stałą temperaturę – wyjaśnił Fabiani. – Znajduje się tu wciąż kilka cennych antyków, które wchodzi w skład spadku po madame Mallory. Pan Lieber zarządził również konieczne naprawy. Dach przeciekał w paru miejscach, na pewno zauważy pan zacieki na suficie, ale to już zostało naprawione. Doprowadzono do porządku ogrzewanie i wynajęto nowego dozorcę, który co dzień rano przychodzi tu z wioski, żeby napalić w kotłowni i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Jego żona sprząta tu dwa razy w tygodniu.

Mike wciąż taszcząc wielką kłatkę podążał za agentem, który pokazywał mu pokoje na parterze z meblami przykrytymi białymi pokrowcami i obszerną kuchnię z żelaznym, przedpotopowym piecem.

– Dozorca mówi, że to działa – zapewnił, gdy Mike obrzucił prastary sprzęt wzrokiem pełnym powątpiewania – ale wolę za to nie ręczyć. A teraz pokażę panu piętro. Kobieta, która tu sprząta, przygotowała pościel. Chyba będzie tu panu wygodnie przez kilka dni. – Otworzył dwuskrzydłowe, wysokie drzwi i cofnął się puszczając Mike’a przodem. – Zdaje się, że to była kiedyś sypialnia madame Mallory.

Mike postawił kłatkę z papugą na stole pod oknem, wyjrzał przez podłużne,

wysokie okno na ogród, a potem przeniósł wzrok na ogień, trzaskający wesoło na kominku. Tuż obok stał wygodny szeroki fotel z haftowanym podnóżkiem. Mike popatrzył w zadumie na wielkie łóżko z zasłonami z niebieskoszarego jedwabiu, a potem na papugę, i wyobraził sobie ciche, przejmujące chłodem noce, gdy było tu tylko ich dwoje: Poppy i Luchay. Papuga z pewnością знаła na wylot urządzenie całego pokoju, każdy jego zakamarek. Wiedziała, jak wygląda w ciepłych promieniach letniego słońca i w mroźnym blasku księżyca w styczniowe noce; znała przesycające go wonie, perfumy Poppy i urzekający zapach lawendy rozkwitłej na rabatkach. Luchay wyciągnął czujnie szyję i rozglądał się po pokoju, jakby pojął, że znów jest w swym dawnym domu, i spodziewał się lada chwila ujrzeć swoją panią.

Mike odprowadził agenta do wyjścia.

– Dziękuję panu, bardzo mi pan pomógł, signore Fabiani – powiedział na pożegnanie. – Na pewno świetnie dam tu sobie radę przez kilka dni. Tak, będę pamiętał, żeby przed wyjazdem zostawić klucz u dozorczy.

Zamknął za nim drzwi i wrócił na piętro wielkiego pustego domu, do pokoju Poppy.

Luchay siedział z głową przekrzywioną w bok, jakby nasłuchiwał lekkich kroków, które znał tak dobrze.

– No, Luchay, co ty na to? – zagadnął Mike stając przed kominkiem, żeby rozgrzać zgrabiąle ręce. – Jak już tu dotarliśmy, na pewno odnajdziemy Poppy, czuję to w kościach.

Zerknął z nadzieją na papugę w oczekiwaniu jakiejś reakcji, ale Luchay tylko obrócił łebek w bok i rzucił mu nieodgadnione spojrzenie jednego topazowego oka.

– Niech i tak będzie – westchnął Mike.

Schował zapasy w kuchni, nakarmił papugę, a potem wziął w rękę kubek gorącej kawy i przeszedł się wolno po domu. Zdumiały go ciężkie, aksamitne czerwone portiere z falbanami i złotą frędzlą, masywne, bogato zdobione meble, niewygodne sofy wyściełane czerwonym pluszem i wysokie krzesła z ciemnego drewna w jadalni. Nic z tego wystroju nie pasowało do obrazu Poppy, jaki stworzył w myślach.

Spodziewał się wdzięcznych, lekkich, malowanych na wenecką modłę mebli z tego regionu, pastelowych kolorów i włoskich jedwabi. Poppy mieszkała tutaj przez dwadzieścia lat, lecz dom wyglądał jak żywcem przeniesiony z czasów wiktoriańskich, gdy triumfy święcił pompacyjny styl neogotycki. Nie odcisnął się tu żaden ślad jej osobowości. Tylko w sypialni o spleśniałych tapetach, gdzie wisiały zasłony z szaroniebieskiego jedwabiu i zwierciadła w złotych ramach, a na podłodze leżały pastelowe perskie dywany, czuło się obecność Poppy.

Otworzył drzwi francuskiej mieszczącej szafy, rzeźbionej w kwiaty i związane na kokardy wstęgi. Olbrzymi, przepaścisty mebel był wypełniony po brzegi strojami z początku wieku. Suknie wydzielaly lekki zapach gardenii. Mike przesunął wzrokiem po wieszakach z toaletami wieczorowymi i sukniami na co dzień, eleganckimi kostiumami i płaszczami. Wyciągnął balową kreację z zimnoszarego atlasu, przewiazaną w talii, którą można by objąć dłońmi, różową szarfą, opadającą sutą kaskadą na spódnice, i spojrzal na nią ciekawie myśląc, przy jakiej to uroczystej okazji Poppy ją nosiła.

Odgarniając na bok długie, szerokie spódnice przeszukał czeluści szafy. Miał nadzieję, że znów dopisze mu szczęście i znajdzie ukryty pamiętnik, lecz w kurzu leżała tylko para zapomnianych pantofelków z niebieskiego atlasu. Z westchnieniem odsunął się od szafy, ubrania opadły na miejsce. Podniósł marynarkę z miękkiego sztruksu, która spadła z wieszaka. Była to męska marynarka, dosyć znoszona, z naszywką rzymskiej firmy krawieckiej. Wyczuł jakiś przedmiot w kieszeni. Wsunął do niej dłoń i jego palce zamknęły się wokół chłodnych, gładkich kulek. Wyciągnął je ostrożnie i krzyknął z podziwu na widok naszyjnika z pięciu rzędów niezwykle równych, ogromnych kremowych pereł ze wspaniałą diamentową zapinką. Było tam coś jeszcze... wiszące kolczyki z wielkich rubinów i diamentów, które w blasku ognia zalśniły tęczowo. Mike zagwizdał głośno.

– Istna bonanza, Luchay! – powiedział. – Muszą być warte majątek! Zaczynam na serio wierzyć, że Poppy była bardzo bogata.

Po tym odkryciu wyjął po kolei wszystkie ubrania i przeszukał kieszenie, lecz nie

znalazł więcej klejnotów. Natrafił natomiast na tuziny zwiniętych karteluszków, pokrytych pajęczym, niepewnym pismem starczej ręki. Rozłożył je starannie na biurku i pogrążył się w lekturze.

Niektóre były zupełnie niezrozumiałe, jak zapiski obłąkanej, która notuje rzeczy bez związku, lecz inne zawierały uwagi pełne bolesnej mądrości.

Z wiekiem coraz lepiej rozumiem, że nieważne jest, kim się rodzimy, lecz kim się stajemy – pisała Poppy. – Istotne są okoliczności, które nas formują – i sam fakt przeżycia, ponieważ nawet wtedy, gdy nie ma po co żyć, walczymy o przetrwanie. Jakież dziwne jest ludzkie serce!

Na innej kartce napisała:

Dobrze mi tutaj z moją samotnością i natłokiem poplątanych myśli. Mój umysł błądzi po dowolnych ścieżkach podchwytując tu jakąś refleksję, ówdzie wspomnienie, jak polne kwiaty do bukietu.

Te przejmująco smutne notatki napełniły Mike'a przygnębieniem. W poszukiwaniu kolejnych przetrząsnął przegródki biurka w stylu Ludwika XV. Znalazł ich tam całe setki, zapisane na odwrocie kopert i skrawkach papieru, a nawet na zakładce w porządnie sczytanym zbiorze poezji Keatsa. Zaintrygowany tym otworzył piękne, oszklone szafy biblioteczne i zaczął przeglądać książki. Tu też natrafił na zapiski. Poppy najwyraźniej na bieżąco notowała wszystkie swoje refleksje na tym, co właśnie miała pod ręką.

Złożywszy znaleziska na biurku poszedł do kuchni po butelkę wina, dorzucił następne polano do ognia i zabrał się do odczytywania świstków, próbując uporządkować chaotyczne myśli Poppy.

Za oknami panowała ciemność, miarowo i bezgłośnie opadały płatki śniegu. Jedynym dźwiękiem, jaki przerywał ciszę w pokoju, było tykanie małego zegara z figurką srebrnego amorka i trzask bierwion na palenisku. Mike siedział w kręgu światła lampy o różowym kloszu pochłonięty lekturą.

Czytał długo, spoglądając niekiedy na papugę. Luchay przycupnęła na złotym drążku i spał z głową schowaną pod skrzydło. Był zadowolony, jakby wyczuwał

obecność Poppy. Może śniło mu się, że znowu są we dwoje w swojej położonej na odludziu samotni, a ona delikatnie głaszcze jego pióra i szepcze mu sekrety ciepłym, melodyjnym głosem, jak to zawsze robiła. Od samego początku, gdy mieszkali w małym pokoiku w Marsylii, gdzie na strychu gnieździła się kaszłająca niemilosiernie gruźliczka, a na parterze handlarka ryb, która, gdy Poppy schodziła na dół, wołała dzieci do mieszkania w obawie, że mogą się zarazić...

Rozdział 34

1899, FRANCJA

Nadszedł już październik i rozstłoneczone niebo, które towarzyszyło wędrowce Poppy z Włoch na południe Francji, w Marsylii było już szare. Porywczy mistral trzepotał markizą małej, odwiedzanej przez rybaków restauracji, aż materiał trzeszczał jak żagle statku. Poppy zadrżała z zimna i zajrzała przez otwarte drzwi do przytulnego wnętrza. Przy barze stali mężczyźni w grubych granatowych swetrach i długich gumowych butach; oparci łokciami o kontuar pili tanie czerwone wino. Zanurzali kawałki świeżego chrupiącego chleba w tłustym gulaszu, którego zapach prześladował ją od godziny. Zamówiła kawę i siedziała tak długo, jak się dało, nad jedną filiżanką. W torebce zostało jej pięć franków i siedem centymów. Kosztowna skórzana walizka, zawierająca cały jej ziemski dobytek, poobijana już i zakurzona, była okropnie ciężka i Poppy odsuwała ją najdalej chwilę, gdy znów będzie musiała ją podnieść z ziemi i powlec się w dalszą drogę.

Apetyczny zapach drażnił jej nozdrza, a w kiszki burczało z głodu. Raz jeszcze przeliczyła w myśli zawartość portmonetki. Już przeszło tydzień żywiła się tylko suchym chlebem, którego mały bochenek kupowała po niższej cenie tuż przed zamknięciem piekarni. Od czasu do czasu wypijała mocną kawę z mlekiem, by się rozgrzać.

Właściciel restauracji zakrzętnął się obok niej, zabrał jej sprzed nosa pustą filiżankę i spojrzał pytająco:

– No jak, mademoiselle, życzy sobie pani jeszcze czegoś?

– Nie, nie, dziękuję – wybąkała podnosząc się z niechęcią z trzciniowego krzesła i dźwignęła walizkę.

– Do widzenia, mademoiselle – pożegnał ją zdumiony.

Odwróciła się jeszcze od drzwi.

– Monsieur, zastanawiałam się, czy... Szukam pracy. Myślałam, że może potrzebny panu ktoś do pomocy. Żeby podawać albo zmywać... cokolwiek.

Była tak młodziutka, a na jej twarzy malowało się tyle nadziei i zapału, że aż go coś chwyciło za serce.

– No... – zaczął niepewnie.

– Henri! Co tam znowu?! – zawołała na niego żona piorunując go wzrokiem z drzwi zaplecza. – Czego ona chce?

– Pytała o pracę. Przyszło mi do głowy, że mogłaby zmywać naczynia...

– Zmywać naczynia? Ona? – Ciemne oczy kobiety przeszły Poppy byстрыm spojrzeniem. – Głowę dam, że w całym swoim życiu nie umyła ani jednego talerza! A w ogóle po co jej praca? Jej ubranie musi być warte majątek.

Restaurator wzruszył przepraszająco ramionami, unikając wzroku Poppy.

– Przykro mi, mademoiselle – wymamrotał przecierając pospiesznie cynkowy kontuar.

„Znów to samo!” – pomyślała Poppy przygnębiona, idąc z trudem wąską uliczką. Mimo iż była wyczerpana i znużona, jej wygląd mówił prostym ludziom, że pochodzi z innej sfery. Również starania o posadę damy do towarzystwa spełzyły na niczym. Nikt nie chciał jej zatrudnić w modnych kurortach nad jeziorem Como ani też w Lac Lemana i Lozannie, gdzie umieściła w miejscowej gazecie dyskretnie sformułowane ogłoszenie. Podała w nim adres skromnego pensjonatu, w którym się zatrzymała. Za sumę, jaką kiedyś wydałaby bez namysłu na pudełko pysznych francuskich czekoladek, otrzymała tu pokój i trzy posiłki dziennie.

Ku swemu zaskoczeniu w tydzień później na tacy ze śniadaniem znalazła list. Rozdarła go i niecierpliwie przebiegła wzrokiem. Jakaś pani Montgomery-Clyde byłaby rada, gdyby odwiedziła ją dziś o trzeciej po południu w sprawie posady damy

do towarzystwa.

Dała parę groszy zaharowanej pokojówce w pensjonacie, żeby wyprasowała jej piękny kremowy żakiet i tabaczkową spódnicę. Potem zaczesawszy włosy tak ciasno, jak tylko umiała, unieruchomiła je tuż przy skórze garściami szpilek. Wyczyściła do blasku schodzone, brązowe buciki i energicznie wyginała sfatygowany słomkowy kapelusz nad parującym czajnikiem w kuchni, chcąc przywrócić mu fason.

Zainwestowała parę bezcennych franków w nową parę kremowych rękawiczek, naciągnęła je uważnie i obejrzała końcowy efekt w lustrze, obracając się, by zerknąć przez ramię, jak wygląda z tyłu. Niegdyś dopasowany żakiet wisiał teraz luźno na jej wychudłej figurze, więc otuliła się nim ciasniej. Czekając nerwowo w foyer hotelu „Beau-Rivage”, aż pani Montgomery-Clyde po nią pośle, pomyślała, że ma wygląd odpowiedni dla skromnej damy do towarzystwa.

Minał kwadrans, pół godziny, godzina. Poppy podniosła się z krzesła przy donicy z palmą, najbliżej drzwi, i podeszła niespokojnie do recepcji.

– Obawiam się, że pani Montgomery-Clyde zapomniała o spotkaniu ze mną – zagadnęła tonem pełnym wahania. – Miałam się z nią widzieć o trzeciej.

– Pewnie ucięła sobie poobiednią drzemkę – stwierdził obojętnie recepcjonista. – Zwykle tak robi. Jak się obudzi, na pewno wezwie panią na górę.

Poppy wróciła na swoje miejsce i zgarbiła się przygnębiona, lecz przypomniawszy sobie, że musi zachowywać właściwą postawę i wygląd osoby gotowej do usług, na wypadek gdyby pani Montgomery-Clyde osobiście zjawiała się na dole, wyprostowała się natychmiast jak struna. Minęła piąta. Poppy straciła już niemal nadzieję, gdy wreszcie poproszono ją na górę.

– Proszę, niechże pani wejdzie. Posłałam po panią już pięć minut temu, gdzież na litość boską się pani podziewała? – powitała ją zniecierpliwionym głosem monstrualnie gruba kobieta w jedwabnej fiołkowej sukni, przystrojona obficie diamentami. Spojrzała na nią badawczo podpuchniętymi, wyblakłymi niebieskimi oczami.

– Szłam najszybciej, jak mogłam, pani Montgomery-Clyde – odparła Poppy oblewając się rumieńcem gniewu. Zauważyła na stoliku pod oknem resztki wystawnego podwieczorku, a na sofie w połowie puste pudełko czekoladek.

– Nawet nie stać cię na przeprosiny! – Pani Montgomery-Clyde rozgniewana zaczęła jej mówić po imieniu. Wrzuciła do wydętych, małych ust następną czekoladkę. – A jakież są twoje kwalifikacje, jeżeli wolno zapytać?

– Właściwie to nie mam żadnych kwalifikacji, pani Montgomery-Clyde – zaczęła się tłumaczyć Poppy. – To znaczy... Można powiedzieć, że byłam damą do towarzystwa mojej ciotki Melody w Kalifornii...

– W Kalifornii! – prychnęła grubaska. – Barbarzyński kraj! A gdzie jest obecnie twoja ciotka? Jak się tutaj znalazłaś? W dodatku sama i bez środków do życia?

Poppy uniosła podbródek dawnym wyzywającym ruchem.

– Przykre okoliczności rodzinne zmusiły mnie do szukania pracy, od kiedy moja ciotka... od kiedy...

– Rozumiem – przerwała spiesznie pani Montgomery-Clyde, nie chcąc słuchać nudnych szczegółów z pogrzebu ciotki. – No cóż, podejdź do okna. Zatrzymaj się tam, żebym mogła cię wyraźnie zobaczyć. – Wcisnęła w lewe oko wielki złoty monokl i poddała Poppy bezlitosnym oględzinom. – Szukasz pracy jako dama do towarzystwa w paryskiej toalecie, której cena jest wyższa niż twoje roczne zarobki? – spytała w końcu z gryzącą ironią. – W dodatku w sukni od Wortha, o ile znam się na modzie. Lepiej przyznaj się, jak to trafiło w twoje ręce. Ręczę, że nieuczciwą drogą!

– Nieuczciwą? – wybuchnęła Poppy, płonąć oburzeniem z powodu takiej zniewagi. – Jak śmiesz wątpić w moją uczciwość, ty wstrętna, opasła starucho! – Obrzuciła gniewnym spojrzeniem oszołomioną kobietę. – Ten strój kupili mi moi rodzice i panią także mogliby kupić dziesięć razy! Jest pani odrażająca – dodała z nieopisaną pogardą – liczą się dla pani tylko pieniądze. Ale nie wszystko zdoła pani sobie kupić!

– Coś takiego! – Otyła dama spurpurowiała z gniewu. – Gdyby mój nieboszczyk

mąż, pan Montgomery-Clyde, usłyszał, jak do mnie mówisz, wyrzuciliby cię na zbity...

– Szkoda, że pani nie wyrzucił! – zawołała z furją Poppy tupiąc nogą. – Może by dłużej pożył!

Obróciła się na pięcie i wybiegła za drzwi.

– Nigdy nie dostaniesz tutaj pracy! – wrzasnęła za nią pani Montgomery-Clyde. – Nigdy!!! Już ja się o to postaram! Rozgłoszę po całym mieście, co z ciebie za ziółko!

Wieczorem Poppy kolejny raz spakowała swoje rzeczy. Euforia po wygranej bitwie na słowa już w niej opadła i dziewczyna znowu stanęła w obliczu twardej prawdy. Jeżeli chce otrzymać pracę u damy pokroju pani Montgomery-Clyde, musi poskromić temperament i znosić cierpliwie drobne upokorzenia.

Jadąc dusznym, zatłoczonym pociągiem do Florencji postanowiła, że następnym razem ubierze się skromniej i będzie trzymać język za zębami.

Angielskiej damie, Anthei Glennis, z którą rozmawiała we Florencji, nie przypadł do gustu jej akcent. Z kolei pani Cornelia Fish z Ameryki chciała zatrudnić Angielkę, zaś księżnej Milari w Rzymie nie spodobały się jej rude włosy.

– Zbyt wybuchowy charakter – orzekła, zaledwie rzuciwszy na nią okiem.

Poppy wyruszyła w kierunku Monte Carlo. Z najtańszym biletem w kieszeni siedziała skulona w kącie na drewnianej ławeczce, wdychając odór czosnku, potu i gnijących warzyw, jakim przesiąknięty był wagon. Zdawało się jej, że z każdą kolejną stacją w pociągu jest coraz bardziej gorąco i duszno. Rozmyślała nad przyczyną swoich niepowodzeń. Coś w jej wyglądzie znamionowało od razu, że nie była stworzona na damę do towarzystwa, chociaż mimo niedostatku starała się robić jak najlepsze wrażenie. Może będzie miała więcej szczęścia ubiegając się o pracę pokojówki.

Dotknęła przez materiał bluzki naszyjnika Angel, zakrytego wysokim kołnierzykiem. To były perły dziwki, warte majątek. Poppy wiedziała, że nie może sprzedać tak znacznego klejnotu – jubiler natychmiast powziąłby podejrzenie, że go ukradła. Zawiadomiłby policję, która szybko doszłaby do poprzedniego właściciela,

Felipe. Kto wie, do czego on by się posunął? Prawdopodobnie oskarżyłby ją o kradzież i wsadził do więzienia. Wiedziała, że mściwość Felipe nie zna granic. Wywarłby zemstę również na Angel za to, że jej dała perły. Zacięła się w duchu. Da sobie radę bez sprzedaży naszyjnika, albo okaże się, że nic nie jest warta.

W Menton trafiła do księżnej de Brillard. Potencjalna pracodawczym zmierzyła ją podejrzliwym spojrzeniem, lecz gdy usłyszała jej francuszczyznę, zmiękła.

– *Eh bien*, Mallory – powiedziała rozkazującym tonem – jesteś wprawdzie za młoda, ale pilnie kogoś potrzebuję. Wezmę cię na próbę na tydzień.

Przez tydzień Poppy przedzierała się przez gąszcz różnorodnych obowiązków. Prała jedwabną bieliznę księżnej, prasowała kosztowne toalety z tafty i koronki, z mozołem układała włosy swojej chlebodawczym i często obrywała burę, gdy niechcący ukłuła ją szpilką od kapelusza. W nocy twardo zasypiała, zamiast czuwać do białego rana, by pomóc swojej pani rozebrać się po powrocie z balu. Pewnego razu zapomniała splunąć na rozgrzane żelazko, by sprawdzić temperaturę, i wypaliła dziurę w cienkim peniuarze. To przepełniło miarkę i natychmiast wylano ją z pracy.

Z niewielką sumą pieniędzy, która ledwie wystarczała na jedzenie, Poppy zaczęła przemierzać południowe wybrzeże Francji, prosząc jadących na targ wieśniaków o podwiezienie, wyszukując noclegi w najędźniejszych zajazdach. Wszędzie po drodze pytała w sklepach i kawiarniach, czy znają kogoś, kto zatrudniłby pokojówkę, sprzątaczkę albo pomywaczkę, lecz zbywano ją wzruszeniem ramion i darzono nieufnymi spojrzeniami jej zbyt wytworny, choć zniszczony strój. Nie należała do tego świata.

Dotarła do Monte Carlo chuda i wycieńczona. Jej rude włosy straciły połysk, podeszwy butów wytarły się i stały cienkie jak papier, a niegdyś szykowne ubranie było pomięte i zakurzone. Odprawiano ją z kwitkiem zarówno w eleganckich hotelach, jak i wytwornych sklepach jubilerskich.

Zostawiając za sobą światła i blask Monte Carlo brnęła powoli na zachód, aż w końcu znalazła się z powrotem w Marsylii, wciąż bezrobotna i z pięcioma frankami w kieszeni.

Postawiła na ziemi ciężką walizkę i oparła się ze znużeniem o wilgotny kamienny mur. Stała na bruku nędznego, przypominającego tunel zaułka blisko nabrzeża. U jego wylotu za gęstwiną kominów i masztów mogła dostrzec morze, lśniące srebrzyście w szarym październikowym świetle, i skrawek burego nieba, na którym skrzydła mew rzucały białe błyski. Wiatr potargał jej brudne włosy i wpychał je do oczu. Poppy wiedziała, że doszła do kresu drogi. Nigdzie nie znalazła pracy ani nikogo, kto by się przejął jej losem. Nie miała już żadnej nadziei. Przytłoczyła ją rozpacz i przeraźliwa samotność.

Z tawerny po drugiej stronie ulicy dobiegł chrapliwy śmiech. Zasłona z nanizanych na sznury paciorków zagrzehotała na wietrze odsłaniając wnętrze i Poppy dojrzała tłum marynarzy, którzy właśnie zeszli z parowców kursujących po wszystkich zakątkach świata i upijali się szybko i hałaśliwie. Przy barze siedział zwalisty czarnowłosy palacz, któremu po latach ładowania węgla do pieców w gorących wnętrznościach statku czarny pył wżarł się w skórę rąk i twarzy. Przed nim na kontuarze widać było kulkę wspaniale ubarwionego pierza. Znow rozległ się ryk śmiechu. Poppy zajrzała do tawerny, ciekawa, co ich tak bawi.

– No dalej, ty mały gnojku, mów! – wrzasnął palacz i wyrznął pięścią w cynkowy kontuar tak mocno, że kulka zaskrzeczała i zatrzepotała podciętymi skrzydełkami w daremnym wysiłku, by odlecieć.

– Ależ to jest papuzka! – krzyknęła ze zdumieniem Poppy i zaczerwieniła się, gdy nagle zapadła cisza. Pijani marynarze jak jeden mąż odwrócili się i wbili w nią wzrok.

– To papuga z puszczy amazońskiej. – Palacz mrugnął do Poppy oblesnie. – Możesz sobie ją obejrzeć z bliska. Sam ją kupiłem, a jakże, pięćset mil morskich w górze Amazonki, w środku dżungli, prosto z gniazda. Ten cholerny ptak kosztował mnie majątek.

Znow walnął pięścią w blat tak blisko ptaka, że Poppy przestraszyła się, iż go zgniecie.

– Nie! – zawołała mimo woli. – Proszę, niech pan tego nie robi! Niech pan nie

robi mu hic złego!

– A niby czemu? – spytał grubiańsko. – Trzy miesiące uczyłem drania mówić, a nie potrafi pisać ani słowa. Tyle forsy straciłem na tego parszywego gnojka... – Zamachnął się wielką łapą i zmiotł ptaka na podłogę przy wtórze pijackich śmiechów. – Powiniennem ukrećić mu łeb i załatwione!

Poppy rzuciła walizkę i wbiegła do baru.

– Niech pan nie robi mu krzywdy! – krzyknęła błagalnie. – To takie maleństwo... Na pewno wkrótce nauczy się mówić... Przecież to jeszcze pisklę...

Palacz zgarnął przerażonego ptaszka z podłogi i trzymając go w garści ujął jego łebek palcami drugiej ręki.

– Chcesz zobaczyć paniusiu, jak się skręca kark papudze? – powiedział szczerząc zęby. – No co, chcesz zobaczyć?

Zacisnął wielką pięść wokół bezwładnego ciała. Poppy wrzasnęła i rzuciła się ku niemu.

– Nie! – krzyczała bijąc go histerycznie po muskularnych ramionach. – Nie rób tego, nie możesz go zabić! To pisklę! Daj je mnie!

Siłacz podniósł bezwładną kupkę piór wysoko nad głowę, a mężczyźni sprzed baru obstarpi ich ciałniej.

– A co dasz mi w zamian, hę? – zapytał wywołując ponownie tubalne ryki śmiechu.

– Nie... nie mam zbyt wiele pieniędzy... – powiedziała niepewnie Poppy i wyjęła portmonetkę z kieszeni.

– Nie o tym myślałem, proszę szanownej pani – odparł – ale zobaczmy, ile tam masz.

Położył nieruchomą papużkę na kontuar i z brzękiem wytrząsnął obok zawartość portmonetki.

– Co racja, to racja, nie ma tego za dużo – stwierdził pogardliwie, popychając monety brudnym paluchem. – Musisz mi dać coś więcej. Wiesz co, mała... – Objął ciężką łapą jej ramiona. – Może napijemy się razem i to obgadamy, co?

Poppy spojrzała z rozpaczą na małą, barwną jak klejnot kupkę piór. Nagle papuga otworzyła oko i odwzajemniła jej spojrzenie. We wzroku ptaka była beznadziejność. Poppy miała przed sobą stworzenie równie samotne i przerażone jak ona sama. Nie mogła skazać go na śmierć z rąk tego okrutnego prostaka. Wyczekała, aż palacz odwróci się tyłem, by zażądać rumu, złapała ptaka i pobiegła do drzwi. Za nią gruchnął chór pijackich śmiechów. Rozejrzała się dziko w poszukiwaniu walizki. Zostawiła ją tuż przy drzwiach, lecz nigdzie jej nie było!

Z wnętrza tawerny dobiegł ją pełen wściekłości wrzask, więc wsadziła papużkę za dekolt żakietu i rzuciła się do ucieczki, lawirując zygzakami w labiryncie wąskich uliczek dzielnicy portowej. Po jakimś czasie serce waliło jej tak mocno, że musiała przystanąć. Umknąwszy w ciemną, cuchnącą sień, oparła się o ścianę i dyszała głośno z zamkniętymi oczami. Tłumoczek piór na jej piersi drgnął. Dotknęła go delikatnie, wdzięczna losowi, że przynajmniej papużka żyje. Nie miała pojęcia, co począć z nią ani ze sobą. Straciła resztki pieniędzy i wszystkie ubrania, jakie były w walizce. Nie zostało jej nic oprócz pereł dziwki, które w dalszym ciągu miała na szyi. Spoczną więc razem z nią na dnie morza.

– Hej! – usłyszała pełen złości kobiecy głos. – Co ty sobie wyobrażasz, czemu się tu pętasz? To mój teren, do diabła!

Poppy otworzyła raptownie oczy i ujrzała jasnowłosą dziewczynę, która stała przed nią, rozstawiwszy nogi i oparłszy wojowniczo ręce na biodrach. Błysk w jej oczach nie wróżył nic dobrego.

– Teren? – powtórzyła Poppy niepewnie. – Nie rozumiem...

– Dobra, dobra! – Dziewczyna wykrzywiła się drwiąco. – Nie wciskaj mi kitu! Jeszcze jak rozumiesz! – Obejrzała Poppy z namysłem od stóp do głów. – Chociaż jak tak na ciebie spojrzeć, to może i nie. W takim razie co tu robisz w tych frymuśnych fataląszkach i w ogóle... – Pomiętosła w palcach klapę żakietu Poppy i gwizdnęła z podziwem. – To ci klasa materiał – orzekła – naprawdę bogaty, jak w tych sklepach na rue de la Paix w Paryżu. – Nagle jej wzrok zatrzymał się z niedowierzaniem na żakiecie, pod którym coś się poruszyło. – Co ty tam takiego

masz? – spytała i cofnęła się nerwowo.

– To pisklę papugi – wyjaśniła Poppy i rozpięła żakiet. – Ukradłam je marynarzowi w barze.

– Ukradłaś, powiadasz? – Dziewczyna odrzuciła głowę w tył i roześmiała się ochryple. – Cóż, tym lepiej dla ciebie. Ci łajdacy nigdy nie dają nic darmo i zawsze raczej wykołują dziewczynę niż zapłacą. Tym razem dostali za swoje.

– To właściwie nie była kradzież – dodała pospiesznie Poppy. – On zabrał moje pieniądze...

– Ile? – spytała podejrzliwie dziewczyna.

– Pięć franków – przyznała Poppy.

– Pięć franków?! Co za bydlę, obdzierać kogoś z takich groszaków! Boże, nienawidzę mężczyzn!

Przyglądały się sobie z ciekawością. Poppy nigdy nie widziała kogoś tak ubranego. Dziewczyna miała obfite piersi i okrągłą twarz z krótkim perkatym nosem i wydatnymi ustami. Ciemnoblonde włosy ufrizonowane w loki nieporządnie zwinęła w opadający kok, a policzki i usta mocno uróżowała, co nie wyglądało pociągająco. Z bliska Poppy dostrzegła, że nieznajoma ma oczy podkreślone rozmazanymi czarnymi kreskami, a rzęsy zlepione tuszem.

– Czy pani jest aktorką? – spytała.

– Aktorką? – powtórzyła dziewczyna z gardłowym śmiechem. – No, w pewnym sensie można tak powiedzieć... ale nie taką, o jakiej myślisz.

– Pomyślałam tak sobie, bo jest pani uróżowana...

– Tak trzeba w moim fachu. – Nieznajoma przyjrzała się uważniej Poppy. – Jeszcze z ciebie dzieciak – powiedziała z namysłem. – Do licha, co taka młoda panienka z dobrego domu., i w dodatku cudzoziemka... robi w tej zakazanej dzielnicy?

– To długa historia – odparła znużona Poppy. – Straciłam ostatnie pieniądze i skradziono moją walizkę. Nie mam dokąd pójść... ani grosza przy duszy... tylko to, co na sobie, i papugę. – Całkiem spokojna przytuliła do siebie miękki kłębek myśląc

o głębokiej toni, w której się pogrążyła tej nocy. Biedny ptaszek musi zginąć razem z nią, ale lepsze to niż śmierć z ręki pijanego okrutnika.

W szarozielonych oczach nieznajomej błysnął niepokój i nagła troska. Dziewczyna rozejrzała się, lecz ulica była pusta. O tej porze zazwyczaj panował mały ruch.

– Chodź, zrobię ci kawy. – Objęła Poppy za ramiona i wyczuła sterczące łopatki.
– Wszystko mi opowiesz.

Poppy weszła za nią po brudnych drewnianych schodach do pokoiku na drugim piętrze. Rozglądała się ciekawie. Większość miejsca zajmowało tu zapadnięte żelazne łóżko, lecz jakimś cudem udało się jeszcze wcisnąć stolik, toaletkę, taboret, na którym stała wielka fajansowa miednica w niebieski wzorek oraz dzbanek, i dwa stare krzesła pokryte podartym ciemnoczerwonym pluszem. Przez rozdarcia wyłaziło końskie włosie. Na wszystkich meblach walał się bezlik rozmaitych drobiazgów, które olśniły Poppy. Były tu chustki z tandetnego jedwabiu, kupione za bezcen na targu, jaskrawe błyskotki, słoiki z różem, trofea z jarmarków, pamiątki znad morza, pocztówki przedstawiające sławne gwiazdy rewiowe i aktorki, kawałki futra, wyłysiałe boa z czerwonych piór i parę sfatygowanych słomkowych kapeluszy na przekrzywionej podstawce. Poza tym wszędzie piętrzyły się stosy książek.

– Widzisz, nie jestem jakiś tłupek bez wykształcenia – powiedziała dziewczyna podążając za jej wzrokiem. – Umiem czytać i pisać. Mój ojciec już się zatroszczył, żebym skończyła szkoły. To raptem wszystko, co dla mnie zrobił, sukinsyn! – Nalała wody do poobijanego rondla i wspięła się na rozklekotane krzesło. Niebezpiecznie balansując, podkręciła płomyk gazu z pojedynczego palnika, który oświetlał pokój, i przytrzymała nad nim rondel. Wyszczrzyła zęby do Poppy. – To zabronione, ale wszyscy tak robią. Ostrzegali, że pewnego dnia wysadzimy się w powietrze, ale co tam... – Wzruszyła obojętnie ramionami. – Warto zaryzykować, by wypić gorącą kawę.

Pod Poppy niespodziewanie ugięły się kolana. Z cichym jękiem opadła na krzesło.

– Co ci jest? – spytała ostrym tonem dziewczyna. – Chyba nie jesteś w ciąży, co? Jeśli tak, to znam odpowiednią osobę, ale to cię będzie kosztować. Takie usługi nie są tanie.

Poppy potrząsnęła głową i dziewczyna znów przyjrzała jej się bacznie.

– Głodna – zdecydowała. – Znam te objawy. – Wyciągnęła z szafki za zasłonką gliniany garnek, wyjęła z niego bagietkę i ser, odłamała po kawałku i wręczyła Poppy. – Wcinaj – powiedziała szorstko – potem popijesz czymś gorącym i zobaczymy, co dalej.

Poppy spojrzała na ubogie wnętrze i zbudziło się w niej przekonanie, że dziewczyna sama niedojada.

– Nie, dziękuję – rzekła grzecznie. – Jest nie do pomyślenia, abym cię objadała.

– Nie do pomyślenia, co? – Dziewczyna znowu wybuchnęła swoim gardłowym, ochryplym śmiechem. – Co za frymuśna gadka, moja wielmożna pani! A gdzież to nauczyłaś się tak gadać po francusku?

– W San Francisco, od mojej guwernantki, gdy miałam pięć lat – odpowiedziała Poppy, patrząc łakomie na ser.

Dziewczyna popchnęła jedzenie w jej stronę.

– No dalej, śmiało – zachęciła ją – jedz. Możemy w tym czasie rozmawiać. Ale masz mi wyznać całą prawdę jak na spowiedzi: o San Francisco, guwernantce, wytwornym ubraniu, wszystko! Najpierw powiedz, jak ci na imię! – rozkazała patrząc, jak jej gość delektuje się powolutku pysznym śmietankowym serem.

– Poppy.

– Poppy? Całkiem ładnie. Mnie wołają Simonette... tak naprawdę nazywam się Berta, ale nigdy nie cierpiałam tego imienia, więc zmieniłam sobie na Simonette. Krótko Netta.

– Netta to też ładne imię – orzekła Poppy żując z nabożeństwem świeżą białą bułkę. Od tak dawna żywiła się czerstwym chlebem, że prawie zapomniała, jak smakuje świeże pieczywo.

Papuga zaczęła wiercić się niemrawo na jej piersi. Poppy szybko rozpięła zakiet,

wyjęła ptaszka i trzymając w ręku delikatnie gładziła piórka palcem.

– Jest taka mięciutka – rozczuliła się. – Dotknij, czyż nie jest miększa niż aksamit?

– Nie wiem – odparła Netta. – Nigdy nie dotykałam prawdziwego aksamitu. – Lecz jej oczy złagodniały i lekko dotknęła ptaka.

– Spójrz na te kolory! — zawołała Poppy. – Tu na skrzydełkach szmaragdowy i szkarłatny, na łebku pasek prześlicznego szafirowego błękitu, a ślepka ma jak topazy. Ale dla mnie jest piękniejsza od wszystkich klejnotów. – Papuga przekrzywiła głowę łypiąc na nią jednym topazowym okiem i Poppy uśmiechnęła się z zachwytem. – Zobacz, Netto, już jej lepiej!

– Pewnie też jest wściekle głodna.

– Jak myślisz, czym się żywią papugi? – spytała Poppy z niepokojem. – Nie mam pieniędzy, żeby kupić jej pokarm.

– No to na razie będzie musiała poprzestać na tym samym co ty – stwierdziła Netta. Pokruszyła bułkę i ser i podała ptaszкови na dłoni. Mały dziób zawisł na chwilę w powietrzu, a potem rzucił się żarłocznie na okruszki.

– Popatrz no tylko – zdumiała się Netta – myślałam, że mnie dziobnie, a on bierze delikatniusięńko, że wcale nie czuć. – Spojrzała na okno, za którym zapadała ciemność, i podkręciła płomień gazu.

– Robi się późno – rzekła niechętnie Poppy. – Pójdę już...

– A dokąd to? – spytała dociekliwie Netta i widząc zwieszoną głowę Poppy dodała po chwili wahania: – Możesz tu zostać na trochę. W łóżku zmieszczą się dwie osoby, już to wypróbowałam – dodała mrużąc znacząco oko. – Zresztą i tak nie będę dziś nocować w domu, jak w porcie są trzy nowe statki. – Zobaczyła, że Poppy chwieje się na krześle. – Ech, zresztą do diabła z nimi! – dodała beztrąsko. – Wiesz co, Poppy, wskakuj do łóżka i odpocznij sobie. Ja muszę na trochę wyjść, a jak wrócę, pójdziemy we dwie do „Victora” na dobre, gorące żarcie i butelkę wina. Tylko pamiętaj, masz wszystko wyśpiewać.

Poppy wyciągnęła się z lubością na łóżku. Netta uśmiechnęła się widząc, jak

papuzka przycupnęła na jej piersi, trzepocząc niepewnie zielono-czerwonymi skrzydełkami, które podcięto, by nie mogła latać.

– To małe gównno myśli, że jesteś jego matką – stwierdziła. Jej serdeczny śmiech był ostatnim dźwiękiem, jaki zapamiętała Poppy, zanim zmógł ją sen.

– Pewna jesteś, że to już wszystko? – badała dużo później Netta, odsuwając na bok puste talerze po potrawce jagnięcej z rozmarynem i pasternakiem i wlewając do kieliszka Poppy resztkę wina z drugiej butelki.

– Wszyściutko – zapewniła ją Poppy. – Teraz wiesz o mnie wszystko.

– Merde! – zakląła Netta w zamyśleniu. – Więc tak wygląda życie bogaczy... Zawsze się nad tym zastanawiałam. Nie ma co, dziecinko, życie nieźle wygarbowało ci skórę. Moja historia nie różni się tak bardzo od twojej. Miałam szesnaście lat, kiedy uwiódł mnie przyjaciel ojca, a jego żona w dodatku oskarżyła mnie, że to ja go usidliłam. Ojciec złożył mnie do krwi, nie miałam skrawka całej skóry, a moja matka tylko patrzyła i nie kiwnęła palcem. Zostawili mnie leżącą bez przytomności na podłodze. Jak doszłam do siebie, gwizdnęłam na nich oboje i zwałam. Od tamtej pory ich nie widziałam. – Spojrzała przebiegle na Poppy. – Jak mówiłaś, ile to masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Dziewiętnaście, co? A jak myślisz, ile mam ja?

Poppy zastanawiała się przez chwilę.

– Trzydzieści? – ujęła kilka z uprzejmości.

– Wielkie dzięki! – prychnęła Netta. – Dwadzieścia dwa.

– Och... strasznie mi przykro – wyjąkała Poppy, lecz po chwili uśmiechnęła się szeroko. – A właściwie wcale nie, bo to znaczy, że jesteśmy prawie w równym wieku. Bardzo się cieszę, że wreszcie mam przyjaciółkę. Od miesięcy nie rozmawiałam z nikim od serca. Już chyba od wieków nie miałam takiej uczyty i nie byłam w takim wesołym miejscu!

Rozejrzała się po zaparowanej salce. Przy stolikach siedzieli ciasno stłoczeni

mieszkańcy portowej dzielnicy, niektórzy w towarzystwie barwnie ubranych, śmiejących się głośno kobiet. W knajpce „U Victora” było gwarno, wesoło i przytulnie. Poppy najchętniej siedziałaby tu w nieskończoność. Tak dawno nie słyszała własnego śmiechu, że ledwie rozpoznawała jego brzmienie. Z błyszczącymi oczami wypila łyk czerwonego wina i pogłaskała palcem przycupniętą na stole papugę.

– Wiesz, co sobie myślę? To ten ptak przyniósł mi szczęście. On mnie do ciebie przywiódł, Netto. – Spoważniała i wyznała cicho: – Miałam zamiar... skończyć dzisiaj ze sobą. Chciałam wyjść w morze tak daleko, jak się da i po prostu dać się ponieść falom... Nie chciałam dłużej żyć.

– Znam to uczucie – szepnęła Netta. Wyciągnęła dłoń i wzięła Poppy za rękę. – Też przez to przeszłam.

– Moje kłopoty zostały – mówiła dalej Poppy – ale dałaś mi siłę, abym mogła się z nimi zmierzyć. Jakże ci zdołam się odwdzińczyć, Netto?

– Odwdzińczyć? Jeszcze czego! – zbeształa ją Netta. – Dziękuj lepiej temu pisklęciu, jeżeli, jak mówisz, prowadziło cię w drodze.

– Przewodni promyk światła – szepnęła Poppy gładząc miękki puch na piersi papugi. – Luce – powiedziała po włosku z angielską wymową i zabrzmiało to „Luchay”. – Tak go właśnie nazwę. Mój promyk światła – i biedny, mały przyjaciel.

– Tutaj wszyscy są biedni – stwierdziła Netta biorąc szal i torebkę. – A skoro już o tym mowa, to lepiej wezmę się do pracy. Chodź, Poppy, gwarantuję ci, że po porządnym obiedzie i winku będziesz spała jak złoto.

Poppy, ubrana w ciepłą flanelową koszulę nocną Netty, zwinęła się w kłębek na łóżku z Luchayem obok i patrzyła, jak przyjaciółka pudruje twarz i różuje policzki.

– A na czym właściwie polega twoja praca? – spytała zaintrygowana. – Kim ty jesteś?

– Kim jestem? – powtórzyła Netta zarzucając szal i maszerując do drzwi. – Dziwką, a kimże miałabym być. Myślałam, że sama się domyśliłaś.

– Och... – wymamrotała Poppy – tak, oczywiście, jakie to niemądre z mojej

strony...

Gdy drzwi zamknęły się za Nettą i jej wysokie obcasy zatupotały na gołych deskach schodów, Poppy przesunęła palcami po perłach na szyi. „Może madame du Barry wcale nie była taka zła” – pomyślała zapadając w głęboki sen.

Rozdział 35

1899, FRANCJA

– Zostajesz tutaj, i basta – rzekła kategorycznie Netta następnego ranka. – Mnie w nocy łóżko i tak niepotrzebne.

Następnie wyszła namawiać inne dziewczęta uliczne, by dały Poppy jakieś zatrudnienie.

– Ona jest w ostatniej rozpacz – oświadczyła bez ogródek – a ulepiona z innej gliny; nie nadaje się na kurwę. Niech sprząta nasze pokoje. Śmiało, dziewczyny, podnieśmy poziom i ceny! Raz dla odmiany pomyślcie jak luksusowe dziwki! Wyobrażacie sobie taki komfort? Przychodzisz do domu, a tu czysta podłoga, czyste prześcieradła, jeżeli je masz, i czysta bielizna, o ile ją nosisz. A to wszystko za marnych kilka sous. Koniec końców, musimy dać tej cholernej papudze na ziarno słonecznika, no nie?

Dom, w którym mieszkały, przypominał Poppy swoim zapachem kamienice z tanimi pokojami do wynajęcia z czasów jej dzieciństwa. Czuć tu było zastarzałym potem, kotami i gotowaną kapustą. Był wysoki i wąski, schody z nierównych desek pięły się zakosami w górę ciemnej klatki schodowej aż do najniższego pomieszczenia na poddaszu, pod ukośnym skrzydłem spadzistego dachu. Dzięki swej nowej funkcji sprzątaczk i praczki Poppy w niedługim czasie dobrze poznała wszystkie mieszkanki. Z Luchayem na ramieniu i ciężkim wiadrem gorącej wody z mydłem, którą grzała na starym, podobnym do kotła piecyku w piwnicy, dokładała wszystkich sił, żeby zmyć brudy stu lat zaniedbania.

Mieszkanka poddasza z ukośnym sufitem żyła w ostatecznej nędzy. Miała zaledwie dziewiętnaście lat, jak Poppy, i mimo kaszlu, który rozrywał jej płuca, co

wieczór wychodziła buńczucznym krokiem na zamgloną ulicę, z maskującą bledość warstwą różu na twarzy i wyzywającym uśmiechem, który odwracał uwagę od jej wychudzonego ciała. Rankiem wracała wycieńczona, powłócząc nogami, i wspinała się na powrót po śmierdzących schodach, często przemoczona do suchej nitki, kaszląc tak, jakby nigdy nie miała przestać.

– Przystanie, a jakże – rzekła gniewnie Netta, gdy Poppy jej o tym opowiedziała.

– Nie dożyje końca zimy, ma galopujące suchoty.

– Ależ to straszne! – wykrztusiła przerażona Poppy. – Musimy jej jakoś pomóc!

Netta wzruszyła ramionami.

– Może mi powiesz jak – burknęła, lecz Poppy dostrzegła wyraz goryczy w jej szarzielonych oczach.

Na parterze mieszkała z czwórką dzieci wdowa po rybaku. Pracowała w porcie przy czyszczeniu ryb i chociaż była najschludniejszą kobietą w domu, a fartuszki jej dzieci lśniły bielą, sień wciąż przesiąknięta była rybim smrodem. Na każdym z trzech pięter były dwa pokoje. Wszystkie zajmowały dziewczyny uliczne, lecz wdowa unikała wyrazów ich dobrodusznej sympatii i zaganiała dzieci do mieszkania, gdy usłyszała ich pospieszne kroki lub gardłowy śmiech.

Wieczorami, kiedy wychodziły do pracy stukając na schodach obcasami, Poppy wyglądała przez okno. Widziała, jak idą posuwistym krokiem, w głęboko wyciętych bluzkach, z ręką na biodrze, w stronę barów na nabrzeżu. Później słyszała ten sam stuk na schodach i niepewne, ciężkie kroki jakiegoś pijanego marynarza, który kłął soczyście, potykając się w ciemności.

Leżąc samotnie w wygodnym łóżku Netty z wgłębieniem pośrodku, próbowała nie słyszeć sapania i przekleństw, które dochodziły przez cienkie ściany, i snuła głośno myśli, zwracając się Luchayowi, skulonemu w załomie jej szyi. Rozpamiętywała w nieskończoność tok wydarzeń, które doprowadziły ją do tego ubogiego pokoju w portowej dzielnicy. Gdyby słuchała ciotki Melody, nie spotkałaby Felipe, a wtedy jak inne byłoby jej życie! Gdyby nie była taka głupia i pojęła wcześniej, jak łatwo jest kochać Grega, jakże byłaby teraz szczęśliwa...

– Lecz wówczas nigdy bym ciebie nie znalazła, prawda, Luchay? – pocieszała się, a papuga obserwowała ją bystro topazowym okiem.

Uśmiechnęła się, gdy ulubieniec napuszył swoje biedne, wystrzępione piórka, jakby chciał wyglądać dla niej jak najpiękniej.

– Luchay – szepnęła znowu rozpaczliwie, gdy piętro wyżej sprężyny zaczęły skrzypieć w szybszym tempie i któraś dziewczyna krzyknęła z bólu czy ze strachu. – Luchay, co ja bym bez ciebie zrobiła? Naprawdę jesteś promykiem światła w moim życiu. Słuchasz mojej żalosalnej historii i robisz taką mądrą minę. . – Spojrzała ze strachem na drzwi, bo w tej chwili ktoś zatargał klamką, lecz zaraz nierówne kroki oddaliły się w głąb korytarza. – Kto wie – ciągnęła drżącym głosem – może pewnego dnia będziemy bogaci. Wtedy dam ci klejnoty tak barwne jak twoje piórka, złoty drażek wysadzany szmaragdami i rubinami i klatkę ze szczerego złota... Zostaniesz papuzim księciem, Luchay. I będziesz moim jedynym ukochanym towarzyszem, bo nie chcę znać żadnego mężczyzny aż do końca moich dni.

Netta nigdy nie przyprowadzała klientów do pokoju.

– Ta nora niewiele jest warta – powiedziała kiedyś Poppy – ale to mój dom i nie postanie tu noga żadnego z tych parszywych łajdaków! Zresztą – dodała trzeźwo – płacą za mało, żeby się rozwalać w moim łóżku.

Przypominając sobie z drżeniem własne jedyne doświadczenie z dziedziny seksu, Poppy próbowała nie myśleć o szczegółach zawodu Netty – nie zastanawiała się też, gdzie przyjaciółka go uprawia – lecz widziała dosyć scenek w bramach i ciemnych zaułkach dzielnicy portowej, by mieć o tym pewne pojęcie.

Rano po powrocie do domu Netta szła prosto do miednicy i napełniała ją zimną wodą. Potem rozbierała się do naga i dygocząc z zimna myła od stóp do głów.

– Muszę zmyć z siebie ślady ich brudnych paluchów, no nie? – mówiła przechodząc z całą swobodą nago przez pokój i zakładając flanelową koszulę nocną, upraną i wyprasowaną przez Poppy.

Poppy nigdy wcześniej nie oglądała nikogo nago, nawet Angel, więc zdumiewał ją brak skrzępowania Netty i jej pięknie ukształtowane ciało o pełnych piersiach.

– Netta, jesteś za dobra, by tak żyć! – wybuchnęła pewnego razu. – Za piękna i zbyt mądra, by się zadawać z tymi draniami!

– Lepiej uważaj – wyszczerzyła zęby Netta – zaczynasz mówić tak jak ja. Pewnie, że jestem na to za dobra, ale muszę jakoś żyć, no nie? Przynajmniej dopóki się da – dodała ziewając.

– Co masz na myśli mówiąc „dopóki się da”? – spytała Poppy ze zdziwieniem.

– A co widzisz, jak wyjrzysz na ulicę? Tuziny kurewek, i wszystkie młode! Niedużo dziwek daje radę zarobić na życie, jak przekroczyć trzydziestkę... o ile ich wcześniej nie zatłucze franca.

– Franca? – powtórzyła Poppy nie rozumiejąc. – Nie wiem, co to znaczy.

– Nieważne, mała – mruknęła Netta, przymykając sennie oczy. – Jeszcze się dowiesz.

Ręce Poppy szybko stały się czerwone i popękane od ciągłego zanurzania w wodzie. Z mozołem uderzała kijanką po kilku wytartych prześcieradłach i cienkich ręcznikach, znoszonej bieliźnie i tanich bluzkach. Prała je w wielkim żelaznym kotle w piwnicy, przeciągała przez pordezewiałą wyżymaczkę i rozwieszała na sznurze, rozpiętym w poprzek wąskiej uliczki, gdzie nigdy nie zaglądało słońce. Szorowała podłogi i zamiatała schody; wycierała puder i róż z mebli i utrzymywała w porządku nędzny dobytek dziewcząt. Czasem z wdzięczności za okazywaną jej przyjaźń pod koniec dnia, gdy kwiaty taniały, kupowała na targu bukiet za jednego sou i rozstawiała w poobijanych kubkach po kwiatku dla każdej z dziewcząt, żeby je rozweselić, gdy wrócą rano do domu.

Dziewczyny uliczne nie były o wiele starsze od niej, lecz wyczuwały jej inność. „Masz klasę” – mówiły z podziwem. Otaczały ją macierzyńską troską i co rusz wpadały na pogawędkę. Rozpływały się też nad Luchayem, który był ich ulubieńcem. Patrzyły na jaskrawy kłębuszek piór oczami bystrymi i ptasimi jak ślepka Luchaya i podsuwały mu orzechy lub pestki dyni na wpół z obawą, że je dziobnie. „Ale tu z nim kolorowo!” – krzyczały z zachwytem, gdy machał okaleczonymi skrzydełkami migając szkarłatnym puchem. Luchay stał się obiektem

ich adoracji; przelewały na niego całą miłość i czułość, jaką nigdy nie darzyły mężczyzn.

Wieczorem wychodziły, a w domu bez ich żywej paplaniny i ostrego śmiechu zapadała przeraźliwa cisza i Poppy czuła, że znów spada na nią jak czarna chmura dobrze znajome uczucie samotności. Myślała z rozpaczą o domu, Niku i Rozalii. I Gregu. Greg stał się teraz dla niej rycerzem bez skazy. On nigdy nie zachowałby się tak jak Felipe czy ci pijani marynarze. Greg był człowiekiem szlachetnym. Ofiarował jej miłość, a ona jak idiotka odrzuciła jego uczucie, aż było za późno. Myślała o Angel i „bliźniaczkach”, lecz nigdy nie wspominała swego dziecka, nie próbowała też wyobrazić sobie, jak ono wygląda. Dla niej było to dziecko Angel. Nie miało nic wspólnego z jej życiem, jakby nigdy go nie urodziła.

Przeszłość wypierały obawy, jakie budziła trudna terażniejszość. Zamiast boleć nad własnym losem, Poppy martwiła się o Nette, spacerującą po ulicy w ślocie, szarudze i ostrym zimowym chłodzie, z wyleniałym futerkiem okręconym zawadiacko wokół szyi i w przemakających butach.

– To niesprawiedliwe – rzekła pewnego dnia do Netty z rozżaleniem. – Nie powinnaś tak się marnować. Zaslugujesz na lepszy los.

– Aha – odparła Netta ze swoim zuchwałym uśmiechem – pewnie pod drzwiami już czeka milioner, który porwie mnie za siódme morze – i zabrała Poppy do restauracji na kieliszek koniaku i gorącą zupę, żeby się rozweselić i uciec od zimna ich nędznego, nieogrzewanego pokoju.

Były jednak noce tak zimne, że nawet Netta nie mogła się zdobyć na wyjście na ulicę. Chowały się wówczas z Poppy pod jednym kocem, z biednym, marznącym z dala od ojczyznej tropikalnej dżungli Luchayem pośrodku. Tuliły się jedna do drugiej i opowiadały sobie szeptem historie z przeszłości. Nigdy jednak nie rozmawiały o przyszłości.

Netta nie miała racji: Jeanne, dziewczyna z poddasza, nie umarła tej zimy. Czepiała się kurczowo życia z ponurą determinacją; kaszląc ukradkiem i plując krwią, ostentacyjnie obnosiła na ulicy uśmiech. Z nadejściem stycznia zabrakło jej

jednak sił na wchodzenie po schodach i cały czas spędzała w łóżku, patrząc w milczeniu na kawałek nieba, jaki było widać przez brudne okienko w dachu. Inne dziewczęta wpadały z szumem, żeby ją rozweselić. Dziękowała im uśmiechem. Oddały jej własne koce, by mogła ogrzać chude ciało, przynosiły miseczki gorącej zupy z restauracji namawiając ją do jedzenia i za z trudem wyskrobane pieniądze kupowały u aptekarza lekarstwa, które według jego zapewnień dawały gwarancję wyleczenia, oraz belladonę na złagodzenie cierpień.

Wieczorem, gdy Poppy zostawała sama, siadała przy łóżku Jeanne i czytała jej na głos jedną ze zbieranych przez Nettę powieści lub po prostu z nią rozmawiała. Jeanne odpowiadała szeptając, w obawie przed kaszlem, który mógł wywołać następny krwotok, lecz patrzyła z wyrazem takiej wdzięczności, że Poppy czasami musiała się odwrócić, by chora z jej oczu nie wyczytała litości i smutku.

Luchay stukając pazurkami chodził tam i z powrotem po swoim drażku, skleconym ze starego kija od miotły, i przekrzywiając łebek zerkał bacznie na obie dziewczyny. Urósł i nabrał sił. Machał skrzydłami, pusząc swoje piękne zielone i szkarłatne piórka dla ochrony przed dojmującym zimnem, a wówczas oczy Jeanne błyszczały tyleż z zachwytu, co od gorączki.

– Poppy! – skrzeczał ptak. – Poppy cara, Poppy chérie, Poppy kochana!

Jeanne nie mogła powstrzymać śmiechu i znów kasłała i pluła krwią. Papuga, gdy ział w pokoju stawał się dla niej nie do zniesienia, chowała się pod szalem Poppy. Małe, przytulone ufnie ciało odpędzało od dziewczyny strachy i samotność.

W pewien kwietniowy poranek na zimnym niebieskim niebie wreszcie zaświeciło słońce. Było ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła Jeanne przez brudne okienko. Przymknęła oczy i z cichym westchnieniem odeszła.

Netta biegła po całej dzielnicy zbierając datki na pogrzeb. Za wózkiem śmieciarza, na którym leżała tania sosnowa trumna, ruszył bezładny szereg zapłakanych dziewczyn ulicznych w czarnych szalach na głowach. Kondukt przeszedł wolno do kościoła Najświętszej Marii Panny. Poppy słuchając krótkiej mszy żałobnej pomyślała ze smutkiem, że nawet kościół jest zaniedbany i ubogi –

mosiężne świeczniki od dawna nie czyszczone straciły blask, na ołtarzu nie było kwiatów.

– Biedna Jeanne – powiedziała żałośnie, gdy opuszczano trumnę do zamarzniętej ziemi – to okropne tak umrzeć, jakby się było niczym.

– Ma szczęście, że umarła młodo i mogliśmy zapewnić jej godziwy pochówek – odparła Netta z nutą goryczy. – Większość z nas skończy w dołach dla nędzarzy. Wtedy naprawdę jesteś niczym.

Nazajutrz na poddasze wprowadziła się nowa dziewczyna, jeszcze młodsza od Jeanne. Miała szesnaście, może siedemnaście lat. Poppy pomyślała, że byłaby nawet ładna, gdyby nie gruby makijaż i zuchwały, wyzywający styl bycia. Potem westchnęła, bo wiedziała już, że taką właśnie trzeba być, aby dać sobie radę na ulicy.

Netta miała pewnego „przyjaciela”, który był kapitanem statku i pływał po południowych morzach. Co parę miesięcy zawijał do Marsylii. Przywykły do chwiejnego pokładu, schodził na ląd rozkołysanym krokiem, jakby już był pijany. Miał żonę w Cherbourgu i dziewczynę w każdym porcie, do jakiego zawijał, lecz żywił do Netty szczególną słabość i zawsze pamiętał o prezencie dla niej. Był duży, zwalisty i wesoły, z twarzą bardziej ogorzałą od wiatru niż opaloną słońcem i oczami jak wąskie niebieskie szparki od ciągłego mrużenia.

Netta, gdy tylko usłyszała, że s.s. „Marquand” wpływa do portu, stroiła się w swoje najlepsze łaszki i biegła na nabrzeże w szumie falbanek. Patrzyła podniecona, jak statek przybija do brzegu i czekała, aż kapitan zejdzie po trapie i wpadnie w jej ramiona.

Pojawiała się z powrotem w domu po trzech czy czterech dniach, gdy „Marquand” wyruszał w dalszą drogę. Miała na sobie nową sukienkę albo naszyjnik, czasem błyskała nowym pierścionkiem na palcu. Wzdychała z satysfakcją i mawiała: „Nie wszyscy mężczyźni to dranie, Poppy. A jak już nie są źli, ooo! wtedy naprawdę potrafią być dobrzy!” Puszczając szelmowskie oko i biegła do lombardu zastawić najnowszy nabytek, a wieczorem stawiała wszystkim koniak w „Victorze”.

Ostatnia wizyta „Marquanda” w porcie miała inny przebieg. Netta zamiast

zniknąć jak zazwyczaj na dłuższy czas, przybiegła do domu tego samego dnia, podniecona i rozgorączkowana.

– Poppy, wyobraź sobie tylko! – zawołała. – On mnie poprosił o rękę! Mnie, największą kurwę na całym wybrzeżu! Chce się ze mną ożenić!

– A... a co z jego żoną? – wyjąkała wstrząśnięta Poppy.

– Umarła dwa miesiące temu – oznajmiła Netta bez specjalnego współczucia. – Nie zostawiła mu dzieci, więc nie ma żadnych rodzinnych zobowiązań. Mówi, że gdy leży na pokładzie pod gwiazdami Południa, jedyną osobą, o której myśli, jestem ja, Netta Fosquet... a już wkrótce pani kapitanowa Noiret! Och, Poppy! – krzyknęła, a jej usta rozciągnęły się w triumfalnym uśmiechu – możesz w to uwierzyć? Ja żoną kapitana? Szanowaną, zameźną matroną? W dodatku dobry z niego człowiek – dodała ciszej.

Poppy ucałowała ją i złożyła gratulacje. Nie zdobyła się na pytanie, co stanie się z nią i z Luchayem. Poszły razem kupić suknię na ślub, który miał się odbyć za dwa dni.

– Zostaniesz oczywiście w moim pokoju – oświadczyła Netta na hucznym przyjęciu w narożnej knajpie „U Victora”, wyprawionym w przeddzień ślubu. – Masz, weź to. – Wcisnęła jej dyskretnie do ręki kilka banknotów. – Niewiele tego, ale starczy na kilka miesięcy na opłatę za pokój. Dasz sobie jakoś radę piorąc i sprzątając. – W jej oczach pojawiła się niepewność, lecz Poppy odpowiedziała odważnym uśmiechem.

Gwar i śmiech wokół nich nagle odpłynął gdzieś daleko. Poppy spojrzała na swoją jedyną prawdziwą przyjaciółkę.

– Netto, tak się cieszę – szepnęła. – Wiem, że będziesz szczęśliwa.

– Pani kapitanowa Noiret! – westchnęła błogo Netta. – Moje na wierzchu, Poppy!

Nie było żadnego mężczyzny, który poprowadziłby ją do ołtarza, więc przeszła sama przez nawę Najświętszej Marii Panny. Poppy towarzyszyła jej jako drużna. Ona i pierwszy oficer z „Marquanda” byli jedynymi świadkami na ślubie. Poppy patrząc na Nettę w świeżo sprawionej taniej sukience z niebieskiego chińskiego

jedwabiu, powtarzając przed ołtarzem słowa przysięgi małżeńskiej, nie mogła się powstrzymać od przesyconych goryczą porównań tej ceremonii z pełnym przepychu ślubem Angel. Netta i jej kapitan zdawali się jednak znakomicie obywać bez grzmiącej organowej muzyki, tysięcy róż, kadzideł i setek świec. W niczym nie umniejszało to ich szczęścia i zostali sobie poślubieni równie rzetelnie jak Angel i Felipe.

Netta odchodziła od ołtarza śmiejąc się radośnie. Wszystkie przyjaciółki czekały przed kościołem i obrzuciły rozpromienionych oblubieńców ryżem i płatkami róż. Dziewczynom ich profesji rzadko zdarzał się taki szczęśliwy los. Jeszcze raz zadźwięczał głośny śmiech Netty i oboje z kapitanem pospieszyli na statek, który tego wieczoru miał odpłynąć w kierunku Przylądka Dobrej Nadziei.

– Wrócę za parę miesięcy – rzuciła na pożegnanie Netta, uściskawszy Poppy ze wszystkich sił. – Tylko nie zrób jakiegoś głupstwa, słyszysz?

Poppy uśmiechnęła się i pomachała chusteczką na pożegnanie. Kapitan porwał Nettę na ręce i wniósł po trapie przy akompaniamencie pogwizdywań załogi.

Uśmiech zniknął z twarzy Poppy, gdy leżała tej nocy w łóżku. Przyszłość znów stała się niepewna, a samotność ciemna i posępna jak noc. Luchay zadreptał niespokojnie tam i z powrotem po drewnianym drążku.

– Poppy – zaskrzeczał – Poppy cara, Poppy cherie, Poppy kochana!

– Och, Luchay! – zawołała na wpół śmiejąc się, na wpół płacząc. – Oczywiście, przecież mam jeszcze ciebie!

Trzy miesiące później s.s. „Marquand” zawinął ponownie do Marsylii. Netta zesła sama z trapu, ubrana w czerń.

– On odszedł! – wyszlochała do Poppy. – Umarł miesiąc temu. W nocy było gorąco, leżeliśmy w łóżku, ja na nim robiąc mu tak, jak lubił najbardziej, a on jakby się zatknął i spojrzął na mnie. I tak pożegnał się z tym światem! Miał piękny morski pogrzeb, jak jaki admirał!

Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy. Poppy wzięła przyjaciółkę za rękę,

niepewna, jak ją pocieszyć.

– Wiedziałam, że to zbyt piękne, żeby miało długo trwać – lamentowała Netta, spuchnięta od płaczu. – Niech go piorun trzaśnie, dlaczego musiał umrzeć będąc ze mną w łóżku? A raczej pode mną! – dodała z cieniem dawnego szelmowskiego uśmiechu. – Przynajmniej odszedł szczęśliwy. No, to tyle. – Westchnęła. Otarła oczy i zdjęła kapelusz. – Nigdy już nie znajdę nikogo, kto zechce się ze mną ożenić. Wróciłam na dobre, Poppy. Przynajmniej stary drań zostawił mi cały swój dobytek. Nie wiem jeszcze dokładnie, ile to będzie, pewnie niewiele, bo wciąż rozbijał się po świecie.

Netta, dystygowana w swojej żałobie, udała się wraz z Poppy do siwowłosego prawnika, który miał ją zapoznać z testamentem kapitana Noireta.

– Pan kapitan zmienił swoją ostatnią wolę po śmierci pierwszej żony, zapisując wszystko pani, madame Noiret – powiadomił ją notariusz.

– No dobra, załatwmy się z tym prędko – pogoniła go bez ceregieli Netta. – Na pewno nie ma tego tak wiele, żeby robić cały ten prawniczy szum.

– Wręcz przeciwnie, madame – oświadczył notariusz mierząc ją pełnym nagany wzrokiem. – Kapitan zostawił znaczny majątek. Między innymi dwa domy: w Marsylii i w Cherbourgu.

– Dom w Marsylii? – szepnęła Netta z zapartym oddechem.

– I, jak powiedziałem, drugi w Cherbourgu – ciągnął prawnik z namaszczeniem – jak również pewną sumę w Banku Morskim w Marsylii. Suma ta nieco przekracza trzy tysiące franków.

– Trzy... tysiące... franków! – powtórzyła powoli Netta otwierając szeroko oczy ze zdumienia. – Czy chce mi pan powiedzieć, że mam trzy tysiące franków i dwa własne domy?

– W rzeczy samej, madame Noiret. Musi pani tylko podpisać dokumenty spadkowe i tytuł własności, a pieniądze będą należały do pani. Pragnąłbym zarazem udzielić rady, aby zostawiła je pani w banku, gdzie są bezpieczne i przynosić będą procent...

– Zostawić w banku! – niemal zaśpiewała Netta skacząc na równe nogi. – Zostawić w banku? Jeszcze czego! Dzisiaj Poppy i ja wydamy w „Victorze” największe przyjęcie, jakie świat widział! – Chwyciła pióro i podpisała się zamasyście na dokumentach. – Głowę dam, że pan myślał, że niepiśmienna, co? – Szturchnęła prawnika w bok ze swoim zuchwałym uśmiechem. – Przyjęcie odbędzie się w knajpie „U Victora” na ulicy Lesagne, jakby pan chciał przyjść! – dorzuciła ze śmiechem od drzwi, ruszając prosto do Banku Morskiego.

– Netto, bądź rozsądna! – napominała ją Poppy biegnąc przy jej boku. – Nie możesz przepuścić tych pieniędzy na przyjęcia i nowe ubrania... W miesiąc będzie po nich! Kapitan chciał cię dobrze zabezpieczyć. Mogłabyś sprzedać dom w Cherbourgu, a pieniądze ze sprzedaży złożyć w banku i przy pewnej przezorności w wydatkach żyć za nie do końca życia.

– Nic z tego, Poppy! Nigdy nie byłam przezorna i za późno zaczynać. Poza tym co bym z sobą robiła przez cały dzień?

– Może powinnaś założyć jakąś niewielką firmę – podsunęła Poppy – w branży, która by ci odpowiadała.

– Daj spokój! – Netta wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Wiesz, że w życiu interesują mnie tylko dwie rzeczy: jurny facet i luksusowe życie. I mam teraz zamiar zafundować sobie je obie.

– Mam pomysł – powiedziała Poppy, gdy Netta wyszła triumfalnie z banku wymachując pięciuset frankami. – Chyba ci się spodoba, ale będziesz na to potrzebować wszystkich swoich pieniędzy.

– Cóż to za pomysł? – Netta obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem.

Poppy wyjaśniła jej szczegółowo, gdy szły w jesiennej szarudze z powrotem do dzielnicy portowej. Oczy Netty zabłyły rozbawieniem.

– Nie ma co, spryciara z ciebie! – zawołała z zachwytem. – Czemu sama na to nie wpadłam? Z twoim rozumem i moją znajomością fachu zrobimy majątek! – Potrząsnęła ręką Poppy śmiejąc się z rozradowaniem. – Ale dziś zrobimy sobie ostatni wypad do „Victora”, co? Na cześć kapitana! Jemu by się to spodobało.

Rozdział 36

1900, FRANCJA

Stary dom kapitana Noireta w elegantszej części Canebiere w Marsylii był dogodnie położony między portem a hotelami, więc zakład „U Poppy” przyciągał klientelę z obu tych miejsc. Wielki i zwalisty wykidajło o twarzy eks-boksera i rękach jak bochny chleba skutecznie odstraszał pijanych marynarzy, którzy wdzierali się przemocą do środka, spragnieni rozrywek po długim rejsie. Każdy, kto przychodził do Poppy, musiał mieć prywatną rekomendację i bywał przez nią poddawany krytycznym osobistym oględzinom. Bez dopełnienia tych „formalności” nikt nie mógł się nawet zbliżyć do jej dziewcząt.

Poppy wpadła na pomysł otwarcia domu publicznego, by zapewnić opiekę Necie i jej podobnym. Nie mogła znieść lekkomyślności, z jaką Netta wyrzucała pieniądze równie szybko, jak je zarabiała, na przyjęcia, prezenty i inne rzeczy, które jej zdaniem składały się na „luksusowe życie”. Tak naprawdę jednak wcale go nie znała: zawsze żyła chwilą obecną i w atmosferze tymczasowości. Pieniądze po kapitanie dawały jej jedyną szansę, by się z tego wyrwać; gdyby je straciła, znów wylądowałaby na ulicznym bruku. Projekt przyjaciółki zaintrygował ją, lecz nie ze względu na własne bezpieczeństwo. To Poppy czuła ulgę, że Netta nie będzie musiała wystawać na mrozie i sprzedawać się pijanym, nieznanym mężczyznom w ciemnych bramach. Wiedziała, że ona nigdy się nie zmieni, lecz przynajmniej nie umrze na suchoty jak Jeanne i nie wrzuci jej do anonimowego dołu, w jakim grzebie się nędzarzy. Kierowała się odruchem serca, nie zdając sobie sprawy, że dla niej samej oznacza to nieodwołalnie wcielenie się w „madam”.

Netta wybrała odpowiednie dziewczęta, odrzucając bez litości te, które wydały jej się za stare lub zbyt wulgarne.

– To ma być miejsce pierwsza klasa – oznajmiła im wyniośle. – Zatrudniamy dziewczyny, które są na tyle bystre, żeby facet mógł się dobrze z nimi zabawić za swoje pieniądze, a nie tylko szybko przelecieć. Będziemy się starać o regularną

klientelę, złożoną z dżentelmenów i nasze panienki muszą być tak ładne i podniecające, żeby nie mogli się doczekać, kiedy tu wrócą.

Poppy w pocie czoła urządzała dom, próbując nie myśleć o tym, co się będzie działo w sypialniach, które tak starannie ozdabiała. Wieszając cnotliwe koronkowe firanki w oknach przypomniała sobie z żalem swoje młodzieńcze marzenia o prawdziwej miłości i wspaniałym porywie namiętności, który miał ją unieść niby wielkie szumiące skrzydła – jak ongiś wyobrażała sobie miłość cielesną. A oto teraz miała ją sprzedawać we wszystkich postaciach, choć tak małe miała o niej pojęcie. Ciągnąc z wysiłkiem po podłodze wielkie mosiężne łoża z kolumienkami, przykryte ciemnoniebieskim aksamitem, myślała o mężczyznach, którzy się w nich znajdują, i miała nadzieję, że będą łagodni i uprzejmi. Sprawdzając czujną ręką gładkość czarnych atlasowych prześcieradeł, przy których uparła się Netta, próbowała sobie wyobrazić, co czuje kobieta w objęciach obcego mężczyzny, oddając mu się za pieniądze. Ustawiając przy łóżkach lampki o różowych kloszach myślała naiwnie, że może niektóre z dziewcząt znajdą tu miłość i szczęście.

Netta zainstalowała w salonie olbrzymi bar, podobny do tego, jaki podziwiała w „Victorze”, choć Poppy przekonała ją, że powinien być z mahoni, a nie obity cynkiem, co wyglądało pospolicie. Umieściły na lustrzanych półkach wszystkie możliwe mocne trunki oraz, z inicjatywy Poppy, parę kosztownych gatunków szampana. Gdy Netta zaprotestowała, że ich klientów nie będzie na niego stać, Poppy najspokojniej w świecie doliczyła do słonej ceny wysoką marżę i oświadczyła, że tych, których nie będzie na to stać, nie wpuści się za drzwi.

W wysiłku przydania wnętrzu cech elegancji, by nie wyglądało na typowy burdel, Poppy obila ściany ciemnoczerwonym jedwabiem i zawiesiła na nich wielkie reprodukcje i akwaforty o tematyce klasycznej, lecz w żaden sposób nie mogła powstrzymać Netty od umieszczenia nad barem wielkiego olejnego malowidła, które przedstawiało gołą tłustą piękność w pozycji pólężącej. Zainstalowała dobrze zaopatrzoną biblioteczkę, choć Netta powiedziała jej ze śmiechem, że mężczyźni nie po to tu będą przychodzić, by oddawać się lekturze. Kupiła głębokie, wygodne sofy i

fotele, postawiła na barze wielki wazon kwiatów, a na stolikach porozkładała gazety. Zatrudniła dwie służące, z których jedna miała sprzątać sypialnię po każdym kliencie, a druga przygotowywać i podawać wyśmienite pikantne tartinki. Gdy Netta zjawiała się z naręczem wymyślnych negligów, w których dziewczęta miały paradować w salonie, by klienci mogli dokonać wyboru, zgorzona Poppy spojrzała na nie z niesmakiem.

– Mogą nosić to w sypialniach – oświadczyła stanowczo – ale w salonie mają występować jak modnie ubrane młode damy.

Po czym osobiście dobrała im stroje twierdząc, że będą równie uwodzicielskie w jedwabnej sukni, ładnym naszyjniku i kolczykach oraz nienagannej fryzurze, co prawie nagie w nieprzyzwoitych peniuarach.

– Dzięki temu będą się czuły jak ładne dziewczęta, a nie kurwy – powiedziała do Netty z brutalną szczerością – mężczyźni zaś będą się do nich inaczej odnosić. Sama zobaczysz.

W wieczór otwarcia czekały zdenerwowane na pierwszych klientów. Netta stała za barem, a dziewczęta, niecodziennie eleganckie w nowych, powściągliwych kreacjach, z udaną swobodą popijały szampana. Poppy, ubrana w surową suknię z gołębioszarego aksamitu, która zapinała się pod samą szyję, z włosami zaczesanymi do tyłu i jasną twarzą bez makijażu, czekała niespokojnie w holu, zastanawiając się, co na Boga powie klientom i czy zdoła powstrzymać rumieniec.

Pierwszy gość osłupiał tuż za progiem, widząc przed sobą elegancką młodą damę, a potem pospiesznie zdjął kapelusz i skłonił się głęboko. Za nim przyszedł następny, potem jeszcze jeden, potem dwóch, i wkrótce Poppy nie miała czasu snuć domysłów, co dzieje się na górze. Witła uprzejmie nowo przybyłych i po zapytaniu o zdrowie i kilku uwagach na temat pogody inkasowała zapłatę z góry. Netta sprawowała nadzór nad barem i „doborem” w salonie.

Wieść o zakładzie „U Poppy” z jego dziwnym połączeniem naiwności i fachowości, salonem z białymi firankami i frymuśnym barem, urodziwymi, pełnymi werwy dziewczętami, które wyglądały jak pensjonarki, i powściągliwą młodą damą

witającą gości, obiegła miasto jak ogień. Po kilku miesiącach dom Poppy stał się najbardziej znanym miejscem występnych rozrywek w Marsylii. Był też czymś w rodzaju ekskluzywnego klubu, wszyscy chcieli do niego należeć, lecz zaszczyt ten spotykał tylko nielicznych, którzy zasłużyli na aprobatę Poppy.

Krażyło wiele plotek na temat madam. Była śliczna i bardzo młoda, choć nikt nie wiedział dokładnie, ile ma lat. Mówiono, że jest cudzoziemką – jak twierdzili niektórzy, pochodziła z Ameryki – lecz trudno było w to uwierzyć, słysząc jej nienaganny francuski akcent. Niewątpliwie otrzymała staranną edukację i miała maniery prawdziwej damy, lecz nikt nie wiedział, skąd się wzięła. Jej jedwabiste rude włosy, błękitne przekorne oczy o uniesionych kącikach, biała cera i smukła sylwetka o długich nogach budziły pożądanie, a nieprzystępność w tym domu pełnym przystępnych dziewcząt tylko dodawała pieprzyka. Poppy jednak dała jasno do zrozumienia, że gdyby któryś z gości wystąpił z taką propozycją, nie będzie już mile widziany w zakładzie. Mimo to niejeden próbował szczęścia, zaintrygowany niezwykle kobietą, łączącą w sobie cechy szczonej madam i pięknej młodej damy.

– Nigdy cię nawet nie korci, by spróbować? – pytała ją ciekawie Netta. – A może postanowiłaś trwać do końca życia w wstrzemięźliwości?

– Może – odpowiadała wymijająco Poppy, lecz usta jej zaciskały się w twardą linię.

Netta miała na drugim piętrze pokój z olbrzymim łóżem z kolumnkami, udekorowany suto falbanami z niebieskiego atłasu. Pokój Poppy znajdował się na parterze, a jego umeblowanie składało się z prostego drewnianego łóżka z szarą aksamitną kapą, toaletki i wygodnego fotela. Ciężkie zasłony były uszyte z tego samego gołębioszarego aksamitu, z którego suknie nosiła na co dzień. W jakimś sklepie z używanymi rzeczami znalazła ładny stary kobierzec z Ishafanu w odcieniach różu i wyblakłego błękitu. Harmonizowały z nim różowe klosze lamp, obszyte wisiorami z paciorków. Nawet Luchay miał nowy drążek, wprowadzie drewniany, a nie ze złota, lecz wykonany przez solidnego rzemieślnika. Gdy Poppy pracowała, papuga siedziała na drążku, zasypywana przez dziewczęta pieścotami i

czułymi słówkami, nie spuszczała jednak z niej czujnych oczu. Za każdym razem, kiedy wychodziła z pokoju, ptak trzepotał patetycznie skrzydłami i wykrzykiwał jej imię:

– *Poppy cara, Poppy cherie, Poppy kochana!*

Pod koniec pierwszego roku Netta i Poppy zrobiły bilans dotychczasowych osiągnięć. Przedsięwzięcie, prowadzone przez Poppy żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce, przynosiło zyski. Mogły żyć dostatnio, lepiej niż Netta kiedykolwiek przypuszczała. Ani one, ani ich podopieczne nie musiały się już martwić, skąd wziąć na następny posiłek.

– No więc co jest nie tak? – spytała Netta widząc pochmurną twarz Poppy. – Czy wciąż chodzi ci po głowie ten drań, który cię wykorzystał? A może Greg?

Poppy utkwiała wzrok w swoim kieliszku z szampanem i nie powiedziała ani słowa.

– Najwyższy czas, żebyś przestała zawracać sobie głowę tymi mrzonkami – rzekła obcesowo Netta. – Teraz to jest twoje życie, Poppy, i twój świat. Postaraj się do tego przywyknąć i ciesz się tym, co masz.

Gdy jej perswazje nie wywołały żadnego skutku, podniosła się z westchnieniem irytacji i wróciła na swoje miejsce za barem.

Poppy wypila łyk szampana. Spychając mroczne wspomnienia w głąb pamięci, spróbowała rozważyć swoją przyszłość. Zdołała już coś osiągnąć, ale to jej nie zadowalało. Dochody pozwalały na dostatnie życie, lecz nie mogły przynieść wielkiego majątku, który postanowiła zdobyć jako rekompensatę za brak miłości w swoim samotnym życiu. Dotknęła naszyjnika z pereł – nosiła go teraz otwarcie, nie pod kołnierzykiem. Powzięła decyzję. Skoro jej przeznaczeniem jest kariera madam, zostanie najbogatszą damą tej profesji w całej Francji.

Rozdział 37

1903, FRANCJA

Riccardo Malvasi siedział w swoim luksusowym mercedesie kabriolecie, jednym z pierwszych, jakie widziano w Marsylii, i zaciągając się papierosem obserwował front budynku, w którym mieścił się zakład „U Poppy”. Dom odznaczał się powściągliwą elegancją. Z ulicy prowadziły do niego niewysokie żelazne schodki z wypolerowaną poręczą. Okna lśniły w słońcu, zasłonięte od środka ciężkimi kotarami. Na pozór dobrze utrzymana mieszczańska siedziba, lecz Riccardo wiedział, że jest to najlepiej prowadzony burdel na całym wybrzeżu, i przybył, aby dowiedzieć się dlaczego. Nie miał bynajmniej zamiaru skorzystać z jego usług na to był za wybredny – lecz zaintrygowało go powodzenie tego zakładu, którego sława dotarła już do Mediolanu, Neapolu i Rzymu; interesowała go zwłaszcza osoba jego niedostępnej właścicielki o twarzy nie tkniętej pudrem i manierach damy.

Wyrzucił niedopałek na chodnik, wysiadł i obrzucił wóz czułym spojrzeniem. Z niewiadomych przyczyn ten nabytek sprawił mu wielką radość, choć mógł sobie pozwolić na wiele luksusów. Wszedł na schodki i zadzwonił. Wielki odźwierny przyjrzał mu się czujnie, zanim wpuścił go do środka. Pokojówka w fartuszkach odebrała od niego płaszcz pytając grzecznie, czy jest bywalcem klubu. Na odmowną odpowiedź poprosiła, by zaczekał, a za chwilę zobaczy się z madame Poppy.

Riccardo rozbawiony zaczął spacerować po czerwonym dywanie, oglądając tuziny obrazów, które pokrywały ściany od podłogi do sufitu. Był kolekcjonerem malarstwa i niezłym znawcą. Zawyrokował, że choć są tanie i czasami trącą amatorstwem, nabywca wykazał się dobrym gustem. Z uchylonych drzwi po jego lewej stronie dobiegały perliste dźwięki granej na fortepianie sonaty Chopina i stłumiony szmer rozmów. Zajrzał ciekawie do wnętrza. Pokój zalewało różowe światło. Wszędzie stały wielkie bukiety kwiatów, a ich zapach mieszał się z dobrymi perfumami. Na obszernych, krytych aksamitem sofach siedziało kilka par, które gawędziły półgłosem i piły szampana. Ładne, dobrze ubrane dziewczęta opierały się o bar, paplając z uśmiechniętą jasnowłosą barmanką o żywej twarzy z perkатыm nosem. W drugim końcu pokoju jeszcze jedna dziewczyna trzymała za rękę wytwornego siwowłosego mężczyznę, który zasnął przed kominkiem. Pianistka,

która właśnie przerzuciła się na Paganiniego, rzuciła Malvasiemu miły uśmiech. Po salonie krążyła pokojówka, podając wędzone ostrygi i łososia, pasztet z gęsich wątróbek i trufle. Gdyby nie bar i uroda dziewcząt, można by to zgromadzenie wziąć za przyjęcie w wiejskim dworku.

– Signore Malvasi?

Riccardo obrócił się gwałtownie, zawstydzony jak mały chłopczyk przyłapany przez wychowawczynię na niedozwolonej zabawie.

– Przepraszam, byłem tylko ciekawy...

– Naturalnie – odparła Poppy zapraszając go ruchem ręki do biura – wszyscy są ciekawi zakładu „U Poppy”. Czy mogę zapytać, z czyjego polecenia pan przychodzi?

– Z polecenia monsieur Nobla... Jacquesa Nobla... – Czekał na reakcję, lecz w jej zdumiewających, błękitnych oczach nie pojawił się nawet błysk. Skinęła energicznie głową i wpisała jego nazwisko do księgi oprawionej w czarną skórę. Papuga sfrunęła nagle z drążka i przysiadła na biurku, łypiąc na niego oczami jak paciorki bursztynu.

– Zna pan nasze przepisy, signore Malvasi – rzekła spokojnie Poppy. – Obowiązane jesteśmy dbać o nasze dziewczęta, co w ostateczności obraca się tylko na korzyść klientów. Dziewczęta są równie bystre, jak urodziwe, i w salonie mają być traktowane z całym szacunkiem. Na górze... to już sprawa między wami. Ostrzegam tylko przed jednym: żadnej przemocy. Jestem przekonana, że wie pan już to wszystko od monsieur Nobla, lecz muszę pana uprzedzić o panujących tu zwyczajach. Nie wpuszczamy byle kogo do klubu, a ci, którzy się tu znajdują, wyrażają zgodę na udzielenie odpowiedzi na kilka pytań... Proszę o pańskie nazwisko, wiek, adres i rodzaj zajęcia.

Obserwował ją z rozbawieniem. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata i aż rwała oczy, tak była piękna w szarej aksamitnej sukni, lecz wykonywała swoją funkcję z tupetem prawdziwej amatorki i wielką wprawą.

– Czy nie prosi pani o zbyt wiele? – spytał z chłodnym uśmiechem. – Większość mężczyzn nie pragnie bynajmniej rozgłaszać, że są bywalcami burdeli, a już z

pewnością woleliby, żeby nic zapisywano ich nazwisk w rejestrze, który może wpaść w niepowołane ręce jakiegoś szantażysty.

Poppy z trzaskiem zamknęła księgę.

– Uważamy nasz zakład za klub, nie burdel – powiedziała zwięźle. – Wielu naszych klientów przychodzi od trzech lat, od dnia otwarcia. Wiedzą, że mogą nam ufać, a my wiemy, że oni zasługują na zaufanie. Zapisuję nazwiska wszystkich nowych gości zarówno dla ich własnego bezpieczeństwa, jak i dla dobra dziewcząt. Człowiek, który zjawia się tutaj znikąd, jak na przykład pan, z czyjąś rekomendacją, lecz mimo to obcy, może okazać się niebezpieczny. Poza tym, jeżeli dziewczynę spotka jakieś nieszczęście, ma wtedy zagwarantowaną pomoc. W mojej księdze jest kilka ważnych nazwisk, *signore Malvasi*, lecz przeznaczona jest tylko dla moich oczu.

Wyprostowała się na krześle splótłszy dłonie na blacie dużego, owalnego biurka i obrzuciła taksującym wzrokiem mężczyznę, który siedział naprzeciwko niej. Był szeroki w barach, lecz szczupły, i świetnie ubrany. Miał smagłą jak na Włocha przystałą twarz o regularnych rysach. Spod gęstych brwi patrzyły przenikliwe ciemne oczy. Chociaż nie przekroczył trzydziestki, bruzdy przecinały mu czoło, a ciemne włosy siwiały na skroniach.

– Z pewnością wie pan to wszystko, skoro przyszedł pan z polecenia *monsieur Nobla*.

– Tak, lecz muszę przyznać, że nie kierowała mną pusta ciekawość czy też głód kobiety. Przyszedłem tutaj, bo intryguje mnie pani osoba.

– Moja osoba? – powtórzyła Poppy ze zdumieniem i powiedziała szybko: – Nie ma we mnie nic intrygującego, *signore Malvasi*. Proszę zdecydować, czy wciąż chce pan tu zostać, czy też wolałby pan nie odpowiadać na moje pytania? Całkowicie zrozumiem, jeśli pan odmówi.

Riccardo wyjął papierosa i postukał nim w srebrną papierośnicę.

– *Permesso?* – spytał.

Poppy przecząco pokręciła głową.

– Może pan palić w salonie, lecz nie pozwalam na to u siebie. Nie lubię zapachu dymu.

Skłonił się z galanterią i schował z powrotem papierosa.

– A więc, madame Poppy, jest pani kobietą o określonych poglądach i silnych zasadach. Wydaje mi się, że jak na tak młody wiek świetnie pani wie, czego chce w życiu.

Zarumieniła się. Ten człowiek umiejętnie przeniknął przez barierę, którą stawiała między sobą a klientami. Odsunęła krzesło i oświadczyła z gniewem:

– Signore Malvasi, moje prywatne życie należy do mnie i takim pozostanie, choć nie pan pierwszy usiłuje się w nie wedrzeć. Muszę pana poprosić o opuszczenie mojego zakładu.

– Nie miałem zamiaru wdzierać się w pani prywatne życie – rzekł spokojnie. – Sprawa ma się całkiem odwrotnie. Chciałem pomówić z panią o interesach.

Poppy nacisnęła srebrny dzwonek, żeby przywołać odźwiernego.

– Nie ciekawią mnie pańskie wywody – odparła oziębło. – Michel odprowadzi pana do drzwi.

– Słyszałem, że jest pani wielce ambitna – ciągnął Riccardo lekceważąc olbrzymiego wykidajkę, który wyrósł obok niego jak spod ziemi – i chciałem pani przedstawić handlową propozycję. – Podniósł się z westchnieniem rezygnacji. – Oczywiście, jeżeli to pani nie ciekawi...

Poppy patrzyła, jak idzie do drzwi. Potrącił właściwą strunę: interesy były teraz jedyną rzeczą, jaka ją zajmowała, a jej „kariera” nie posunęła się naprzód w ciągu ostatnich trzech lat.

– Proszę zaczekać, signore Malvasi! – zawołała. – Chciałabym się zapoznać z pańską propozycją. Bynajmniej nie wierzę, że mnie to zainteresuje – dodała chłodno – ale wysłucham pana.

Riccardo zauważył, jak zręcznie odzyskała pozę pani sytuacji, i uśmiechnął się. Jej bystrość dorównywała urodzie, choć Bogiem a prawdą wymyślił na poczekaniu tę „handlową propozycję”, bo oczarowały go jej rude włosy, cera jak alabaster i

urokliwe błękitne oczy.

– Ten zakład prosperuje całkiem nieźle jak na małe przedsiębiorstwo – oznajmił.
– Dla pani współpracownicy, Netty Fosquet, jest zapewne szczytem ambicji, lecz dla kogoś takiego jak pani, kogoś, kto ma szersze horyzonty i wie, że poza tym... – objął gestem ręki pokój —jest jeszcze inne życie, czyż to może wystarczyć? – Zawiesił głos, lecz nie doczekał się odpowiedzi. – Sądzę, że jest pani bardzo bystrą młodą kobietą, panno Mallory – stwierdził i dodał przebiegle: – i nie interesuje mnie ani trochę pani przeszłość. Wolałbym pomyśleć o pani przyszłości.

Poppy oblała się rumieńcem rozmyślając nerwowo, co miała znaczyć ta aluzja do jej przeszłości. Przecież ten człowiek nie mógł nic o niej wiedzieć...

Riccardo pochylił się nad biurkiem i zajrzał jej z bliska w oczy.

– Myślę, że może pani zejść dalej – rzekł cicho – dużo dalej. Jest pani inna. Wystarczy spojrzeć na to, co pani tu stworzyła. Oboje wiemy, że mając nieograniczone środki mogłaby pani dokonać o wiele więcej.

– Mając nieograniczone środki – wyszeptwała jak zahipnotyzowana. – O czym pan mówi?

– Droga pani, składam pani propozycję otwarcia zakładu na jednej z najelegantszych ulic Paryża. Daję pani sławę i majątek. Ja sam pokryję wszystkie koszty.

Magiczne słowa „sława i majątek” jakby zawisły między nimi w powietrzu. Oczy Poppy rozbłysły.

– A czego pan chce w zamian? – spytała, nagle wracając na ziemię.

– Niczego oprócz zwrotu włożonego kapitału. Zawrzemy spółkę. Da mi pani znać o swojej decyzji jutro w porze obiadowej. Proszę być w restauracji „Ghiordes” o wpół do drugiej.

– Nie mogę... – wyszeptwała przerażona Poppy – ja nigdy...

– Nigdy nie pokazuje się pani publicznie? – dokończył za nią z uśmiechem Riccardo. – W takim razie chyba najwyższa pora, żeby pani zaczęła. Jakże inaczej chce się pani stać sławna?

– Proszę poczekać! – krzyknęła, gdy nacisnął klamkę. – Kim pan jest?

– Powiedzmy, że kimś, kto dobrze pani życzy.

Skłonił się i wyszedł.

Zjawiwszy się na progu najmodniejszej marsylskiej restauracji, Poppy poczuła treść. Była ubrana w jedwabną suknię o wąskiej spódnicy w jej ulubionym gołębioszarym kolorze i kupiony rano fantastyczny różowy kapelusik z małą woalką, która nadawała jej włosom kolor brzoskwini, a oczom wyraz tajemniczości.

– Signore Malvasi czeka na panią, madame – oznajmił *maitre d'hôtel*, prowadząc ją z nadskakującą uprzejmością między zatłoczonymi stolikami.

Riccardo siedział przy oknie. Obok stolika w srebrnym wiaderku chłodziła się butelka szampana. Poppy pomyślała, że signore Malvasi wygląda bardzo dystygowanie.

– Ależ uroczo pani wygląda, Poppy – powiedział na powitanie, ujmując jej rękę.

Zarumieniła się, skrępowana ciekawymi spojrzeniami skierowanymi w ich stronę, zastanawiając się nerwowo, czy pozostali goście wiedzą, kim jest.

– Pozwoliłem sobie zamówić szampana – ciągnął Riccardo – bo wiedziałem, że jeśli pani przyjdzie, oznacza to zgodę na moją propozycję. Nawet jeżeli się pomyliłem, uczczę szampanem zaszczyt, jakiego dostąpiłem jedząc z panią obiad.

Poppy się roześmiała.

– Ma pan rację – przyznała – choć tak długo rozważałam tę propozycję, że przez całą noc nie zmrużyłam oka. Jestem bardzo przywiązana do Netty. To moja najbliższa przyjaciółka... jedyna życzliwa mi dusza – dorzuciła smutno – oprócz Luchaya.

– Luchaya?

– To moja papuga, ale ten ptak dla mnie jest czymś więcej. Okazał się kiedyś moim wybawcą, promykiem światła, zesłanym mi przez Boga... – Znów się zaczerwieniła uświadomiwszy sobie, że wyjawiała zbyt dużo. Zamierzała przy tej rozmowie zachować chłód i rezerwę.

– Żałuję więc, że to Luchay był pani wybawcą, a nie ja – odparł Malvasi z galanterią – ale może w przyszłości będę miał więcej szczęścia.

Poppy roześmiała się głośno i uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że bardzo rzadko to ostatnio robiła.

– Jedyne szkopałem w tym, że trudno mi zostawić Nettę – rzekła nagle. – Na pewno wpadnie w tarapaty i wkrótce znowu wróci na ulicę. Jest jeszcze inny powód... – Zobaczyła, że pytająco uniósł brwi, lecz w milczeniu potrząsnęła głową, patrząc z zakłopotaniem w talerz. – Nie... nie mogę powiedzieć, o co chodzi – bąknęła.

– Doskonale, w takim razie Netta pojedzie z panią.

Poppy upiła łyk szampana i zdecydowała, że Riccardo Malvasi ma bardzo ładne oczy, ciemnobrązowe, prawie czarne. Było w nich coś... nieodpartego. Trafiła na właściwe słowo. Siwiejące włosy wyglądały interesująco w połączeniu z młodą twarzą. Zastanowiła się, co za przeżycia wyrwały zmarszczki strapienia na jego czole.

Kelner podał im kartę. Riccardo obserwował, jak Poppy studiuje z uwagą listę dań. „Jest taka młoda – pomyślał – i taka wrażliwa. To prawdziwa dama”. Nigdy jeszcze nie starał się podbić serca prawdziwej damy. Podniosła na niego oczy z uśmiechem.

– Umieram z głodu – powiedziała – a pan?

– Ile pani ma lat? – spytał nieoczekiwanie.

Zaczerwieniła się.

– Dwadzieścia trzy... prawdę mówiąc, kończę dzisiaj. Dziś są moje urodziny.

– Dwadzieścia trzy lata – powtórzył – i dzisiaj są pani urodziny. A więc to podwójna okazja. – Uniósł kieliszek. – Wszystkiego najlepszego!

Nagle przypomniała sobie wszystkie przyjęcia urodzinowe, jakie wyprawiał jej ojciec, oblewane suto szampanem. Zdawało się, że od tamtej pory minęły wieki. Tamto życie odeszło na zawsze. Z Riccardem Malvasim jadła obiad dorosła, potrafiąca zarabiać pieniądze kobieta, która znalazła się na progu pierwszego wielkiego przedsięwzięcia, mającego jej przynieść sławę i majątek.

Gdy rozmawiali o Paryżu, Riccardo pogratulował sobie refleksu. Nie było żadnej

szansy, by zbliżyć się do Poppy Mallory na gruncie osobistym; odprawiała mężczyzn niemal automatycznie. Jedyna droga wiodła przez interesy. Jak wiele jego najlepszych pomysłów, tak i ten powstał w chwili nagłego natchnienia, i nie miał wątpliwości, że zrealizuje go do końca.

Netta polerowała szklanki za kontuarem mierząc Poppy wielce podejrzliwym wzrokiem.

– Ale kto to jest? – spytała z naciskiem. – I skąd wiesz, że można mu zaufać?

– Czuję to przez skórę – odparła z prostotą Poppy.

– Ha! A dokąd zaprowadziły cię wcześniej takie przecucia?

– To było coś całkiem innego! – zaprotestowała. – Tym razem jest mowa o interesach, które nie mają nic wspólnego z miłością.

– Takaś pewna? – spytała Netta sceptycznie. – Czy przypadkiem pana Riccarda Malvasiego nie oczarowały twoje wielkie niebieskie oczy? Albo twoja reputacja jedynej cnotliwej kobiety w tym fachu?

– Nie bądź niemądra, Netto – powiedziała gniewnie Poppy. – Poza tym zarekomendował go Jacques Nobel.

– Nobel! – krzyknęła Netta. – Poppy, czy ty zdajesz sobie sprawę, w co się mieszasz? Nobel jest grubą rybą w syndykacie zbrodni, który kontroluje całe południe Francji!

– A mnie zawsze wydawał się taki miły! – Poppy była zaskoczona. – To jeden z najbardziej uprzejmych klientów. Niemożliwe, żeby brał udział w jakichś nieczystych sprawkach.

Netta westchnęła.

– Czasami sama nie wiem, czy ta twoja niewinność pomaga ci w życiu, czy też właśnie pakuje cię w kłopoty. Założę się, że ty nawet nie wiesz, co to właściwie jest syndykat zbrodni, co?

Poppy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie i nie chcę się dowiedzieć – powiedziała stanowczo. – Wolę trwać w

nieświadomości. Nie obchodzi mnie, co robi Riccardo Malvasi, wiem tylko, że mu ufam.

– No pewnie! – Netta spojrzała na nią ze złością. – Czyż nie zaproponował ci tego, o czym marzysz? Może nie mam głowy do interesów, ale jestem dosyć bystra, żeby wiedzieć, że zechce czegoś w zamian za swoją pomoc. Przecież będzie musiał wybulić majątek.

– Chce tylko zwrotu włożonego kapitału – powtórzyła Poppy. – On ceni sobie mój zmysł do interesów, Netto, a nie moje ciało!

– Nie wierzę w to ani trochę – mruknęła Netta. – Co tam, widzę, że już się namyśliłaś, ale smutno mi będzie, jak wyjedziesz.

Poppy spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Więc nie pojedziesz ze mną?

Netta wzruszyła ramionami.

– Lubię Marsylię. Mam tu przyjaciół, interes idzie jak z płatka. Wiem, że nie mam co za wysoko mierzyć, więc po co mam jechać? W Paryżu będzie ci potrzeba elegantszych dziwek ode mnie.

– Ależ, Netto – jęknęła Poppy – jesteś mi potrzebna, nie widzisz tego? Nie poradzę sobie sama, nie mam pojęcia o tych sprawach! Zawsze ty tego pilnowałaś!

– No to nie sądzisz, że najwyższa pora czegoś się dowiedzieć? – zirytowała się Netta. – Jedno złe doświadczenie nie powinno ci wykoślawiać całego życia! Och, wiem, że jesteś z innej gliny niż my wszystkie, ale ty nawet nigdy nie pozartujesz z mężczyzną, już nie mówiąc o tych innych rzeczach! – Westchnęła z głębi piersi. – Ale poczekaj, aż się w kimś zadurzysz, wtedy aż iskry pójdą!

– Nie obchodzą mnie uczucia, chcę tylko, żebyś pojechała ze mną do Paryża – mówiła błagalnie Poppy. – Jesteś moją jedyną przyjaciółką, Netto. Mam tylko ciebie i Luchaya. Proszę cię, jedź ze mną!

– Posłuchaj, mała – Netta położyła jej ręce na ramionach i zajrzała w oczy – znam siebie i wiem, że moje miejsce jest tutaj. Z tobą inna sprawa, zawsze przerastałaś mnie o głowę. Wierz mi, Poppy, tym razem lepiej na tym wyjdiesz, jak będziesz

sama. Wiesz wszystko, co powinnaś wiedzieć – tylko dzięki tobie odniosłyśmy taki sukces. Gdyby nie ty, ten burdel niczym by się nie różnił od innych. Więc życzę ci szczęścia na nowej drodze, kochanie. A pamiętaj, lepiej uważaj na Riccarda Malvasiego!

Bagaze już spakowano. Poppy była gotowa do odjazdu. Rozejrzała się ze smutkiem po swoim pokoju. Przez trzy lata prawie z niego nie wychodziła, a już wyglądał pusto, jakby nikt tu nigdy nie mieszkał. Luchay trzepotał nerwowo skrzydłami w swojej klatce, więc przykucnęła, żeby go uspokoić.

– Spodoba nam się w Paryżu – zapewniła, na co ptak odpowiedział niespokojnym skrzekiem. – Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Lecz ręka jej drżała, gdy podniosła klatkę, bo była równie przerażona jak on niepewną przyszłością i mglistymi perspektywami.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – spytała niespokojnie Netta. – Tutaj ja byłam właścicielką, a tam będzie inaczej. Tam ty będziesz firmowała zakład, Poppy. Już na zawsze dla ludzi pozostaniesz madam.

Poppy spojrzała niepewnie na przyjaciółkę, która ją przygarneła, opiekowała się nią i pomagała nie zadając pytań ani nie ferując wyroków. Na chwilę ogarnęło ją wahanie, lecz szybko je przezwyciężyła. Przypomniała jej się rozpaczliwa ucieczka z Włoch do Francji, włóczęga i beznadziejne szukanie pracy, i wstrząsające odkrycie, że dla ludzi wokół jest nikim. Ujrzała w myśli płonące oczy Riccarda Malvasiego, gdy pochylił się ku niej i powiedział: „Chciałem pomówić z panią o interesach”. Uniosła dumnie podbródek.

– Owszem, jestem madam, Netto – rzekła – i przekonałam się, że to lepsze zajęcie niż być nędzarką. Tym razem – dodała z olśniewającym uśmiechem – dorobię się wielkiego majątku i nigdy już nie będę nikim.

Gdy siedziała już w pociągu, postawiwszy przy sobie klatkę skulonego ze strachu Luchaya, zaczęła się zastanawiać, jak to osiągnie.

Rozdział 38

1903, FRANCJA

Widok Paryża sprawił Poppy ból, gdyż przywołał złe wspomnienia, i zarazem wywołał radość, że znów jest w najpiękniejszym z miast. Z oczami błyszczącymi podnieceniem wynajęła pokój w hoteliku na rue des Saints-Peres w niemodnej dzielnicy Saint-Germain i sprawdziła w Banku Paryskim, czy na jej konto przelane zostały pieniądze, które jej przyrzekł Riccardo Malvasi. Wysokość sumy, jaką miała do dyspozycji, przeraziła ją: było to więcej, niż wyniósłby dochód z jej klubu w przeciągu czterdziestu lat!

Podczas posiłku w jadalni rozejrzała się po twarzach gości tego hotelu. Był tu młody człowiek, wertujący z zapalem przewodnik, dwie młode panny, które nie podnosiły wzroku znad talerzy, starsza para małżeńska o prowincjonalnym wyglądzie i spora liczba starych panien, siedzących samotnie. Poppy uświadomiła sobie nagle, że z zaczesanymi gładko włosami, w szarej płóciennej spódnicy i białej bluzce wygląda prawie tak samo jak one, z tą jedynie różnicą, że jest młodsza i nie nosi pince-nez.

Wróciła do pokoju i obejrzała się w lustrze. Stwierdziła, że wygląda niemodnie i prowincjonalnie. Na pewno nie sprawiała wrażenia wielkiej damy. Jak ktoś o powierzchowności zahukanej nauczycielki mógł marzyć o prowadzeniu najlepszego zakładu w Paryżu? Była osobą znikąd, której nikt nie znał. Chcąc odnieść sukces, musi zdobyć powszechny szacunek i zaufanie. Jej klienci będą spodziewać się po niej wielkiego stylu.

Miała nadzieję, że przed wyjazdem spotka się z Riccardem Malvasim, by omówić szczegóły nowego przedsięwzięcia, lecz dostała od niego tylko napisany w pośpiechu liścik zawiadamiający, że przelał na konto w Banku Paryskim odpowiednie fundusze, które są do jej dyspozycji. Na koniec udzielił jej rady, aby pamiętała, że w Paryżu trzeba wszystko robić z rozmachem, bo byle co nie robi tam wrażenia.

Poppy całą noc nie zmrużyła oka obmyślając następne posunięcia, a rano, z

podkrążonymi z niewyspania oczami, zasięgnęła dyskretnie informacji i ruszyła na rue de la Paix do salonów mistrzów krawieckich, Douceta i Lucille. Nastrój jej się nieco polepszył, gdy zamówiła kilka sukni dziennych, kostiumów i przepysznych wieczorowych toalet, z których słynęła Lucille, wszystkie w ulubionym gołębioszarym kolorze.

Wstąpiła do sławnego fryzjera i kazała skrócić swoje długie włosy, tak że nad czołem miała puszystą grzywkę, a na ramiona opadała masa loków. Jedną z postępowych kosmetyczek pokazała jej, jak podkreślić rysy odrobiną pudru, muśnięciem różu, perłoworóżowym cieniem na powiece i pomadką do ust w brzoskwiniowym odcieniu. Sprawiała sobie rękawiczki z kozłej skóry, buty i torebki oraz nieprzyzwoicie luksusową bieliznę z szarego jedwabiu, obszytego koronką ecru. Następnie obstałowała w znanym salonie futer Revillona długą do ziemi pelerynę ze srebrnych lisów i etolę z popielic na dzień. Po czym skierowała kroki do drogiego hotelu „Ritz” i wynajęła tam apartament, poleciwszy przysłać swoje bagaże z rue des Saints-Peres.

Weszła do wielkiej, luksusowej wanny i zanurzyła się aż po brodę w pachnącej olejkami gorącej wodzie.

– Wreszcie czuję, że jestem w Paryżu! – zawołała głośno. – Teraz wszystko nabrało rozmachu!

Następnym ważnym posunięciem było kupno domu. Pośrednik w handlu nieruchomościami, którego poprosiła, aby pokazał jej rezydencje w najbardziej ekskluzywnych dzielnicach, spoglądał nieco sceptycznie, lecz gdy podetknęła mu pod nos przekaz bankowy, wystawiony *in blanco* ze wzmianką o nieograniczonych środkach w dołączonym do niego liście, stał się niezmiernie uprzejmy i serdeczny, jakby miał do czynienia ze starą znajomą. Po długim namyśle wybrała pewien *hotel particulier*, obszerny stary pałacyk w modnej Szesnastej Dzielnicy. Drżącą ręką złożyła podpis pod sumą, która stanowiła niezgorszy majątek. Z całego serca żałowała, że nie ma tu Riccarda Malvasiego ani Netty, by mogli pokierować jej krokami.

Po domu rozproszyła się armia poleconych przez pośrednika wykwalifikowanych rzemieślników, którzy urządzali pełne przepychu apartamenty na piętrze, a hol wykładali na nowo płytami marmuru. Poppy zamówiła z Wenecji olbrzymie kryształowe żyrandole, mimo że budziły w niej bolesne wspomnienia. Kupiła sprowadzone w całości ze starego angielskiego dworu kompletne wyposażenie biblioteki z rzeźbioną dębową boazerią i pełnym księgozbiorem. Nabyła również dywany z Aubusson oraz jedwabne chińskie i perskie kobierce, by posadzka nie ziębiła stóp, wanny z onyksu z wdzięcznymi kurkami w kształcie złotych łabędzi o oczach z malachitu i lapis lazuli. Na jej zamówienie specjalnie tkano w Lionie brokat na zasłony i pokrycie sof w całej gamie wyrafinowane zgaszonych odcieni koralu, różu, pastelowej zieleni i najdelikatniejszych tonów błękitu. Nie chciała mieć u siebie parweniuszowskich kompletów mebli – wybierała tylko w najlepszych salonach pojedyncze piękne antyki, które przypadły jej do gustu. Czuliła się w tej orgii zakupów jak zwariowana milionerka. Nie zapomniała jednak, że Riccardo Malvasi oczekuje zwrotu włożonych kosztów.

Nareszcie urządzono prywatne pokoje na parterze i mogła się wprowadzić. Wystrój był pełen prostoty i elegancji, jak jej nowa garderoba. Ściany sypialni obito zakładanym w pliski jasnoszarym jedwabiem, który pasował do zasłon nad dużym łóżkiem z czterema kolumnkami. Na podłodze leżały chodniki w tym samym kolorze, a w oknach wisiały firanki z marszczonej białej tafty. Ozdobiła sypialnię ulubionymi obrazami, wybranymi z dawnej, zbieranej trochę na oślep kolekcji w Marsylii, i paroma bibelotami. Pamiętając o koniecznym rozmachu, zamówiła u Johna Singera Sargenta swój portret i kazała go zawiesić w bibliotece.

Całe urządzenie swego mieszkania opłaciła z własnej kieszeni. Ani jeden grosz z pieniędzy Riccarda Malvasiego nie został wydany na cele nie związane z przedsiębiorstwem. Pamiętała jednak, że musi zaznaczyć jakoś swą ekscentryczność i przypomniawszy sobie obietnicę, jaką dała kiedyś Luchayowi, sprowadziła z Rzymu znakomitego jubilera, Bułgariego, i poprosiła, by zaprojektował dla papugi złoty drążek wysadzany drogimi kamieniami.

– Niezły skok zrobiliśmy z kija od szczotki i małego, zimnego pokoiku Netty w Marsylii – powiedziała czule do Luchaya.

Późnym wieczorem leżała otulona ciepłą kołdrą w nowym, wielkim łóżku, z papugą przycupniętą na ramieniu, i płakała przygnębiona niepewną przyszłością, a także z tęsknoty za Nettą. Wreszcie płacz ukołysał ją do snu.

Ukrywając zdenerwowanie pod maską nieskazitelnej elegancji Poppy zaczęła bywać w świecie, zawsze sama, ponieważ nie miała żadnych znajomych, którzy mogliby jej towarzyszyć. Budząc szmer zainteresowania zasiadała w loży „Folies-Bergere”, ubrana we wspaniałą wieczorową toaletę i kosztowną etolę, zwracając uwagę raczej na publiczność niż na scenę. Spośród motłochu wyławiała wzrokiem bogaczy i arystokratów, którzy przychodzili tu popatrzeć na tancerki. Spostrzegła, że obfity biust, ładna pupa czy długie nogi nie przesądzały o powodzeniu – choć na pewno w nim nie przeszkadzały. Liczyła się również osobowość i pewna oryginalność. Największy podziw budziła komiczna mała blondynka o buzi cherubinka, która z niewinną miną wyśpiewywała sprośne piosenki, i wyniosła artystka o mlecznej cerze, występująca w białym habicie nowicjuszki. W trakcie numeru gwałtownym gestem odrzucała habit, ukazując obcisły, głęboko wycięty czarny kostium, z którego omal nie wyskakiwały jej pełne piersi. Dreszcz na widowni wywoływała również rudowłosa tancerka o giętkim ciele, tryskająca werwą i radością życia, i śpiewaczka Chinka, ubrana w bogato haftowane wschodnie jedwabie, której głównym atutem był urok nieznanego i tajemniczość. Zagadkowość, efekt zaskoczenia, szczypta przewrotności, komizm, wdzięk – to były cechy, które najbardziej cenili mężczyźni.

Pewnego wieczora pojawiła się w „Maximie”, otulona w przepyszną, sięgającą ziemi pelerynę ze srebrnych lisów. Pod nią miała suknię z połyskliwego szarego szyfonu, która obciskała jej szyję i nadgarstki. Na tle chłodnej szarości włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste, a na białej szyi lśniło wspaniałym blaskiem

pięć rzędów pereł. Jej wejście wywołało sensację. *Maitre d'hotel* podskoczył gorliwie, uniżeni kelnerzy zwijali się jak w ukropie. Nie było na sali mężczyzny, który by się nie obejrzał, a kobiety obserwowały ją ukradkiem, wyczuwając nową rywalkę w' środowisku kurtyzan, gdzie panowała ostra konkurencja. Poppy jednak odmówiła przyjęcia wszystkich liścików i butelek szampana, przysłanych przez zaintrygowanych wielbicieli, kręcąc odmownie głową i uśmiechając się tajemniczo. Przybyła tu jako widz. W głębi duszy dręczył ją niepokój, bo chociaż wiedziała już, czego chce, w dalszym ciągu nie miała pojęcia, jak zabrać się do werbowania dziewcząt.

Simone Lalage od piętnastu lat była jedną z największych paryskich kurtyzan, luksusową utrzymanką, która, choć nie pierwszej młodości, wciąż zachowała urodę. Nie miała nieprzeciętnej umysłowości, lecz po przodkach, wieśniakach z Langwedocji, odziedziczyła zdrowy chłopski rozum i przebiegłość, a jej ciało wciąż mogło wytrzymać porównanie z którąkolwiek siedemnastoletnią gwiazdką rewiową. Po trudnym życiowym starcie zgromadziła wielki majątek w klejnotach i gotówce. Nigdy nie zapomniała o długu wdzięczności, jaki zaciągnęła wobec Jacquesa Nobla, człowieka, który zapoczątkował jej błyskotliwą karierę. Teraz miała spłacić ten dług.

Przed czterema miesiącami Jacques zadzwonił do niej z wiadomością, że Riccardo Malvasi prosi ją o pomoc dla Poppy, tak jednak, żeby ona sama nic nie zauważyła. Od tej pory Simone czuwała nad nią skrycie. Podsunęła jej niepostrzeżenie pośrednika w handlu nieruchomościami, a przez niego właściwy dom na odpowiedniej ulicy i godnych zaufania rzemieślników, którzy ukończyli remont dwa razy szybciej niż zazwyczaj. Ona również zadzwoniła do *maitre d'hôtel* w „Maximie”, który był jej starym przyjacielem, i poprosiła, by posadził Poppy przy dobrym stoliku na widocznym miejscu. Simone знаła w Paryżu wszystkich, którzy się liczyli, zawsze łowiła czujnym uchem najświeższe skandale i najnowsze trendy w modzie; rzec można, że często wiedziała o czymś z góry, zanim się zdarzyło. Cieszyła się opinią osoby najlepiej poinformowanej.

Jej lśniąca brązowa limuzyna de courmont zatrzymała się przed numerem 16 na rue des Arbres. Szofer otworzył przed nią drzwiczki, a potem wbiegł na schodki i nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyła młoda pokojówka w czarnej sukni i białym fartuszk z falbankami. Pochyliła z szacunkiem głowę, gdy szofer poinformował ją, że „madame Lalage przybyła na spotkanie z madame Mallory”.

Simone objęła krytycznym spojrzeniem piękne perskie dywany, antyczne meble, pastelowe, przyjemne dla oka barwy obić i zasłon, mnóstwo kwiatów. Jej bacznemu wzrokowi nie uszła stojąca na konsoli pusta srebrna taca, na której powinno być około tuzina białych biletów wizytowych. Ich nieobecność zdradzała, że nikt jeszcze Poppy nie odwiedził.

Poppy zeszła po przykrytych niebieskim dywanem schodach i Simone wreszcie mogła przyjrzeć się przyszłej triumfatorce. Dziewczyna była wzruszająco młoda i tak elegancka, jak tylko mogły ją uczynić najlepsze domy mody. Czysty, gołębi kolor jej sukni był dobrany po mistrzowsku. Bujne, niesforne rude włosy, zaczesane po bokach do góry, opadały w lokach na ramiona, a fryzura najwyraźniej wyszła spod ręki artysty. Niebieskie oczy miały przekornie uniesione kąćki, choć malował się w nich niepokój. Ich właścicielka nie nabrała jeszcze wprawy w maskowaniu swoich uczuć, lecz to przyjdzie z czasem. Jacques Nobel miał wysokie zdanie o jej umyśle. A sądząc po tym domu i wspaniałych perłach, pierwszego podboju już dokonała!

– Moja droga... – Simone sunęła majestatycznie w stronę Poppy, wyciągając do niej rękę obciążoną liliową rękawiczką, idealnie dobraną kolorem do sukni – niepodobna powierzać takiej młodej dziewczynie otwierania drzwi. Musisz natychmiast sprawić sobie kamerdynera.

– Kamerdynera? – powtórzyła zdumiona Poppy.

– Naturalnie. – Simone zaprezentowała swój sławny uśmiech, przy którym w jej okrągłych, delikatnych policzkach tworzyły się ujmujące dołeczki. – Dom tej wielkości wymaga odpowiedniej służby, w przeciwnym razie cóż ludzie sobie pomyślą? A to właśnie najbardziej liczy się w Paryżu. Łatwo jest nie nadażyć za

modą i zdobyć sobie opinię prowincjuszki. – I dodała ostro widząc, że Poppy wciąż patrzy na nią jak zaczarowana: – Cóż, czy musimy stać cały dzień tu na korytarzu? Może jednak zaprosisz mnie do salonu na herbatę?

– Na herbatę? Och, tak, oczywiście – rozpromieniła się Poppy. Po długich tygodniach samotności przyjmowała wdzięcznie czyjąkolwiek obecność. Wiedziała poza tym, kim jest Simone Lalage, i jej zjawienie się właśnie w tej chwili wydało jej się darem niebios. Oto osoba, która najwięcej może pomóc!

– Sprowadziła mnie tutaj ciekawość – mówiła Simone popijając jaśminową herbatę z pięknej filiżanki z Limoges, a jej przenikliwe ciemne oczy błędziły po urządzonym z przepychem pokoju, nie uroniwszy żadnego szczegółu. – Mieszkam tuż za rogiem, więc nie była to daleka droga. Jesteśmy sąsiadkami. – Wychyliła się z fotela i dłonią w liliowej rękawiczce poufale poklepała Poppy po kolanie. – Od razu zauważyłam cię w „Maximie”. Mówiono mi, że od miesiąca bywasz tam co wieczór, a poza tym widziano cię w „Folies”, teatrach i kabaretach. I to zawsze samą. Czyż to nie jest nieco zaskakujące przy twojej zamożności i urodzie? Zgaduję, że działamy na tym samym polu? – Wiedziała doskonale, czym zajmuje się Poppy, lecz nikt nie domyśliłby się tego z jej niewinnego uśmiechu.

– Niezupełnie, madame Lalage – odparła ostrożnie Poppy – a ściśle rzecz biorąc, trudno mi w tej chwili mówić o jakiegokolwiek działalności.

– Nazywaj mnie Simone, kochanie – rzekł serdecznie nieoczekiwany gość. – Nalej mi jeszcze troszkę tej znakomitej jaśminowej herbaty i wszystko opowiedz.

Poppy nalewając herbatę patrzyła na nią spod rzęs myśląc, czy odważy się zwrócić do niej o radę. Simone była wysoka, posągowa, miała oliwkową cerę, którą umiejętnie podkreślała różem, i gęste ciemne włosy zaczesane do tyłu w elegancki kok. Nosila piękną suknię i diamenty, które na oko były warte ładnych kilka milionów franków, w postaci naszyjnika, broszek w kształcie gwiazd, olbrzymich wiszących kolczyków w kształcie łezek i pół tuzina pierścionków na palcach. Simone zauważyła badawcze spojrzenie Poppy i oczy jej zaiskrzyły się humorem.

– W głębi ducha jestem wieśniaczką, moja droga, i zawsze noszę na sobie część

swojego bogactwa. Nigdy nie żywiłam zaufania do banków, a ty?

Poppy roześmiała się i nabrała nieco odwagi.

– Simone, mam pewien kłopot. Ten dom nie jest przeznaczony tylko dla mnie, ma być siedzibą mojego nowego przedsiębiorstwa.

– Doprawdy? – Simone okazała zainteresowanie, jakby słyszała o tym po raz pierwszy. – Opowiedz o tym nieco szerzej. Może będę mogła ci pomóc. W końcu wiele osób twierdzi – dodała z czarującym uśmiechem – że nie ma takiej rzeczy w Paryżu, o której bym nie wiedziała lub której nie potrafiłabym zdobyć!

Poppy po raz drugi musiała zaufać komuś zupełnie obcemu, lecz znów instynktownie poczuła, że robi słusznie. Opowiedziała Simone o zakładzie w Marsylii i – bez wymieniania nazwiska – o zamożnym mecenasie, który umożliwił jej otwarcie własnego przedsiębiorstwa, najwspanialszego w Paryżu, w jej własnym odrębnym stylu.

– To nie ma być zwykły przybytek tego typu – wyjaśniła stanowczo – raczej klub dla dżentelmenów, miejsce, gdzie można odpocząć, zjeść obiad lub wypić kieliszek z przyjaciółmi, nawet porozmawiać o interesach. A jeśli ktoś życzy sobie przy obiedzie towarzystwa ładnej, inteligentnej młodej kobiety, przez godzinę lub dwie – lub przez całą noc – będzie to miał. Szkopuł jedynie w tym, że nie wiem, jak znaleźć dziewczęta.

– To proste, moja droga! – oznajmiła rześkim głosem Simone. – Jak tylko dziewczęta się o tobie dowiedzą, same znajdą do ciebie drogę. A ja już się postaram, aby wiadomość dotarła do właściwych dziewcząt.

– To bardzo ważne – powiedziała z naciskiem Poppy. – Nie mogą to być przeciętne osoby, jakie można spotkać wszędzie. Muszą być nie tylko pociągające, lecz również inteligentne – choć oczywiście uroda jest istotna. Muszą nie tylko wiedzieć, jak zadowolić mężczyznę w łóżku, lecz również w salonie, jak uprzyjemnić mu czas i wprowadzić w dobry nastrój, by czuł się dobrze w ich towarzystwie. Muszą być bystre, powinny czytać książki i gazety, żeby mogły prowadzić rozmowę o sztuce i ostatnich wydarzeniach. – Patrząc z przejęciem na

Simone, ciągnęła: – Chcę, żeby moje dziewczęta umiały się obracać w towarzystwie polityków, ludzi interesu czy artystów i móc zamienić z nimi parę słów o ich własnych sprawach. Chcę, by mężczyźni czuli się tu jak u siebie, jak we własnym klubie.

– Rozumiem – powiedziała z namysłem Simone – to znaczy, że jesteś równie sprytna, jak ładna. O, jesteś ładna, i to jak! – dodała, gdy Poppy oblała się rumieńcem – szczególnie gdy coś cię porwie... Wtedy twoje oczy i włosy aż płoną. A gdzież jest mężczyzna twojego życia? Czy to ten tajemniczy bogaty protektor?

Poppy potrząsnęła głową, czerwieniąc się jeszcze bardziej.

– Ależ skąd! – bąknęła. – Jestem zbyt zajęta, żeby zawracać sobie głowę takimi rzeczami.

Simone odstawiła filiżankę i poprawiła kosztowny kapelusik z liliowej słomki.

– Wokół „takich rzeczy”, jak to nazwałaś, kręci się cały świat – rzekła ze śmiechem. W błysku tego szelmowskiego uśmiechu Poppy odgadła młodą dziewczynę, którą Simone kiedyś była. – Poza tym to właśnie utrzymuje moją młodość. Według mnie najlepszy przepis na zachowanie dobrej formy to pofiglować z mężczyzną raz lub dwa razy dziennie. To przydaje blasku oczom i rumieńców policzkom. No, a także przynosi sławę i majątek... Rozgłoszę wiadomość, moja droga, więc lepiej weź na służbę kamerdynera, zanim ta pokojóweczka opadnie z sił odpowiadając bez przerwy na dzwonki. Oczywiście, aby znaleźć odpowiednio dyskretnego człowieka, musisz się udać do Smitha. To angielski kantor najmu służby. Anglicy są zawsze tak tolerancyjni w tych sprawach, nieprawdaż?

A później, wsiadając do pięknego brązowego wozu oświadczyła jeszcze:

– Musisz do mnie przyjść na najbliższy proszony obiad. Wydaję je raz w miesiącu i muszę przyznać, że mają pewną renomę w towarzystwie. Zostać zaproszoną na obiad do Simone Lalage to prawdziwy sukces. Będzie to twój pierwszy sukces w Paryżu, lecz z pewnością nie ostatni – dodała powiewając ręką na pożegnanie.

Następnego dnia Poppy udała się do agencji Smitha i po odbyciu rozmów z kilkoma kandydatami wybrała dystyngowanego, białowłosego mężczyznę, który nie zmienił wyrazu twarzy przez cały czas spotkania. Nazywał się Watkins i był, jak na Anglika przystało, uosobieniem uprzejmości i dyskrecji. Prezentował się bardzo godnie w czarnym fraku i szarych spodniach w prążki. Miał świetne referencje od pewnej księżny, która wpadła w tarapaty finansowe i nie mogła go dłużej zatrudniać. Poppy wyjaśniła w oględnych słowach specyfikę swego domu, na co on skinął głową i odrzekł z powagą:

– Rozumiem, ma'am. Dom księżny również był nieco ekscentryczny.

W ciągu kilku następnych tygodni Watkins miał dużo roboty, gdyż dzwonek przy drzwiach nie milkł ani na chwilę. Przez dom przewijał się długi korowód dziewcząt; niektóre były piękne, a wszystkie pociągające i wystrojone w swe najlepsze sukienki. Wszystkie chciały zostać „dziewczętami Poppy”.

Poppy przyjmowała je w swoim gabinecie, siedząc za dużym biurkiem z blatem obciągniętym skórą, które wybrała ze względu na imponujący wygląd. Wypytywała kandydatki dokładnie i jeśli wydawały jej się zbyt młode i niedoświadczone, oświadczała prosto z mostu, że nie ma zamiaru pomagać im w zejściu na złą drogę i podtrzymywać złudzeń, że to łatwy chleb.

– Wierz mi, to nie jest lekka praca. Lepiej zrobisz wracając do swojego rodzinnego miasteczka czy wsi. Wyjdiesz za mąż za jakiegoś miłego gospodarza lub sklepikarza, będziesz miała dom pełen dzieci i będziesz tam szczęśliwa – lecz nie tutaj.

Wybierała nie najładniejsze, lecz te, które były rozgarnięte, lubiły seks i miały w sobie coś oryginalnego – zwracały uwagę osobowością czy dowcipem. Przyjętym oznajmiła, że będą uczyć na lekcje dobrych manier i nauczą się, jak się odpowiednio ubierać.

– Wygląd jest niezmiernie ważny – wygłosiła do nich pouczającą przemowę – tak samo głos i maniery. Bez względu na pochodzenie macie stać się wszystkie dobrze ułożonymi damami – przynajmniej w salonie. Co się będzie działo na górze, to inna

sprawa. Ale pamiętajcie, że zawsze macie prawo odmówić, jeśli ktoś wam się nie spodoba, a wówczas poprosimy go, by wyszedł. Wolę nie ustalać żadnych sztywnych reguł co do zabawiania gości, bo jak dobrze wiecie, różni panowie mają różne upodobania.

Dziewczęta spojrzały na nią wyczekująco, gdy poruszyła ten temat. Poppy prześliznęła się po drażliwej kwestii przypomniawszy sobie z trudem to, co słyszała od Netty i Simone. Starła się, by głos jej nie drżał z tremy. Wiedziała, że każda ze słuchaczek pod względem znajomości spraw intymnych bije ją na głowę.

– Jeśli klient chce mieć więcej niż jedną partnerkę i nie budzi to waszych oporów, to wszystko w porządku – powiedziała szybko. – Niektórzy mężczyźni lubią przebierać się za kobiety lub być szorstko traktowani, jak mali chłopcy, którzy coś przeskrobali. Inni wolą tylko patrzeć. Spotyka się takich, którzy pragną jedynie waszego czarującego towarzystwa – ciągnęła, przypomniawszy sobie opowiadania Netty – i czulego pocałunku na dobranoc. Wielu mężczyzn jest spragnionych miłości i ciepła. Nie mogą się spodziewać, że kupią sobie miłość, lecz z pewnością możemy im ofiarować trochę czułości. I nie zapominajcie podstawowej zasady – dorzuciła z naciskiem – jeżeli będziecie zachowywać się jak damy, będziecie traktowane jak damy.

Pamiętając o „rozmachu”, Poppy wysłała je do najlepszych krawców. Wymagała, żeby były dobrze ubrane i zadbane o każdej porze, nie tylko w pracy, ponieważ jako „dziewczęta Poppy” będą stanowiły żywą reklamę jej zakładu. Ćwiczyły wymowę z nauczycielem, starając się pozbyć prowincjonalnego akcentu i ostrego brzmienia głosu, aż zaczęły mówić dźwięcznie i melodyjnie jak aktorki. Poznawały zasady etykiety, rodzaje win i potraw. Słuchały wykładów o sztuce, oglądały sztuki teatralne. Poppy zasypywała je najnowszymi powieściami, biografiami sławnych ludzi i traktatami z filozofii; przeprowadzała sprawdziany, żeby poznać ich zainteresowania. Po upływie dwóch miesięcy, gdy błyskawiczny kurs dobiegł końca, wysłała je do najlepszych restauracji, aby sprawdzić ich umiejętność zachowania się w dobrym towarzystwie. Wszystkie przeszły egzamin śpiewająco, wróciły upojone

efektem i jedna przez drugą opowiadały o usłużności kierowników sal, płaszczących się kelnerach i dyskretnym zainteresowaniu gości.

Poppy stwierdziła z zadowoleniem, że mogą się teraz pokazać wszędzie bez obawy blamażu. Nie mogła rzecz jasna udzielić im lekcji w kwestii pracy „na górze”, jak to nazwała w myślach. Musiała zaufać Simone Lalage, która obiecała, że od tej strony wszystko będzie w porządku.

Dom był wreszcie przygotowany do otwarcia. W bibliotece zawisł namalowany przez Sargenta wielki portret, przedstawiający Poppy w spływającej kaskadami bladoszarej sukni z atłasu, z włosami rozpuszczonymi na ramiona i usianymi diamentowymi gwiazdkami. Luchay siedział w holu na swym wspaniałym złotym drążku, by olśniewać gości.

W dzień otwarcia Poppy zorganizowała przy pomocy Simone wielkie przyjęcie. Wysłała na białych, tłoczonych kartach, zakupionych w najlepszym sklepie, zaproszenia stwierdzające, iż 10 grudnia między dziewiątą trzydzieści a północą madame Poppy będzie przyjmować w swoim domu przy rue des Arbres pod numerem 16.

Zatrudniono dwóch szefów kuchni, z których jeden specjalizował się w tradycyjnej kuchni francuskiej, a drugi w egzotycznych potrawach z Chin i Indii. W wieczór przyjęcia Poppy obrzuciła badawczym wzrokiem kredensy uginające się od przysmaków na srebrnych półmiskach. Przypomniała sobie przyjęcie w domu na Rosyjskim Wzgórzu, kiedy jako kilkuletnie dziecko próbowała palcem musu czekoladowego i obgryzała indyczą nogę, podczas gdy jej ojciec grał w pokera, a na stole tańczyły dziewczyny z kabaretu. Teraz ona wydawała przyjęcie. „Wróciłam do punktu wyjścia – pomyślała ze smutkiem. – W końcu mieli rację ci, co twierdzili, że niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

W salonie dziewczęta czekały na jej inspekcję. Przeszła wzdłuż szeregu, tu zdejmując zbyt wyzywające kolczyki, ówdzie wyprostowując kokardę. Wreszcie cofnęła się i objęła je spojrzeniem pełnym aprobaty. W znakomicie dobranych do typu urody i charakteru sukniach wyglądały, mówiły i zachowywały się jak damy z

krwi i kości.

– Jestem z was dumna – oświadczyła z prostotą. – Wy też bądźcie z siebie dumne, a nie pożałujecie, że chcieliście u mnie pracować.

W aksamitnej, powłóczystej szarej sukni i swoich perłach, z pachnącą białą gardenią wpiętą we włosy, chodziła tam i z powrotem po holu, po pięknym dywanie z Aubusson, rzucając niespokojne spojrzenia na Luchaya, który podniecony wyczytniał łamańce na drążku, i Watkinsa czekającego nieporuszenie przy drzwiach. Zastanawiała się, czy Riccardo Malvasi przyjdzie na przyjęcie. Wysłała zaproszenie do jego willi w Neapolu, lecz nie otrzymała odpowiedzi. W istocie nie dostała od niego żadnej wiadomości przez całe cztery miesiące, które zajęło urządzenie domu, i gnębiło ją podejrzenie, że signore Malvasi przestał się interesować swoim nowym przedsięwzięciem. Nie wycofał jednak pieniędzy. Mogła wciąż nimi dowolnie dysponować, choć ma się rozumieć, każdy wydany grosz był zapisywany w skrupulatnie prowadzonych księgach rachunkowych, przy których zatrudniła księgowych poleconych jej przez bank.

Nie miała potrzeby martwić się o gości. Simone dała odpowiednio wcześniej wszystkim wokół do zrozumienia, że wybiera się na najwytworniejsze przyjęcie w Paryżu, więc całe towarzystwo płonęło z ciekawości. Goście stawili się licznie – arystokracja, bogacze, słynni aktorzy i gwiazdy kabaretu, kurtyzany i kilka dam, które ośmieliła ciekawość. Riccardo Malvasi nie przyszedł. Wszyscy zachwycali się Luchayem, dumnym strażnikiem domu, i jego drążkiem, zakończonym błyszczącymi od klejnotów kulami wielkości piłek tenisowych. Podziwiano wiszący w bibliotece portret Poppy, prawiąc jej wyszukane komplementy. Pito szampana i pałaszowano przysmaki. Jej śliczne dziewczęta mieszając się niepostrzeżenie z tłumem gości dowiodły, że nauka nie poszła na marne. Gdy przyjęcie dobiegało końca, Simone powiedziała, iż jest pewna, że każdy mężczyzna, który tu był, zapragnie wrócić.

– Dom na rue des Arbres zaistniał na mapie paryskich atrakcji – oznajmiła

radośnie. – Stałaś się sławna, Poppy.

Poppy jednak zamykając drzwi za ostatnim gościem przyłapała się na rozmyślaniach, dlaczego Riccardo Malvasi nie zjawił się, by być świadkiem jej triumfu.

Rozdział 39

1904, FRANCJA

Dyskretny i nad wyraz drogi klub pod numerem 16 przy rue des Arbres stał się znany wśród paryskich bywalców. Utrzymywano, że kuchnia jest tam niebiańska, a wspaniała biblioteka, w której można było znaleźć zarówno kolekcję rzadkich dzieł erotycznych, jak i książki o filozofii oraz najnowsze powieści, zadowalała najwybredniejsze gusty. Można tam było spokojnie przeczytać gazetę w zaciszu biblioteki, zjeść wyśmienity obiad, zależnie od życzenia, w samotności lub w towarzystwie prześlicznej dziewczyny, z którą można było rozprawiać o interesach i chwalić się swoimi sukcesami. Każdy mógł się tam poczuć jak w domu i być w pełni sobą. Pod warstewką tej solidnej klubowej atmosfery wyczuwało się głębię zmysłowości, w którą w każdej chwili można było się zanurzyć – rzecz jasna za słoną opłatą, bowiem składki członkowskie przechodziły wszelkie wyobrażenie.

Kapłanki tej świątyni zmysłów stanowiły bogatą kolekcję urozmaiconych typów. Han-Su, wschodnia kurtyzana o mieszanym japońsko-francuskim pochodzeniu, w egzotycznym wnętrzu, ozdobionym chińskimi tapetami i czerwoną laką, omotywała i łaskotała długimi czarnymi włosami jak lśniący jedwab i przesuwiała czerwonymi paznokciami po skórze, aż jej partner dygotał z pożądania. Dzięki tajnikom wschodniej sztuki miłości doprowadzała go wielokrotnie do stanu upojenia, a potem jak pokorna służka obmywała jego ciało i podawała jaśminową herbatę.

Belinda, Angielka, drobna blondynka o mlecznobiałej cerze, szeroko rozstawionych oczach, ujmująco niewinnych w wyrazie, i roztrzepanych lokach, czarowała na sielankowym niebiesko-białym tle nieco zdyszczanym głosikiem małej dziewczynki i uroczo kulawą francuszczyzną. Miała talię, którą można było objąć

dłońmi, i obfite piersi. Między nie wkładała męski organ i ścisnęła go, aż jej partner mdlał z ekstazy.

Do eleganckiej, długonogiej Solange o włosach koloru miodu pasowała żółta tapeta w paski w stylu regencji. Solange nigdy nie nosiła bielizny, ponieważ lubiła czuć swą nagość pod szykownymi szyfonowymi sukniemi. Pod chłodnym, powściągliwym zachowaniem kryła gorący temperament – była wyniosła i wybredna, lecz gdy mężczyzna przypadł jej do gustu, pogrążała się z zapamiętaniem w miłosnych zapasach.

Fatima, matowooka piękność z Tunezji, znająca prastare sekrety haremów, przyjmowała w mrocznym pokoju o lakierowanych na czarno ścianach, rozciągnięta na atlasowych prześcieradłach. Nigdy się nie uśmiechała, lecz umiała mężczyznę rozplomienić jednym sennym spojrzeniem, w którym taił się błysk lwicy. Najpierw masowała zawsze całe ciało partnera od stóp do głów pachnącymi olejkami, doprowadzając go stopniowo do coraz większego podniecenia.

Magda była Węgierką i utrzymywała, że pochodzi z rodziny królewskiej. Miała wysokie kości policzkowe, pełne usta, które zdradzały namiętność i okrucieństwo, i grzywę blond włosów. Nosiła długie białe rękawiczki, których nie zdejmowała nawet w łóżku, i w swoim dużym pokoju przystrojonym białymi koronkami i ciemnoniebieskim atlasem upokarzała czołgających się u jej stóp wielbicieli, zrzucając atlasowy pantofelek i podsuwając wąską stopę do ucałowania, odpychając arogancko, gdy przejechali chciwą ręką po szczupłej łydce, wąskim kolanie, gorącym udzie. Kazała im się korzyć i przepraszać, zanim pozwoliła na najmniejszą pieszczotę. Tylko nieliczni dostępowali pełnej łaski, a wielu wystarczyło do zaspokojenia samo dotknięcie jej stopy.

Villette, zdeklarowana ekshibicjonistka, miała u siebie małą scenę obstawioną lustrami, w których mogła się podziwiać przy tańcu. Miała ciało wieśniaczej Wenus i nie pragnęła niczego więcej, jak je pokazywać. Odsłaniała się stopniowo w zmysłowym tańcu, rzucając na patrzącego (lub patrzących – im więcej, tym lepiej!) jeszcze ciepłe od jej ciała tiulowe zasłony.

Chloe o bujnych kształtach rozaczała macierzyńskie ciepło, Belkis o wielkich oczach, szczupłym ciele, małych piersiach i wąskich pośladkach miała urok młodego chłopca, Martina i Floquette zaś, kochające się jak siostry, pracowały w parze i znały swoje ciała na wylot. Na koniec była Veronique, która umiała przeniknąć najtajniejsze sekrety mężczyzny i zaspokoić jego najdziwsze fantazje. Przy tej różnorodności każdy mógł coś wybrać według swego gustu.

Poppy, wytworną i niedostępną, wszyscy klienci darzyli skrytym uwielbieniem. Witaa ich zawsze ubrana w szarą suknię, z nieodmiennym uśmiechem w urokliwych błękitnych oczach. Poppy stała się przebojem Paryża. Powszechnie roztrząsano, kim jest i skąd pochodzi, lecz nikt nie znał odpowiedzi na te pytania. Poppy pozostała czarującą zagadką, zawsze przyjazna, zawsze uśmiechnięta – i zawsze samotna.

Był mroźny lutowy wieczór. Nieliczni przechodnie brnęli przez zaśnieżone chodniki chłostani wiatrem. Ogień płał wesoło na kominkach w całym domu, napełniając powietrze zapachem drzewa jabłoni. W wielkim salonie panował spokój, jedna z dziewcząt grała na fortepianie Mozarta. Z biblioteki dochodził stukot kul bilardowych, a z jadalni stłumiony szmer rozmów – kilku panów omawiało interesy przy obiedzie.

Poppy siedziała przy biurku, pogrążona w rachunkach. Przesuwała piórem wzdłuż długich kolumn cyfr, przedstawiających coraz wyższy zysk z kolejnych miesięcy. Kiwnęła głową z aprobatą i zerknęła na niewielki srebrny zegar, stojący na blacie. Było już wpół do dwunastej. Oparła się wygodnie i ziewnąwszy przeczesaa ze znużeniem palcami włosy. Przez ostatnie dwa miesiące – od dnia, gdy dom pod numerem 16 otworzył swoje podwoje – pracowała bez odpoczynku mimo zmęczenia i starannie ukrywanej niepewności. Pogrzebała ostatnią nadzieję, jaka mogła jeszcze tlić się w jej duszy, że pewnego dnia jej winy zostaną wybaczone i wróci na ranczo Santa Vittoria. Spaliła już za sobą wszystkie mosty i najlepsze, co mogło ją czekać, to kariera właścicielki najwytworniejszego domu publicznego w Paryżu. Dręczyły ją

wyrzuty sumienia, że postępuje niemoralnie ciągnąc zyski z prostytutki, choć rozgrzeszała się w duchu, że jej podopieczne, podobnie jak Netta, robiłyby to samo i bez jej patronatu. Zresztą była zbyt zmęczona, by roztrząsać kwestie etyczne. I tak jej życie nie obchodziło nikogo oprócz Luchaya.

Tak czy owak, dom pod numerem 16 odniósł pełny sukces. Wbrew obawom początkowe wydatki miały zwrócić się już niedługo. Oczywiście ogólny koszt przedsięwzięcia był olbrzymi, lecz wysokie ceny i wyśrubowane składki członkowskie – które w dodatku sprawiły, że klub stał się elitarny – przynosiły pokaźny zysk. Poppy przekonała się wkrótce, że im wyższe ustali się ceny, tym klienci chętniej płacą w przekonaniu, że rzeczy droższe są również lepsze.

– W naszym przypadku tak jest rzeczywiście – powiedziała do siebie i znów ziewnęła.

Była tak zamyślona, że nie usłyszała otwieranych drzwi.

– No i jak się miewa moja współpracownica? – usłyszała głęboki męski głos.

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała osłupiała na gościa.

– Patrzy pani na mnie jak na zjawę nie z tego świata – roześmiał się Riccardo Malvasi. – Gwarantuję, że jestem człowiekiem z krwi i kości. Proszę sprawdzić – podał jej rękę.

– Nie spodziewałam się pana... – wyjąkała Poppy nie wiedząc, co powiedzieć. Serce waliło jej jak młotem, była zarazem zdenerwowana i podniecona.

Riccardo stuknięciem w denko wytrząsnął papierosa ze srebrnej papierošnicy.

– *Permesso?* – spytał, a potem zmarszczył brwi. – Ach, proszę mi wybaczyć, zapomniałem, że nie pozwala pani na palenie w swoim pokoju.

Miał na sobie wieczorowe ubranie. Włosy na jego skroniach jakby bardziej posiwiały, lecz twarz wyglądała młodo mimo zmarszczek. Uwagę Poppy przykuły czarne włoski na grzbiecie jego dłoni, gdy odłożył papierošnicę i usiadł po drugiej stronie biurka.

– Podoba się panu dom? – spytała poprawiając nerwowo włosy. – Kosztował wprawdzie masę pieniędzy, ale poszłam za pańską radą, by działać z rozmachem.

– Nigdy nie należy żałować pieniędzy na dobrą inwestycję – odparł spokojnie Riccardo – a te księgi rachunkowe leżące przed panią z pewnością już po tak krótkim czasie wykazują niezły zysk.

– Bardzo mnie cieszy, że się pan zjawił. – Odetchnęła z ulgą. – Trudno uwierzyć, jak się dręczyłam pana nieobecnością. Myślałam już, że pan się gniewa o wydatki lub że przestał się tym interesować.

Riccardo przymknął na moment oczy, żeby nie mogła wyczytać z nich czułości, jaką nappełniło go to szczere wyznanie. W jego świecie każde wypowiedziane słowo miało ukryty, złowrogi podtekst, nikt niczego nie mówił wprost. Pragnął wziąć Poppy w ramiona i wyznać, że myślał o niej każdego dnia od miesiący. Od miesiący chodził w kółko w swojej willi w Neapolu i paląc papierosa za papierosem zastanawiał się, co Poppy robi w tej chwili, hamował się, by do niej nie pojechać. Tak często marzył, by ją objąć, że niemal czuł jej dotyk, roił sobie wybuchy namiętności...

Luchay sfrunął z głośnym łopotem ze złotego drażka i usadowił się na biurku pomiędzy nimi, łypiąc złowrogo na gościa.

– Zdaje się, że pani papuga mnie nie lubi – rzekł Riccardo z uśmiechem.

– Ależ skąd, Luchay ma bardzo przyjazne usposobienie. – Poppy podniosła ulubieńca i gładziła czule jego przepysznie kolorowe pióra. – Pewnie jest po prostu głodny. Nie zdawałam sobie sprawy, że zrobiło się tak późno.

– Czy to zbyt późna pora, by zaprosić panią na kolację?

Zagryzła z zakłopotaniem wargę.

– Prawdę mówiąc, z zasady nie jadam tu z nikim kolacji. Jeśli goście zobaczą mnie z panem, pomyślą, że zmieniłam reguły, zaczną mi się naprzykrzać i odmowa z pewnością wzbudzi ich złość.

Riccardo, który przed chwilą widział w bibliotece jej piękny portret, wystawiony na pożądlive spojrzenia wszystkich skrytych wielbicieli, zapłonął nagłą, nieopanowaną zazdrością na myśl o innych mężczyznach nadskakujących i ubiegających się o jej względy.

– Jak pani sobie życzy – powiedział chłodno, wzruszając ramionami.

– Mogłabym za to poprosić szefa kuchni o przygotowanie czegoś specjalnego i przysłanie do mojego apartamentu – zaproponowała czerwieniąc się po uszy – to znaczy, jeżeli nie uzna pan takiego zaproszenia za zbytnią zuchwałość.

– Moja droga Poppy! – roześmiał się, a serce zalała mu fala ciepła. – Nawet nie wiedziałaby pani, jak być zuchwałą, w tym tkwi część pani uroku.

Poppy nie była pewna, w jakiej mierze jego słowa można uznać za komplement, lecz sprawiły jej niewytłumaczalną przyjemność. Zaprowadziła go do swojego prywatnego przybytku. Jej pokoje znajdowały się na piętrze, oddalone od wrzawy w pozostałej części domu. Okna wychodziły na ogródek na tyłach domu. Poppy urządziła swój apartament ładnie i przytulnie, bez śladu przepychu, jaki panował w reszcie domu. Riccardo był zaskoczony prostotą wnętrza. Jedyne luksus stanowiły białe gardenie w doniczkach. Ich subtelny zapach przesycił powietrze. Na kominku płonął ogień, a przy sofie krytej niebieskim brokatem stał mały stolik ze stertą książek.

– Książki to moja ucieczka – powiedziała Poppy idąc za jego wzrokiem i po chwili wahania dodała: – Chciałabym, żeby pan wiedział, iż prywatne pokoje urządziłam za swoje własne pieniądze. Bez rozmachu i przepychu, bo i tak nie przebywa tu nikt z wyjątkiem mnie samej.

Mógłby ją ucałować za te ostatnie słowa, które zdjęły mu kamień z serca. A więc, dzięki Bogu, jest sama... Zerwał gardenię i włożył kwiat do butonierki.

Poppy wezwała kelnera i ze znanstwem zaordynowała obiad, trwając chwilę w skupieniu nad kartą win. Potem posadziła Luchaya na jego miejsce i dała mu ziarno w małej miseczce. Odwróciła się do Riccarda z poczuciem winy.

– Przepraszam, kiepska ze mnie gospodyni. Zapomniałam zapytać, czy pan się czegoś nie napije.

– Nie, ale chciałabym, żeby pani usiadła przy mnie. Proszę opowiedzieć mi coś o sobie. Dobrze się pani czuje w Paryżu? Zawarła pani jakieś znajomości?

Usiadła przy nim sztywno i zmarszczyła w namyśle brwi.

– Znajomości? – powtórzyła. – Poznałam tylko jedną osobę, Simone Lalage. Bardzo mi pomogła, nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła.

– Simone Lalage? Czy ona nie jest sławną kurtyzaną? Nigdy bym nie przypuszczał, że wybierze pani sobie taką przyjaciółkę.

– To nie ja wybrałam, stało się dokładnie odwrotnie – wyjaśniła i opowiedziała mu o niespodziewanej wizycie w chwili, gdy rozpaczliwie tęskniła za towarzystwem, i jak Simone pomogła jej w wyborze dziewcząt. – Jestem z nich naprawdę dumna, a one są zadowolone, że mogą pracować w takich warunkach. Większość z nich próbowała szczęścia na scenie, a gdy bywało krucho, żyła z różnymi mężczyznami albo nawet wychodziła na ulicę i klepała biedę. Dzięki Simone znalazły się tutaj i proszę! Mogą swobodnie dyskutować o wydarzeniach politycznych, orientują się w finansach, są na bieżąco w sprawach literatury, sztuki i mody. Widzi pan więc – zakończyła szukając aprobaty na jego twarzy – że nie są tylko... nie są zwykłymi... – Nie chciała wymówić słowa „ prostytutka”. Nerwowo dotknęła naszyjnika z pereł.

Riccardo spróbował wina – było to Chateau Leoville Lascasse – i skinął głową.

– Czy jest pani zdecydowana zbić majątek? – spytał podejmując inny temat. – Zastanawiam się, jaką sumę kobieta taka jak pani uważa za majątek.

Poppy przypomniała sobie pieniądze, które Jeb wygrał w karty w Monte Carlo i które szybko przepuścił, lecz nie miała pojęcia, ile to było.

– Milion dolarów – zaryzykowała.

– Jeden nędzny milion? Cóż za skromne ambicje! Spodziewałem się po pani czegoś więcej – kpił jedząc potrawkę z bażanta.

Pokraśniała z gniewu. Jakich astronomicznych sum się spodziewał? Dziesięciu, dwudziestu milionów? Nie miała co marzyć o zrobieniu takich pieniędzy, nawet gdyby dom pod numerem 16 miał szalone powodzenie.

– Droga pani, tajemnica polega na inwestowaniu – odpowiedział jej na nie zadane pytanie. – Jeżeli pani uważnie wysłucha moich rad, stanie się bogata. Zdobędzie pani nie jeden milion, ale tyle, ile zechce. Nie od razu, rzecz jasna, ale za dziesięć,

dwadzieścia, trzydzieści lat będzie pani bardzo bogata.

Poppy z podbródkiem opartym na ręce i oczami utkwionymi w jego twarzy chłoneła jego słowa. Wyśmienite dania i wino stały nietknięte, czas płynął odmierzany tykaniem zegara, a ona słuchała. Świeca płonęła równym płomieniem, knot trzeszczał od czasu do czasu. Weszła pokojówka, by podsycić ogień i zasłonić wysokie okno, za którym wciąż padał śnieg.

Riccardo skończył wykład i Poppy spojrzała na niego z pełnym szacunku podziwem.

– Gdy pan to mówi, wszystko wydaje się takie proste. Czy w ten sposób dorobił się pan majątku?

Zobaczyła, że uśmiech znika mu z twarzy, która stała się podobna do maski. Nagle wydał jej się innym człowiekiem.

– Robi się późno – rzekł chłodno. – Pora na mnie. Proszę pamiętać o moich radach, a pewnego dnia będzie pani właścicielką wprost bajecznej fortuny.

Odprowadziła swego gościa do drzwi spoglądając na niego spod rzęs i zastanawiając się, czy powiedziała coś złego.

– Kiedy znowu pana zobaczę? – spytała cicho.

Spojrzał na nią przeciągle.

– Mam nadzieję, że wkrótce – odparł i szybko wyszedł.

Przez chwilę czekała pragnąc, by się odwrócił i skinął jej ręką na pożegnanie, a gdy tego nie zrobił, zamknęła z westchnieniem drzwi. Żałowała swego głupiego, dziecinnego pytania na temat źródeł jego majątku. Woląла nie wiedzieć, czym on się dokładnie zajmuje, i mimo ostrzeżeń Netty wciąż była przekonana, że Riccardo Malvasi nie może mieć nic wspólnego ze światem zbrodni. Pomógł jej, gdy tego potrzebowała, a dzisiaj podał sposób na zdobycie fortuny i zabezpieczenie sobie przyszłości. Miał dobre serce, ujmującą osobowość i wbrew sobie czuła, że bardzo jej się podoba.

Rozdział 40

1904, WŁOCHY

Riccardo nie wiedział, jak długo uda mu się jeszcze przeciągać grę oczekiwania. Poppy Mallory zawładnęła jego życiem, przesłaniała myśli o interesach, wciąż stała mu przed oczami. Jego roztargnienie zaczęło budzić niepokój podwładnych, co prawda przedwczesny – wciąż trzymał podległe mu imperium żelazną ręką. Na stoliku obok jego łóżka leżała zwiędła gardenia, którą zabronił tykać służbie, a w prywatnym sejfie ukrył cienki plik papierów ze wszystkimi wiadomościami, jakie udało się zebrać na temat Poppy.

Riccardo Malvasi odziedziczył władzę po swoim ojcu, Enzo Malvasim, człowieku, który wybił się o własnych siłach. Dzięki wrodzonej bystrości i brakowi skrupułów, drogą wymuszeń, narzuconej „opieki” i szantażu z pomniejszego rzezimieszka w sycylijskim światku przestępczym wyrósł na mafijnego *capo* kontrolującego spory obszar południowej Italii.

Rozpoczął karierę w Palermo mając lat szesnaście. Gorliwie zabiegał o sympatię miejscowej *cosa nostra* i starał się wkupić w jej szeregi. Początkowo był człowiekiem od ściągania opłat za przymusową „opiekę”, potem dokonał kilku podpaleń jako aktu zemsty mafii, a także połamał kości kilku pechowcom, którzy „zapomnieli” zapłacić haracz. Posuwał się do coraz brutalniej szych czynów, aż wreszcie musiał przejść końcową próbę: zabić człowieka. Jego ofiarą był miejscowy fryzjer, którego podejrzewano o zdradzanie mafijnych tajemnic innej Rodzinie. Enzo wszedł do zakładu i kazał się ogolić. Usiadł na krześle i gdy fryzjer owinał mu szyję białym ręcznikiem, zastrzelił go. Poczul jedynie triumf, że wreszcie dowiódł, ile jest wart, i stanie się zaprzysiężonym członkiem *cosa nostra*. Postanowił również, że nie będzie więcej strzelał nikomu z bliska w brzuch, bo za dużo jest potem sprzątanania.

Szybko piał się w górę i w wieku dwudziestu pięciu lat mieszkał w Neapolu w ogromnym domu urządzonym z typowym dla nuworysza przesadnym zbytkiem, i nawet w bezwzględnym podziemnym światku miał opinię twardego człowieka. Wrócił na krótko na Sycylię, by poślubić ładną miejscową dziewczynę z poważanej

mafijnej rodziny. Jego teść został zamordowany dwa tygodnie później przez rywalizujący gang.

Gdy przekroczył trzydziestkę, był już głową własnej Rodziny, której podlegał duży obszar i wiele przedsiębiorstw, człowiekiem bogatym i budzącym strach.

Zgodnie z jego zamiarami, dziewięć miesięcy po ślubie urodził mu się syn, któremu nadano na chrzcie imię Riccardo po zabitym ojcu Carmeli Malvasi. W miarę jak chłopiec rósł, Enzo, który sam był niskim mężczyzną o przedwczesnej siwiźnie i zmarszczkach nadających jego twarzy wyraz strapienia, myślał z rozczarowaniem, że chciałby, aby jego syn i następca był dorodniejszy, wyższy, silniejszy. Chłopak jednak, choć małego wzrostu, zdradzał żywą inteligencję i wrażliwość. Był oczkiem w głowie matki.

Jednym z ojców chrzestnych syna Malvasiego został stary przyjaciel i krajan Enzo, który ryzykując życie przybył na Sycylię, by okazać szacunek staremu druhowi. Drugi ojciec chrzestny pochodził z północnych Włoch, matkami zaś były ciotki chłopca. Wczesne dzieciństwo upłynęło mu szczęśliwie na zabawach i swobodnej bieganiu w wielkiej willi pod Neapolem z dużym, słonecznym, otoczonym murem ogrodem. Riccardo nie widział, że mur ten był wyjątkowo wysoki, brama mocno obsadzona wartownikami, a posiadłość nieustannie patrolowana przez ludzi o zgoła nieprzyjemnym wyglądzie. Wszystkie dzieci, jakie odwiedzał lub jakie bywały u niego, żyły w tych samych warunkach.

Enzo postanowił wychować syna na dżentelmena; Riccardo miał zaledwie cztery lata, kiedy ojciec przydzielił mu prywatnych nauczycieli. Chłopczyk lubił naukę i miał chłonną, niezmordowaną inteligencję, tak że często zamęczał nauczycieli swoją dociekliwością. Gdy miał siedem lat, jego guwerner oznajmił signorze Malvasi, że Riccardo powinien iść do szkoły, gdzie będzie miał towarzystwo innych dzieci. Matka poruszyła ten temat przy mężu, lecz ten nie chciał nawet słuchać.

– Zbyt niebezpieczne – rzekł lakonicznie. – Zostanie tutaj, i basta.

Carmela wiedziała, że nerwowy niepokój Enzo wynika z faktu, iż nie dała mu więcej dzieci, ale nie chciała pozbawiać chłopca normalnego życia. Uważała, że

obawy Enzo są przesadzone, gdyż porywanie dzieci nie leżało w zwyczaju Rodzin, których członkowie, głęboko religijni, drżeliby ze strachu przed gniewem bożym i gniewem własnych matek, jaki wywołałby tak potworny czyn. Nie powiedziała jednak ani słowa.

Gdy powtórnie zaszła w ciążę, uznała to za znak niebios. Drugie dziecko okazało się chłopcem o buzi cherubinka, ciemnych lokach i brązowych oczach. Teraz, kiedy Enzo wreszcie miał swojego wymarzonego drugiego syna, Carmeli bez trudu udało się dostać pozwolenie na wysłanie Riccarda do pobliskiej szkoły publicznej – gdyby coś się stało, pozostawał mały Stefano, nazwany tak po ojcu Enzo.

Stefano był psuty przez ojca i rozpieszczany przez matkę, która przelała na niego wszystkie uczucia, bo starszy syn przebywał większość czasu w szkole. Riccardo również kochał małego braciszka, lecz z biegiem czasu jego sympatia zaczęła się kurczyć. Rozumiał, że pięcioletniemu dziecku należy ustępować, cóż, kiedy ulubioną zabawą malca było psucie lub gubienie rzeczy, do których Riccardo był przywiązany, takich jak model okrętu wojennego czy szwajcarski scyzoryk. Raz nawet upstrzył bazgrołami reprodukcje sławnych obrazów, które starszy brat rozwiesił u siebie w pokoju.

W wieku siedemnastu lat Riccardo wyjechał na uniwersytet, a potem do Ameryki na kursy zarządzania przedsiębiorstwem i jego kontakt z bratem urwał się na dłuższy czas. Gdy wrócił jako dwudziestodwuletni młodzieniec, Stefano był piętnastoletnim, rozkapryszonym wyrostkiem, ochranianym i psutym, który oprócz niewątpliwej urody wyróżniał się lenistwem i głupotą. Nauczyciele nie mieli z nim zbyt wiele roboty, gdyż unikał lekcji jak ognia. Wcześniej natomiast zaczął okazywać zainteresowanie seksem. Kiedy jedna z pokojówek zaszła z nim w ciążę, ojciec udzielił mu łagodnego napomnienia, któremu towarzyszyło porozumiewawcze mrugnięcie i aluzja do jurności, będącej cechą wszystkich Malvasich. Stefano, niebaczny na nic, nadal poczynął sobie jak zarodowy ogier.

Riccardo miał wrażenie, że od zawsze wiedział o rodzinnej „organizacji” i nigdy nie zapominał o ciąży na nim odpowiedzialności syna i przyszłego spadkobiercy

głowy Rodziny. Wyjechał do Ameryki zaopatrzone w listy polecające do tamtejszych ojców chrzestny! li i z wrodzoną ostrożnością ograniczał swój krąg znajomych do u li klanu. Zawarł niewiele przyjaźni w college'u, gdyż wiedział, że skazane są z góry na obumarcie, i trzymał się z daleka od pięknych protestantek, które przypominały mu jasnowłose królowy z ilustracji w dzieciennych książeczkach. Nic nie mogło zachwiać jego lojalności.

Kwatera główna Rodziny Malvasich mieściła się w wielkim magazynie i budynku biurowym w południowo-zachodniej części Neapolu, blisko doków. Po powrocie z Ameryki Riccardo odkrył ze zdziwieniem, że Stefano zaczął już pracę w organizacji. Miał własne biuro i krzesło przy dużym owalnym stole w pokoju, gdzie gromadziła się rada Rodziny. Uwagi Riccarda nie umknął fakt, że brat siedzi po prawej stronie ojca, podczas gdy jego posadzono na pośledniejszym miejscu, lecz przelknął to w milczeniu. Uważał za słuszne, że po tak długiej nieobecności ojciec chce, by dowiódł swoich umiejętności jako jego przyszły dziedzic.

Mniej więcej w miesiąc po powrocie do domu zauważył, iż Stefano ma w sobie rys okrucieństwa. Spacerował po ogrodzie z nosem w książce poświęconej życiu i twórczości Fra Angelico, gdy usłyszał przeraźliwe miauczenie. Pospieszył w tym kierunku i zobaczył brata, który trzymał w ręku małego kociaka i systematycznymi ruchami ścinał mu brzytwą futerko. Oszalały ze strachu kot skręcał się i miotał, usiłując rozpaczliwie wyrwać się swemu oprawcy, a przy każdym ruchu ostrze wrzynało mu się w ciało. Riccardo wyrwał bratu z ręki nieszczęsne, ociekające krwią stworzenie, mierząc go rozwścieczonym wzrokiem.

– Ty parszywy draniu, co robisz?

– Przecież to tylko kot! – odparł lekceważąco Stefano.

– Po co to bezmyślne okrucieństwo? Prawie go żywcem obdarłeś ze skóry. Trzeba go będzie uspić.

– Powinieneś mnie to zostawić, w parę minut byłoby po nim! – Stefano zaśmiał się odrażająco. – Masz za miękkie serduszko jak na przyszłego *capo*!

Riccardo zaczął czujniej obserwować poczynania brata i w niedługim czasie

dowiedział się, że Stefano cieszy się jak najgorszą sławą w tanich burdelikach Neapolu, z których rozmyślnie wybierał najpodlejsze, żeby móc zgrywać się tam na młodego lorda, imponować szerokim gestem, upijać się i chępić swoimi erotycznymi wyczynami. W rzeczywistości nie mógł się pochwalić męską teźyzną, lecz nadrabiał to sadystycznym okrucieństwem.

Swoje drugie oblicze krył jednak starannie. W domu jaśniał uśmiechami i uprzejmością, a matce, której był beniaminkiem, okazywał czułość bez granic. Był dla niej bez skazy.

Pewnego wieczora, gdy Riccardo miał dwadzieścia pięć lat, a Stefano osiemnaście, Enzo zamknął się z nimi w pokoju i oznajmił, że umiera. Kilku lekarzy niezależnie od siebie potwierdziło diagnozę: rak żołądka.

– To ma nie wyjść poza te ściany – powiedział przeszywając ich ciemnymi oczami, już pełnymi bólu. – Nie może wiedzieć ani matka, ani nasi wrogowie. Nadszedł czas pomyśleć o przyszłości naszej organizacji. O waszej przyszłości. Wiecie, co do was czuję. Niechże mi będzie wolno wyrazić na łożu śmierci ostatnie życzenie. Ożeńcie się, zaraz. Dajcie mi wnuka, bym mógł umrzeć szczęśliwy, pewny, że rodzina Malvasich będzie się mnożyć i prosperować. Dajcie matce wnuki, żeby mogła się pocieszyć po mojej śmierci.

Nie minął tydzień, a Stefano oświadczył się ojcu Emilii Bertagny o rękę jego córki i został przyjęty. Sama Emilia dowiedziała się nowiny dopiero, gdy rodzina oznajmiła jej, że wydają wielkie przyjęcie zaręczynowe – jej własne. Ślub miał się odbyć za miesiąc.

Emilia, ładna, hoża osiemnastolatka, sama może wybrałaby inaczej, choć narzeczony był przystojny. Przyjęła jednak dobrą partię i poszła do ołtarza zgodnie z wolą rodziców, jak na posłuszną córkę przystało.

Tak wspaniałej ceremonii ślubnej nie widziano w Neapolu od lat. Piękna panna młoda w powodzi białych koronek miała świętę dwunastu czarnowłosych druchen. Uśmiechała się ze szczęścia ściskając ramię męża, gdy kroili wielki tort, a Enzo Malvasi, promieniejący u szczytu stołu, dał im swoje błogosławieństwo.

O trzeciej nad ranem Riccarda obudził telefon od roztrzęsionej Emilii, która siedziała sama w hotelu w Rzymie, gdzie nowożeńcy mieli spędzić noc poślubną. Zacinając się wyznała, że Stefano wypił wieczorem dużo wina, a gdy położyli się do łóżka, bez powodzenia próbował dopełnić swoich obowiązków małżeńskich. W końcu wybuchając potokiem przekleństw całą winę zrzucił na nią, brutalnie ją spoliczkował, narzucił ubranie i zniknął. Wyczerpana Emilia zapadła w nerwowy sen, z którego obudziły ją odgłosy z przyległego pokoju. Podkraśla się do drzwi i spojrzała przez szparę. Stefano klęczał nagi przed młodym chłopcem i... tu urwała się relacja Emilii, lecz Riccardo usłyszał dosyć. Kazał jej zachować spokój i po upływie pięciu minut jechał już do Rzymu.

Rozumiał teraz, dlaczego jego leniwy, rozkapryszony brat nie odnosił sukcesów z kobietami. Był gotów skrócić mu kark, lecz Stefano godzinę przed jego przybyciem spakował się i wyjechał razem kochankiem.

Riccardo zaczął szukać brata i po dwóch dniach wytropił go w jakiejś ohydnej speluncie, w której było gęsto od dymu, smrodu potu i oparów opium, miejscu spotkań homoseksualistów. Stefano, goły jak go Pan Bóg stworzył, spał na oblezionym przez wszy materacu. Obok niego leżał wciśnięty w kąć młody, może dwunastoletni chłopiec. Riccardo dostrzegł fajkę do opium i poczuł słodkawy, mdlący zapach. Wcisnął biednemu dzieciakowi garść pieniędzy. Siłą poderwał brata na nogi, wyzywając od ostatnich. Narzucił na niego ubranie, wypchnął z podejrzanego przybytku i zabrał do łaźni publicznej. Kazał łaźiebnyemu rozebrać go, spalić ubranie, a delikwenta wsadzić do kadzi z gorącą wodą i silnym środkiem dezynfekcyjnym. Wyszedł, żeby kupić nowe ubranie. Gdy wrócił, Stefano, opatulony w biały ręcznik, pinił się ze złości.

– Jak ty mnie traktujesz? Swojego własnego brata! – krzyknął, gdy Riccardo rzucił w niego ubranie.

– Jesteś odrażający – odparł zimno Riccardo – gorszy niż zwierzę. Gdyby nie to, że ojcu niewiele brak do śmierci, zawiózłbym cię do niego i powiedział, kim naprawdę jesteś. Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Ponieważ jednak poślubiłeś tę

Bogu ducha winną dziewczynę, dopilnuję, żebyś dotrzymał małżeńskiej przysięgi albo zdechł jak pies.

– Mam gdzieś twoje groźby! – Stefano wykrzywił się drwiąco. – Będę robić, co mi się podoba!

Lecz widząc błysk w oczach brata zwątpił we własne zuchwałe słowa.

Riccardo doprowadził do pojednania, a Emilia przyjęła potulnie męża z powrotem, chociaż skrycie się go bała. Riccardo z ostentacją odwiedzał ich co parę dni w nowej ładnej rezydencji, stojącej przy tej samej ulicy co willa Malvasich, również otoczonej wysokimi murami i strzeżonej przez wszechobecnych strażników. Emilia twierdziła, że Stefano zachowuje się względnie przyzwoicie, chociaż często się upija i znika wieczorami. Była jednak przyzwyczajona do częstej nieobecności mężczyzn w rodzinie z powodu wyjazdów w interesach, więc nie przywiązywała do tego znaczenia. Riccardo miał inne zdanie na ten temat, ale nie mógł poświęcić bratu dość uwagi. Stan Enzo Malvasiego się pogarszał. Riccardo zajęty był chorym ojcem i rozmyślaniami o obowiązkach, jakie podejmie, gdy nadejdzie dla niego pora przejąć władzę nad organizacją.

Codziennie już przed siódmą rano zasiadał do pracy obmyślając sposoby zwiększenia wpływów z kasyn i ściągania większego haraczu, nowe inwestycje, otworzenie nowego kanału przerzutu narkotyków z Ameryki Południowej. Miał zamiar prac brudne pieniądze przy wykorzystaniu legalnych przedsiębiorstw i zreorganizować całe finansowe podstawy imperium Malvasich. Jego marzeniem było założenie własnego banku, nie małego, o zasięgu lokalnym, lecz wielkiego, mającego filie za granicą. Gdy projekty były już przygotowane, powiadomił o swoich planach prawnika Rodziny, Carmine Caetano. Carmine znał obu synów Malvasiego od urodzenia i miał o nich wyrobione zdanie. W sekrecie przekazał Riccardowi informację, że Stefano został wyznaczony przez ojca na capo Rodziny Malvasich. Prawnikiem kierowała nie tylko osobista sympatia, lecz troska o własny los, gdyż całe kierownictwo Rodziny zdawało sobie sprawę, że Stefano nie podoła obowiązkom i szybko zaprzepaści ich dorobek.

– Mówię ci, Riccardo, stary dosłownie zwariował na jego punkcie, chociaż dla wszystkich poza nim jest jasne, że Stefano to największy gnojek, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. Nie ma żdźbła rozsądku i jest niebezpiecznym wykolejeńcem. W ciągu roku doprowadzi nas do ruiny. Musisz przejąć władzę, synu, bo ty jeden utrzymasz honor Rodziny, a my będziemy ci zawsze lojalnie służyć.

W pewien mroźny zimowy wieczór Emilia oznajmiła, że jest w ciąży. Enzo stał przed kominkiem, opierając się ciężko na lasce, i próbował daremnie poczuć ciepło w swoim szarpanym bólem ciele. Patrzył z czułością, jak jego ukochany syn całuje matkę, uradowaną wiadomością, a gdy Stefano podszedł do niego, odrzucił laskę i wyciągnął do niego obie ręce, by go uścisnąć.

– Mój drogi synu, spełniłeś swój obowiązek. Uczyniłeś mnie bardzo szczęśliwym.

– Zawsze będę robić wszystko, byś był ze mnie dumny, ojczy – oświadczył z uległością Stefano. Jego oczy napotkały wzrok Riccarda i uśmiechnął się złośliwie do brata.

Kilka tygodni później Enzo umarł. Cała Rodzina Malvasich i ojcowie chrzestni innych wielkich Rodzin zjechali się na pogrzeb. Gdy Stefano rzucał garść ziemi do grobu, Riccardo dostrzegł w jego oczach triumf.

W drodze powrotnej żałobną procesję samochodów zaatakowali uzbrojeni napastnicy. Pierwsze wozy zostały podziurawione kulami jak rzeszoto. Stefano Malvasi, jego młoda żona oraz dwaj ojcowie chrzestni zginęli na miejscu. Riccardo obejrzał ciała, tuląc do siebie zrozpaczoną matkę. Żal mu było Emilii, lecz nie mógł postąpić inaczej, skoro nosiła dziecko jego brata. Nie chciał mieć w przyszłości rywala. Teraz został niekwestionowanym capo Rodziny Malvasich.

Oświadczył, że ofiary tajemniczego zamachu zostaną pomszczone w imię honoru Rodziny. Po kilku dniach w Neapolu znaleziono w zamkniętym garażu przy bocznej uliczce ciała sześciu mężczyzn, leżące w rzędzie pod ścianą, jakby rozstrzelał ich pluton egzekucyjny. To wystarczyło, by rozpowszechnić opinię, że Riccardo

Malvasi dokonał zemsty. Wyrobił sobie reputację człowieka, z którym lepiej nie zadzierać, i wyciągnął ze swoich doświadczeń stosowną naukę: w jego świecie, aby przeżyć, należało być silnym i bezwzględny. Żaden krewny, przyjaciel czy kobieta – nikt i nic nie mogło stanąć pomiędzy nim a jego przeznaczeniem. Nigdy nie sprzeniewierzył się tej decyzji.

Rozdział 41

1904, FRANCJA

Netta wbiegła na schodki domu pod numerem 16, przy czym jaskrawe pióra na jej kapeluszu podskoczyły żwawo, i wyciągnęła rękę do dzwonka. Nie zdążyła go nacisnąć – drzwi się otworzyły i jakiś dystyngowany osobnik o dziwnym akcencie zapytał, czego sobie życzy.

– Przyjechałam aż z Marsylii – odparła wyniośle – chcę zobaczyć się z Poppy.

– Ma'am jest teraz zajęta – odrzekł twardo kamerdyner.

– Słyszane rzeczy! – krzyknęła i wetknęła szybko czubek bucika w szparę, zanim zatrzasnął drzwi. – Poppy nigdy nie jest zbyt zajęta, żeby się ze mną zobaczyć. Chodź pan, a przekonasz się na własne oczy! – Przepchnęła się obok niego do holu i rozdziawiła usta na widok wspaniałości wnętrza. – No, no, tym razem naprawdę nieźle wylądowała – mruknęła – ale i wpadła na dobre w łapy tego signore Malvasiego.

– Ma'am! – zaprotestował kamerdyner. – Muszę panią niestety poprosić, aby pani wyszła.

– Wyszła? A niby dlaczego? – spytała zaskoczona Netta. – Przecież dopiero co weszłam, no nie?

Watkins patrzył nerwowo na krzykliwą damę, która sprawiała katastrofalne wrażenie. Całe szczęście, że akurat nie mieli wielu gości, ale był przekonany, że ma'am Poppy będzie niezmiernie wzburzona widząc taką... taką ulicznicę w swoich progach. Nie mógł przecież wyrzucić jej siłą.

– Czy zechce pani zaczekać w małym salonie? – spytał uprzejmie. – Sprawdzę,

czy ma'am będzie mogła panią przyjąć.

– Ecie-pecie! – wykrzyknęła Netta przedrzeźniając jego wyniosły ton i ruszyła posuwiście w głąb korytarza. – Skąd cię ta Poppy wytrzasnęła? Z trupy teatralnej? – I jej ochryply śmiech odbił się echem od wysokiego sufitu.

Poppy siedziała przy biurku przeglądając jadłospisy z całego tygodnia. Uniosła głowę i słuchała z niedowierzaniem. Luchay zatrzepotał skrzydłami i zaczął dreptać z podnieceniem na drążku, skrzeczając takim samym drwiącym głosem jak...

– Netta! – krzyknęła z radością, zrywając się na równe nogi i otwierając z rozmachem drzwi. – Netta, och, Netta! – szlochała, gdy przyjaciółka chwyciła ją w ramiona. – Tak za tobą tęskniłam!

– No pewnie – powiedziała grubym ze wzruszenia głosem Netta ocierając łzę – tak jak ja za tobą. Powiem ci szczerze, Poppy, że brakowało mi ciebie bardziej niż kapitana... niech spoczywa w spokoju.

– Czy wszystko w porządku, ma'am? – spytał Watkins z nieporuszoną twarzą.

– W porządku? Och, Watkins, to cudownie, że Netta jest tutaj! – wy szlochała Poppy.

– Urządziłaś się tu całkiem, całkiem – stwierdziła beztrąsko Netta, ujmując Poppy pod ramię, gdy przekraczały próg jej pokoju.

Poppy uśmiechnęła się szeroko.

– Co tu porabiasz? – spytała.

– Och, wzięła mnie chętka, żeby zrobić sobie małe wakacje – odparła lekkim tonem przyjaciółka – więc pomyślałam, że wybiorę się do Paryża na zakupy.

– Chętnie cię oprowadzę, znam tu najlepsze miejsca.

– A jakże, założę się, że znasz! – Netta z ukosa spojrzała na jej wytwornie skrojoną jedwabną suknię. – Ja musiałabym pracować na taką kieckę przez okrągły miesiąc!

– Tylko tyle? – przekomarzała się z nią Poppy. – Myślałam, że cały rok. Dobrze ci się musi powodzić!

– Och, powodzi mi się nieźle, ale inna sprawa, że bez ciebie to już nie to samo.

Brak mi nawet tej okropnej papugi. Dziewczęta są miłe, a klienci sami ustawiają się w kolejce, ale cknę mi się za tobą.

– Dlaczego więc nie przeniesiesz się tutaj i nie wejdiesz w spółkę ze mną? Znowu byłibyśmy razem. Zresztą, uczciwie rzecz biorąc, połowa moich zarobków i tak należy do ciebie, bo gdyby nie ty, nie miałabym niczego.

– Co ty opowiadasz! – oburzyła się lojalnie Netta. – Nie, Poppy, nie mogę wejść z tobą w spółkę. To nie byłoby w porządku. – Pomyślała o signore Malvasim i zadrżała. – Właściwie to przyjechałam, żeby sprawdzić, czy u ciebie wszystko gra. Wypisywałaś same peany w listach, ale czasami między wierszami dawało się odczytać coś innego.

Poppy wprowadziła ją do swojego saloniku i zamknęła drzwi.

– Wszystko u mnie w porządku, Netta – powiedziała nerwowo – tylko trochę się martwię, bo Riccardo Malvasi...

– Dałabym głowę, że tak się to skończy! – Netta opadła na sofę i rzuciła kapelusz w kąt. Zmarszczyła nos. – Co tu tak ładnie pachnie? – Jej wzrok zatrzymał się na porozstawianych wszędzie doniczkach z gardeniami, których, delikatne płatki odbijały bielą od lśniących ciemnozielonych liści. – Gardenie! Co za rozrzutność, Poppy. Musiałaś się zmienić od czasu, gdyśmy się ostatnio widziały.

– Riccardo przysyła mi je co tydzień – odparła z prostotą Poppy, a widząc, że Netta unosi w zdumieniu brwi, dodała pospiesznie: – Netto, czy można zakochać się w mężczyźnie, którego się właściwie nie zna?

Brwi Netty niemal znikły pod włosami, a szczęka opadła. Poppy ciągnęła gorączkowo:

– Nie mogę przestać o nim myśleć, ciągle o nim śnię, marzę, że jest tutaj i rozmawia ze mną, jak tamtego wieczoru...

– Jakiego znowu wieczoru? – spytała prędko Netta. – Chyba nie...?

– Co... och, nie, oczywiście, że nie. – Poppy oblała się pąsem. – Po prostu przyszedł kiedyś porozmawiać o interesach i zjedliśmy kolację we dwoje. Widziałam go wówczas jedyny raz po przyjeździe do Paryża. Dlatego wydaje mi się

to takie dziwne... to znaczy, że mogłam się zakochać w człowieku, którego widziałam tylko dwa razy.

– Wystarczy jeden raz kogoś zobaczyć, żeby stracić głowę, ale nie wtedy, gdy jest to Riccardo Malvasi! Poppy, nie wolno ci się zadurzyć w tym człowieku!

– Dlaczego? – zdziwiła się Poppy. – Jest miły, uprzejmy, ma szeroki gest, jak prawdziwy dżentelmen. Pomyśl o Felipe, jaki się okazał nieuczciwy i podły... choć to właśnie on był arystokratą.

– A Greg? – spytała podstępnie Netta. – Jak Riccardo wygląda w porównaniu z nim?

Poppy zamknęła oczy, a serce mocniej w niej zabiło. Nie dopuszczała do siebie myśli o Gregu. Uosabiał wszystko to, co na zawsze straciła. Nie istniał w jej nowym świecie.

– Riccardo jest... inny – odparła powściągliwie – ale on pierwszy coś we mnie poruszył. Moje uczucie do Felipe było bardziej zadurzeniem głupiej, romantycznej gąski, która marzy o pięknym księciu. Z Gregiem wiązało mnie długoletnie, głębokie przywiązanie, lecz tym razem to coś innego, Netto. Nigdy przedtem nie odczuwałam czegoś takiego. Czy to znaczy, że jestem zakochana?

– Mam nadzieję, że nie – westchnęła Netta – bo jeśli tak, to trzeba przyznać, że masz dar wybierania niewłaściwych mężczyzn. Chodź, usiądź tutaj przy mnie i opowiedz mi wszystko.

Przytuliły się do siebie na sofie. Całe popołudnie upłynęło im na zwierzeniach i wymianie ploteczek. Potem Poppy oprowadziła Nettę po całym domu, pokazując z dumą jego urodę, i przedstawiła ją dziewczętom jako swoją najdroższą przyjaciółkę.

Poppy zaprosiła Simone na podwieczorek chcąc przedstawić jej Nettę. Dwie kobiety otaksowały się szybko wzrokiem, a ich bacznyim oczom nie uszedł żaden szczegół stroju drugiej. Zapanowała chwila niebezpiecznej ciszy. Poppy ogarnął niepokój.

– Nie powinnaś nosić tak jaskrawej zieleni, moja droga – stwierdziła wreszcie Simone. – Blondynkom w tym nie do twarzy.

– Wiem – odparła Netta, stając w buńczucznej pozie, na rozstawionych nogach i z rękami na biodrach, w najlepszym, marsylskim ulicznym stylu.

– Ciemna czerwień byłaby bardziej odpowiednia – mówiła Simone z głębokim namysłem. – Poza tym powinnaś zaczesywać włosy bardziej do tyłu, masz ładne rysy, więc warto je odsłonić. – Uśmiechnęła się życzliwie do Poppy i usiadła. – Nic mi nie mówiłaś, że twoja przyjaciółka jest taka ładna. Jak tak dalej pójdzie, konkurencja w Paryżu zrobi się wprost niemożliwa.

– A niech mnie! – wykrzyknęła Netta i wybuchnęła śmiechem. – Daję słowo, myślałam, że będziesz nadętą paniusią, co zadziera nosa, ale teraz rozumiem, dlaczego Poppy tak cię lubi. Wiesz, jak się komuś! przypodobać. Nic dziwnego, że umiesz sobie owinać mężczyzn wokół palca, co poznać po twojej biżuterii.

Simone z zadowoleniem poklepała się po usianym diamentami gorsie.

– Ty i ja dobrze się rozumiemy – rzekła poufale. – Obie jesteśmy prostytutkami, którym się powiodło. Dla nas Paryż to tylko złoty szych. Poppy jest inna. Ona daleko zajdzie.

Poppy nie zrozumiała jej słów, lecz roześmiała się, rada, że jej jedyne dwie przyjaciółki tak dobrze się dogadały. Netta podczas podwieczorku siedziała zasluchana w nieustanny potok plotek towarzyskich, płynący z ust Simone, lecz po jej wyjściu wyznała, że z ulgą wróci do Marsylii.

– To nie dla mnie. Już ja wolę się ograniczyć do swojego małego domku i jednej diamentowej broszki. – Przez chwilę się namyślała, i potem dorzuciła: – No, może jeszcze przydałaby się para kolczyków.

Tydzień pobytu Netty w Paryżu minął jak z bicza trząśł. Poppy zabrała ją w jej krzykliwej zielonej kreacji do salonu Lucille i tam wybrała dla niej sześć sukien, za które zapłaciła ze swojego prywatnego rachunku. Odwiedziły modystkę, by sprawić Necie nowe kapelusze, i salon futer. Jadły obiad w „Maximie”, gdzie *maitre d'hôtel* witał Poppy jak stałą bywalczynię i wiele głów odwracało się, gdy przydawała na chwilę, by powitać znajome osoby.

– Wiesz ty co – szepnęła Netta, kiedy kelner podał bliny z kawiozem i szampana

– Jesteś tu prawdziwą gwiazdą. Poppy, niepotrzebny ci już Riccardo Malvasi, i tak wszyscy cię znają.

– O nie, jest akurat na odwrót – westchnęła Poppy, a z jej błękitnych oczu przebijała tęsknota. – Właśnie teraz naprawdę go potrzebuję.

Po wyjeździe Netty Poppy odkryła, że trudno jej się nagiąć do dawnej młyny i pracować od świtu do nocy. Niespokojnie kręciła się po domu, wszędzie wynajdując wyimaginowane usterki. Owoce podane na deser były nie dość świeże, sery za stare, a wino za ciepłe. Ofuknęła Vilette za zbyt mocny makijaż, a Solange za zbyt głęboko wyciętą suknię, po czym, kipiąc niewytłumaczonym zdenerwowaniem, wypuszczała się na długie samotne spacerunki. Kasztany znów kwitły ciężkimi kiściami kwiatów, które przypominały różowe świeczniki, a wiosenne niebo lśniło czystym, jakby świeżo wymyętym błękitem. Idąc ulicami Poppy zerknęła na swoje odbicie w szybach wystawowych i myślała, że przypomina inne paryżanki, które wybrały się po sprawunki, tyle że bez żadnego towarzysza u boku. Jej pozycja skazywała ją na wieczną samotność.

Zdesperowana wracała do domu i zamykała się w swoim pokoju. Luchay siadał na jej ramieniu i wydawał ciche, pocieszające okrzyki, a ona gładziła go machinalnie.

Któregoś dnia, gdy siedzieli tak we dwoje, ktoś zapukał i w drzwiach pojawił się Watkins.

– Ktoś chce się z panią widzieć, ma'am.

– Czy to signore Malvasi? – Zaparło jej dech, a na policzkach wykwitł rumieniec.

– Nie, ma'am, to jakaś dama. Niestety nie podała swojego nazwiska.

– Pewnie dziewczyna, która szuka pracy. Nie potrzebujemy teraz nikogo, ale oczywiście wprowadź ją, Watkins. Pomówię z nią w biurze.

Watkins zakaszlał dyskretnie.

– Wydaje mi się, że to nieodpowiednie miejsce dla tego typu osoby, ma'am. Jeśli mógłbym coś zaproponować, byłoby lepiej, gdyby przyjęła ją pani w saloniku.

Zatem nieznajoma musiała sprawiać dystyngowane wrażenie. Poppy poprawiła włosy i pobiegła do saloniku w nadziei, że nie jest to rozgniewana żona, tropiąca męża, który zbłądził na manowce. Przystanęła z ręką na klamce, zbierając się w sobie, po czym uniosła podbródek i weszła dumnie do środka, gotowa do walki.

– Dzień dobry pani – powitała nieznajomą – jestem Poppy Mallory.

Jasnowłosa kobieta, ubrana w skromną, acz wykwinną czerń, odwróciła się od okna i podeszła do niej.

– Bonjour, madame – odezwała się niskim, mile brzmiącym głosem.

Poppy spojrzała na nią ciekawie: była wysoka i bardzo piękna, powściągliwie elegancka, o wielkich zielonych oczach i ustach ułożonych w kapryśną linię. Można było założyć z góry, że ma bogatego męża, tytuł i drzewo genealogiczne sięgające parę stuleci wstecz, a do tego zamek na wsi, dom niedaleko Parc Monceau i dosyć pieniędzy na wszystkie zachcianki. Jakież mógł być powód jej wizyty?

– Nudzę się – odezwała się niespodziewanie kobieta. – Mój tryb życia doprowadza mnie do szaleństwa. Mam oddanego męża, dżentelmena w każdym calu, który nigdy nie przyszedłby do takiego zakładu. – Jej wielkie zielone oczy rozpaczliwie szukały zrozumienia na twarzy Poppy. – Ginę z tęsknoty za czymś podniecającym, co przerwałoby szarą monotonię moich dni. Długo to rozważałam, zanim tu przyszłam, lecz w końcu postanowiłam zaproponować pani moje usługi.

– Usługi? – wyjąkała zaskoczona Poppy.

Kobieta spojrzała na nią z powagą.

– Gdzież indziej mogłabym znaleźć to, czego szukam? Podniecie obcowania z nieznajomymi, dla których nie muszę być damą, odmianę po nudnych uściskach męża, który zaprzątnięty jest interesami lub sprawami wielkiej polityki? Chcę nowych wrażeń, swobody zachowywania się jak kobieta lekkich obyczajów, a ponieważ słyszałam, że pani zakład cieszy się najlepszą opinią, przyszłam tutaj.

– Czy mam przez to rozumieć, że chce pani tu pracować? Jak inne dziewczęta? – spytała Poppy, którą zdumiały te rewelacyjne wyznania. Do tej pory sądziła, że tylko mężczyźni wykazują przedsiębiorczość w szukaniu erotycznych wrażeń.

– Tak – przyświadczyła kobieta, siadając skromnie na brzeжку złożonego krzeselka, i odwzajemniła jej się poważnym spojrzeniem.

– Ale pani z pewnością pochodzi z dobrej rodziny, może nawet znakomitej! – zaprotestowała Poppy. – Nie boi się pani, że ją ktoś rozpozna? Paryskie wyższe sfery to mały światek. Wiadomość rozniosłaby się błyskawicznie.

– Przewidziałam to naturalnie. Będę nosić ciemną perukę i maskę, a poza tym nie będę pokazywać się w salonie. Moje usługi będą dostępne tylko dla nielicznych klientów z pani wyboru, za słoną opłatą. Ja za każdego wezmę symbolicznego jednego franka – uśmiechnęła się wyniośle – lecz przyrzekam, że rzetelnie zarobię na swoją cenę. – Utkwiła przenikliwy wzrok w Poppy. – Cóż, jaka jest pani odpowiedź, madame?

Poppy pomyślała o szeptanych na ucho pogłoskach, które migiem rozejdą się po całym Paryżu, i pożądanym rozgłosie, jaki przyniesie ten skandal.

– Przeznaczmy dla pani specjalny pokój – oświadczyła z uśmiechem – i urządzimy tak, aby pasował do pani podwójnej osobowości. Czy mogłaby mi pani podać swoje nazwisko?

Kobieta spojrzała na nią spod półprzymkniętych powiek, bez cienia uśmiechu.

– Proszę nazywać mnie Catherine.

Od tej pory pojawiała się po południu trzy razy w tygodniu w ciemnej peruce i woalce, zasłaniającej twarz, i przemykała na górę do przydzielonego jej pokoju. Tam zmieniała elegancki strój na czarną, obszytą koronkami bieliznę, czarne pończochy i buty na obcasach. Pierwszego dnia przyniosła ze sobą czarny pejcz o długiej rączce i gładząc go pieszczotliwie położyła na empirowym szeszlunku.

– To będzie moja specjalność – oznajmiła błogo. – Nareszcie mogę zrealizować swoje fantazje.

– U nas nie wolno stosować przemocy – powiedziała zaszokowana Poppy.

– To nie przemoc – roześmiała się Catherine. – To przyjemność. – Przeciągnęła z lubością pejcz między palcami. – Nauczył mnie tego mój angielski kochanek.

Twierdził, że oni mają takie skłonności przez swoje surowe wychowanie. W dzieciństwie dostają cięgi od sadystycznych piastunek, a w szkole razy trzecią od dyrektorów, pewnie delektujących się tym skrycie. Potem nie mogą się już bez tego obejść. Ten romans był najbardziej podniecającym doświadczeniem w moim życiu – zakończyła z westchnieniem.

– Podniecającym? – szepnęła Poppy z niezdrową ciekawością.

W na wpół przymkniętych oczach Catherine odbiło się wspomnienie ekstatycznych doznań.

– Tak że aż przejmuję cię drzenie, nie możesz się doczekać widoku czerwonych pręg na skórze i jęków, a potem, gdy cię wreszcie weźmie... ooch.! Oczywiście nie każdemu mężczyźnie to odpowiada – dodała rzeczowo.

Poppy oderwała z trudem myśli od erotycznych wizji Catherine i zanotowała w pamięci, żeby wysłać do niej wszystkich Anglików, którzy trafią do domu pod numerem 16.

Catherine dobrze strzegła swojego sekretu, lecz musiała szepnąć o nim słówko swoim najbliższemu przyjaciółkom. Kilka innych światowych dam postanowiło pójść w jej ślady i zaznać nowej wyrafinowanej rozrywki. Zamiast banalnych zakupów u Poireta lub nudnej herbatki w „Fauchonie” przekradały się osłonięte kołnierzem i woalką do domu pod numerem 16, po czym nagie, z twarzą zasłoniętą maski wyżywały się w tajemnej rozwiązłości, tym bardziej podniecającej, że była zarazem prostytutką. Wkrótce rozeszła się plotka, że w domu pod numerem 16 można zostać uwiedzionym przez własną żonę, lub, co pikantniejsze, przez żonę najlepszego przyjaciela. Dotarła aż do Neapolu i wzbudziła wielką wesołość Riccarda Malvasiego. Minął już prawie rok od chwili, gdy poznał Poppy. Była wtedy zastraszone zwierzątkiem, broniącym się przed odwiecznym wrogiem – mężczyzną! Dzięki jego pieniądзом i radom, po których ofiarowaniu roztropnie usunął się na bok, przeistoczyła się w kobietę bogatą, znaną w pewnych sferach i umiejącą się obracać w wielkim świecie. Była gotowa, by po nią sięgnąć.

Rozdział 42

1904, FRANCJA

Luchay wietrzył pióra, rozkoszując się sierpniowym słońcem. Prostował po kolei skrzydła, podnosił ogon i stroszył upierzenie na piersi. Jednym bursztynowym okiem spozierał na Poppy, która zapięła perły na szyi i oglądała się w lustrze.

Przytłaczający upał wygnał mieszkańców Paryża do willi na wybrzeżu i wiejskich domów, zmieniając miasto w pustynię. Poppy dała dziewczętom miesiąc wolnego i zamierzała pojechać do Marsylii, lecz Netta, która zadurzyła się ostatnio w kupcu bławatnym z Tuluzy, umknęła z nim na wspólne wakacje. Poppy została więc sama w pustym mieście. Dziś postanowiła zrealizować pewien projekt.

Włożyła błękitną sukienkę i przejrzała się w lustrze. Pierwszy raz od wielu lat zrezygnowała z nieodłącznej szarości, jakby poczuła, że czas zrzucić tę półżalobę. W chwili szaleństwa, pod wpływem beztroskiego blasku słońca i niebieskiego nieba, sprawiła sobie pospiesznie tuzin sukien w całej gamie jasnych, letnich kolorów. Po tak długim okresie noszenia wykwintnych atlasów i aksamitów z radością poczuła na skórze dotyk bawełny.

– Luchay, czuję się dziś jak młoda smarkula, a nie dwudziestoczteroletnia matrona! – roześmiała się, składając całusa na gładkim łebku papugi.

Jej samochód, długa, lśniąca, ciemnozielona limuzyna tej samej marki co wóz Simone Lalage, stała przed drzwiami. Poppy sama go prowadziła, nie chciała bowiem zatrudnić szofera. To wzbudziło w Paryżu kolejną sensację.

Ruszyła ostro i jechała labiryntem ulic kierując się na przedmieście. Pół godziny później szła wąską drogą, po której obu stronach rozciągała się wieś, złożona z rzadko rozrzuconych nędznych zabudowań. Kroczący obok Poppy agent aż się rozplywał w zachwycie nad urokami okolicy.

– Niech pan nie będzie śmieszny! – osadziła go surowo. – Ani wieś, ani ziemia nie mają w sobie nic pięknego, a cena, jakiej pan żąda, jest o wiele za wysoka. Nie znajdzie pan następnego głupca, który by się pokusił o kupienie tych ugorów, więc niech pan lepiej przystanie na moją propozycję. Jeżeli nie – tu wzruszyła beztrosko

ramionami – poszukam gdzie indziej.

– Chce pani kupić za tę cenę piętnaście hektarów? – spytał zrezygnowany agent.

– Piętnaście hektarów, i ani ara mniej – oświadczyła twardo.

– To rozbój na prostej drodze! – oburzył się, lecz bez przekonania.

Wciąż narzekał, gdy prowadził ją do swojego biura. Poppy podpisała zamaszycie akt własności i wręczyła agentowi czek na sumę, jaką sobie z góry oznaczyła. Potem wróciła spojrzeć na jałową spaloną słońcem ziemię, którą właśnie kupiła. Na horyzoncie widniał niewyraźny, zamglony zarys Paryża. „Dowiedz się, w którym kierunku miasto ma się rozbudować – poradził jej niegdyś Riccardo. – Sprawdzaj wydane pozwolenia na budowę, połączenia kolejowe, plany zakładów przemysłowych, a potem kup za grosze kawał ziemi w tym rejonie. Nie spodziewaj się szybkiego zysku, ale gdy miasto dojdzie do twojego kawałka ziemi, stanie się on wart majątek”.

Poppy westchnęła z zadowolenia, obrzucając długim spojrzeniem niegościnnie ugory. Były podwaliną jej fortuny w przyszłości, kiedy nic będzie już musiała odgrywać roli madam.

O zmroku wróciła na rue des Arbres i z fantazją zaparkowała pod drzwiami. Okna w jej pokojach były otwarte na oścież, lecz ciężkiego, dusznego powietrza nie poruszał żaden podmuch. Zamówiła lekką kolację i butelkę szampana dla uczczenia dzisiejszej transakcji.

– Niestety, mogę ją uczcić tylko z tobą – rzekła ze smutkiem do Luchaya, otwierając szklane drzwi prowadzące do małego ogródka, pełnego róż i kamelii rosnących w wielkich donicach. Z osadzone w ścianie kamiennej głowy Bachusa spływała z jednostajnym pluskiem woda. Poppy zamknawszy oczy, mogła sobie niemal wyobrazić, że znów biega wraz z Angel i Gregiem wokół fontanny w posiadłość Konstantów i słyszy srebrny dzwonek, którym Rozalia wzywa ich m kolację...

Stała z opuszczonymi powiekami, oparta o drzwi, zagubiona we wspomnieniach. Zadrżała i poczuła dobrze znany ciężar samotności. Nagle usłyszała, że ktoś staje

obok niej.

– W taką noc nie należy pić samotnie – rzekł Riccardo z naganą w głosie.

Poppy krzyknęła cicho i otworzyła oczy. Na jego widok ogarnęła ją taka radość, że omal się nie rozplakała.

– Byłam bardzo samotna – szepnęła – a ty przyszedłeś...

Wziął jej dłoń w obie ręce i podniósł do ust.

– Czyżbyś przygotowała tego szampana na mój przyjazd? – opylał ze zwykłym ironicznym uśmiechem.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, chciałam nim uczcić dzisiejszy zakup. Mam już pierwszy kawałek ziemi. Usłuchałam twojej rady. To pierwszy mój krok do majątku.

– W takim razie wypijmy za twój sukces – zdecydował napelniane kieliszki.

Uśmiechnęła się patrząc mu w oczy i poczuła zawrót głowy i brak tchu, jakby trunki już zaczął działać. Spróbowali szampana nie odrywając od siebie wzroku. Za nimi Luchay zatrzepotał na drążku i jął skrzeczeć niespokojnie.

– Nie bój się, Luchay, nie zapomnimy o tobie – roześmiała się Poppy, zadowolona, że swymi hałasami przywrócił ją do rzeczywistości, lecz papuga wciąż dziobała gniewnie złoty drążek i łypała na Riccarda paciorkowatymi ślepkami.

– Znam pewną oberżę w lesie niedaleko Rambouillet, gdzie dają jeść najlepiej w świecie. Co powiesz na to, żeby porzucić wymęczone upałem miasto, odetchnąć świeżym wiejskim powietrzem i zjeść wspólną kolację?

Poppy spojrzała na swoją bawełnianą sukienkę.

– Późno już, a ja nie jestem odpowiednio ubrana...

– To zwykła wiejska gospoda. Nie musisz się przebierać, zresztą wyglądasz przepięknie. Zgódź się, proszę.

Poppy wsunęła dłoń w jego dłoń i wyszli razem, a opuszczony Luchay wciąż wywijał łamańce na drążku i skrzeczał:

– *Poppy cara, Poppy cherie, Poppy kochana!*

Mała gospoda, o suficie ze starych dębowych belek, bielonych ścianach i długich niskich oknach, przez które wpadał zapach siana i róż, miała wiejski, pełen prostoty urok. Córka oberżysty podała im doskonałego różowego pstrąga, złowionego w pobliskim strumieniu, i sałatę z ogrodu, przyprawioną świeżymi ziołami. Sam właściciel przyszedł nalać im chłodnego pachnącego owocami wina o słomkowej barwie.

Poppy spojrzała na Riccarda przez płomień świecy.

– Jestem wprost pijana tym świeżym powietrzem. Już zapomniałam, jak ono pachnie... Można niemal poczuć jego smak!

– Za ciężko pracujesz – powiedział marszcząc brwi. – Nie widzisz świata poza domem pod numerem 16.

– To wszystko co mam. Czym innym miałabym się zajmować?

Nie odpowiedział i wezwał kelnera, by przyniósł następną butelkę wina. Później, gdy przechadzali się po ogrodzie, zapytał:

– Dlaczego nie kupisz sobie domu na wsi, który dawałby ci wytchnienie? Zobacz sama, ile prostych radości można znaleźć w takim miejscu. Trzeba ci jakiejś odmiany, żebyś zachowała zdrowe zmysły.

Poppy odwróciła się, by spojrzeć na niski biały budynek, otoczony zielenią ogrodu. Słychać było kwilenie ptaków, powietrze przepajał zapach ziół i rozkwitłych kwiatowych pąków. Nagle zatęskniła do tego całym sercem. Lecz marzenie zaraz ustąpiło miejsca trzeźwej refleksji.

– Nie miałabym z kim tam zamieszkać – powiedziała szczerze.

Riccardo położył dłonie na jej ramionach i odwrócił ją ku sobie.

– Zamieszkajmy w nim razem, Poppy – rzekł cicho. – Kupię dom dla nas obojga, żebyśmy mieli gdzie uciec, ty i ja. Przed tobą nigdy nie powiedziałem tego żadnej kobiecie. Kocham cię, Poppy. Od dawna pragnąłem ci to wyznać, ale musiałem poczekać, aż zabliźnią się stare rany. O tak – dodał poważnie – wiem o tobie wszystko, kim jesteś i skąd pochodzisz. Wszystko.

Poppy zakryła dłonią usta i spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami,

zmartwiła z upokorzenia.

– Więc jak możesz mnie kochać?! – wykrzyknęła. – W moim życiu tyle jest okropnych rzeczy, o których lepiej głośno nie mówić.

– Pod tym względem niczym się nie różnimy, moje życie również kryje wiele sekretów. Dla mnie liczy się tylko to, że cię Kocham. Och, Poppy, powiedz, że mnie kochasz, a będę najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Poppy wciąż się wahała.

– Już raz popełniłam błąd... Skąd mam wiedzieć, co do ciebie czuję?

Riccardo objął ją i pocałował. Wargi Poppy były miękkie i uległe pod jego ustami, a ciało, gdy ją przytulił, wydawało się lekkie jak piórko. Oderwali się od siebie po długiej chwili, choć Riccardo chętnie trwałby tak całą wieczność. Poppy otworzyła oczy pełne blasku i spojrzała na niego z zachwytem.

– Teraz wiem, że to prawda.

– Więc zostań ze mną – szepnął – pozwól się kochać, Poppy.

– Boję się – odszepnęła – przeszłam przez to tylko raz i...

– Zaczniemy wszystko od nowa – uspokajał ją – żadnych złych wspomnień, tylko ty i ja w wiejskiej izbie, do której przez otwarte okna zagląda noc i gwiazdy. Przysięgam ci, Poppy, że cię będę kochał, będę cię kochał jak najczulej.

Później, w czystej izdebce, gdzie stało proste drewniane łóżko ze zwyczajną bawełnianą pościelą, a przez otwarte okienko widać było gwiazdziste niebo, pomógł się Poppy rozebrać, delikatnie zdejmując z niej kolejne części ubrania, jakby odsłaniał najpiękniejsze dzieło sztuki, pieszcząc ją tkliwie w uniesieniu nad jej smukłą urodą, aż omdlewała w jego ramionach. Gdy wsunęli się nadzy między chłodne bawełniane prześcieradła, kontynuował pieszczoty, aż zadygotała w przypiływie nowo odkrytego pożądania, a w końcu wszedł w nią i stali się jednym ciałem. Było tak, jak niegdyś sobie wyobrażała – porywające uniesienie i ekstaza, szum i łopot wielkich skrzydeł, które przeniosły ją w inny świat. I wiedziała, że wreszcie poznała prawdziwą miłość.

Nazajutrz rano, gdy oszołomieni szczęściem wracali do Paryża, Riccardo powiedział z entuzjazmem:

– Razem poszukamy naszego wiejskiego domku, to będzie ciekawa przygoda. – Spojrzał na Poppy, lecz ona patrzyła wprost przed siebie ze zmarszczonymi brwiami. – Coś nie w porządku? – spytał niespokojnie. – Boli cię głowa od tego upału?

– Nie. Zastanawiałam się właśnie, kiedy będziemy bywać w tym wiejskim domku. Ja mieszkam w Paryżu, ty w Neapolu. To po prostu wygląda nierealnie. – Podniosła na niego oczy, z nadzieją czekając na zapewnienie, że naturalnie ona porzuci Paryż, pobiorą się i zamieszkają w Neapolu.

– Postaram się znaleźć jak najwięcej czasu, żeby przyjeżdżać do Francji – odrzekł spokojnie – zresztą najwyższa pora, żebyś miała jakiś dom dla siebie, gdzie możesz odpocząć od napięcia i ludzi. Nie chcę, żebyś się przepracowywała – zakończył, rzucając jej przelotny uśmiech.

– Rozumiem. – Poppy westchnęła cichutko. – Ale to nie za wiele dla dwojga zakochanych, prawda?

– Przykro mi, Poppy, lecz nie mogę rzucić swoich interesów, Muszę zostać w Neapolu.

– A ja muszę zostać w Paryżu – dokończyła bezbarwnym głosem. – Cóż... niech tak będzie.

Riccardo obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem, jakby chciał czytać w jej myślach.

– To nie znaczy, że cię nie kocham i nie chcę być z tobą – rzeki wreszcie. – W Neapolu zatrzymują mnie ważne sprawy.

– W takim razie dlaczego nie miałabym ja z tobą wyjechać? – rzuciła skwapliwie. – Dać sobie spokój z domem pod numerem 16 i żyć z tobą? – Miała na końcu języka „jako twoja żona”, lecz była zbyt dumna, żeby pierwsza to proponować. Przez jej myśli przemknęli! obawa, że wykreowawszy ją na kierowniczkę najlepiej prosperującego burdelu w Paryżu, Riccardo może nie będzie chciał się z nią ożenić.

– To niemożliwe – odparł szorstko – moje życie w Neapolu to oddzielna sprawa. Nie pytaj mnie o powody, po prostu uwierz mi, Kocham cię, Poppy, wiesz, że tak jest. Nie mógłbym bez ciebie żyć. Oboje mamy niewiele wolnego czasu, więc starajmy się wykorzystać jak najlepiej chwile spędzane razem.

Rozdział 43

Świstki papieru z chaotycznymi zapiskami były porozrzucane po całym domu. Mike znajdował je w szafach i szufladach, wsunięte w książki i wazon. Przez tydzień składał je w logiczną całość, aż wyłoniła się z nich historia Netty, domu pod numerem 16 i Riccarda Malvasiego.

Spojrzał na Luchaya, siedzącego pod oknem na swoim drążku, i przypomniał sobie słowa Arii, że papuga zna całą prawdę, gdyż jest jednym żyjącym świadkiem tamtych wydarzeń.

– Powiedz coś, Luchay! – rzekł zmęczonym głosem. – Przecież Poppy zwierzała się tobie ze wszystkich swoich kłopotów... Niech to diabli, ty najlepiej znasz Poppy i wiesz, gdzie taka kobieta ukryłaby swoje sekrety, bo na pewno nie oznajmiałyby ich całemu światu.

Papuga odwróciła głowę i zaczęła muskać dziobem pióra. Mike jęknął.

– Rozumiem – powiedział z przygnębieniem – rozmawiasz tylko z Poppy, prawda?

– *Poppy cara, Poppy chérie, Poppy kochana...* – zaczął skrzeczeć Luchay, machając skrzydłami. – Poppy, Poppy, Poppy...

Głęboką ciszę przerwał dzwonek staroświeckiego telefonu. Mike rzucił się go odebrać, kopnąwszy gniewnie niski stołeczek, który zaplątał mu się pod nogami.

– Mike? Mówi Aria.

Na linii były trzaski i głos dobiegał bardzo słabo.

– Cześć, Aria! – ryknął Mike do słuchawki. – Jak leci?

Właśnie odwiedziliśmy Hilliarda Konstanta na ranchu Santa Vittoria. Nawet nie wiedziałam, że mam ciotecznego dziadka, który wciąż żyje. Mama twierdzi, że ty jej

o nim powiedziałaś.

– Jak poszło? – spytał szczerząc zęby na myśl o tym, jak szorstki w obejściu stary Hilliard musiał zareagować, kiedy zobaczył wymuskaną, elegancką Francescę.

– Na początku było trochę sztywno. Mama uparła się, żeby wynająć największą limuzynę, jaką mogła znaleźć, więc zajechałyśmy tam z paradą, jak hollywoodzkie gwiazdy. Podejrzewam, że to nie przypadło do gustu dziadkowi Hilliardowi, ale był dla mnie bardzo miły, mówił, że pamięta Angel i Marię-Krystynę. I Helenę oczywiście. Powiedział, że Maria-Krystyna była ekstrawertyczką, lubiła ruch i zabawę, za to Helem była skryta i powściągliwa. „Jak Pierluigi Galli – powiedział – a tacy ludzie są zawsze nieobliczalni”. Jak myślisz, Mike, co to miało znaczyć?

– Nie jestem pewien, ale stary Hilliard to chytra sztuka. Najpierw ci mówi, że nic nie pamięta, a potem cyka po trochu informacjami. Nabieram przekonania, że wie o wiele więcej, niż nam mówi.

– Wydał mi się bardzo samotny, żał mi go. Był dla mnie bardzo miły, mimo że mama tak obcesowo wypytywała go o pieniądze i ziemię Konstantów. Polubiłam go i on mnie chyba też.

– Pewnie, że tak, nic nie mógł na to poradzić. A jak się mają sprawy z Carraldem?

Mimo trzasków w słuchawce usłyszał, jak Aria wzdycha.

– Chyba w porządku. Wydał wielkie przyjęcie noworoczne. Całkiem było fajnie, spotkałam różne gwiazdy filmowe. Ludzie myślą, że jestem jego dziewczyną. Przez to czułam się jak członek rodziny królewskiej albo i gorzej – wszyscy byli bardzo uprzejmi i zachowywali odpowiedni dystans. Chyba ich zdziwiło, że nie wystroiłam się w sobole i diamenty, ale mama wystarczyła za nas dwie. Była królową przyjęcia!

– Wyobrażam sobie! – roześmiał się.

– Mike, dowiedziałaś się czegoś o Orlandzie?

Wykrzywił się myśląc, co by jej tu powiedzieć.

– Dzwoniłem do niego kilka razy – przyznał – i w pensjonacie powiedziano mi, że wyjechał do Szwajcarii, pewnie na narty.

– Rozumiem. – Znów westchnęła. – Więc pozostaje tylko czekać, aż wróci. W każdym razie dziękuję, Mike.

– Zrobiłem pewne postępy, jeśli chodzi o Poppy – zaczął z innej beczki, chcąc odciągnąć jej myśli od przykrego tematu. – Nie ma co, prowadziła fascynujące życie!

– Ach, rzeczywiście, Poppy! – krzyknęła, jakby zupełnie o tym zapomniała, pochłonięta swoim zmartwieniem. – Znalazłeś jakieś dowody?

– Jeszcze nic, ale nie ustaję w poszukiwaniach. Wciąż proszę Luchaya, żeby się nade mną zlitował i dał jakąś wskazówkę, ale on nie chce pisać słowa. Oprócz: „*Poppy cara, Poppy cherie, Poppy kochana*” i tak w kółko.

– *Poppy cara...* – powtórzyła papuga.

Mike wybuchnął śmiechem.

– Miałaś rację, Ario, dobrze, że go ze sobą zabrałem. Wygląda, jakby znał tu każdy kąt.

– Chciałam tylko, żeby odświeżył sobie wspomnienia, to wszystko – odrzekła smutnie. – Muszę kończyć, Mike, mama mnie woła. Idziemy na zakupy, znowu! Nic innego się tu nie robi. Carraldo wyjechał do Houston obejrzeć jakieś obrazy, więc mam jeden, dwa dni spokoju. Pewnie to niesprawiedliwe tak mówić, on się naprawdę bardzo stara, szczególnie wobec mamy, bo mam wrażenie, że tak naprawdę to jej nie cierpi. Zobaczymy się po moim powrocie, niedługo, mam nadzieję. Zadzwoń do mnie, jak coś znajdziesz. Będę się modliła na tę intencję!

Mike odłożył staroświecką słuchawkę na widełki i położył się na łóżku Poppy z rękami pod głowę. Myślał o Carraldzie. Jakim był człowiekiem? Czy zarobił uczciwie swoje miliardy handlując dziełami sztuki? Nikt nie mógł tego stwierdzić i zapewne nigdy nie będzie można mieć pewności. Lecz w Mike’u żywą niechęć budziła myśl, że Aria mogłaby zostać wplątana w jakieś ciemne sprawy. Nic dziwnego, że uciekała się nawet do modlitwy.

Carraldo na pokładzie swojego samolotu wracał do Los Angeles. Twarz miał

poszarzała, wokół ust zaznaczały się głębokie bruzdy. Ostatnie dwa dni były wyczerpujące, choć nie bardziej niż oczekiwał. Poddał się całej serii testów w Szpitalu Metodystów w Houston, gdzie leczenie stało na najwyższym światowym poziomie, i badania krańcowo go osłabiły. Niepotrzebnie zadawał sobie ten trud, bo wyniki były takie same, jak ostatnim i przedostatnim razem. Poczł ostre ukłucie w piersi. Wyjął ze srebrnego pudełeczka małą białą pigułkę. Włożył ją pod język i czekał, aż zacznie działać.

Rozmyślał o Arii i o tym, czy ich wspólne krótkie wakacje w Los Angeles można uznać za udane. Była dla niego miła, lecz wyczuwało się w niej roztargnienie i zdenerwowanie. Miał wrażenie, że liczy dni do powrotu do Wenecji. Nic dziwnego, spodziewała się pewnie, że Mike znajdzie coś ciekawego w willi Poppy. Carraldo wiedział dokładnie, gdzie przebywa Orlando i co robi. W każdej chwili mógł sprawić, że informacje te dotrą do Arii, a wtedy żegnaj, złotowłosa chłopcze! Nie wiedział jednak jeszcze wszystkiego i nie chciał stosować swoich zwykłych metod. Podniósł słuchawkę interkomu i poprosił o połączenie z Mikiem Prestonem w Villa Castelletto.

– Nie miałem przyjemności pana poznać – rzekł po przedstawieniu się – lecz dużo o panu słyzałem od Arii.

– W czym mogę panu pomóc? – spytał zaskoczony Mike.

– Moja prośba może wydać się panu dziwna, lecz proszę, aby obdarzył mnie pan zaufaniem. Rozumiem w pełni, że przedmiot pańskich poszukiwań jest sprawą ściśle poufną między panem i Lieberem, lecz chcę o coś prosić. Gdy pan ustali z całą pewnością, kto jest spadkobiercą Poppy Mallory, proszę mnie pierwszego o tym zawiadomić. Na pewno wcześniej czy później powie pan o tym Arii, lecz ja muszę wiedzieć niezwłocznie! Proszę o to, panie Preston, ponieważ to kwestia życia i śmierci. Zapewne zabrmi to dla pana melodramatycznie, lecz proszę mi wierzyć, że mówię serio.

Mike przypomniał sobie tajemniczą śmierć Klaudii oraz podejrzenia Arii, że jest

śledzona, i zawahał się. Potem pomyślał o Lauren Hunter, zdanej na samą siebie w Los Angeles, i przeszedł go dreszcz strachu.

– Niech mi pan zaufa, panie Preston – nalegał Carraldo. – Przyrzekam, że pan tego nie pożałuje. To wszystko, co mogę panu teraz powiedzieć.

Mike podjął decyzję. Nie wiedział czemu, lecz postanowił mu zaufać.

– Zadzwoń do pana, jak tylko się dowiem czegoś pewnego obiecał.

– Dziękuję panu – rzekł Carraldo znużonym głosem – będę czekał na wiadomość.

Odchylił się na oparcie fotela obitego szarym zamszem i patrzył na chmury, przepływające za oknami jak łańcuch okrytych śniegiem górskich szczytów. Zbliżał się luty, a z nim karnawał. Postanowił, że wkrótce wyda wielkie przyjęcie zaręczynowe, a w tydzień później, jeżeli Aria wyrazi zgodę, wezmą ślub.

Orlando skończył obrazek, przedstawiający górski domek Pameli, i postawił go na sztalugach, aby miała niespodziankę, gdy się obudzi. Było już prawie południe i wszyscy dawno temu ulotnili się na narty. Słyszał, jak umawiają się na lunch w Klubie Orłów, lecz jego nie zaproszono. Traktowali go jak własność Pameli i z tego względu pozostawiali na jej łasce, aby się nim zajmowała, gdy przyjdzie jej na to ochota.

Luksusowe wnętrze chaty było urządzone w rustykalnym, alpejskim stylu. Na wielkim okrągłym palenisku pośrodku obszernego salonu plunęła w dzień i noc drzewna kłoda, a z potrójnych okien rozciągał się zapierający dech widok na ośnieżone góry. Czas włókł się niemiłosiernie. Orlando znów sprawdził godzinę na złotym zegarku, który Pamela dała mu pod choinkę – był to dobry zegarek, lecz nie z najlepszych, jakie oferowała firma Cartier. Jak wiele bogatych kobiet, Pamela rozważnie wydawała pieniądze.

Chodził tam i z powrotem po wypolerowanych deskach jak lew w klatce. Chętnie urwałby się z powrotem do Wenecji, lecz nie było sensu wracać tam przed Arią. Obliczył różnicę czasu między Los Angeles i Gstaad rozważając, czyby do niej nie zadzwonić, lecz w końcu pomyślał z rozdrażnieniem, że Aria może poczekać.

Wszedł po schodach na piętro i otworzył energicznie drzwi sypialni. Pamela na wpół śpiąc uniosła się na łokciu i odgarnęła włosy z twarzy.

– Och, to ty, Orlando – mruknęła. — Jesteś osobą, którą najbardziej chciałam zobaczyć. Chodź tu, kochanie.

Podszedł do łóżka wlepiając w nią nieruchomy wzrok.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?! – krzyknęła ostro. – Czasami tak się dziwnie zachowujesz, że czuję się, jakbym cię wcale nie znała.

– Oczywiście, że mnie znasz – odparł rozpinając koszulę.

– No, skoro tak... – Przyglądała mu się z uśmiechem. – Połóż się przy mnie, bardzo tu ciepło i przytulnie.

– Skończyłem obraz dla ciebie – powiedział biorąc ją w ramiona.

– Grzeczny chłopiec – westchnęła, odprężając się pod jego pieszczotami. — Obejrzymy go później, zgoda?

„Oczywiście – pomyślał Orlando całując bogatą damę – co tylko zechcesz, Pamelo... jak sobie życzysz, Pamelo...”

Mike nie spodziewał się, że Lauren, wprzężona w kierat nieustannej pracy, będzie w domu, toteż aż się uśmiechnął na dźwięk jej głosu w słuchawce.

– Hej, Lauren Hunter – powitał ją. – Co słyhać w Kalifornii?

– Słońce świeci bez zmian... – Śmiała się, trochę bez tchu. – A gdzie ty teraz jesteś?

– Nie uwierzysz, ale siedzę sam jak palec, nie licząc papugi Poppy Mallory, w rozsypującej się włoskiej willi, należącej niegdyś do Poppy. Tu diabeł mówi dobranoc, a na dworze pada śnieg.

– Papuga Poppy Mallory! I jej willa! Jakie to romantyczne, Mike!

– Nie tak bardzo – gderał. – Wciąż nie mogę znaleźć tego, na czym mi zależy.

– To znaczy, że jeszcze nie wiesz...? Nie jesteś pewien, kto to jest?

Uśmiechnął się, słysząc nieśmiałą nadzieję w jej głosie.

– Przykro mi, malutka, nie potrafię ci jeszcze nic powiedzieć. To wszystko jest

bardziej skomplikowane, niż się zdawało na początku Słuchaj, Lauren, jak się czujesz ty i Maria? Nie macie żadnych kłopotów?

– Nie więcej niż zwykle – odparła zdumiona. – Co masz m myśli?

– Och... nic takiego – wykręcił się w pierwszej chwili, lecz potem dodał: – No, szczerze mówiąc, rzeczywiście mnie coś gryzie. Jedna osoba z grona hipotetycznych spadkobierców została niedawno zamordowana – czytałaś pewnie o tym w gazetach – a druga podejrzewa, że ktoś ją śledzi. Chciałem po prostu cię przygotować żebyś miała oczy i uszy otwarte... – Usłyszał, jak wciąga powietrze i rzucił szybko: – Nie chciałem cię przestraszyć. Szanse na to, że co ci się przydarzy, są zerowe, ale lepiej się pilnuj, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się cicho. – Mike? Kiedy wracasz?

Pomyślał przez chwilę.

– Jak najszybciej, Lauren. Jasne?

– Jasne – powtórzyła za nim takim głosem, jakby się uśmiechała. – Jak się miewa ciotka Marta?

– Świetnie, a Maria?

– Świetnie. Muszę iść do pracy, Mike, już jestem spóźniona...

– Do usłyszenia wkrótce, Lauren Hunter – powiedział z uśmiechem wciąż przyklepionym do twarzy.

Odłożywszy słuchawkę zaciągnął szaroniebieskie jedwabne zasłony i dorzucił polano do płonącego ognia. Potem usiadł przygarbiony w rozłożystym, wygodnym fotelu Poppy ze szklanką czerwonego wina w jednej ręce, a olbrzymią kanapką z szynką i serem w drugiej. Przyznał w duchu, że poniósł klęskę. Był wyczerpany – co więcej, wyczerpał wszystkie możliwości, jakie dała mu Villa Castelletto. Jadł ponuro kanapkę i popijał winem. Nie mógł się oszukiwać, utknął w ślepych zaułku i nie miał pojęcia, gdzie szukać dalej.

Zaczeplił dużym palcem u stopy o stołeczek, który wcześniej kopną z gniewem, i energicznym ruchem ustawił go, po czym oparł na nim nogi i patrzył w ogień, zastanawiając się, w ileż to długich zimowych wieczorów Poppy siedziała samotnie

dokładnie w tym samym miejscu, gdzie on teraz, i wpatrzona w taniec płomieni przeżywała na nowo swoją przeszłość. Zaklął w myśli, gdy podnózek się zachwiał. Pewnie i os w nim pogruchotał tym kopnięciem, a na dobitkę to prawdopodobnie jakiś bezcenny antyk! Podniósł go z jękiem i obejrzał bliska. Stołeczek był zwyczajnym podnóżkiem z czasów wiktoriańskich, mahoniowym, bogato rzeźbionym, o nogach w kształcie lwich łap i wyściełanym poduszką, wyszywaną w pączki róż na ciemnoniebieskim tle. Pokiwał nim ostrożnie szukając uszkodzenia i wtedy zauważył mały otwór złotego zamka.

– Luchay – rzekł osłupiały – chyba znaleźliśmy skrytkę Poppy!

Przetrząsnął szybko biurko w poszukiwaniu klucza, lecz bezskutecznie. Pomyślał o wielkim domu z pokojami jak olbrzymie jaskinie i małym kluczyku, ukrytym gdzieś w tym monumentalnym wnętrzu. Dał za wygraną i pobiegłszy do kuchni, hałaśliwie wyciągał szuflady, dopóki nie znalazł korkociągu. Potem skoczył z powrotem na schody, przeskakując po dwa stopnie w drodze na piętro.

Zamek był solidny i dopiero po dłuższej chwili manipulowania puścił z głośnym trzaskiem. Mike wlepił wzrok w schludną kupkę szkolnych zeszytów, kupionych pewnie wiele lat temu w wiejskim sklepiku. Niemal nie śmiał ich otworzyć.

– Luchay, czy tego właśnie szukałem? – Spytał pełnym przejęcia szeptem. – Czy wreszcie poznam resztę tajemnic Poppy?

Rozdział 44

1907, PARYŻ

Doroczna pielgrzymka Grega po Europie dobiegała końca. Młody pan Konstant złożył serię bezskutecznych wizyt w ambasadach, konsulatach i biurach policji w Rzymie, Wenecji i Florencji. Wędrował ulicami starożytnych miast ślepy na ich urodę, szukając w tłumie znajomej twarzy. Wiele razy mamił go błysk rudych włosów, widziany przez chwilę profil lub lekki, swobodny chód, lecz z bliska przekonywał się o pomyłce. Przepraszał pospiesznie i na wszelki wypadek pytał o Poppy, lecz wszystkie zaczepione panny potrząsały głową i przyspieszały kroku,

– Nie wiem, dlaczego wciąż tu wracasz – powiedziała do niego ze znużeniem Angel. – Poppy zniknęła na dobre i czas, żebyś się z tym pogodził.

– Nigdy się z tym nie pogodzę, zanim nie poznam przyczyny – odrzekł z uporem.
– Poppy nie zniknęłaby ot, tak sobie. Coś musiało się wydarzyć.

Siedział samotnie nad drinkiem w barze w paryskim „Ritzu” i z niepokojem myślał o Angel. Jego siostra najwyraźniej nie była szczęśliwa w małżeństwie, choć ze wszystkich sił starała się to ukryć. Podczas swoich wizyt odnosił wrażenie, że Felipe z każdym rokiem coraz bardziej ją tyranizuje, pomimo iż w obecności szwagra powściąga swój ostry, napastliwy język.

– To dlatego, że czuje przed tobą respekt – wyjaśniła mu kiedyś Angel z bladym uśmiechem. – Doskonale wie, po której stronie chleb jest posmarowany, a to ty i ojciec rządzącie kasą. Bez pieniędzy Konstantów byłby jeszcze jednym zubożałym arystokratą, opływającym w tytuły, lecz nie w gotówkę.

– Czy wciąż go kochasz? – spytał, gotów zapakować ją, gdyby zaprzeczyła, na najbliższy statek i odesłać do Kalifornii.

– Czasami zastanawiam się, czy kiedykolwiek go kochałam – odparła ze smutkiem. – Nie mogę go jednak opuścić ze względu na dzieci.

Widział, jak rozjaśnia się jej twarz na widok dwóch córeczek, a teraz jeszcze był dwuletni Aleksander, żrenica jej oka. W pustym, pełnym konwenansów życiu, jakie narzucił jej Felipe, tylko w obecności dzieci ożywiała się i jaśniała dawną urodą. W wieku dwudziestu siedmiu lat była smukłą, zawsze nieskazitelnie elegancką damą o miękkich włosach i pięknych oczach, w których przebijał niepokój. Można by jej dać zarówno dwadzieścia lat, jak i czterdzieści. Zniknęła bez śladu młodzieńcza werwa i pogoda ducha. Życie nie było już dla Angel „pyszną zabawą”.

Bliźniaczki miały osiem lat. Maria-Krystyna o błyszczących ciemnoniebieskich oczach była żywsza od spokojnej i zamkniętej w sobie i złotowłosej Heleny, która odziedziczyła zielonkawe oczy Felipe. Wątpliwy, wrażliwy Aleksander, mimo że tak malutki, już panicznie bał się ojca.

Podczas ostatniej wizyty w Villa d’Oro Greg zauważył coś dziwnego w

zachowaniu Heleny. Początkowo wziął jej brak odpowiedzi na pytania za dziecinne kaprysy, choć na ogół była grzeczna i dobrze wychowana.

– Dziwi mnie, że nie zauważyłeś tego wcześniej – powiedziała Angel z przygnębieniem, gdy ją o to zapytał. – To całkiem proste: Helena nie słyszy.

– Nie słyszy? – powtórzył wstrząśnięty. – Ale dlaczego...? Jak...?

– Zauważyłam to po raz pierwszy, gdy miała zaledwie parę miesięcy. Nietrudno było dostrzec różnicę w reakcjach jej i Marii-Krystyny.

– Lecz z pewnością coś można na to poradzić! W końcu ona jest jeszcze dzieckiem...

– Gdyby były jakieś sposoby, czy sądzisz, że bym się do nich nie uciekła? – odparła Angel z goryczą. – Zabrałam ją do najlepszego specjalisty w Rzymie, a potem do Mediolanu, Paryża i Londynu. Byłam wszędzie, Greg. I wszędzie lekarze powiedzieli mi to samo. Jedna z kosteczek ucha wewnętrznego jest zdeformowana i ucisk powoduje postępującą głuchotę. W wieku lat dwudziestu Helena będzie zupełnie głucha.

Greg spojrział z osłupieniem na śliczne jasnowłose dziecko, dokazujące na trawniku. Zanosząc się od śmiechu i wydając krzyki radości ona i jej siostra gonily za białobrazowymi szczeniakami, które kupił im w prezencie. Przypomnił sobie małą Angel, bawiącą się z małym czarnym Trotty, który od dawna nie żył. Jakaż była wtedy promienna i ufna! Dobre wróżki obdarowały ją hojnie przy narodzinach po to tylko, by później odebrać swoje dary.

– Ukrywałam to przed wszystkimi, oczywiście prócz Felipe – powiedziała Angel.

– Nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział. Zawsze jestem blisko, odpowiadam na pytania, których nie dosłyszysz, albo obracam ją twarzą do innych dzieci i proszę, żeby mówiły głośniej. W ten sposób nikt niczego nie zauważa. Nie mogłabym znieść, gdyby wiedzieli.

– Ale co będzie, gdy dorosnie? – spytał z niepokojem.

– Nikt jej nigdy nie skrzywdzi! – krzyknęła Angel z niezwykłą u niej gwałtownością. – Będzie mieszkała tu, gdzie jest kochana w otoczeniu tych

pięknych ogrodów. Znajdę nauczycieli, którzy nauczą ją czytać z ruchu warg, będziemy się starać, by mówiła jak najbardziej naturalnie... to się uda, zobaczysz, że się uda!

Teraz, siedząc w barze „Ritza”, Greg pomyślał z goryczą, że wielka podróż do Europy dziewięć lat temu zapoczątkowała wszystkie nieszczęścia. Nawet ranczo Santa Vittoria nie było już takie jak dawniej.

– Greg Konstant! To ty, prawda?

Greg zmarszczył brwi na widok intruza, lecz po chwili na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– Dobry Boże, przecież to Charlie Hammond!

– Charles James Hammond III, absolwent Harvardu rocznik 95 do usług. Ty stary nicponiu, to znaczy, że mnie nie poznałeś? Po naszych wspólnych hulankach w Bostonie? Wyprawialiśmy tam niezłe orgie. Co porabiasz sam w barze „Ritza”? Założę się, że czekasz na jakąś damę.

Charlie Hammond zajął miejsce naprzeciw Grega i zamówił u kelnera następną kolejkę. Był wysokim, przystojnym mężczyzną o falującym kasztanowym włosach i pasujących do nich brązowych oczach, i w kosmopolitycznej hotelowej atmosferze czuł się jak ryba w wodzie.

– To mój ulubiony wodopój – oświadczył, rozglądając się w poszukiwaniu znajomych twarzy. – Miejsce, do którego zawsze kieruję swe pierwsze kroki będąc w Paryżu. Tutaj masz zawsze gwarancję, że wpadniesz na jakiegoś znajomka. Ta reguła mnie nigdy jeszcze nie zawiodła. Muszę jednak przyznać, że nie spodziewałem się spotkać tu właśnie ciebie. Nie widzieliśmy się od czasów szkolnych – to już dziesięć lat, prawda? Sporo wody upłynęło od tamtej pory. U ciebie zapewne sporo się zmieniło. Właśnie dzisiaj przyjechałem w bankowych interesach. Pamiętasz?

– Oczywiście – odpowiedział Greg z uśmiechem – rodzinny bank w Filadelfii. W college’u zawsze przysięgałeś, że nie dasz się wtłoczyć do tej instytucji. O ile pamiętam, chciałeś zostać skutnikiem?

Charlie wyszczerzył zęby i wychylił swoją szklaneczkę whisky.

– Cóż, wiesz jak to jest, stary... Trudno się wyrwać ze szponów rodziny. Ale wciąż buduję łodzie i żegluję. Oczywiście w weekendy i latem. No, a ty z kolei zawsze miałeś zostać ranczerem i nigdy nie pragnąłeś niczego więcej, jak zarządzać największą posiadłością ziemską w Kalifornii.

– To właśnie robię – wzruszył ramionami Greg. – Nigdy się nie zmieniłem.

– Co, u licha, robi kalifornijski ranczer samotnie w Paryżu? Nie udawaj, że przyjechałeś kupować cielaki czy sprzedawać skóry.

– Odwiedzałem siostrę w Wenecji. Zawsze wracam przez Paryż.

– Aha, przez Paryż! Miasto światła i grzechu! – wykrzyknął Charlie radośnie. – Założę się, że masz ładną żonkę, która czeka cierpliwie na twój powrót, i trzy albo cztery bachory – tak jak ja. Ale to nie znaczy, że nie można się zabawić w Paryżu, co, stary? W końcu po to tu się jest. Powiem ci, Greg, że znam po temu najlepsze miejsce. Mówią, że dom pod numerem 16 przy rue des Arbres jest niedościgniony, jeśli chodzi o takie rozrywki. Co ty na to, żebyśmy wybrali się tam razem i rzucili okiem? Nieco zabawy w mieście wina, kobiet i śpiewu?

– Dziękuję, Charlie – odrzekł Greg chłodno – ale nie jestem chyba w nastroju na wizytę w jakimś burdeliku...

– Burdeliku? Lepiej ugryź się w język, przyjacielu, to nic w tym rodzaju! Żeby tam się dostać, potrzebujesz dosłownie dwóch sponsorów i gwarancji bankowej! Dom pod numerem 16 to coś w rodzaju ekskluzywnego klubu, wielce eleganckiego i wyrafinowanego, a tamtejsza kuchnia podobno dorównuje kuchni w „Maximie”. Wybierzemy się tam na obiad? Osuszymy kilka butelek szampana i przekonamy się na własne oczy, co w trawie piszczy. Jeśli sobie tego życzysz, zapewniają tam przy posiłku towarzystwo czarujących dziewcząt, które bawią gości lekką rozmową. Chcesz drzemać przy kominku w bibliotece? Proszę bardzo! Chcesz posłuchać Chopina lub Liszta w wykonaniu pianistki ładniejszej niż wszystkie wirtuozki świata? Nawet jeżeli nie dorównuje im w grze, co to kogo obchodzi! Chcesz zagrać w bilard? Porozmawiać poważnie o interesach? Tylko tam! A na piętze, mój stary –

Charlie rozsiadł się wygodnie i świsnął z podziwem – możesz wybrać sobie kąsek, który najbardziej przypadnie ci do smaku i to spośród najelegantszych, najpiękniejszych i najlepiej kwalifikowanych dziewcząt w mieście! No? Jak możesz coś takiego odrzucić?

Greg roześmiał się, zadowolony, że ktoś rozproszył jego czarne myśli.

– Porządny z ciebie chłop – rozpromienił się Charlie. – Jest tylko jedno ale: ceny tam są takie, że można zemdleć. – Mrugnął znacząco. – Mimo wszystko warto tam zawitać! Podobno sama madam jest bardziej zachwycająca od wszystkich swoich pupilek, lecz nie da się dotknąć. Mówi się powszechnie, że nikt jeszcze nie przekroczył progu jej sypialni. – Uśmiechnął się szeroko, gdy wyszli przed bar na rue Cambon, i wezwał taksówkę. – Kto wie? Z twoim wdziękiem, może ty zostaniesz tym szczęściarzem!

Simone Lalage chwilami miała dosyć modnego paryskiego towarzystwa. Należała do niego od dwudziestu pięciu lat i wedle swego przekonania była zbyt bogata, wygodna i stara, by się wciąż wysilać na czarujący wygląd i dowcipną rozmowę. Niekiedy wołała więc zostać w domu i zjeść w samotności doskonały obiad, przepędziwszy wszystkich panów, którzy szukali jej towarzystwa, by pochwalić się później spotkaniem i roznieść po mieście najnowsze dowcipne powiedzonka i kąśliwe uwagi słynnej Simone. Wkrótce jednak nużyła ją samotność. Wówczas jechała po wielkopańsku w swej ciemnobrązowej limuzynie de courmont dwie przecznice dalej do domu pod numer 16 i jadła kolację z Poppy.

Właśnie piła trzeci kieliszek doskonałego szampana i w szybkim tempie traciła cierpliwość, słuchając Poppy, która z oczami jak gwiazdy unosiła się nad delikatnością uczuć Riccarda i jego namiętą miłością.

– Nie możesz mi powiedzieć nic nowego o tym, co się dzieje w łóżku – przerwała w końcu kwaśno – a co do uczuć, to w swoim życiu obdarzyłam nimi dwóch mężczyzn i oba razy tego żałowała. Gdy tylko się przekonali, że mi na nich zależy, zmieniali się nie do poznania. Spóźniali się, a ja czekałam gryząc palce i zachodząc

w głowę, gdzie są. Czasami w ogóle się nie pojawiali, a takie noce, powiadam ci, Poppy, należą do najdłuższych. Traktowali mnie jak swoją własność, a ja, nawet gdy buntowała się we mnie duma, nie miałam dość siły woli, żeby z tym skończyć. Tak, przydarzyło się to nawet mnie, nieposkromionej Simone Lalage. Z czasem nabrałam rozsądku, porzuciłam romantyczne rojenia i zdecydowałam się na bardziej dogodne związki – takie, w których ja byłam górą. I wierz mi, moja droga – dodała przyglądziwszy włosy, które w tym tygodniu ufarbowała na ciemnorudy kolor, pasujący do jej limuzyny i birmańskich rubinów – to daje więcej szczęścia.

– Ależ Simone, w ten sposób tyle tracisz! – wykrzyknęła Poppy. – Kiedyś podzielałam twoje zdanie, lecz z Riccardem to coś zupełnie innego, coś cudownego! Popatrz tylko na mnie! – Zakręciła się przed Simone z szumem szarych, szyfonowych spódnic, które odsłoniły ładne kolana, unosząc nad głową kieliszek szampana, a jej twarz jaśniała werwą. – Czy nie wyglądam inaczej? Czy nie odmieniła mnie miłość?

Simone spojrzała na portret Poppy, który na prośbę Riccarda został przeniesiony z biblioteki do jej prywatnego apartamentu, a potem na przyjaciółkę.

– Trzeba przyznać, że się zmieniłaś. Mam nadzieję, że ta zmiana wyjdzie ci na lepsze.

– Och, Simone! – zawołała Poppy. – Jak cię mam przekonać? Dla mnie miłość jest jak szampan: próbuje się jej, potem się upija, potem – fiuuu...! – Ze śmiechem opadła na niebieską brokatową sofę.

Simone spojrzała na nią przenikliwie.

– To dlaczego Riccardo spędza większość czasu w Neapolu, a ty tutaj?

– On ma masę zajęć – odparła Poppy biorąc ukochanego w obronę. – Tłumaczył mi, że sam jeden kieruje wielkim przedsiębiorstwem. Stąd te zmarszczki na jego twarzy, chociaż niedawno przekroczył trzydziestkę, tak jak... – chciała powiedzieć „Greg”, lecz w porę ugryzła się w język. Skąd przyszedł jej do głowy właśnie on? Już od lat unikała wspomnień o nim i dawnym, utraconym świecie.

– Odpowiedni wiek do zawarcia małżeństwa – sondowała dalej Simone,

obserwując ją bacznie. Pod powłoką światowej damy Poppy wciąż pozostała naiwną, niedoświadczoną dziewczyną, mimo że z powodzeniem prowadziła najszlachetniejszy burdel w Paryżu. Simone nie pojmowała, jak Poppy mogła się tak szalenie zakochać w Malvasim, kiedy było powszechnie wiadomo, że jest on jednym z najbezwzględniejszych mafijnych *capo*. Gdyby nie była pewna, że Riccardo naprawdę kocha Poppy, drżałaby o jej życie.

– Zapewne – odparła Poppy wymijająco. – Na razie wystarczą nam spotkania w naszym wiejskim domku w Montespan, gdzie możemy odpocząć od wszystkich trosk. To istny raj, Simone: świeże powietrze, mleko prosto od krowy, jajka, które sami wyszukujemy w żywopłotach, gdzie je składają kury, i warzywa z naszego własnego ogrodu. I wielkie łóżko z pierzyną, pod którą oboje śpimy. Prowadzimy tam życie wieśniaków.

– Maria Antonina też bawiła się w pasterkę i zobacz, jak skończyła – zauważyła Simone z przekąsem. – Zresztą to brzmi obrzydliwie. Krowie mleko, pfu! Ja pijam szampana!

Zapukano do drzwi i pojawił się Watkins.

– W jadalni są dwaj dżentelmeni, ma'am, którzy chcieliby się z panią spotkać – oznajmił.

– Kto to jest, Watkins? – spytała i z westchnieniem spojrzała na Simone. – Czy nie wystarczy im towarzystwo którejś z dziewcząt?

– Zjedli już obiad z Veronique, ma'am. Nie należą do naszych stałych gości, a jeden z nich jest, hm, dosyć hałaśliwy. To właśnie on nalega, aby się z panią zobaczyć.

– Powiedz im, że jem obiad, Watkins, spróbuję wyjść do nich później.

– Pewnie jakieś wiejskie ćwoki o grubych portfelach – odgadła Simone. – Chcą się pochwalić po powrocie do domu, że widzieli w Paryżu tajemniczą Poppy z domu pod numerem 16.

Poppy zmarszczyła brwi.

– Skoro zostali nam poleceni przez dwóch gości, chyba są na poziomie, nawet

jeśli jeden z nich nieco podnosi głos – stwierdziła.

Greg patrzył pobłaźliwie, jak Charlie wlewa w gardło kolejny kieliszek claretu.

– Pana przyjaciel ma dobry gust – uśmiechnęła się Veronique – 1896 to znakomity rocznik, chociaż do pasztetu z gęsich wątróbek polecałabym Chateau d’Yquem, a przy deserze tokaj.

– Obawiam się, że Charlie, gdy raz coś zacznie, woli trzymać się jednego – rzekł przepraszająco Greg. – Zawsze okazywał duże zdecydowanie.

– Rozumiem. – Veronique skinęła głową, a przy tym ruchu zakołysały się jej ciężkie kolczyki z topazów i diamentów. – Dlatego tak nalega na spotkanie z madame.

Greg przywołał kelnera i zamówił butelkę tokaju. Veronique z uśmiechem wyraziła podziękowanie bawiąc się czarką *creme brulee*. Karmelowy kolor odpowiadał niemal dokładnie barwie jej szeroko wykrojonych oczu o ciężkich powiekach i nieco sennym spojrzeniu. Greg zauważył, że emanuje zmysłowością i przypomina kota mruczącego z zadowolenia nad spodeczkiem śmietanki.

– Więc kiedy wreszcie zawita do nas madame? – upierał się przy swoim Charlie.

– Nieco później – łagodziała Veronique – gdy dokończymy to cudowne wino.

– Zaraz, chwileczkę – przerwał jej marszcząc brwi i myśląc z wysiłkiem – nie możemy przecież mówić do niej per „madame”. Na litość boską, jak jej na imię?

– Madame ma na imię Poppy – odrzekła Veronique z niezmaconym uśmiechem.

Nóżka kryształowego kieliszka Grega pękła i złoty płyn wylał się na obrus. Kelner podbiegł skwapliwie, aby osuszyć plamę, i pytał, czy gość się nie skaleczył, lecz Greg biały na twarzy patrzył tylko na Veronique.

– Czy powiedziała pani... Poppy?

– Ależ tak. Madame Poppy. Jest bardzo sławna – odparła Veronique otwierając szeroko oczy ze zdziwieniem.

– Proszę mi powiedzieć, skąd ona pochodzi? – pytał uparcie. – Jak wygląda, czy ma rude włosy?

– Madame jest bardzo piękna i rzeczywiście ma rude włosy. Nikt nie wie, skąd pochodzi. Jest bardzo zagadkowa. Sam pan zobaczy, gdy pan ją spotka. Może pan pozwoli, że opatrzę mu rękę. Krwawi.

– Chciałbym wysłać wiadomość do madame Poppy – powiedział Greg wzywając kamerdynera.

Drżącą ręką napisał: „Poppy, muszę cię zobaczyć. Greg”. Dopiero wtedy ogarnęły go wątpliwości, przypomniał sobie, że znajduje się w najświetniejszym paryskim lupanarze. Skąd Poppy w takim miejscu? Z drugiej strony nie wiedział, co działo się z nią przez długie lata. Jakie tajemnice ukrywała przed nim Angel? Oświadczyła tylko, że w Poppy odezwała się zła krew. W głowie szalała mu burza obaw i domysłów.

Podał liścik Watkinsowi, wsuwając mu wraz z nim dyskretnie do ręki pięćdziesięciofrankowy banknot.

– Z chęcią wezmę list, sir, lecz nic ponadto – odezwał się dystyngowany kamerdyner.

– U nas nie daje się napiwków – wyjaśniła Veronique – to jedna z zasad madame. Twierdzi, że przy naszych opłatach nie powinno się wymagać od gości niczego więcej.

Greg nie usłyszał nawet jej słów. Nie widział też Charliego, który popijając tokaj, łapczywie rzucił się na wielką porcję deseru z czekolady. Przed oczami stała mu Poppy.

Poppy przeczytała wiadomość. Zbladła śmiertelnie, a gdy podniosła oczy, Simone przestraszyło jej szkliste, osłupiałe spojrzenie. Podbiegła do przyjaciółki i przeczytała jej przez ramię krótki, na pozór niewinny liścik.

– Zrób coś dla mnie – odezwała się Poppy z trudem. – Błagam cię, zgódź się, w imię naszej przyjaźni. Ten człowiek nie był tu nigdy jeszcze... nie zna ciebie... ani mnie. Wyjdź do niego i udawaj, że ty jesteś Poppy. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Simone zorientowała się w okamgnieniu.

– To ktoś z twojej przeszłości, tak? Nie przejmuj się, pozostaw wszystko mnie. – Odwróciła się do kamerdynera. – Watkins, weźcie Veronique na stronę i ostrzeżcie ją dyskretnie, a potem wprowadźcie wraz z tymi panami do niebieskiego salonu.

Kiedy za Simone i Watkinsem zamknęły się drzwi, Poppy osunęła się ciężko na fotel. Szczękała zębami, a jej twarz przybrała barwę popiołu. Luchay sfrunął z trzepotem z drażka, usiadł jej na ramieniu i przytulił się niespokojnie. Myślała tylko o jednym: Greg jest tutaj! Greg jest w tym domu. Może kocha ją mimo wszystko, przebaczył jej i przyjechał, aby zabrać ze sobą... W jej sercu pojawiła się iskierka nadziei, lecz natychmiast zgasła. Ten krótki, lakoniczny list nie uprawniał do snucia takich domysłów. Była przecież madam w paryskim burdelu, czymś niewiele lepszym od prostytutki. Dotknęła ciężkich pereł na szyi. Ją i Grega dzieliła przepaść nie do pokonania. Była madame Poppy i kochanką Riccarda Malvasiego, którego przecież tak szaleńczo kochała. Czy więcej niż na zawsze utraconego Grega?

Panowie – odezwała się po angielsku Simone niskim, aksamitnym głosem – miło mi was powitać. Moja angielszczyzna nie jest doskonała, lecz witam was w domu pod numerem 16.

Greg patrzył oniemiały na Francuzkę, która co prawda miała rude włosy, była piękna i czarująca... lecz to nie była Poppy. Simone ze swej strony objęła go spojrzeniem od stóp do głów i spodobało jej się to, co zobaczyła. Pomyślała, że Poppy postępuje głupio odrzucając takiego mężczyznę dla Riccarda Malvasiego, lecz kto może zrozumieć decyzje zakochanej kobiety?

– Czy spodziewał się pan ujrzeć kogoś innego? – spytała.

– Po prostu znałem kiedyś kogoś o takim imieniu, a ponieważ rzadko się je spotyka...

– Znałem...? Czy to znaczy, że pana znajoma nie żyje?

– Nie wiem, madame – wyznał Greg szczerze. – Dziękuję, że zechciała się pani z nami zobaczyć. Przepraszam, że zabrałem pani czas.

– Do tego służy mój czas, żeby mi go zabierali przystojni młodzi mężczyźni –

rzekła Simone z uśmiechem, nie mogąc oprzeć się chęci poflirtowania. – Jak się pan nazywa?

– Jestem Greg Konstant.

– Mam nadzieję, że zobaczymy pana u nas znowu?

– Niestety, jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku i chyba nigdy nie wrócę. Zostawiam tu zbyt wiele przykrych wspomnień.

– Wielka szkoda – westchnęła Simone podając mu rękę na pożegnanie. – Żałuję, że nie podobał się panu Paryż.

Poppy stała przed kominkiem ściskając kurczowo w rękę kieliszek koniaku. Na dźwięk otwieranych drzwi odwróciła się i spojrzała z niepokojem na Simone.

– I cóż? – szepnęła.

– Pan Greg Konstant jest przystojny, jest dżentelmenem i niewątpliwie jest bogaty. To idealny mężczyzna dla ciebie, Poppy, i mam wrażenie, że wystarczyłoby, byś kiwnęła palcem, a byłby twój.

Poppy wypła koniak jednym haustem; ręka jej wciąż się trzęsła.

– Kiedyś, owszem, tak było, jak w najlepszych romansach. Lecz teraz już nie. Już nigdy.

Padła na sofę i wybuchnęła płaczem.

Veronique uważnie obserwowała Grega. Odbiegał typem od mężczyzn, którzy bywali w domu pod numerem 16, był przystojny i choć nie miała wątpliwości co do jego męskości, nie obdarzył jej nawet cieniem zainteresowania. Może z wyjątkiem długiego, szacującego spojrzenia na początku. Jego przyjaciel Charlie stanowił dobrze jej znany typ wesołego birbanta, nieco pod muchą, hojnego i bezpretensjonalnego, który się wypuścił na hulankę w nocnym Paryżu. Nie zasługiwał na jej wyspecjalizowane usługi. A Greg Konstant ją zaintrygował.

– Dajcie mi szampana, taniec i śpiew! – krzyknął gromko Charlie. – Sprowadźcie tu tancerki!

– Przyślę panu naszą specjalną tancerkę – oznajmiła Veronique – przekona się pan, że nigdy nie widział nic podobnego. Proszę tu poczekać.

Kazała Watkinsowi przynieść dwie butelki szampana – nie gatunkowego, ponieważ jej dusza konesera opierała się marnowaniu szlachetnego trunku dla pijaka – i znaleźć Villette.

Charlie potoczył mętym wzrokiem, gdy Villette wpłynęła do pokoju i zaczęła sunąć w jego kierunku. Była ubrana w powiewną suknię z czerwonego szyfonu, długie jasne włosy opadały jej aż do pasa, a skóra koloru miodu lśniła w świetle lamp. Veronique szepnęła mu do ucha:

– Villette zatańczy dla pana, jak jeszcze dla nikogo nie tańczyła. Idź z nią, Charlie, ona będzie twoją Salome.

Potykając się nieco, Charlie ujął Villette pod ramię i poszedł z nią w stronę schodów. W drugiej ręce trzymał butelkę szampana. Veronique odwróciła się do Grega. Utkwił wzrok w swojej szklaneczce szkockiej, zagubiony w posepnych rozważaniach.

– Wygląda pan, jakby był myślami daleko stąd – powiedziała dotykając jego ramienia.

– Żałuję, że tu jestem – rzekł gorzko. – Wracam tutaj co roku i co roku uświadamiam sobie, że to strata czasu.

– Więc dlaczego pan to robi? Czego pan szuka?

– Szukam nie rzeczy, a osoby – odparł wypijając whisky do dna.

– To niedobrze pić samemu – stwierdziła biorąc go za rękę. – Może pójdziemy do saloniku, tam jest spokojnie. Będziemy mogli porozmawiać.

Greg spojrzał na nią. Była wysoka, smukła, śliczna, o gładkiej skórze i jasnych włosach z pasmami barwy tokaju, miękkich jak sierść kota. Rozchyliła usta i utkwiała w nim głębokie spojrzenie spod ciężkich powiek. Istota godna pożądania, lecz nie jej szukał i pragnął.

– To nie ma znaczenia – powiedziała odgadując jego myśli – po prostu czasami mężczyźni łatwiej rozmawiać z inną kobietą o swojej ukochanej.

Dotarło do niego nagle, że to prawda. Z nikim nie mógł porozmawiać o Poppy. Angel i reszta rodziny wykreślili ją ze swego życia. Skusiła go możliwość, że wreszcie będzie mógł z kimś mówić swobodnie, zwierzyć się z uczuć, które przepełniały mu serce.

W salonie panował spokój. Płomień dogasał na kominku, plamy cienia przeplatały się z plamami światła, rzucanego przez lampy o zielonych kloszach.

– Proszę tu usiąść – powiedziała Veronique klepiąc zapraszająco siedzenie przepaścistej sofy obok siebie. Kelner postawił na niskim stoliku przed nimi butelkę szkockiej whisky i ulotnił się dyskretnie. Zostali sami, jeśli nie liczyć innej pary, pogrążonej w rozmowie na drugim końcu salonu.

– A więc pan kogoś szuka... – Mruczała jak kotka. Podwinęła nogi i oparła podbródek na dłoni. – Proszę mi powiedzieć kogo i z jakich powodów. – Jej oczy koloru karmelu mierzyły go współczującym spojrzeniem spod ciężkich powiek.

– Moje poszukiwania dobiegły końca – rzekł Greg gwałtownie. – Straciłem dziewczynę, którą kochałem. Po prostu zniknęła z powierzchni ziemi, nikt nie wie gdzie ani jak. Bóg mi świadkiem, że i obilem wszystko, żeby ją odnaleźć! – krzyknął z rozpaczą. – Niech im pani wierzy, że próbowałem! – Jednym haustem wypił whisky, żeby stłumić ból. – Ona mnie prześladowa. Jej twarz miga mi w tłumie i za chwilę znika. To nigdy nie jest ona. Ludzie mówią, że muszę być szalony, skoro wracam rok po roku, żeby włóczyć się po ulicach w nadziei, że ją zobaczę. I może jestem. Ale widzi pani, ja ciągle ją kocham.

– A teraz oplakuje pan stracone złudzenia – szepnęła ze zrozumieniem Veronique. – Niech mi pan powie, jaka ona była. Bardzo młoda? Piękna? Co sprawiło, że tak utkwiała panu w pamięci: wspomnienia czy marzenia o tym, co być mogło?

– Pamiętam, jak jeździła konno... – Greg patrzył w przestrzeń przed sobą, jakby wciąż ją widział. – Jej długie rude włosy rozwiały się na wietrze, bo ukradłem jej wstążkę. Piękne, bujne, niesforne włosy, lecz tak miękkie w dotyku. Miała oczy w kolorze intensywnego błękitu, o śmiałym, niemal zuchwałym wyrazie. Była

szczupła, długonoga i wdzięczna. Poznałem ją, gdy miała siedem lat, i już wtedy postanowiłem, że będzie moją żoną. Musiałem tylko poczekać, aż dorośnie. Ona była tak niewinna! To, co powiadają o złej krwi, którą odziedziczyła po ojcu, nie może być prawdą! – Opróżnił kolejną porcję whisky i nalał następną.

Veronique kojąco położyła dłoń na jego ramieniu. Palce miała długie, zwężające się ku końcom, paznokcie pomalowane na perłowo.

– Nie pozwól nikomu niszczyć twoich marzeń – szepnęła pochylając się bliżej. – Niech zostanie w nich taką, jaka była.

– Nie wiem nawet, jak teraz wygląda – rzekł w zadumie Greg. – Gdy widziałem ją ostatni raz, dawno temu, miała osiemnaście lat.

– A więc nie jest już dziewczyną – powiedziała Veronique swoim niskim, gardłowym głosem – a kobietą... dojrzałą kobietą, na którą czekałeś... – Jej oczy o wprószymkniętych powiekach zaśniły hipnotycznym blaskiem w półmroku salonu, a gdy przysunęła się Niżej, Greg poczuł jej zapach – cierpki, zielny aromat paproci i polnych kwiatów.

– Teraz, gdy dorosła, pragnęłaby cię równie mocno jak ty jej, prawda, Greg? Wiedziałeś to, nawet gdy była dziewczyną. Przeczuwałeś w niej namiętność, widziałeś ją w swoich ramionach, jej smukłe ciało splecione z twoim...

– O Boże... – jęknął z rozpaczą – tak jej pragnąłem... Marzyłem o naszej nocy poślubnej, wyobrażałem sobie, jak kocha się ze mną równie naturalnie jak leśne zwierzę, bo nie było w niej ani odrobiny fałszu czy pruderii. Oddałaby mi się tak, jak dawała wszystko – do końca.

– Biedny Greg... – Veronique pocieszała go niskim, przejmującym szeptem, lecz na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Wiedziała już to, co chciała wiedzieć.

Do salonu wtargnęła hałaśliwa grupa. Nie przerywając śmiechów i głośniejszej rozmowy, zajęli miejsca przy kominku i wołali o trunki. Veronique wyprostowała się, opuściła nogi na ziemię jednym zwinnym ruchem tancerki i wyciągnęła rękę.

– Chodź – powiedziała półgłosem – dokończymy naszą rozmowę. Chciałabym poznać twoje marzenia, myśli skryte za twym | chmurnym czołem...

Weszli do dwuosobowej windy, obitej wewnątrz miękkim aksamitem w kolorze bursztynu, którą można się było dostać z salonu bezpośrednio na drugie piętro. Złocene drzwi zasunęły się za nimi bezgłośnie. Gregowi wydało się, że traci ostatni kontakt z rzeczywistością. Na górnym piętrze domu pod numerem 16 królowała fantazja we wszystkich odmianach i formach.

– Zrozumiesz wkrótce – obiecywała Veronique, gdy szli trzymając się za ręce po puszystym dywanie – że na drugim piętrze domu pod numerem 16 marzenia stają się prawdą, a ja jestem tu po to, by pomóc ci odnaleźć właśnie to, czego szukasz.

Otworzyła drzwi i biorąc go za rękę szepnęła:

– Chodź ze mną, Greg, a znajdziesz to, czego szukałeś tak długo, kobietę której pragniesz.

Jak zahipnotyzowany pozwolił się wprowadzić do zalanego światłem lamp, ładnie urządzonego pokoju. Na środku stało wielkie łóżko z czterema kolumnkami, jakby przeniesione z wiejskiego dworu z czasów Jakuba I. Wysokie wezgielce, poczerniałe ze starości, było pokryte kunsztownymi rzeźbionymi motywami róż, jednorożców i tarcz heraldycznych. Zasłony z lekkiej gazy w brzoskwiowym kolorze odgradzały od światła i tworzyły przytulne gniazdko.

– Musisz być zmęczony... – Głos Veronique był kojący jak balsam. – Pozwól, że zdejmę ci marynarkę. Usiądź tu w tym wygodnym fotelu, a ja przyniosę ci coś do picia.

Greg oparł głowę o tył fotela i zamknął oczy. Rozluźnił krawat i słuchał delikatnego szelestu sukni Veronique. Po chwili poczuł lekkie dotknięcie na kolanie. Klęczała u jego stóp; w świetle lamp skóra w wycięciu sukni przybrała ciepłą, kremową barwę.

– To dla ciebie – powiedziała podając mu szklanekę wypełnioną mętnym białawym płynem. Spojrzał pytająco, więc dodała: – Zaufaj mi, po tym poczujesz się lepiej. Wypij to szybko, a potem usiądź wygodnie i słuchaj mnie.

Posłusznie wychylił szklanekę.

– Dobrze – westchnęła z zadowoleniem – teraz zdejmę ci buty. Chcę, żebyś się

całkowicie odprężył, a ja w tym czasie powiem ci, jakie cuda mogą się tu wydarzyć, na drugim piętrze domu pod numerem 16. – Zdjęła mu krawat i rozpięła koszulę, a potem stanawszy z tyłu, zaczęła masować kark i szyję kolistymi ruchami. Pod dotykiem jej chłodnych, zwinnych rąk rozluźniały się napięte mięśnie. Veronique pochylała się nisko, by móc szeptać mu do ucha, i znów dotarł do niego jej cudowny zapach wilgotnych paproci i polnych kwiatów.

– To jest pokój marzeń – mruzczała – jesteśmy daleko od innego świata, daleko od zmartwień, daleko od przeszłości... daleko tu przyszłości. Jesteśmy tutaj, teraz, razem... Kobieta, której szukasz, jest tu, w tym pokoju, ta śliczna, smukła dziewczyna o jedwabistej skórze i burzy rudych włosów jest tu w całej krasie swej młodości i niewinności...

Jej ręce przesuwwały się w dół po jego plecach, masując nieustannie.

Greg odniósł wrażenie, że unosi się w ciepłej wodzie. Czuł tylko te miękkie ręce na nagiej skórze i słyszał hipnotyczny głos.

– Mój najdroższy... – Dłonie Veronique przesunęły się po jego piersiach, palce okręwały pieszczotliwie sutki, aż przeszył go dreszcz. – Przybyłeś do krainy spełnionych marzeń, gdzie ukoisz niespokojne serce. – Ukłękła między jego nogami. – Masz takie jędrne, młode ciało, Greg, silne i opalone. Jesteś człowiekiem otwartych przestrzeni, który kocha jeździć konno z dziewczyną swoich marzeń i patrzeć, jak jej włosy rozwiewają się na wietrze... Chodź, pocałuj mnie. – Musnęła drażniąco ustami jego wargi, przesunęła po nich czubkiem języka, jakby próbując, jak smakuje, a potem przywarła do niego w mocnym pocałunku. Uwolniła piersi z sukni, a on przyciągnął ją do siebie z całej siły, nie pozwalając jej oderwać ust. – Nie mogę się doczekać... – szepnęła po długiej chwili, ześliznęła się z niego i zniknęła z obietnicą: – Zaraz wracam.

Greg leżał nieruchomo, zwiesiwszy bezwładnie ręce i nogi, zbyt leniwy, by się poruszyć, czując rozkoszną błogość w każdym nerwie. Nie wiedział, ile trwa nieobecność Veronique, lecz był gotów czekać całą wieczność...

– Chodź, Greg! – zawołała z łóżka. – Chodź do mnie, czekam na ciebie.

Niecierpliwie odsunął przejryste zasłony. Leżała na poduszkach, ubrana w zwykłą białą koszulę nocną, zawiązaną z przodu niebieskimi wstążeczkami. Czy to była Veronique? Przeciągnęła się rozsypując włosy po poduszce.

– Jestem twoim marzeniem, Greg, twoim straconym marzeniem. Spójrz! Czy to nie są włosy twojej ukochanej?

Gwałtownie zaczerpnął tchu i dotknął lśniącego rudego pasma. Przesunął je z zachwytem między palcami. Na twarz Veronique nakładały się niezapomniane rysy Poppy.

– To nasza noc poślubna, na którą oboje tak długo czekaliśmy. Nie musimy już hamować swojej namiętności. Wróciłam do ciebie, Greg, i dziś w nocy będziemy razem. To nasz miesiąc miodowy. Chodź do mnie i kochaj mnie, najdroższy. – Gardłowy głos kobiety stał się jasny i dziewczęcy.

Ujął jej rękę i położył się obok niej. Wychyliła się przez niego i zaciągnęła gazowe zasłony. Zostali zamknięci w ich własnym świecie koloru brzoskwini.

– Zawsze cię pragnęłam, Greg – szepnęła rozwiązując niebieskie tasiemki – ale jestem zupełnie niewinna i nic nie wiem o miłości.! Musisz mnie wszystkiego nauczyć, żebym mogła kochać cię tak gorąco, jak ty mnie.

– Och, najdroższa! – krzyknął upojony szczęściem. – Taki długo na ciebie czekałem...

Przywarł ustami do jej piersi, potem wolno przesunął je niżej, a ona z dziewczęcymi westchnieniami i okrzykami, dygocząc z pożądania, wygięła plecy w łuk i jęknęła głośno. Miotając głową na obie strony i wczepiając się rozrzuconymi rękami w prześcieradło krzyczała I z rozkoszy. Wreszcie zadrżała i opadła na poduszki.

– Teraz wiem, co to jest być oblubienicą – szepnęła – twoją oblubienicą... Och, Greg, kochaj mnie teraz!

Wszedł w nią z jękiem długo powściąganej żądz, a Veronique złapała oddech w udanym bólu i oplótła go mocno ramionami i nogami. Złączeni w jedno osiągnęli szczyt rozkoszy.

– Ach! – krzyknął. – Aaach! Poppy, moja najdroższa!

Przymknięte oczy Veronique otwarły się szeroko.

– Poppy? – szepnęła.

Greg patrzył nieprzytomnie na ich splecione ciała, na rude włosy, błękitne oczy i smukłe, białe ciało swojej ukochanej...

– Poppy – powtórzył, odgarniając jej włosy – moje najśłodsze, małe leśne zwierzątko. Wiedziałem, że taka będziesz.

W głowie Veronique wypadki ubiegłego wieczoru szybko układały się w logiczną całość: odmowa madame, by wyjść do gości, i maskarada Simone, która przedstawiła się jako Poppy. Westchnęła głęboko.

– Greg – odezwała się swoim ciepłym, gardłowym głosem – porozmawiajmy o dawnych czasach... znamy się już tak długo.

Oparł się o poduszki trzymając ją w ramionach.

– Pamiętasz, jak jeździliśmy razem po pastwiskach? Ściagałaś się ze mną, kto z nas zagoni więcej bydła. A wtedy, gdy zawiozłem ciebie i Angel do szkoły w Santa Barbara, jak jej na początku nie cierpiałaś i rozkwasałaś innym dzieciakom nosy? Pomyśleć tylko, nazywaliśmy cię wtedy fasolową tyczką, a jak spojrzę na ciebie teraz...

– Poppy cię kocha – szepnęła Veronique, wyslizgując się spod niego. – Zaraz ci pokażę, jak cię kocha.

Uśmiechnęła się przebiegle, gdy Greg odchylił głowę i zamknął oczy.

– Nazywają mnie kameleonem, panie Konstant – szepnęła cicho. – Potrafię przeniknąć do twojego umysłu i stać się każdą osobą na świecie. A teraz jestem Poppy.

Poppy, skuloną w niewygodnej pozycji na sofie, obudziło stukanie do drzwi. Po wygasłym ogniu i chłodzie panującym w pokoju poznała, że musi być późno. Zegar na kominku wskazywał wpół do piątej. Usiadła i odrzucając w tył potargane włosy zawołała:

– Proszę wejść!

Watkins spojrział na nią zaskoczony. Dotychczas nigdy nie zasypiała, zanim ostatni gość poszedł do domu lub zniknął na górze, a o wpół do piątej zawsze sprawdzała książkę rachunkową, rześka i pełna energii. Lecz teraz wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną.

– Najmocniej przepraszam, ma'am, nie wiedziałem, że pani odpoczywa. Przyniosłem pani książkę, jak zwykle.

– Dziękuję, Watkins – rzekła Poppy ze znużeniem. – Czy wszyscy już poszli?

– Zostało tylko kilku gości, którzy omawiają interesy w bibliotece. Kuchnia przygotowuje im śniadanie na piątą.

Poppy otworzyła książkę, w której zapisywano usługi wszelkiego rodzaju oraz pobraną za nie opłatę. Przesunęła palcem po imionach dziewcząt, sprawdzając, jakich miały klientów. Raptem jej palec znieruchomiał.

– Veronique?... – Nie wierzyła własnym oczom.

– Jest z panem Konstantem, ma'am, tym dżentelmenem z Ameryki, który tak bardzo chciał się z panią zobaczyć. Jego przyjaciel, pan Hammond, jest z Villette.

– Więc on wciąż tu jest? Z Veronique?!

– Tak, ma'am. – Watkins obrzucił ją niespokojnym spojrzeniem, Była śmiertelnie blada. Przestraszył się, że jego chlebodawczyni zemdleje. – Czy pani nie jest chora, ma'am? Może coś przynieść? Czy mam posłać po lekarza?

– Zostaw mnie samą, Watkins – szepnęła Poppy.

Gdy wyszedł, w wybuchu bezsilnej rozpaczyci rzuciła książkę na podłogę. Potem pochyliła się i oparła policzek o chłodną skórę, jaką pokryty był blat biurka. Przez jej ciało przebiegały silne dreszcze. Chciała płakać, lecz nie mogła. Po raz pierwszy myślała o tym, co dzieje się w pokojach na górze, szarpana rozpaczą i zazdrością.

Zatrzymała wzrok na czarnej książce na podłodze, świadectwie jej dokonań i występków. Jeżeli Bóg chciał ją za nie pokarać, to doprawdy okrutną wybrał karę. Przez chwilę pomyślała o swoim dziecku, chowającym się szczęśliwie w bezpiecznym świetle Angel, i wzdrygnęła się na myśl o ogromie swoich win.

Przytłaczała ją cisza tego pięknego domu z tajemnicami kryjącymi się w zakamarkach. Narzuciła futrzaną pelerynę i pobiegła pustym korytarzem do obitych zielonym rypsem drzwi, za którymi była kuchnia. Ignorując zdziwione spojrzenia służby szykującej śniadanie, wyszła przez tylne drzwi na podwórko, po czym pobiegła w stronę Avenue du Bois de Boulogne. Jej kroki dźwięczały donośnie na pustej ulicy. Na rogu przystanęła z wahaniem i rozglądała się bezradnie, nie wiedząc, w którą stronę ruszyć. Przejeżdżająca dwukołowa dorożka zatrzymała się przy niej. Poppy wsiadła do środka. Woźnica spojrzał na nią podejrzliwie. Była ubrana jak wielka dama, lecz wyglądała jak szalona... Pewnie uciekła od męża lub, co bardziej prawdopodobne o tej porze, od kochanka.

– Niech pan jedzie przed siebie – szepnęła Poppy. – Chcę dać odpocząć myślom.

Woźnica wzruszył ramionami i stwierdził w duchu, że jego domysł był słuszny. Poppy skuliła się w kącie dorożki i patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno rozpamiętywała raz po raz wszystkie swoje błędy. Gdyby nie pojechała z Angel do Europy, gdyby nie spotkała Felipe, mogłaby być teraz żoną Grega, zamiast wieść tę nędzną egzystencję. „Bogactwo! – pastwiła się nad sobą w myślach. – Pamiętaj, sama mówiłaś, że tylko tego jednego pragniesz... że skończyłaś z miłością!”

Dorożka jechała wzdłuż Sekwany. Poppy spojrzała tępo na srebrnoszarą gładką wodę i wydało jej się, że to dla niej jedyna ucieczka od przeszłości i bolesnych wspomnień. Wyobraziła sobie, jak zimna toń zamyka się nad jej głową, pozostawiając na chwilę drobną zmarszczkę na powierzchni, a potem znów się wygładza bez śladu. Myślała o tym niemal z tęsknotą, tak bardzo czuła się samotna i opuszczona. Nagle wciągnęła oddech, bo przypomniał jej się Riccardo. Dotknęła z podnieceniem pereł na szyi. Jakżeż mogła o nim zapomnieć? O tym, jak czule i namiętnie ją kochał... Była z nim taka szczęśliwa! Uczepiła się tej myśli jak jedyne ratunku. Musi natychmiast do niego zadzwonić i powiedzieć, że go potrzebuje, że ma zaraz do niej przyjechać... Tylko on mógł znów nadać sens jej życiu. Tylko on mógł ją zrozumieć.

– Proszę mnie zawieźć do domu! – zawołała niecierpliwie. – Numer 16 przy rue

des Arbres.

Woźnica uniósł brwi skręcając w Avenue du Bois de Boulogne. Teraz ją rozpoznał. Przecież to była słynna madame Poppy!

Greg obudził się wypoczęty po głębokim śnie. Zdumiony powiódł wzrokiem po nieznanym wnętrzu i wróciły do niego wspomnienia zeszłej nocy. Był tutaj z Veronique, a potem wydawało mu się, że trzyma w ramionach Poppy. Musiał mu się przyśnić ten cudowny, szalony sen, tak wyraźny, jakby był rzeczywistością. Atlasowa poduszka obok niego była gładka, jakby nikt na niej nie spał, a gdy odciągnął zasłony, zobaczył, że prócz niego w pokoju nie ma nikogo. Ktoś zastukał do drzwi i pokojówka w fartuszkach wniosła tacę ze śniadaniem.

– *Bonjour, m'sieur* – powitała go. – Właśnie miałam pana obudzić. Mademoiselle Veronique powiedziała, że wyjeżdża pan dzisiaj, a pociąg do Cherbourga odchodzi o dziewiątej. Kazała pana obudzić o szóstej. Przyniosłam śniadanie: kawę, grzanki, rogaliki i bułeczki z czekoladą. Jeżeli życzy pan sobie czegoś jeszcze, zaraz podam. Och, jeszcze jedno! Posłaliśmy do pańskiego hotelu po zmianę ubrania – koszulę, garnitur, wszystko, co panu trzeba. Lokaj za chwileczkę przygotuje kąpiel. *Bon appetit*.

Greg oparł się o poduszki i pomyślał z podziwem, że to miejsce jest prowadzone jak najlepszy hotel. Obsługa zapewniała wszelkie wygody i nie szczędziła wysiłków, by zadowolić swych gości. Więcej, tu spełniały się marzenia. Przez jedną jedyną noc w swoim życiu był w pełni szczęśliwy.

Pijąc kawę zadumał się nad własną głupotą, która kazała mu każdej wiosny przyjeżdżać do Europy i wieść jałowe poszukiwania. Stracił na nie zbyt wiele czasu. Teraz jasno rozumiał, że Poppy dawno by do niego wróciła, gdyby tego chciała. Wiedziała przecież, że nie ma takiej sytuacji, w której by jej nie pomógł. Angel miała rację – to była świadoma decyzja Poppy, świadomy wybór. Zostawiła go dla innego mężczyzny i najwyższa pora, by spojrzeć prawdzie w oczy.

W pół godziny później wykąpany i przebrany stał na stopniach domu pod

numerem 16 czekając, aż odzwierny przywoła dorożkę. Jedna zwolniła przejeżdżając obok, lecz po chwili woźnica przyspieszył. Greg dostrzegł przelotnie kobiecą postać w środku, lecz pogrążony w myślach nie zwrócił na nią uwagi. Wsiadł do następnej dorożki.

– Proszę do hotelu „Lotti” – polecił oglądając się za siebie z uśmiechem. Wiedział, że zapamięta ten dom czarów, który dziwnym trafem odegrał ważną rolę w jego życiu. Wracał do Santa Barbara z lekkim sercem. Koniec z oglądaniem się w przeszłość!

Poppy czekała, aż dorożka wioząca Grega skręci za róg. Wyteżała wzrok, żeby się przyjrzeć pasażerowi. Nie zmienił się ani trochę, poznałaby go wszędzie. Od wysokiej, eleganckiej sylwetki biła pewność siebie człowieka, który wie, dokąd zmierza. Wiedziała, że już za późno, by wybiec mu na spotkanie i zarzucić ramiona na szyję. Greg i ona należeli do innych światów.

Pobiegła do swego apartamentu i poprosiła o natychmiastowe połączenie z Włochami, choć wiedziała, że będzie to trudne, a słyszalność kiepska.

– Jak najszybciej! – dodała, tłumiąc szloch. – To sprawa życia i śmierci!

Rozdział 45

1907, WŁOCHY

Sala konferencyjna w willi Riccarda Malvasiego była urządzona z klasyczną prostotą. Gdy jego matka umarła w dwa lata po ojcu, uprzątnął dom z ciężkich złożonych mebli, aksamitnych kotar i setek bibelotów i ozdóbek, które rodzice gromadzili przez całe życie. Potem przeszedł przez wszystkie pokoje oglądając oczami wyobraźni wnętrze, które odzwierciedlało jego upodobania i umiłowanie piękna.

Wyburzył część ścian działowych, by zwiększyć rozmiary pomieszczeń, dobudował dwa nowe skrzydła i klasyczną fasadę z marmurowymi kolumnami. W przedsionku powiesił wybrane przez siebie arrasami z Anglii i Francji. Z zewnątrz

kazał pomalować dom na tradycyjny tokański kolor ochry, co stanowiło piękne tło dla białych kolumn i okiennic. Dokupił ziemi, by poszerzyć ogrody, opadające w wielu tarasach, obrzeżonych marmurową balustradą. Wzniósł wyższy niż poprzednio mur wokół posiadłości, najeżony stalowymi kolcami i tłuczonym szkłem, który miał chronić przed wrogami.

Troskliwie dobierał poszczególne elementy wnętrza, od mebli i dywanów aż po każdą lampę i kinkiet, zyskując efekt powściągliwej elegancji i tej prostoty, która kosztuje grube pieniądze.

Wreszcie skupił uwagę na swojej ukochanej dziedzinie – płótnach starych mistrzów, zwłaszcza szkoły włoskiej. Nigdy nie przekroczył progu galerii sztuki ani domu aukcyjnego, lecz zatrudniał obrotnego pośrednika, który wyszukiwał upatrzone przez niego dzieła i zdobywał je za wszelką cenę. Pierwszym nabytkiem była Madonna Botticellego z 1486 roku, którą powiesił w sypialni między dwoma zabytkowymi florentryńskimi kinkietami ze srebra. Pod obrazem na stoliku przykrytym szkarłatnym jedwabiem stały fotografie matki i ojca, a nad łóżkiem wisiał różaniec i krucyfiks, dany mu przez matkę na pierwszą komunię. To była jedyna dekoracja pomieszczenia, do którego nie wchodził nikt poza nim i służbą.

Jego kolekcja wzbogacała się z roku na rok o wspaniałe płótna włoskich mistrzów: Giotto, Paula Uccella, Fra Angelico, wspaniałego Rafaela, Correggia, Tintoretta, Tycjana i Veronesa. Zbierał również rzadkie książki, średniowieczne psalterze, iluminowane brewiarze. Kupił dwa globusy, na których wyobrażona była renesansowa mapa świata. Pasjonował się kolekcjonerstwem w samotności, gdyż nie miał przyjaciół spoza kręgu Rodziny. Ze względów ostrożności nie sprowadzał kobiet do domu – do tego służył mu apartament w Neapolu. Pewnego dnia zamierzał się ożenić z odpowiednią dziewczyną i spłodzić dziedzica. Uważał, że jego styl życia zapewnia mu dosyć przyjemności, które równoważą stresy związane z jego stanowiskiem, i przed poznaniem Poppy nie wymagał więcej. Teraz przewracał się bezsennie w łóżku wspominając świeży, słodki zapach jej włosów i skóry, uśmiechnięte oczy o figlarnie uniesionych kącikach. Nieraz przeklinał Felipe

Rinardiego, gotów niemal go zabić za krzywdę, jaką jej wyrządził, lecz potem nachodziła go refleksja, że gdyby nie to, Poppy dawno wyszłaby za Grega Konstanta i żyła szczęśliwie w Kalifornii, a on nigdy by jej nie poznał.

Nawet teraz, na ważnej naradzie, którą sam zwołał, jego myśli zbaczały ku niej. Zmusił się do koncentracji i przesunął wzrokiem po twarzach wokół stołu. Zgromadził tu dzisiaj wszystkich, którzy pełnili w Rodzinie kierownicze funkcje; prawników, doradców finansowych i bankierów, jak również ludzi, którzy kierowali akcjami w terenie. Choć nigdy nie wybaczył ojcu przemieszczenia, jakim było wyznaczenie Stefano na spadkobiercę, spełnił swój synowski obowiązek i rozbudował organizację do tego stopnia, że zdominowała świat przestępczy na całym południu Włoch.

Po lewej ręce Malvasiego siedział Carmine Caetano, prawnik, który ostrzegł go o odstępstwie ojca. Ten lojalny członek Rodziny zachował swoje wysokie stanowisko. Riccardo uczynił go bogatym człowiekiem i cenił jako dobrego organizatora.

Za nim siedział Gaspari, bankier, którego Riccardo mianował dyrektorem Banco Credito e Maritimo. Był to postawny, siwowłosy mężczyzna w prążkowanym garniturze. Wyglądał nieco staroświecko, co budziło szacunek i zaufanie do jego solidności. Malvasi założył pierwszy bank w tym samym roku, w którym umarł jego ojciec, a teraz miał ich siedem, łącznie z filią w Marsylii. Banki dawały nieocenione korzyści; można było przez nie przepuszczać wielkie ilości zarobionych nielegalnie pieniędzy. Toteż Gaspari był bogaty i również, jak Caetano, lojalny.

Salvatore Melandri pochodził z Sycylii. Podobnie jak Malvasi ukończył w Stanach Zjednoczonych kursy prowadzenia przedsiębiorstwa i łączył bystrą inteligencję finansisty z przebiegłością wieśniaka. Riccardo wysoko sobie cenił jego zmysł w interesach i wynagradzał sownie.

Po prawej stronie Riccarda siedział Giorgio Verone, młodzieniec, który nie ukończył jeszcze trzydziestki. Mimo młodego wieku dochrapał już funkcji prawej ręki capo dzięki determinacji i ambicji. Szybko tłą uczył, rozkazy wykonywał co do joty, a w razie potrzeby sam zabijał bez litości. Malvasi nie miał

powiernika, któremu zawierzałby wszystkie swoje myśli, plany i wątpliwości, lecz Giorgio, jako jedyny z całego kierownictwa, był dla niego kimś w rodzaju przyjaciela.

Pozostała dwunastka pełniła kierownicze funkcje w poszczególnych dziedzinach, choć nie orientowała się w ogólnej sytuacji. Każdy zajmował się swoją działką i składał raporty. Na ogół podobnie jak Giorgio pochodzili z nizin społecznych i wybili się dzięki własnemu uporowi. Byli tak ściśle związani z Rodziną, jakby w niej się urodzili.

Malvasi jako głowa Rodziny cieszył się powszechnym poważaniem. Ceniono go za sprawiedliwość i hojność, nawet wobec rodzin szeregowych członków, których nie znał osobiście. Płacił za leczenie w szpitalu i pogrzeby, chodził na chrzty i dawał szczodre podarki na Boże Narodzenie.

Dzisiaj w zgromadzeniu panował jakiś niepokój. Riccardo wyczuł go jak drżenie gruntu przed trzęsieniem ziemi. Nie znał przyczyn, ale odsunął na razie ten problem na bok, zajęty pilniejszą sprawą.

– Panowie, znacie zapewne wszyscy powód, dla którego się tu zebraliśmy. Powtarza się go z ust do ust nawet na ulicach. Rodzina Palozzich zazdrości nam władzy. Żądają oddania części ich terytorium, mul którą rozciągnęliśmy kontrolę dziesięć lat temu. Kilka dni temu Mario Palozzi przyszedł do mnie osobiście, by ofiarować sojusz w zamian za oddanie tego obszaru. Jednym słowem, obiecuje nam dozgonną wdzięczność, jeśli spełnimy jego życzenia. Odparłem mu, że taki dar zobowiązałby każdego. Rodzina Malvasich zdobyła te tereny w uczciwej walce, gdy jego własna osłabła poprzez nieudolne kierownictwo. Oświadczyłem, że musimy kroczyć naprzód, a nie cofać się, i że powinniśmy zachować wzajemną przyjaźń. Lecz gdy obejmowałem go na pożegnanie... – Riccardo zrobił pauzę i rozejrzał się wokół – widziałem przed sobą twarz wroga.

– Ci Kalabryjczycy to wieczni podżegacze! – zawołał pogardliwie Caetano. – Tak było zawsze. Gdyby nie zaczepili nas, porwaliby się na kogoś innego. Mario Palozzi jest grubym, wiejskim ćwokiem, który ma pretensje do wielkości. Dajcie mu władzę,

a nie wiedziałby, co z nią zrobić!

– Mario ma dosyć liczenia się z groszem, a jest leniwy i rozrzutny – stwierdził Gaspari.

– Za bardzo zasmakował w roli magnata – dorzucił Melandri. – Ludzie mówią, że trzyma żonę i siedmioro dzieciaków w skromnym domu w swojej wiosce, a sam bryluje w pałacu w mieście, otoczony przez kobiety i świtę. Wątpię jednak, czy sprawi nam duże kłopoty. Brak mu zarówno pieniędzy, jak i poparcia własnych ludzi.

– Prawda, że to głupiec – przyznał Giorgio Verone, który wspiał się blisko szczytów władzy – ale rozwścieczony głupiec. Jego ludzie rzeczywiście się burzą. Jego wpływy są coraz mniejsze, bo każdy, poczawszy od pętałów, które zbierają opłaty za bilety loteryjne, a skończywszy na osiłkach ściągających haracz za opiekę, chowa forszę do własnej kieszeni. Kilka jego przedsięwzięć padło. Mario jest zrujnowany. Moim zdaniem można by przejąć Rodzinę Palozzich bez specjalnego zachodu.

Riccardo spojrział na niego ostro.

– O tym nie było mowy. Wiesz, że nie lubię niepotrzebnego rozlewu krwi.

– Owszem, *padrone*. – Usta Giorgio Verone wygięły się w uśmiechu. – Ale czy cel nie uświęca środków?

– Mimo że jego sprawy są nieuporządkowane, Rodzina ma obowiązek stanąć w obronie *capo* – odparł chłodno Riccardo. – To nieuchronnie oznacza następną krwawą wojnę. Nie chcę, żeby moja Rodzina zyskała sobie opinię zwykłych bandytów.

Zapadła cisza. W pokoju obok przenikliwie zadźwięczał dzwonek telefonu i ktoś się podniósł, by go odebrać. Giorgio westchnął, Właśnie nabierał rozpędu – wiedział, że mając dosyć czasu przekonałby *padrone* o konieczności wyeliminowania Maria. Wtedy, oczywiście, Rodzina Palozzich potrzebowałaby nowego *capo*. A kto nadawał się do tego lepiej od niego samego? Kariera, którą rozpoczął w wieku siedmiu lat od sprzedaży biletów loteryjnych, była trudna i

ryzykowna, lecz nie zamierzał spocząć na laurach. Był młody, przebiegły, znał na i wylot wszystkie ciemne interesy Rodziny i nie wahał się sięgać po broń.

Patrzył z goryczą na Riccarda. Zmarszczka, która rysowała się między brwiami *padrone*, zniknęła, gdy powiedziano mu, kto dzwoni.

Nagle odmłodził o dziesięć lat. Wyglądał jak ktoś, kto właśnie wygrał majątek. Albo jak zakochany. Rozejrzył się wokół niepewnie i Giorgio odgadł dylemat, w jakim Riccardo Malvasi się znalazł: całym sercem rwał się do telefonu, lecz nie mógł dla byle błahostki odwoływać narady, na której omawiano tak ważne sprawy.

– Powiedz jej, że zaraz podejść – zdecydował w końcu i podniósł się z miejsca oparłszy dłoń na ramieniu Giorgia. – Kontynuujcie dyskusję. Dołączę do was za chwilę.

Savatore Melandri ze swadą podjął wątek, lecz Giorgio śledził wzrokiem wychodzącego z pokoju *capo*, wyczuwając wysiłek, z jakim starał się nie okazać pośpiechu. Gdyby mógł, pobiegłby wielkimi susami. Giorgio zaś wiedział, kto jest na drugim końcu linii.

Głos Poppy był tak stłumiony, że Riccardo ledwie go poznał.

– Poppy! – zawołał, przekrzykując głośnie trzaski na linii. – O co chodzi? Stało ci się coś złego?

– To Greg! – wyszlochała w słuchawkę. – Och, Riccardo, to chodzi o Grega!

Przycisnął mocniej słuchawkę do ucha.

– Kochana, spróbuj się uspokoić i opowiedz, co się stało. Czy jesteś chora?

– Widziałam go, Riccardo. Był w domu pod numerem 16... z Veronique...

Riccardo oparł czoło o chłodną bladozieloną ścianę. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, lecz Poppy wiedziała, że on zna jej przeszłość. Przeniknął jej tajemnice już dawno, a teraz spoczywały ukryte w teczce w sejfie przy jego łóżku.

– Czy już wyjechał? – spytał ogarnięty nagłym strachem. Potwierdziła z płaczem. Poczul tak wielką ulgę, że głos zaczął mu drżeć:

– Więc wszystko w porządku, kochanie – powiedział. – Uspokój się. Poślij po

Simone i wyjedź z nią na wieś... Musisz się stamtąd wyrwać na parę dni.

– Nie chcę Simone, chcę, żebyś ty tu był! Jestem w rozpacz. Przejeżdżałam dzisiaj nad Sekwaną i miałam już takie czarne myśli... Och mój Boże! Sama nie wiem, co się ze mną działo... Zobaczyłam przeszłość i zdałam sobie sprawę, kim się stałam.

Ricardo spojrział na Giorgia, który stanął w drzwiach.

– Czekamy na pana, *padrone*. Sprecyzowaliśmy kilka ciekawych możliwości.

Malvasi zmarszczył brwi. Giorgio przekroczył dopuszczalne granice i kiedy indziej ostro by się z nim rozprawił, lecz słyszał szloch Poppy, a jej rozpacz łamała mu serce.

– Proszę, Riccardo – błagała przejmująco. – Och, proszę, zaklinam cię na wszystko. Tylko ty możesz mi pomóc! Powiedz mi, że wszystko będzie dobrze, że mnie kochasz, że istniejemy tylko my na całym świecie. Wymaż go z mojej pamięci. Na litość boską, przyjedź do mnie do Montespan! Tam, kiedy ty jesteś przy mnie, wiem, że istnieję naprawdę!

– Jesteś zbyt rozstrojona, żeby samej prowadzić, każ się komuś zawieźć. I czekaj na mnie. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

– Jeszcze dzisiaj? – prosiła Poppy.

Zerknął na Giorgia, wciąż czekającego w półotwartych drzwiach.

– Jeszcze dzisiaj – zgodził się.

Giorgio wrócił na swoje miejsce. Teraz wiedział dokładnie, skąd wiatr wieje.

Rozdział 46

1907, FRANCJA

Montespan było jedynym miejscem od czasów rancza Santo Vittoria, w którym Poppy czuła się jak w domu. Przyjechali oglądać ten dom jako pierwszy i od razu przypadł jej do serca niski spadzisty dach kuty łupkiem, z dwoma symetrycznie postawionymi kominami, duże okna z przekrzywionymi zielonymi okiennicami, różowe ściany i dobudówki po obu bokach, jak rozpostarte na powitanie ramiona.

Nie chciała już oglądać następnych.

Podłoga w korytarzu była wyłożona kamiennymi płytami, w pokojach jasnymi deskami wiązowymi. Stare, czternastowieczne belki nie poczerniały z upływem czasu. W domu było dużo przestrzeni i powietrza. Riccardo zaśmiewał się głośno – jego śmiechu nigdy nie usłyszał nikt z Rodziny – gdy biegała z pokoju do pokoju, wykrzykując z zachwytem w miarę kolejnych odkryć: starego kredensu, wielkiego i imiennego paleniska, pralni z głębokim zlewem, gdzie mogła moczyć cięte kwiaty.

– Mieszkasz w zawrotnym luksusie, a zachwycasz się jakimś starym kamiennym zlewem i paroma gratami?

– Dom pod numerem 16 to miejsce pracy – odparła wyniośle. – Nigdy nie uważałam, że jestem tam u siebie.

W sypialni belki zbiegały się nad dwoma bliźniaczymi oknami, które wychodziły na łąkę. Za nią rósł rząd drzew, a jeszcze dalej lśnił w słońcu burzliwy strumień, który pieniąc się i bulgocząc płynął między wygładzonymi przez wodę kamieniami i dwadzieścia kilometrów dalej wpadał do rzeki Cher.

Poppy urządziła dom z pełną uroku prostotą. Porzuciła jednostajne szarości. Ożywiła wnętrza indyjskimi i tureckimi kobiercami o żywych barwach, w oknach powiesiła krochmalone bawełniane firanki z Prowansji, porozstawiała wielkie kosze wonnych suszonych kwiatów z miejscowego targu. Pozostawiła solidne wiejskie stoły, krzesła, które wypolerowały siedzenia całych pokoleń wieśniaków, oraz łóżko z wiązowego drewna. Ulubionym meblem Poppy była szesnastowieczna ogromna szafa z jasnego wiązu na wyprawę panny młodej, wyciosana z jednego pnia drzewa i ozdobiona rzeźbionymi bukietami kwiatów przez rzemieślnika z zamierzchłych czasów dla swojej żony. Poppy za każdym razem po przyjeździe do Montespan, przebrawszy się w prostą bluzkę i spódnicę, tu chowała swoje paryskie stroje i z utęsknieniem myślała o dniu, w którym i ona zostanie szczęśliwą oblubienicą.

Gdy podjeżdżała do domu, zawsze ogarniała ją fala radosnej beztroski. Ciężar poczucia winy i kłopoty codziennego życia jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki spadały z jej barków. Stawała się zwykłą młodą kobietą, jadącą na spotkanie

z kochankiem. Dzisiaj jednak kierując ciemnozieloną limuzynę de courmont na zwirowany podjazd nie poczuła zwykłego uniesienia. Weszła do środka i zaczęła grzać się przy ogniu, rozpalonym przez starą gospodynię, madame Joliot, która mieszkała w domku przy końcu alei. Zajmowała się domem i doglądała drobiu. Jej mąż uprawiał ogród, rąbał drwa na opał i miał w swojej piecy małe stado fryzyjskich koni w czarno-białe łaty.

Poppy zdjęła elegancką suknię, otuliła się w miękki szlafrok z niebieskiego kaszmiru i położywszy się na łóżku, utkwiała wzrok w migoczących płomieniach. Czekwała na Riccarda. Czuła się tak, jakby jej życie stanęło w miejscu i mogło potoczyć się dalej dopiero z chwilą przyjazdu ukochanego. Zmusiła się, by nie myśleć o Gregu i o tym, co się wydarzyło. W mózgu miała pustkę, widziała tylko ogień i Luchaya na starym drewnianym drążku, zerkającego na nią czujnymi topazowymi oczami. Wszystkie uczucia w niej ostygły, choć wiedziała, że po przyjeździe Riccarda odezwią się na nowo ból, miłość i gniew. I żal. Lecz Riccardo je ukoji i wszystko znów będzie dobrze.

Zapadła w niespokojną drzemkę, uspiąca tykaniem zegara, którego monotonię przerywał tylko trzask polan, osuwających się niekiedy na palenisku. O świcie zbiegła boso na dół, otworzyła frontowe drzwi i osłoniwszy dłonią oczy, wypatrywała samochodu na drodze, ale aż po horyzont było pusto i cicho. Telefon również milczał jak zaklęty. Luchay przyfrunął do niej, gdy znów wtuliła się w poduszki.

– Luchay, powiedz, że on przyjedzie – wyszeptała do ulubieńca.

Madame Joliot biegła cały dzień na górę z filiżankami kawy i czarkami gorącego rosółu, Poppy jednak odwracała twarz do ściany i naciągała kołdrę na głowę. Kiedy przyszła pora kolacji, zaniepokojona gospodyni poszła do domu, gdzie czekał na nią mąż.

– Madame jest chora albo dostaje bzika. Nie chcę jej zostawiać w takim stanie, bo Bóg wie co może zrobić.

– A gdzie jest jej mąż? – spytał monsieur Joliot maczając w zupie kawałek

chrupkiego chleba. – On powinien być przy niej, a nie ty.

– Jaki tam mąż! Ona nie nosi obrączki, chociaż trzeba przyznać, prawdziwa z niej dama. Boję się ją zostawić. Wrócę tam po kolacji i zostanę na noc. Prześpię się w kuchni.

W domu było cicho i ciemno. Madame Joliot zapaliła lampy i dołożyła dREW do kominków. Nastawiła czajnik i wkrótce jego swojskie pogwizdywanie towarzyszyło trzaskowi ognia i skrzypieniu młynka do kawy. Podgrzała mleko z rannego udoju, wlała je do miseczki z pokruszoną bułką i dodała szczyptę cukru.

– Proszę, niech pani choć spróbuje – zwróciła się błagalnie do nieruchomej postaci pod skłębioną pościelą. – Dobrze to pani robi. Nie ma sensu się głodzić.

– Taka pani uprzejma, madame Joliot – szepnęła Poppy i spojrzała na nią z wdzięcznością – lecz powinna pani wrócić do męża.

– Da sobie radę, a ja sama najlepiej wiem, komu potrzebna opieka – ofuknęła ją dobrodusznie gospodyni.

– Chciałam płakać, ale nie mogłam. Czy to nie straszne? – mówiła Poppy ze znużeniem. – Chyba wylałam już wszystkie łzy.

– Czasami to się zdarza w głębokim smutku – powiedziała cicho madame Joliot. – Czy chodzi o monsieur Riccarda? – dodała niepokojem.

Poppy patrzyła na nią, ale jakby jej nie widziała.

– Może – wyszeptała po długim milczeniu – może właśnie tak.

„Jak zwykle, kłopoty z mężczyzną” – stwierdziła w myśli madame Joliot. Sprzątnęła kuchnię i usadowiła się z filiżanką kawy w bujanym fotelu przy ogniu. Cóż, wedle jej doświadczenia kobiety zawsze jakoś sobie z tym w końcu radziły.

W ciemności droga znikwała pod kołami ciemnobrązowej limuzyny Simone Lalage. Riccardo słuchał deszczu bębniącego w dach i żałował, że sam nie siedzi za kierownicą. Odbył długą podróż – najpierw pociągiem do Rzymu, potem przez Genuę do Nicei, a stamtąd do Paryża. Pociąg dojechał z trzygodzinnym opóźnieniem z powodu gwałtownych burz, jakie szalały na południu Francji. Riccardo zadzwonił

z Nicei do Simone prosząc o przysłanie samochodu wprosi na stację, żeby od razu mógł ruszyć w dalszą drogę. Ponieważ Simone myślała o wszystkim, w bagażniku była pokaźna ilość szampana i smakołyków, które mogłyby skusić umierającego – lub parę kochanków. Riccardo był zmęczony, brudny i nie ogolony. Gnębił go niepokój o Poppy: od ostatniej rozmowy telefonicznej nie dała znaku życia. Od Simone usłyszał, co zaszło w domu pod numerem 16.

– Widziałam, że Poppy jest zdenerwowana i nie chce go widzieć, ale nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak się tym przejmie...

W dodatku dręczyły go myśli o napiętej sytuacji, jaką pozostawił w Neapolu. Pocieszał się, że nie ma pośpiechu – rada Rodziny! podczas jego nieobecności obmyśli plan działania i przedstawi mu go po powrocie, by podjął decyzję o wojnie lub polubownym załatwieniu sprawy. Życie czy śmierć dla Maria Palozziego? Na twarz Maria nakładała się jasna twarz Poppy, roziskrzona błękitne oczy, mlecznobiała cera, której nigdy nie opalało słońce. Wyobrażał sobie ukochaną, jak biegnie boso i bez kapelusza po łące, a jej rozwiane włosy błyszczą oślepiająco w słońcu, włosy, które na poduszce, w świetle księżyca, miały brunatny kolor. Jęknął w duchu. Nie zniesie, jeżeli okaże się, że ona wciąż kocha tamtego.

Dojeżdżali na miejsce, pod kołami zazgrzytał żwir podjazdu. Riccardo wyjrzał przez zalaną strugami deszczu szybę na ciemny dom, Wysiadł z samochodu i wszedł do środka. Tutaj nigdy nie ryglowano drzwi. Dojrzał w przelocie madame Joliot, drzemiącą przy ogniu z dużym rudym kotem na kolanach. Nie opodal leżał na swoim posłaniu czarno-biały collie, który przeszedł na ich własność razem z domem. Poznał kroki nowego pana i machając ogonem obserwował go cicho ze swojego miejsca.

Riccardo wbiegł po trzeszczących schodach i otworzył drzwi sypialni. Poppy siedziała na łóżku patrząc na niego, a czerwonawy blask zwęglonych polan rzucał na jej twarz ciepłą różową poświatę. W tym półmroku jej oczy wydawały się prawie czarne.

– Przyjechałem, żeby rozstrzygnąć swoją przyszłość. Poppy, czy wciąż kochasz

Grega Konstanta? Czy chcesz do niego wrócić? – Chwył ją za ramiona. – Odpowiedz mi! – zażądał szorstko, z rozpaczą. – Chcę zaraz poznać prawdę!

– Nie! Nie! – krzyknęła. – Nie rozumiesz tego? To Poppy Mallory kochała Grega! A ja jestem madame Poppy i kocham ciebie, tylko ciebie... Dzięki Bogu, że przyjechałeś, tak mi ciebie brakowało!

Oczy jej zaszyły łzami. Wybuchnęła histerycznym płaczem, obejmując go kurczowo za szyję. Przytulił ją i czule uspokajał, a Luchay obserwował ich bez zmrużenia powieki ze swojego drewnianego drążka.

Riccardo wygładził poduszki, przyniósł świeżą koszulę nocną, ubrał w nią Poppy jak dziecko, a potem otulił kołdrą i poszedł podrzucić do ognia. Rozebrał się i stanął na chwilę nagi przed płomieniami. Ciało miał muskularne i zwinne, poddawał je równie twardej dyscyplinie, co całe swoje życie. Wzbierało w nim pożądanie, chęć, by znów poczuć, że Poppy do niego należy, lecz wiedział, że musi poczekać, aż ona odeśpi łzy i wyczerpanie. Jutro rozpoczną nowe życie bez cienia Grega Konstanta.

Gdy nadszedł szary, wietrzny poranek, Poppy obróciła się w jego ramionach, wyczuwając jego pragnienie. Ich usta spotkały się w pocałunku, który był czymś więcej niż tylko wyrazem pożądania. Oboje przenikało głębokie uczucie i akt miłosny, który ich połączył, nabrał nowego znaczenia jako symbol całkowitego wzajemnego oddania.

Wiosenne burze przeszły tak nagle, jak się pojawiły, odsłaniając czyste błękitne niebo z białymi chmurkami jak kłębki bawełny. Następne dwa tygodnie były najszczęśliwszym okresem w życiu Poppy. Po raz pierwszy przestała porównywać teraźniejszość z przeszłością, siebie samą z dawną Poppy, a Greg Konstant nie prześladował już jej myśli.

Z czoła Riccarda zniknęły bruzdy zafrasowania. Stał się lekkomyślny i rozbrykany jak młody chłopak. Ze śmiechem gonili się po łące w biegu do strumienia, a potem zrzucali ubrania i wskakiwali w lodowate rozlewisko za tamą z wielkich głazów. Razem przyprowadzali krowy z pastwiska, nieudolnie próbowali je doić i uciekali opryskani białą pianą, gdy zniecierpliwione zwierzęta kopały wiadro.

Buszowali po zaroślach szukając ulubionych miejsc kur na znoszenie jaj. Siedzieli pod wierzbą popijając szampana – podarunek od Simone i mocząc w wodzie zaimprovizowaną wędkę w daremnej nadziei złowienia pstrąga na kolację. Nie odbierali telefonów i nie czytali gazet. Odgradzili się od świata i prowadzili sielską egzystencję, wypełniając dni mnóstwem prostych rozrywek, napychając się niewyszukanym wiejskim jedzeniem i kochając się namiętnie.

Pewnego dnia siedzieli naprzeciw siebie po kolacji złożonej z wielkiego puchatego omletu i świeżej sałaty, którym towarzyszyło chłodne, delikatne białe wino. Riccardo rozkoszował się nie znanym dotąd prostym życiem z jego przyjemnościami i tęsknotami. Widział już siebie jako męża Poppy, prowadzącego to małe gospodarstwo. Wyobrażał sobie codzienne powroty po pracy w polu i żonę czekającą w progu, może z dzieckiem na ręku. Jego synem, który odziedziczyłby Montespan wraz ze spokojnym, pełnym radości życiem. Nie mógł sobie wyobrazić większego szczęścia.

– Któż mógłby żądać więcej niż to, co mamy? – pomyślał na głos. – Nie chcę nigdy stąd wyjeżdżać.

Poppy roześmiała się i chwyciła go za rękę poprzez stół.

– Nie dałbyś tu sobie rady ani przez pięć minut, gdyby nie dbała o ciebie kobieta – przekomarzała się.

– Były różne kobiety w moim życiu – odparł na serio – ale z żadną nie wytrzymałbym sam na sam nawet przez jeden dzień. Ty jesteś moją kobietą, nikt inny, i tak będzie zawsze.

– Wiem – przytaknęła z uśmiechem.

Madame Joliot i jej mąż co czwartek jechali na targ. Wracali po obfitym obiedzie w restauracji, objuczeni owiniętymi w gazetę produktami: wyrośniętym pasztetem i pięknym płatem cieleciny od rzeźnika, świeżymi pstrągami i karczochami. Poppy i Riccardo pobiegli do kuchni, przyciągnięci apetycznym zapachem rosolu.

– Dlaczego my nie złapaliśmy takiej ryby? – narzekał Riccardo dotykając

srebrnych łusek okazałego pstrąga.

– Używał pan niewłaściwej przynęty, m’sieur Riccardo – odrzekła gospodyni kręcąc się między spiżarnią a kuchnią – zresztą nasz strumień jest za płytki, ryby widzą cień człowieka. Tu można je tylko łapać ręką.

– Madame Joliot, pani jest istną kopalnią wiadomości – oświadczył zaglądając do następnej paczki. – A to co, karczochy? Moje ulubione... – urwał w połowie zdania, gdyż przyciągnęły jego uwagę wielkie czarne litery: „Zabójstwa w świecie przestępczym na południu Włoch. Masakra w Kalabrii i Neapolu”.

– Ugotuję je teraz dla pana – gawędziła madame Joliot – i podam na zimno z nadzieniem z krabów dziś na kolację.

– Cisza! – Głos Riccarda zadźwięczał naraz tak obco i zimno, że aż podskoczyła.

– Co się stało? – Poppy struchlała widząc jego ściągniętą twarz.

Bez słowa odpowiedzi złapał gazetę, aż pękate zielone karczochy posypały się na podłogę, złożył ją starannie i wyszedł z kuchni. Madame Joliot przeczuwając kłopot zaczęła się krzątać w spiżarni. Poppy z pytającym okrzykiem pobiegła bosą przez chłodną sień, wyłożoną kamiennymi płytami, i po schodach na górę.

Riccardo stał przy oknie czytając wymięty strzęp gazety. W końcu zgniótł go w kulę i wetknął do kieszeni.

– Muszę wyjechać, Poppy – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu – natychmiast. Nie ma czasu do stracenia.

– Dlaczego?! – zawołała z niepokojem. – Nie możesz mnie teraz opuścić!

– Muszę. Od tego zależy życie wielu ludzi – rzekł szorstko. Jego beztroska znikła, stał się zupełnie innym człowiekiem o nieprzeniknionej twarzy, a na czoło powróciła surowa zmarszczka.

Prosiła go nadal, lecz nie zwracając na nią uwagi założył czystą koszulę i zawiązał krawat. Wyjął z szafy panny młodej marynarkę i czarny płaszcz.

– Wezmę twój wóz, żeby dojechać na stację. Każę go komuś stamtąd przywieźć. Nie chcę, żebyś mnie odprowadzała.

Patrzyła w milczeniu, jak bierze do ręki skórzaną teczkę z dokumentami, do

której przez cały czas pobytu na wsi ani razu nie zajął.

– Obiecuj mi jedno – poprosił cicho. – W ciągu najbliższych tygodni w gazetach pojawi się wiele alarmujących wiadomości. W domu pod numerem 16 goście i służba na pewno będą o tym plotkować, a część tych plotek dotrze do ciebie. Otóż chcę, żebyś zamknęła na nie uszy i oczy i nie wierzyła w nic, co piszą i mówią! Czy mi zaufasz?

– Zawsze ci ufałam – przyrzekła pełna trwogi.

Ścisnął ją mocno za ramiona patrząc tak, jakby chciał ją zapamiętać na zawsze.

– Niczego więcej mężczyzna nie może pragnąć. – Musnął jej usta lekkim pocałunkiem i wyszedł.

Poppy wróciła sama do Paryża. Minął tydzień, a od Riccarda nie nadeszła żadna wiadomość. Poppy siedziała przy biurku zarzuconym gazetami. Nagłówki krzyczały wielkimi literami o „wojnie gangów”, która objęła Włochy i rozprzestrzeniła się na Francję.

Ostatnio fala przemocy rozlała się z Neapolu, Kalabrii i Sycylii na cały kraj, obejmując wszystkie wielkie miasta – głosił artykuł. – I nie tylko miasta; również małe wioski zostały wplątane w największą od wielu lat walkę terytorialną świata przestępczego. Przyczyną tego rozlewu krwi stała się chciwość jednego człowieka. Zagarniając obszar kontrolowany przez konkurencyjny gang, skrzesał on iskrę, która rozgorzała w wielki pożar, i doprowadził do rozpętania wojny w łonie mafii. Wojna ta spowodowała straszliwe ofiary, wymordowanie całych rodzin i na zawsze odcisnęła się w pamięci tych, co przeżyli.

Dotychczas mafia przestrzegała swoistego kodeksu honorowego, zabraniającego innych zabójstw niż członków wrogich Rodzin. Obecnie kobiety i dzieci giną wraz z mężczyznami. Niewinni przechodnie są koszeni gradem kul lub giną pod kołami uciekających z miejsca potyczki samochodów. Zarówno w mieście, jak i na wsi ludzie drżą o swe życie.

Poniżej przedstawiamy zdjęcie tego człowieka, będącego uosobieniem zła, siejącego śmierć i zniszczenie. Ma za nic ludzkie życie. Jego żądza władzy nie zna

granic. Oto on – Riccardo Malvasi!

Poppy wiedziała, że nie powinna czytać dalej. Przecież obiecała. Nie mogła jednak oderwać oczu od bezlitosnych czarnych liter.

Enzo Malvasi, urodzony na Sycylii... stworzył swoje własne imperium... Stefano, zastrzelony na pogrzebie ojca wraz z żoną w ciąży i trzema ważnymi osobistościami z innych Rodzin... Krwawy odwet – sześciu ludzi postawionych pod ścianą w garażu w Neapolu i zastrzelonych... Krążyły pogłoski, że to sam Riccardo zaaranżował zamach na brata, by móc objąć imperium Malvasich. W ciągu dwóch lat podwoił swoją spuściznę, po czterech – potroił. Stał się królem włoskiego świata przestępczego i nie cofnął się przed niczym, nawet przed zabiciem własnego brata, by zdobyć tę pozycję. Jego zachłanność i próba przejęcia terenu przestępcy małego kalibru, Maria Palozziego, wywołały reakcję łańcuchową przemocy i mordów na dotąd niespotykaną skalę. Ten człowiek morduje z zimną krwią...

Poppy opadła bezwładnie na blat biurka opierając głowę na gazecie ze zdjęciem Riccarda. Przypomniała sobie jego chłopięcy śmiech, gdy biegali po łące, troskliwość, z jaką pomagał jakiemuś berbeciowi przejść po kamieniach przez strumień, uśpioną, spokojną twarz mężczyzny, którego kochała, w szerokim łóżku w „ich domu”. Z całego serca pragnęła wierzyć, że autor tego artykułu kłamie. Riccardo ostrzegł ją przecież... Lecz jeśli to nieprawda, skąd wiedział, o czym będą pisać na pierwszych stronach?

– Widziałaś zapewne gazety?! – krzyknęła Simone wpadając bez zapowiedzenia.

Poppy podniosła głowę, ukazując pobladłą twarz.

– Dziennikarze mają swój wielki dzień rozdmuchując sprawę – ciągnęła Simone z gryzącym sarkazmem – ale nie mam wątpliwości, że to w większości prawda. Rzecz jasna nie to, co wypisują o Malvasim. Krwiożerczy potwór? Pewnie jacyś podwładni pozwolili sobie na samowolne działanie za jego plecami. Pomyślałam jednak, że lepiej wpaść do ciebie i sprawdzić, jak się czujesz. – Objęła bystrym spojrzeniem białą twarz Poppy i drzenie ręki, trzymającej gazetę. – Nie bierz sobie tak tego do serca, Poppy – powiedziała łagodnie. – Wszyscy mężczyźni babrzą się w błocie,

zwłaszcza ci, których stawiamy im piedestale. Zbyt długo trwałaś w naiwności i teraz gwałtownie otwarły ci się oczy na prawdę. Och, wiem, że przeszłaś niejedno i życie cię nie pieściło. Ale uwierz mi, Poppy, Riccardo pozostał tym samym człowiekiem, którego wczoraj kochałaś. Nie zmienił się ani trochę. To twoje spojrzenie na niego się zmieniło.

Złożyła czuły pocałunek na policzku Poppy.

– Nie mogę dodać nic więcej, oprócz rady, żebyś mu zaufała.

Poppy spojrzała nieprzytomnie na twarz Riccarda w gazecie, szpetny czarny tytuł, okrutne, przerażające słowa. Potem podniosła wzrok na przyjaciółkę.

– Simone – wyszeptała – jestem w ciąży.

Rozdział 47

1907, WŁOCHY

Willa przypominała fortecę. Trzydziestu mężczyzn pod bronią patrolowało otoczenie, dwudziestu czterech obsadzało wszystkie wejścia. Wewnątrz domu każde okno było strzeżone, a sześciu ludzi strzegło drzwi gabinetu na piętrze.

Riccardo Malvasi odwrócił się od okna. Usta wykrzywił mu gorzki grymas. Minął miesiąc, odkąd ostatnio widział Poppy, miesiąc, w ciągu którego gazety roztrąbiły mafijne porachunki, a jego życie przybrało dramatyczny, niespodziewany obrót.

Usiadł w skórzanym zielonym fotelu i splótł ręce na piersi. Spuścił \ głowę i zatopił się w rozmyślaniach. Nie mógł zaprzeczyć, że wszystko to stało się z jego winy, choć z innych powodów niż te, które przypisywały mu gazety. Zawinił, ponieważ w krytycznej chwili był nieobecny, przedłożył sprawy prywatne nad interes Rodziny, co było niewybaczalnym błędem. Dlatego po raz pierwszy lekkomyślnie zaufał podwładnemu, który w rezultacie go zdradził. Teraz stracił twarz przed własną Rodziną, reszta świata zaś uważała go za pozbawionego ludzkich uczuć okrutnika.

Podszedł znów do okna i wyjrzał. To był jego świat – sięgał do granic jego

posiadłości. Odtąd będzie go opuszczał tylko w opancerzonym wozie z przyciemnionymi szybami, ze zbrojną ochroną. Zdecydowano za niego: teraz nie może usunąć się na ubocze i wieść sielskiego życia na wsi. Wrogowie nigdy nie ustaną w wysiłkach, by dokonać zemsty. Pozostawało tylko panować całkowicie nad sytuacją i ukarać wszystkich śmiałków. Do końca swych dni będzie żył jako napiętnowany.

Westchnął ze znużeniem. Wojna dobiegła końca, żalosne terytorium Paola należało do niego, jak również dwa większe obszary, których ojcowie chrzestni wzięli stronę jego przeciwnika. Wielu ludzi poniosło śmierć, zostały wdowy i sieroty. A teraz nadszedł czas zemsty.

Narada została zwołana na trzecią. Spojrzał na zegarek. Za minutę trzecia. Wziął głęboki oddech i zszedł na dół do sali narad.

Wszyscy już się zebrali i czekali na niego. Stary prawnik Caetano miał zacięty wyraz twarzy, Gaspari, bankier, zdradzał niepokój, a Salvatore Melandri, specjalista od interesów, objawiał chłodne zadowolenie. Giorgio Verone, najbliższy współpracownik Riccarda, podniósł się z uśmiechem i entuzjastycznie uściśnął jego rękę.

– Udało się, Riccardo! – powiedział z triumfem. – Wygraliśmy. Teraz to wszystko należy do ciebie.

– Tak, Giorgio, wiem. – Usiadł u szczytu stołu i gestem wskazał mu miejsce obok siebie.

– Na naszym ostatnim spotkaniu miesiąc temu – powiedział cicho omawialiśmy metody załatwienia sprawy Maria Palozziego. Sądziłem, że dostatecznie jasno wyraziłem swoje intencje. Najwyraźniej byłem w błędzie. Ktoś za moimi plecami zaczął w moim imieniu wojnę. Miał dostateczną władzę, żeby utrzymywać, że dostał rozkazy ode mnie. To był jeden z was.

Założył ręce na piersi i zmierzył zebranych ciężkim spojrzeniem.

– Daj spokój, Riccardo – zaprotestował Giorgio – wiesz, że to było najlepsze wyjście. W ten sposób umocniłeś swoją wiarygodność w oczach pozostałych

Rodzin.

– Wiarygodność? A jakąż wiarygodność mogę mieć dla nich teraz, gdy złamałem wszystkie zasady? Dobrze, jeżeli tak się sprawy mają, zgoda. Rodzina Malvasich wzrosła w bogactwo i potęgę. Musimy myśleć przede wszystkim o Rodzinie. Mam zamiar w następnym roku rozwinąć nasze interesy w Stanach Zjednoczonych i znacznie rozszerzyć pole działania.

– W Stanach Zjednoczonych? – powtórzył z żywym zainteresowaniem Giorgio. Wiedział, że otrzyma bez trudu zwierzchnictwo nad byłym terytorium Palozziego, lecz Ameryka stwarzała możliwości zawrotnej kariery.

– Jesteś ambitnym młodym człowiekiem, Giorgio – stwierdził Riccardo podnosząc się z miejsca. – I niecierpliwym. To z twojej inicjatywy zaczęła się ta wojna. Dzięki tobie obsmarowali mnie w gazetach jako krwiożerczego zabójcę, wręcz jako wcielenie diabła!

Położył od niechcienia dłoń na ramieniu Giorgia, który podniósł na niego po niespokojnie wzrok.

– Zrobiłem to dla ciebie, padrone – powiedział uśmiechając się przymilnie. – Chciałem ci pomóc. Ta kobieta zawróciła ci w głowie i wszyscy, nawet w innych Rodzinach, zaczęli mówić, że twoja władza słabnie. Podobno planowali nawet przejście imperium Malvasich. To była słuszna decyzja. Widziałeś, że wszyscy mnie poparli.

– Ojciec chrzestny nigdy nie potrzebuje pomocy – rzekł cicho Riccardo wyjmując z kieszeni mały rewolwer o krótkiej, grubej lufie, Założył tłumik i przycisnął broń do karku Giorgia, rozglądającego się wokół w dzikim przerażeniu. – Panowie, wszyscy jesteście świadkami; że ten zaufany członek Rodziny przekroczył swoje uprawnienia i sprzeniewierzył się naszym zasadom. Musi ponieść zasłużoną karę. – Obecni skierowali na niego wzrok i pochyleniem głów wyrazili zgodę. – Ojciec chrzestny sam rozprawia się ze swoimi osobistymi wrogami – powiedział Riccardo. – Tak mówi nasze prawo.

– Nie! – wrzasnął Giorgio wczepiając się w poręczę krzesła. – Nie... nie...!

Strzał został oddany z precyzją: z tyłu głowy pojawiła się czarna dziurka, z której wyciekło niewiele krwi. Giorgio zwał się na stół z zastygłym w oczach przerażeniem.

Wkrótce potem pewnego wieczoru wielki czarny mercedes, opancerzona limuzyna, zatrzymał się przed zniszczonym magazynem niedaleko neapolitańskich doków. Ze środka wyskoczyło czterech ludzi z ochrony, trzymających w pogotowiu karabiny maszynowe. Z wozu wynurzył się Malvasi i wszedł szybko do środka. Dwunastu mężczyzn, siedzących wokół stołu pod przeciwległą ścianą, podniosło się na przywitanie.

– Riccardo, moja Rodzina przesyła ci życzenia – odezwał się jeden z nich. – Jesteśmy zaszczyceni, że możemy brać udział w tym spotkaniu. Z pewnością dojdziemy w kwestii nowych terytoriów do porozumienia, które zadowoli obie strony.

Malvasi usiadł u szczytu stołu.

– Nie będę marnował waszego czasu – przemówił chłodno. – Przybyłem tu zobaczyć twarze moich wrogów. Oskarżam was o zdradę własnych Rodzin i morderstwo. W tej chwili jesteście już nieżywi... panowie.

Wstał i odszedł od stołu, a na przód wysunęli się jego goryle. Grzechot karabinów odbił się wielokrotnym echem, gdy czarna limuzyna skręciła za róg.

Malvasi postarał się w imię honoru Rodziny zatuszować ostatnie wydarzenia usuwając niewygodnych świadków. I tak w niedługi czas po pamiętnej naradzie bankier Gaspari utonął w morzu podczas zderzenia dwóch łodzi. Salvatore Melandri, bystry absolwent kursów prowadzenia przedsiębiorstwa, zastrzelił się niechcący z własnej broni. Dwa miesiące później stary prawnik, Caetano, umarł we własnym łóżku. Według orzeczenia lekarskiego przyczyną śmierci był atak serca.

Nowi współpracownicy byli bez wyjątku ludźmi w średnim wieku, którzy ograniczali się do ślepego wypełniania obowiązków, trzymali język za zębami i okazywali bezgraniczną lojalność. Nieostrożnym służył za przestrożę los ich poprzedników.

Rozdział 48

1907, WŁOCHY

Pociąg z Genui do Neapolu toczył się z łomotem ku miejscu przeznaczenia. Poppy wsparta o wygodne poduszki z błękitnego aksamitu wyglądała na krajobraz przesuwający się za oknem, lecz jej myśli zaprzętał Riccardo. Od idylli w Montespan minęło wiele czasu, była w trzecim miesiącu ciąży, a on nie dawał znaku życia.

Wielokrotnie do niego dzwoniła. Nieznajomy oschły głos w słuchawce informował ją rzeczowo, że signore Malvasi jest nieobecny, lecz zostanie zawiadomiony o jej telefonie. Netta, która przyjechała natychmiast po przeczytaniu alarmujących wieści w gazetach, patrzyła bezsilnie, jak Poppy krąży wokół telefonu, czekając daremnie, aż zadzwoni.

– Nic ci po takim mężczyźnie jak Riccardo Malvasi! – krzyknęła wzburzona. – Ostrzegałam cię od początku, Poppy, a ty jak struś chowałaś głowę w piasek, bo nie chciałaś widzieć prawdy.

– Riccardo powiedział mi całą prawdę! – odpaliła Poppy z oczami błyszczącymi gniewem. – Nie on to zrobił. Uprzedził mnie, żebym nie dawała wiary gazetom i ufała tylko jemu!

– A ty mu rzecz jasna uwierzyłaś. Jak zawsze! – rzuciła Netta z rozgoryczeniem. – No i gdzie cię to zaprowadziło? Jesteś w ciąży, a księżę z bajki zmył się nie wiedzieć dokąd.

Poppy opadła na krzesło i wybuchnęła płaczem.

– Nie wiem, Netto – zawodziła – nie wiem, gdzie on jest!

W końcu niepewność stała się nie do zniesienia. Poppy postanowiła pojechać do Neapolu. Gdy powiedziała o tym przyjaciółce, Netta wytrzeszczyła na nią przerażone oczy, a potem pobięła po Simone.

– Wyjazd do Neapolu to bardzo niemądry pomysł, Poppy – przekonywała z niepokojem Simone. – Lepiej zapomnij o Riccardzie i zachowaj swoje złudzenia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?! – zawołała Poppy. – Uważacie go za jakiegoś

potwora, a przecież zawsze okazywał wam przyjaźń!

– Nie wiesz nic o jego prawdziwym życiu, nie masz pojęcia, jak ono wygląda. Poppy, błagam cię na wszystko, nie jedź! – Lecz Simone poznała po wyrazie oczu Poppy, że jej zaklęcia są daremne.

Poppy wysiadła, zmęczona po długiej podróży i nieprzespanej nocy, którą spędziła w Nicei. Stała w zgiełkliwym tłumie na dworcu, czekając na bagaż i wchłaniając zapachy i dźwięki, które ożywiły stare wspomnienia. Nawet ochryple krzyki tragarzy i sprzedawców owoców oraz płaczliwe zawodzenie otulonych w czarne chusty kobiet żegnających krewnych nie mogły odebrać włoskiemu językowi uroku. Patrzyła na matki trzymające na rękach śliczne ciemnookie dzieci i zastanawiała się, czy jej dziecko odziedziczy ciemne oczy Riccarda.

Kazała tragarzowi zanieść bagaż do dorożki, podała mu adres domu Riccarda i poszła za nim przez ruchliwy tłum. Dorożkarz usłyszawszy, że ma jechać do Villa Carmela, wybuchnął wartkim potokiem słów, z którego nic nie zrozumiała.

– Co on mówi? – spytała oszołomiona. – Nie wie, gdzie to jest? Ależ wie, wie, signora – odparł tragarz – ale mówi, że jest zajęty.

Patrzyła zdumiona, jak dorożkarz odchodzi sztywnym krokiem do baru po przeciwnej stronie ulicy. Następny, gdy usłyszał adres, wzruszył ramionami i bez słowa wrócił do czytania gazety. Trzeci odmówił z miejsca. Patrzył przy tym na Poppy z mieszaniną strachu i odrazy, aż cofnęła się pod ścianę.

Gdy tragarz minął cały długi rząd pojazdów, Poppy uniosła gniewnie podbródek i wsiadła do najbliższej dorożki.

– Dosyć tego! Proszę mnie zawieźć do najlepszego hotelu w mieście – rozkazała wyniośle.

W apartamencie, urządzonego z prowincjonalnym, tandetnym przepychem, pełno było złocień, zwierciadeł i czerwonego aksamitu, lecz Poppy widziała tylko czarny aparat na małym inkrustowanym stoliku. Drżącym głosem poprosiła o połączenie.

Riccardo Malvasi podniósł wzrok znad biurka, gdy Alfredo, jego sekretarz podniósł słuchawkę.

– Przykro mi, signora, jest teraz nieobecny – powiedział zniżonym głosem, żeby nie przeszkadzać szefowi. – Przekażę mu wiadomość signora. Tu, w Neapolu. Tak, tak... Dziękuję, signora.

Riccardo zamknął oczy. Wiedział, że to znowu Poppy. Nie miał pojęcia, jak wybrnąć z sytuacji. Myślał, że jego zniknięcie będzie najmniej bolesnym dla nich obojga sposobem rozstania. Wolał się z nią więcej nie spotykać, aby widok jej drogiej twarzy nie zachwiał jego decyzją, nie osłabił jego woli. Znów uległby złudzeniom, że jest kimś innym, co już raz omal nie doprowadziło go do klęski. Nie mógł powtórzyć tego błędu.

– Co tym razem mówiła? – spytał ze znużeniem.

– Signora przyjechała do Neapolu. Jest w hotelu „Grand”! Żaden dorozkarz nie chciał jej tu przywieźć.

Twarz Riccarda pozostała nieporuszona, lecz pogłębiła się zmarszczka między jego brwiami, a w policzku zadrgał nerwowy tik. Nie zdradzał teraz przed nikim swoich uczuć.

– Dziękuję, Alfredo – rzekł spuszczać oczy na dokumenty, rozłożone na biurku. Lecz przepełniały go myśli o Poppy. Była tutaj, mógł po nią pojechać, za piętnaście minut trzymać ją w ramionach. Chciał zabrać ją do siebie, błagać, by została, prosić ją o rękę. Niepotrzebni im inni ludzie, wizyty, przyjęcia, wieczory w operze, jeżeli będą mieszkać razem, jeżeli będą mieli siebie nawzajem.

Odsunął gwałtownie krzesło i podszedł do okna. Jego niezłomne postanowienie zaczynało się chwiać w posadach. Nie miał jednak prawa postąpić jak zakochany głupiec: ona nie należy do jego świata, trzeba ją o tym przekonać. Znał na to tylko jeden sposób.

– Alfredo, zadzwoń do wszystkich kwiaciarni w Neapolu, nawet w Rzymie, gdzie się da... Zamów u nich wszystkie białe gardenie, jakie mają, i każ je wysłać do apartamentu signory. Potem zadzwoń do niej i powiedz, że dziś wieczór o dziewiątej podjedzie po nią samochód, Wyślij z szoferem trzech strażników. – Pomyślał przez chwilę. – Ruggiera, Fabiano i Dottore. – Tego ostatniego wybrał rozmyślnie, gdyż

był on najbardziej przerażającym człowiekiem, jakiego znał, dawnym chirurgiem, degeneratem, któremu krojenie nożem ludzkiego ciała sprawiało sadystyczną przyjemność.

Poppy wtuliła się w chłodne, czarne skórzane oparcie mercedesa, który przemknął przez przedmieścia Neapolu i skręcił w drogę wspinającą się na wzgórze. Szofer dobrze znał trasę i trąbił ostrzegawczo klaksonem na wieśniaków jadących na wózkach z sianem, którzy oglądali się w tył i robili znak krzyża, gdy wielki wóz przemykał obok nich. Poppy nie miała pojęcia, dokąd jedzie. Spojrzała ukradkiem na mężczyzn, siedzących po obu jej bokach. Ich niskie czoła i ociężałe, okrutne oczy były spuścizną po niezliczonych pokoleniach zawziętych chłopów. Siedzieli pochyleni do przodu i czujnie patrzyli na drogę, ściskając w rękach karabiny maszynowe.

Trzeci strażnik, który zajmował miejsce przy kierowcy, czekał na nią w foyer „Grandu”. Był wysoki i dobrze ubrany, prawie łysy. Jego oczy za okularami w złotej oprawce miały nieokreślony kolor, a od prawej brwi do kącika cienkich warg biegła wypukła blizna, która ściągała twarz w zastygłym, makabrycznym uśmiechu.

– Nazywam się Emilio Sartori – przedstawił się jej – ogólnie znany jako Dottore, z powodu wykształcenia medycznego, jakie odebrałem. Miałem zamiar zostać sławnym chirurgiem, zanim moje zainteresowania nie zwróciły się w inną stronę.

Wielka limuzyna zwolniła i zatrzymała się przed wysoką żelazną bramą osadzoną w grubym murze. Światło księżyca połyskiwało na odłamkach szkła i żelaznych szpikulcach na jego szczycie, a także na lufach, które skierowało na nich sześciu mężczyzn, otaczających wóz.

– W porządku! – zawołał do nich Dottore. – To dama, na którą czeka!

Zajrzeli podejrzliwie do wnętrza samochodu. Poppy zamknęła oczy w obawie, że została porwana przez wrogów Riccarda. Czekwała na strzał.

Wielkie skrzydła bramy otworzyły się i samochód znów wystartował z miejsca. Pyskając żwirem spod kół przejechał półkolistym podjazdem stanął przed wyniosłym klasycznym portykiem. Między kolumnami stali następni czterej

mężczyźni z karabinami. Poppy, wchodząca na stopnie u boku Dottore, potknęła się pod ich ciekawym wzrokiem. Odwróciła od nich oczy mówiąc sobie, że nic nie ma znaczenia, broń, okrutne twarze, przerażające, nieruchome spojrzenia... nic oprócz tego, że za kilka chwil znów będzie z Riccardem.

– Proszę tu poczekać, signora – powiedział Dottore. – Signore przyjdzie do pani tak szybko, jak to będzie możliwe. Jest na naradzie.

Wysoka sala z kolumnami, do której ją wprowadził, była utrzymana w oficjalnym, klasycznym stylu i urządzona z doskonałym gustem. Ściany pomalowano na chłodny kremowozielony kolor, od którego odbijały gzymsy białe i barwy spłowiałej terakoty. Piękne marmurowe kolumny przy dwuskrzydłowych drzwiach wyraźnie pochodziły z wykopalisk i nie uczyniono nic, by wygładzić znaki, jakie pozostawił na nich czas. Poppy przechadzała się nerwowo, podziwiając obrazy, dotykając srebrnych puzderek ozdobionych herbem Karola I, przepięknego kandelabru Paula Storra, jajek Faberge'a, zegara Caffieriego. Nie zdawała sobie sprawy, że Riccardo jest tak bogaty. Jego rezydencja przypominała muzeum pełne bezcennych eksponatów. Poppy przyszedł na myśl ich dom w Montesperan z prostymi wiejskimi meblami, kamiennymi płytami w sieni, spaczonymi belkami i wielkimi nareęczami łąkowych kwiatów w blaszanych bańkach na mleko. Te dwa domy należały do dwóch innych osób. Nagle poczuła lęk. Nie był to ten zwierzęcy strach, który czuła w limuzynie, gdy bała się o własne życie, ale nieuchwytna, wypływająca z niejasnych powodów obawa.

– Nie spodziewałem się zobaczyć ciebie w swoim domu, Poppy.

Odwróciła się szybko z ręką uniesioną do pereł na szyi. W drzwiach stał Riccardo. Na jego twarzy nie było uśmiechu. Schudł, skóra napięła mu się na policzkach, a bruzdy na czole stały się głębsze, lecz to był on.

– Po... podziwiałam właśnie twoją kolekcję – wyjąkała kładąc dłoń na porcelanowej figurce małego pieska.

– Ta figurka przedstawia Papillona, pieska rasy chihuahua, który należał do Marii Antoniny – rzekł podchodząc do niej. – Zamówiła ją w Sevres w 1790 roku.

Znaleziono ją... później w jej garderobie w Wersalu.

Poppy zadrżała wspomniawszy prorocze słowa Simone, gdy opowiadała jej o sielance w Montespan. „Maria Antonina też bawiła się w pasterkę i zobacz, jak skończyła”. Zaświtała jej dzika myśl, czy pieskowi też obcięto głowę.

– Nie chciałem wprawdzie, żebyś tu przyjeżdżała, Poppy – powiedział Riccardo nalewając szampana do dwóch pięknych, wysmukłych kryształowych kieliszków Lalique’a – ale skoro już tu jesteś, wypijmy za twoją wizytę.

– Riccardo, musiałam cię zobaczyć. Jesteś mi potrzebny! – zawołała z rozpaczą.

– Obawiam się, że niestety nie zawsze mam wolny czas, gdy jestem ci potrzebny – stwierdził podając jej kieliszek. Musnął przy tym jej rękę i w oczach zabłysło mu przelotnie pragnienie. – Słyszałaś, co się stało?

Skinęła głową.

– Czytałam gazety i ludzie o tym mówili...

– No i co? – spytał szorstko. – Co o tym myślisz?

– Prosiłeś, żebym ci ufała – odrzekła z prostotą.

Skinął głową i utkwił w niej nieodgadnione spojrzenie.

– Takie zaufanie to niezwykle rzadkie zjawisko – rzekł ironicznie.

Zapukano do drzwi i do środka wszedł Dottore.

– Obiad podany, signore – powiedział śpiewnym, wysokim głosem, na dźwięk którego Poppy poczuła ciarki na plecach.

Jadalnia była równie duża jak salon. Jej środek zajmował wąski dębowy siół ze starego refektarza.

– Ten stół pochodzi z trzynastowiecznego klasztoru – objaśniał Riccardo jak przewodnik w muzeum. – Zabawnie pomyśleć o mnichach, którzy siorbali przy nim marną polewkę, gdy my jemy tak wystawnie. Każdy przedmiot w tym domu ma swoją historię. Stół w bibliotece należał do kardynała Richelieu, te wazy do chińskiego cesarza z trzeciej dynastii, te oto sztuce zdobiły stół angielskiej królowej Anny. Moja namiętność do pamiątek z życia innych osób pochodzi zapewne stąd, że ja sam nie mam prawdziwego życia. Te cztery ściany wokół to moja twierdza, ogród

– skromne pięć hektarów – to moje państwo. Jestem władcą imperium, które rozciąga się na inne kontynenty. Jedną część tego imperium odziedziczyłem, drugą stworzyłem sam, a trzecia, która przypadła mi dzięki zdradzie moich ludzi, ogrodziła mnie prętami nie gorzej niż w więzieniu. To co widzisz, to cały mój świat.

Lokaj w białych rękawiczkach postawił przed nimi kryształowe czarki z kawiozem. Srebrne łyżeczki zadźwięczały o szkło.

– Cieszę się, że przyjechałaś – powiedział Riccardo zgarniając błyszczące czarne kuleczki na trójkątną grzanekę – bo teraz możesz przekonać się na własne oczy, jak jest naprawdę. Spróbuj, proszę, mojego ulubionego kawioru z bieługi.

– Nawet nie wiedziałam, że lubisz kawior.

Uśmiechnął się kiwając głową.

– Człowiek, który łowił pstrągi w strumieniu Montespan i pił mleko prosto od krowy, już nie istnieje, Poppy. Mam jednak pewną rekompensatę – jako więzień mogę raczyć się najlepszym w świecie jedzeniem. Więc dziś wieczór dostaniemy same przysmaki: szampana, cielecinę z białymi truflami i najlepsze wina. Czegóż więcej wymagać?

Poppy z błyszczącymi gniewnie oczami jednym ruchem zmiotła na podłogę kryształowe czarki, kieliszki Lalique’a i srebra królowej Anny.

– W co ty ze mną grasz, Riccardo? Co się dzieje? Przyjechałam tutaj, bo ty nie przyjechałeś do mnie. Czekałam cierpliwie. Bałam się o ciebie, zamartwiałam. Kocham cię, Riccardo! Spójrz na mnie!

Jej twarz pobladła, a oczy lśniły w świetle świec. Wyszarpnęła z włosów grzebienie i szpilki, potrząsnęła głową i błyszczące loki opadły ciężką falą na jej ramiona. Zdjęła kolczyki i perły, zsunęła pierścionki z palców. Rozdarła czerwoną szyfonową suknię i pozwoliła jej opaść na podłogę. Nie miała bielizny, bo spodziewała się, że Riccardo od razu weźmie ją w ramiona. Stała teraz przed nim naga.

– To jestem ja! – krzyknęła. – Taka byłam dla ciebie w Montespan! To tę kobietę trzymałeś w ramionach, wyznawaleś jej miłość! A teraz opowiadasz mi o kawiorze i

stołach kardynała Richelieu, gdy ja czekam na jakieś czułe słowo, że mnie kochasz, że cieszysz się z mojego przyjazdu! – Jej głos opadł do szeptu. – Chcę, żebyś w tej chwili powiedział, że nic na całym świecie się nie liczy... oprócz nas.

Riccardo przypomniał sobie wszystkie okrutne czyny, jakie popełnił dotychczas, ale to, co miał zrobić teraz, wydało mu się najgorsze.

– Nie jestem już wolnym człowiekiem, Poppy – rzekł cicho. – Nie mogę ci więcej mówić takich słów. – Uklęknął, podniósł suknię, leżącą u jej stóp, i podciągnął ją wolno do góry, zasłaniając piękne alabastrowe ciało, które tyle razy kochał. Oparł ręce na jej ramionach i spojrzał na zaróżowioną twarz, smugę piegów na nosku, miękki zarys drżących ust i błękitne oczy lśniące od łez. Ostatni raz wsunął ręce w bujne rude włosy, starając się zapamiętać każdy szczegół, dotyk, zapach gardenii na skórze. – Zbyt okrutne byłoby zamknięcie motyla w świecie broni, zła i nagłej śmierci – wyszeptał. – Nie wytrzymałby takiego życia. Poznałaś wreszcie prawdę. Wracaj do domu, Poppy. Wracaj do domu, błagam cię.

Wtedy zrozumiała, że próżne jej wysiłki. Nic, co powie lub zrobi, nie zmieni jego decyzji. Pomyślała o dziecku, które nosiła. Gdyby wyciągnęła tę atutową kartę, może by się ugiął, lecz cofnęła się w ostatniej chwili. Nie mogła skazać niewinnego dziecka na życie w tym więzieniu i dziedzictwo, którego nie chciałby nikt o zdrowych zmysłach.

Riccardo nacisnął dzwonek wzywając służącego.

– Pamiętaj – powiedział cicho – gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy... wystarczy jeden telefon.

Skinęła głową w milczeniu, patrząc na niego po raz ostatni. Potem odwróciła się i wybiegła.

Rozdział 49

1907-1908, FRANCJA

Poppy opuściła Paryż i wyjechała wraz z Nettą do Montespan, zanim jej ciąża stała się widoczna. Dom pod numerem 16 pozostawiła pod opieką Simone. Był

koniec września, wieś koła oczy swym pięknem. Niebo miało barwę spłowiałego błękitu. Wiał ciepły wiatr, drzewa w sadach ugięły się pod ciężarem owoców. Po polnych drogach toczyły się konne wozy z sianem. Poppy i Netta chodziły do wioski i jeździły limuzyną de courmont w kolorze butelkowej zieleni do Montesperan-sur-Cher lub dalej, do Orleanu, gdzie kupowały rzeczy dla dziecka, wydając okrzyki zachwytu nad kaftanikami i czepeczkami oraz kołyskami pełnymi falbanek i koronek.

Twarz Poppy była zaróżowiona od słońca, a zaokrąglona postać tryskała zdrowiem. Unikała myśli o Riccardzie w obawie, że jej rozpacz i zgryzota zaszkodzą dziecku. Skoncentrowała się na przyszłym macierzyństwie. Leżała godzinami na trawiastym brzegu obserwując zimorodki podobne do lśniących klejnotów, nurkujące w toni bystrego strumienia, i czuła się jak matka całej ziemi. Zastanawiała się, dlaczego tak nie było za pierwszym razem. Oczywiście znała odpowiedź: tym razem nosiła dziecko mężczyzny, którego kochała. Jeśli nie może żyć z nim razem, to przynajmniej będzie miała jego dziecko. Pragnęła tego dziecka jak niczego w życiu. Wyobrażała sobie córeczkę z odziedziczonymi po niej rudymi włosami i ciemnymi oczami ojca.

Dziecko przyszło na świat dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia i okazało się, że to chłopiec. Poppy długo rozmyślała nad wyborem imienia. Nie mogła syna nazwać Riccardo; miała ochotę nadać mu imię Nik, na cześć jej przybranego ukochanego ojca, jednak nie wydawało jej się to właściwe. Nigdy nie przyszło jej na myśl nazwać dziecko Jeb, te wspomnienia wołała pogrzebać jak najgłębiej. W końcu na znak irlandzkiego pochodzenia nadała mu imię Rogan. Na akcie urodzenia figurowało fikcyjne nazwisko – Poppy nie chciała, żeby jej syn nosił piętno ani po swojej matce, ani po ojcu. Gdy Rogan dorośnie i zacznie zadawać pytania, przyjdzie pora na zastanowienie się, co mu powiedzieć. Na razie był po prostu Roganem.

– Nie możemy tutaj wiecznie siedzieć – rzekła leniwie Netta pewnego wieczoru pod koniec lutego. – Simone mówi, że jesteś potrzebna w domu pod numerem 16, a moi zastępcy w Marsylii podobno obdzierają mnie do gołej skóry. – Westchnęła. –

Bierze mnie ochota rzucić to wszystko i znów wyjść za mąż. – Spojrzała na Poppy, która zwinięta w kłębek na sofie patrzyła w ogień. Kołyska ze śpiącym niemowlęciem stała obok. – A ty jak myślisz?

– Rzucić dom pod numerem 16? – powiedziała z namysłem Poppy. – Nie mogę teraz tego zrobić, muszę myśleć o Roganie. Utrzymanie dziecka dużo kosztuje. Chcę posłać go do dobrej szkoły, zapewnić jakąś przyszłość. I godziwy spadek.

– Myślałam o małżeństwie, nie o forsie.

– Małżeństwo? – Poppy podniosła zdumione oczy na przyjaciółkę, która знаła przecież jej sytuację. – Wiesz, że nigdy nie wyjdę za mąż.

– Niby dlaczego? Możesz się znowu w kimsz zakochać, jak tylko przestaniesz się wzbraniać.

– Nie bądź śmieszna – odparła Poppy gniewnie. – Kto chciałby się ożenić z właścicielką lupanaru?

– Dwie z twoich dziewcząt złapały mężów! Solange wyszła za polityka na świeczniku, teraz zgrywa wielką damę i prezyduje na rządowych przyjęciach. A Belinda wyszła za człowieka z tytułem.

– Z tytułem, ale bez grosza – westchnęła Poppy. – Belinda wróci do nas, jak tylko się okaże, że mąż nie potrafi zapewnić jej tych luksusów, do jakich przywykła. Dom pod numerem 16 rzuca zły urok na całe życie – dodała z goryczą.

– Urok nie urok, dom należy teraz do ciebie, skoro Riccardo dał ci tytuły własności. Poza tym masz posiadłość na wsi. Jesteś bogata Poppy.

Tak, chyba mogła uważać się za bogatą. Przyjęła w podarunku dom przy rue des Arbres i posiadłość w Montespan ze względu na Rogana. Nieruchomości będą dla niego zabezpieczeniem na wypadek jej śmierci. Zamierzała dalej prowadzić klub w Paryżu, by powiększyć swój majątek. Kiedy stanie się naprawdę ogromnie bogata, nikt nie będzie mógł jej skrzywdzić. Bogaci nigdy nie cierpieli i nie odczuwali bólu. Żyli w luksusie, odseparowani od reszty ludzi, oddając się rozrywkom. Przez ubiegłe lata nauczyła się niejednego o uprzywilejowanych tego świata. Kupiła też wiele gruntów wokół wielkich miast Francji i nawet we Włoszech. Teraz wprowadzie nie

były one wiele warte, lecz wierzyła słowom Riccarda, że kiedyś ich cena pójdzie w górę, a ona stanie się dzięki nim najbogatszą kobietą świata. Wtedy znajdzie sposób, by być szczęśliwą bez mężczyzn i bez miłości.

Odczekała jeszcze miesiąc, do czasu gdy mogła odstawić dziecko od piersi, i zostawiła je w Montesperan pod troskliwą opieką pulchnej, macierzyńskiej piastunki, która już wychowała własnych dwoje. Sama zaś wróciła do Paryża.

– Rogan nigdy się nie dowie o domu pod numerem 16 – łkała w samochodzie – nigdy nie pozna prawdy o swojej matce!

– Dlaczego nie rzucisz tego wszystkiego? – nalegała Netta. – Wypnij się na pracę i wracaj do swojego syna, tam gdzie twoje miejsce.

– Nie mogę. – Poppy wyprostowała się i otarła łzy. – Muszę zarabiać pieniądze.

Dom był tak piękny, jakim go pamiętała, a podniecone dziewczęta otoczyły ją kołem, rade z jej powrotu. Ani one, ani nikt z gości nie miał pojęcia o dziecku.

Luchay rozwrzeszczał się z radości, że znów wokół jest ruch i zamieszanie. Poppy, gnębiona wyrzutami sumienia, że zaniedbała go ostatnio, popędziła do Cartiera i obstałowała dwie bliźniacze obrączki ze szmaragdów i diamentów.

– Jesteś piękny, Luchay, mój kochany – przekonywała go, gdy zerkał z pogardą na nową ozdobę swoich łap. – Obiecałam ci przecież któregoś dnia, że zostaniesz papuzim księciem. – Roześmiała się głośno. To dopiero początek. W tej rodzinie ty będziesz nosił rodowe klejnoty! Ja pozostanę przy swoich perłach dziwki.

Kilka tygodni później czekał na nią na biurku list w zwyczajnej kremowej kopercie, zaadresowany nieznanym pismem. W natłoku zajęć dopiero późnym wieczorem znalazła czas, żeby go otworzyć. W środku był arkusz zwykłego papieru listowego, zapisany dużymi, drukowanymi czarnymi literami.

Nik Konstant jest bardzo ciekaw miejsca twojego pobytu. Jeżeli nie chcesz, żeby się dowiedział, kim jesteś i gdzie cię znaleźć, masz słuchać podanych niżej instrukcji. Włóż do torby dziesięć tysięcy dolarów amerykańskich w drobnych banknotach i weź je ze sobą, gdy będziesz jechała w piątek na wieś. Zatrzymaj się przy starych, zrujnowanych stajniach przed wsią Luzy Saint-Pierre i zostaw torbę w pierwszym

żłobie od drzwi. Nie rób żadnych głupstw. I ty, i twoje dziecko jesteście śledzeni. Jeśli nie posłuchasz tych wskazówek, oboje nie unikniecie zemsty.

Ostatnie zdanie przejęło Poppy mrozem. W pierwszym odruchu chciała pędzić do Montespan, do Rogana, by go przytulić do piersi i chronić przed nieznanym wrogiem. W liście była mowa o tym, że jest śledzona. Poppy ogarnęła panika. Kto ją mógł śledzić? Kto był na tyle zły i okrutny, by posunąć się do szantażu? I jak odkrył jej tajemnicę?

Wiedziała na pewno, że to nie był nikt stąd. Tylko Simone i Netta znały prawdę, a im ufała jak samej sobie. Poza nimi o Gregu wiedział jedynie Riccardo, lecz to nie mógł być on. Kto więc ją szantażował? Nagle stanęła jej przed oczami złowroga twarz Dottore... On był blisko Riccarda i mógł zdobyć jakieś informacje o niej. Przypomniało jej się to, co Riccardo powiedział o zdradzie.

Spojrzała na telefon. Minał już przeszło rok od ich rozstania w Neapolu. Przyszedł na świat Rogan, życie toczyło się swoją kolej. Riccardo powiedział, że ma zadzwonić, gdyby przydarzyło się coś złego, gdyby go kiedykolwiek potrzebowała... Spuściła oczy na trzymany kurczowo list i jej wzrok przyciągnęły słowa „jesteś śledzona” i „nie unikniecie zemsty”. A Rogan był sam na wsi tylko pod opieki piastunki i starych państwa Joliot!

Podniosła słuchawkę, połączyła się z bankiem i kazała przygotować dziesięć tysięcy dolarów w drobnych banknotach. Ucięła przestrogi o niekorzystnym kursie franka w stosunku do dolara; chciała mieć pieniądze jak najszybciej.

Po obu stronach drogi do Luzy Saint-Pierre rosły drzewa, pod którymi panował już gęsty mrok. Poppy zatrzymała samochód koło starych stajni. Ściskając kurczowo w objęciach czarną torbę spojrzała na drugą stronę szosy. Stajnie stanowiły kiedyś część zabudowań gospodarstwa, które spłonęło wiele lat temu. Dach zapadł się pod naporem zimowych wiatrów i sloty, a ściany chwiały się niebezpiecznie.

Weszła do środka oglądając się trwożliwie za siebie. Przeszując sterty siana i zgniłych liści czuła unoszący się wciąż w powietrzu słaby koński zapach. Przy resztkach dziennego światła znalazła stary żelazny żłób. Włożyła do niego torbę i

uciekła, wykręcając sobie boleśnie kostki na zdradliwej, zarośniętej ścieżce. Otworzyła z gorączkowym pośpiechem drzwiczki wozu, wskoczyła za kierownicę i nie śmiejąc obejrzeć się za siebie ruszyła w kierunku wsi, gnając, jakby ją ścigało stado diabłów. Jechała do dziecka.

Piastunka w piątki kładła Rogana później do łóżeczka, żeby Poppy mogła go zobaczyć. Czekał na nią w białym ubranku, które kupiła mu w zeszłym tygodniu, i z błyszczącymi oczkami wyciągnął do niej obie rączki. Poppy podniosła go i przycisnęła do piersi z całej siły, a on gaworzył radośnie. Jej syn. Jego życie było cenniejsze od wszystkich pieniędzy świata.

Luchay zaskrzeczał donośnie, jakby chcąc o sobie przypomnieć, i Poppy roześmiała się głośno, radośnie:

– Ciebie też kocham, Luchay! – zawołała. – Ty też jesteś więcej wart od złota!

Dokładnie w miesiąc później przyszedł następny list o podobnej treści:

Dziesięć tysięcy to za mała zapłata za milczenie. Tym razem cena dwadzieścia tysięcy. Zostaw je w tym samym miejscu w piątek wieczorem w drodze do Montespan. Pamiętaj, że cię śledzimy, a zemsta jest słodka.

Poppy rozważała, co ma zrobić. Rozsądek mówił jej, że żądania nie ustaną, a im więcej zapłaci, tym większych sum szantażyści będą się domagać. Znalazła się w błędnym kole.

Był czwartek rano; miała czas aż do jutrzejszego wieczoru. Połączyła się z bankiem i poleciła przygotować na jutro do wypłaty dwadzieścia tysięcy dolarów. Następnie zarezerwowała numer w „Bristolu”. Wybrała ten hotel, gdyż miał świetną renomę, dyskretną obsługę i z pewnością nie służył za schronienie kryminalistom. Potem zadzwoniła do Montespan. Poleciła piastunce spakować trochę ubranek i przywieźć Rogana do Paryża. Powinni zdążyć na odchodzący kwadrans po trzeciej pociąg z Orleanu, a na stacji w Paryżu będzie czekał samochód, który zawiezie ich do hotelu. Tam się z nią spotkają. Sporo czasu minęło, zanim zebrała się w sobie i podniosła słuchawkę, by zadzwonić do Riccarda. Gdy wreszcie się przełamała, łyzy

zaczęły płynąć po jej twarzy.

– Poppy? – Dźwięk głosu wypowiadającego jej imię wystarczył, żeby wróciły wszystkie uczucia, które, jak sądziła, zostały na zawsze pogrzebane. Zrozumiała, że nigdy nie przestanie go kochać.

– Riccardo – szepnęła – nie chciałam dzwonić, ale mówiłeś, że mam się do ciebie zwrócić, gdybym była w kłopotach...

– Powiedz mi, co się stało.

– Ktoś... ktoś mnie szantażuje. Nie wiem, co zrobić.

Opowiedziała mu o listach z żądaniem pieniędzy.

– Nie martw się, Poppy. – Jego głos dobiegał jakby z wielkiej odległości. – Zajmę się tym.

– Riccardo – mówiła z wahaniem – myślałam o tym, kto... Próbowałam zgadnąć, jak komuś udało się zdobyć te informacje. Nikogo takiego nie ma w Paryżu.

– Nie łam sobie głowy – odparł szorstko Riccardo. – Zostaw to mnie. Nie chcę, żebyś się denerwowała. – Zapadła długa chwila ciszy, a potem powiedział: – Poppy, cieszę się, że zechciałaś zwrócić się do mnie o pomoc. – I przerwał połączenie.

Poppy z ociąganiem odłożyła słuchawkę. Miała wrażenie, że tym gestem odcina się od źródła życiodajnej siły. Położyła głowę na biurku i rozplakała się, jakby serce jej miało pęknąć.

By nie wzbudzać podejrzeń, wyjechała o zwykłej porze do Montepan. Zostawiła, jak poprzednio, torbę z pieniędzmi w żłobie. Potem odjechała jakby w dalszą drogę, lecz po jakimś czasie wróciła okrężną trasą do Paryża. Na krótko znów kupiła Roganowi i sobie bezpieczeństwo.

Dwa tygodnie później otrzymała przesyłkę, zawierającą dwadzieścia pięć tysięcy w banknotach o niskim nominale i wystawiony przez Riccarda Malvasiego czek na pięć tysięcy dolarów. Do paczki załączona była wiadomość od jego bankierów, że signore Malvasi czuł się w obowiązku dopłacić różnicę, ponieważ nie zadziałał dostatecznie szybko. Poza tym polecił przekazać, że nie ma już powodu do obaw, gdyż sprawa została załatwiona.

Czując się tak, jak mógłby się czuć Atlas, gdyby zdjęto mu z ramion kulę ziemską, Poppy pobiegła do „Bristolu” i zabrała małego Rogana na przedstawienie lalkowe w Lasku Bulońskim. Popychała przed sobą jego elegancki wózek, skłaniając głowę w kapeluszu z woalką, gdy mijala inne matki i piastunki, i czuła się jak prawdziwa *maman*. Piastunce powiedziały, że jutro mają wrócić na wieś. Ona przyjedzie jak zwykle na weekend.

Dom pod numerem 16 prosperował wspaniale. Poppy musiała odrzucać wiele próśb o członkostwo po prostu z braku miejsca i obsługi. Nie chciała rozbudowywać zakładu, gdyż sedno powodzenia klubu leżało w jego ekskluzywności. Poza tym hołubiła swoje dziewczęta. Ich skład nie był ten sam, co na początku. Belinda i Solange wyszły dobrze za mąż. Kilka innych po odłożeniu grubszej sumy pieniędzy odjechało do rodzinnych miasteczek i wiosek, gdzie rozchwytywano je jako dobre partie. Niektóre zaczęły pracować na własną rękę jako luksusowe kurtyzany. Pozostało jednak kilka ze starej gwardii. Poppy była zaskoczona, gdy pewnego dnia Watkins powiadomił ją, że Veronique zniknęła.

– Czy miała jakieś kłopoty? – wypytywała dziewczęta. – Może ktoś z jej rodziny zachorował i musiała wyjechać bez uprzedzenia?

Żadna jednak o niczym takim nie słyszała. Veronique była samotniczką i nie zawierała bliższych przyjaźni. Poppy właściwie nic o tej dziewczynie nie wiedziała, mimo że tak długo ją znała. W przeciwieństwie do innych Veronique nigdy jej się nie zwierzała ze swoich osobistych spraw i nie szukała porady w zmartwieniu.

Poppy przeżyła wstrząs, gdy zjawił się u niej inspektor policji prosząc o zidentyfikowanie zwłok. W kostnicy zobaczyła Veronique. Patrząc na zimną siną twarz, którą pamiętała piękną i pełną życia, czuła, że kurcz ściska jej gardło.

– Znaleziono ją w Sekwanie, zaplątaną w cumę niedaleko Pont D’Iena – objaśnił inspektor. – Na ciele nie ma żadnych śladów, więc nie podejrzewamy morderstwa. Po prostu utonęła. Oczywiście samobójstwo.

W umyśle Poppy odżyło wspomnienie wizyty Grega w domu pod numerem 16 i

nocy, którą spędził właśnie z Veronique. Teraz wszystko stało się jasne. Zrozumiała, kto ją szantażował. Pomyślała z kolei o paczce z dolarami i liście informującym, że „sprawa została załatwiona”. Podziękowała inspektorowi i wyraziła szczerzy żal z powodu tragicznej śmierci swojej pracowniczki. Znała już całą prawdę.

Nocą długo chodziła po ulicach Paryża myśląc o tym, co się stało. Szarym świtem, gdy nawet Paryż zapada w sen, wsiadła do dorożki i jechała z powrotem na rue des Arbres. Ufała Riccardowi wbrew wszystkim i wbrew samej sobie, nie wierzyła gdy obwołano go krwawym potworem, lecz teraz wiedziała: Riccardo załatwił tę sprawę tak, jak załatwiał wszystkie inne. Ojciec jej syna był bezlitosnym zbrodniarzem.

Rozdział 50

1914

W czerwcu 1914 roku, gdy Rogan miał sześć i pół roku, w Sarajewie zginął z ręki serbskiego nacjonalisty arcyksiążę Ferdynand, następca tronu monarchii austro-węgierskiej. W miesiąc później Austro-Węgry, przy poparciu Niemiec, wypowiedziały wojnę Serbii. Konsekwencje odbiły się echem po całej Europie i nagle w Paryżu nie mówiło się o niczym innym, tylko o wojnie.

Poppy wiedziała, że sielskie lata dzieciństwa Rogana w Montespan szybko dobiegną końca. Poświęcała synowi całe weekendy i niechętnie wracała z początkiem tygodnia do Paryża, lecz nie zaniedbywała pracy, pamiętając o swoich ambicjach zdobycia wielkiego majątku. Teraz stało się to podwójnie ważne, gdyż pragnęła go nie dla siebie, lecz dla Rogana.

Gdy skończył pięć lat, sprowadziła go do Paryża, rozumiejąc, że towarzystwo wiejskich dzieciaków nie może mu dłużej wystarczać. Kupiła małe mieszkanie blisko Lasku Bulońskiego i zapisała Rogana do szkoły. Od tej pory dzieliła swój czas między dwa domy; miała dwu różne wcielenia. Na rue des Arbres była coraz bardziej olśniewającą kobietą interesów, której niepokojące błękitne oczy przyrzekały wszystko, nie dając nic. W mieszkaniu przy Lasku Bulońskim

przeistaczała się w skromną wdowę i jak wszystkie matki zawsze odbierała syna ze szkoły.

Tłum chłopców wybiegał z bramy po skończonych lekcjach. Jasna, rudawa głowa Rogana wybijała się ponad inne. W Poppy miękło serce, gdy syn rozpromieniał się na jej widok i pędził w stronę długiej limuzyny de courmont w kolorze butelkowej zieleni – ostatniego i najelegantszego modelu. Zabierała Rogana na wyprawy do parku mul rzekę, zawsze była w domu, by dopilnować odrabiania lekcji, w dniu urodzin wyprawiała mu przyjęcie. Boże Narodzenie nieodmiennie spędzali w Montespan, razem z Nettą.

Nikt nie mógłby jej zarzucić, że nie wywiązuje się dobrze z obu swoich ról, lecz czasami traciła poczucie własnej tożsamości i czuła utajoną, głuchą zazdrość wobec młodych matek, które wiodły nieskomplikowane, zwyczajne życie. Zazdrościła nawet pracującym u niej dziewczętom, ponieważ one przynajmniej obrały swoją drogę i nie miały się w rozterce.

Syn stał się dla niej sensem życia, obiektem troski i czułości, odwzajemniał jej się szczerym uczuciem. Rogan był wszystkim tym, czym nie byli jej zdradzieccy kochankowie – przyjacielem, towarzyszem i największą miłością. Cały czas spędzony w domu pod numerem 16, ciężka praca, odgrywanie komedii poświęcone były jemu. Rogan był jej przyszłością.

Dom pod numerem 16 zaliczał do swych gości ministrów obecnego gabinetu, na równi z finansistami i wielkimi przedsiębiorcami, toteż Poppy towarzysząc im przy obiedzie wysłuchiwała najświeższych wiadomości o mobilizacji i powszechnych zbrojeniach. W duchu umierała ze strachu o swoje dziecko. Gdy zrozumiała, że wojna jest nieunikniona, po cichu wymieniła wszystkie pieniądze na złoto. Na początku sierpnia zabrała Rogana do Szwajcarii i ulokowała całe złoto i tytuły własności wszystkich nieruchomości w skarbcu genewskiego banku. Następnego dnia Niemcy wypowiedziały wojnę Francji. Poppy została w Szwajcarii tylko tak długo, by umieścić Rogana w starannie wybranej po rozmowach z wielu klientami

szkole Le Rossant. Przełożona wyglądała na kobietę miłą i troskliwą; Rogan uśmiechał się dzielnie przy pożegnaniu, lecz Poppy serce się krajało na wspomnienie dormitorium i małego białego łóżeczka, na którym leżał jego ulubiony pluszowy miś. Musiała siłą się hamować, by nie wrócić i nie zabrać go z powrotem. Powstrzymał ją zdrowy rozsądek. Rogan będzie znacznie bezpieczniejszy w szwajcarskich górach niż w kraju ogarniętym wojną.

Nadszedł wrzesień. Wojska francuskie wraz z Brytyjskim Korpusem Ekspedycyjnym starły się z wrogiem nad Marną. Po czterodniowych zaciętych walkach Niemcy zostali zmuszeni do odwrotu za rzekę Aisne, lecz straty w ludziach były wysokie. Wielu dzielnych młodych ludzi nie wróciło do swych rodzin.

Do domu pod numerem 16 wtargnęły mundury niebieskie i khaki zastępując smokingi i czarne krawaty, a spokojna, leniwa atmosfera nagle się naelektryzowała. Młodzi oficerowie po powrocie z frontu szukali zapomnienia – rozrywek, śmiechu i tańca, flirtu z ładną dziewczyną i pełnej miłosnego czaru nocy, jaką zapewniał ten dom. Chcieli zabrać do okopów wesołe wspomnienia.

Poppy dostosowała się do nowych potrzeb zmieniając duży salon w nocny klub, w którym grała do tańca jedna z najlepszych orkiestr w Paryżu. W całej sali rozstawiła stoliki, przy których podawano szampana i kanapki. Światło świec dodawało romantyzmu spojrzeniom dziewcząt, tak że każdy młodzieniec myślał, iż zdobył ich serce. Poza tym klub zachował swoją elitarną klientelę, a finansisci, pośrednicy w handlu bronią i przemysłowcy, oprócz płacenia własnych należności, hojnie subwencjonowali bawiących się za darmo bohaterów wojennych, tak że bilans zawsze był dodatni. Interesy wciąż szły doskonale. Jeśli dom pod numerem 16 stracił nieco blasku, nikt nie dostrzegał tego w świetle świec.

Sprzedawała mieszkanie przy Lasku Bulońskim, lecz zatrzymała posiadłość w Montespan, którą opiekowali się starzy państwo Joliot. Całe dni upływały jej w zamęcie rozlicznych zajęć, na organizowaniu dostaw żywności, odświeżaniu garderoby dziewcząt, werbowaniu personelu. Coraz więcej mężczyzn powoływano pod broń i wkrótce kucharki zastąpiły szefów kuchni, a obowiązki lokai przejęły

pokojówki.

Sypiała po cztery, pięć godzin na dobę. Parę chwil przed zaśnięciem było jedyną porą, gdy pozwalała sobie na myśli o synku. I o Riccardo. Mimo wszelkich wysiłków, by go zapomnieć, wciąż pojawiał się w jej snach. Ku jej wstydu, dręczyły ją erotyczne wizje. Po Riccardzie nie miała kochanków. Myśl o stosunkach cielesnych bez miłości napawała ją odrazą, choć była właścicielką elitarnego burdelu. Żyła więc we wstrzeźliwości i strojąc się co wieczór, stroiła się nie dla jednego mężczyzny, lecz dla wszystkich młodych ludzi, którzy przyszli do jej klubu ujrzyć piękno i blask.

Z biegiem miesięcy bladły nadzieje na rychłe zwycięstwo. Front ustalił się wzdłuż linii prowadzącej od Ostendy do granicy Szwajcarii. Poppy rozpaczliwie tęskniła za Roganem, lecz jedynym sposobem uzyskania pozwolenia na podróż było poproszenie jakiejś wpływowej osobistości, aby pociągnęła za właściwe sznurki. Znała przynajmniej z tuzin osób, które mogły jej w tym pomóc, ale wszystkie chciały znać powód jej wyjazdu. Było powszechnie wiadomo, że Poppy jest bardzo bogata. Mogłyby powstać podejrzenia, że chce przemycić pieniądze poza granice kraju. Naturalnie, jej rozmówcy się zastrzegali, iż oni jej o to nie posądzają, lecz aby być w porządku, muszą podać jakiś wiarygodny powód tej podróży. To nie wchodziło w grę; nikt nie mógł się dowiedzieć o Roganie. Pozostało tylko się modlić, że docierają do niego przynajmniej niektóre jej listy. Dostawała też od czasu do czasu krótkie, nagryzmołone dziecięcym pismem liściki, wysyłane na adres jej banku. Pisał, że czuje się dobrze, szkoła jest świetna, a koledzy na medal, lecz bardzo za nią tęskni. Na ogół kończył list przeprosinami, że nie może napisać więcej, ale musi biec na boisko lub iść z klasą na wycieczkę w góry.

Poppy, bezgranicznie dumna z jego zręczności w sportach i wyników w nauce, obiecywała sobie w duchu, że pewnego dnia, gdy zarobi dosyć pieniędzy, a Rogan dorośnie na tyle, by zrozumieć pewne rzeczy, zamknie dom pod numerem 16 i wyjedzie ze swoim chłopcem na stałe do Szwajcarii, Anglii – a może nawet Kalifornii.

Rok 1015 minął pod znakiem żałoby z powodu ciężkich strat pod Neuve-Chapelle i Ypres, a 1916 rozpoczął się straszliwą ofensywą niemiecką pod Verdun. Wkrótce nad Sommą rozegrała się bitwa decydującym znaczeniu, która pochłonęła po stronie aliantów sześćset tysięcy ofiar. Straty niemieckie przekroczyły sześćset pięćdziesiąt tysięcy zabitych.

W domu pod numerem 16 zapanowała atmosfera gorączkowej zabawy, w której wszyscy jak za ogólnym, niepisany porozumieniem starali się zapomnieć o wojnie. Dziś się żyje, jutro zaś nie wiadomo co się stanie; trzeba korzystać z życia póki czas. Wesole głosy brzmiały ostrzej, w ruchach znać było podniecenie, jeszcze bardziej wzrósł głód miłości. Poppy jak magik wyczarowywała dla żołnierzy iluzję przedwojennych czasów. Dbła o tych chłopców jak matka, wynajdując dla nich pokoje w przepelnionych hotelach, wysyłając do najlepszego fryzjera na strzyżenie i golenie, troszcząc się o upranie i uprasowanie mundurów. Jedzenie i trunki pojawiały się przed nimi w mgnieniu oka na koszt firmy – a gdy odchodzili, Poppy obdarowywała ich papierosami, czekoladą i domowym pasztetem z gęsich wątróbek. Życzyła szybkiego powrotu i, złagodziwszy własne reguły, całowała na pożegnanie. Widziała, jak zmienia się wyraz ich oczu, a młode twarze tężeją w dorosłym, znużonym grymasie, gdy znów stawali twarzą w twarz z niepewną przyszłością, i dziękowała Bogu, że to nie jej syn idzie na wojnę.

Z końcem roku 1917 Brytyjczycy zajęli Passchendaele kosztem wysokich ofiar w ludziach. Wreszcie latem 1918 roku Francuzi odparli Niemców w drugiej bitwie pod Marną. We wrześniu niemiecki front znów został przerwany i w październiku Niemcy zaproponowały pokój.

Poppy pojechała pierwszym pociągiem, który odchodził do Genewy. Liczyła minuty do spotkania z synem, trochę się obawiając, że może przyjąć ją jak obcą po czterech latach rozstania. Patrzyła na ośnieżono góry i zielone doliny z czarno-

białymi plamkami krów, myśląc o tym, jak Rogan teraz wygląda. Pożegnała go, kiedy był sześciolatkiem, teraz miał lat prawie jedenaście.

Rogan musiał czekać na schodach, bowiem gdy tylko samochód podjechał przed schludny szwajcarski dwór, w którym mieściła się szkoła, wybiegł na spotkanie.

– Mamo! Nareszcie przyjechałaś! – I rzucił się ku Poppy z uściskiem niedźwiadka.

– Uważaj, nie zgnieć mnie! – śmiała się patrząc z niedowierzaniem na barczystego, dobrze zbudowanego chłopca, który już był od niej wyższy. Jakże różnił się od tego patykowatego dziecka, które tu zostawiła! Lecz rudawa czupryna wciąż opadała mu zawadiacko na oczy o tej samej barwie intensywnego błękitu, co jej własne.

– Jesteś równie piękna, jak to zapamiętałem! – zawołał. – Chodź, pokażę cię kolegom. Chwaliłem się tobą, a teraz zobaczą, że mówiłem prawdę!

– Rogan, jak ty wyrosłeś – powiedziała Poppy głosem drżącym od łez. – Nie mogę wprost uwierzyć w tę zmianę. Chyba się rozpłaczę.

– Nie płacz, mamo – szepnął. – Przecież znowu jesteśmy razem.

Poppy pomyślała o wszystkich matkach, które nie zobaczą już swych synów, i w duszy znów złożyła dzięki Bogu. Rogan przedstawił jej kolegów i oprowadził po szkole, która przez ostatnie cztery i pół roku była jego domem. Poppy zabrała go na kilka dni, by bez towarzystwa innych ludzi mogli wrócić do dawnej zażyłości.

Hotel „Beau-Rivage” w Lozannie nasunął jej wspomnienia tego fatalnego dnia, gdy przyszła tu do pani Montgomery-Clyde ubiegać się o posadę damy do towarzystwa. Przypomniała sobie, jak nerwowo czekała przycupnięta za donicą z palmą, która stała przy filarze w foyer w tym samym miejscu co teraz, i oczami wyobraźni zobaczyła łakome usta, połykające chciwie czekoladkę, podczas gdy ich właścicielka mierzyła ją wzrokiem od stóp do głów jak niższą formę życia. „Teraz jestem tyle warta, co bogaczki typu pani Montgomery-Clyde pomyślała z dumą. – Co do franka, co do dolara”.

Szkoła Le Rossant wspaniale wywiązała się z zadania. Edukacja nie pozostawiała nic do życzenia. Chłopak był bystry i dorodny mówił płynnie trzema językami, miał wygląd i obejście prawdziwego światowca. Wyrósł na dżentelmena w każdym calu.

Poppy ogarniała błogość, gdy jedli razem obiad, a on darzył ją niemal tak czułą uwagą jak kochanek. Podczas zakupów w Genewie obsypywała go prezentami, żeby powetować sobie długi okres, gdy nie mogła mu nic dać. Kupowała Roganowi garderobę – koszule, skarpetki, tweedowe sportowe marynarki. Podarowała synowi również drogi, złoty zegarek, który go oczarował na wystawie jubilera i który pokazywał godzinę w sześciu strefach czasowych oraz fazy księżyca.

Pojechali w góry, by obejrzyć wioskę Gstaad, gdzie szkoła przenosiła się na zimowe miesiące. Rogan opowiadał z zapałem o zjazdach na nurtach i o podniebnych wspinaczkach. Pojechali kolejką zębatą w góry i wędrowali razem leśnymi szlakami, nocując w gospodach, w których ofiarowano im pyszne jedzenie i życzliwą gościnność, jakiej we Francji nie spotykało się od wybuchu wojny. Rozmawiali bez chwili przerwy. Poppy chciała, żeby syn opowiedział jej wszystko o lekcjach, sportach, jakie uprawia, nauczycielach i przyszłych celach. Chciała poznać jego ulubione potrawy, ulubioną muzykę, ulubione książki.

Któregoś razu Rogan całkiem mimochodem zapytał o ojca. Siedzieli właśnie w niewielkiej gospodzie, przycupniętej na zboczu nad Gstaad, i Poppy patrzyła z czułą pobłażliwością, jak jej duży syn pochłania *rosti Oberlanderart*, czyli jajka smażone na szyńce, bekonie i cebuli, przysypane tartym serem.

– Bałem się pytać, co stało się z moim ojcem – rzekł Rogan z nieszczęśliwą miną – lecz widzisz, mamusiu, ja muszę wiedzieć. Poppy patrzyła w milczeniu na dolinę, mobilizując myśli.

– Twój ojciec był szlachetnym i dobrym człowiekiem – odparła po długiej przerwie. – Umarł przed twoim narodzeniem... Zginął w wypadku samochodowym we Włoszech.

– Czy byłaś z nim... gdy to się stało? – szepnął z przerażeniem. Potrząsnęła przecząco głową.

– Pojechał wtedy sam. To była podróż w interesach. Bardzo go kochałam.

– Biedna mama... – Rogan pogłaskał jej dłoń.

– Przynajmniej ty mi zostałeś. Gdy się urodziłeś, pozmyślałam sobie, że jesteś jak mały posłaniec z nieba, który przybył mi na pomoc tak jak Luchay – dodała.

– Luchay?

– Moja papuga, nie pamiętasz?

– Oczywiście! – rozjaśnił się w uśmiechu. – Luchay! Bajkowi zielona papuga... „Poppy *cara*, Poppy *cherie*, Poppy kochana”! Pewnie, że pamiętam tego mądralę. Musi już być strasznie stary.

– Luchay przeżyje nas wszystkich – rzekła Poppy z przekonaniem. – To powiernik wszystkich sekretów rodzinnych.

– Więc mamy jakieś sekrety rodzinne? – spytał bez większego zainteresowania Rogan, gdy kelner nalewał jej kawę.

Wykonała gest, jakby odsuwała to pytanie na bok.

– Chciałeś dowiedzieć się czegoś o ojcu. Był Anglikiem. Miał imię Riccardo... to znaczy Richard. Poznaliśmy się we Włoszech, gdy odbywałam swoją wielką, zamorską podróż...

– Zamorską podróż? – spytał ze zdziwieniem. – Myślałem, że zawsze mieszkałaś w Europie!

Poppy poczuła, że się rumieni. Zaplątała się we własnych kłamstwach.

– Nie, nie... Urodziłam się w Ameryce. Mój ojciec wyemigrował z Irlandii do Kalifornii. Nie pamiętasz, jak ci mówiłam, że dostałoś imię po swoich irlandzkich przodkach? Mój ojciec – a twój dziadek – był hazardzistą. Początkowo wiodło mu się dobrze, lecz potem stracił dużo pieniędzy. Miał w Kalifornii wielkie ranczo ze stadami owiec i bydła. Gdy byłam młoda, brałam udział w spędzie bydła...

– Ty? – zdziwił się Rogan.

Poppy miała ochotę wybuchnąć śmiechem, ale jednocześnie zbierało jej się na płacz. Rogan tak mało o niej wiedział, a ona opowiadała mu ten stek kłamstw, czy raczej półprawd.

– Po śmierci Jeba, mojego ojca, nie miałam nic. Ranczo zostało sprzedane. Nie wiem, co się z nim stało. Zakochałam się w twoim ojcu i wzięliśmy ślub. Zginął bardzo młodo, lecz zostawił nam posiadłość w Montespan i dosyć pieniędzy na wygodne życie.

– Ale oprócz tego przecież pracowałaś – powiedział, a ona poczuła się tak, jakby jego niebieskie oczy przewiercały ją na wylot. – Pamiętam, że gdy zostawiałaś mnie z piastunką, mówiłaś, że musisz iść do pracy. Często nie było cię w domu.

– Ach, tak – skłamała szybko – przez długi czas prowadziłam mały sklep niedaleko rue du Faubourg Saint-Honore. Kapelusze i różne inne drobnostki... miał powodzenie u klientek. Potem przyszła wojna.

– A co teraz? – indagował z niepokojem. – Czy masz dosyć pieniędzy? Poczekaj tylko, aż ja dorosnę i zacznę pracować, wtedy nie musiała się o nic martwić.

Uśmiechnęła się, rozczulona jego troskliwością.

– Miałam dużo szczęścia w inwestowaniu pieniędzy – rzekła skromnie. – Myślę, że po mojej śmierci będziesz bardzo bogatym młodym człowiekiem.

– Nawet o tym nie mów! – zawołał Rogan, a przez jego ładną twarz przemknął grymas przerażenia. – Zresztą nie chcę tych pieniędzy. Sam zdobędę wielki majątek.

– Co za ambicja! – roześmiała się Poppy. – A w jaki sposób?

– Jeszcze nie wiem – odparł zbity z tropu – ale wiem, że to zrobię.

Był tak wzruszający w swej młodości, że serce w niej miękło.

– Oczywiście, Rogan – powiedziała łagodnie. – Jesteś dokładnie taki, jak twój ojciec.

– Naprawdę?! Tak mało o mm wiem. Nawet me widziałem go na fotografii.

– Wszystkie fotografie przepadły... podczas pożaru. – Wymyśliła na poczekaniu nowy wykręt. – Zresztą ja nie miałam na myśli podobieństwa fizycznego. Richard miał ciemne włosy, chociaż już mu siwiały gdy... no, mniejsza z tym, miał ciemne włosy i ciemne oczy, i był raczej średniego wzrostu, lecz jesteś do niego podobny pod innymi względami. – Zawahała się na myśl o uroku Riccarda i jego bezwzględności; nagle zbudziła się w niej obawa. – Wiesz, Rogan – dodała

gwałtownie – nie jest bardzo ważne, jacy się rodzimy. Ważniejsze, czym się stajemy. Zapamiętaj to.

Skinął głową rozważając jej słowa.

– Chyba rozumiem, mam, i zrobię wszystko, żebyś była ze mnie dumna.

– To ty masz być dumny z siebie, niczego więcej me wymagam – powiedziała cicho i uśmiechnęli się do siebie.

– Jeżeli mój ojciec był Anglikiem, to pewnie mam tam jakąś rodzinę. Chciałbym ich teraz poznać, skoro wojna się skończyła...

– Tak... nie! – krzyknęła, tworząc kolejną bajeczkę. – Richard był ode mnie dużo starszy i miał tylko matkę – twoją babkę – która była wówczas już bardzo sędziwa, miała chyba przeszło osiemdziesiąt lat. Zmarła na początku wojny. Ty jesteś niestety ostatnim potomkiem rodziny twojego ojca... Kiedyś byli bogaci, lecz potem podupadli. Nie zostawili żadnych posiadłości ani nic takiego. Obawiam się, że Richard nie zostawił ci żadnej schedy.

– Nic nie szkodzi, mam. Nie mówmy już o tym, bo widzę, że cię to denerwuje. Mam ciebie i nikogo więcej mi nie trzeba.

Poppy uśmiechnęła się słabo.

– To właśnie powiedziałam tobie, gdy zginął twój ojciec – wyszeptala. – „Przynajmniej mam ciebie”.

Był to ich ostatni wspólny wieczór. Poppy następnego dnia miała wyjechać do Paryża. Rogan spytał, czy nie mógłby zaprosić kilku kolegów.

– Oczywiście – zgodziła się wesoło. – Zaproś ich wszystkich na obiad do „Beau-Rivage”. Potem tutaj zanocują. Będzie fantastyczna zabawa.

Wkładając suknię śliwkowego koloru, która skromnie zachodziła pod szyję, Poppy czuła treść jak przed spotkaniem z kochankiem. Zaczesała bujne loki na czubek głowy, zwinęła w kok i spięła diamentowymi gwiazdkami, zapięła na przegubie rubinowo-diaamentową bransoletkę i takie same kolczyki na małych, zgrabnych uszach, a potem przejrzała się niespokojnie w lustrze myśląc, czy ten strój

jest odpowiedni dla matki Rogana. Rozważała, czy przypudrować nos, i uszczypnęła się w policzki, żeby przywołać na nie rumieniec. Było jeszcze bardzo wcześnie; Rogan i jego koledzy mieli przyjść za pół godziny. Nerwowo chodząc po pokoju zastanawiała się, jak wypadnie w porównaniu z ich matkami.

W hotelowej restauracji rojno było od przemysłowców, polityków, generałów i bankierów, którzy zjechali do Szwajcarii omawiać sprawy wielkiej wagi – kwestie finansowe i warunki zawieranego traktatu pokojowego. Poppy z dumą przydawała przy stole pełnym uczniów, którzy wśród śmiechu i gwaru opychali się przysmakami. Nagle pochwyciła wzrok mężczyzny siedzącego naprzeciwko i zbladła, gdy uniósł w pozdrowieniu swój kieliszek. Był to sławny finansista, który podobno powiększył znacznie swój majątek na wojennych dostawach broni, i jeden z najlepszych klientów domu pod numerem 16. Poppy znała go dobrze, nie wyłączając jego gustów, jeśli chodzi o jedzenie, wino i kobiety. Nieraz zapraszał ją na obiad, pomimo że znał jej żelazną zasadę unikania kontaktów towarzyskich z klientami, i nalegał tak długo, aż musiała mu zagrozić usunięciem z klubu. Wówczas ustąpił, lecz Poppy wiedziała, że poczuł się dotknięty jej odprawą.

– Nic ci nie jest, mamó? – spytał z niepokojem Rogan. – Bardzo zbladłaś.

– Tak... nie... nic mi nie jest. Trochę tu gorąco... – Rzuciła błędne spojrzenie na drzwi w chęci ucieczki, lecz było za późno. Tamten mężczyzna już wstał i zbliżał się do niej... O Boże, to już koniec! Siedziała jak osaczone zwierzę, niezdolna się poruszyć.

Spojrzeli sobie w oczy, gdy podszedł do stolika. Przystanął na niemal niedostrzegalną chwilę, a potem z cieniem uśmiechu na ustach ruszył dalej.

– Słuchajcie, czy to nie Jacob Le Fanu? Ten handlarz bronią? Jego jest w Le Rossant. Mówi się, że Le Fanu zbił grubszą forszę podczas wojny.

– Naprawdę? – rzuciła Poppy lekkim tonem, nie okazując wewnętrznego rozdygotania. Sądziła dotychczas, że uda jej się rozdzielić swoje dwa wcielenia, nie przewidziała spotkania z którymś z klientów jej klubu. Teraz zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Le Fanu okazał dyskrecję, lecz inny mężczyzna na jego miejscu

mógłby nie mieć taktu. Mimo że nigdy go nie lubiła, poczuła teraz gorącą wdzięczność.

Siedząc w pociągu jadącym do Paryża rozmyślała o nadciągającym zagrożeniu. Czas szybko mijał. Zanim się obejrzy, Rogan skończy osiemnaście lat i pójdzie na uniwersytet. Wkroczy w świat młodych galantów, którzy znali miejsca takie jak dom pod numerem 16. Zostało jej siedem lat na odbudowanie majątku, nadwerężonego w latach wojny przez jej hojność wobec żołnierzy – siedem lat na zabezpieczenie dziedzictwa Rogana.

Rozdział 51

1919, FRANCJA

Z wielkiego salonu zniknęły odrapane stoliki i krzesła, które tylko dzięki słabym płomykom świec stwarzały złudzenie elegancji w chudych wojennych latach. W nowym wystroju, który kosztował zawrotny sumę, przeważały błękitne pastele i srebro. Goście oglądali artystów z najlepszych paryskich kabaretów, a do tańca przygrywała im najlepsza orkiestra jazzowa, sprowadzona specjalnie z Nowego Jorku. Nowy bar, połyskujący chromem, białą skórą i kryształowymi lustrami, co uchodziło za najwyższy wyraz szyku, szedł w zawody z barem w „Ritzu”, choć spokojna, obita boazerią biblioteka i elegancka jadalnia pozostały takie same. Poppy udało się sprytnie zniwelować przepaść między pokoleniami i zadowolić gusty zarówno dawnych klientów, jak i nowych, którzy ciepło ją wspominali z czasów wojny. Koszt wstępu wzrósł dwukrotnie w stosunku do przedwojennych opłat. Dom pod numerem 16 stał się przybytkiem dostępnym jedynie dla najbogatszych.

Poppy wprowadzała również zmiany w Montespan, urządzając „prawdziwy dom” dla Rogana wraz z rekwizytami fałszywej, wymyślonej przez nią przeszłości. Kupowała angielskie antyki, które miały uchodzić za rodzinne meble jej męża. Polowała w sklepach ze starzyzny na stare fotografie, które oprawione w nowe srebrne ramki miały przedstawiać fikcyjnych krewnych. Ustawiła na półkach w nowym gabinecie Rogana drogą kolekcję rzadkich książek, rzekomo zbieranych

przez jego ojca. Zgromadziła przeróżne „pamiątki” – stare wieczne pióro, jakoby ulubione pióro jej męża, ciężki zegarek kieszonkowy „po dziadku”, złoty sygnet z wyrytym herbem. Znalazła nawet piękne, stare amerykańskie siodło, które mogła podać za własność swojego ojca z czasów, gdy mieszkali razem w Kalifornii. W jej wyobraźni te rzeczy stały się spuścizną rodową Rogana.

– Jak na kobietę bez przeszłości stworzyłaś jej niezłą namiastkę – stwierdziła na w pół z podziwem, na w pół z rozpaczą Netta, rozglądając się po nowym Montesperan.

– Czemu nie? – odparła Poppy zadziornie. – Dlaczego Rogan ma być pozbawiony wspomnień tylko dlatego, że jego ojciec nie żyje?

Netta spojrzała na nią z niepokojem. Bała się, że Poppy sama niedługo uwierzy we własne bajdy.

– Przecież wiesz, że on żyje – sprzeciwiła się cicho. – Dopiero co w zeszłym miesiącu widziałam Riccarda w Marsylii. – Nie chciała jej o tym mówić, lecz musiała jakoś sprowadzić przyjaciółkę na ziemię.

Pod Poppy ugięły się kolana. Mimo upływu tylu lat serce waliło jej dziko na sam dźwięk jego imienia.

– Jak wygląda? – spytała szeptem.

– Postarzał się. Osiwiał zupełnie. Jest wychudzony, zmęczony i zdenerwowany. Goryle go nie odstępują. Podobno nawet w oknach domu ma pancerne szyby. Wszyscy... – miała zamiar powiedzieć, że wszyscy go nienawidzą, lecz nie przeszło jej to przez gardło. – Wszyscy się go hoją – dokończyła ponuro.

– Dlaczego, Netto? – spytała Poppy żałośnie. – Dlaczego on nie mógł być taki jak każdy inny mężczyzna? – Nie oczekiwała odpowiedzi.

Kiedy Rogan przyjechał na wakacje, Netta musiała jednak przyznać, że Poppy, jakkolwiek by oceniać jej pobudki, dokonała cudu. Chłopiec patrzył na zegarek, który rzekomo należał najpierw do jego dziadka, a potem do ojca, z taką czcią, jakby był to święty Graal.

– To będzie mój największy skarb, mamó – oświadczył z szacunkiem. – Dziękuję, że mi go dałaś.

Pokazała mu złoty sygnet. Natychmiast wsunął go z dumą na mały palec lewej ręki i próbował odcyfrować zatarty herb, wprawiając Poppy w niepokój dociekaniem, do jakiej rodziny angielskiej on należy i projektami wyśledzenia ich drzewa genealogicznego. Obejrzał dokładnie „kolekcję książek ojca” podziwiając ich piękno i sędziwy wiek.

– Muszą być warte fortunę! – wykrzyknął z podziwem.

Potem studiował stare fotografie, doszukując się podobieństwa między sobą a wyblakłymi twarzami.

– Chyba mam oczy babci – rzekł do Poppy. – A czy moje włosy podobne do twoich czy do włosów dziadka?

– Jesteś żywym odbiciem swojego ojca – odparła stanowczo, dziękując Bogu, że to nieprawda.

Gdy Rogan wyraził zainteresowanie uprawą ziemi, dokupiła więcej gruntów; gdy zaintrygowała go astronomia, sprawiła mu olbrzymi teleskop; ilekroć spodobała mu się łódka, pies, obrazek młodego malarza impresjonisty – natychmiast mu je darowywała.

– Boję się powiedzieć, że coś mi się podoba – skarżył się śmiechem – bo od razu mi to kupisz. Jesteś dla mnie zbyt dobrą mamą.

– Bzdury – mówiła Poppy wesoło. – Przez tyle lat nie mogłam cię psuć, a teraz tylko patrzeć, jak dorosisz i się ożenisz. Pozwól mi cię porozpieszczać choć przez ten krótki czas.

– Nigdy cię nie opuszczę – powiedział poważnie Rogan. – Zbyt długo byłaś sama. Zawsze będę się tobą opiekować, mamó.

Poppy dokonała różnych inwestycji, kierując się radami finansistów i bankierów, bywalców klubu, i przyniosło jej to grube zyski. Wraz z sumami, jakie wciąż przynosił dom pod numerem 16, składały się one na pokaźny majątek. W dodatku jej rachuby dotyczące nabytych kiedyś kawałków ziemi zaczęły się sprawdzać. Już sprzedała z kolosalnym zyskiem dwie działki na przedmieściach Paryża, gdzie budowano nowe fabryki. Część gruntu zatrzymała dla siebie, by otrzymać większą

cenę, gdy będzie potrzebne miejsce na ich rozbudowę. Lekcja Riccarda nie poszła w las.

Kiedy Rogan przywoził ze sobą swoich przyjaciół na wakacje, cały czas spędzała z nimi w Montespan. Wyprawiała chłopców na ryby, pomagała w zbieraniu siana i gotowała im olbrzymie posiłki. Podczas jego nieobecności musiało jej wystarczyć towarzystwo Netty i Luchay'a, który teraz nosił na łapkach cztery wysadzone klejnotami obrączki.

– Musisz mieć swój udział w naszym szczęściu i dobrobycie, Luchay – powiedziała mu kiedyś i w nagłym natchnieniu podniosła słuchawkę, by zamówić u Bulgarego w Rzymie nową klatkę. Złotą – rozkazała – i wspaniałą jak pałac Szeherezady. Ma być jak z bajki! Mniejsza o koszty.

Chciała obdarzyć jak najwspanialej swoją maskotkę, lecz dla siebie kupiła tylko parę skromnych klejnotów.

– To są nasze lata tłuste – rzekła papudze, która ocierała się miękkim łebkiem o jej policzek. – I ciężko na nie zapracowaliśmy, prawda?

Jakub Le Fanu przebył długą drogę z ubogich slumsów Algieru do luksusowej rezydencji w londyńskiej dzielnicy Belgravia dzięki nosowi do interesów i umiejętności nawiązywania odpowiednich kontaktów. Uchodził za człowieka, który nie daje łatwo za wygraną, ma świetną pamięć i lubi kobiety. Był prostakiem bez wykształcenia; wybił się o własnych siłach, a jego wielki majątek dał mu wstęp do niemal wszystkich kręgów towarzyskich – z wyjątkiem elity na samej górze. Niski, ciemnowłosy i ciemnooki, emanował lewantyńską zmysłowością, robiącą wrażenie na płci pięknej. Uważał się za nieodpartego uwodziciela, któremu żadna kobieta nie może się oprzeć, zwłaszcza jeśli znajdzie diamentową bransoletkę, ukrytą w przysłanych kwiatkach, lub parę rubinowych kolczyków w czekoladkach. Wypraktykował wszystkie metody trafiania do kobiecego serca i często je stosował.

Zatrzymując się w Paryżu odwiedzał dom pod numerem 16 nie tyle z powodu rozrywek, co kontaktów, jakie można było tam nawiązać. Bywali tam wszyscy

liczący się ludzie. Traktował to miejsce jak klub, gdzie można omówić dyskretnie interesy, którymi wolał się nie afiszować w hotelu ani w biurze. Oprócz tych korzyści chętnie spędzał wolny wieczór z jedną z tajemniczych, zamaskowanych kobiet, „pracujących” tu dorywczo, gdyż sprawiał mu uciechę widok dam z lepszego towarzystwa – do którego nigdy nie mógł należeć – zniżonych do poziomu zwykłych prostytutek.

Zdaniem Jacoba jedyną damą w domu pod numerem 16 była właścicielka. Uprzedzono go o jej nieprzystępności, lecz on wiedział swoje. Próbował ją obłaskawić nadzianym diamentami bukietem i rubinowymi czekoladkami, lecz odesłała je z uprzejmym liścikiem, że nigdy nie przyjmuje prezentów. Posyłał jej w zimie kosze szklarniowych brzoskwiń i truskawek, które przekazywała szpitalowi dziecięcemu i dziękowała napomykając, że tam na pewno zostaną docenione. Podarował jej uroczego szczeniaka, białego pudła, sądząc, że w ten sposób ją ujmie, lecz odpowiedziała mu, że niestety w domu pod numerem 16 nie wolno trzymać zwierząt, a ponieważ niezręcznie jej było zwracać taki prezent, oddała go przyjaciółom na wieś.

Jacobowi chwilowo zabrakło pomysłów, lecz się nie poddawał. Poppy była dla niego wyzwaniem, a jej uniki czyniły ją w jego oczach tylko bardziej godną pożądania. Był zdecydowany stać się tym, który złamie jej chłodną rezerwę.

Przypadkowe spotkanie z Poppy w „Beau-Rivage” natchnęło go do przeprowadzenia małego śledztwa. Jego syn uczęszczał do Le Rossant i nietrudno było się dowiedzieć, że Rogan, którego matka jest „wdową po mężu Angliku”, chodzi do niższej klasy w tej samej szkole.

Dopiero po kilku miesiącach wybrał się znów do Paryża. Zatrzymał się w hotelu „Crillon”, ponieważ zawsze czuł, że powściągliwy wykwent tego miejsca równoważy jego własne zamięłowanie do przesadnego zbytku. Zamówił sto czerwonych róż i kazał je natychmiast posłać Poppy, wstrzymując się tym razem od załączania biżuterii. Zamiast tego napisał krótki liścik, że ku swej radości znów jest w Paryżu i byłby zachwycony, gdyby zechciała zjeść z nim dziś wieczorem obiad w

„Crillonie”, gdzie się zatrzymał, w „Maximie” lub innym miejscu, które jej odpowiada, ponieważ powinni omówić pewną sprawę.

Poppy po otrzymaniu róż i przeczytaniu listu wiedziała, że nadciąga burza. Wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w piękne kwiaty i obmyślała plan dalszego postępowania. W godzinę później wysłała do „Crillona” posłańca z odpowiedzią.

Jacob otrzymał list po powrocie ze spotkania w Pałacu Elizejskim. Odczuł zadowolenie, choć nie było ono zupełne. Poppy w uprzejmych słowach zawiadamiała, że zgadza się na wspólny obiad, lecz pod warunkiem, że odbędzie się on w jednym z prywatnych gabinetów w domu pod numerem 16, o dziewiątej wieczór. W ten sposób udaremniła zamiar Le Fanu pokazania się z nią publicznie. Byłby pierwszym mężczyzną towarzyszącym pięknej, nieosiągalnej Poppy i udowodniłby tym raz jeszcze, że Jacob Le Fanu odnosi sukcesy tam, gdzie inni ponoszą porażkę. Mimo wszystko na jego ustach zaigrał uśmiezek satysfakcji. Nie odważyła się odrzucić zaproszenia – a wobec tego niedługo wszyscy się o tym dowiedzą. Już on o to zadba.

Poppy na to spotkanie włożyła połyskującą kryształowymi paciorkami suknię z miękkiego szyfonu w gołęzim kolorze, która odsłaniała jej białe jak alabaster ramiona i krągłe piersi w niemal prowokujący sposób. Wyglądała prześlicznie. Jacob na próżno próbował odgadnąć jej wiek. Poppy była osobą, którą czas omijał. Nie starzała się, lecz stawała coraz piękniejsza.

– Monsieur Le Fanu! – powitała go wesoło. – Jak miło widzieć pana znowu w Paryżu. Dużo czasu upłynęło, odkąd widzieliśmy się ostatnio... to było w Genewie, prawda? Podobno ma pan syna w Le Rossant. Proszę mi o nim opowiedzieć przy obiedzie.

Jacob był za sprytny, by dać się złapać i okazać zaskoczenie, lecz nigdy nie przypuszczał, że ona pierwsza poruszy ten temat.

– Gdy całe życie ciężko się pracowało – odrzekł – dobrze mieć syna, który odziedziczy owoce tej pracy. Ale tego oczywiście nie muszę pani mówić.

Poppy uśmiechnęła się uprzejmie, dzwoniąc na Watkinsa.

– Sama wybrałam menu na dziś wieczór. Mam nadzieję, że obiad będzie panu smakować. O ile pamiętam, ma pan szczególną słabość do trufli. Specjalnie zamówiłam świeżą dostawę z Perigord. Ponadto Watkins przelał do karafki wino Chateau Haut-Brion, które zawsze pan u nas pije. Jak pan widzi, dom pod numerem 16 przewyższa nawet znakomite hotele: zawsze pamiętamy o gustach naszych gości i staramy się je zaspokoić.

Szczebiotała nadal o wszystkim i o niczym, gdy Watkins podawał *boef consomme* w przyrumienionym cieście. Patrzyła, jak Jacob otwiera skórkę i łakomie wdycha wspaniałe zapach. Wśród wszystkich możliwych przynęt wykorzystwała również jego słabość do wyszukanych potraw, by zwabić go w pułapkę swą fałszywą uległością i skłonić do odkrycia zamiarów.

Sama jadła mało, obserwowała tylko, jak Jacob topnieje pod wpływem znakomitego jedzenia i mocnego, uderzającego do głowy wina. Z podbródkiem opartym na dłoni słuchała, jak opowiadał o swojej dzisiejszej rozmowie w Pałacu Elizejskim, a przy tym lekki, tajemniczy uśmiech pojawił się na jej ustach. Wiedziała doskonale, co robił po południu. Ona także miała swoje znajomości.

– Odrobinę koniaku? – zaproponowała. – A może porto rocznik 1895?

Jacob, który stał przed kominkiem w butnej pozie, jakby już był tu panem, postawił kieliszek na gzymsie i chwycił ją za rękę.

– Poppy – rzekł chrapliwym głosem – pani wie, co do niej czuję.

– Jestem tym wielce zaszczycona, monsieur Le Fanu – odparła spokojnie – lecz podobne uczucia żywi do mnie wielu mężczyzn. Na pewno powodem jest to, że w naszym klubie jestem jedyną kobietą nie do wzięcia. Słyszałam, że niektórzy nawet zakładali się między sobą, jak szybko uda im się uwieść madame Poppy. Stało się to rodzajem zabawy. – Uśmiechnęła się czarująco. – Dorośli mężczyźni potrafią być czasem bardzo dziecinni.

– W moim uczuciu nie ma nic dziecinnego – jęknął przyciągając ją do siebie. – Jesteś najbardziej pociągającą kobietą na świecie, Poppy. Jedyną kobietą, jakiej pragnę.

– Watkins wejdzie za chwilę – mitygowała go – proszę mnie puścić, Jacob.

Choć niechętnie, posłuchał jej prośby, gdyż pojawił się kamerdyner z tacą słodczy i kawą. Watkins otrzymał instrukcje, by wkraczać pod byle jakim pretekstem mniej więcej co dziesięć minut.

– Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie chciałyby pani rozgłaszać pewnych spraw – oświadczył Jacob biorąc ze stosu słodczy truskawkę w czekoladzie i zjadając ją łakomie. Wylał palce w serwetkę. – Zdecydowałem się kupić mieszkanie przy rue de la Cour. To przyjemna ulica na prawym brzegu i bardzo dyskretna. Blisko stamtąd do biur rządowych i rzecz jasna do domu pod numerem 16.

– Rozumiem więc, że planuje pan dłuższy pobyt w Paryżu.

– To zależy od ciebie, Poppy. Mieszkanie przy rue de la Cour jest twoje. Kupiłem je dla ciebie dziś po południu.

Wpatrywała się przez chwilę w milczeniu w jego twarz o ostrych rysach, szerokim czole i błyszczących brązowych oczach, które patrzyły na nią wyczekująco. Oblizął lekko uchylone, mięsiste usta, jakby była smacznym kąskem, do którego połknięcia się szykował.

– Niepotrzebne mi mieszkanie, monsieur Le Fanu – powiedział w końcu. – Chyba wyjaśniłam już panu, że nigdy nie przyjmuję prezentów od nieznajomych.

– Nie jestem nieznajomym – zareplikował z uśmiechem w kącikach ust. – Wiem o tobie więcej niż ktokolwiek inny. Po rozmowie z nauczycielami w Le Rossant zdziwiło mnie odkrycie, że mamy ze sobą tyle wspólnego. To mogłoby nas bardzo zbliżyć. Oczywiście pragnę dodać, że jestem ucieleśnieniem dyskrecji... gdy mi to odpowiada.

– Omylił się pan – oświadczyła chłodno Poppy. – Nigdy nic mieszać interesów z przyjemnościami. A zwłaszcza rodzinę trzymam od nich z daleka. Jestem przekonana, że madame Le Fanu nie chciałyby usłyszeć o tym... tym gniazdku miłosnym przy rue de la Cour.

Jacob ryknął śmiechem nalewając sobie następny kieliszek koniaku.

– Nie możesz mnie szantażować, Poppy – zbeształ ją z szerokim uśmiechem. –

Pomyśl tylko o skutkach. Gdyby się rozeszło, że madame Poppy grozi swoim klientom, iż wyda ich sekrety żonom, a może nawet konkurentom w interesach... Uciekliby szybciej niż szczury z tonącego okrętu! W domu pod numerem 16 żywa dusza by nie została! Widzisz więc, moja droga, że nie masz zbyt wielkiego wyboru. Czyż nie lepiej, byśmy zostali przyjaciółmi, Poppy? Mam szczerą rękę i dobrze się tobą zaopiekuję. – Uniósł gęste czarne brwi, jakby czekał na odpowiedź, lecz w gruncie rzeczy przekonany o swojej wygranej.

Poppy spojrzała mu prosto w oczy.

– To wspaniałomyślna oferta, aczkolwiek nie pierwsza tego rodzaju. Zawsze je odrzucałam i nie widzę powodu, żeby zmienić zdanie. – Modliła się w duchu, by nie usłyszał drżenia w jej głosie lub nie domyślił się zawrotnego bicia pulsu. – Ja również mam przyjaciół na ważnych stanowiskach, także w Pałacu Elizejskim. Zamieniłam już z nimi słówko i przedstawiłam im wagę problemu. Zapewnili mnie, że człowiek cieszący się tak powszechnym szacunkiem nigdy nie zniżyłby się do zmuszania siłą damy do czegoś, na co ona nie ma ochoty. Gdybyś jednak spróbował... – wzruszyła wymownie ramionami – przestałby być mile widziany w ich kręgach. Byłbyś skończony, Jacob!

Poderwał się ociężale na nogi, zrzucając tacę ze słodyczami na podłogę.

– Sprytna z ciebie sztuka, Poppy – powiedział z twarzą pobielającą z gniewu.

– W takim zawodzie jak mój muszę umieć sobie radzić – odparła. – I jeszcze jedno, Jacob. Nikt oprócz ciebie nie wie o moim synu. Jeżeli wiadomość o nim się rozniesie, lub gdy Rogan kiedykolwiek dowie się o domu pod numerem 16, będę wiedziała, czyja to sprawka. Ostrzegam cię z góry, Jacob, to byłoby bardzo nierozsądne.

Podniósł kieliszek i osuszył go jednym haustem.

– W takim razie zawrzyjmy rozejm, Poppy – powiedział siląc się Mit spokój. – Powinienem wiedzieć, że okażesz się dla mnie za sprytna. Jako jedyna możesz się pochwalić, że pobiłaś mnie z kretesem.

– Nigdy nie przyszło mi to głowy – zachnęła się z udanym oburzeniem.

– A więc przyjaźń? – wyciągnął do niej rękę.

– Przyjaźń – zgodziła się z uśmiechem.

Nazajutrz odebrała kilka tuzinów czerwonych róż z listem wyrażającym przeprosiny, lecz wiedziała, że ma wroga.

Rozdział 52

1925, FRANCJA

Na osiemnaste urodziny Khalima Le Fanu jego ojciec obiecał mu huczną zabawę.

– Zaproś z tuzin swoich młodych przyjaciół do Paryża nu weekend – oświadczył wspaniałomyślnie. – Zarezerwuję dla was miejsca w „Ritzu”, zjecie obiad w „Maximie”, a potem możecie pójść, gdzie ci się spodoba. Chcę, żebyś dobrze się zabawił, synu – ciągnij! mrugnawszy porozumiewawczo. – Aha, nie zapomnij zaprosić tego miłego chłopca, o którym mi opowiadałeś, Rogana.

Rogan miał już siedemnaście lat i wyrósł na krzepkiego młodzieńca. Był wysoki, miał barczyste, muskularne ciało atlety i niski, dorosły głos. Zaproszenie starszego o rok i lubianego przez wszystkich kolegi sprawiło mu wielką i niespodziewaną radość, tym bardziej że jego matka nie pozwalała mu zbyt często przyjeżdżać do Paryża.

Le Fanu wynajął połowę piętra w „Ritzu” i zaopatrzył sownie pokoje w szampana i różne frykasy. Przed hotelem na rue Cambon stał szkarłatny sportowy bugatti, prezent urodzinowy dla Khalima. Wszyscy jego przyjaciele otrzymali z tej okazji po parze diamentowych spinek i o dziewiątej wieczorem wyruszyli w smokingach i w pysznych humorach do „Maxima”.

Szampan, którego popijali przez całe popołudnie, zdążył już uderzyć im do głów. Gdy kelnerzy wnieśli kopczyk kawioru, plastry delikatnego pasztetu z gęsich wątróbek i półmisek, na którym połyskiwały świeże ostrygi i owoce morza, Khalim ostrzegł przyjaciół przed nadmiarem trunków.

– Poczekajcie z tym, żeby nie nadwątlić zbytnio sił przed spotkaniem z dziewczętami.

Był to drugi temat wieczoru, po nowym samochodzie Khalima. Niektórzy przechwalali się swoim doświadczeniem, choć wszyscy mieli widoczną treść. Również Rogan czuł mieszaninę strachu i podniecenia kontemplując w myśli rozkoszne wizje.

– Nie ma nic łatwiejszego – rezonował Khalim – a z dziewczynami z domu pod numerem 16 pójdzie jak z płatka. Ojciec mówił mi, że to najpiękniejsze sztuki na świecie.

Rogan zjadł jeszcze jedną ostrygę, ponieważ ktoś powiedział mu, że to afrodyzjak, i marzył o trzymaniu w ramionach jednej z najpiękniejszych kobiet świata, modląc się zarazem, by nie okazać się niezręcznym.

– Ojciec dużo mi o nich opowiadał – ciągnął Khalim. – Podobno są tak doświadczone, że naprawdę wiedzą, jak zadowolić mężczyznę. Moglibyśmy zjeść tam od razu obiad, kuchnia u nich należy do najlepszych w Paryżu, ale ojciec nie chciał psuć niespodzianki. Powiedział, że osiemnaste urodziny powinno się spędzać w „Maximie”.

– Miał rację – przytaknęli entuzjastycznie. – Khalim, tu jest bombowo!

– Przedtem pójdziemy jeszcze do klubu „Tombeau” na Montmartrze – zaanonsował Khalim, przedłużając rozkoszną mękę oczekiwania – na rewię i tańce!

W „Tombeau” popłynęło więcej szampana, choć nie tak dobrego, jak w „Ritzu” czy „Maximie”, lecz zdołali go sporo wypić, toteż z coraz większą pewnością siebie patrzyli na półnagie girlsy w krótkich falbaniastych spódniczkach, przemierzające scenę ze stukiem obcasów.

Dochodziło już wpół do trzeciej, gdy wreszcie wyruszyli w kierunku domu pod numerem 16 i ze śmiechem, maskującym podniecenie, wysypali się z taksówek przed elegancką kamienicą.

– Nie myślcie, że to jakiś ordynarny burdel – oznajmił im podekscytowany Khalim. – Ojciec mówi, że to najbardziej ekskluzywny klub w całej Europie. Jeśli dotąd nie utraciliście cnoty, to najlepsze po temu miejsce!

Spojrzeli niepewnie na dom.

– Jesteś pewien, że to tutaj? Wygląda raczej na twoją rodzinną rezydencję – zażartował Rogan.

Wybuchnęli śmiechem, gdy Khalim w odpowiedzi wywrócił oczami.

– Mieszkanie tutaj mogłoby człowieka zupełnie wykończyć!

Zadzwoił i chwilę później w drzwiach stanął siwowłosy kamerdyner.

– Jestem Khalim Le Fanu – rzekł solenizant z wyższością. Mój ojciec kazał wam nas oczekiwać.

– Naturalnie, sir – odparł Watkins. – Zechcą panowie wejść.

Stłoczyli się w holu i rozglądali wokół wybałuszonymi oczami, spodziewając się ujrzeć gołe najady, rozparte w kuszących pozach na aksamitnych sofach, lecz zobaczyli tylko zieloną papugę na drążku. Ale jakim! Obstąpili go z podziwem.

– To czyste złoto! – zauważył Rogan z szacunkiem.

– Te kamienie nie mogą być prawdziwe! – westchnął ktoś inny. – Popatrzcie tylko na szmaragdy i diamenty na jej łapkach!

Rogan spojrział ze zdumieniem. Myślał, że tylko Luchay nosił podobne ozdoby, lecz widocznie rozpowszechniła się taka moda. Khalim wysunął palec, chcąc szturchnąć ptaka.

– No dalej, gadaj! – zaczął go drażnić, lecz papuga wysunęła błyskawicznie głowę i dziobnęła go dotkliwie. Odskoczył z okrzykiem bólu.

– One na ogół nie są napastliwe! – zdziwił się Rogan. – Nasza papuga wygląda dokładnie tak samo, a jest łagodna jak baranek.

– To przez Khalima! – rozległy się śmiechy. – Nie przypadł jej do gustu!

Z oświetlonej świecami jadalni po ich prawej stronie dochodził dyskretny szmer rozmów. Na końcu korytarza widać było bibliotekę, w której odbłask płonącego ognia pełzał po boazerii.

– Ojciec mi mówił, że zawsze jest tam napalone, bez względu na porę roku – popisował się wciąż swoją wiedzą Khalim, gdy kamerdyner odebrał od nich czarne płaszcze i białe jedwabne szaliki. Powiedział, że musimy koniecznie zobaczyć cocktail bar i nocny klub.

– Gdyby zechcieli panowie łaskawie iść za mną, wskażę drogę – rzekł Watkins.

Podążyli za nim, depcząc sobie wzajem po piętach i rzucając szeptem pełne podziwu komentarze na widok przepychu i elegancji wnętrza.

– Naprawdę jesteś pewny, że to właściwe miejsce? – zagadnęli zniżonymi głosami Khalima. – Nie widzieliśmy jeszcze ani jednej dziewczyny!

Lustrzany bar wyrwał im z piersi okrzyk zachwyty, a urządzony na niebiesko i srebrno klub nocny wywołał westchnienia podziwu.

– No co, to coś innego od „Tombeau”? – pysnił się Khalim.

– Popatrzcie tylko na dziewczyny – szepnął z nabożeństwem Rogan.

Nagle wydało mu się, że są tu ich tuziny – niskich i wysokich, szczupłych i okrągłych, blondynek, brunetek i rudych, smakowitych jak czekoladki i przerażających jak istoty z Marsa. Podeszła do nich ładna młoda blondynka w czerwonym szyfonie.

– Jestem Olga – powiedziała ze śpiewnym rosyjskim akcentem. – Napijcie się z nami szampana i popatrzcie na kabaret. Dzisiaj występuje u nas wschodząca gwiazda, Gaby Delorges. Śpiewa bardzo nieprzyzwoite piosenki – dodała, puszczając do nich oko – ale tacy grzeczni chłopcy jak wy na pewno nic nie rozumieją, prawda? – Roześmiała się na chór protestów i poprowadziła ich przez wyłożone granatowym dywanem pomieszczenie do zdobionego srebrem stolika w pierwszym rzędzie. Niebawem do każdego z chłopców dosiadła się urocza towarzyszka i szampan znów popłynął wartko.

– Spodoba się wam Gaby – szepnęła Olga Roganowi na ucho. – To najlepsza tancerka w Paryżu i jest bardzo piękna.

– Nie bardziej od ciebie – odparł oszołomiony jej nieskazitelną karnacją i krótkimi jedwabistymi włosami.

– Dobrze wiesz, jak trafić dziewczynie do serca, Rogan – uśmiechnęła się zalotnie.

Gaby Delorges roztaczała niepokojący urok, gdy wijąc się wężowo na czarnym, obitym aksamitem szezlongu śpiewała niskim, przejmującym głosem o tym, jak

jeden kochanek lubił jej palce u nóg, drugi jej dłonie, trzeci uda, czwarty biust... Rogan wstrzymał oddech patrząc z niedowierzaniem, jak Gaby od niechcenia głaszcze przy tym swoje piersi, i usłyszał cichy śmiech Olgi tuż przy sobie.

– Jeszcze szampana, Rogan? – Napelniła jego kieliszek.

Później tańczyli, a on czuł, jak wzbiera w nim podniecenie, gdy ocierała się o niego całym ciałem. Rozejrzał się w świetle świec i zauważył, że niektórzy koledzy już zniknęli.

– To cudowne miejsce – oznajmił Oldze. Bełkotał już nieco od nadmiaru szampana.

– Tutaj marzenia się spełniają – westchnęła kładąc głowę na jego piersi. – Przrzekam ci, że dziś w nocy zaspokoisz swoje pragnienia, Rogan.

Poczuł świeży, ciepły zapach, bijący od jej włosów, i impulsywnie głowę i pocałował ją.

– Ja też chcę cię pocałować – szepnęła, gdy wtulił usta w jej szyję – ale tutaj nie wolno. Chodź do mojego pokoju.

Wyszedł z nią zamroczony trunkiem i pożądaniem. Potknął się na progu.

– Bęc! – zawołała Olga ze śmiechem. – Pozwól, że obejmę cię ramieniem. Może lepiej skorzystajmy z windy.

Rogan oparł się o nią ciężko, gdy czekali na windę. Zamknął oczy i wyobrażał sobie rychłe upojenie. Sam dotyk jej ręki przejął go dreszczem.

Winda nadjechała z lekkim pomrukiem, złożona krata otworzyła się, odsłaniając wyłożoną miodowym aksamitem kabinę i piękną rudowłosą kobietę. Kobieta podniosła wzrok znad wielkiej księgi, którą niosła, i uśmiechnęła się do nich. Nagle z jej twarzy odpłynęła krew, tak że nawet wargi pobieleały.

– Bonsoir, madame – powiedziała Olga ciągnąc Rogana za rękę, lecz on jakby wrósł w ziemię.

– Zostaw nas, Olga – rozkazała Poppy głosem ostrym jak cięcie bicia i dziewczyna bezgłośnie znikła w ciemności.

– Rogan, chcę ci wyjaśnić... – zaczęła Poppy.

– Wyjaśnić?! – Naraz zupełnie otrzeźwiało. – Co wyjaśnić matko? Ze to właśnie ty jesteś właścicielką sławnego domu pod numerem 16? Boże, powinienem zgadnąć już wtedy, gdy zobaczyłem papugę w holu. Ale byłem głupi! Myślałem, że teraz jest moda na ozdabianie papug klejnotami! Ha, ale tylko w burdelach, co?

– Rogan, błagam cię, posłuchaj mnie, pozwól powiedzieć...

– Wszystko, co mi kiedykolwiek kupiłaś – ciągnął jak w transie – wszystko, co mamy, dom na wsi, klejnoty Luchaya, moja nauka... wszystko było opłacane pieniędzmi z tego miejsca! Przychodzą tu ojcowie moich kolegów... Oni muszą cię znać! Khalim Le Fanu...

– Le Fanu?! To on cię tu przyprowadził?

Rogan mierzył ją oczami pełnymi bólu.

– Teraz rozumiem! – krzyknął z rozpaczą. – Wszyscy muszą o tobie wiedzieć! O mojej matce! Te historie o moim zmarłym ojcu którego pewnie nigdy nie miałem... Założę się, że nawet nie wiesz, kim on był! Przez te wszystkie lata żyłem w kłamstwie! – Jego twarz wykrzywił grymas cierpienia.

Poppy położyła mu lekko dłoń na ramieniu. Rogan odskoczył jak oparzony.

– Nie dotykaj mnie, matko. – Jego głos stał się nagle chłodny. Przeszywał ją na wskroś. – Nie zbliżaj się do mnie. Nie chcę cię nigdy więcej widzieć.

– Posłuchaj, Rogan! – zawołała, gdy odchodził wielkimi krokami. – Rogan, proszę...!

Nie obejrzał się ani razu. Szarpnięciem otworzył drzwi i wybiegł.

– Rogan, wróć! – krzyczała przeraźliwie. Zbiegła za nim pochodach czepiając się poręczy, by nie upaść. Powtarzała raz po raz bezsilnie jego imię patrząc, jak oddala się i znika za rogiem.

W tej chwili zrozumiała, że można pragnąć czyjejś śmierci. Gdyby mogła teraz dostać w swoje ręce Le Fanu, zabiłaby go z rozkoszą. Chciała widzieć, jak uchodzi z niego życie, tak jak z niej teraz; chciała, żeby krzyczał z bólu, tak jak ona krzyczała teraz. Jacob Le Fanu czekał sześć długich lat, lecz w końcu dokonał zemsty.

Rozdział 53

Dla Mike'a wszystko stało się jasne. Poppy miała zwyczaj nadawani bliskim istotom imion, które coś znaczyły. Luchay był jej „promykiem światła”, a Rogana określiła raz jako „małego posłańca od Boga” Rogan Messenger (posłaniec)... Wziął powtórnie do ręki kopię pisemnego oświadczenia, które przysłał mu Lieber.

Dziadek Messenger urodził się w Paryżu – pisał Orlando. – Przyjechał do Anglii jako młody człowiek. Był sam i bez grosza, lecz w końcu udało mu się dostać zajęcie pianisty w nocnym klubie na Mayfair, jednym z tych miejsc, w których bywali ludzie z lepszego towarzystwa w latach dwudziestych. Był tak biedny, że musiał czekać na podwyżkę, by kupić sobie używany smoking, a przez pierwszy tydzień nie miał pieniędzy na jedzenie. Żył kawą i zakąskami podsuwanymi mu przez kolegę kelnera. Zawsze żartował, że jest pewnie jedynym człowiekiem na świecie, który niemal zagłodził się na śmierć na diecie złożonej z kawioru i wędzonego łososia.

Wpadł w oko pewnej bywalczyńki klubu, żonie znanego finansisty. Dziadek był przystojnym wysokim blondynem – wyraźnie się w niego wdałem. Zaczęła zapraszać go, by grał na jej przyjęciach, najpierw w ich wielkim domu w Londynie, potem w wiejskiej rezydencji w Sussex o nazwę Hawksfield Abbey, i tak rozwinęła się ich przyjaźń. Nie wiadomo, czy doszło między nimi do czegoś więcej, ale sądząc z tego, co mówił mi mój ojciec, poważnie w to wątpię. Dziadek Messenger był człowiekiem surowych zasad.

Jego zarobki wystarczały mu już wtedy na skromne utrzymanie, lecz niewiele ponadto, tyle że jakoś dawał sobie radę. Sądzę, że te weekendy na wsi, kiedy grywał na przyjęciach, były jedynymi okresami, podczas których mógł liczyć na trzy solidne posiłki dziennie, i musiała to być dla niego nie lada gratka. W każdym razie lady Melton wciąż mu powtarzała, że się marnuje jako podrzędny grajek, zwłaszcza gdy odkryła, że ma głowę nie od parady, że chodził do szwajcarskiej szkoły i włada płynnie trzema językami. Namówiła męża, by dał mu szansę w swoim biurze. Sprawdził się świetnie na nowej posadzie i zaczął dobrze zarabiać. Miał dwadzieścia dwa lata.

Lady Melton pilnowała, żeby obracał się we właściwym towarzystwie. Właśnie podczas weekendu w Hawksfield Abbey poznał moją babkę. Nazywała się Lydia Lyle i była całkiem zamożna, choć nie szalenie bogata, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi. No więc zakochali się w sobie i pobrali, a jej ojciec kupił mu w prezencie kantor agenta na giełdzie. W rok później, kiedy urodził się ich jedyny syn – mój dziadek zbil już niezłą fortunę dzięki zręcznej grze na giełdzie. Nie mieli innych dzieci, nie wiem czemu. Na ogół ludzie w tych czasach mieli duże rodziny.

Dziadek Messenger zmarł dwa lata po moim urodzeniu, a babka w kilka miesięcy później. Byli tak sobie oddani, że nie mogła żyć bez niego. Dziadek zostawił spory mająteczek, który ojciec powinien rozmnożyć – Bóg mi świadkiem, że miał po temu wszelkie szanse! – lecz był słabego charakteru, a moja matka lubiła hazard bodaj więcej niż dzin. Gdy się nudziła, dawała drapaka do Monte Carlo czy Hongkongu albo płynęła w długi rejs – obojętnie gdzie, byle móc dawać upust swoim dwóm słabościom. Była bardzo ładna i mój ojciec więcej czasu spędził uganiając się za nią w obawie, że ją straci, niż pilnując interesów. Do tego trzeba dodać wydatki na hazard i rozrzutny styl życia, więc przez okres mojej nauki z trudem mogli opłacać czesne.

Miałem czternaście lat, kiedy ojciec powtórzył mi to, co dziadek Messenger powiedział mu o swojej matce – pamiętam dokładnie słowo w słowo: „Poppy Mallory była ladacznicą. Nie, nie jedną z tych luksusowych kurew, które sypiają z wielkimi tego świata, mają z nimi cichaczem gromadkę dzieci, dostają tytuły i posiadłości ziemskie. Na szczęście już nie żyje i nigdy jej nie spotkasz. Wykreśliłem ją z moich myśli czterdzieści lat temu. No, nie do końca, bo niełatwo zapomnieć kobietę taką jak ona”.

Widzi pan więc teraz, panie Lieber – kończył się list – dlatego uważam się za spadkobiercę Poppy Mallory.

Mike nie miał teraz najmniejszych wątpliwości, że Orlando jest prawnikiem Poppy, lecz wobec tego dlaczego Poppy nie wspomniała wcale w swoim testamencie

o synu? Była tam mowa wyłącznie o córce. Czy wydziedziczyła Rogana za to, że się jej wyrzekł? Mike zadzwonił do Genewy i przekazał Lieberowi najświeższe wieści. Stary prawnik nie okazał zbytniego zaskoczenia.

– Węch mi mówił, że coś jest w tej jego historii – powiedział. – Co więcej, do testamentu dołączony był krótki list. Nie przywiązywałem wcześniej do niego wagi. Madame Mallory wydawała mi się starszą damą, której trudno zebrać myśli, więc sądziłem, że to jakaś wskazówka dla jej adwokata, że przyplątała się przez pomyłkę. List był do kogoś o imieniu Rogan. Donosiła w nim, że napisała testament na korzyść swojej córki, a jego przyrodniej siostry, o której istnieniu nie wiedział. Nadmieniła, że pamięć zaczyna ją zawodzić, więc przezornie woli nie zwlekać ze swą ostatnią wolą. Napisała: „Chcę mieć pewność, że twoja siostra również będzie zabezpieczona, ale ty się tym oczywiście zajmiesz”. Na razie nie możemy rzecz jasna powiedzieć panu Messengerowi tego, co wiemy. Najpierw musimy ustalić los córki Poppy, a jeśli istnieje jakiś jej potomek lub potomkowie, majątek będzie podzielony równo pomiędzy nich i Orlanda.

Mike przemyślał słowa prawnika, a potem nakręcił numer do Carralda w Los Angeles.

Został mu do przeczytania ostatni zeszyt. Miał nadzieję, że kryje się w nim ostateczna odpowiedź na pytanie, co stało się z Poppy i kto jest jej córką. Chciał zadzwonić do Arii, ale postanowił, że zaczeka, aż będzie miał pewność. Podszedł do Luchaya i pogłaskał go po miękkich skrzydłach. Papuga bez mrugnięcia patrzyła mu w oczy.

– Biedny Luchay – powiedział Mike. – Opuściła cię, nieprawdaż? I nigdy nie wróciła.

Wrócił do biurka i znów zasiadł nad zeszytami. Czytając je czuł niemal namacalną obecność Poppy, tu, w tym pokoju. Wreszcie poznał jej duszę.

Rozdział 54

1927, FRANCJA

Poppy od przeszło dwóch lat mieszkała samotnie na wsi w Montespan. Dom pod numerem 16 przy rue des Arbres wciąż był zamknięty, tak jak zostawiła go tego dnia, gdy odszedł Rogan. Meble stały w białych pokrowcach, okiennice były zamknięte na głucho. Simone mówiła jej, że śmietanka paryska wciąż nie może odzalać tej straty.

– Wszyscy twierdzą, że nikt nigdy nie stworzy podobnego klubu, i zarzekają się, że któregoś dnia znów otworzysz podwoje.

Poppy potrząsnęła głową.

– Nigdy – szepnęła.

Od tamtej przeklętej nocy tysiące razy wędrowała w myślach swego życia. Próbowwała umocnić się w przekonaniu, że wszystkie jej postęпки były podyktowane twardą koniecznością zarobienia na życie. W głębi serca wiedziała, że to nieprawda. Tkwił w niej kompleks z czasów, gdy była cieniem Angel. Chciała powodzenia, sławy i bogactw. Z powodu fałszywej dumy i obsesji wzbogacania się straciła jedyną rzecz naprawdę cenną w jej życiu – miłość i szacunek syna.

Bóg wie, do czego by się posunęła, gdyby nie Netta, która sprzedała swoje marsylskie przedsiębiorstwo i zamieszkała razem z nią na wsi.

– Robię się za stara, żeby odgrywać wiecznie rolę wesolej burdelmamy – stwierdziła z westchnieniem. – Niedługo stuknie mi pięćdziesiątka. Zmęczyło mnie to wieczne wciąganie brzucha i farbowanie siwizny!

– Mnie siwizna nie przeszkadza – rzuciła z roztargnieniem Poppy, dotykając srebrnych pasm, które się niedawno pojawiły na jej skroniach. – Każdy kolejny siwy włos znaczy, że o jeden dzień bliżej do końca.

Netta spojrzała na nią z przerażeniem. Poppy prawie nic nie jadła i strasznie schudła. Jej rysy utraciły dawną miękkość, policzki się zapadły, lecz w jakiś tajemniczy sposób nie umniejszyło to jej urody. W oczach Poppy błyszczał dawny ogień, gdy nadzorowała ruchy dziesiątków prywatnych detektywów, których zatrudniła w różnych miastach świata do poszukiwań syna. Ich cotygodniowe

raporty, nieodmiennie zawierające negatywne wyniki, wypełniły już sześć szafek na akta w jej gabinecie.

Po zniknięciu Rogana długo czekała na jego powrót, a kiedy zdała sobie sprawę, że żywi płonne nadzieje, jęła chwytać się gorączkowo wszystkich sposobów, aby go odnaleźć. Chciała prosić o pomoc wpływowych znajomych z domu pod numerem 16, ale to zadanie przekraczało ich możliwości. Chciała iść na policję, lecz to oznaczało głośny skandal i roztrząsanie jej prywatnego życia na forum publicznym. Była zbyt znana, by dało się utrzymać podobną sprawę pod korcem. Doszła do wniosku, że jedynym człowiekiem, który mógłby odnaleźć Rogana, jest Riccardo.

– Nie możesz się do niego zwrócić! – krzyknęła Netta na wieść o jej zamiarach. – Gdy Riccardo raz się dowie, że ma syna, nie puści go już od siebie!

– Nie będzie wiedział, że Rogan jest jego synem! – zawołała Poppy. – Powiem, że miałam innego kochanka...

– Wystarczy prosty rachunek – rzekła bez ogródek Netta. – Chłopak ma siedemnaście lat. W tym czasie Riccardo był twoim jedynym kochankiem.

Poppy uderzyła głęboka ironia tej prawdy: mimo upływu lat nic się nie zmieniło. Wciąż nie mogła powiedzieć Riccardowi o Roganie i nigdy nie będzie mogła wyjawić Roganowi, kim był jego ojciec.

Pokładała wobec tego nadzieję w prywatnych detektywach. Zatrudniała ich coraz więcej, lecz kolejne miesiące mijały bez żadnych wiadomości.

– Przecież on rzuca się w oczy – mówiła z rozpaczą – przez swój wysoki wzrost i te jasne, rudawoblond włosy.

– Na świecie są tysiące młodych, wysokich ludzi, madame odpowiadali cierpliwie – a włosy można ufarbować.

Netta pojechała do Marsylii na wakacje. Wracając w ulewnym deszczu do Montesperan swoim nowiutkim sportowym samochodem, straciła panowanie nad kierownicą i uderzyła w drzewo. Zginęła na miejscu. Pograżona w żalu Poppy pogrzebała przyjaciółkę na małym cmentarzyku zajmującym szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na marsylski port. Żałowała, że to nie ona spoczęła pod

kamienną płytą. Po stracie syna strata przyjaciółki wydała jej się złowrogą zapowiedzią końca.

W ciągu długich zimowych miesięcy w Montepan, przybita samotnością i nieszczęściem, pierwszy raz w życiu wróciła myślami do córki. Przypomniała sobie niemowlę o puszystych jasnych włoskach i różowej buzi, które trzymała w ramionach. Zastanawiała się, jak jej córeczka wygląda teraz. Uprzytomniła sobie, że od tamtej pory minęło dwadzieścia osiem lat. Małe dziecko stało się dorosłą kobietą. Nagle Poppy rozpaczliwie zapragnęła ją zobaczyć. Przechadzała się pustymi oblodzonymi alejkami próbując zwalczyć to dziwne, nowe uczucie. Wyniki nie odniosły skutku. Następnego tygodnia wsiadła w pociąg do Wenecji.

Miasto pod niebieskim majowym niebem wyglądało tak samo, jak je pamiętała, tak samo, jak na pejzażach Canaletta, jakby czas stanął w miejscu. Eleganckie hotele wywiesiły letnie markizy, gondolierzy wozili turystów po kanałach, a na placu św. Marka wciąż grała kilkusobowa orkiestra.

Poppy zajrzała w okna „Floriana”, jakby spodziewała się zobaczyć czekającego tam na nią Felipe. Opanowana uczuciem *deja vu* zajęła miejsce przy tym samym stoliku z marmurowym blatem, na tej samej wyściełanej czerwonym pluszem kanapce, jak w dniu, w którym go poznała. Młody kelner podał jej mrożoną herbatę. Co stało się z Carlem, wąsatym staruszką, który serwował jej czekoladowy deser o nazwie granita? Przypomniała sobie słowa Felipe, że przychodził tu jako dziecko, i nagle strzeliło jej do głowy, żeby zapytać o niego obsługę. Może przychodził tu z dziećmi? Wiedziała, że to śmieszne, lecz nie mogła się temu oprzeć.

– Czy mógłby mi pan pomóc? – zwróciła się do młodego kelnera. – Przed laty znałam rodzinę, która tu przychodziła, lecz straciłam z nimi kontakt. Przyszło mi do głowy, że może pan ich zna. Nazywają się Rinardi... baron i baronowa Rinardi.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi, signora, ale pracuję tu dopiero od kilku miesięcy, jeżeli sobie życzy, spytam kogoś z kolegów.

Po chwili wrócił z siwowłosym mężczyzną, który obdarzył ją uprzejmym uśmiechem.

– Ach, państwo Rinardi! – wykrzyknął, krzyżując ręce na białym fartuchu. – Co za wytworna para, a jakie śliczne dzieci. A baronowa – prawdziwa piękność! Gdy dzieci były małe, często tu z nimi bywali. Lecz niestety już nie przychodzą. Brakuje nam ich.

– Już nie? – powtórzyła. – Dlaczego?

– Słyszałem, signora, że baronowa wróciła do Ameryki. – Wzruszył ramionami. – To się zdarza w najlepszych rodzinach... nieszczęśliwe pożycie... separacja. Można to było poznać po wyrazie twarzy pani baronowej, mimo że była tak piękna.

– A dzieci? – spytała Poppy drżącym głosem.

– Dziewczynki były urocze, obie śliczne, każda na swój sposób jedna wesoła, druga cicha jak myszka. Chłopiec był przystojny jak ojciec. – Westchnął. – Kto wie, może pewnego dnia rodzina znów się połączy, jeśli taka będzie wola Boga.

– Może – odparła automatycznie Poppy. – Dziękuję, signore.

– To dla mnie przyjemność, signora. Życzę miłego pobytu w Wenecji.

„Więc Angel ma syna – myślała pijąc herbatę. – Felipe doczekał się spadkobiercy. I dwie dziewczynki, jedna żywa, druga cichutka”, Poppy na pewno by odgadła, która jest jej córką. Wystarczyłoby jedno spojrzenie... Wyglądała zniechęcona przez okno. Już za późno na wskrzeszanie przeszłości. Poza tym Angel znajdowała się wraz z córkami dziesięć tysięcy kilometrów stąd, w Kalifornii. Na ranczu Santa Vittoria.

Wybiegła z „Floriana” i udała się spieszonym krokiem do biura Thomasa Cooka. Powiedziano jej, że statek do Nowego Jorku odpływu za trzy dni. Poppy szybko, zanim miała czas się rozmyślić, zarezerwowała miejsce. Nareszcie wracała do domu.

Rozdział 55

1927, KALIFORNIA

Poppy pojechała konno na swój dawny punkt obserwacyjny i zajęła pozycję na

wzgórzu, z którego rozciągał się widok na rezydencję Konstantów. Koń, którego wypożyczyła z miejscowej stajni, pasł się nie opodal i miarowy chrzęst zrywanej trawy rozlegał się rytmicznie wśród ćwierkania ptaków i śpiewów cykad.

Na miejscu dworu Mallorych zastała zwęglone ruiny. Podeszła do ganku, brodząc w splątanych, wysokich do pasa chwastach, które zarosły dawny trawnik, i usiadła na połamanych schodach, tak jak ongiś. Wraz z wspomnieniem, jak czekała na powrót Jeba, odezwało się znajome uczucie ściskania w żołądku. Przypomniała sobie upiornego ślepego starca w kuchni z suszonej na słońcu cegły, ciemny, zamarły pokój, który należał kiedyś do jej matki, i swój opuszczony pokój dziecienny, pod nieobecność ojca pełen cieni i strachów. Przypomniała sobie wielki lśniący fortepian w salonie i zabawki w kredensie, które musiała zostawić, gdy ojciec zabrał ją na tułaczkę z miasta do miasta w pogoni za pokerem. Ogarnęło ją to samo uczucie samotności i opuszczenia.

Dwór Mallorych nigdy nie był przybytkiem szczęścia, lecz gdyby Mallory nie przegrał go w karty, mogłaby dać Roganowi prawdziwe dziedzictwo, zamiast wymyślać fałszywą przeszłość.

Jedyną ocalałą częścią domu była dawna chata z suszonej cegły, która stała tu od dwustu lat. Jej grube ściany nie przepuszczały do środka śpiewu ptaków, a przez okienko umieszczone pod sufitem padał na zakurzoną podłogę mały kwadrat słonecznego blasku. zamknąwszy oczy, Poppy ujrzała siebie jako małą dziewczynkę, która chwyta ukradkiem ze stołu kawał płaskiego kukurydzianego placka, wstrzymując oddech w obawie, że stary, ślepy Indianin ją złapie. Nawet w chwili obecnej odczuwała napięcie, opar smutku, samotności i śmierci. Z cichym okrzykiem przestraszu wybiegła z zatechłego wnętrza. Przedzierała się przez chaszczę, łapczywie chwytając świeci powietrze. Spojrzała odruchowo na łagodny pagórek za domem. Ani śladu maków.

Wsiadła na konia i pojechała znajomą piaszczystą drogą. Zatrzymała się tam gdzie zawsze i patrzyła ze wzgórza na dom Konstantów. Jego białe ściany i czerwone dachówki lśniły jak niegdyś. Otaczały go barwne plamy kwiatów,

fontanna migotała w słońcu, po padoku biegały arabskie źrebaki. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, ciągnęli się ziemia Konstantów.

Poppy usiadła w trawie z podciągniętymi nogami i oparła pod bródek na kolanach, zatopiona w marzeniach. Nagle wybiegł z domu wysoki siwowłosy mężczyzna. Skierował się do starej stodoły. Poppy serce zabiło gwałtownie. Rozpoznała Grega. Oprócz siwizny nie postarzał się zbyt, wciąż był wysoki, szczupły i przystojny, jakim go zapamiętała. Człowiek, którego nazywała bratem i którego – jak to zbyt późno odkryła – kochała. W parę chwil później Greg wyjechał na dziedziniec granatowym packardem. Zawołał na kogoś w głębi domu, a jego głos przejął Poppy jednocześnie rozkoszą i bólem. Zagryzła wargi, żeby do niego nie krzyknąć. Po schodkach zbiegła ładna roześmiana kobieta. Wachlowała się wielkim słomkowym kapeluszem. Poppy zrozumiała, że to jego żona.

– Melisso, dlaczego zawsze się spóźniasz? – usłyszała jego słowa,

– Po latach starań chyba się poddałam i przestałam z tym walczyć! – Kobieta śmiejąc się wsiadła do wozu.

– Chodźcie, chłopcy! – krzyknął Greg, wladując do bagażniki torby i walizki, i przed dom wypadła pędem trójka dzieci. To byli synowie Grega, którzy mogli być także jej synami. Dwaj starsi wrodzili się w ojca, najmłodszy, marudzący z tyłu, był podobny do dziadka Nika.

– Pospiesz się, Hilliard! – ponaglił go Greg.

Wówczas w drzwiach pojawiła się Angel i zeszła wolno po schodach. Angel! Poppy przywołała w pamięci ich ostatnie spotkanie... lecz teraz te srebrzystoblond włosy, jasne jak księżycowa poświata, były jeszcze jaśniejsze. Z nagłym wstrząsem zdała sobie sprawę, że Angel jest zupełnie siwa.

W zamieszaniu pożegnalnych uścisków i pocałunków rodzina Grega wpakowała się do samochodu i ruszyła w drogę. Angel pomachała za nimi. Poppy wyteżając wzrok ze swej kryjówki, by zobaczyć po raz ostatni Grega i jego synów, poczuła stare ukłucie zazdrości. Po tylu latach znów wróciła do punktu wyjścia – zajmowała pozycję widza, który obserwuje cudze szczęście z zewnątrz, nie mając do niego

dostępu. Nigdy tak naprawdę nie należała do tej rodziny – wszystko to było złudzeniem.

Patrzyła, jak Angel idzie trawiastą dróżką do małej altanki, którą dobrze pamiętała: było to ich ulubione miejsce, gdzie zwierzały sobie wzajem swoje sekrety. Długi czas trwała w rozterce. Ciągnęło ją, by porozmawiać z Angel. Choć rozsądek przestrzegał, że nie powinna tego. robić, wsiadła na konia i powoli zaczęła zjeżdżać ze wzgórza w stronę dworu Konstantów, ongiś jej przybranego domu.

Angel siedziała na rzeźbionej ławce w cieniu porośniętej winem kraty. Otworzyła cienką książeczkę, którą ze sobą przyniosła. Był to pamiętnik jej matki. Znalazła go zaledwie wczoraj na strychu w stercie swoich starych podręczników szkolnych. Nawet teraz, w dwanaście lat po śmierci Rozalii, wahała się do niego zajrzeć, gdyż miała wrażenie, że popełnia niedyskrecję. Pierwsze strony dotyczyły wyłącznie ojca, historii ich spotkania, wzajemnej miłości, nocy poślubnej. Te słowa wyszły spod pióra młodej, zakochanej dziewczyny, nie jej matki. Angel czym prędzej zamknęła pamiętnik. Wiedziała, że nigdy go już nie otworzy. Przymknęła oczy i na wpół drzemiąc rozkoszowała się ciepłym blaskiem słońca, przefiltrowanym przez liście, i tą niepowtarzalną wiejską ciszą, pełną ledwie uchwytnych szmerów i odgłosów.

Miała jeszcze dwa cenne tygodnie dla siebie. Potem musi wrócić do Włoch i do syna, nienawidzącego jej niemal równie mocno, jak własnego ojca, za to, że go zostawiła. Musi też podjąć decyzję co do losu córek, które też przyczyniały jej zmartwień. Lecz przez dwa tygodnie będzie się napawać rzadkim przywilejem samotności, choć nigdy nie przypuszczała, że będzie tego kiedyś pragnęła.

Nagle otworzyła oczy słysząc szelest kroków na trawie. Na widok zbliżającej się Poppy nabrała przekonania, że śni. Czyżby to była zjawą? W rudych włosach, jak zwykle związanych luźno wstążką, lśniły pasma siwizny, lecz była równie smukła, jak w wieku osiemnastu lat, a jej swobodny, długi krok wciąż miał grację, która zawsze nasuwała Angel porównanie z rasowym koniem. Wstrząśnięta, znów zamknęła oczy. Nie, nie duch, lecz istota z krwi i kości. Poppy naprawdę była tutaj.

– Angel, wróciłam do domu – wyszeptwała. Osunęła się na trawę i zaszlochała,

kryjąc twarz w dłoniach.

– Po co tu przyjechałaś? – spytała szorstko Angel, powstrzymując odruch, by pogłaskać ją po włosach. – To nie jest już twój dom.

– Musiałam przyjechać – załkała Poppy. – Straciłam w życiu wszystko, co było dla mnie ważne... wszystko! Czy nie rozumiesz, że musiałam wrócić i cię odnaleźć? Chcę wiedzieć, co się stało z moją córką!

– Złamałaś słowo – przypomniała jej zimno Angel. – Miałaś nigdy więcej nie dawać znaku życia.

– Ale to było tak dawno temu! – zawołała błagalnie Poppy. – Mówią, że czas goi rany...

– Rany?! Nie rany zadałaś nam wszystkim, ale śmiertelne ciosy! Nie masz pojęcia, jakie nieszczęście ściągnęłaś na mnie i moją rodzinę! Boże, jakże bym chciała, żeby mój ojciec nigdy nie spotkał Jeba Mallory'ego!

Poppy podniosła na nią zalane łzami oczy.

– Jak możesz mówić coś podobnego – szepnęła z niedowierzaniem. – Przecież byliśmy dla siebie jak siostry! To, co się stało, nie nastąpiło z mojej winy...

– Nie wyznałaś mi prawdy, Poppy, ale Felipe mi powiedział wszystko. To była jedna z wielu rzeczy, jakimi mnie dręczył. Opowiedział mi, jak przyszedł do niego wtedy wieczorem, jaka byłaś namiętna i natarczywa... ze wszystkimi szczegółami! To właśnie on był tym tajemniczym kochankiem, z którym się spotykałaś, gdy wymykałaś się ukradkiem z hotelu! To Felipe był ojcem twojego dziecka!

Poppy zwiesiła głowę. Tak, to była prawda, lecz nie cała prawda.

– Angel, on mnie zgwałcił – powiedziała spokojnie.

– Zjawiłaś się w Palazzo Rinardi w środku nocy – mówiła Angel pogardliwie. – Od Felipe wiem, że mieliście umówione spotkanie.

– To nieprawda, przysięgam! – krzyknęła Poppy z rozpaczą.

Angel wzruszyła chłodno ramionami.

– To i tak nie ma teraz znaczenia. Ale gdyby nie ty, nigdy nie spotkałabym Felipe. – Patrzyła nienawistnie na Poppy, a w jej głosie dźwięczała gorycz,

nagromadzona przez dwadzieścia osiem lat. Chciała wyrzucić z siebie wszystkie doznane krzywdy i sprawić, by mocno wryły się Poppy w pamięć. – Zniszczyłaś całe moje życie! Przez ciebie żyłam długie lata z człowiekiem, który mnie nienawidził i którym gardziłam z całej duszy. Jemu zależało tylko na pieniądzach Konstantów! Nie mogłam tego znieść. Odeszłam, zabierając ze sobą dziewczynki. Lecz on zatrzymał mojego syna. A teraz mój syn nienawidzi mnie równie mocno, jak swego ojca, bo musiał zostać tam i mieszkać z nim pod jednym dachem!

Jej śliczne, przejrzyste oczy zasnuły się bólem na to wspomnienie.

– Spakowałam wszystkie nasze rzeczy – ciągnęła – i czekałyśmy na dole, gotowe do drogi. Poprzedniego wieczoru powiedziałam mężowi, że odchodzę, że to już koniec. Felipe, ubrany w zieloną kurtkę myśliwską, pojawił się na schodach. Pod pachą trzymał strzelbę. Była jesień i myślałam, że wybiera się na polowanie na bażanty. „Aleksandrze – powiedział – podejdź do swojego ojca”. Chłopiec spojrzał na mnie, jakby pytając, co ma zrobić. Potrząsnęłam głową i przygarnęłam go do siebie. Miał wtedy zaledwie dziewięć lat... Felipe wziął strzelbę do ręki i skierował ją na niego. „Polecilem, żebyś tu przyszedł, Aleksandrze” – powtórzył. Zasłoniłam sobą małego, a wtedy on wymierzył lufę w dziewczynki. „Jeżeli Aleksander zaraz do mnie nie przyjdzie, zastrzelę jedną z nich – rzekł. – I dobrze wiesz którą”.

Krzyknęłam, że nie może zamordować własnego dziecka! Lecz on zawsze uważał, że prawa zwykłych ludzi jego nie dotyczą. „Zamordować? – skrzywił się pogardliwie. – To będzie zwykły wypadek, moja droga, smutny, tragiczny wypadek. Wszyscy wiedzą, że baron Rinardi uwielbia swoje dzieci”. Wtedy Aleksander wyrwał mi się i podszedł do ojca. „Proszę, nie zabijaj ich, papo” – powiedział odważnie. Nigdy nie zapomnę uśmiechu triumfu, z jakim Felipe położył mu rękę na ramieniu. „Możecie” iść – odprawił nas gestem. – Moj syn zostanie ze mną”. Aleksander był nieśmiałym, delikatnym dzieckiem i nigdy nie dorastał do wymagań Felipe. Nie cierpiał napuszonej pozy ojca i udawania wielkiego feudała. Felipe chciał, żeby jego syn był sprawny i wysportowany. Bez umiaru zmuszał to wątłe dziecko do pływania, jazdy konnej i strzelania, wyśmiewał jego okulary, które nosił

z powodu krótkiego wzroku. Biedny Aleksander nienawidził koni i zabijania. Felipe nie dostrzegał wcale jego lotnej inteligencji, nie czytał nigdy jego poezji i opowiadań. Gdy nauczyciele oświadczyli, że Aleksander ma zdolności literackie i powinien dalej się kształcić, Felipe powiedział, że nie pozwoli na jego wyjazd do szkoły. Dziecko było jego zakładnikiem i wiedział, że jak długo nie wypuści go z rąk, Konstantowie będą płacili bez oporów. Gdy odchodziłyśmy, obiecałam Aleksandrowi, że po niego wrócę, ale Felipe tylko się zaśmiał. „Wybieraj! – zawołał za mną. – Możesz tu zostać ze mną i swoim synem?”. Aleksander nie rzekł ani słowa, ale spojrzał na mnie z taką nadzieją... widzisz, zrozumiałam wtedy, jak bardzo Felipe nienawidzi swojej córki – twojej córki, Poppy, bo w nią właśnie mierzył – i bałam się, że któregoś dnia ją zabije. Aleksander był na razie bezpieczny, ponieważ ojciec go potrzebował. Mogłam zabrać go później. Jak sama widzisz, nie miałam wyboru. Poświęciłam własnego syna, żeby ocalić twoją córkę.

Po dłuższej chwili milczenia Angel ze znużeniem podjęła swoją opowieść:

– Przywiozłam dziewczynki tutaj. Przez wiele lat trwały targi z Felipe. Ojciec proponował mu coraz więcej pieniędzy, ale on tylko się śmiał i odpowiadał, że to za mało. Nie pozwalał Aleksandrowi do mnie pisać. Wyobrażałam sobie, jak go zadrecza. Odchodziłam od zmysłów ze strachu. W końcu ojciec oświadczył, że pojedą z matką do Włoch i rozmówią się z nim. Dadzą mu milion, dwa miliony dolarów – za mojego syna. Byli na „Lusitani”, gdy zatopila ją niemiecka łódź podwodna.

Poppy poczuła, że coś w niej nagle umarło. Przypomniała sobie, jak Nik i Rozalia przybyli jej na ratunek do sierocińca, jak wychowywali ją i kochali niby własną córkę. Byli tak żywi w jej wspomnieniach, że nie mogła uwierzyć, iż spoczywają w zimnych głębinach Atlantyku.

– Greg przejął zarząd nad ranczem – opowiadała dalej Angel. – Gdybyś widziała, jak ciebie szukał i ile wtedy wycierpiał, nie śmiałybyś się tu pokazać! Błagałam go, żeby zaprzestał poszukiwań, lecz nie mogłam przecież powiedzieć mu prawdy i ranić go jeszcze bardziej. Wreszcie zostawił przeszłość w spokoju, ożenił się z

Melissą i ma trzech wspaniałych synów. Dwaj starsi są w akademii wojskowej i wszystko wskazuje na to, że Hilliard, najmłodszy, też pójdzie w ich ślady. Tak więc nie ma nikogo, kto w przyszłości obejmie ranczo Santa Vittoria. Cała praca mojego ojca poszła na marne. Greg sprzedał już setki akrów przedsiębiorcom budowlanym – płacą mu za tę ziemię zawrotne ceny – a pieniądze są przeznaczone dla jego synów. Za kilka lat okolica zmieni się nie do poznania... Greg jest szczęśliwy z Melissą – dodała – i kocha chłopców. Nie myśl, Poppy, że możesz powrócić i zniszczyć to wszystko.

Poppy potrząsnęła głową.

– Widziałam go raz, w Paryżu, wiele lat temu. On mnie nie zauważył. Mogłam wtedy do niego podejść, lecz już wówczas wiedziałam, że jest za późno. – Zawahała się. – Byłam w domu Mallorych. Angel, co stało się z moim ojcem?

– Zginął podczas pożaru, pięć lat po twoim zniknięciu. Jest pochowany w kaplicy metodystów w Santa Barbara. Mama i tato nie chcieli go położyć w jednym grobie z twoją matką. Nigdy nie rozumiałam dlaczego. – Spojrzała na mały, oprawny w niebieską skórę pamiętnik Rozalii, leżący obok niej na ławce. Prawdopodobnie zawierał on odpowiedź na to pytanie, lecz wiedziała, że się nie zdobędzie, by go przeczytać.

Poppy poczuła dawny bezsilny gniew na ojca, płomień nienawiści, który nigdy nie zgasł w jej duszy. On był przyczyną wszystkich nieszczęść... Zostanie za nie osądzony na tamtym świecie. Gdyby troszczył się o żonę i dziecko, zajmował swoją ziemią, jakże inny byłby jej los. Przez niego straciła swojego syna. Tak jak Angel.

– Co działo się później z Aleksandrem? – spytała, bojąc się, jaką usłyszy odpowiedź.

– Felipe nie dał się przekupić nawet największą sumą. Spróbowaliśmy nawet wstrzymać mu dopływ gotówki, ale wtedy oczywiście zagroził, że skrzywdzi chłopca. Radziliśmy się najlepszych prawników, lecz przepisy stwierdzały jasno: gdy żona porzuca męża, to on, a nie ona ma prawo do dzieci. Powiedzieli mi, że miałam szczęście, iż udało mi się zatrzymać przy sobie dziewczynki. Felipe zmarł

nagle dwa lata temu. Wtedy pojechałam do Włoch, żeby wreszcie zobaczyć się z Aleksandrem. Nie chciał w ogóle ze mną rozmawiać, był wrogi i obcy. Próbowałam mu wyjaśnić, że wciąż o nim myślałam, że nie mogłyśmy wrócić, bo Felipe zabiłby jego siostrę, ale nie chciał nawet słuchać. Po śmierci Felipe tytuł barona Rinardi przechodził na niego, lecz odmówił jego przyjęcia. Przez wiele lat Felipe starał się wychować syna na własną modłę, ale mu się to nie udało. Żeby pomścić swą porażkę, odprawił guwernera Aleksandra i nie posłał go do szkoły... Aleksander nie ukończył żadnej szkoły! Lecz ojciec nie mógł mu zakazać czytania książek, więc w dużej mierze sam uzupełnił braki w edukacji. W książkach znalazł swój własny świat i zamknął się w nim. Nikt nie miał do niego dostępu. Zwłaszcza matka, która przyrzekła, że po niego wróci... i nie dotrzymała słowa.

Poppy ukryła twarz w dłoniach. Znała dobrze to uczucie czekania na kogoś, kto nigdy nie przychodzi.

– Nie chciał mieć nic więcej do czynienia ani z Rinardimi, ani z Konstantami – mówiła dalej Angel. – Poprosił tylko o pewną ilość pieniędzy na zakup domu gdzieś na odludziu, na stokach Dolomitów, wśród starych zdziczałych ogrodów. Mieszka tam sam, czytając książki i doprowadzając do porządku otoczenie domu. Nie chce widzieć mnie ani nikogo z rodziny; pragnie jedynie, by go zostawiono w spokoju. Cieszy mnie jednak, że nareszcie wydaje się szczęśliwy.

W jej głosie zabrzmiała taka tęsknota, że Poppy odruchowo ujęła dawną przyjaciółkę za rękę.

– Wiem, co czujesz! – krzyknęła. – Ja też straciłam syna...!

– Nie mów nic, Poppy! – zawołała Angel cofając dłoń. – Nie chcę o tobie słyszeć! Chcę tylko, żebyś wróciła tam, skąd przybyłaś. Moje życie nie jest twoim, moje dzieci nie należą do ciebie. Nie mam nic twojego. Dosyć klęsk sprowadziłaś na moją rodzinę.

Poppy odsunęła się od niej, wstrząśnięta nienawiścią, jaka przebijali w cichym głosie. Mimo wszystko musiała dowiedzieć się tego, po co tu przyjechała.

– Dobrze, odejdę – rzekła spokojnie. – Jeszcze tylko chwila. Błagam, ulituj się

nade mną. Powiedz o mojej córce. Jak wygląda? Czy nadałaś jej moje imię?

– Byłam taka głupia, że dotrzymałam obietnicy. Obie nazwałam po tobie. Choć kochałam cię wtedy i litowałam się nad tobą przeczuwałam, że pewnego dnia wrócisz i zechcesz zabrać ją z powrotem. Mam dwie córki; jedna nazywa się Maria-Krystyna Poppy Rinardi, druga – Helena Mallory Rinardi. A ty, Poppy, nie masz żadnej. Pamiętaj, one obie są moje!

– Angel, proszę, pozwól mi ją zobaczyć, powiedz mi przynajmniej, która jest moja i gdzie ona jest...

– Nie! Nie mam nic więcej do powiedzenia! – Przez twarz Angel przemknął wyraz tak głębokiego smutku, że Poppy poczuła przestrah. Co mogło być jego przyczyną? Wiedziała jednak, że Angel nie zdradzi tego nawet słówkiem.

– Czy pozwolisz mi jeszcze kiedyś się z tobą spotkać? – spytała pokornie.

Angel potrząsnęła przecząco głową, a potem obrzuciły się nawzajem długim spojrzeniem, jakby każda chciała na zawsze zapamiętać rysy drugiej. Obie wspominały dwie beztroskie dziewczynki, które galopowały na swoich kucykach po słonecznej łące, nie podejrzewając nawet, jak dziwnie potoczą się ich losy.

Poppy bez słowa odwróciła się i odeszła trawiastą dróżką. Wydawało jej się, że to najdłuższy spacer w jej życiu. Czowała zapach róż i werbeny, słyszała ćwierkanie cykad i wesoły świergot ptaków, i wiedziała, że na zawsze zapadną jej w pamięć, przypominając dom i ludzi, których kochała.

Rozdział 56

1931, WŁOCHY

Za każdym razem, gdy kuloodporny mercedes wjeżdżał w wielką bramę, hałas zamykanych wrzeczadzy przypominał Riccardowi, że mieszka w więzieniu. Co prawda odosobnienie przestało mu dokuczać. W pewnym sensie nawet polubił samotność.

Dawno temu odkrył, że jedyna droga ucieczki z fizycznego zamknięcia prowadzi w świat intelektu. Po odbyciu wszystkich narad i wydaniu dyspozycji siadał

samotnie do kolacji przy długim stole ze starego refektarza, na którym stały bezcenne srebrne kandelabry. Jadł bez apetytu potrawy, podane na delikatnej chińskiej porcelanie, wypijał kieliszek dobrego wina. Potem przechodził do biblioteki i zamkniętymi drzwiami odgradzał się od ponurych twarzy swoich goryli, ciągłego napięcia i odpowiedzialności. Tu mógł się cieszyć swoimi cennymi książkami, malowidłami starych mistrzów i wspomnieniami. Przechadzał się po rozległym, pięknym pomieszczeniu, oglądając kolekcję obrazów lub przerzucał któryś tom ze zbioru białych kruków. Innym razem siadał w swym ulubionym głębokim fotelu i przyciemniał lampę, zapalał papierosa i wracał pamięcią w dawne czasy, kiedy był szczęśliwy.

Dziś coś się zmieniło. Zjadł powoli, wypił nawet drugi kieliszek wina, by wydłużyć nieco przyjemne oczekiwanie, odwlec chwilę, gdy zacznie podziwiać swój najnowszy – i najcenniejszy ze wszystkich – nabytek.

Wysączył ostatnie krople wina i z sercem mocno bijącym z podniecenia udał się do swego sanktuarium. Noc była gorąca i wysokie okna w bibliotece otwarto na oścież, by wpuścić chłodny powiew. Dobiegały zza nich kroki strażników, patrolujących teren wokół domu. Wyłączył wszystkie lampy oprócz jednej przy wielkich sztalugach, na których stało płótno, zakryte jeszcze pokrowcem. Zapalił następnego papierosa i usiadł w fotelu, wpatrując się z posepną zadumą w zasłonięty obraz. Nie widział go od lat. Dowiedziawszy się, że został wystawiony na aukcję, kazał swojemu agentowi przebić wszystkich chętnych w licytacji i zdobyć go za wszelką cenę.

Rozgniół gwałtownie papierosa, podszedł do sztalug i drżącą ręką odsłonił płótno. Łzy stanęły mu w oczach, gdy patrzył na portret Poppy takiej, jaką widział po raz pierwszy. Sargent uchwycił w tej jasnej twarzy całą arogancję i trwożną niepewność młodości. W czujnym spojrzeniu i wyzywającym uśmiechu był też ślad bolesnej dojrzałości, ślad pierwszej tragedii, która zraniła duszę młodej kobiety. Poppy na obrazie była ubrana w aksamitną suknię koloru chłodu szarości, od której odbijała różowa szarfa. Na jej szyi lśnił sławny perłowy naszyjnik, a w rudych

włosach migotały diamentowe gwiazdki. Biała gardenia w jej dłoni podkreślała zwiewny wdzięk dziewczęcej postaci.

Riccardo rozparł się w fotelu. Westchnął z zadowoleniem. Po niemal dwudziestu pięciu latach znów był sam na sam z Poppy.

Poppy próbowała uciec od samotności, szukając ukojenia w licznych podróżach. Podróżowała statkami i pociągami, barkami i parowcami, na mułach i wielbłądach. Nie było niemal kraju, którego by nie zwiedziła, ani ruiny lub historycznego zabytku, które ominął jej wzrok.

Zawsze sama, była tajemniczą, elegancką damą, która płynie pierwszą klasą liniowcem „Ile de France” do Nowego Jorku; piękny wyniosłą nieznajomą, która samotnie je obiad w „Orient Expressie”, pędzącym do Stambułu; szczupłą, szykowną kobietą o nieufnym spojrzeniu, nie odzywającą się do nikogo ani słowem podczas wycieczki Nilem z Kairu do Luksoru. Jako jedna z niewielu prażyła się w indyjskim upale, żeby zobaczyć Czerwony Fort i Tadź Mahal w blasku słońca, w nocy zaś wracała, by ujrzeć je przy księżycu. Była jedyną kobietą na pokładzie frachtowca płynącego z Kalkuty do Rangun, jak i w barze hotelu „Raffles” w Singapurze. Zaczepiano ją w Hongkongu, Delhi, Wiedniu, Buenos Aires, na szczytach gór Boliwii i w wielu innych miejscach. Dawała odprawę wszystkim natrętom. Rozmawiała tylko z przewodnikami i służbą. Uciekała od świata i siebie samej, lecz bez powodzenia.

Cztery lata upłynęły od spotkania z Angel, o którym na próżno starała się zapomnieć. Po wizycie u dawnej przyjaciółki wróciła do swego bezosobowego, wspaniałego apartamentu w hotelu w San Francisco, opanowana pragnieniem śmierci. Przygniótł ją ciężar winy i odpowiedzialności za nieszczęścia Angel, złamane życie Rogana, niewiadomy los dziecka, które postanowiła porzucić jeszcze przed jego urodzeniem. Przybita i rozgoryczona wędrowała bez celu przez południową Kalifornię, aż zatrzymała się w Los Angeles, gdzie wynajęła apartament w hotelu „Beverly Hills”. Mieszkała w nim przez tydzień i poświęciła ten czas na

rozmyślania.

Wreszcie podjęła decyzję. Zadzwoiła do swoich prawników w Paryżu i kazała im wystawić na sprzedaż dom na rue des Arbres wraz z całym urządzeniem. Nie chciała zatrzymać niczego. Potem skontaktowała się z detektywami, którzy bezowocnie szukali Rogana, i poleciła im mi zdobyć wszelkie możliwe informacje o obu córkach baronowej Rinardi, ponieważ istniała pogłoska, że jedna z nich została adoptowana jako niemowlę, ona zaś życzy sobie wiedzieć która. Musiała poznać własną córkę, bez względu na to, ile czasu i starań to pochłonie. Nie miała zamiaru jej odbierać przybranej matce, lecz dociec prawdy, chciała bowiem zostawić córce swój majątek. To wszystko, co będzie mogła dla niej zrobić.

Los Angeles, naówczas młode, rozrastające się miasto, urzekło ją ciepłem słońca i słodkim zapachem kwiatów pomarańczowych. Kupiła samochód, by móc jeździć na własną rękę po szerokich, płaskich dolinach, przecinanych stromymi łańcuchami wzgórz. Podziwiała wielkie posiadłości i luksusowe rezydencje gwiazd filmowych. Widok Fickfair, Greystone i nowego pałacyku Greenacres o czterdziestu czterech pokojach, który właśnie wznoszono dla Harolda Lloyda za sumę dwóch milionów dolarów – tak pięknych i lśniących bielą w kalifornijskim słońcu, jakby szczęśliwcy, którzy w nich mieszkali, wiedli życie pozbawione trosk – natchnął ją myślą, żeby kupić tu ziemię i również wybudować sobie dom. A dlaczegoż by nie? Przecież była bogata, mogła sobie pozwolić na wszelkie kaprysy. Nie zniósłaby powrotu do Montespan. Może tu, w Kalifornii, odnajdzie tak długo poszukiwany spokój.

Kupiła kawałek ziemi na wzgórzu przy Beverly Drive, na północ od Bulwaru Zachodzącego Słońca, i wynajęła architekta, aby wybudował jej dom w stylu hiszpańskiej hacjendy, bardzo podobny do domu Konstantów. Owładnęła nią gorączka zakupów i wspomniawszy rady Riccarda, przetrząsała peryferia rosnącego miasta, wykupując dotychczas przez nikogo nie chciane kawałki gruntu w Wiltshire, Sunset i Santa Monica. Posunęła się nawet dalej i nabyła bezużyteczne ugory w dolinie San Fernando, na zupełnym pustkowiu. Potem za pośrednictwem wynajętych agentów przejęła starą posesję Mallorych i tyle ziemi wokół, ile tylko Konstantowie

byli skłonni sprzedać. Zamierzała odkupić na powrót swoje dziedzictwo i pewnego dnia przekazać je dzieciom.

Chcąc odpędzić bolesne myśli i zmorę samotności, wpadła w nałóg zakupów. Kupowała antyki i obrazy do domu, który na razie istniał tylko na planach w biurze architekta, a do przyszłego ogrodu całe gaje palmowe do obsadzenia podjazdu oraz setki egzotycznych krzewów i roślin. Na dziedzińcu miała zamiar ustawić rzeźbioną kamienną fontannę. Planowała budowę turkusowego basenu, otoczonego cisowym żywopłotem. Nocą przewracając się bezsennie na posłaniu marzyła, że kiedyś w przyszłości Rogan i jej córka odszukają ją, a oni powie do nich: „Spójrzcie, oto wasz dom, który czekał na was przez tyle lat. Wszystko to należy do was, powiedzcie tylko, że mi wybaczacie!”

Gdy nadeszło sprawozdanie od detektywów, otworzyła je niecierpliwie, w nadziei, że wreszcie dowie się prawdy. Wynajęta przez nią firma nawiązała kontakt z agentami we Włoszech, gdzie przebywały obecnie obie kobiety. Dane z archiwum wskazywały, że były bliźniaczkami, urodzonymi 5 maja 1899 i ochrzczonymi w dwa miesiące później w kaplicy Villa d'Oro. Nie istniał żaden materiał dowodowy, świadczący inaczej.

Poppy zaciągnęła zasłony w swoim wesołym, pełnym słońca apartamencie hotelowym i płakała w ciemności. W końcu zabrakło jej łez. Kazała pokojówce spakować rzeczy i wyjechała pociągiem do Chicago, a potem do Nowego Jorku. Jej projekt domu w Beverly Hills stracił wszelki sens, skoro nie miała go dla kogo budować. Chciała wrócić do Montespan. W ciągu trzydniowej podróży pociągiem dociekała powodów swej tęsknoty. Nie było tam nikogo, nawet państwo Joliot odeszli na emeryturę. Obca, nowa gospodyni zajmowała się Luchayem i domem, który też stał się obcy z odejściem wszystkich bliskich. Nikt nie powita jej z radością, oprócz Luchaya, ale towarzystwo papugi to za mało, by ukoić ból i wypełnić pustkę. Nieoczekiwanie dla siebie po wpływie nagłego impulsu odwołała rezerwację na rejs z Nowego Jork do Francji i zamiast tego wybrała się do Argentyny.

Znów trawiła czas na kosztownych podróżach. Kiedyś powściągliwi i oszczędna ze względu na przyszłość Rogana, teraz przerzuciła się w drugą skrajność, szafując pieniędzmi z niebywałą rozrzutnością i lekkomyślnością. Często zostawiała w hotelu kufry pełne nowych ubrań. Kupowała rubiny w Birmie, szmaragdy w Indiach, a złoto w Afryce. Ponadto wszędzie, gdzie dotarła, nabywała grunty dające dobre perspektywy na przyszłość. Jednak wszystkie cuda i bogactwa świata nie zatarły w niej myśli o Roganie i córce. Nie miała kogo kochać i nikt jej nie kochał.

Świadomość prawdy spadła na nią na pokładzie małego towarowca, który kołysał się na falach Morza Południowochińskiego w drodze z Manilii do Singapuru. Nagle zrozumiała, że tylko jeden człowiek na świecie znał ją naprawdę i kochał mimo jej wad i błędów młodości. W uszach zabrzmiały jej na nowo słowa: „Gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy, wystarczy jeden telefon”. Przypomniała sobie z dreszczem los, jaki spotkał nieszczęsną Veronique, lecz tym razem chodziło o coś zupełnie innego: chciała tylko, żeby Riccardo odnalazł jej córkę.

Po trzech miesiącach wróciła do Montespan, gdzie otaczało ją tyle pamiątek i wspomnień z przeszłości, że gdyby nie Luchay, popadłaby w obłęd. Cztery lata podróżowania jakby rozplynęły się bez śladu. Zwątpiła w słuszność postanowienia, by prosić Riccarda o pomoc, a nawet wydało jej się to niebezpieczne. Nocami śnił jej się dom zamieniony w fortecę i posepni strażnicy, których broń lśniła złowrogo w świetle księżyca. Od rozstania z Riccardem upłynęło już dwadzieścia pięć lat. Poppy rozważała niepewnie, czy może się do niego zwrócić po tak długim czasie. Nie wiedziała, na ile się zmienił.

Przesunęła wzrokiem po liście sprzedanych przedmiotów z klubu przy rues des Arbres, którą przysłano jej z domu aukcyjnego Drouot. Odmówiła pojawienia się na aukcji, lecz słyszała, że wydarzenie to wywołało w Paryżu niemalą sensację. Prasa stawiała się tłumnie w nadziei ujżenia legendarnej Poppy, a ogólne podniecenie wpłynęło na wzrost cen, tak że wpływy ze sprzedaży wyniosły fortunę.

Rozpoznała nazwiska wielu bywalców klubu. Wspaniałe łoża sprzedano za

zdumiewająco wysokie sumy, ludzie kupowali na pamiątkę nawet atlasowe prześcieradła. Wszystkie przedmioty zostały zlicytowane powyżej swej wartości. Rekord pobił jej portret pędzla Johna Singera Sargenta. Wszyscy prześcigali się w wysokości oferowanych sum, by zdobyć portret najslawniejszej i najpiękniejszej kobiety Paryża. Ostatecznie w licytacji zwyciężył włoski pośrednik, który otrzymał instrukcje, by kupić go niezależnie od kosztów, i podbił cenę tak, że przewyższyła przeszło stokrotnie rzeczywistą wartość obrazu. Zaintrygowana Poppy zadzwoniła do salonu aukcyjnego i otrzymała informację, że, jak ogólnie wiadomo, pośrednik występował w imieniu mafijnego *capo*, Riccardo Malvasiego.

Teraz Poppy wiedziała, że Riccardo o niej nie zapomniał.

Rozdział 57

1937, WŁOCHY

Starannie wszystko przemyślała. Wiedziała, że Riccardo potrafi być okrutny i bezwzględny, lecz знаła też inną stronę jego charakteru, którą okazywał tylko wobec niej. Riccardo, jakiego pamiętała, był czuły, łagodny i troskliwy, i do tego człowieka zwracała się teraz o pomoc. Przypomniały jej się okoliczności poprzedniej wizyty – telefony bez odpowiedzi, przestraszeni dorożkarze i złowrodzy strażnicy. Postanowiła tym razem inaczej się zabrać do rzeczy.

Pojechała do Włoch przez południe Francji swoim ostatnim ekstrawaganckim nabytkiem – nowym modelem courmonta, niskim kabrioletem o smukłej, wydłużonej linii, w jej ulubionym kolorze butelkowej zieleni, z obiciami z bawolej skóry. Na głowie miała filcowy kapelusz o tej samej zielonej barwie, który zakrywał jej rude włosy. Nie żałowała gazu i droga umykała pod kołami w oszalamiającym tempie.

Dopiero gdy dojechała do Neapolu, poczuła zdenerwowanie. Nigdy nie rozmawiali o Felipe i jej córce – choć Riccardo wiedział oczywiście, że miała dziecko, bo, jak oświadczył przy pierwszym spotkaniu, zebrał o niej wszystkie możliwe informacje. Nie wierzyła jednak, aby udało mu się odkryć, że oddała

dziecko Angel. Teraz Riccardo może pomyśleć, iż z rozmysłem go oszukała, choć przyczyną jej milczenia była obietnica złożona Angel. Nie miał też pojęcia o istnieniu Rogana, bowiem zerwał z nią wszystkie kontakty wkrótce po tym, jak zaszła w ciążę. Wykluczył ją ze swego życia, jakby nigdy nie istniała. Poza tym niepokoiła się, jak wypadnie w jego oczach. Gdy się ostatnio widzieli, była młodą dziewczyną. Minęło ćwierć wieku...

Miasto piekło się w upale późnego lata. Poppy wynajęła apartament w hotelu „Grand”, wykąpała się i przebrała w szlafrok z cienkiego jedwabiu. Krążyła nerwowo pomiędzy telefonem i długim lustrem w sypialni, w którym oglądała się z uwagą. Włosy – nie obcięła ich na przekór obowiązującej modzie – opadały jak dawniej na ramiona, lecz burzliwe loki rozprostowały się w fale, a od skroni biegły dwa siwe pasma. Oczy zachowały intensywny błękit i może nawet przekornie uniesione kąciki, lecz wokół nich widniały drobne zmarszczki, ślady przeszłych smutków i radości. Rozpostarła szlafrok i spojrzała krytycznie na swoje ciało. Piersi były nieco cięższe niż dawniej, a biodra bardziej zaokrąglone, lecz talia pozostała wąska, pośladki jędrne, a długie nogi równie smukłe jak zawsze.

Z westchnieniem zawiązała szlafrok. Nawet dla Riccarda nie mogła cofnąć zegara. Gdyby była w stanie to zrobić, zmieniłaby gruntownie swoje życie.

Mimo to dołożyła starań przy ubieraniu, przebierając grymaśnie wśród sukien, zanim znalazła taką, która ją zadowoliła. Przypudrowała piegi na nosie, nałożyła odrobinę różu na policzki, pociągnęła wargi koralową szminką. Spryskała się swoimi ulubionymi perfumami o zapachu gardenii i wreszcie była gotowa.

Nie mogąc dłużej zwlekać, podniosła słuchawkę i wybrała jego numer. Słuchała przeciągłego sygnału postukując niecierpliwie paznokciami o brzeg stolika.

– *Pronto*, Malvasi – powiedział głos w słuchawce.

Palce Poppy znieruchomiały. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i serce w niej aż podskoczyło.

– Riccardo! Nie spodziewałam się... Nie myślałam, że cię zastanę...

– Poppy! To naprawdę ty?

– Tak... Przepraszam, nie mogę zebrać myśli... Nie spodziewałam się, że sam podniesiesz słuchawkę. Nastawiłam się na rozmowy z sekretarzami, zostawianie wiadomości...

– Nakręciłaś mój prywatny numer. Zawsze sam wtedy odbieram telefony. Ja jestem równie zaskoczony rozmawiając z tobą.

– Riccardo – szepnęła, przytulając słuchawkę do policzka, jakby to była twarz – twój głos brzmi zupełnie tak samo.

Usłyszała westchnienie, a potem powiedział:

– Po dwudziestu pięciu latach nikt z nas nie jest taki sam, Poppy.

– Jestem tu, w Neapolu, w hotelu „Grand”. Chciałam cię zobaczyć...

Zapadło milczenie, a potem Riccardo rzekł ostrzegawczo:

– Lepiej nie, Poppy. Pamiętasz?

Niemo przytaknęła ruchem głowy. Pamiętała aż za dobrze.

– Muszę się z tobą widzieć w ważnej sprawie. – nalegała. – Potrzebna mi twoja pomoc.

– Skoro tak, wyślę po ciebie samochód – nagle podjął decyzję. – Podjedzie za pół godziny.

Wiedziała, że nie zniesie powtórnej jazdy w kuloodpornej czarnej limuzynie z przyciemnionymi oknami, w towarzystwie uzbrojonych po zęby strażników.

– Mam swój własny wóz – powiedziała szybko. – Przyjadę sama, Riccardo. Znam drogę. – Już parę tygodni temu zadbała o to, by zaznajomić się z trasą do jego willi.

– Uprzedzę strażników przy bramie – rzekł cicho. – Za godzinę, Poppy?

– Za godzinę. – Odczekała, aż usłyszały szcęk odkładanej słuchawki, i dopiero wtedy odłożyła swoją.

Niežnośny upał niemal wcale nie zelżał z nadejściem nocy. Poppy otworzyła na przestrzał okna w samochodzie, wdzięczna za podmuch świeżego powietrza, który rozwiewał jej włosy. Długi zielony samochód wspinał się na wzgórza, a ona myślała, jakie wrażenie wywrze na niej teraz obecność Riccardo, dotknięcie jego ręki, spojrzenie w oczy. Zadrżała nagle, jakby wiatr stał się lodowaty.

Tym razem strażnicy przy bramie nosili eleganckie niebieskie liberie. Siedzieli w budce, z której przez telefon łączyli się z rezydencją. Nigdzie nie widać było broni.

– Pani przyjazd został zapowiedziany, signora – powiadomili grzecznie, lustrując tylne siedzenie i przetrząsając bagażnik. Nie poddali jej jednak rewizji osobistej; domyśliła się, że Riccardo im tego zabronił. A przecież mogła mieć w kremowej skórzanej torebce mały pistolet, wyglądający na zabawkę niezdolną zabić człowieka, co absolutnie nie odpowiadało prawdzie.

Brama się otworzyła. Poppy nerwowo przycisnęła gaz. Wóz podjechał żwirowym podjazdem do portyku z białymi kolumnami, przed którym czekał majordomus.

– Signor Malvasi jest w bibliotece, signora – powiadomił ją.

– Proszę zaczekać – zatrzymała go, gdy chciał zastukać w drzwi i zaanonsować ją. – Wejść sama.

Wsunęła się bezszelestnie do środka. W wielkim pokoju unosił się napływający z ogrodu zapach kwiatów, które nocą rozchyłały płatki Lampy rzucały plamy łagodnego światła, na ścianach lśniła galeria wspaniałych obrazów. Riccardo stał przy otwartym oknie i wyglądał na oświetlony księżycem ogród. Postarzał się, posiwiiał, lecz wiek nie przygarbił jego szczupłej, sprężystej sylwetki. Był jak zawsze ubrany z nieskazitelną elegancją w świetnie skrojony smoking. Gdy się odwrócił, zobaczyła, że jego gęste brwi pozostały równie czarne, a oczy równie przenikliwe jak dawniej. Zdawał się czytać nimi w jej duszy.

Patrzył na Poppy w milczeniu. Właśnie myślał o niej, o tym, jak teraz wygląda... i oto zjawiała się naprawdę. W przytłumionym świetle wyglądała jak Poppy z jego snów: dziewczęca w jedwabnej morelowej sukni, przy której jej włosy nabierały czerwonego odcienia, a skóra jaśniała jak alabaster. Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się znajomym, przekornym spojrzeniem, które wzbudziło w nim ochotę, żeby ją pocałować.

– Jesteś piękna jak zawsze, Poppy – powiedział zamiast tego. – Lata cię nie zmieniły.

– Tak ci się wydaje w tym złudnym oświetleniu. – Wyciągnęła do niego ręce. –

Przeszłam w życiu wiele burz i wszystkie wypisane mi na mojej twarzy.

Stała teraz blisko i widział, że mówi prawdę. Lecz choć los potraktował ją okrutnie, obdarzył ją w zamian błogosławieństwem nieprzemijającej urody – była teraz jeszcze piękniejsza niż jako młoda dziewczyna.

– Chyba niczyj widok nie sprawił mi takiego szczęścia – rzekł z prostotą.

– Ani mnie. – Przysunęła się jeszcze bliżej, aż owionął go znajomy zapach gardenii, i usta ich spotkały się w pocałunku. Po chwili Poppy położyła głowę na jego ramieniu.

– Nie po to tu przyszłam – wyszeptwała – ale chcę ci powiedzieć, że w tej chwili jestem zupełnie pewna, iż nigdy nie kochałam nikogo oprócz ciebie. Zawsze byłeś ty... tylko ty.

Głaskał delikatnie jej włosy.

– Teraz już jest za późno – powiedział cicho – zawsze było za późno. To było szaleństwo od samego początku. Nic się nie zmieniło, Poppy. I nie zmieni się nigdy.

Skinęła głową.

– Wiem. Po prostu cieszę się, że mogę być tutaj z tobą... choćby na krótko.

Riccardo wziął ją pod brodę i uniósł jej twarz ku sobie.

– W takim razie wykorzystajmy dobrze ten czas – uśmiechnął się czule. – Napijmy się szampana, a przy kolacji porozmawiamy o dawnych czasach w Montespan i opowiesz mi, co się z tobą działo.

Podszedł do srebrnego wiaderka, w którym chłodził się szampan, i odkorkował butelkę. Przechylił ją zbyt gwałtownie, pienisty trunek chlusnął do kieliszków i wylał się na obrus. Riccardo roześmiał się ze swej niezręczności i nagle ogarnęło go radosne uniesienie.

– Poppy, czuję się tak, jakbym całe życie był starcem! – wykrzyknął. – Tylko ty jedna masz dar odmładzania mnie!

Wzięła od niego kieliszek. Śmiała się oszołomiona, choć nic jeszcze nie wypila. Odurzała ją sama jego obecność.

– To przyjęcie z okazji spotkania po latach! – zawołała. – Ty i ja znów razem!

Tręcili się kieliszkami, rozlewając trunki, co ich jeszcze bardziej rozbawiło.

– Ty byłaś w moim życiu jak ten szampan – wyznał – zawsze kipiąca werwą i radością życia...

– Oprócz chwil, gdy byłam nieszczęśliwa – przerwała raptownie – a tak jest teraz zawsze.

Ochłonęli i patrzyli na siebie z powagą.

– Chciałbym, żeby to nie była prawda, Poppy – rzekł cicho.

– Próbowałam przed tym uciec. Przez cztery lata uganiałam się po świecie. Nie ma takiego kraju, którego bym nie widziała, morza, przez które bym nie przepłynęła. Cóż z tego! – zaśmiała się krótko, z goryczą. – Nic mi to nie pomogło!

– Podobno zamknęłaś dom pod numerem 16.

– Dawno temu. Ostatnio sprzedałam całe jego urządzenie. Dowiedziałam się, że kupiłeś mój portret. Dlatego postanowiłam wrócić. Powiedziałam ci, że potrzebuję twojej pomocy...

Na krótko zapadła cisza.

– Poppy, cieszę się, że pamiętałaś. Zawsze możesz na mnie liczyć. – Riccardo wypił szybko szampana tłumiąc chęć, by zamknąć tę kobietę w uścisku ramion i błagać, żeby już nigdy nie odchodziła. Zapanował nad sobą, jak zawsze. – Musisz być głodna – powiedział, biorąc ją pod ramię. – Zjemy tutaj kolację. To moje ulubione miejsce, nikomu nie wolno tu wchodzić. Będzie nam chłodniej przy otwartych oknach.

Stał tam nakryty do posiłku okrągły stolik, przykryty wzorzystym kaszmiem, a obok wózek na kółkach, uginający się pod półmiskami świeżego łososia, różowymi krewetkami, ostrygami i homarami, mrożonymi sufletami i wielką kryształową paterą, na której ułożono figi, melony, wiśnie i poziomki.

– To wygląda jak martwa natura na jednym z twoich cudownych obrazów! – zawołała Poppy. – Iście książęca ucztą!

– Zabawmy się więc dzisiejszej nocy w książąt – odparł z uśmiechem. – To przecież nasza wspólna uroczystość.

Nalał jej szampana i zachęcił, by opowiedziała mu o swoich podróżach. Zauważył, że mówi szybko, z podnieceniem, jak ktoś, kto długo był samotny i chce sobie powetować długie milczenie. Położył jej na talerz porcję łososia i pokroił na drobne cząstki, częstował owocami, obierał je dla niej i gdy jadła, delektował się jej widokiem. Kiedy na koniec umilkła i spojrzała na niego wielkimi, cudownie błękitnym oczami, wiedział, że cały wysiłek walki z sobą poszedł na marne – wciąż pragnął jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety.

Po skończonym posiłku podeszli do okna i spojrzeli na zalany księżycowym światłem ogród.

– Nic się nie zmieniło, prawda, Riccardo? – powiedziała Poppy, spotykając jego wzrok.

– Nic się nie zmieniło – przytaknął cicho. Objął ją i pocałował wiedząc, że nie zmieni się nigdy.

Czekała, drżąc od pocałunków, a on przez telefon polecił usunąć z domu strażników i odprawił majordomusa, aby nikt im nie przeszkadzał. Gdy zostali sami, wziął ją za rękę i weszli razem po wielkich schodach.

W jego sypialni, urządzonej z prostotą będącą wyrazem najwyższego wykwintu, były bezcenne jedwabne kobierce, miękkie draperie, zabytkowe łoże z pięknie rzeźbionym wezgłowiem i jeden jedyny obraz na ścianie, Madonna Botticellego. Riccardo odciągnął aksamitną zasłonę, spoza której ukazał się drugi – portret Poppy.

– Jak widzisz, teraz zawsze mam cię przy sobie – uśmiechnął się tkliwie. – Na ciebie patrzę po obudzeniu i z tobą ostatnią zęgam się wieczorem.

Usiadła nerwowo na brzegu łoża.

– Wiem, że to niemądre, Riccardo, ale jestem przejęta jak panna młoda.

– I nią właśnie będziesz – wyszeptał biorąc ją w ramiona.

Poczuła, jak jej ciało budzi się pod jego dotykiem, i strach zniknął.

Pozwoliła, by jedwabna suknia ześliznęła się z jej ramion, odsłaniając nagie ciało, i została tylko w perłach i krótkich majteczkach z blado-morelowego jedwabiu. Wyczuwała drżenie warg Riccarda, które przesuwały się wolno w dół jej szyi ku

piersiom, i jęknęła głośno.

Rozebrał się i położył obok niej. Tulili się mocno czując nawzajem hicie swoich serc i namiętnie całując, aż wezbrała w nim dzika żądza. Wszedł w nią gwałtownie, i jeszcze raz, i jeszcze, zwiększając tempo, aż zaczęła krzyżeć, miotając głową po poduszce, domagając się spełnienia. On również głośno krzyknął, kiedy wytrysnął w jej wnętrzu.

Przez chwilę leżeli w bezruchu, jak dwoje podróżników wracających z innego świata, próbujących się odnaleźć w rzeczywistości.

– Jeśli kiedykolwiek zastanawiałaś się, czy bardzo cię kocham – szepnął Riccardo – teraz wiesz.

Spojrzała mu w oczy. Ich twarze były tak blisko, że czuli ciepło swoich oddechów.

– Wiem – odpowiedziała po prostu. – To się nigdy nie zmieni.

Zmęczeni pieszczotami leżeli w błogim odprężeniu („W twoich objęciach czuję się, jakbym wróciła do domu” – mówiła Poppy), a potem znów pograżali się w miłości. Tym razem przedłużali chwile rozkoszy i było w niej tyleż czułości, co namiętnej pasji. Gdy gorące słońce znów załśniło na niebie, kładąc kres ich odosobnieniu w świecie ciemności, Poppy zaczęła błagać Riccarda, by pozwolił jej zostać dłużej.

– Nie odsyłaj mnie, kochany, jeszcze nie teraz... Udawajmy jeszcze trochę, że wszystko jest tak jak kiedyś.

Riccardo podszedł do okna i zaciągnął zasłonę, jakby odcinając się od świata zewnętrznego. Nagle jego obowiązki, całe życie przestały mieć dla niego znaczenie. Zamieniłby je chętnie na jeden tydzień spędzony z ukochaną.

– Znam pewien stary dom – powiedział cicho. – Nie widziałem go od lat i pewnie chyli się już ku ruinie, ale tam nikt nas nie zna i nikt nie zwróci na nas uwagi. Może... na parę dni...

– Tak! – podchwyciła Poppy. – Na parę dni zapomnijmy o prawdziwym życiu. Kogóż to obchodzi, Riccardo?

Czekała w bibliotece. Riccardo wezwał swoich trzech zastępców, aby ich powiadomić o swym wyjeździe. Nie zdradził im celu podróży i uprzedził, że przez tydzień nie będą mieli z nim kontaktu. Spojrzeli na niego niepewnie, gdy oświadczył, że nie zabiera ze sobą żadnej ochrony, nawet wozu kuloodpornego.

– To szaleństwo! – ostrzegali. – Byle kto może cię rozpoznać. Zbyt się narażasz!

Riccardo zbył wszystkie argumenty wzruszeniem ramion. Pierwszy raz po dwudziestu pięciu latach robił to, czego najgoręcej pragnął, i gotów był zapłacić najwyższą cenę.

– Postępujcie jak zawsze – polecił. – Dom ma być strzeżony, jakbym był tutaj. Wezwijcie lekarza i rozpuśćcie wiadomość, że jakaś niegroźna choroba zatrzymuje mnie w łóżku. To wytłumaczy moją nieobecność.

Wyszedł, nie zwracając uwagi na ich niespokojne twarze. Gdy wyjeżdżał poza bramy swego więzienia w ciemnozielonym sportowym kabriolecie, nie obchodziło go nic z wyjątkiem Poppy.

Chłodna biel willi, położonej na wzgórzach w pobliżu Vicenzy, niemal zniknęła w gęstwinie porastających ją pnaczy.

– Zupełnie tak jak Montesperan, gdy zobaczyliśmy je po raz pierwszy – uradowała się Poppy.

Kolumny po obu stronach bramy zwieńczone kamiennymi pawiami zieleniały od mchu. Żelazne podwoje z napisem „Villa Castelletto” skrzypiały niemiłosiernie i dały się tylko lekko uchylić. Przecisnęli się ze śmiechem przez szparę i pobiegli krętą, zarośniętą aleją, która kończyła się kolistym podjazdem przed imponującym portykiem. Trzymając się za ręce weszli po czterech szerokich stopniach i stanęli pod wysokimi dębowymi drzwiami. Riccardo nacisnął klamkę, która ustąpiła lekko, bez oporu. Poppy spojrzała na niego zdziwiona.

– Sprząta tu jedna kobieta ze wsi. Kazałem jej zrobić dziś rano porządki i zaopatrzyć kuchnię. Zobacz, zostawiła klucz w zamku.

W środku panował rozkoszny chłód. Poppy zdjęła pantofle i na bosaka ruszyła

korytarzem, zaglądając do pokoi o wystroju nie zmienionym zapewne od stu lat. Z pluszowych czerwonych kotar zwisały złote frędzle, a masywne gotyckie meble sąsiadowały z kruchymi, malowanymi weneckimi sekretarzykami i stolikami pokrytymi reliefami. Podłogi na parterze były marmurowe, na piętrze drewniane, a wysokie sufity zdobiły alegoryczne sceny z pasterkami, pasterzami i amorkami.

W głowie Poppy zamajaczyło wspomnienie Montespan, prostego wiejskiego dworku z fałszywymi pamiątkami po rodzinie, która nigdy nie istniała. Do jej serca wkradł się promyk nadziei – może to nie tylko kilkudniowa ucieczka, lecz nowy początek... Oczy jej rozbłysły radością.

– Umieram z głodu! – wykrzyknęła. – Zobaczmy, co jest w kuchni.

Znaleźli kosze pełne rozmaitych produktów. Poppy przewiązała się fartuszkami i przyrządziła omlęt, makaron i sałatę. Riccardo nalał wina i czekając niecierpliwie na jedzenie, żuł przylepkę chleba. Gdy wszystko było gotowe, usiedli po obu stronach kuchennego stołu i zajadali, spoglądając na siebie i wychwalając na głos przepyszny smak potraw.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – stwierdził Riccardo z błogim westchnieniem.

– Lepiej – poprawiła go Poppy – bo teraz każde z nas zna całą prawdę o drugim.
– Nagle przypomniała sobie, po co się do niego zwróciła. Znajdowali się niedaleko Wenecji, prawdopodobnie blisko stąd było do Villa d’Oro, gdzie mieszkała jej córka. Chciała jak najszybciej opowiedzieć o tej sprawie i poprosić o pomoc, ale wydało jej się, że to nie jest odpowiednia chwila. Lepiej jeszcze trochę poczekać.

Dni mijały jak we śnie. Jedli śniadanie na słonecznym patio, patrząc na zarośnięty ogród. Czasami udawali się do wioski, by odnowić zapasy. Potem przesypiali gorące południowe godziny, wtuleni w siebie, jeszcze ciepli i wilgotni od miłości. Zardzewiała brama uparcie nie dawała się otworzyć, więc zielony samochód Poppy stał za nią, czekając na wieczorną przejażdżkę, gdy orzeźwiwszy się kąpielą, jechali do jakiejś restauracyjki na prostą kolację, złożoną z risotta i sałaty oraz chłodnego, cierpkiego weneckiego wina. Sprzątaczką przychodziła każdego rana, lecz nigdy jej

nie widzieli. „To miejscowy duch!” – krzyknął kiedyś ze śmiechem Riccardo, gdy wrócili do domu i zastali nienaganny porządek, nie wyłączając przewróconych na drugą stronę sienników i karafki świeżej wody na nocnym stoliku.

Dla Poppy najbardziej magiczne były noce. Przez okna wpadało powietrze miękkie jak aksamit, a wilgotne ciepło jej skóry, chłodny dotyk warg ukochanego, zapach kwiatów i ich miłości sprawiały, że była rozleniwiona niczym kotka. Nie chciała nic więcej, tylko leżeć w jego ramionach, czuć jego ciało tuż przy swoim i ciepło jego oddechu.

Czarowne noce umykały zbyt szybko, choć wołała ich nie liczyć. Prawie uwierzyła w szansę ich nowego życia razem, w to, że Riccardo będzie mógł uciec od swojego złowrogiego świata, a ona od przeszłości, lecz on pewnego dnia powiedział:

– Czas już na nas, Poppy. Musimy wracać do rzeczywistości.

Leżeli w łóżku, odrzuciwszy przykrycie, przytuleni do siebie, z palcami splecionymi tak ciasno, jak niedawno ich ciała. Ostry, monotonny śpiew cykad zabrzmiał głośniejsz w nagle zapadłej ciszy.

– Wiedzieliśmy z góry – ciągnął łagodnie – że to tylko kilka kradzionych chwil.

– Czasami myślę, że to wszystko, na co można liczyć. Kilka kradzionych chwil. Tyle zostaje z rojeń o szczęściu – westchnęła Poppy z goryczą. – W młodości człowiek myśli, że spełnią się wszystkie jego marzenia. Gdy dorasta, zdaje sobie sprawę, iż los ofiarowuje nam tylko okruchy szczęścia, cenne, ulotne chwile. Sztuka polega na tym, żeby je uchwycić, przeżyć jak najgłębiej... i zapamiętać. Bo tylko dzięki nim życie jest możliwe do zniesienia.

Dotknął dłonią jej twarzy i poczuł na palcach gorącą wilgoć.

– Nikt nie dostaje od życia wszystkiego, Poppy – powiedział ze smutkiem.

Zacisnęła powieki, próbując powstrzymać łzy, lecz płynęły niepowstrzymanie po policzkach, spływały strużkami we włosy i uszy, zmoczyły twarz Riccarda, gdy przygarnął ją mocno do siebie. Powtórzyła w myśli jego ostatnie słowa i przypomniała sobie Angel, którą w jej przekonaniu czekało w życiu wszystko co najlepsze. Zrozumiała, że Riccardo ma rację. Marzenia nigdy się nie spełniają.

– Kiedy musimy wyjechać? – spytała łamiącym się głosem.

– Jutro. – Wolał zrobić to jak najszybciej, żeby nie mieć czasu na zmianę decyzji.

Poppy kiwnęła głową i otarła łzy rogiem prześcieradła.

– A więc została nam jeszcze ta noc... – Stłumiła szloch.

– Tak, została nam ta noc, najdroższa – wyszeptał czule, tuląc ją mocno w objęciach.

Nazajutrz rano Poppy była blada i miała podkrążone oczy. Riccardo zamknął po raz ostatni wielkie frontowe drzwi i poszli w milczeniu krętym zwirowym podjazdem do samochodu. Patrzyła posepnie, jak Riccardo wrzuca torby podróżne do bagażnika.

– Ja poprowadzę – powiedział. – Mizernie dziś wyglądasz.

Kiedy ruszyli, spojrzała za siebie przez ramię. Dom wyglądał dokładnie tak, jak w chwili ich przyjazdu – chłodny i tajemniczy, porośnięty gąszczem pnączy – a jednocześnie trochę inaczej. Teraz zamknięte w nim były te drobne okruchy szczęścia, jakie im dał los.

Samochód zjeżdżał szybko ze wzgórz w stronę Werony.

– Pojedziemy przez Mediolan do Genui – oznajmił jej Riccardo innym niż dotychczas, rzeczowym tonem. – Zamówiłem ci tam pokój w hotelu na dzisiejszą noc.

– A ty? – spytała.

– Ma mnie stamtąd zabrać samochód.

Poppy zrozumiała. Świadomie odcinał się od niej, wchodził w skórę drugiego Riccarda, którego nie знаła.

Podróż, która do tej pory mijała jej błyskawicznie, nagle stała się długa i nużąca. Gdy zatrzymali się w Mediolanie na obiad, zaczął lać deszcz.

– Niech to diabli – mruknął Riccardo, bębniąc nerwowo palcami na obrusie – spóźnimy się przez ten deszcz.

Poppy odsunęła nietknięte jedzenie i spojrzała na niego ze smutkiem. Wyglądało

na to, że on nie może się doczekać powrotu do swojej fortecy.

Jechali w szarudze przez całe długie popołudnie. Poppy drzemała niespokojnie, świadoma obecności Riccarda tuż przy sobie, lecz za każdym razem, gdy otwarła oczy, widziała jego wzrok wbity w chłostaną deszczem szosę, jakby skupiał się wyłącznie na prowadzeniu, zagubiony w swoich myślach. Ocknęła się, wyrwana z głębokiego snu, gdy wóz raptem się zatrzymał.

– Dojechaliśmy już prawie do Genui – powiedział Riccardo. – Czas się obudzić.

– Riccardo – rzuciła bezładnie – czy nie moglibyśmy... czy nie ma jakiegoś sposobu...

Przyciągnął ją do siebie.

– Nie prosz, Poppy – rzekł cicho. – To na nic się nie zda. Myśl rozsądnie. Najwyższa pora wracać.

– Kocham cię, Riccardo – wyszeptała, zrozumiałwszy, że to koniec.

– Dziękuję – odparł po prostu.

Zauważyła drzenie jego ręki, gdy obracał znów kluczyk w stacyjce, lecz twarz miał zamkniętą i obojętną.

W ulewnym deszczu ciężko było rozpoznać otoczenie, choć Riccardo znał drogę. Prowadził powoli, oglądając uważnie mijane punkty orientacyjne. Mieli godzinę spóźnienia i wiedział, że jego ludzie na pewno się niepokoją. W końcu zobaczył przed sobą błysk reflektorów.

– To oni – powiedział do na wpół uśpionej Poppy.

W tej chwili przypomniała sobie, że nie poprosiła go jeszcze o pomoc w odnalezieniu córki; jakoś nie starczyło na to czasu. Światła ogromniały, stały się oślepiające. Riccardo z pewnością nie widział drogi.

– Nie sądzisz, że powinni wyłączyć światła, skoro już nas zobaczyli? – zwróciła się do niego.

Nie dokończyła jeszcze pytania, gdy grad kul roztrzaskał przednią szybę. Poppy zapadła w mrok i nie wiedziała, co nastąpiło dalej.

Rozdział 58

Przenikliwy dzwonek telefonu przerwał ciszę, w którą spowita była Villa Castelletto. Mike skoczył go odebrać, mając myśli wciąż pełne Poppy i Riccarda. Podniósł słuchawkę, spodziewając się usłyszeć głos Arii.

– *Pronto* – rzucił z fasonem.

– Pan Preston?

Głos był jakby znajomy, lecz nie mógł go przypisać do żadnej osoby. Ściągnął brwi.

– Tak, Mike Preston przy telefonie.

– Mówi Pierluigi Galli.

– Galli! Ale przecież... – urwał raptownie; chciał powiedzieć „przecież pan siedzi w ciupie!”

– Zwolniono mnie za kaucją – odpowiedział Pierluigi, jakby czytał w jego myślach. – Dzwoniłem do Palazzo Rinardi i Fiametta powiedziała mi, że pan tu jest. Chciałbym z panem porozmawiać. Niestety, nie wolno mi opuszczać Villa Velata, więc skoro nie mogę przyjechać do pana, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan znalazł trochę czasu i przyjechał do mnie. To niedaleko.

Mike uniósł wysoko brwi, zaskoczony z dwóch powodów: po pierwsze, że Pierluigiego wypuścili z pudła – o ile wiedział, w sprawie zabójstwa Klaudii policja nie znalazła innych podejrzanych – a po drugie, że ma mu coś ciekawego do powiedzenia, czego Mike nigdy by nie przypuścił po ich bezowocnym spotkaniu w Nowym Jorku. Pierluigi Galli wywarł wówczas na nim wrażenie człowieka, który pod spokojną twarzą ukrywa wiele niespodzianek. Facet był tak tajemniczy, jakby wyskoczył z powieści szpiegowskiej. Mniejsza o to, skoro chciał mówić, Mike z pewnością go wysłucha, mimo że na dworze walił gęsty śnieg.

– Niech pan opiszę drogę – poprosił. – Przyjadę tam najszybciej, jak się da.

Dojazd zabrał mu cztery godziny. Mike miał za sobą bezsenną noc. Gdy wreszcie dotarł do Villa Velata, był przemarznięty, zmęczony i głodny. Zaparkował samochód i przez minutę stał nieruchomo oglądając dom. Padał na niego cień

okrytej śniegiem góry, okiennice były zamknięte, a ciemne zacieki wilgoci pełzły po brązowych stiukach. Ogólnie rzecz biorąc, było to najmniej zachęcające miejsce, jakie można sobie wyobrazić, i nasunęło Mike'owi refleksję, że mieszkać tu czy w więzieniu to niewielka różnica. Pierluigi otworzył przed nim drzwi.

– Nikt tu nie pracuje od czasu śmierci Klaudii – oświadczył Mike'owi z nikłym, ironicznym uśmiechem – więc, jak pan widzi, zostałem sam na posterunku.

Mike spojrział na niego zaskoczony. Nie przypuszczał, że będą sami. Koniec końców miał do czynienia z człowiekiem podejrzanym o morderstwo!

– Niech się pan nie obawia – rzekł spokojnie Pierluigi. – Nie mam zamiaru pana zabijać, chcę tylko porozmawiać.

Zaprowadził Mike'a do gabinetu. Pod jedną ścianą stało wielkie biurko o żaluzjowej pokrywie, z powyciąganymi szufladami. Wszędzie walały się papiery.

– Proszę wybaczyć ten nieporządek – usprawiedliwił się gospodarz – ale wciąż szukam jakichś dokumentów na potwierdzenie faktu, że jestem legalnym spadkobiercą Poppy Mallory. Niech pan usiądzie, panie Preston. Napije się pan czegoś? Zapewne bardzo panu tego potrzeba po tak długiej jeździe. Na dworze panuje straszny mróz, choć, prawdę mówiąc, tutaj temperatura nie jest dużo wyższa!

Dorzucił polano do dymiącego ognia. Mike obserwował go skrycie. Był równie elegancko ubrany jak podczas ich pierwszego spotkania: śnieżnobiała koszula, ciemny garnitur, czarny jedwabny krawat... Czyżby żałoba po siostrze? Pobyt w więzieniu wycisnął jednak na nim swe piętno – Pierluigi wychudł, świetnie skrojone ubranie luźno na nim wisiało, a ręka mu drżała, gdy nalewał drinki.

– I co, znalazł pan coś? – zagaił Mike sącząc whisky. Miłe ciepło rozlało mu się po wnętrzu. Czekał, aż dojdzie do jego zdrętwiałych palców u rąk i nóg.

– Jeszcze nie. – Pierluigi spojrział mu prosto w oczy. – Szczerze mówiąc, chciałem zadać panu to samo pytanie.

Mike utkwiał wzrok w szklance z bursztynowym płynem. Było to piękne naczynie, ciężkie, lecz proporcjonalne – ten, kto je wybrał, musiał mieć dobry gust.

– Nawet gdyby tak było, nie wolno mi o tym panu mówić.

Pierluigi westchnął.

– Panie Preston – zaczął, starannie dobierając słów – z chęcią okazałbym się bardzo hojny wobec człowieka, który mógłby dowieść, że ja i moja nieżyjąca siostra jesteśmy spadkobiercami.

Zaskoczony Mike podniósł na niego oczy.

– Powiedzmy, że zaoferowałbym panu połowę majątku Poppy Mallory... – zasugerował Pierluigi.

Mike ostrożnie odstawił szklanę i wstał.

– Chyba lepiej będzie, jeśli już pojedę – rzekł oziębło.

Jego rozmówca ponownie westchnął.

– Sprawa wygląda trochę inaczej, niż się na pozór wydaje. Chodzi o coś, co bardzo leży mi na sercu, panie Preston.

– Wygląda na to, że spadek Poppy Mallory leży na sercu wielu osobom – powiedział Mike idąc ku drzwiom – ale to jeszcze nie znaczy, że im się należy.

Pełne bólu spojrzenie ciemnych oczu Pierluigiego zatrzymało go w pół drogi.

– Widzi pan, gdyby się okazało, że spadek należy się mojej siostrze i mnie, chciałbym założyć za te pieniądze fundację na jej cześć fundację, która pomagałaby młodym ludziom w finansowaniu ich studiów. W wykształceniu leży ratunek dla nas wszystkich, panie Preston. Tylko w obrębie własnego umysłu możemy być naprawdę wolni.

Mike ze zdumieniem potrząsnął głową.

– Niestety, nie mogę panu w żaden sposób pomóc.

Pierluigi nie nalegał dłużej. W milczeniu odprowadził go do drzwi i krótko się pożegnali. Mike odjeżdżając obejrzał się raz za siebie. Pograżony w wiecznym cieniu dom z zamkniętymi okiennicami wyglądał jeszcze bardziej posepnie i tajemniczo.

Mike próbował zanalizować w myśli, co się stało. Pierluigi zaproponował mu gigantyczną łapówkę, żeby dostać w swe ręce majątek Poppy, ale mimo kiepskiego

stanu własnych interesów nie pragnął go dla siebie, lecz chciał ofiarować na cel dobroczynny. Z drugiej strony, wobec oskarżenia o morderstwo, może uznał, że i tak na nic mu się nie przydadzą, i zapragnął wzniesć pomnik ku czci Klaudii. Lecz skoro tak kochał siostrę, po cóżby miał ją zabijać? Mike przypomniał sobie udręczone oczy Pierluigiego. Może sęk w tym, że za bardzo ją kochał?

Gdy dojechał z powrotem do Villa Castelletto, zapadł już zmrok. O ile wcześniej było mu zimno, to teraz był przemarznięty do szpiku kości. Chciał się czegoś napić i padał z głodu. Przygotował sobie jak zawsze okazałą kanapkę z szynką i serem, posmarował ją grubo musztardą i podziękował w duchu Lieberowi za to, że kazał dozorczy utrzymywać ciepło w willi.

Jadł na stojąco przy kuchennym stole, zapijając swoim ulubionym czerwonym winem, a jego myśli znów odpłynęły ku Poppy. Niemal bał się dowiedzieć, co dalej się z nią stało.

Skończywszy kanapkę, wziął na górę butelkę z resztą wina. Gdy włączył lampę, papuga zamrugała i łypnęła na niego ze swej klatki. Mike wyszczerzył do niej zęby.

– Najmocniej przepraszam, Luchay. Nie chciałem cię straszyć, i założę się, że też jesteś solidnie głodny. Masz, wsuwaj.

Nasywał ziarna do miseczki i roześmiał się głośno. Samotność i atmosfera Villa Castelletto zaczynały wywierać na niego wpływ; rozmawiał z papugą tak, jak to zapewne czyniła niegdyś Poppy.

Przyłożył zapalną do stosu drzewa, jaki dozorca przygotował na kracie kominka, a potem wyciągnął ręce do ognia i grzał je przez chwilę. Zeszyty Poppy, leżące na ładnym biurczku, wzywały go do siebie. Wypuścił papugę z klatki i usiadł w fotelu. Luchay przefrunął przez pokój i przycupnął za nim na oparciu.

– Jak za starych dobrych czasów, co, Luchay? – powiedział Mike. Zaczął czytać.

Rozdział 59

1932, WŁOCHY

Wróg dobrze obmyślił swój plan. Nie chodziło o rozgrywki terytorialne, lecz o

załatwienie starych porachunków. Zemsta czasami musiała długo czekać, lecz w tym środowisku ludzie mieli dobrą pamięć. Stara luna pozostawała otwarta, dopóki nie zablizniła jej czyjaś śmierć.

W ciągu zaledwie paru godzin współpracownicy Riccarda doszli do inicjatora zamachu. Po kilku dniach znaleziono w Zatoce Neapolitańskiej pływające zwłoki Dottore. Jego opuchnięta twarz, przecięta długą blizną, była po śmierci jeszcze bardziej groteskowa niż za życia. Przed dwudziestu laty wykluczono go z Rodziny za patologiczne wręcz okrucieństwo. Czekał cierpliwie, aż trafi na jakąś szczelinę w ochronnym pancerzu, jakim otoczył się Riccardo. I wreszcie ją odnalazł.

Od wielu lat miał wśród służby płatnego informatora, który powiadamiał go o wszystkich poruszeniach chlebobawcy. Dowiedziawszy się o niespodziewanym samotnym wyjeździe *padrone*, zrozumiał, wreszcie nadeszła długo wyczekiwana okazja. Szpieg podał mu również miejsce, gdzie po Riccarda miał przyjechać samochód. Dottore przybył tam wcześniej i zaparkował na tej samej drodze o kilometr od miejsca spotkania. Przewidywał, że strzał do jadącego szybko samochodu będzie trudny, lecz deszcz obrócił bieg zdarzeń na jego korzyść. Dottore z powodu fatalnej widoczności musiał włączyć światła, a Riccardo wziął je za reflektory samochodu, którym przyjechali jego ludzie, i zwolnił, stając się łatwym celem. Jedyne błęd Dottore polegał na tym, że oczekiwał, iż jego wróg będzie zajmował miejsce pasażera, obok kierowcy. Tam też mierzył.

Riccardo myślał, że to już koniec. Odłamki szkła rozcięły mu twarz, kula musnęła głowę. Poczłł gorące uderzenie w piersi i usłyszał krzyk Poppy. Samochód wpadł w poślizg. Riccardo z krwią spływającą po twarzy i rozdzierającym bólem w płucach walczył, by odzyskać kontrolę nad kierownicą i nie dopuścić do wywrotki. Dwa przednie koła utkwily w rowie i wóz zatrzymał się ze wstrząsem. Światła samochodu naprzeciwko przygasły i zamrugały, kiedy kierowca włączył silnik. Riccardo usłyszał pisk opon przy gwałtownym ruszaniu i światła znikły. Potem zapadła cisza. Opadł nieprzytomny na kierownicę w mrok głębszy niż mrok nocy.

Stracił poczucie czasu i gdy się ocknął, nie wiedział, czy od zamachu minęły minuty, czy godziny. Świadom był tylko krwi, sączącej się ze skroni, i palącego bólu w piersi. Wtedy przypomniał sobie o Poppy. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Było ciepłe. Natrafił na coś lepkiego i wiedział, że to krew, choć nie mógł jej dojrzeć. Niezdarnie, z wysiłkiem manipulował kluczykiem w stacyjce chcąc zapalić światła. Nagle reflektory się włączyły, oświetlając żywoplot, a tablica rozdzielcza zabłysła zielenią. Riccardo spojrzął w bok – i niemal tego pożałował. Poppy na w pół leżała na siedzeniu. Kiedy odwróciła się, by zadać ostatnie pytanie, trafiły ją kule. Z jękiem dotknął pięknych włosów, zlepionych krwią. Położył rękę na jej piersi i wyczuł słabe bicie serca. Żyła jeszcze, ale potrzebowała natychmiastowej pomocy.

Resztką sił wysiadł z samochodu rozglądając się gorączkowo. Niedoszły zabójca mógł wciąż czaić się w mroku przy drodze, by dobić swe ofiary. Sprowadzenie pomocy dla Poppy było jednak ważniejsze od wszystkiego. Riccardo ruszył chwiejnie przed siebie, przyciskając chusteczkę do krwawiącej rany na skroni. Powietrze rzeziło mu w przestrzelonych płucach.

Jego goryle rozproszyli się wokół czekającego mercedesa i patrolowali teren w promieniu blisko kilometra. Nagle usłyszeli poprzez ulewę dźwięk wystrzałów. Wskoczyli w mgnieniu oka do wozu i na wyłączonych światłach pojechali w tamtą stronę. Niemal cudem nie przejechali Riccarda, który wyłonił się nagle przed maską na środku drogi.

– Na pomoc! – krzyczał, gdy biegli do niego. – Pomóżcie jej!

Siostry w szpitalu Czerwonego Krzyża w Genui były przyzwyczajone do przeróżnych pacjentów. Leczyły ich schorzenia i modliły się za nich. Szczególnie długo modliły się w swej prywatnej kaplicy na intencję odpuszczenia grzechów mafijnemu *capo*, Riccardowi Malvasiemu, i ocalenia życia kobiecie, którą przywieziono razem z nim, bardziej martwą niż żywą.

Riccardo odniósł dwie postrzałowe rany głowy; w obu przypadkach kule musnęły czaszkę, uszkadzając kość, lecz nie przebiły na wylot. Niemniej świetni chirurdzy

przez wiele godzin usuwali odpryski kości z tkanki mózgowej. Kolejny znakomity zespół specjalistów usunął kulę z lewego płuca. Po kilku dniach Riccardo siedział już na szpitalnym łóżku, owinięty w bandażę i osłabiony, i pytał o Poppy.

– Jej stan jest ciężki – powiedziano mu – może tu pomóc tylko czas i wola Boska.

Kula dostała się z prawej strony pod czaszkę, niezbyt głęboko, lecz wystarczająco, by uszkodzić mózg. Inne kule trafiły w prawy bark i rękę, lecz ponieważ Poppy była zwrócona w bok, podstawowe organy nie doznały szwanku. Istniała szansa, że przeżyje, nikt jednak nie mógł na razie przewidzieć, jak duże okażą się uszkodzenia mózgu. Nie pozwolono mu jej zobaczyć.

– Ona i tak nie będzie wiedziała, że pan jest przy niej, a pan jeszcze zbyt źle się czuje.

Kazał swoim gorylom warować całą dobę pod jej drzwiami, lecz siostry ich odprawiły.

– Ten szpital jest przybytkiem bożym – oświadczyły zgorszzone. – Ratujemy tu życie, nie zabijamy. Nie ma tu miejsca na broń i gwałt. – Nie próbowały jednak usunąć warty spod drzwi Riccardo Malvasiego; wiedziały, że jest wystawiony na zbyt wielkie ryzyko.

Kiedy Riccardo usłyszał od lekarzy, że za dwa tygodnie może opuścić szpital, Poppy nie otworzyła jeszcze oczu; nie poruszyła się ani nie odezwała. Poszedł ją odwiedzić, ściskając w rękę kwiat gardenii. Leżała na łóżku z głową w bandażach. Odniosł dziwne wrażenie, że chociaż jej ciało jest tu z nim, ona sama przebywa gdzie indziej. Kto wie, gdzie teraz błądziły jej myśli? Położył kwiat na poduszce, pocałował ją ostrożnie i zostawił jej snom. Odmówił jednak opuszczenia szpitala, dopóki Poppy nie wróci przytomność. To wywołało falę protestów.

– Ależ signore, nie może pan zostać, będziemy potrzebować pańskiego łóżka...

– Pozwólcie mi zostać – poprosił – a obiecuję, że w przyszłym roku wasz szpital będzie miał nowe skrzydło z setką łóżek!

Dopiero po kolejnych trzech tygodniach Poppy podniosła powieki. Riccardo siedział przy łóżku i na nim spoczął jej zamglony wzrok.

– To ty, Riccardo? – spytała słabym, ochrypłym głosem.

Poznała go! Pochylił się nad ukochaną.

– Wszystko będzie dobrze, Poppy. Wkrótce wydobrejesz. A wtedy będziesz miała wszystko, czego tylko zapragniesz. Wystarczy, że mi powiesz.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Gardenie – szepnęła.

Napełnił nimi pokój po brzegi, dopóki siostry nie zaczęły się skarżyć na zbyt intensywny zapach.

Stan Poppy poprawiał się pomału z dnia na dzień, lecz gdy lekarze powiedzieli Riccardowi, że rekonwalescencja potrwa miesiące, a może nawet lata, kazał ją przewieźć specjalną karetką do prywatnej kliniki w Neapolu.

Przynosił jej kwiaty, książki, śliczne koszule nocne i szlafroki oraz srebrne lusterko, w którym mogła się przejrzeć i sprawdzić, na ile odrosły jej włosy, ogolone przed operacją. Obsypywał ją prezentami i odwiedzał codziennie, śledząc bacznie wraz z lekarzami postępy w leczeniu.

– Istnieje jakieś trwałe uszkodzenie – twierdzili specjaliści – lecz signora miała szczęście: kula nie dotarła do części mózgu, w której są ośrodki ruchowe, co spowodowałoby paraliż. Jej pamięć będzie jednak w pewnym stopniu upośledzona... nie wiemy jeszcze w jak dużym. Nawiasem mówiąc, ona nic nie pamięta z tego wydarzenia. Sądzi, że samochód wpadł w poślizg na mokrej drodze i że ona sama prowadziła. Lepiej nie rozwiewać jej złudzeń.

Poppy wracała do zdrowia szybciej, niż przypuszczali lekarze. Po następnych dwóch miesiącach oświadczyli, że może wracać do domu. Riccardo siedział przy łóżku chorej, żałując, że nie może zatrzymać jej tu choćby tydzień dłużej. Nadszedł jednak czas, aby pozwolić Poppy odejść.

– Co chcesz teraz zrobić? – spytał.

Uśmiechnęła się do niego. Z krótkimi włosami wyglądała jak młoda dziewczyna.

– Pojadę do domu – odparła z prostotą.

– Do Montespan?

– Montespan? Ależ skąd, do Villa Castelletto. – Ściągnęła w zdumieniu brwi. –
Przecież to jest nasz dom, prawda, Riccardo?

Skinął posępnie głową.

– Chyba tak.

– Zawsze myślę o nim jako o swoim domu – ciągnęła oszołomiona – ale tyle rzeczy teraz mi się miesza.

– Jest twój, Poppy. Wszystko, czego zapragniesz, jest twoje.

Jej mętne, błękitne spojrzenie nagle nabrało bystrości.

– A ty? – spytała cicho.

Pokiwał głową ze smutkiem.

– Tego jednego muszę ci odmówić.

– W takim razie znowu się żegnamy, Riccardo.

– Tym razem się żegnamy.

Zdawało się, że go nie słyszy.

– Najpierw muszę pojechać do Montespan po Luchaya! – krzyknęła. – Moje biedactwo, jak mogłam o nim zapomnieć! No i sprawdzić, czy Rogan już wrócił.

– Rogan?

Zmrużyła oczy i rzuciła mu chytre spojrzenie.

– Co? – mruknęła niewyraźnie. – Biedny Luchay, musi być taki samotny. Nie znoszę samotności. Wezmę go ze sobą, a potem na zawsze zamieszkamy w Villa Castelletto. – Uśmiechnęła się do niego słodko. – „Na zawsze”, w tych słowach jest coś kojącego, Riccardo...

Słuchał tego z bólem. W jednej chwili była jego dawną Poppy, w następnej myśli i wspomnienia rozsypywały się i przeciekały przez palce, nieuchwytnie jak kulki rtęci. „Boże, wybac mi to, co jej zrobiłem” – pomyślał.

Rozdział 60

1932, FRANCJA

Angel siedziała w ogrodzie Villa d'Oro, gdy przeczytała tytuł w gazecie:

„Zamach na króla zbrodni”. Jej uwagę przykuły ostatnie słowa artykułu: „W samochodzie jechała z Malvasim kobieta, która odniosła ciężkie rany od kul. Zidentyfikowano ją jako signorę Poppy Mallory”.

Gazeta spadła z szelestem na trawę. W umyśle Angel pojawił się obraz podziurawionego kulami ciała Poppy. Ukryła twarz w dłoniach, ogarnięta żalnością i smutkiem. Dlaczego Poppy przebywała w towarzystwie takiego człowieka? Wszyscy wiedzieli, kim był...

– Och, Poppy, Poppy! – jęknęła. – Kiedyś byłyśmy tak młode i szczęśliwe, tyle otrzymałyśmy od losu! Co sprawiło, że prześladują nas same nieszczęścia?

Zerwała się na nogi, pchnięta impulsem, żeby natychmiast jechać do szpitala. Nie mogła pozwolić, by Poppy dogorywała samotnie na szpitalnym łóżku. Przecież kiedyś kochały się jak siostry! Złapała gazetę i sprawdziła, że Poppy jest w szpitalu Czerwonego Krzyża w Genui. Pojedzie tam natychmiast.

– Mamo? Co tu robisz, całkiem sama? – dobiegł do niej poprzez trawnik głos Heleny.

Odruchowo uniosła w odpowiedzi rękę. Czasami Helena mówiła prawie normalnie; bardzo dobrze czytała z ruchu warg i gdy widziała mówiącą osobę, bez trudu rozumiała słowa. Lecz w miarę, jak dorastała, zatarły się w jej pamięci zapamiętane w dzieciństwie dźwięki, toteż obecnie, w wieku trzydziestu trzech lat, większość wypowiedzianych przez nią wyrazów była jedynie przybliżonym, zniekształconym odbiciem właściwych. Tylko Angel i Maria-Krystyna rozumiały zawsze, co mówi. Kiedy zabierały ją na zakupy lub obiad na mieście, Helena zdenerwowana obecnością nieznanym ludzi reagowała dziecinnym gniewem i łzami. Ludzie gapili się na nią, ponieważ była taka piękna – wysoka, jasnowłosa, o oczach koloru morskiej zieleni i spojrzeniu czystym, niewinnym jak spojrzenie dziecka. Potem ukradkiem patrzyli ze współczuciem na matkę.

Wyraz oczu nie mylił – Helena miała mentalność małego dziecka. Wysiłki Angel, która robiła wszystko, aby córka nie cierpiała z powodu różnicy między nią a innymi dziećmi, nie tylko doprowadziły do trwałej izolacji Heleny od otoczenia, lecz

opóźniły jej rozwój umysłowy. Nie chodziła do szkoły jak Maria-Krystyna. Została w domu przy matce, a Angel przez długie lata udawała, że nie ma w tym nic dziwnego. Uśmiechała się, gdy ludzie patrzyli ze zdumieniem na Helenę, tłumacząc, że dziecko jest bardzo nieśmiałe. Odpowiadała na pytania, których córka nie dosłyszała. Nigdy nie pozwalała jej chodzić na dziecięce przyjęcia, a potem na tańce, twierdząc, że jest na to zbyt wątłego zdrowia. Nie pozwoliła Helenie dorosnąć. Kiedy wreszcie porzuciła Felipe i wróciła z córkami do Kalifornii, dwudziestoletnia Helena była równie niezaradna i zależna od innych jak sześcioletnie dziecko.

Gdy zamieszkały na ranczu Santa Vittoria, Rozalia zauważyła nadopiekuńczość Angel względem Heleny i przestrzegła ją przed skutkami takiego postępowaniem. Myślała ze współczuciem, iż to zapewne utrata syna sprawiła, że Angel nadmiar troskliwości przelała na córkę. Helena ze słodkiego dziecka wyrosła na dziecinną młodą kobietę, wciąż odgradzoną od normalnego życia, lecz szczęśliwą rozpieszczaną w swoim małym świecie, w którym wszyscy ją rozumieli i kochali. Poza nim nie знаła nic innego. Była niewinna jak dziecko, lecz jednocześnie miała twarz i ciało prześlicznej dziewczyny. Poza kręgiem rodziny jedynymi osobami, z jakimi się stykała, byli lekarze i specjaliści, do których wciąż chodziła na badania, i Angel nigdy nie przestała gorzko się później obwiniać za to, że nie zauważyła w porę zmiany, jaka zaszła w córce.

Helena szła z gracją przez trawnik, wymachując od niechcenia rakieta tenisową. Krótka biała sukienka odsłaniała jej opalone nogi. „Ma tyle wdzięku! – pomyślała ze smutkiem Angel – chodzi jak tancerka”. Może mogłaby nawet nią zostać, gdyby ona sama pod wpływem głupich strachów nie zabraniała jej wszystkiego.

– Mamo, chodź na kort, żeby na mnie popatrzeć. Obiecałaś, że przyjdiesz... – Jej słowa były zbieraniną niezbornych dźwięków.

– Przepraszam, kochanie. Czytałam właśnie gazetę i zupełnie upomniałam o bożym świecie. Zaraz idę.

– Za późno, Marii-Krystynie już się znudziło grać.

To było typowe dla jej drugiej córki. Potrafiła skupić na czymś uwagę nie dłużej

niż motyl i wiodła też podobny tryb życia, przefruwając z miejsca na miejsce, od jednego mężczyzny do drugiego.

Po zbulwersowaniu światka towarzyskiego w Santa Barbara mnóstwem flirtów przeniosła się do San Francisco. Była najpopularniejszą debiutantką roku 1916 i pod koniec sezonu towarzyskiego zaręczyła się z najświetniejszym kandydatem wśród młodych kawalerów do wzięcia. W trzy miesiące później zerwała zaręczyny. Brylowała na przyjęciach i zmieniała kolejnych narzeczonych, dopóki nie skończyła dwudziestu pięciu lat. W tym czasie opinia publiczna uznała już, że panna Rinardi zwlekała zbyt długo z zamążpójściem i wiosna jej życia minęła.

Maria-Krystyna, która wciąż uganiała się w poszukiwaniu rozrywek, w chwili refleksji pojęła, że może być w tym ziarno prawdy. Nie minął miesiąc, a zaręczyła się ponownie z wiernym wielbicielem, który poprosił ją o rękę, gdy miała osiemnaście lat. Trzy miesiące później pobrali się z wielką pompą, a na przyjęciu weselnym tańczyło czterystu gości. Maria-Krystyna nie widziała powodu, żeby zamążpójście miało wpłynąć na jej zwykły tryb życia, składający się z przyjęć i flirtów. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz przyjmowała we własnym domu. Uwielbienie młodego męża wkrótce zmalowało, a z nim cierpliwość wobec jej wybryków, lecz Maria-Krystyna drwiła z jego próśb, aby się utemperowała i zaczęła zachowywać jak stateczna młoda mężatka. Ich rozwód w trzy lata później wywołał skandal, który wymagał rocznego pobytu za granicą, aby uspokoić wzburzoną opinię publiczną.

Maria-Krystyna znów zaczęła wieść pogodny żywot niezależnej kobiety, nie obciążonej żadnymi troskami ani obowiązkami. Nie miała też jednak mężczyzny, który by się o nią troszczył. Aż wreszcie poznała Billa Astona.

Bill, czterdziestoletni, bogaty stary kawaler ze Wschodniego Wybrzeża, był właścicielem mieszkania na Manhattanie, domku letniego w East Hampton i rozsypującego się starego gniazda rodzinnego w Palm Beach, dokąd jeździł grać w polo. Miał świetne wykształcenie i wielkoświatową ogładę. Maria-Krystyna po raz pierwszy w życiu była pod wrażeniem. Gdy się pobrali, Angel pomyślała z ulgą, że

jej córka nareszcie wyrosła.

Przez pewien czas Maria-Krystyna grała wśród śmietanki towarzyskiej Wschodniego Wybrzeża rolę dobrej żony i gospodyni. Zdawało się, że polubiła wydawanie eleganckich koktajli na Manhattanie, obiadów na cele charytatywne w East Hampton i szykownych kolacji z wymaganymi strojami wieczorowymi w Palm Beach. Pławiła się w blasku sławy jako „piękna, elegancka pani Aston”. Wydawało się, że małżeństwo jest świetnie dobrane. Urodziła nawet dziecko, któremu dała na imię Paul.

Jednak zaledwie dwa miesiące temu zadzwoniła do Angel z wiadomością, że wraca do Włoch. Bill się z nią rozwodzi. Angel spytała o przyczynę w nadziei, że uda się naprawić nieporozumienie, lecz Maria-Krystyna tylko westchnęła niecierpliwie:

– Ta sama, co zawsze, mam – nudzę się!

Gdy Aleksander odmówił przyjęcia tytułu po śmierci Felipe, siedmioletni wówczas Paul był następny w kolejności i stał się Paolem, baronem Rinardi. Lecz posiadanie dziecka i konieczność opieki nad nim niewiele zmieniła wariacki styl życia Marii-Krystyny. Jak zwykle, złożyła ciężar odpowiedzialności na kogoś innego. Nigdy właściwie nie zajmowała się synem; robiła to Fiametta.

„Moja wina jest równie wielka jak wina Poppy – myślała Angel z rezygnacją. – Nie powiodło mi się w małżeństwie i wygląda na to, że jako matka też nie spisałam się najlepiej. Zawsze dawałam swoim dzieciom tylko miłość, a to najwyraźniej za mało”. W oczach stanęła jej Poppy, tak jak widziała ją ostatnio, a potem dawny obrazek smukłej postaci na koniu, eleganckiej nawet w samodziałowej koszuli, bryczesach i czarnym, naciśniętym na czoło sombrero. Przypomniała jej się prośba Poppy i własna odmowa. „Och, Poppy – zwróciła się teraz w duchu do przyjaciółki – czy nie rozumiesz, że to bez znaczenia, która z nich jest twoja? One nie należą do ciebie czy mnie... są odrębnymi istotami”.

Przed snem zmówiła jak zawsze modlitwę za Aleksandra, Helenę i Marię-Krystynę. Pomodliła się również za Poppy. Prosiła Boga o natchnienie. Czy powinna

jechać do przybranej siostry, jak podpowiadało jej serce? Czy też najważniejsze było zachowanie tajemnicy? Z niebios nie nadeszła żadna odpowiedź i Angel musiała jej poszukać we własnej duszy. Ponowne spotkanie z Poppy było zbyt wielkim ryzykiem. Mogło jedynie sprowadzić nieszczęście.

Rozdział 61

1933, WŁOCHY

Posiadłość w Montespan była zarośnięta i zapuszczona, gdy robotnicy przyjechali pakować rzeczy. Nie zwracając uwagi na Luchaya, który kulił się niespokojnie na swoim drażku, pakowali w skrzynie obrazy, zegary, wazon, srebra, książki oraz kosze suchych kwiatów. Bystre, okrągłe oczy papugi mrugały nerwowo na widok wynoszonych kufrów z ogromną kolekcją ubrań Poppy i jej rzeczy osobistych. Wepchnęli ptaka do złotej klatki, nacisnąwszy mu kapturek na głowę, i śmiali się z jego oburzonego skrzeku.

Ciężarówka toczyła się przez Francję do Włoch. Na postojach wsadzali papudze do klatki miseczkę z wodą i trochę ziarna, lecz nie zdjęli mu kapturka. Luchay tkwił w bezruchu na drażku i nastroszywszy pióra, chował bojaźliwie głowę pod skrzydło. W końcu ciężarówka dotarła do miejsca przeznaczenia i wielkie drzwi z tyłu zostały otwarte.

– *Allons-y!* – wrzasnął krzepki kierowca, wyciągając niezgrabnie klatkę.

Gdy wnosił ją, kołyszac gwałtownie na kółku, po kręconych schodach, papuga podniosła czujnie głowę, jakby nasłuchując znajomego głosu Poppy. Zewsząd dobiegały tylko dźwięki, świadczące o zamęcie porządków: szuranie miotły, pacnięcia mokrego zmywaka na kiju o marmurową podłogę, skrzyp irchowej ścierki na okiennej framudze i ciężkie kroki. W powietrzu unosił się zapach świeżej farby i mydła... i znajoma słodka woń gardenii.

– A cóż my tu mamy? – spytał kobiecy głos. Ktoś zdjął kapturek i papuga zamruwała oczami w jaskrawym świetle, trzepocząc trwożnie skrzydłami.

– Biedne stworzenie, taki jest przerażony! – wykrzyknęła kobieta. Otworzyła

drzwiczki klatki i wsunęła do środka rękę, lecz Luchay umknął przed dotykiem i przedreptał po drążku do najdalszego końca klatki.

– Zostaw go – powiedział cicho Riccardo. – On lubi tylko Poppy. Na razie pilnuj tylko, żeby dostawał pokarm i wodę i żeby zostawiono go w spokoju.

Klatka Luchaya i jego wysadzany drogimi kamieniami drążek zostały ustawione przy otwartym oknie wielkiej słonecznej sypialni. W ogrodzie na dole krzątało się wielu ludzi – przycinali rozrośnięte krzewy i pnącza, plewili chwasty i doprowadzali do porządku trawniki. Wonie ogrodu mieszały się z zapachem gardenii. Papuga rozglądała się wokół, przekrzywiając pytająco głowę, słuchała ptasich głosów i dobiegającego skądś szczekania małego pieska. Przed domem zatrzymał się długi biały ambulans z czerwonym krzyżem z boku. Sanitariusze wnieśli Poppy na noszach. Riccardo szedł obok.

– To znaczy, że jesteśmy już w domu? – spytała czystym głosem, gdy znalazła się w sypialni.

Luchay napuszył pióra.

– Poppy *cara*, Poppy *cherie*, Poppy kochana! – zaskrzeczał z podnieceniem, wymachując skrzydłami.

– Luchay? Czy to nareszcie ty? Chodź tu, mój skarbie, chodź do mnie...

Riccardo przyniósł klatkę do jej łóżka i papuga przefrunęła chwiejnie na wyciągniętą dłoń, powtarzając bez ustanku: „Poppy, Poppy, Poppy...”

– Ja też za tobą tęskniłam, Luchay – rzekła czule Poppy. – Jesteś mi potrzebny, przyjacielu.

W głosie Poppy brzmiało zmęczenie. Jej głowę okrywały krótkie ciemnorude loczki odrastających włosów, a od prawej skroni ku tyłowi głowy biegła szeroka czerwona blizna. Kości policzkowe ostro wystawały, błękitne oczy były wpadnięte, nawet piegi, zdawałoby się, zbladły na przezroczytobiałej skórze. Wychudłe palce, gładzące skrzydła ulubieńca, nieustająco drżały.

Przy łóżku pojawiła się kobieta w szeleszczącym, sztywno wykrochmalonym białym stroju pielęgniarki.

– Poppy, oto osoba, która będzie się tobą opiekować. Dopilnuje, żebyś miała wszystko, co potrzeba – powiedział Riccardo.

– Wolałabym być sama – oświadczyła Poppy ze znużeniem – za dużo pielęgniarek, za dużo lekarzy... każ jej sobie pójść.

– Jeszcze nie teraz, Poppy, potrzebujesz ciągle pomocy. – Riccardo ujął jej dłoń i spojrzał z mieszaniną czułości i smutku. – Zostawię cię samą, żebyś mogła odpocząć. Wrócę, gdy poczujesz się silniejsza.

– Czy jestem w domu, Riccardo? – spytała przysmykając sennie powieki.

Skinął głową.

– Jesteś w domu, Poppy – potwierdził schylając się i całując ją w policzek.

Początkowo Poppy była milcząca i niespokojna, lecz z nadejściem wiosny nabrała sił i wreszcie mogła wyjść z domu. Z Luchayem na ramieniu kroczyła niepewnie przez doprowadzony do idealnego porządku ogród, a łzy spływały jej po twarzy.

– To nie jest mój dom, Luchay! – krzyknęła. – Tam ogród był zarośnięty i splełany, i tajemniczy... jedyny na świecie. Dlaczego tu jesteśmy? To nie jest to miejsce.

Pielęgniarka przybiegła z niepokojem malującym się na twarzy, a potem zadzwoniła do signore Malvasiego. Nazajutrz przyszedł z wizytą. Zauważył, że czasami Poppy witała go z radością, kiedy indziej zaś patrzyła na niego zdumiona, jakby był nieznanym natrętem, który zakłóca jej spokój. Tego dnia Poppy była wyniosła i apodyktyczna.

– Zwolniłam ogrodników – oznajmiła mu gwałtownie. – Nie chcę wystrzyżonych trawników i symetrycznych grządek. Chcę chwastów i pnączy, które wszystko zakrywają. – W jej oczach znów odmalowało się zdumienie. – Ja nie znam tego miejsca, Riccardo! Czy to jest nasz dom? Myślałam, że wrócę do domu, do siebie...

– Nie martw się – uspokajał ją – będzie dokładnie tak, jak tego chcesz. Zrobię wszystko, żebyś była zadowolona, Poppy.

Następną osobą, którą odprawiła, była pielęgniarka.

– Nie potrzebuję już opieki – zakomunikowała, kiedy Riccardo zaniepokojony zjawił się w Villa Castelletto. – A zresztą – dodała z tym chytrym, porozumiewawczym spojrzeniem – ona nie jest moją pielęgniarką. To moja gospodyni.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Masz rację, czas już ją odprawić.

W następnym tygodniu pojawiła się nowa „gospodyni”, lecz również ona długo nie zagrzała miejsca.

– Nie potrzebujemy wszystkich tych ludzi dokoła – szepnęła Poppy do Luchaya obserwując ją, jak maszeruje z walizką do bramy. – Będziemy zawsze razem, Luchay, zupełnie sami, tylko ty i ja. Dopóki Rogan nie wróci do domu.

Lato przeszło w jesień, jesień w zimę. Riccardo przyjechał na Boże Narodzenie samochodem wypełnionym po dach prezentami, owiniętymi w kolorowy, wesóły papier. Poppy ich nawet nie otworzyła. Nie chciała z nim rozmawiać. Siedziała cały dzień przed kominkiem, wpatrując się w ogień. Mimo to w dalszym ciągu odwiedzał ją raz na miesiąc.

Wieczorem Poppy jadła skromny posiłek, przygotowany przez kobietę, która przychodziła z wioski, i wypijała kieliszek wina. Potem wchodziła wolno po schodach do swego pokoju, siadała przy biurku i zaczynała pisać.

– Czasami pamiętam wszystko, Luchay – wyznała raz z żalem, patrząc na nagryzmołone własną ręką zdania – a czasami nic. Muszę spisać wspomnienia, żebym mogła je sobie przeczytać, jak zapomnę.

Następnym razem, kiedy powiadomiono ją o przyjeździe Riccarda, dołożyła wszelkich starań, by ładnie wyglądać. Włosy jej odrosły i znów były piękne i bujne, przetykane na skroniach siwizną. Umyła je i wyszczotkowała, aż lśniły, a potem upięła w wysoką fryzurę przy pomocy diamentowych gwiazdek. Długo grzebała w przepastnych szafach, które zawierały jej stroje, kupowane na przestrzeni ćwierci wieku. Wreszcie znalazła szarą atłasową suknię z różową szarfą, którą miała na

sobie pozując Sargentowi do portretu. Na szyi jak zawsze zapięła swoje perły. Zerwała jedną gardenię – Riccardo bez względu na porę roku przysyłał jej tuziny doniczek z tymi kwiatami.

Gdy przyjechał, stała opodal okna urządzonego z przepychem salonu i czekała na niego z przechyloną głową, z gardenią w ręku, z uśmiechem na ustach.

– Riccardo – powiedziała wyraźnie – chcę ci coś pokazać. Podejdz bliżej, kochany. Spójrz na mnie.

Luchay wiercił się podniecony na swoim drażku. Riccardo podszedł do niej wolno, z twarzą szarą jak jej suknia.

– O co chodzi, Poppy? – spytał. – Dlaczego tak się ubrałaś?

– Czy nie wyglądam teraz tak jak na portrecie, Riccardo? Kiedyś byłam tą kobietą, którą namalował Sargent. Ale teraz... widzisz tę bliznę na głowie, te czerwone, wypukłe ślady na szyi, na ramionach i całej ręce? Mam jeszcze inne blizny, o których nie wie nikt oprócz mnie. Widzisz, nie jestem już kobietą z portretu. Ona odeszła, Riccardo, odeszła na zawsze. Ten obraz bardziej przypomina Poppy z twoich myśli niż jej cień w podstarzałej, półobląkanej kobiecie... To wspomnienie jest prawdziwsze od rzeczywistości. Zatrzymaj je, Riccardo. Lecz dawna Poppy odeszła już na zawsze. Zwróciła ci wolność.

– Poppy! – krzyknął zrozpaczony. – Nie wiesz, co mówisz!

– O tak, kochany, dzisiaj wiem. Nie chcę, żebyś tu przychodził. Proszę, Riccardo. Pożegnaj się ze mną teraz, póki żyje jeszcze wspomnienie, jacy byliśmy kiedyś. A potem zostaw mnie mojej samotności i poplątanym myślom. Widzisz, ja już nikogo nie potrzebuję.

Riccardo pochylił się nad jej dłonią, a potem ze zdławionym okrzykiem wyszedł szybko z pokoju. Gardenia o białych płatkach spadła niepostrzeżenie na ziemię.

Po chwili Poppy przeszła wolno przez ozdobny czerwony i złoty salon, przez pusty marmurowy hol. Uniosła z gracją długie spódnice i idąc pod sklepieniem, malowanym w nimfy i kupidyny, weszła po wielkich schodach na górę i wróciła do swojej sypialni.

– Zostaliśmy tylko my dwoje, Luchay – rzekła wyczerpana. – I przeszłość, bo ta nigdy nie zostawi nas w spokoju. – Zmarszczyła brwi, a w oczach jej odmalowało się bolesne skupienie. – Pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia, niech no tylko przypomnę sobie, co to było...

Przypomniała sobie po jakimś czasie – czy było to po tygodniu, czy po roku? Nie wiedziała.

– Muszę napisać testament, Luchay – powiedziała, siadając do biurka. – O Rogana naturalnie nie muszę się martwić – dodała z ufnością – zajmie się wszystkim, gdy przyjedzie do domu. Ale muszę to napisać, dopóki pamiętam, bo wiesz, Luchay, czasami nawet zapominam, że mam córkę.

To moja ostatnia wola i mój testament – napisała swoim niepewnym pismem – spisany 4 listopada 1933. Wszystko, co posiadam, zostawiam mojemu dziecku. Nigdy jej nie widziałam, ale mam córkę. Angel Konstant Rinardi powie wam, kto to jest.

Na dole podpisała się wolno i starannie, lecz ręka jej drżała i na papierze został duży kleks.

– Och, i jeszcze wiadomość dla mojego syna! – krzyknęła, biorąc czysty arkusik.

Rogan – napisała – czasami zawodzi mnie pamięć, więc gdybym ci tego nie powiedziała przy spotkaniu, wiedz, że zapisałam wszystko w testamencie mojej córce. Nic nie wiedziałeś o jej istnieniu. Chcę mieć pewność, że twoja siostra również będzie zabezpieczona, ale ty się tym oczywiście zajmiesz.

– Jestem zmęczona, Luchay – westchnęła podchodząc wolno do dużego białego łóżka. – Jutro wezwiemy prawnika; damy mu to i wówczas będę mogła spać spokojnie, nie martwiąc się o przyszłość moich dzieci. Dostaną swoje dziedzictwo.

Rozdział 62

Gdy samolot linii Swissair podchodził do lądowania, zataczając koło nad Los Angeles, Mike spojrział na znajomą szachownicę eleganckich białych domów i niebieskich basenów, lśniących jak zwykle w promieniach słońca, i nieskończoną rzekę samochodów, pełną po szerokich autostradach, które stanowiły system

krwionośny miasta. Ostatnie dwa tygodnie spędził w Wenecji na ponownym nagrywaniu notatek na taśmę i analizowaniu zapisków, które zrobił w Villa Castelletto, myśląc gniewnie, że znów znalazł się w ślepym zaułku. Czy Poppy naprawdę zeszała do grobu nie ujrzawszy więcej Rogana? Nie dowiedziawszy się, kim była jej córka? A skoro tak, jak on ma się tego dowiedzieć?

Przypomniał sobie ironiczne spojrzenie Hilliarda Konstanta, gdy oznajmił staruszkowi z podnieceniem, co odkrył na strychu. „Niech pan się napije manzanilli – rzekł wtedy wesoło Hilliard – i opowie mi o swoim znalezisku”. Przewrotny staruch! Był synem Grega Konstanta, jedyną żyjącą osobą, która знаła Angel i trójkę jej dzieci, a mimo to utrzymywał, że nic o nich nie wie. Mike mógł iść o zakład, że stary od początku bawił się z nim w kotka i myszkę, j oddając mu wspaniałomyślnie do dyspozycji wielką, przypominającą mauzoleum bibliotekę i radząc, żeby sam odnalazł właściwy trop! Teraz znał niemal całą historię, a pewny był, że Hilliard zna resztę. I Przyjechał do Los Angeles, żeby ją z niego wyciągnąć.

Wrócił pamięcią do niedawnego spotkania z Lieberem w Genewie. Prawnik potwierdził, że Orlando nie dowie się, iż jest jednym z potomków Poppy, dopóki nie ustalą tożsamości jej córki i nazwisk pozostałych spadkobierców lub spadkobiercy, jeśli takowi w ogóle istnieli.

– Nie zapominajmy jednak, że kiedy powiemy panu Messengerowi, iż jest prawnikiem Poppy Mallory – nadmienił – musimy mu również zdradzić, kto był jego pradiadkiem. Riccardo Malvasi! Jeden z najbardziej osławionych szefów mafii z ubiegłego stulecia!

Mike pomyślał o Lauren Hunter, która może wciąż żywiła nadzieję, że jej przypadnie spadek. Myślał o niej często podczas ostatnich tygodni. Próbował dojść przyczyny. Nie była to litość. Lauren, która dzielnie stawiała czoło obowiązkom, była zbyt dumna, by budzić litość. Mike wierzył, że choć będzie jej ciężko, pokona wszystkie przeszkody, bo miłość była siłą napędową jej życia. Nigdy przedtem nie żywił do nikogo takich uczuć i, kiedy samolot dotknął pasa i pokołował w stronę

terminalu, podjął decyzję. Tym razem przeszłość i Poppy Mallory mogą poczekać. Niech się dzieje, co chce, on musi zobaczyć Lauren.

O czwartej po południu w restauracji „U Denny’ego” panował mały ruch. Mike dostrzegł ją od razu. Przyjmowała zamówienie od klienta, który przyszedł z dwoma małymi chłopcami. Uśmiechnęła się do nich przynosząc im poduszki, żeby mogli usiąść wyżej. Jej rudawoblond włosy były dzisiaj rozpuszczone, przytrzymały je po bokach dwa szylkretowe grzebienie. W krótkiej czarnej spódniczce i białej bluzce wyglądała ładnie i schludnie. Uśmiechnęła się ponownie, pogładziła po głowie jednego z malców i odwróciła się. Uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Serwus! – zawołała podchodząc do niego. – Co ty tu robisz?

– Musiałem przyjechać do Los Angeles, więc przyszedłem cię zobaczyć – odparł uczciwie Mike.

Zaczerwieniła się, ale widział, że jest zadowolona.

– Jeszcze raz dziękuję ci za tego misia – powiedziała. – Maria nie wypuszcza go z objęć.

– Chciałbym ją poznać. Z tego co mówisz, musi być fajną dziewczynką.

– Naprawdę chciałbyś? – spytała z radością Lauren, lecz potem się zachmurzyła.

– Chociaż właściwie... Wiesz, jak to jest... Maria ma swój rozkład dnia, a ja swój. To wszystko jest dosyć skomplikowane, opiekunki do dziecka i tak dalej.

– O której kończysz? – spytał Mike prosto z mostu.

– O czwartej trzydzieści, za pół godziny.

– W takim razie przyjdę po ciebie.

– No... dobrze – zgodziła się z wahaniem.

Dzień był słoneczny, lecz chłodny. Lauren zjawiała się w kurtce z czerwonego sztucznego misia.

– Gwiazdkowy prezent od siebie samej – powiedziała, gdy zaczął ją podziwiać.

Mike przypomniał sobie piękne, farbowane na zielono futerko Arii ze

strzyżonych bobrów, które słono kosztowało i za które, jeżeli nie była spadkobierczynią, Carraldo z radością wybuli z własnej kieszeni, i pomyślał, jak niesprawiedliwy jest los.

– Co dalej? – zagadnął.

– Muszę odebrać Marię od opiekunki.

– Świetnie. No to w drogę. Pojadę za tobą swoim samochodem.

Mieszkała w starym bloku bez windy w Studio City, niedaleko Ventura Boulevard. Mike wniósł na górę wózek Marii, Lauren niosła dziecko.

– Ładna z niej panna – zawołał, gdy dziecko uśmiechnęło się do niego ponad jej ramieniem.

– Najładniejsza w świecie – potwierdziła tonem absolutnej pewności.

Mieszkanie miało typowy rozkład: duży salon-jadalnia, a obok niego kuchnia oddzielona kontuarem.

– Poza tym jest tylko sypialnia i łazienka – poinformowała Lauren. – To wszystko. Ale na razie nam wystarczy, prawda, Mario? Chciałbyś napić się kawy, gdy ja będę jej przygotowywać kolację?

– Pewnie.

Usiadł na stolku przy kontuarze i patrzył na jej ruchy. Wyglądała lepiej, trochę przybrała na wadze, jakby zaczęła o siebie bardziej dbać. Dobrze jej z tym było. Byłaby śliczna, gdyby nie ta lekka zmarszczka zafrasowania między brwiami.

Maria pełzała na czworakach w kojcu i próbowała małych ząbków na zabawkach. Naprawdę była ślicznym dzieckiem, z tymi ciemnymi włosami i wielkimi niebieskimi oczami. Pochwyciła jego wzrok i uśmiechnęła się machając szmacianą lalką, trzymaną za nogę.

– Hej! – zawołał do niej. – Jak się masz, Mario? – Uśmiechnęła się do niego znowu. – W jakim ona jest wieku? – spytał, gdy Lauren postawiła przed nim filiżankę kawy.

– Niedługo skończy osiemnaście miesięcy.

– Jest śliczna. No więc, gdzie chciałabyś pójść na kolację? Kuchnia francuska,

włoska, chińska czy japońska?

Lauren roześmiała się wesoło.

– Skąd wiedziałeś, że dziś mam wolny wieczór?

– Nie wiedziałem – wyszczerzył zęby w uśmiechu – strzelałem w ciemno.

– Musiałabym zamówić opiekunkę do dziecka – rzekła z powątpiewaniem – i nie mam tak naprawdę nic eleganckiego, w co mogłabym się ubrać.

– Nie znoszę wytwornych strojów, chodzę tylko tam, gdzie wpuszczają w dzinsach.

Westchnęła, lecz wciąż uśmiechała się do niego.

– Masz bardzo dobre serce, Mike, wiesz o tym?

– Akurat! Jestem twardym, szczwanym dziennikarzem, pamiętaj.

– Pamiętam. Chciałam zapytać o Poppy, ale możesz mi o tym opowiedzieć przy kolacji.

Posadziła Marię w wysokim krzeselku. Mike przyglądał się, jak ją karmi. W zachowaniu dziecka było coś dziwnego, choć nie mógł tego sprecyzować. Coś jednak było nie tak.

– Lepiej pójde – powiedział. – Muszę zadzwonić w parę miejsc. Przyjechać po ciebie około wpół do ósmej?

– Świetnie, będę gotowa.

Poszli do francuskiej restauracyjki w Melrose, co wprawiło Lauren w taki zachwyty, że Mike'owi zrobiło się ciepło na sercu. Dziewczyna była ubrana w prostą granatową sukienkę z dżerseju, ściśniętą szerokim skórzanym paskiem, który uwydatniał wąską talię. Jej długie puszyste włosy opadały miękką falą, a szarzielone oczy podkreślał skromny makijaż.

– Nie możesz sobie wyobrazić, co to dla mnie za frajda – wyznała szczerze. – Od dnia urodzin Marii nie byłam jeszcze w takim ładnym miejscu.

Zauważył, że nie powiedziała: „po śmierci mamy”, lecz: „od dnia urodzin Marii”. Lauren miała pozytywne nastawienie do życia. Mike żywił nadzieję, że to pomoże

jej zwalczyć rozczarowanie, gdy dowie się, że nie ona dziedziczy spadek. Słuchała zafascynowana opowieści o losach Poppy Mallory.

– Biedna Poppy – powiedziała w końcu – wszystko w jej życiu układało się na opak. Jakie jest zakończenie?

– Jeszcze nie wiem – westchnął – ale chyba znam kogoś, kto wie. Po to właśnie przyjechałem znów do Kalifornii. Jutro mam się z nim spotkać. Ale widzisz, Lauren, obawiam się, że w tej chwili nie ma już nadziei, że jesteś spokrewniona z Poppy. To nazwisko, Mallory, to chyba zwyczajny zbieg okoliczności.

– I tak zbytnio na to nie liczyłam – oświadczyła otwarcie. – Prawdopodobieństwo było mniej więcej takie samo, jak szansa wygrania w Las Vegas. Mam nadzieję, że pieniądze dostanie Aria. Wygląda na to, że są jej bardzo potrzebne.

– Nie bardziej niż tobie – odparł myśląc o dziecku. – Lauren, co jest Marii?

Upuściła widelec.

– Co masz na myśli? – spytała nerwowo.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

– Coś z nią jest nie tak, prawda? Mnie możesz powiedzieć.

Lauren spojrzała na ich złączone dłonie, a potem na niego. W jego oczach wyczytała zrozumienie i poczuła, że może mu zwierzyć swój sekret.

– Nie wiem dokładnie, co to jest – powiedziała cicho. – To chyba coś z głową. Widzisz, gdy się do niej zwracasz, ona nie reaguje tak jak inne dzieci i nie próbuje mówić. Większość dzieci w jej wieku umie już powiedzieć „mama” i „tata” i uczy się nowych wyrazów, a Maria milczy jak zaklęta.

Teraz wiedział, co go podświadomie nurtowało: przez cały czas jego wizyty dziecko nie wydało żadnego dźwięku.

– Jak starasz się temu zaradzić?

– Nijak. Bałam się do tego przyznać, nawet przed sobą, śniło mi się to w nocnych koszmarach. Jesteś pierwszą osobą, której o tym mówię – dodała. Łzy stanęły jej w oczach. – Boję się, że mi ją zabiorą i zamkną w zakładzie opieki społecznej. Nie mam pieniędzy na kuracje ani lekarzy, więc po prostu odwlekam ten dzień, jak się

da. Nie mogę jej stracić, Mike, po prostu nie mogę! I Maria jest wszystkim, co mi zostało. – Spojrzała na niego prosząco. – Pewnie masz zamiar mi powiedzieć, że robię błąd, ale chyba nikomu nie wyrządzam tym krzywdy, w końcu ona jest tylko dzieckiem.

– Na pewno jej w żaden sposób nie skrzywdziłaś, lecz w pewnej chwili dla dobra Marii trzeba się dowiedzieć, co jest nie tak i czy można jej pomóc.

Lauren spuściła głowę. W palcach nerwowo skręcała papierową serwetkę.

– Wiem – westchnęła cichutko. – Po prostu trudno samej sobie z tym poradzić.

– Słuchaj – rzucił czując, że serce w nim mięknie na widok jej bezradności – dowiem się nazwiska najlepszego lekarza, który powinien ją obejrzeć. Umówię cię na wizytę, on ją zbada, może zrobi parę testów... wtedy przynajmniej będziesz wiedziała, co jest nie tak. Z wielką przyjemnością sam zapłacę za wizytę. Naprawdę, Lauren.

Spojrzała na niego z wahaniem: z jednej strony możliwość badania u kompetentnego specjalisty była kusząca, z drugiej Lauren wzdragała się przed poznaniem prawdy, która mogła okazać się zbyt straszna do zniesienia. Lecz jeśli w grę wchodziło dobro Marii, powinna myśleć o niej, nie o sobie.

– Nie mogę się na to zgodzić – odpowiedziała szybko na ofertę zapłaty – to byłoby nie w porządku.

– Sprawa jest postanowiona i nie masz tu nic do gadania. To będzie prezent ode mnie na jej urodziny.

Uśmiechnęła się.

– Jeszcze daleko do urodzin Marii.

– Więc udawajmy, że są tuż-tuż. – Uścisnął jej rękę, chcąc dodać dziewczynie otuchy. – Jutro do ciebie zadzwonię w sprawie wizyty u lekarza, a potem wybywam do Santa Barbara i na ranczo Santa Vittoria, żeby wydusić prawdę ze starego Hilliarda.

Hilliard postarzał się w ciągu tych trzech miesięcy, które minęły od ich ostatniego

spotkania.

– Nic mi nie jest, czuję się świetnie – zachnął się na pytanie o zdrowie z jeszcze większą irytacją, niż Mike się spodziewał. – Cóż sprowadza pana w moje progi? Pewnie chce mi pan oznajmić, że odnalazł spadkobierczynię Poppy Mallory? – Kiedy nalewał dwie szklaneczki manzanilli, po jego twarzy przemknął złośliwy uśmiech. – Muszę przyznać, że brakowało mi pana, młody człowieku. Przyzwyczailem się do pana obecności, gdy siedział pan w bibliotece zaczytany w książkach.

– Mam wrażenie, że gdyby pan chciał, mógłby zaoszczędzić mi wiele czasu – odrzekł obcesowo Mike.

– Pewnie to właśnie panu zawdzięczam ściągnięcie mi na głowę tej okropnej Włoszki? Żony Paola Rinardiego?

– Ach tak, Franceski. – Mike uśmiechnął się szeroko, wyobrażając sobie ich dwoje popijających wspólnie sherry. – Ale za to poznał pan Arię.

– To miła dziewczyna – przyznał Hilliard z namysłem. – Jakie to dziwne... pomyśleć, że jednak mam jeszcze jakąś rodzinę. Wcześniej nie bardzo mnie to interesowało i nigdy zbytnio nie dbałem o włoską linię. Oczywiście, Aria jest wnuczką Marii-Krystyny, też ładna jak ona, chociaż wątpię, czy ma podobny temperament. Nie wygląda mi na takiego rozhukanego narwańca.

– Myślałem, że nie pamięta pan Marii-Krystyny – wypalił Mike.

Bładoniebieskie oczy Hilliarda zmrużyły się chytrze.

– Cóż, wie pan, jak to jest. Są dni, kiedy pamięć mi dopisuje, a kiedy indziej znowu słabnie. Skleroza to przekleństwo starczego wieku.

– Dobrze, dobrze. Zabawmy się w godzinę szczeroci. – Mike odstawił szklaneczkę i obrócił się twarzą do gospodarza. – Powiem panu szczegółowo wszystko, czego dowiedziałem się o Poppy, a pan opowie mi, co wie. Absolutnie wszystko! Umowa stoi?

Hilliard wypił sherry do dna i zatarł radośnie ręce.

– Wal pan! Nie mogę się doczekać.

Wysłuchał uważnie relacji Mike'a, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Chwilami kiwał głową, jakby opowiadany epizod pokrywał się z jego wspomnieniami.

– Jak więc pan widzi – zakończył Mike – znów znalazłem się w ślepym zaułku. Wiem, że jedna z córek Angel była naprawdę córką Poppy, tylko wciąż nie wiem która. Sądzę jednak, że pan wie.

– Nigdy nie słyszałem o jej synu, Roganie – odrzekł powoli Hilliard. – Czy to znaczy, że ktoś jeszcze ubiega się o ten spadek?

– Tak, i jego roszczenia są słuszne. To prawnuk Poppy.

– Nie miałem też pojęcia o domu pod numerem 16 i całej tej historii – dodał Hilliard. – Jestem pewny, że mój ojciec i Angel też o tym nie wiedzieli. Prawda, że Angel wiedziała o tym szefie mafii. Nie szczegóły, tylko tyle, co z gazet. Słyszałem, jak mówiła to jednej z córek... chyba Marii-Krystynie.

– A dlaczego właśnie Marii-Krystynie? – spytał Mike cicho. – Czy to ona była córką Poppy?

– Niech mi pan nie wmawia, że pan jeszcze sam do tego nie doszedł. – Hilliard znów uśmiechnął się złośliwie. – Jak dotąd radził pan sobie całkiem nieźle. A zresztą czemu miałbym panu to powiedzieć? Tylko po to, żeby jakaś zachłanna awanturka mogła położyć łapkę na pieniądzech Poppy?

– Pyta pan dlaczego?! – krzyknął Mike gniewnie. – Dlatego że te pieniądze leżą teraz odłogiem, bezużyteczne, podczas gdy mogłyby stać się czymś wybawieniem! Dla jednej z tych osób znaczą one dużo możliwość kształcenia, miłość, wolność! I nie ma prawa jej z tego obdzierać jakiś samolubny starzec! Niech pan posłucha, jedna osoba już nie żyje, a życie pozostałych wisi na włosku...

Hilliard spojrział na niego wstrząśnięty.

– Nie żyje! – powtórzył. – Kto z nich? Chyba... nie Aria?

– Nie, ale i jej grozi niebezpieczeństwo. Żarty się skończyły – dodał twardo Mike. – Musi pan powiedzieć mi prawdę.

Hilliard przygarbił się w fotelu. Opuściła go cała buńczuczność i figlarny nastrój;

nagle przybrał wygląd steranego wiekiem starca. Ręka mu się trzęsła, gdy nalewał sobie następną porcję trunku.

– Dobrze. Skoro to takie ważne, powiem panu, co wiem.

Przez chwilę sączył w milczeniu sherry, porządkując myśli.

– Najlepiej będzie, jeśli zacznę od tego, skąd wiem. Angel spędziła tu, na ranczu, ostatnie lata życia. Zawsze nienawidziła Włoch. Przywodziły jej na myśl złe wspomnienia, chociaż jej córki spędzały tam dużo czasu. Zwłaszcza Helena, która wreszcie wyrwała się spod opieki matki. Maria-Krystyna wiecznie była w podróży. Zmieniała kraje równie często jak przyjaciół, ale jej syn, Paolo, wychował się we Włoszech; opiekowała się nim ta staruszka, o której pan opowiadał, Fiametta, piastunka Arii.

Kiedyś – to chyba było w 1939 roku – przyjechałem z wojska na urlop do żony i małego synka. Angel skarżyła się na ciężkie przeziębienie, z którego nie mogła się wygrzebać. Nieoczekiwanie wywiązało się zapalenie płuc. To była piękna kobieta, naprawdę piękna, nawet wtedy, gdy miała prawie sześćdziesiąt lat. Ale nagle zgasło w niej jakieś wewnętrzne światło, jakby ktoś zdmuchnął lampę. W ciągu paru dni pomarszczyła się i zestarzała. Skojarzyło mi się to z kobietą z książki, którą wówczas czytałem – „Utracony horyzont”. Pamięta pan, jak ta kobieta zeszcła i rozsypała się w kurz, gdy kochanek zabrał ją z zaczarowanej doliny Shangri-la? Tak właśnie wyglądała Angel.

Któregoś razu powiedziała tym swoim czystym, słodkim głosem: „Powiedz Gregowi, że chcę się z nim widzieć, dobrze?” Poszedłem po ojca i pamiętam niepokój w jego oczach, gdy zawołałem go od strzyży. „Czy jest z nią tak źle?” – spytałem. Skinął głową. „Całkiem kiepsko, synu – odparł ponuro – ale wciąż nie chce iść do szpitala”.

Hilliard zamilkł i na chwilę zatopił się w myślach.

– Nie wszedłem z nim do pokoju – podjął. – Zrozumiałem, że chodziło o jakieś ich prywatne sprawy. Ale ojciec niedokładnie zamknął drzwi, za którymi czekałem w korytarzu, a głos Angel zawsze był czysty i donośny, więc słyszałem wyraźnie jej

słowa:

„Greg, chcę powiedzieć ci o Poppy. To może być ostatnia na to chwila i myślę, że powinieneś poznać prawdę”.

„Nie opowiadaj mi tu o ostatnich chwilach, Angel, to niemądre” – odparł ojciec karcącym tonem, którego używał wobec nas, gdy byliśmy dziećmi.

„Musisz mnie wysłuchać, Greg!” – wykrzyknęła i w jej głosie zabrzmiała panika.

„Ale ja naprawdę nie chcę wiedzieć – rzekł ojciec. – To już przeszłość i lepiej, żeby została zapomniana”.

„Skłamałam przed tobą i wszystkimi i przed śmiercią chcę oczyścić sumienie. Usiądź przy mnie, Greg, i słuchaj”.

Usłyszałem szuranie krzesła i skrzypnięcie, gdy usiadł, a wtedy odkryła mi całą prawdę o Poppy i swoim mężu, Felipe. Mój ojciec wysłuchał jej bez słowa, a gdy skończyła, powiedział:

„Angel, wolałbym, żebyś mi tego nie mówiła”.

„Musiałam, miałeś prawo wiedzieć. Widzisz, wiedziałam, że pewnego dnia ona wróci po swoją córkę, a gdy wreszcie do mnie przyszła, nie chciałam powiedzieć, która jest jej”.

„Nie chcę o tym wiedzieć! – Poznałem, że ojciec płacze. – Proszę, nie mów nic więcej. Dla mnie one obie są twoimi córkami i niech tak zostanie. Nie chcę nawet myśleć o Poppy”.

Nastąpiła długa cisza, a potem Angel przemówiła:

„Muszę ci wyznać jeszcze jedną rzecz i tym razem to moja wina. Tylko i wyłącznie moja. Wiesz, że zawsze za bardzo chroniałam Helenę. Była takim słodkim maleństwem, zawsze uśmiechniętym... i gdy odkryliśmy, że jest głucha, nie mogłam znieść myśli, że inne dzieci będą z niej drwić i się wyśmiewać, więc objęłam kontrolę nad całym jej życiem. Odpowiadałam za nią, nigdzie jej od siebie nie puszczałam. Pamiętasz guwernantki i pielęgniarki? Wszystko było dobrze, póki była dzieckiem, ale w końcu dorosła i do głosu doszła jej kobiecość i uczucia. Nic nie wiedziała o mężczyznach ani miłości – już ja się o to postarałam. Jedynym

miejszem, w którym zostawiałam Helenę samą, był gabinet lekarza, specjalisty laryngologa w San Francisco. Odprawdzałam ją tam i szłam na zakupy. Doktor Barton leczył ją od lat, od czasu naszego przyjazdu z Włoch. Operował ją raz, lecz bez wielkiego powodzenia. Był po czterdziestce, żonaty, miał dzieci. Kiedyś musiałam pojechać do Nowego Jorku, żeby wyciągnąć Marię-Krystynę z jakiejś kolejnej kabały, i rzecz jasna nie mogłam wziąć Heleny ze sobą. Została tutaj. Pierwszy raz miała pojechać na wizytę sama, chociaż naturalnie wynajęłam jej wóz z szoferem. Doktor Barton był bardzo przystojnym mężczyzną, a Helena prześliczną dziewczyną.

Nigdy nie dostrzegałam jej urody, bo dla mnie pozostała dzieckiem, ale Barton zwrócił na to uwagę, a ta biedaczka się zakochała. Nie wiedziała nawet, co to jest »miłość«... Była niewinna jak dziecko, które robiłam z niej na siłę przez całe życie! Moja nieobecność trwała dłużej, niż się spodziewałam, prawie dwa miesiące. Gdy wróciłam, zauważyłam, że Helena jest inna, jakaś tajemnicza... a nieco później dostrzegłam coś jeszcze. Zabrałam ją do ginekologa i on potwierdził, że Helena jest w ciąży. Płakała, gdy jej o tym powiedziałam – nie rozumiała, jak to się stało. Miała mentalność dziesięcioletniej dziewczynki. »Ja nie chcę dziecka, mam – powtarzała – chcę tylko Jamesa«. Jamesa Bartona, który tak ją wykorzystał!... Wywiozłam ją do Arizony. Powiedziałam wszystkim, że to wyjazd dla zdrowia, tam urodziła dziecko. Biedna dziewczyna ledwo wiedziała, co się dzieje. To było dla niej straszne, Greg. Mimo że z chęcią zamordowałabym Bartona, nic nie mogłam zrobić. Zadzwoiłam tylko do niego i kazałam trzymać się od niej z daleka. Nie powiedziałam mu nic o dziecku. Oddałam je do adopcji i zgłosiło się po nie jakieś małżeństwo. I taki był koniec: wszystko przeszło, jakby nigdy się nie zdarzyło.

Zabrałam Helenę do Włoch na rok czy dwa, żeby łatwiej zapomniała o Bartonie i o dziecku. Niestety, od tamtej pory zaczęłam ją traktować jak prawdziwą inwalidkę, rozpieszczając i czuwając nad nią na każdym kroku, gdy wcale tego nie potrzebowała. Stopniowo zaczęła wchodzić w rolę. Przestała mówić prawie na rok, a gdy zaczęła znowu, mówiła takie dziwaczne rzeczy... Wiedziałam, że nie jest

upośledzona umysłowo, ale nie była już »normalna«. Przez swoją głupią, niepohamowaną miłość zrobiłam z niej kalekę zupełnie tak samo, jakbym upośledziła ją fizycznie. Nigdy nie miałam dosyć rozsądku, żeby dać jej spokój i dlatego zawsze w świecie dorosłych pozostanie naiwnym dzieckiem”.

Angel płakała i kaszłała, a mój ojciec próbował ją uspokoić.

„Te wspomnienia tylko cię rozstrajają” – mówił.

„Helena zapomniała o dziecku – ciągnęła Angel – a przynajmniej tak myślę. Nigdy o nim nie wspomina i chyba to wszystko wydaje jej się złym snem. Mam kopię aktu adopcji i nazwisko tych ludzi. Oczywiście od tamtej pory nigdy ich nie widziałam. Ale przechowałam dokument przez te wszystkie lata w mojej ulubionej książce w bibliotece. Jest tam też list, który wyjaśnia pochodzenie Marii-Krystyny i Heleny. Chcę, żebyś o tym wiedział, Greg, gdyby okazał się potrzebny, jak mnie już nie będzie”.

„Nie chcę nic wiedzieć! – powiedział ojciec. Pamiętam, że niemal krzyczał. – Zostaw list tam, gdzie jest, Angel. Nie ma już znaczenia. Dla mnie one obie są twoimi córkami i takimi na zawsze pozostaną!”

Angel znów dostała napadu kaszlu. Gdy minął, powiedziała:

„Cóż, Greg, wiesz, gdzie jest list. Musiałam ci to wszystko powiedzieć, żebyś wiedział o Helenie i się nią opiekował po mojej śmierci”.

Oboje płakali, więc pomyślałem, że lepiej się tam nie kręcić. Obserwowałem później ojca, żeby sprawdzić, czy pójdzie do biblioteki poszukać tej książki, ale o ile wiem, nigdy tego nie zrobił. Angel została zabrana do szpitala i w dwa tygodnie później zmarła na zapalenie płuc. – Hilliard westchnął ciężko. – Nigdy nie widziałem ojca tak zmartwionego. Był dosłownie zdruzgotany. Ale mimo to nie zajrzał do książki.

– A pan zajrzał? – spytał Mike.

Starzec skinął głową.

– Oczywiście. Nie przywiązywałem wprawdzie do tego większej wagi. Nigdy nie znałem Poppy Mallory ani męża Angel, Felipe. – Podjechał fotelem do półek i wyjął

antologię poezji Keatsa. – Sam pan widzi – dodał z dawnym złośliwym grymasem – że nie wprowadziłem pana na fałszywy trop. Gdyby pan dobrze szukał, sam by pan to znalazł.

– To by potrwało lekko licząc dziesięć lat, i pan dobrze o tym wie – odgryźł się Mike patrząc na kopertę, wyłaniającą się spomiędzy kartek.

– Proszę. – Hilliard podał mu kopertę. – To jest pana odpowiedź. I na guzik się ona panu przyda!

Papier był kruchy ze starości i rozłaził się na zgięciach. Mike ostrożnie rozłożył arkusik. Przeczytał słowa napisane ręką Angel i spojrział na Hilliarda.

– Helena? – spytał zaskoczony.

– Helena! – potwierdził Hilliard z triumfem. – Jak pan widzi młody człowieku, znów pan wrócił do punktu wyjścia. Wciąż pan nie wie, kto jest pańską spadkobierczynią!

Rozdział 63

Biała mgła wisiała tuż nad wodą Canale Grande. Chwilami rozstępowała się, przepuszczając promienie bladego słońca. Wtedy widać było niewyraźne zarysy wysp Giudecca i San Giorgio, które jakby unosiły się w chmurach. Potem znów zakrywał je biały тумan.

Pierwszy dzień weneckiego karnawału – ludzie przebrani już byli w kostiumy, choć prawdziwa zabawa miała zacząć się dopiero wieczorem. Maschereri, rzemieślnicy robiący słynne weneckie maski, pracowali od świtu do nocy nad wyrobem *bauta*, lśniących białych lub czarnych masek z *papier-mache*, które zakrywały całą twarz, zostawiając tylko szpary na oczy. Inne były bardziej ozdobne – przybrane piórkami i noszone z kapturami z kitą, koronkowe, usiane sztucznymi diamentkami, złote w kształcie papuziego dzioba, porcelanowe z naiwnymi buziemi lalek. Lecz tradycyjne *bauta*, noszone z długą czarną peleryną i czarnym kapturem, na który zakładało się trójgraniasty kapelusz, zapewniały największą anonimowość.

W Palazzo Rinardi wszystko lśniło i błyszczało: marmurowe posadzki,

wypolerowane drewno mebli, srebrne okucia i kryształowe szyby. Robotnicy stojący na rozstawianych drabinach wkładali do olbrzymich kandelabrow setki świec, a zespół dwunastu kucharzy, który objął w posiadanie kuchnię Fiametty, przygotowywał wykwintne potrawy na wieczorne przyjęcie. Francesca, jak królowa wśród pospólstwa, rzucała sprzeczne polecenia i ogólnie rzecz biorąc, doprowadzała wszystkich do stanu wrzenia, podczas gdy Aria przytąiła się w swoim pokoju przy telefonie i modliła się w duchu, żeby zadzwonił.

Miała chęć znowu nakręcić numer pensjonatu Orlanda, ale od powrotu ze Stanów dzwoniła już tam tyle razy, że duma jej na to nie pozwalała. Osoby, które podnosiły słuchawkę, informowały ją cierpliwie, że signore już wrócił, lecz jest nieobecny. Tak, przekażą wiadomość o jej telefonie. A Orlando wciąż się nie odzywał. Ostatni raz rozmawiała z nim jeszcze przed świętami. Powiedziała mu wtedy, że Carraldo zabiera ją do Los Angeles. Wiedział z pewnością, że nie jedzie z własnej woli; przecież nie miała wyboru. Gdy zaś się tam znaleźli, zdawało się, że Carraldo nigdy nie zdecyduje się na powrót. Matce również nie było do tego spieszo, zbyt wielką przyjemność sprawiało jej odgrywanie wielkiej damy w bogatym, wytwornym towarzystwie. „Nikt nie powie, że Francesca Rinardi nie wywarła wrażenia na Hollywood!” – stwierdziła chełpliwie, kiedy wreszcie, kilka dni temu, nadeszła pora wyjazdu. Przyjechała obładowana nową garderobą, w której najważniejszym nabytkiem była suknia na dzisiejsze przyjęcie – długa powłóczysta toaleta z białego jedwabnego szyfonu, cała naszywana srebrem i paciorkami. Zaprojektował ją specjalnie dla niej Bob Mackie, król hollywoodzkich projektantów mody. Do sukni dobrana była maska, przybrana kitkami białych, przyprószonych kryształowym pyłem piór, z otworami na oczy również okolonymi iskrzącymi smugami małych kryształków.

To przyjęcie miało być triumfem Franceski, toteż zamierzała wyglądać olśniewająco. Arię cała ta gala i trzystu zaproszonych gości wprawiało w czarną rozpacz. Dzisiaj miały być ogłoszone jej zaręczyny. Co gorsza, Carraldo zapowiedział jej już, że chciałby – o ile ona nie ma nic przeciwko temu – aby ślub

odbył się jak najszybciej.

– Oczywiście wyrazisz zgodę – oświadczyła jej stanowczo Francesca. – To twój obowiązek. Carraldo i tak wykazał anielską cierpliwość... i ja też.

Aria pojęła, że spory nie mają sensu. Czekwała z podjęciem dalszych kroków, aż wróci do Wenecji i Orlanda. W nocy leżąc bezsennie snuła gorączkowe plany. Uciekną razem, jeśli okaże się, że Mike potrzebuje dłuższego czasu, by ustalić ostatecznie, iż spadek należy do niej. Ona znajdzie sobie pracę. Orlando nie będzie musiał się o nic martwić, może malować od rana do nocy. A gdy ona w końcu dostanie pieniądze Poppy, da mu wszystko, czego dusza zapagnie. Wiedziała że kiedyś jej się za to odwdzięczy zostając wielkim artystą.

Telefon zadzwonił nagle. Chwyliła słuchawkę, omal nie upuszczając jej z pośpiechu.

– *Pronto?* – szepnęła.

– Aria? Mówi Mike.

– Mike! Co się z tobą działo? Już tak dawno nie dawałeś znaku życia. Czy wszystko dobrze idzie?

– Taaak, wszystko gra – odparł. Przykro było mu ją oszukiwać, ale nie mógł łamać zaleceń Liebera. Rozstrzygnięcie sprawy spadku spoczywało teraz w rękach prawnika. Jego rola ograniczała się do dostarczenia brakujących danych, aspekty prawne i oficjalne zawiadomienie legalnych spadkobierców majątku Poppy należało do Liebera.

– Zostało mi już mało czasu, mam nóż na gardle – mówiła Aria niespokojnie. – Nie wiesz, co tu się dzieje... Mama z Carraldem wydają dzisiaj wielki bal karnawałowy i ogłoszą na nim nasze zaręczyny! Jak tylko wróciłam, próbowałam się dodzwonić do Orlanda, ale obawiam się, że on ciągle jest na mnie zły...

– Chwileczkę, nie wszystko naraz – wtrącił szybko Mike. – Słuchaj, jestem w Palazzo Gritti, może wpadłabyś tu do mnie? Pogadamy spokojnie.

– Chciałabym – odparła żałośnie – ale mama pilnuje mnie jak Ceber. O trzeciej przyjeżdża z Rzymu fryzjer, by ułożyć nam włosy. Ma przywieźć ze sobą

kosmetyczkę, która zrobi nam makijaż. Szykują mnie jak dziewicę wleczoną na ołtarz ofiarny! – dodała z goryczą. – Ale co mogę poradzić? Mama powiedziała, że to mój obowiązek. Och, Mike, jaka szkoda, że jeszcze nie odkryłeś, kim była córka Poppy. Proszę, powiedz, że już wiesz, a wówczas nie będę musiała brać udziału w tym cyrku.

– Jeszcze nie jestem pewny – wykręcił się, żalując, że nie może powiedzieć jej całej prawdy.

– Ciągłe szukasz? To dla mnie okropnie ważne. Gdybym dostała teraz pieniądze Poppy, oddałabym prawie wszystkie mamie i uciekłabym z Orlandem. Jemu potrzeba kogoś, kto by o niego dbał. Widzisz, artysta nie zarabia wiele, dopóki nie wyrobi sobie nazwiska, a to może trwać bardzo długo. Pracowałabym na nas oboje.

– Nie martw się o Orlanda – poradził z przekąsem Mike. – Już on nie zginie.

– Tak, masz rację – jęknęła – ale co ze mną? Dzwoniłam do niego ze sto razy, a on się nie odzywa. Nie mogę uwierzyć, że już go nie obchodzę, po tym co było między nami. Po prostu się wkurzył, wcale mu się nie dziwię. Pomyśl tylko, jak musiał się poczuć, gdy odfrunęłam sobie, jakby nigdy nic, razem z Carraldem do Los Angeles, zostawiając go tu samego na święta...

Mike westchnął.

– Domyślam się, że on nie jest zaproszony na ten bal?

– Jasne, że nie! Podejrzewam nawet, że mama przekonała Carralda, żeby go wylał z posady, więc nie będzie już dawał mi lekcji. Ale ty jesteś zaproszony – dodała. – Zapraszam cię teraz. Chociaż sama nie wiem, czy tam będę.

– A gdzie będziesz? – spytał z nagłym niepokojem.

– Och, czyja wiem? Nie mam gdzie pójść. Bez Orlanda nie wiem, gdzie się obrócić, dokąd uciec... – W jej głosie brzmiał spokój i rzeczowość prawdziwej rozpaczycy, co wzbudziło w Mike’u złe przeczucia.

– Nie rób żadnych głupstw, Ario. Będę u was dziś wieczorem i wtedy porozmawiamy.

– Przyjdź o dziesiątej. Aha, i przebierz się, bo to bal maskowy.

„Dziwne – myślał Mike, przebierając się w pospiesznie kupione atlasowe spodnie pod kolana, brokatowy surdut i pantofle z wielkimi klamrami – że właśnie prawdziwy spadkobierca jest jedyną osobą, z którą dotychczas nie rozmawiałem”. Nie znając Orlanda nie wiedział, dlaczego Aria tak się w nim zadurzyła. Jak do tej pory słyszał o nim tylko relacje z drugiej ręki. Nigdy też nie widział drugiego wielbiciela Arii, Carralda, rozmawiał z nim tylko przez telefon. Pomyślał o długiej rozmowie, jaką odbył z nim po południu. Miał nadzieję, że postąpił właściwie.

Włożył czarną aksamitną maseczkę i spojrzał w lustro. Wyglądał jak szesnastowieczny arystokrata, nie miał tylko pudrowanej peruki, bo tak daleko nie miał zamiaru się posunąć. Zarzucił na ramiona czarną pelerynę, włożył trójgromny kapelusz i postanowił w drodze do Palazzo Rinardi wpaść na jednego do „Baru Harry’ego”.

O zachodzie słońca mgła zgęstniała. Wielką ławicą spadła na miasto jak gruby szary koc, zacierając żywe kolory karnawałowych strojów, tłumiąc śmiech i muzykę. Na drzewach mżyły światłem kolorowe lampki, odświeżone przybrane gondole sunęły cicho przez biały opar z ładunkiem Poliszyneli, Arlekinów, egzotycznych, błyszczących od klejnotów dam w powłóczystych różnobarwnych sukniach z tiulu i atlasu, jaskrawych tropikalnych ptaków i lśniących, bajkowych stworów z innych planet. Dzisiejszej nocy Wenecja była miastem iluzji i spowita w płaszcz mgły, zdawałoby się, odtwarzała obraz przeszłości.

Luchay siedział przycupnięty na swoim drążku w holu, podobnie jak wiele lat temu w domu pod numerem 16. Aria stała u szczytu marmurowych schodów, by wraz z matką i Carraldem witać gości. Miała na sobie długą siedemnastowieczną suknię z aksamitu koloru czerwonego wina i wspaniałą naszyjnik z rubinów i diamentów, który Carraldo ofiarował jej w prezencie tego wieczoru. Srebrna maseczka ukrywała rozpacz w jej oczach. Carraldo wziął ją za rękę i uśmiechnął się, by dodać dziewczynie odwagi. Był ubrany w kopię kostiumu z obrazu Van Dycka wiszącego w Ca’ d’Oro i w oczach Arii wyglądał przez to jeszcze bardziej złowrogo.

Francesca, przypominająca lodową statwę w iskrzących kryształowych paciorkach i diamentach, była w swoim żywiole. Wreszcie osiągnęła swój życiowy cel i dziś czuła się jak królowa Wenecji! Migoczące płomyki świec w wielkich kandelabrach i lampy na udekorowanym różami podeście rzucały blask na gości, którzy napływali tłumnie do pałacu przy dźwiękach kwartetu smyczkowego, grającego utwory Vivaldiego, Haendla i Albiniego. W każdym z dwóch pomieszczeń, przeznaczonych na podawanie drinków, czekał wynajęty pianista, a w dawno nie używanej sali balowej orkiestra stroiła instrumenty. Bal miał się zacząć po kolacji.

Pierluigi Galli, nie do rozpoznania w masce, czarnym kapturze i kapeluszu, wysiadł z gondoli, która przybiła do chodnika przed pałacem. Zziębnięty, otulił się ciasniej czarną peleryną, i czekał, aż łódź opuszczą wszyscy wystrojeni goście. Dołączył do nich niepostrzeżenie, gdy wchodzili do środka, w panującym zamieszaniu starszy lokaj, który sprawdzał zaproszenia, nie zauważył, że weszła jedna osoba więcej.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła Francesca, gdy schylił się w niskim ukłonie nad jej ręką – nikogo nie mogę dzisiaj rozpoznać, te przebrania są zbyt dobre! Lecz pana incognito wyda się przy kolacji. Każdy ma miejsce oznaczone karteczką z jego nazwiskiem i wtedy dowiemy się, kim pan jest!

Pierluigi ledwo się uśmiechnął. Nie miał zamiaru zostawać na kolacji.

Uśmiechnijże się, Ario! – syknęła Francesca. – Zobacz, to Mike. Powinieneś mieć perukę – dodała karcąco do nowo przybyłego – albo chociaż kaptur.

– Świetnie wyglądasz – pochwaliła go Aria – dobrze ci w tych krótkich spodniach. Czy możemy porozmawiać? – dodała szeptem, gdy ją pocałował w policzek. – Wyrwę się, jak tylko będę mogła. Spotkamy się w salonie.

– Orlando nie zadzwonił! – rzuciła w pół godziny później. – Co mam robić? Chyba zaryzykuję jeszcze jeden telefon do niego.

– Nie! – krzyknął Mike ostro. – Tylko nie to!

– Wiem, że to nie wypada – jęknęła. – Dziewczyna nie powinna uganiać się za

chłopcem. Ale zrozum, ja go kocham i po prostu wiem, że nie zniosę tych zaręczyn!

– Ario! – dobiegł ich głos Franceski. – Chodź tutaj i przywitaj się z contessą Mifori...

– Pomówimy później. – Aria westchnęła z rezygnacją.

Mike postanowił mieć ją na oku. Nie sposób było przewidzieć, co zrobi w tym stanie. Gdyby mógł jej powiedzieć, że to ona jest spadkobierczynią! Wszystko stałoby się o wiele prostsze...

– Dobry wieczór, panie Preston – przerwał jego rozmyślania Carraldo. – Wreszcie się spotkaliśmy i mogę osobiście wyrazić wdzięczność za zaufanie, jakim mnie pan obdarzył. Chyba pan teraz rozumie, dlaczego to było konieczne? – Spojrzenie jego ciemnych, posępnych oczu, na wpół ukrytych za maską, zatrzymało się na twarzy Mike'a.

– Cieszę się, że mogłem panu pomóc – odpowiedział Mike rzeczowo. – Żałuję, że nie dowiedziałem się wcześniej o okolicznościach...

– Niestety, nikt z nas nie może cofnąć czasu. Ale teraz pańska praca dobiegła końca i może pan się odprężyć. Pozwoli pan, że ja sam zajmę się resztą.

Przyjęcie nabierało rumieńców. Szampan płynął strumieniami, kolacja była wspaniała, a obsłudze nic nie można było zarzucić. Francesca posadziła Mike'a przy dziewczynie o ponętnych kształtach, której urody domyślał się pod złotą maską. Miała zmysłowy głos i mówiła po angielsku z zabawnym włoskim akcentem. Bawił się tak dobrze, że nie zauważył przyjścia lokaja w liberii i pudrowanej peruce, który pochylił się nad Arią i wyszeptał jej coś na ucho. Nie dostrzegł też, jak wymknęła się z zatłoczonej sali. Dopiero w jakiś czas później poszukał jej wzrokiem i odkrył jej nieobecność.

Aria odebrała telefon w kuchni, jedynym miejscu, co do którego miała pewność, że matka się tam nie pojawi.

– Orlando? – szepnęła z zapartym tchem. – Och, nareszcie! Całe wieki próbowałam się z tobą skontaktować...

– Nie dzwoniłem, bo wiem, że nie mogę się mierzyć z Carraldem – rzekł

chłodnym, pełnym rezerwy tonem. – Nie mam prawa stawać na drodze twojej przyszłości. Chciałem ci tylko powiedzieć, że zrywam nie przez brak uczucia, lecz ponieważ nie mam ci nic do zaoferowania oprócz ubogiej egzystencji przy boku początkującego malarza.

– Niczego więcej nie chcę – wyszeptła z przejęciem – pragnę jedynie ciebie. Odezwałeś się w samą porę, żeby mnie uratować... och, dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Nie mogłem – odparł szorstko. – Nie powinniśmy się więcej spotykać.

– Och, nie mów tak! Muszę się z tobą zobaczyć. Muszę z tobą porozmawiać. Proszę cię, Orlando!

– Dobrze – ustąpił nagle – spotkajmy się za pół godziny w kościele Santa Maria della Pieta. Będę tam czekał na ciebie.

Aria narzuciła na aksamitną suknię czarną pelerynę, włożyła maskę i schowała włosy pod kapeluszem. Potem wymknęła się przez tylne schody do kuchni, a stamtąd bocznym wyjściem na Calle San Vidal. Na dworze było zimno. Zawinęła się szczelnie w pelerynę i popędziła wilgotnymi, zasnutymi mgłą uliczkami na spotkanie z Orlandem.

Nagle tuż przed nią z mgły wyłoniła się zamaskowana twarz. Aria z biciem serca przywarła do muru. Człowiek w spiczastonosej masce Medyka z czasów zarazy pogroził jej żartem laską ozdobioną pękiem wstęg, a potem śmiejąc się ruszył swoją drogą. W przesłoniętych gęstym oparem uliczkach przy placu św. Marka cisza wydawała się głębsza niż zwykle. Aria zerknęła trwożnie za siebie, bo zdawało jej się, że znowu słyszy za sobą kroki. Skarciła się w duchu za śmieszne przywidzenia. To na pewno jakiś następny karnawałowy wesolek. Przyspieszyła jednak kroku przebiegając niemal Salizzada San Moise.

Opustoszały plac św. Marka rozciągał się przed nią osnuty welonem mgły, cichy i tajemniczy jak pusta scena teatralna. Blade, rozproszone światło lamp nie sięgało cienia pod kolumnadą. Słyszała zniekształcone tony „Czterech pór roku”, nadawanych przez głośniki z kościoła, w którym niegdyś grał Vivaldi. Tam miała się

spotkać z Orlandem. Coś zaszeleściło w ciemności. Zakryła ręką usta, tłumiąc krzyk, który zaraz przeszedł w śmiech. Zobaczyła kota, który otarł się o jej nogi i pierzchnął, znikając we mgle.

Nie dostrzegła mężczyzny, czającego się w podcieniach. Był otulony w czarny płaszcz, a trójkątny kapelusz nasadził nisko na maskę. Stał na drodze dziewczyny i czekał, aż się przybliży. Gdy była tuż przy nim, rzucił się na nią znienacka i Aria wrzasnęła, sparaliżowana strachem. Wywinęła się z jego uścisku i rzuciła do ucieczki w kierunku, z którego przyszła. W tym ułamku sekundy dostrzegła, że mężczyzna nosił czarny kaptur i złowieszczą białą maskę, z której pustego czarnego oczodołu spływały trzy szkarłatne łzy jak krople świeżej krwi.

Słyszała za sobą jego kroki, gnając w stronę Piazzetty i Canale Grande. Błagała niebo, żeby były tam jakieś gondole i ludzie. Mgła wciskała się jej pod powieki, dusiła w gardle, serce waliło w piersiach jak młotem. Aria słyszała blisko za plecami swego prześladowcę, lecz była już prawie nad kanałem, do uszu jej dobiegł dźwięk rozmów, śmiechu... Och, dzięki Ci, Boże!

Wtem napastnik zaatakował powtórnie. Silne ramię zacisnęło się na jej szyi, odginając boleśnie głowę, i Aria dostrzegła z przerażeniem cienkie ostrze sztyletu.

– Nie! – krzyknęła rozdzierająco. – Nie!

– Co to? – rozległ się we mgle czyjś głos. – Co się tam dzieje?

– Ktoś sobie stroi żarty – odpowiedział mu drugi ze śmiechem.

Zbliżały się do nich niewyraźne postacie. Już można je było dostrzec...

Ramię dławiące jej gardło nagle opadło i prześladowca rozplynął się we mgle, jakby nigdy nie istniał. Łapiąc z ulgą powietrze, Aria pobiegła w stronę głosów, lecz niewyraźne sylwetki zmieniły kierunek i zgubiła je we mgle.

– Ratunku! – krzyczała biegnąc przez Piazzettę nad kanał, modląc się, żeby była tam jakaś łódź. – Na pomoc, niech ktoś mi pomoże!

Dostrzegła gondolę i zamachała na nią gorączkowo. Nawet gondolier był ubrany w czarną maskę i pelerynę.

– Proszę mnie zawieźć do kościoła Santa Maria della Pieta! – wyszłochała,

opadając na poduszki. Łódź wsunęła się w kotarę mgły. Byle znaleźć się w kościele, tam będzie Orlando, który ją obroni... Zaraz, przecież płyną w złym kierunku! Gondola skręciła w jeden z wąskich bocznych kanałów. – To w inną stronę! – Gondolier odwrócił się do niej twarzą i zobaczyła, że tylko połowa jego maski była czarna. Druga była biała, z trzema kroplami krwi, sączącymi się z pustego oczodołu! Dziewczyna zerwała się na nogi, czując stróżkę potu ściekającą po krzyżu. – Nie! – krzyknęła. – Nie... nie... nie...!

Zamaskowany gondolier zbliżał się, wymachując wiosłem jak pałką.

– O Boże – szepnęła Aria – pomóż mi, błagam Cię, Boże...

Nagle w powietrzu wybuchła głośna muzyka i śmiechy na tle cichego pomruku motoru. Z naprzeciwka podpływała do nich łódź, wypełniona po brzegi jaskrawymi postaciami w kostiumach pawi, pijącymi szampana wśród śmiechu i gwaru. Człowiek w biało-czarnej masce odwrócił się zdezorientowany, a wtedy Aria, w ułamku chwili, gdy łódź mijała gondolę, skoczyła z rozpaczliwą determinacją przez wąski pasek wody pomiędzy dwiema burtami i upadła na dno zbawczej łodzi.

– Oho! – wykrzyknęły karnawałowe postacie, pomagając jej się podnieść. – Nie mogłaś już z nim wytrzymać, co? No to przyłącz się do nas.

Wcisnęli Aarii w drżącą rękę kieliszek szampana. Odwróciła się patrząc na wodę, lecz widziała tylko wirujące kłęby mgły.

– Dokąd zdążasz, carina! – pytali wesoło.

– Do kościoła Santa Maria della Pieta – wyszeptała, drżąc na całym ciele.

– Do kościoła? W karnawał? Chyba masz źle w głowie! – zaczęli dobroduszenie wykrzykiwać, gdy łódź skręciła w Canale Grande. – Odpowiada ci, że cię wysadzimy przy Molo? Tam skręcamy.

Aria wyskoczyła z łodzi i patrzyła, jak znika we mgle. Rozejrzała się wokół niespokojnie, czując się tak, jakby z białego oparu patrzyły na nią setki niewidzialnych oczu, a potem pobiegła co tchu przez most na Riva Degli Schiavoni.

Tu mgła zdawała się jeszcze bardziej nieprzebita, wielkie jej ławice napływały znad laguny. Aria, goniąc resztkami sił, powtarzała w duchu, że już tylko kawałek,

jeszcze kilka metrów, tylko tyle, co przez ten mostek... Tony muzyki Vivaldiego dobiegały głośniejsz, w tym samym pospiesznym rytmie, co bicie jej serca. Zatrzymała się nagle z dłonią przy ustach, nasłuchując, czy się jej nie myli... Lecz nie... z tyłu znów dobiegł ją odgłos kroków, coraz szybszych, tuż-tuż... Z przeraźliwym krzykiem odwróciła się i rzuciła całym ciałem wprost na zamaskowanego mężczyznę. Znów złapał ją w dławiący uścisk, poczuła jego oddech na twarzy – i ujrzała trzy czerwone krople krwi!

– Nie – szepnęła bezradnie – proszę, nie... – Jej oczy przylgnęły do sztyletu, uniesionego wysoko do zadania ciosu.

Nagle nieznamy poderwał głowę, słysząc hałas biegnących kroków. Odskoczył z gniewnym okrzykiem, gdy z mgły wynurzyły się podobnie odziane i zamaskowane postacie. Aria dostrzegła matowy błysk długiej lufy i krzyknęła. Padł strzał. Zawtórował jej krzyk napastnika, który runął na ziemię. Wszystko trwało nie dłużej niż parę sekund. Spojrzała, zmartwiała z przerażenia, na leżące ciało, a potem na zamaskowanego, uzbrojonego mężczyznę.

Carraldo również skierował wzrok na człowieka, którego przed chwilą zabił.

– Wybacz mi, ojczy – powiedział cicho. Nie Boga prosił o przebaczenie, lecz Riccarda Malvasiego, którego zwykle nazywał po prostu „On”. – Wszystko w porządku, Ario – dodał znużonym głosem – nic ci już nie grozi.

Zbyt odrętwiała, żeby przemówić, spojrzała na pistolet w jego rękę, a potem wybuchnęła płaczem.

– Nie ma czego się bać – rzekł łagodnie Carraldo, zdejmując maskę. Z oczu wyzierał mu ból, twarz miał poszarzałą, na skroniach perliły się krople potu. Nagle bez najmniejszego dźwięku osunął się do stóp dziewczyny.

Aria zaczęła przeraźliwie krzyczeć.

– Przestań, Ario, przestań natychmiast! – zawołał rozkazująco Mike, obejmując ją mocno.

Zadygotała w jego uścisku.

– Co... co się stało Carraldowi? – wyjąkała.

– Łódź zaraz odwiezie go do szpitala. Nic mu nie będzie.

– Miałam się spotkać z Orlandem – łkała na jego piersi – czeka na mnie w kościele... Słyszałam muzykę... Byłam o parę kroków stamtąd, wiedziałam, że jeszcze chwila, a go znajdę i będę bezpieczna...

Mike wypuścił ją z objęć i podszedł do nieruchomej sylwetki, której pilnowało dwóch goryli Carralda.

– Zdejmijcie mu kaptur i maskę – polecił im cicho.

Aria patrzyła z pełną grozy fascynacją, jak spod kaptura wyłaniają się jasne włosy. A potem zdjęli maskę.

– Moja biedna Ario – rzekł łagodnie Mike – obawiam się, że już znalazłaś Orlanda.

Rozdział 64

Aria dostała środek uspokajający i spała cały następny dzień. Dopiero wieczorem, gdy odpowiedziała na pytania policji, Mike mógł wyjaśnić jej dokładnie, co się zdarzyło.

Siedziała na łóżku z twarzą białą jak poduszki. Ramiona i gardło miała posiniaczone od napaści Orlanda.

– Nic nie rozumiem – wyszeptwała. – Myślałam, że on mnie kocha. I ja go naprawdę bardzo kochałam.

– Kochałaś tylko swoje o nim wyobrażenie – powiedział łagodnie Mike.

– Ale po co Orlando miałby mnie zabijać?! – krzyknęła z rozpaczą.

– Przykro mi to mówić, ale oszukiwał cię od samego początku. Nic powiedział ci, że sam ubiega się o spadek po Poppy Mallory. – Aria podniosła na niego zdumione oczy. – Carraldowi zawdzięczasz, że prawda o nim wyszła na jaw. Carraldo nabrał podejrzeń, gdy dowiedział się, że Orlando ukrył przed tobą i nim samym starania o spadek, i postanowił zbadać jego przeszłość. Bajeczki Orlanda o tym, jak to wyrzucono go ze szkoły za sztubackie kawały i złe zachowanie, okazały się wysane z palca. W rzeczywistości był wyjątkowym okrutnikiem i z upodobaniem dręczył

kolegów. Gdy miał trzynaście lat, dokonał pierwszej próby morderstwa, podkładając ogień w pokoju pewnego nauczyciela. Ten nauczyciel dostrzegł w nim patologiczne skłonności i dał to poznać jemu – i jego rodzicom. Sprawę zatuszowano pod warunkiem, że rodzice wyślą go na leczenie. Psychiatra stwierdził, iż Orlando, ten chłopiec o ujmującej powierzchowności, jest niebezpiecznym psychopata. To nieprawda, że rodzina wyprawiła go do Włoch na malarskie studia. Po prostu chcieli się go pozbyć.

Carraldo zaczął się bać o ciebie. Zaaranżował więc wyjazd do Los Angeles, żeby cię wywieźć w bezpieczne miejsce. Okazało się, że w okresie gdy Orlando rzekomo był w Londynie, tak naprawdę śledził każdy twój ruch – stąd te tajemnicze kroki i człowiek w czarnym peugeocie.

Na razie jednak Carraldo nie mógł o nic go oskarżyć. W końcu cała jego wina polegała na tym, że nie powiedział, iż jest konkurentem do spadku. Gdyby go o to zapytano, bez wątpienia wynalazłby jakąś wiarygodną wymówkę.

Orlando zdobył kopię listy potencjalnych spadkobierców. W testamencie była mowa o córce, więc w grę wchodziło albo rodzeństwo Gallich, albo ty. Nie brał pod uwagę Lauren Hunter, bo jej wersja wydała mu się zbyt mało prawdopodobna. W swoim zdegenerowanym umyśle widział trójkę liczących się rywali do spadku: na pierwszym miejscu ciebie, a potem Klaudię i Pierluigiego. Sądził – zgodnie z prawdą – że on sam jest prawnukiem Poppy, ale tych prawnuków mogło być więcej, jedna, dwie, trzy osoby, kto wie? A to znaczyło, że musiałyby podzielić się majątkiem. Orlando chciał dostać całość. Miał dosyć bycia salonowym pieskiem, lekceważonym przez wytworne światowe towarzystwo. Marzył o roli władcy i zemście za wszystkie upokorzenia, które przyjmował z uśmiechem przez tyle lat.

Carraldo dowiedział się, że Orlando spotkał w Paryżu Klaudię na tydzień przed jej śmiercią. Zostawiła mu też na swojej automatycznej sekretarce wiadomość, że jedzie do Villa Velata. Orlando cichaczem pojechał za nią i uszkodził hamulce w jej wozie. Nie spodziewał się, że będzie tam też Pierluigi. Nim zamierzał się zająć w następnej kolejności. Znalazłby go z łatwością na pogrzebie. Lecz Pierluigi został

oskarżony o morderstwo i osadzony w więzieniu. Tam nawet Orlando nie mógł się do niego dostać. Wiedział już wówczas, że staram się zrekonstruować historię życia Poppy, zdecydował się więc poczekać na dalszy rozwój wydarzeń i dać na razie spokój niedoszłej ofierze. Uznał, że może go załatwić później.

Gdy Carraldo doszedł prawdy, użył swoich wpływów, żeby wydostać Pierluigiego z ciupy. Zapłacił kaucję, która wyniosła kilka milionów. Zorientował go w sytuacji, ale ostrzegł, żeby siedział w ukryciu. Carraldo nigdy by ci się sam do tego nie przyznał, ale moim zdaniem powinnaś wiedzieć, że wyłożył również grube pieniądze, by wesprzeć firmę Pierluigiego, będącą na krawędzi bankructwa. Zapewne uważał, iż Pierluigi dość się nacierpiał z powodu śmierci Klaudii i hańbiącego oskarżenia o morderstwo. Zdawał sobie sprawę, że dla człowieka takiego jak Pierluigi praca jest treścią całego życia, oprócz niej nic się nie liczy. Ario, Carraldo to człowiek szlachetny. Tak więc Pierluigi przyszedł na bal i był świadkiem zabójstwa – gdyby Carraldo go nie uprzedził, sam zastrzeliłby Orlanda, żeby pomścić śmierć siostry.

– To przekleństwo! – Aria wybuchnęła płaczem. – Pieniądze Poppy Mallory są przeklęte!

– Nieprawda – zaprzeczył Mike łagodnie. – Gdyby Orlando był normalnym człowiekiem, te tragiczne wypadki nie miałyby miejsca. niesprawiedliwie jest obwiniać za nie Poppy. Jeżeli chcesz, opowiem ci fakty z jej życia i wtedy może łatwiej zrozumiesz, dlaczego Orlando był właśnie taki.

Aria potrząsnęła przecząco głową.

– Nie chcę nic wiedzieć – szepnęła. – Żałuję tylko, że w ogóle go spotkałam. A teraz Carraldo jest chory... przeze mnie. Mama mówiła, że miał atak serca. Leży w szpitalu.

– Carraldo już od dawna miał kłopoty z sercem i świetnie o tym wiedział. Zawał był nieunikniony, mógł nastąpić w każdej chwili. Niepotrzebnie się o to oskarżasz.

Aria wyłamywała gorączkowo palce, patrząc przed siebie, jakby jego słowa do niej nie docierały.

– Carraldo uratował mi życie, a teraz może przeze mnie umrzeć. – Zwróciła na Mike’a oczy pełne łez. – Muszę do niego pójść, żeby mu podziękować.

Jutro – obiecał. – Najpierw trochę odpoczniesz.

W szpitalnym pokoju słyhać było tylko cichy szmer urządzeń i nerwowy, urywany pisk od strony monitora, który pokazywał pracę serca. Carraldo czuł, jak to serce trzepocze niepewnie w jego piersi, i wiedział, że tu już nie pomogą małe białe pigułki.

Zamknął oczy, rozmyślał o swoim życiu. Czy tego dnia wiele lat temu, gdy zgodził się zostać adoptowanym synem Riccarda Malvasiego, podjął właściwą decyzję? Co mu to dało? Bezużyteczne bogactwa i wyrzuty sumienia, które dręczyły go całe życie. Z drugiej strony to dzięki Malvasiemu otrzymał wykształcenie, zdobył szersze horyzonty i wiedzę o rzeczach, które najbardziej umiłował. W pewnym stopniu osiągnął szczęście.

Gdy po śmierci Riccarda Malvasiego zabił swoich wrogów, uważał, że wywalczył sobie tym samym wolność. Właściwie miał rację. Nigdy nie musiał tkwić w opancerzonej willi, swobodnie poruszał się po świecie, brał udział w życiu wyższych sfer. Mimo tego luksusowego trybu życia i znajomych na wysokich stanowiskach wciąż spał z kurwami z *bassi*, tak jakby pozostał ulicznym złodziejaskiem. Mimo sukcesów towarzyskich nie było człowieka, który nazwałby go przyjacielem, i to izolowało go skuteczniej niż domowe więzienie. Żył w otoczce samotności i z nie opuszczającą go nigdy świadomością, kim jest. Nie było przed tym ucieczki.

Jeden jedyny Paolo dał mu zaznać uczucia szczerzej przyjaźni i dlatego Carraldo chciał roztoczyć opiekę nad jego córką. Nie przewidział jednego – że zakocha się w niej nieprzypadkowo. Aria oczarowała go swoją żywotną młodością. Pragnął mieć ją na własność, nauczyć ją życia, patrzeć, jak rozkwita i zmienia się w cudowną kobietę. Chciał również chronić ją przed okrutnym światem pancierzem swojego bogactwa. Wiedział, że nie ma dużo czasu – rok, może kilka miesięcy czy zgoła

tygodni... Lecz chciał mieć Arię, choćby na krótko. Teraz uświadamiał sobie własny egoizm. Pocięchę niosła mu świadomość, że po śmierci wynagrodzi Arii tę mimo woli zadaną krzywdę. Zapiisał dziewczynie cały swój majątek pochodzący z legalnych źródeł. Za późno już było na małżeństwo, które stanowiło najpewniejszą podstawę do dziedziczenia, lecz testament został sformułowany wedle wszelkich reguł i nie zostawiał możliwości wykorzystania jakichś kruczków prawnych. Majątek był na tyle duży, że zapewni Arii niezależność. Będzie mogła zrealizować swe życiowe cele, co nie było dane jej ojcu.

Wrócił myślami do Orlanda. Jakaż to ironia losu, że dziewczyna, którą kochał, zakochała się właśnie w prawnuku Riccarda Malvasiego. Gdyby Riccardo dowiedział się niegdyś, że ma syna, imperium Malvasich przeszłoby we właściwym czasie w ręce Orlanda, a Carraldo dożyłby swoich dni w Neapolu jako zwykły uliczny rzeźmieszek. Tak dziwnie plotły się losy ludzkie.

Usłyszał, że ktoś wchodzi do pokoju, i wiedział, że to Aria, zanim jeszcze otworzył oczy. Poznał jej lekki krok i świeży zapach włosów, gdy się nad nim schyliła. Podniósł raptownie powieki i spojrzał na nią z właściwym sobie sardonicznym półuśmiechem.

– Miło, że przyszłaś mnie odwiedzić – mruknął, lecz ona patrzyła na niego bez słowa, wstrząśnięta jego ziemistą cerą i słabym głosem. – Usiądź przy mnie na chwilę – poprosił – chcę z tobą pomówić.

Aria położyła kwiaty na stoliku i usiadła przy łóżku.

– Jak się czujesz? – spytała z niepokojem.

– Tak jak wyglądam. – Carraldo uśmiechnął się z autoironią. – Na dobrą sprawę serce powinno mi stanąć już dwa lata temu.

– Nie! To nie może być prawda, musi być jakiś sposób... Wezwiemy najlepszych specjalistów...

– Ario – przerwał jej łagodnie – badali mnie najlepsi lekarze na świecie i gdyby można było coś poradzić, na pewno by to zrobili.

Zakryła twarz rękami i zaczęła bezgłośnie płakać. W jego oczach odbił się

smutek.

– Nie płacz. Na razie nie mam zamiaru przenosić się na tamten świat. Poza tym mam ci coś do powiedzenia. – Przerwał na chwilę, łapiąc z trudem oddech. – Żyłem w obcym dla ciebie świecie – podjął wreszcie – pełnym zła i okrucieństwa, ale przyrzekam ci, że ciebie przed tym uchronię. Twój ojciec znał całą prawdę o mnie, a mimo to zaofiarował mi przyjaźń. Kochałem go za to, a teraz Kocham ciebie, jego córkę.

– Nie wiedziałam o tym – szepnęła przybita – nie rozumiałam. Teraz widzę, jaka byłam samolubna i niedobra dla ciebie!

– Czego innego mogłem się spodziewać po młodej, romantycznej dziewczynie, która szuka wielkiej miłości? Wiedziałem, że nie mogę tego od ciebie wymagać.

Aria pochyliła głowę i jej wzrok natrafił na jego ręce, leżące bezwładnie na białym prześcieradle. Wyglądały tak krucho i bezradnie... Nagle potężny Carraldo wydał jej się podobny do dziecka.

– Po mojej śmierci – mówił – przypadnie ci mój osobisty majątek: dzieła sztuki, galerie, domy – wszystko. Twoja matka będzie zaopatrzona, załatwiłem to już ze swoimi prawnikami, a wtedy ty staniesz się wolna. Chciałbym pomyśleć, że gdy mnie nie będzie, ty przejmiesz prowadzenie galerii Carralda. To była jedyna dobra rzecz w moim życiu.

– Proszę, nie mów tak – szepnęła ujmując jego dłoń w obie ręce. – Wyzdrowiejesz i sam będziesz je prowadził przez wiele lat. Obiecasz mi, że wyzdrowiejesz?

Napotkał jej pełne niepokoju niebieskie oczy i pomyślał, jaka jest śliczna i jakie to szczęście, że ją znał. Ona i jej ojciec byli w jego życiu jak świeży, ożywczy powiew, dwie szczerze, szlachetne dusze.

– Przykro mi z powodu Orlanda – rzekł po długiej chwili.

– Nie wiedziałam, że był prawnikiem Poppy. Mike mi o tym powiedział.

– Orlando nie miał żadnych na to dowodów, to Mike je znalazł.

– A ja wcale nie jestem spadkobierczynią – dorzuciła.

– To już teraz nieważne – wyszeptał z trudem Carraldo. Ból znów ścisnął mu pierś jakby żelazną obręczą, na czoło wystąpiły krople potu. Zamknął oczy, oddychał płytko, urywanie.

Zielona, zygzakowata linia na monitorze zaczęła skakać alarmująco. Aria rzuciła przerażone spojrzenie na ekran.

– Rozmowa cię męczy – upomniała go w popłochu, ściskając jego dłonie. – Nie wolno ci mówić.

Po jakimś czasie, gdy wydawał się spokojniejszy, powiedziała:

– Przyszłam, żeby ci podziękować za ocalenie życia, ale słowa to za mało na spłacenie takiego długu. Przemyślałam to i jeśli jeszcze wciąż tego chcesz, chciałabym wyjść za ciebie za mąż.

Uśmiechnął się do niej samymi oczami, w których wciąż było cierpienie.

– Jesteś bardzo podobna do swego ojca, Ario – szepnęła ledwo dosłyszalnie.

Długi czas siedziała w milczeniu trzymając jego dłonie w swoich, aż wydawało jej się, że zasnął. Wtedy schyliwszy się nad nim pocałowała go lekko w usta i wyszła.

Antonio Carraldo dostał rozległego zawału na minuty przed świtem dnia następnego i zanim słońce weszło na niebie, już nie żył. Na jego pogrzeb przyszły setki ludzi, choć niewielu go opłakiwało. Lecz po twarzy Arii Rinardi płynęły łzy prawdziwego smutku, gdy kładła na jego grobie dziewczęcy bukiet konwalii, gipsówki i małych kremowych pączków róż.

Rozdział 65

Mike otworzył butelkę szampana. Rozległo się radujące duszę „paf!” i Lauren szybko podstawiła kieliszek pod pieniającą się strużkę.

– Za dobry, żeby go marnować – powiedziała ze śmiechem.

– Mamy go w bród – odparł. – Za kogo najpierw wzniesiemy toast? Za Marię, Poppy Mallory czy ciebie?

Przechyliła głowę na bok i zastanawiała się przez chwilę.

– Za żadną z nas – zdecydowała w końcu. – Wypijemy za twoje zdrowie, bo gdyby nie ty, nigdy nie dowiedziałabym się prawdy o Marii i o sobie samej.

– Więc musimy wypić zdrowie Marii, bo to ona właśnie podsunęła im wskazówkę. Gdy dowiedziałem się, że dziwne zachowanie Heleny było spowodowane głuchotą, uświadomiłem sobie, co uderzyło mnie u Marii. Po oczach widziałem, że jest inteligentna, zdawało się, że z jej głową wszystko w porządku, a mimo to nie wydawała z siebie dźwięku. Kiedy potwierdziłaś, że lekarze stwierdzili u niej głuchotę, skojarzyłem sobie, że Helena została ochrzczona jako Helena Mallory i pomyślałem o nazwiskach zapisanych w twojej rodzinnej Biblii. Wyszukanie odpowiednich dokumentów nie trwało długo. Zacząłem od ciebie i cofając się w przeszłość dotarłem po nitce do kłębka.

Angel podała w swoim liście, że ludzie, którzy adoptowali dziecko Heleny, nazywali się James i mieszkali w hrabstwie Ventura, tu w Kalifornii. Powiedzieli Angel, że nazwą ją Mary i pozostawią jako drugie imię Mallory. Mary Mallory James. Znając te fakty nietrudno było dojść prawdy.

Maria-Krystyna zginęła podczas drugiej wojny światowej, prowadząc karetkę, a Helena, która całkowicie odsunęła się od świata umarła wiele lat później. Wtedy Aria dostała papugę. Gdyby Helena żyła, istniałaby jakaś ciągłość pokoleń i cała sprawa nie byłaby tak trudna do rozwikłania. Za to miałem okazję zawrzeć bliższą znajomość z Poppy Mallory – ciągnął Mike z namysłem – i szczerze mówiąc nie wyzbyłbym się tego za nic. Poppy kierowała się w życiu raczej sercem niż rozumem, ale miała niezwykły hart ducha. Gdy wszystko się waliło, ratowała, co się dało, i brnęła uparcie dalej. Była nieugięta – tak, to słowo dobrze ją określa.

Lauren spojrzała na niego z powagą w niebieskich oczach.

– Ten toast powinniśmy wznieść za Poppy – stwierdziła unosząc kieliszek.

– Za Poppy – zawtórował jej Mike, a po chwili powiedział: – Teraz wypijemy za pannę Lauren Hunter, szczęśliwą spadkobierczynię tejże.

– Będę chyba musiała wlać w siebie sporo szampana – westchnęła – bo myśl o

całym tym majątku w nieruchomościach i pieniądzech działa przeraźliwie trzeźwiąco.

– Będiesz miała dobrego doradcę – pocieszył ją. – Lieber się wszystkim zajmie.

– Jest jedna rzecz, którą na pewno chciałabym zrobić. Pamiętasz, mówiłeś mi, że Pierluigi Galli miał zamiar na pamiątkę swej siostry założyć fundację, dającą wsparcie finansowe niezamożnym młodym ludziom, aby umożliwić im pójście na studia? Chciałabym stworzyć taką fundację i nazwać ją Fundacją Poppy Mallory. Moglibyśmy przyznawać specjalne stypendia imienia Klaudii.

– To bardzo szlachetna myśl – stwierdził Mike cicho.

Lauren wzruszyła ramionami.

– Jeszcze kilka dni temu sama należałam do grona takich właśnie pechowców życiowych.

Popatrzeli na Marię, bawiącą się misiem, którego dostała pod choinkę.

– Zdaję sobie sprawę, że jej brak słuchu to poważna sprawa, ale lekarz ma nadzieję, iż po operacji odzyska go chociaż w części, i Lauren zwróciła na Mike’a pełne nadziei oczy. – Podobno będzie mogła mówić i po nauce czytania z ust swobodnie porozumiewać się z ludźmi. Cieszę się, że to nie jest nic gorszego.

– A jakie są twoje plany? – spytał nie odrywając od niej wzroku.

– Może jednak będę mogła pójść do Stanford – odparła z zapalem. – Pomyślałam sobie, że kupię niedaleko dom. Miejmy nadzieję, że pozwolą mi mieszkać poza obrębem kampusu, z Marią. Będę teraz mogła wynająć jej piastunkę i opłacić leczenie. – Westchnęła, patrząc na niego z wdzięcznością. – Poppy Mallory nigdy się nie dowie, jakim wybawieniem był dla mnie jej majątek – jak wspaniały, nieoczekiwany prezent. Niczym sobie nie zasłużyłam na taki dar.

– Powiedzmy, że trafił on do rąk właściwej osoby – rzekł Mike, uśmiechając się do niej. – Śmieszne, Kalifornia całkiem przypadła mi do gustu i właśnie myślałem, że nieźle byłoby tu sobie kupić dom. Poppy mnie również zostawiła niezgorszy legat – dzięki niej napisałem książkę – a Kalifornia jest równie dobrym miejscem jak każde inne, żeby ją skończyć. Może zostaniemy sąsiadami? I może chciałabyś zjeść

ze mną czasem obiad, gdy zdołasz się opędzić od nadskakujących ci kumpli z uczelni?

– Z przyjemnością – odparła Lauren, a jej niebieskie oczy błyszczały tak właśnie, jak musiały błyszczeć przed laty oczy zakochanej Poppy.

Epilog

1957

Nawet teraz, jako sędziwa staruszka, mieszkając samotnie w przeladowanej ozdobami włoskiej willi z dala od krainy swego dzieciństwa, Poppy pamiętała kwiaty, po których wzięła imię, widziane w kilka dni po urodzeniu. Zawsze jej mówiono, że to niemożliwe, bo kilkudniowe niemowlę nic jeszcze nie widzi, a następnej jesieni to samo pole, wznoszące się łagodnie ku wzgórzom za starą częścią budynku z suszonej na słońcu cegły, zostało zaorane i zasiane jęczmieniem, Nigdy już po pamiętnej burzy nie rosły tam wdzięczne kalifornijskie maki. Jakim więc cudem ich obraz wyrzył się tak mocno w jej pamięci?

Gdy zamknęła oczy, wydawało jej się, że znów jest maleństwem unoszonym w ramionach matki, która brodzi po kolana w morzu rozkwitłych pąków. Czula słaby, słodki matczyzny zapach. Pamiętała, jak wysunięto ją niebezpiecznie w dół, bliżej ku kwiatom, żeby mogła się napawać widokiem setek serduszkowatych płatków, unoszonych wiatrem jak pomarańczowozłote jedwabiste motyle. Pamiętała ciemnozłociste serca kwiatów i żółty pyłek na słupkach równie wyraźnie, jak własną twarz w lustrze.

Często opowiadała o tym Luchayowi. Gdy się zestarzała, opowiadała papudze tylko szczęśliwe wspomnienia, pomijając złe. Zresztą Luchay i tak znał całe jej życie, ze wszystkimi sekretami.

Rzadko rozmawiała z kobietami, które przychodziły z wioski sprzątać wszystkie trzydzieści dwa pokoje willi, pyszniące się zdobnymi w zakrętasy i złocenia meblami, którymi Poppy głęboko gardziła „Czerwony plusz i złocenia... phi!” – mawiała do Luchaya, śmiejąc się gdaczącym śmiechem, jakby drwiła z samej siebie.

Kobiety dbały o jej potrzeby, gotowały posiłki. Przypuszczała, że ją okradają, ale nie obchodziło jej to – na każdą z nich czekało pewnie w domu z dziesięć gąb do wykarmienia. A ona była tylko jedna. Wreszcie została sama.

Była zmęczona, bardzo zmęczona. Pomyślała, że może zdrzemnie się trochę. Ale wtedy znów powrócą stare sny. Miała nadzieję, że uda jej się w końcu wyrzucić je z pamięci. A potem... potem może już nigdy się nie obudzi.

Obcy przybysz zatrzymał samochód przed porośniętymi mchem kolumnami i kostropatymi kamiennymi pawiami. Popchnął zardzewiałą bramę, ale ustąpiła tylko trochę. Willa była prawie niewidoczna pośród bujnej, splątanej roślinności. Wyprostował ramiona, jakby dodając sobie odwagi, i ruszył zarośniętym podjazdem.

Wbiegł po schodach, i zadzwonił do drzwi, a potem wcisnął ręce w kieszenie i zaczął spacerować tam i z powrotem pod portykiem jak ktoś, kto się waha, czyby nie cofnąć się w ostatniej chwili. Wyjął kieszeni gazetowy wycinek i ponownie spojrzął na nekrolog. „Poppy Mallory – głosił napis – odeszła w siedemdziesiątej siódmej wiosnie życia w Villa Castelletto pod Veneto”. I niżej: „Ostatnie pożegnanie składa zawsze kochający i wierny przyjaciel, Riccardo.”

Zadźwięczały kroki na marmurowej posadzce i ktoś uchylił drzwi. Przez szparę wyjrzała stara wieśniaczka z czarnym szalem na głowie.

– *Che desidera?* – odezwała się podniesionym głosem.

Zapytał o grób zmarłej, która, jak się dowiedział niedawno, była jego krewną. Kobieta przez chwilę mierzyła go badawczym spojrzeniem ptasich, czarnych oczu. Potem wolno otworzyła drzwi. Zajrzał przez jej ramię w ponury hol. Kotary były zaciągnięte, a lustra zakryte czarną materią.

– Szkoda, że spóźnił się pan na pogrzeb. Jest pochowana na miejscowym cmentarzu. Ten człowiek przyjechał i zajął się wszystkim. On i ja byliśmy jedynymi ludźmi na pogrzebie. Gdyby pan przyjechał w porę – ciągnęła tonem pogawędki – byłoby nas troje. Potem prawnik zabrał papugę, podobno oddał ją komuś... Nie wiem komu. Tyle wiem, że to jedyne stworzenie, które kochała na tej ziemi.

Nieboraczka była bardzo samotna. – Przeżegnała się, mamrocząc pod nosem modlitwę, a on odwrócił się i szybko poszedł z powrotem do bramy.

– Szkoda, że się pan spóźnił! – dogonił go przenikliwy krzyk kobiety. – Signora nigdy nie miała żadnych gości... to by jej sprawiło przyjemność...

Na wiejskim cmentarzyku w kwadracie ogrodzenia tłoczyły się schludne bielone groby. Na krzyżach widniały wizerunki Madonny i Chrystusa, na płytach obok fotografii zmarłych stały słoje z kwiatami. Pośrodku było kilka większych i wystawniejszych grobowców; podszedł do nich, uważnie czytając każde nazwisko, lecz żadna z barokowych budowli, zwieńczonych aniołami i wieżyczkami, nie była miejscem ostatniego spoczynku Poppy.

Odnalazł wreszcie jej grób w słonecznym kącie pod murem zwykły prostokąt obrzeżony różowawym marmurem, a w głowach tablica z napisem „Pamięci umiłowanej Poppy Mallory” oraz datami urodzenia i śmierci. Na grobie leżała świeża gałązka gardenii, ciemno zielone liście lśniły jak nawoskowane, a delikatne białe kwinty rozsiewały silny zapach.

Rogan patrząc na grób przesunął ze znużeniem ręką po posiwiałych włosach. Po dłuższej chwili wyszedł z cmentarza. Ani razu nie obejrząwszy się za siebie, wszedł do samochodu i odjechał.